



*Cathy Kelly*



*Raz w życiu*

*Tytuł oryginału: Once in a Lifetime*

*Dylanowi, Murrayowi i Johnowi, z miłością*



## *Prolog*

Gwiazda Bluestone od zawsze rozmawiała z pszczołami. Mówiła też do kwiatów, szeptała do rzadkich okazów żółtych maków, które sama wyhodowała z nasion. Zebrała je pięćdziesiąt kilometrów od domu, za wzgórzami Wicklow, w ogrodzie urządzonym we włoskim stylu. Ucinała tam sobie wspaniałe pogawędki z ogrodnikiem – Nowozelandczykiem, który oprowadzał ją po sadzie, od czasu do czasu wyciągając rękę, by dotknąć pąka kwiatu jabłoni w taki sposób, w jaki inny mężczyzna mógłby dotykać kobietę.

Rozumiał, że ludzie, którzy kochają uprawianie ziemi, rozmawiają ze swoimi roślinami, a także z pszczołami, bo to właśnie ich skomplikowane zabiegi powodują, że kwiaty mogą kwitnąć. Mimo że miał zaledwie trzydzieści lat, a Gwiazda sześćdziesiąt, nie uważał jej za ekscentryczną staruszkę. Był raczej pod wrażeniem jej encyklopedycznej wiedzy na temat życia roślin, a jego poważna i przystojna twarz ożywiła się podczas ich rozmów.

Patrząc na tego miłego chłopca, Gwiazda zawsze przypominała sobie, że dobry ogrodnik jest zwykle dobrym kochankiem. Nikt, kto ma tyle delikatności, ile trzeba, by rozdzielić kruche i pierzaste liście paproci w celu ich przesadzenia, nie mógłby potraktować bez wyczucia ciała drugiego człowieka.

Minęło już kilka dobrych lat, odkąd Gwiazda leżała w ramionach mężczyzny. Miała wielu kochanków, ale ten, którego pamiętać będzie do końca swojego życia, który na jej skórze odcisnął niezatarte piętno, nie był ogrodnikiem, lecz poetą, choć nie tak postrzegala go większość ludzi. Świat nie widział w nim nic niekonwencjonalnego – był przystojnym człowiekiem,

owszem, o nienaganych manierach, którego czekała kariera zawodowa na odpowiedzialnym stanowisku. Dla niej był mężczyzną, z którym siedziała pod rozgwieżdżonym niebem, a on recytował poezję, pieszcząc dłońmi jej twarz i roztaczając przed nią wizję ich wspólnej przyszłości.

Było to ponad trzydzieści pięć lat temu. Już wtedy Gwiazda rozmawiała ze swoimi kwiatami i ukochanymi pszczołami zamieszkującymi białe ule.

Kiedy dorastała, szkolne koleżanki nie potrafiły pojąć, dlaczego to robi, ale nie wypytywały jej o to. W końcu Gwiazda była przecież inna pod każdym względem. Tak samo jak jej matka. Ich matki nie znały się tak dobrze na uprawianiu ziół, nie wiedziały, jak zrobić napar ze złocienia i rumianku, po którym znikną bóle menstruacyjne. Nie stały też przed domem podczas letniego przesilenia, wpatrując się w księżyc.

A Eliza Bluestone tak. I fakt, że w ten sposób wyróżniała się pośród matek małego miasteczka Ardagh, był dla Gwiazdy w równym stopniu błogosławieństwem, co przekleństwem. Błogosławieństwem była przekazywana córce wiedza matki. Przekleństwo polegało na tym, że wiedząc tak dużo, chcąc nie chcąc stała się outsiderem.

Eliza niekoniecznie słowami przekazywała córce tę mądrość widoczną w jej ogromnych, ciemnych jak noc oczach, ale wiedza ta i tak przelała się w jakiś sposób na Gwiazdę.

W wieku lat dwudziestu, gdy jako młoda i piękna dziewczyna miała ochotę tańczyć z przyjaciółmi i flirtować z chłopcami, ta właśnie mądrość okazała się przeszkodą. Po prostu wiedziała, że niewielu ludziom dane jest spotkać swoją bratnią duszę w pubie za rogiem. Znalezienie właściwego mężczyzny, który mógłby zostać jej mężem, będzie trudne, bo rodzina Bluestone'ów – czyli Gwiazda i jej matka – nie była zwyczajną rodziną, i tylko silny mężczyzna mógłby je pokochać. Równie dobrze wiedziała, że nie

wszystkich jej znajomych czeka w życiu radość i szczęście, jakich oczekują, bo nie wszystkim jest to pisane. To oczywiste. A wyobrażanie sobie czegoś innego jest po prostu głupie.

I choć Gwiazda, podobnie jak jej matka, nie potrafiła przewidzieć przyszłości, mądrość pozwalała jej rozumieć prawa rządzące wszechświatem. Podczas gdy koleżanki rzucały się na oślep w wir wydarzeń, a potem były zaskoczone, że poznany w barze chłopak nie zadzwonił, albo zszokowane, że ludzie potrafią być tacy podli, Gwiazda nigdy niczemu się nie dziwiła.

W miarę upływu lat coraz bardziej rozwijała swoje talenty ogrodnicze. Nie chodzi o to, że trzeba z roślinami rozmawiać, tajemnica polega na tym, że należy traktować je z szacunkiem, i Gwiazda tak właśnie czyniła, wrywając chwasty wokół posłonka o pomarańczowych płatkach, żeby znów mógł swobodnie oddychać, i wykopując krzew czerwonej porzeczki z suchej gleby przy szopie, od czasu do czasu przerywając na chwilę pracę, by posłuchać muzyki. Bo uwielbiała muzykę. Nigdy nie miała dość słuchania dochodzącego z dala śpiewu kościelnego chóru, chociaż nigdy nie przekroczyła progu kościoła – kolejna rzecz, która odróżniała ją od znajomych. Jej kościołem były drzewa, góry i szum potężnego morza. Owszem, kochała muzykę kościelną, ale jeszcze bardziej kochała muzykę natury. Pieśń pszczół to, jak uczyła ją matka, pieśń Ziemi. Melodyjna i magnetyczna, w jej rytmie pszczoły tańczą swój odwieczny taniec, który tańczyły na długo przedtem, zanim pojawił się człowiek. A czy cokolwiek mogło bardziej podnieść człowieka na duchu niż odgłosy gołębi buszujących pod okapem, gdy smyrgają i prowadzą między sobą sprzeczki, chroniąc się przed deszczem?

Teraz też padało. Leżąc w łóżku, słyszała odbijające się od szyb krople deszczu. Jak zwykle obudziła się o szóstej. Latem od razu by wstała, żeby nie

stracić wspaniałego widoku złotego wschodu słońca, ale tego zimnego lutowego poranka do wschodu były jeszcze przynajmniej dwie godziny – w dodatku zapowiadał się szary i ponury.

Danu i Bridget, dwie kotki, rozciągały się na łóżku obok niej, wydając swoje poranne pomruki. Bridget była efektowną, białą puszystą kuleczką, jej wspaniałe futro wymagało systematycznego szczotkowania. Danu, ta mniejsza – pręgowana, cudem uniknęła śmierci, trafiając do Gwiazdy rok temu, w najlepszym możliwym momencie, bo właśnie umarła Moppy, siostra Bridget. Życie takie właśnie jest i Gwiazda dobrze o tym wiedziała: daje to, czego potrzebujemy, dokładnie w tym czasie, kiedy tego potrzebujemy. Nie to, czego chcemy – to nie ma żadnego znaczenia. Chcieć i potrzebować to dwie zupełnie różne sprawy.

Leżała przez chwilę w łóżku, głaszcząc koty i spoglądając przez okno na ciemne kształty drzew i krzewów w swoim ogrodzie. Widziała klon czerwonolistny, który posadziła, gdy miała dwadzieścia lat i zakochała się bez pamięci.

– Posadź coś, żeby ci o tym przypominało – powiedziała matka, a Gwiazda się zdziwiła.

– Zawsze będę to pamiętać – odparła.

Wszyscy mówili, że była wtedy w pełni rozkwitu, bujna jak cenne piwonie jej matki, miała pełne usta i złociste włosy – kobiety w jej rodzinie zawsze miały złote włosy, bez względu na wygląd ojców – które sięgały jej wąskiej talii. W tajemnicy, wraz ze swoją przyjaciółką Trish, wybrała już suknię ślubną. Wiedziała, że razem z Dannym wynajmą ten dom na wzgórzu i będą w nim szczęśliwi. Roztaczał się stamtąd widok na miasto i morze, a do warsztatu jego ojca, gdzie Danny pracował jako mechanik, było zaledwie pięć minut.

Mimo to jednak spodobał się jej pomysł posadzenia drzewa dla nich obojga i wybrała klon czerwonolistny.

– Jestem za młody, żeby się już ustatkować – powiedział jej Danny niedługo po tym, jak wkopała drzewko w ziemię i jego korzenie nie miały jeszcze czasu, by się właściwie rozwinąć, a ona co dzień rano głaskała klon z radością, myśląc o tym, co reprezentuje.

– Przedtem mówiłeś co innego – odparła, w jednej bolesnej chwili uświadamiając sobie, że suknia ślubna, prawdziwy klejnot, o którym niesłusznie pomyślała, że należy do niej, pozostanie jednak na wieszaku w butik u Brendy.

– To mama – przyznał niechętnie Danny. – No i chodzi też o interesy. Mówi, że...

– Mówi, że potrzebujesz lepszej żony, jeśli chcesz rozbudować warsztat. Nie chce, żebyś się żenił z tą ateistką Bluestone z jej dziwacznymi ziołami i nienaturalnymi włosami.

Nie miała mu za złe. To nie jego wina. Powinna wiedzieć, że nie był mężczyzną na tyle silnym, żeby stawić czoło opinii publicznej. Nawet w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy reszta świata zachłystywała się wolną miłością i pigułką antykoncepcyjną, co bardziej konserwatywna część Ardagh jadała w piątki rybę, żegnała się, mijając kościół, i wciąż nie była pewna, co myśleć o tych Bluestone.

Stary ojciec Hely, miejscowy ksiądz, i siostra Anne, przełożona Zakonu Maryi Dziewicy, z całym zrozumieniem odnieśli się do decyzji Elizy, która wolała, by jej córka nie praktykowała religii katolickiej. Uczyła się o niej, jak najbardziej. Eliza całym sercem była za nauką i tolerancją. Fascynowały ją wszystkie religie: katolicyzm, protestantyzm, hinduizm, buddyzm, wszystko. Ale nie ich praktykowanie. Jediną prawdę Eliza dostrzegała w tym



wszystkim, co ją otaczało, w świecie, który istniał dłużej niż jakakolwiek religia stworzona przez człowieka.

– Zajmiemy się Gwiazdą w szkole – powiedziała zdecydowanie siostra Anne. – Elizo, może i nie chodzi pani do naszego kościoła, ale bardzo dobrze pani rozumie chrześcijaństwo. Wiem, jaką dobroć okazuje pani tym, którzy jej potrzebują. W mieście jest dużo osób, które codziennie biegają na msze, a mimo to wciąż nie potrafią pokochać sąsiada – dodała ze smutkiem.

– Siostra Anne ma rację. Nigdy nie powiem o pani złego słowa, Elizo – zgodził się ojciec Hely, który zbyt dokładnie studiował historię chrześcijaństwa, od krucjat po inkwizycję, by stać się doktrynerem, gdy chodzi o niezwykłą Elizę Bluestone z jej naturalną mądrością i domowym winem z kwiatów dzikiego bzu.

Jednak nie wszyscy w Ardagh podzielali ich zdanie i wielu ludzi, którzy chodzili co niedziela na mszę, a przy drzwiach w domu wieszali naczynie ze święconą wodą, nie lubiło Elizy i Gwiazdy Bluestone, bo były inne. Matka Danny'ego najwyraźniej do nich należała. Wcześniej Gwiazda nie zdawała sobie sprawy, jak silna była ta niechęć. Dla niej samej nie miało znaczenia, kogo lub co ludzie czczą, i była zdumiona, że inni sprzeciwiają się jej poglądom.

– Zawsze będziesz miała swoje drzewo – powiedziała jej Eliza tego wieczora, gdy Danny oznajmił, że ślubu nie będzie. Siedziały razem na malej, ręcznie wykonanej z orzecha ogrodowej ławie, patrząc na morze i popijając herbatę z dzikiej róży.

Gwiazda posepnie spojrzała na drzewo. A potem ogarnęła wzrokiem wszystkie inne drzewa rosnące na ich dwuhektarowej działce. Dom, nieco bezładne połączenie białych desek, skośnych dachów i okna w wykuszu, otaczały drzewa: wysokie jesiony o gładkiej korze, wierzby płaczące, pełen

gracji platan, kilka klonów czerwonolistnych przy warzywniaku i kolejny klon o ostrych liściach, który jesienią przybierał barwę krwi.

– Mamy dużo drzew – zauważyła, nagle rozumiejąc, i wstała, by dotknąć tego drugiego klonu. – Powiedziałaś kiedyś, że to drzewo mojego taty.

Ojciec Gwiazdy należał do tych, którzy wolą podróżować, niż osiąść w jednym miejscu. Najbardziej lubił Indie, szczególnie plaże na Goi, gdzie można leżeć w słońcu i nie myśleć o niczym z wyjątkiem rozważania kwestii, takich jak po co istnieje rodzaj ludzki i innych filozoficznych pytań.

– Kochałam twojego ojca – powiedziała Eliza.

– Ale odszedł?

– Posadziłam to drzewo, gdy byliśmy zakochani – odpowiedziała matka.

– I potem odszedł – zrozumiała Gwiazda. – A inne drzewa? – zapytała, dziwiąc się, jak to możliwe, że wcześniej o tym nie rozmawiały. Z drugiej strony mama była wrażliwym i niespiesznym nauczycielem: każda lekcja odbywała się we właściwym czasie, nigdy nie była wymuszana.

– Dwa inne sama posadziłam, jeszcze zanim poznałam twojego ojca.

Trzy miłości.

– A reszta? – Gwiazda zatoczyła dłonią wokół siebie.

– Moja mama, jej mama, wszystkie kobiety noszące nazwisko Bluestone sadziły drzewa wokół domu, odkąd tu zamieszkały.

Gwiazda roześmiała się wtedy i zaczęła biegać po ogrodzie, dotykając kory tych cennych roślin. Podobała się jej ta więź z żeńskimi przodkami. Jakby wszystkie je trzymała za ręce, słyszała ich śmiech i rozmowy – silne kobiety, które wiele widziały.

Drzewa, inne rośliny i kwiaty z jej dzikiego ogrodu, które przynosiły jej

taką pociechę, ostatecznie dostarczyły też materiałów, dzięki którym zarabiała na życie. Projektowała i wykonywała gobeliny, z haftami i aplikacjami z wełny i jedwabiu barwionymi naturalnymi barwnikami. Ponieważ umiała obserwować przyrodę, na gobeliny przenosiła krajobrazy

- wzgórza, stoki pokryte lasami, czasem jakiegoś kolorowo upierzonego ptaka wyglądającego z zarośli albo kwitnącą kremową magnolię na tle soczystej zieleni, a nawet zamgloną sylwetkę jednorożca w oddali.

Przez wiele lat sprzedawała je w maleńkim sklepiku z rękodziełem na obrzeżach Wicklow i jakoś udawało się jej związać koniec z końcem. Potem któregoś dnia ktoś pokazał jej gobeliny ludziom w domu towarowym Kenny's, w Ardagh.

W Kenny's zawsze szukali nowych talentów, powiedziała kobieta, która ją odwiedziła, a przepiękne, artystyczne prace Gwiazdy wspaniale dopełniały ich dział „dla domu”. Nie handlowali obrazami – to zbyt skomplikowane i czasochłonne – ale gobeliny Bluestone to było właśnie coś, czego szukali. W ciągu sześciu miesięcy skromniutka działalność Gwiazdy przekształciła się w kwitnący interes. Było to pięć lat temu. Obecnie zatrudniała troje pracowników, którzy stawali na uszach żeby skończyć ostatnie zamówienie dla Kenny's, gdzie Gwiazda miała się udać tego ranka.

Dwadzieścia gobelinów w różnych rozmiarach, opakowanych w zieloną bibułę, było przygotowanych do drogi. Gwiazda nie mogła się doczekać, co Lena, dyrektor działu zakupów Kenny's, powie o jej ostatnim dziele, ogromnym gobelinie z syreną. Wcześniej niewiele pracowała z krajobrazem morskim, głównie z powodu problemów z uzyskaniem barwników. Co innego łączyć soczyste zielenie lodenu z przykurzonymi ochrami, ale czyste niebieskości i odcienie niebieskozielone potrzebne na obrazach z morzem były trudniejsze. Kiedy postanowiła robić też gobeliny morskie, zaczęła w

końcu kupować barwniki, oczywiście naturalne, od rzemieślników, ale intensywny niebieski kolor wciąż otrzymywała z płatków niebieskich hortensji, a jagody dostarczały jej atramentowego fioletu, który opowiadał o głębiach oceanu. Gwiazda miała mieszane uczucia co do sprzedaży gobelinu z syreną. Fantastycznie wyglądałby na ścianie w kuchni, pod szyną, na której wisiały miedziane garnki. Ale przestała się rozczulać i spakowała go. Syrena Bluestone i jej morskie zielone oczy, zamglone nieco przez morską pianę, oraz pasma jasnych włosów powinny roztaczać swój czar z jakiejś innej ściany.

Nakarmiła koty, przygotowała sobie śniadanie z owoców i jogurtu i zaparzyła herbatę miętową, po czym wypła ją w maleńkiej oranżerii. Potem się ubrała. Toaleta nigdy nie zabierała jej zbyt wiele czasu: prysznic, wyszczotkowanie włosów, które zachowały swój złoty kolor, choć poprzepłatany białymi pasmami, i nieco kredki na ciemne oczy. Jej twarz stanowiła niezwykłą kombinację: jasne włosy, oliwkowa cera i ciemne oczy. Trish, którą znała od lat, i czasem spotykała w supermarkecie, zaokrągliła się i zawsze chciała wiedzieć, jak Gwiazda to robi, że wciąż jest taka szczupła jak zawsze.

– Nic nie robię – odpowiadała jej. – Moja mama była taka sama, przecież pamiętasz.

Trish kiwała głową, rzeczywiście pamiętała. A Gwiazda mogła niemal odczytać jej kolejną myśl, a mianowicie, że trójka dzieci może się przyczynić do wzrostu wagi, a Gwiazda w sumie nie ma dzieci ani wnuków, więc jaki sens być po sześćdziesiątce tak szczupłą, gdy nie można czerpać przyjemności z posiadania rodziny?

Gwiazda chciałaby mieć dzieci: poczuć w dłoni małą ufną rączkę, mieć własną dziewczynkę, z którą zasiadałyby na orzechowej ławie i którą

uczyłyby sadzić drzewa. Ale to nie było jej pisane. Otrzymała dar tworzenia pięknych rzeczy, potrafiła sprawić, że rośliny rosły. Kiedyś być może jej to nie wystarczało. Teraz tak.

Poza tym kobiety, którym w życiu pomogła, były dla niej jak dzieci. Dzięki talentowi do kolekcjonowania zagubionych dusz jej macierzyński instynkt znalazł ujście.

Ubrała się szybko, zawsze nosiła kolory swojego ukochanego ogrodu: wiosną pastele, ciepłe odcienie różu latem, złoto, gdy na jesień liście zaczynały spadać z drzew, i chłodne barwy zaszywanego śniegiem krajobrazu zimą. Dziś, ponieważ był luty, założyła kremową wełnianą sukienkę i szary dopasowany płaszcz oraz czarne botki. Zebrała włosy z twarzy i związała je na karku w luźny węzeł. Jej codzienny mundurek był nieco inny – szerokie spódnice lub džinsy i T- shirty, ale dziś powinna się objawić jako elegancka bizneswoman.

Dom towarowy Kenny's to cała instytucja. Co prawda to słowo to dziś wyświechtany frazes, ale w przypadku Kenny's akurat prawda. Założony w 1924 roku, kiedy Europa dochodziła do siebie po pierwszej wojnie światowej, a Irlandia pojawiła się na światowej scenie zniszczona wojną domową, Kenny's był lokalnym synonimem prawdziwej klasy. To miejsce, gdzie wszystkich witano tak samo serdecznie – bogaczy i tych, którzy mieli dopiero nadzieję, że pewnego dnia się dorobią. Stary pan Kenny wyznawał zasadę, że każdy klient powinien być traktowany uprzejmie, zarówno robotnik, jak i utytułowana dama. Ta kombinacja elegancji i egalitaryzmu z pewnością się przyczyniła do jego sukcesu.

Od tamtego czasu tyle się w Ardagh zmieniło: całe ulice uległy transformacji, gdy małe rodzinne interesy przekształciły się w znane sieci handlowe i wielkie konglomeraty. Classic Cinema, kino, w którym Gwiazda i

jej znajomi zajadali popcorn, oglądając *Szczyki*, teraz było parkingiem, a kafejka, gdzie pijali taną kawę i czasami mogli pozwolić sobie na specjalność zakładu – deser Banana Split – została wyburzona, a na jej miejscu powstał supermarket.

Tylko Kenny's się nie zmieniał. Oczywiście unowocześniano go, wydając ogromne sumy, ale wygląd i atmosfera tego miejsca pozostawały wciąż takie same: pełna wdzięku secesyjna fasada, która zajmowała całą przestrzeń między dwiema przecznicami, błyszczące okna składające się z wielu małych szybek i wahadłowe drzwi ozdobione elementami z brązu. Nad każdym wejściem wisiał napis, elegancka czcionka informowała: *Kenny's – rok założenia 1924*.

Gwiazda zostawiła samochód na tylnym parkingu, podeszła do drzwi dla dostawców i wcisnęła przycisk dzwonka. Sklep otwierali dopiero za ponad godzinę, więc większość personelu na pewno jeszcze nie dotarła, ale Lena obiecała jej, że będzie czekać o ósmej. Odezwał się brzęczyk i Gwiazda popchnęła drzwi, ciągnąc za sobą wózek z cennym ładunkiem gobelinów. W środku panowały ciemności, nikogo w zasięgu wzroku, więc nie miała pewności, kto ją wpuścił, ale ruszyła w kierunku tylnych schodów, które prowadziły do części administracyjnej, rozglądając się po drodze za jakimiś oznakami życia. Okazało się, że drzwi, które broniły dostępu do schodów, są zamknięte. Jedyne widoczne światło dochodziło od podwójnych drzwi wiodących do sklepu. Może tam właśnie czeka Lena.

Gwiazda pchnęła drzwi i wciągnęła w płuca magiczny zapach Kenny's.

Po pokonaniu części dla dostawców, w której panowała ponura atmosfera, poczuła się, jakby weszła do przepięknie oświetlonego pudełka z klejnotami. W oddali usłyszała słaby szum odkurzacza. Światła były włączone, w powietrzu unosiły się zapachy perfum i mleczka do pielęgnacji

mebli oraz delikatny aromat wypieków dochodzący z restauracji na piętrze. Zostawiła wózek pod ścianą i spokojnie rozpoczęła spacer po tym raj, rozkoszując się wspaniałym odczuciem, że jest tam zupełnie sama.

Lena często gawędziła z nią o różnych działach sklepu. Opowiadała, jak David Kenny, właściciel, mówił kiedyś, że chce stworzyć jedyne w swoim rodzaju stoisko z biżuterią, gdzie obok znanych marek oferowano by wyroby miejscowych rzemieślników. To samo dotyczyło odzieży: znalazł się tam niewielki kącik, gdzie młodzi projektanci, zaraz po szkole, mogli pokazywać swoje kreacje. Stoiska z perfumami i kosmetykami, najcenniejsza przestrzeń w każdym domu towarowym wypełniały produkty popularnych firm, ale ich dumą była seria Organic Belle – kosmetyki do pielęgnacji skóry od początku do końca produkowane w małej miejscowości West Cork.

– David ma znów oko na coś nowego – zdradziła Gwieździe Lena. – Nikt nie słyszał o Organic Belle, kiedy sprowadził je dwa lata temu, a dziś mają wzięcie w Los Angeles, i nawet któraś słynna sieć hoteli chce mieć te kosmetyki w swoich spa. Zrobią dużą karierę. Powinna pani spróbować. Stoisko obsługuje wspaniała dziewczyna, Charlie Fallon, na pewno by pani pomogła.

Gwiazda czuła, że Lena uważa ją za ekscentryczną artystkę, po części dlatego, że mieszkała w tak odległym miejscu, a po części, ponieważ Gwiazda wyznała jej, że rzadko bywa w Kenny's. Lena, której całe życie kręciło się wokół tego sklepu i nie potrafiła zrozumieć, jak można go nie uwielbiać, była niemal w szoku.

– To znaczy, że nie robi pani tam zakupów?

– W zeszłym roku byłam dwa razy – oznajmiła Gwiazda.

– Ale wtedy przyszła pani na spotkanie ze mną – zauważyła Lena.

W konsekwencji bardzo się starała polecić sklep Gwieździe,

koncentrując się na szczegółach, które – jak sądziła – mogą się jej spodobać, czyli na wszystkim, co można było podciągnąć pod naturę i ekologię.

Przechodząc obok stoiska Organic Belle, Gwiazda wciągnęła subtelny zapach ich najlepiej się sprzedającego balsamu – rewelacyjnie relaksującej kombinacji trawy cytrynowej i lawendy.

Podczas jednej ze swoich wizyt Gwiazda miała już okazję zobaczyć Charlie, kobietę, którą tak chwaliła Lena. Chociaż nie przypominała specjalnie matki, Gwiazda była niemal pewna, że Charlie to młodsza córka Kitty Nelson, wiernej zwolenniczki ruchu feministycznego lat siedemdziesiątych – kobiety, którą niegdyś знаła. Rozpoznała Charlie po delikatnie kocim kształcie oczu. Oczy Kitty były jak najbardziej kocie pod każdym względem, szczególnie gdy się mówiło o sprawach damsko-męskich, jej wzrok pozostawał łagodny i życzliwy. Gwiazda wyczuwała intuicyjnie, że Charlie jest zupełnie inną kobietą niż jej charakterna matka, prawdziwa femme fatale.

Za Organic Belle znajdowało się wejście do działu spożywczego. I choć wszystkie paczuszki ze słodyczami i herbatnikami były zamknięte, karmelowo-maślany aromat unosił się w powietrzu.

– Uwielbiam dział spożywczy – wyjaśniła Lena, zdeterminowana, by zrobić z Gwiazdy entuzjastkę Kenny's.

– Sprzedajemy tylko naprawdę wartościowe produkty. David zdał sobie sprawę, że jest spory popyt na gotowe dania dla wybrednych klientów i odkąd wprowadziliśmy lokalne wyroby z serii „Słowo honoru, zrobiłam to sama”, sprzedaż wciąż idzie w górę. Ludziom bardzo smakuje – ciągnęła Lena.

– Naturalne produkty, świetnie przyrządzone bez żadnych chemicznych dodatków.

Podczas poprzednich wizyt w Kenny's Gwiazda odwiedziła też dział



„dla domu”, gdzie można było kupić irlandzką ceramikę i szkło. Nigdy nie mogła się oprzeć wyrobom ceramicznym, za to w ogóle nie interesowały jej stoiska z bielizną, mimo że Lena opowiedziała jej o ich najlepiej sprzedającej się marce – wyrobach szytych przez byłą nauczycielkę ekonomii z Dublina, która bezskutecznie usiłowała poczuć się wygodnie w bieliźnie wyszczuplającej dla kobiet noszących rozmiary powyżej czterdzieści cztery, więc zaprojektowała własną kolekcję.

– Niesamowity pomysł, prawda? – mówiła Lena. – Uszyła wszystko sama na domowej maszynie. Ale kiedy zrobiła rundkę po sklepach, tylko David zdecydował się zaryzykować. A teraz, niech pani tylko spojrzy, towar schodzi jak gorące bułeczki i wszystkie wielkie sklepy w Londynie też chcą ją mieć. Który inny mężczyzna zauważyłby, że jest tego rodzaju zapotrzebowanie? – pytała.

Gwiazda się uśmiechnęła. Lena umarłaby ze wstydu, gdyby się zorientowała, że w ten sposób mogła zasugerować, iż Gwiazda, osoba o nienaganej figurze, potrzebuje majtek wyszczuplających.

– I niech pani nie myśli, że David ma jakiegokolwiek tego typu doświadczenia z żoną, która na przykład mogłaby szukać takich majtek, gdy musi wyjść do pracy – ciągnęła dalej Lena. – Przecież jego żoną jest Ingrid Fitzgerald – rozmiar 38. Ma świetną figurę. Więc to wyłącznie nos do interesów. Trudno tego nie podziwiać, prawda?

Gwiazda rzadko oglądała telewizję. Miała odbiornik, raczej przedpotopowy, i włączała go jedynie, by zobaczyć wiadomości. Wiedziała jednak, kim jest Ingrid Fitzgerald. W świecie, w którym wśród dziennikarzy politycznych trudno było spotkać kobietę, ona wybijała się na pierwszy plan – bardzo inteligentna, opanowana, niezwykle wprawnie potrafiła wydobyć z rozmówców odpowiedzi na trudne pytania. I piękna. Nie emanowała ulotną

urodą, jaka się bierze z utapirowanych włosów i grubej warstwy makijażu, ale prawdziwą – zachwycający owal, inteligentne oczy i pełna wyrazu, ciepła twarz.

W dodatku jej wygląd wskazywał, że w środku była równie piękna jak na zewnątrz. Gwiazda zawsze potrafiła celnie oceniać ludzi. Były w podobnym wieku, choć Ingrid mogła być nieco młodsza, myślała Gwiazda. W jakimś innym świecie może by się zaprzyjaźniły. Ingrid miała dwoje dzieci, już dorosłych, a jej córka, Molly, mieszkała razem z dziewczyną, którą Gwiazda знаła, gdy tamta była jeszcze dzieckiem. Teraz Natalie miała dwadzieścia trzy lata – Gwiazda trzymała rękę na pulsie.

Natalie niemal urodziła się w domu Gwiazdy, więc ta nigdy nie zapomni gorączkowej podróży do szpitala z Desem, podczas gdy Dara na tylnym siedzeniu wyła z bólu. To właśnie Gwiazda była jedną z pierwszych osób, które trzymały na rękach dzieciątko z główką pełną czarnych kędziorków. I czuła wtedy to, co czuła zawsze, trzymając w ramionach niemowlę – że mają one w sobie całą mądrość świata.

Gwiazda uczestniczyła w życiu Natalie tylko przez pierwsze trzy lata, a więc do czasu śmierci jej mamy. I tak jak wszyscy inni znajomi Daty, przyrzekła jej, że będzie przestrzegać ustalonych przez nią zasad.

– Pozwól mi odejść, nie trzymaj się przeszłości – nalegała Dara, obawiając się, że pamięć o niej rzuci cień na przyszłość Natalie.

– Powinna widzieć, kim jesteś – tłumaczyła błagalnie Gwiazda. – Byłaś – poprawiła się. – Zasługuje na to.

Dara gwałtownie kręciła głową

– Tak będzie lepiej – powiedziała. Przeszłość może zniszczyć człowieka, a ona nie chciała tego dla Natalie. Marzyła o nowym życiu dla jej ojca. – Des jest cudowny i dobrze ją wychowa. Może ożeni się drugi raz i na

pewno będą szczęśliwsi beze mnie w roli ducha.

Tak więc wszyscy, którzy kochali Darę, obiecali jej, że znikną z życia malej Natalie i nie będą jej mówić, jak bardzo przypomina mamę, ani snuć opowieści o czasach, gdy nie było jej jeszcze na świecie. Chociaż Gwiazda знаła Darę tylko kilka lat – od tego deszczowego dnia, kiedy znalazła ją na drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża – była jedną z niewielu osób, które usłyszały wzruszającą do głębi historię jej wcześniejszego życia.

– Przeszłość rani – mówiła Dara, zdecydowana zaoszczędzić bólu ukochanej córce.

– Ale poznanie prawdy może przynieść uzdrowienie – odparła Gwiazda.

– Pomaga pokonać cierpienie i ból. Ty to zrobiłaś.

Dara nie dała się jednak przekonać. Dla Gwiazdy, która w życiu kierowała się intuicją, pozostanie na uboczu, kiedy Natalie dojrzewała, było jedną z najtrudniejszych do dotrzymania obietnic, jakie złożyła.

Tok jej myśli przerwał dźwięk zamykających się podwójnych wahadłowych drzwi głównego wejścia. Do środka wtargnął podmuch mroźnego zimowego powietrza, a wraz z nim wszedł mężczyzna w długim szarym płaszczu z podniesionym kołnierzem. Wysoki i szeroki w ramionach, szedł bardzo szybko, jakby miał za mało czasu, by zdążyć ze wszystkim, co chciał jeszcze w życiu zrobić.

Z miejsca przy gablocie z broszkami wysadzanymi kamieniami oraz spinkami do włosów ozdobionymi kwiatami, z jedwabiu Gwiazda patrzyła, jak David Kenny idzie przez swój sklep. Nie rozglądał się wokół, jak to sobie wyobrażała – bystre oczy zauważają każdy szczegół, a głowa notuje, co trzeba zmienić. Jego oczy były skupione na czymś zupełnie innym, zwrócone do wewnątrz. Im bardziej się zbliżał, tym wyraźniej widziała napięcie w jego twarzy. Posiwał, dostrzegła szpakowate włosy na skroniach. Dystyngowany

– to było odpowiednie słowo, pomyślała Gwiazda. Wszedł do windy znajdującej się w środku sklepu i zamiast wspiąć się po schodach i zaprezentować swoją niewątpliwą kondycję fizyczną, wcisnął czerwony guzik. Winda ruszyła, a on pozostał nieruchomy. Po chwili znalazł się na pierwszym piętrze.

Gwiazda słyszała, że David Kenny, podobnie jak jego ojciec, miał zwyczaj robienia codziennego obchodu po ukochanym sklepie, by się upewnić, że wszystko jest w porządku. I być może tego dnia w sklepie wszystko było w porządku, ale Gwiazda czuła pewność, że nie wszystko było w porządku u Davida Kenny’ego.

Większość ludzi nic by nie zauważyła. Tylko ktoś, kto dobrze go znał, potrafił wyczuć napięcie na jego opanowanej twarzy. Kiedyś znała Davida Kenny’ego lepiej niż kogokolwiek na świecie. Teraz była najbliżej niego, gdy dotykała jego drzewa, wysokiej i silnej jarzębiny, którą posadziła przed trzydziestoma pięcioma laty. Od tamtego czasu nie rozmawiała z nim, ale była przekonana, że bardzo dobrze wiedział, iż gobeliny Bluestone to ona. Pierwotny zamysł Leny, by ich sobie przedstawić, został delikatnie odrzucony przez Gwiazdę, która stwierdziła, że „nie lubi tych korporacyjnych ceregieli”.

– Och, ale David spotyka się z każdym – wyjaśniła Lena.

– Oprócz mnie – odparła Gwiazda, uśmiechem dając do zrozumienia, że jest zadowolona z takiego obrotu spraw. I wdzięczna była, że David to zaakceptował, bo nie próbował się z nią spotykać.

Nie chodziło o to, że była na niego zła. Nie była. Ich znajomość nie skończyła się w ten sposób. Po prostu nie było im pisane, jej i temu namiętnemu młodemu poecie, który tworzył wiersze na cześć jej urody i kochał się z nią tak, jakby odnajdywał sens życia, gdy ich ciała się spletały.

Nie, nie była na niego zła. Jej życie potoczyło się własną drogą i było udane na swój sposób. Aż do dziś myślała, że życie Davida również.

Ale widząc, jaki był spięty, nie miała już tej pewności.

Przypomniała sobie stare powiedzenie swojej matki: „To co jest ci pisane, na pewno cię odnajdzie”. Ludzie często uważali, że chodzi o te dobre rzeczy, ale Gwiazda, która długo już pobierała nauki wszechświata, wiedziała, że to może również dotyczyć tych złych.

Miała nadzieję, że David Kenny potrafi sobie poradzić z tym smutkiem, który go teraz nęka, cokolwiek to jest.

TTLR

# 1

*Bądź dobra dla innych kobiet. To naprawdę działa*

*– przeważnie. A nawet w te dni, gdy nie działa, sprawi, że sama ze sobą poczujesz się lepiej.*

Tego wieczoru Ingrid, wraz ze swoim mężem Davidem i jedenastoma innymi elegancko ubranymi parami, zasiadła przy wspaniale nakrytym stole w ogromnym starym domu, choć całym sercem pragnęła być zupełnie gdzie indziej. Zapach frezji dolatujący z umieszczonej na środku stołu kryształowej misy walczył dzielnie z damskimi perfumami, w przeważającej części na bazie piżma z dziwną, ostrą nutą kwiatową. Ingrid kochała zapachy, ale nie cierpiała ciężkich, duszących perfum, którymi tak wiele kobiet skrapiało się na wieczorowe okazje, jakby stosowały feromony w celu zwabienia jaskiniowców, a nie uczestniczyły w kulturalnym spotkaniu towarzyskim wraz ze swoimi mężami.

Sięgnęła po misę, wyciągnąwszy rękę nad śnieżnobiałym obrusem. Przyciągnęła ją do siebie, jednocześnie lekko się pochylając i wdychając czysty, świeży zapach kwiatów. Natychmiast przeniosła się myślami na swój taras. Wokół panowała późna wiosna, a ona napawając się spokojem, czytała jak zwykle poranne gazety. Szkoda, że nie może tam teraz być. Przestań, upomniała się. Pobożne życzenia nie skrócą w magiczny sposób tego wieczoru.

Rzecz w tym, że zebrane tu osoby to znajomi Davida. Dziwne, że dwoje ludzi, którzy od trzydziestu lat są małżeństwem, wciąż obraca się w innych kręgach towarzyskich. Oczywiście mają kilku wspólnych przyjaciół, których

poznali już po ślubie, ale życie zawodowe przysporzyło im znajomości w dwóch zupełnie odmiennych światach.

Dzisiejsze przyjęcie należało do Davida, a właściwie do gospodarza tego wieczoru, właściciela dużej firmy transportowej współpracującej z Kenny's. Przy stole siedzieli również trzej inni biznesmeni, których David znał: zamożni mężczyźni z olśniewającymi żonami, kobietami z wspaniale ułożonymi włosami i wypielegnowanymi paznokciami prezentującymi brylanty o każdym istniejącym rodzaju szlifa.

Rozglądając się wokół, Ingrid spostrzegła, że gośćmi byli wyłącznie mężczyźni, którzy osiągnęli sukces zawodowy, oraz ich żony. Nie było tu żadnej bizneswoman, którą Ingrid rozpoznałaby nawet z odległości pięćdziesięciu kroków, bo niezależnie od tego jak wielki osiągnęły sukces, nigdy nie były tak zadbane jak żony samców alfa. Lata wywiadów przeprowadzanych z wielkimi tego świata w programie *Wieczór z polityką* nauczyły ją, że mężczyzna taki rzadko potrafi stworzyć stały związek z kobietą, która ma tyle samo władzy co on. Ludzie pewnie nie mogli się nadziwić, że ona i David wciąż są razem, większość mężczyzn czułaby się nieswojo, dzieląc światła reflektorów z kobietą, która zawodowo zajmuje się przepytывaniem polityków w telewizyjnym programie na żywo. Ale w końcu David to nie większość mężczyzn. Jest, myślała Ingrid, uśmiechając się do niego ponad stołem, jedyny w swoim rodzaju.

Zauważył jej wzroki odpowiedział uśmiechem, a ona pomyślała, że dobrze wygląda w tym szarym garniturze i blad różowej koszuli. Zmarszczki wokół oczu mówiły jej, że jest zmęczony, ale nikt inny na pewno nie zwrócił na to uwagi. Widzieli, jak zawsze, przystojnego i czarującego Davida Kenny'ego, człowieka, który odziedziczył rodzinny interes i fantastycznie go rozwinął. Podobnie zresztą nikt, kto patrzył na Ingrid, nie zobaczyłby w niej

kobiety z lekkim bólem głowy, która chciałaby się znaleźć daleko stąd. Widzieli jedynie to, co chcieli zobaczyć: kobietę, która ze wszech miar zadbała o włosy i makijaż, aczkolwiek pozostała skromna w zakresie brylantów. Ingrid uważała, że pierścionki tworzące na dłoni rodzaj kastetu były jak biustonosze typu push– up: albo się je lubi, albo nie.

W tych wieczorach spędzanych na pogaduszkach w kręgu zawodowych znajomości Davida pociągające było jedynie to, że Ingrid przestawała być Ingrid Fitzgerald, osobowością telewizyjną, która zachowała nazwisko panińskie z czasów, gdy pracowała jeszcze jako producent radiowy – tu występowała jako Ingrid Kenny, żona Davida. I czasami, tylko czasami, stawała się cudownie niewidzialna. Tak jak teraz.

Mężczyzna siedzący po jej lewej stronie odwrócił się, by z nią porozmawiać.

– Pani Kenny, prawda? – powiedział. Był po sześćdziesiątce, łysiał, a jego ogorzala twarz mówiła o wielu godzinach spędzanych codziennie na powietrzu, prawdopodobnie na morzu, pomyślała Ingrid. Dzięki strojowi, granatowej marynarce ze złotymi guzikami, miał w sobie coś z „komandora klubu żeglarskiego”.

– Tak – odparła spokojnie, wyczuwając, że ten człowiek nie ma pojęcia, czym ona zajmuje się zawodowo. – Jestem Ingrid, żona Davida.

– Wspaniała firma – oznajmił komandor, podnosząc swój kieliszek z czerwonym winem. – Kenny's: to dopiero sklep. Nie sądzę, że znajduje pani czas, by sama się angażować, mam rację? Wiem, jak to zwykle bywa: tyle spraw do załatwienia, te wszystkie spotkania dobroczynne, komitety... – uśmiechnął się do niej łagodnie. – Moja żona, Elizabeth... o tam, w czerwieni... zasiada w czterech komitetach. Nie wiem, skąd bierze na to czas.



Elizabeth była szatynką o stalowych oczach, miała profesjonalny makijaż i egzotyczną kreację z koralikami. Z zaciekawieniem obserwowała rozmowę męża z sąsiadką. Ingrid domyśliła się, że Elizabeth rozpoznała ją z telewizji oraz że wie doskonale, iż biedny stary komandor nie ma zielonego pojęcia, z kim konwersuje.

– Owszem, jestem związana z kilkoma organizacjami – odpowiedziała swojemu sąsiadowi. Patronowała organizacji na rzecz walki z AIDS, zasiadała w zarządzie instytucji zajmującej się przemocą w rodzinie i regularnie występowała jako gospodyni na balach dobroczynnych. – Ale nie mam aż tyle czasu, bo również pracuję.

– O, tak? – powiedział nonszalancko komandor, jakby sama koncepcja pracującej kobiety była tak wysoce ekscentryczna, że nigdy się nie przyjmie. – A co pani robi?

To właśnie takie chwile Ingrid kolekcjonowała dla swojej przyjaciółki, Marcelli, by móc jej o nich opowiedzieć, gdy ta twierdziła uparcie, że każdy w tym kraju ją zna.

– Jesteś tak rozpoznawalna – upierała się Marcella.

– To nie działa w ten sposób – tłumaczyła Ingrid. – Słynni są aktorzy i piosenkarze, nie ludzie tacy jak ja. Owszem, rozpoznają mnie, ale nie kojarzą skąd. Myślą, że pewnie widzieli mnie w supermarkecie.

Minusem częstego pojawiania się na ekranie telewizora bywało wyjście do Marks & Spencer's, gdzie w dziale z bielizną napotykała zafascynowany wzrok kilku osób obserwujących, jak przebiera wśród majtek, próbując znaleźć coś dla siebie.

W każdym razie oto siedział tu ten słodki starszy pan, który nie miał pojęcia, kim jest Ingrid, i to było całkiem miłe. Trudno jednak będzie jej wyjaśnić, czym się zajmuje, jeśli nie chce zabrzmieć zarozumiale. Wiedziała,

że niejeden człowiek na jej stanowisku usadziłby go w miejscu ponurym spojrzeniem, oświecił, informując że jest jednym z najlepiej opłacanych dziennikarzy telewizyjnych w kraju, który potrafi sprawić, że politycy wiją się przed nim jak piskorze. Ale Ingrid wolała inne podejście.

– Pracuję w telewizji.

– O, tak? To ciekawe. Córka pracowała jakiś czas w telewizji, zbierała informacje. Okropna robota, nisko płatna i dobry Boże, żadnej nadziei na awans. Chyba niewielu udaje się wspiąć na szczyt – kontynuował.

– To prawda – potwierdziła Ingrid. – Niewielu się to udaje.

Pomyślała o tych latach wspinaczki na szczyt telewizyjnej drabiny. Czasami było to wyzwanie, ale nie musiała kopać nikogo poniżej pasa, żeby się tam dostać – w co trudno uwierzyć ludziom, którzy przeprowadzali z nią obecnie wywiady.

– Kobiecie musi być jeszcze trudniej – mawiali, czekając na szczegóły o zdominowanych przez mężczyzn strukturach władzy i kolegach po fachu obrabiających ją za plecami w czasie poprawiania makijażu przed wejściem na antenę.

– Media – a w każdym razie ta ich sfera – to jedna z niewielu branż, gdzie kobiety z łatwością mogą sobie poradzić – tłumaczyła w takich wypadkach. Ale i tak nikt nie wierzył, że to dzięki spokojnej pewności siebie i wrodzonej inteligencji osiągnęła to, co osiągnęła.

– A pan? – zapytała uprzejmie komandora. – Czym pan się zajmuje?

Nie potrzebował żadnej dodatkowej zachęty. Już po chwili wyjaśniał jej różnice między jachtem i łodzią, a ona pozwoliła odpłynąć swoim myślom. Po przeciwnej stronie stołu jej mąż wydawał się zatopiony w przyjemnej rozmowie ze śliczną kobietą przedstawioną jej wcześniej jako Laura.

Lubiła patrzeć na Davida. Dla wszystkich był czarujący, ale nie

falszywie, jak wielu innych – zachowanie jej męża odzwierciedlało jego rzeczywiste zainteresowanie drugim człowiekiem. Jego ojciec był taki sam: zawsze gotów porozmawiać z każdym pracownikiem, od sprzątaczkii do dyrektora generalnego.

– OK? – pytał ją teraz ruchem ust z drugiej części stołu.

Ingrid niezauważalnie skinęła głową. W porządku.

– Przykro mi, że utknęłaś z Erskine’em – mówił trzy godziny później, gdy siedzieli już w taksówce, która wiozła ich do domu. Wziął ją za rękę i trzymał mocno, gdy oboje usiedli na tylnym siedzeniu po, jak się okazało, ciężkim wieczornym posiłku. Podwójne lody z wszystkimi dodatkami. Jelita Ingrid błagały o środek przeciw wzdęciom.

– Och, nie przejmuj się – odparła. – Był naprawdę miły, ale nie znam się na łodziach. Jeśli jednak przyjdzie mi kiedykolwiek przeprowadzić na ten temat wywiad, na pewno zwrócę się do niego.

David się roześmiał. Miał wspaniały śmiech, głęboki i dźwięczny, zaraźliwy. Kątem oka Ingrid zauważyła, że i taksówkarz się uśmiecha. Z pewnością należeli do klientów, których lubił: uprzejma, spokojna para w średnim wieku zabierana z jednego pięknego domu na przedmieściu do drugiego, – bez ryzyka wymiocin w samochodzie czy braku pieniędzy na koniec kursu.

– Erskine zapewne nie miał pojęcia, kim jesteś? – z właściwą sobie wnikliwością pytał David.

– Najmniejszego – potwierdziła Ingrid. – Mógł odnieść wrażenie, że podaję herbatę w studio.

– Och, nie powinnaś tego robić! – śmiał się David. – To okrutne. Założę się, że jego żona dobrze cię zna. I właśnie teraz go oświeca.

– To wcale nie okrutne – przekonywała Ingrid. – Był niesamowicie

słodki i tak dalej, ale ostatecznie żyje przecież na tej planecie i powinien się interesować polityką.

– I na pewno się nią interesuje, kochanie – tłumaczył spokojnie David – ale nie każdy ogląda telewizję.

Ingrid słyszała już o tym wiele razy, ale nigdy jakoś to do niej nie dotarło. Uważała, że ludzie powinni wiedzieć, co się dzieje na świecie, a bez telewizyjnych programów informacyjnych i publicystycznych to było po prostu niemożliwe.

– Według mnie stary Erskine siedzi sobie w domu i spędza czas na czytaniu „Yachting Man” i książek o bitwach morskich sprzed stu lat – mówił tymczasem David. – Szczęśliwy w swoim świecie. Co w tym złego?

Ingrid wzruszyła ramionami. Co do tego nigdy nie dojdą do porozumienia. On potrafił wybaczyć ludziom, że nie chcą czytać czterech gazet dziennie, ona nie.

– Miałeś szczęście – powiedziała – że trafiłeś na tę prześliczną Laure.

– Była słodka, choć sporą część wieczoru poświęciła opowiadaniu mi o córce, która bardzo chciałaby zdobyć jakieś doświadczenie w pracy w sklepie i ma mnóstwo wspaniałych pomysłów w zakresie projektowania mody.

– O, nie – jęknęła Ingrid. – Jeszcze jedna?

Na przyjęciach u jej znajomych bezustannie atakowali ją ludzie, wręczając swoje życiorysy lub życiorysy swoich córek i synów, w nadziei że dostaną się do telewizji dzięki osobistej protekcji wpływowej i słynnej Ingrid Fitzgerald. Na imprezach u znajomych Davida goście opowiadali mu o swoich córkach i synach, którzy projektowali stroje albo stworzyli kolekcję ceramiki, bez której Kenny’s wprost nie może się obejść.

– Jaka ci się wydała?

– Brzmiała obiecująco – stwierdził David. – Powiedziałem, żeby

wysłała do Stacey CV.

Stacey O'Shaughnessy była asystentką Davida. Niesamowicie miła osoba, która prowadziła jego życie biurowe równie profesjonalnie, jak Ingrid prowadziła jego życie domowe.

– Straszny z ciebie mięczak, wiesz o tym, Davidzie Kenny?

– I nawzajem – odgryzł się jej. – Mogłaś usadzić biednego, starego Erskine'a, informując go, kim jesteś, ale nie zrobiłaś tego, prawda?

– Nie – przyznała Ingrid. – Nie mogłabym w nocy zasnąć, gdybym była nieuprzejma dla Erskine'ów tego świata, mimo że nie pochwalam ich ignorancji.

– Powiem to ministrowi obrony – wymamrotał David.

– Erskine to stary matoł, który odziedziczył pieniądze i żeby radzić sobie w świecie, musiał jedynie założyć stary szkolny krawat. Minister obrony to dobrze opłacany funkcjonariusz państwowy, który powinien mieć więcej rozumu, by nie pisać referencji człowiekowi sądzonemu za gwałt tylko dlatego, że rodzice oskarżonego mieszkają w jego okręgu wyborczym. Więc jest pewna różnica – odparła Ingrid.

Czuła, że znów się denerwuje, tak samo jak przed tamtym programem. Ingrid nigdy nie dawała się ponieść na wizji, wtedy stawała się uosobieniem spokoju. Wykorzystywała swoją pasję w czasie przygotowań, pracując nad właściwym sformułowaniem pytań, tak by jej rozmówca nie mógł uniknąć odpowiedzi.

– To prawda. Miałaś pełne prawo go przygwoździć – powiedział David.

– Zasłużył sobie na to.

– Owszem, zasłużył – Ingrid westchnęła, gniew opadł. Przynajmniej David potrafił zrozumieć, dlaczego robiła to, co robiła. Nie mogła znieść niesprawiedliwości. Złościła ją sama myśl, że list referencyjny rządowego

ministra mógłby zapobiec skazaniu gwałciciela. David tak dobrze ją znał, że rozumiał jej duszę bojownika.

– O tutaj, przy tej dużej bramie – instruował teraz taksówkarza.

Wysiedli. Ingrid zaczęła szukać w torebce kluczy, gdy David tymczasem płacił. Cieszyła się, że wrócili tak wcześnie, nie było jeszcze dwunastej. Jeśli dobrze pójdzie, zaśnie przed pierwszą, a jutro wstanie późno, może oboje posiedzą w oranżerii, przy kawie, poczytaj ą sobotnie gazety. Właśnie wprowadzała kod rozbrajający alarm, gdy dołączył do niej David.

– Poleżymy jutro dłużej? – zapytała, gdy szli już w stronę domu.

– Przepraszam, ale nie mogę – odparł. – Muszę na kilka godzin iść do biura. Czeka na mnie masa roboty.

– Och, Davidzie. To nienormalne...

Słowa się wyrwały, zanim zdążyła je zatrzymać. Ingrid nie cierpiała narzekania. Jej własny zawód też od czasu do czasu wymagał poświęceń i jeśli ktokolwiek potrafił zrozumieć, jak bardzo praca może pochłonać człowieka, to właśnie ona.

– Tylko kilka godzin – powiedział – dobrze? Wrócę o drugiej, najpóźniej o trzeciej.

– OK – zgodziła się, ściskając jego dłoń. – Ale w niedzielę poleżymy dłużej?

– Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo. Mam w końcu swoje potrzeby, chyba to rozumiesz? – dodała zaczepnym tonem.

– Znam wszystkie twoje potrzeby, Ingrid Kenny – odparł David – a ile daliby inni, żeby je poznać! – i zawiesił figlarnie głos.

W drzwiach przywitały ich psy. David poszedł wyłączyć alarm, a Ingrid uklękła na podłodze, żeby je pogłaskać.

– Witajcie, maleństwa – rzekła. – Przepraszam, że nas nie było, ale już wróciliśmy.

Gdzieś z tyłu głowy zakołatała jej myśl, że David inaczej niż zwykle zareagował na jej dwuznaczną uwagę o potrzebach: kiedyś złapałby ją za rękę i wziął na górę do łóżka. A tym razem tylko zażartował.

Jest zmęczony, tłumaczyła sobie. Ona zresztą też. Tak bardzo przywykła w pracy do doszukiwania się niuansów w każdym zdaniu: to niesprawiedliwe traktować tak Davida.

Obowiązkowa kolacja odhaczona, przed nią cały weekend. Nie miała żadnych zaległości do odrobienia, żadnych wystąpień dobroczynnych, a tylko długi, nieprzerwany odpoczynek – nie mogła się doczekać. W niedzielę Molly, ich córka, przyjdzie na obiad – wspaniale. Gdyby tylko Ethan też mógł ich odwiedzić. Ingrid poczuła nagle przyciąganie swojego laptopa, który stał w gabinecie. Mogłaby tam szybko skoczyć i sprawdzić, czy syn przysłał jakiś mail z Wietnamu, bo tam właśnie był teraz ze swoją ekipą. Ale jeśli nie napisał, to znaczy, że minęły całe cztery dni od ostatniego kontaktu, a ona odkryła, że już w trzecim dniu bez wiadomości wpada powoli w panikę. Nie, pójdzie się teraz położyć. Jeśli nie napisał, że zmartwienia nie zaśnie. Ale przecież nawet jeśli nie napisał, to nie musi od razu znaczyć, że stało mu się coś złego, prawda?

Następnego ranka obudziła się sama w ich wielkim łóżu. Wyciągnęła rękę do poduszki Davida, ale nic nie znalazła. Musiał wyjść już do sklepu, pomyślała sennie i zakopała się głębiej pod kołdrę, żeby jeszcze chwilę pospać. Łóżko było ciepłe i miękkie. Czuła się, jakby stanowiła jego część, a jej nogi i ręce były z nim stopione. Jeśli nie otworzy oczu i pozwoli odpłynąć myślom, zaśnie.

Po jakichś pięciu minutach wiedziała już, że to się jednak nie uda. Jej mentalna baza danych zaczęła pracę na pełnych obrotach. Ingrid często żałowała, że nie istnieje jakiś system, który umożliwiłby połączenie jej głowy za pomocą przewodu bezpośrednio z komputerem, tak żeby wszystko, co w niej siedziało, mogło w magiczny sposób przenieść się na twardy dysk. Potrafiła ułożyć w głowie całe maile, napisać listy, skomponować przemówienia, wyobrazić sobie ze szczegółami, co powie przedstawicielowi opozycji, który będzie się wypowiadać na temat zdrowia w wieczornym programie – i wszystko to, gdy leży w łóżku o piątej nad ranem. Kilka swoich największych osiągnięć zawdzięczała tej właśnie pracy w zupełnym spokoju jeszcze przed świtem. Pewien magazyn zamieszczał artykuł z poradami dla kobiet, jak zrobić karierę. Poproszono ją o wzięcie w tym udziału. Mówiła to, co wszyscy: o robieniu list i dobrej organizacji, o zakupach spożywczych online, o nadrabianiu telefonicznych zaległości przez zestaw głośnomówiący, gdy stoi się w korku. I wszystko to rzeczywiście robiła, ale nie wspomniała o swoich porannych sesjach. Brzmiało to jak jakieś maniactwo, jakby cały czas była na pełnych obrotach. Z drugiej strony – rzeczywiście była. Mózg bez przerwy przetwarzał, oceniał pomysły, wymazywał, przechodząc do następnego. Jak teraz.

Walka z tym nigdy nie przyniosła rezultatu. Lepiej było po prostu odpuścić. Powinna oddać do pralni tę kremową sukienkę z karmelowymi koralikami, bo potrzebna będzie na kolacji Stowarzyszenia przeciwko Przemocy w Rodzinie, na której miała przemawiać w czwartek wieczorem. Zawsze się sprawdzała, niezależnie od tego czy przytyła trzy kilogramy czy nie. Co przypomniało jej, że musi się wybrać dwa razy na zajęcia gimnastyczne i na basen, żeby utrzymać jakoś na wodzy to właściwe jej wiekowi przybieranie na wadze. Może Ethan wreszcie napisał. Pomodliła się



w tej intencji. Proszę cię, Boże, proszę, miej go w swojej opiece.

Musiała też odpowiedzieć na kolejną partię maili od ludzi szukających pracy w telewizji. Uwielbiała pomagać, ale czasem maili było tyle, że odpisanie graniczyło z niemożliwością. Lubiła odpowiadać na nie osobiście, nie było to coś, co mogłaby powierzyć swojej osobistej asystentce Glorii. Gloria jest niesamowicie skuteczna, wspaniale prowadzi Ingrid terminarz spotkań i organizuje setki spraw potrzebnych jej do pracy, ale większość listów Ingrid wolała pisać sama. Żaden dziennikarz nie mógł sobie pozwolić na to, żeby ktoś inny za niego pisał. Do cholery, było coś jeszcze, poproszono ją, by patronowała kursowi dziennikarstwa.

Ingrid nigdy na takowy nie uczęszczała. Weszła do branży raczej okrężną drogą: po ukończeniu politologii zaczęła pracować w radio, najpierw przygotowywała materiały do programów, potem została producentem, a dopiero później trafiła do wiadomości telewizyjnych, skąd zupełnie niespodziewanie wykonała gigantyczny skok na stanowisko prezentera. Doceniała kursy dziennikarstwa i chciała pomagać ludziom, ale naprawdę nie miała aż tyle czasu. Terminarz był zawsze napięty, zbyt napięty na te wszystkie sprawy, które chciała załatwić. I mimo że dzieci już dorosły, wciąż musiała dbać o rodzinę i znajdować dla niej czas.

Jutro Molly przychodzi na obiad. Leżąc w łóżku z zamkniętymi oczami, Ingrid się uśmiechnęła. To z powodu jej słodkiej córeczki kremowa sukienka wymagała wizyty w pralni. Dwa miesiące wcześniej Molly pożyczyła ją na jakieś formalne spotkanie.

– Mamo, naprawdę przepraszam, zamierzałam zanieść ją do pralni, ale wiedziałam, że o niej zapomnę i na pewno tam zostanie, więc uznałam, że chyba lepiej, jak przyniosę ją najpierw do ciebie i... – tłumaczyła.

– W porządku – przerwała jej Ingrid. – Naprawdę nie ma sprawy.

I rzeczywiście tak myślała. Dobra, cudowna dziewczyna – jej córka Molly – zupełnie nie radziła sobie z rzeczami takimi, jak pralnia czy zapewnienie stałej dostawy mleka do własnej lodówki, ale za to stawiała się jednoosobową wytwórnią energii, gdy przychodziło do kampanii na rzecz pomocy innym. Praca, którą wykonuje Molly, powoduje, że Ingrid czuje się jak kapitalistyczna Świnia. Molly angażuje się w tak wiele spraw, że chyba tylko cudem znajduje czas, by zrobić cokolwiek innego. W dzień pracuje dla Fight Poverty, organizacji, która zajmuje się dziećmi z biednych rodzin. Nocami i w weekendy zbiera pieniądze dla schronisk dla zwierząt i pracuje na rzecz organizacji dobroczynnej, która ufundowała małą szkołę w Kenii i ma nadzieję zbudować dwie kolejne. Dbą też o swój ślad węglowy, wszędzie jeździ na rowerze, opiekuje się dwoma kotami, które przygarnęła. Nie przejmuje się natomiast prasowaniem ubrań czy spożywaniem produktów spożywczych przed upływem daty przydatności do spożycia. Jej matka jest niezmiennie wdzięczna, że Molly mieszka z Natalie, swoją najlepszą przyjaciółką i osobą posiadającą zdolności organizacyjne, którymi mogłaby konkurować z Madonną. Inaczej bowiem zarówno Molly, jak i jej koty co chwilę lądowałyby w szpitalu, tudzież w lecznicy dla zwierząt, z zatruciem pokarmowym.

Gdybyż tylko Ethan, jej dwudziestojednoletni syn, obecnie w rocznej podróży dokoła świata z przyjaciółmi, miał w swoim towarzystwie jedną osobę pokroju Natalie, Ingrid spałaby dużo spokojniej.

Ethan zwykle wywiązywał się z obowiązku mailowania do domu, choć jego wiadomości były zawsze frustrująco krótkie.

***Cześć Ma, cześć Ta, wspaniale się bawię, pogoda niespecjalna, ale ludzie wręcz przeciwnie. Nie martwcie się, wszystko porządku. Pozdrowienia, Ethan.***

Ingrid, która czytała gazety od deski do deski, a wiadomości w telewizji praktycznie włączone były dwadzieścia cztery godziny na dobę, niemal nie potrafiła już patrzeć na informacje dotyczące podróżujących po świecie dwudziestolatków. Kiedy natknęła się na artykuł o Wietnamie i Tajlandii, była przerażona, że może zobaczyć coś, co zwiastuje Ethanowi nieuchronną katastrofę. Był z pięcioma przyjaciółmi, wszyscy rośli i silni, do tego niegłupi, ale to wcale jej nie uspokajało. W wieku dwudziestu jeden lat za granicą byli jak naiwne niewiniątka, grupa przyjaznych Irlandczyków ufających ludziom i uśmiechających się do każdego. W ten sposób z łatwością mogli się znaleźć w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie – i kto wie, jakie byłyby tego skutki. Niezależnie od tego jak bardzo się starała wpoić dzieciom choć odrobinę własnego cynizmu, nie udało się jej. Ingrid z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak Ethan z uśmiechem pomaga jakiejś ślicznotce wsiąść do samolotu – trzyma jej plecak i zostaje złapany na przemyście tego, co ona próbowała przewieźć w swoim bagażu. Nikt nie uwierzyłby Ingrid, gdyby powiedziała, że jej syn nie bierze narkotyków, że jest dobrym dzieckiem i że ewidentnie został wrobiony. Byłaby jak każda inna matka przekonana o niewinności swojego dziecka. Powiedzieliby: Oczywiście, że mu wierzy, ale my wiemy, że jest winny.

Nie mogła tego znieść. Musi wstać i przestać tak myśleć.

Nawet gdyby David z nią był i tak nie powiedziała mu o tym lęku. On chyba najzwyczajniej tego nie rozumiał.

– Ingrid, Ethan da sobie radę – mawiał, kiedy nie udawało się jej zatrzymać strumienia świadomości w głowie, i zaczynała wymieniać wszystkie zagrożenia czyhające na sześciu naiwnych chłopców. Nie, gorzej nawet, co to David powiedział ostatnim razem?

– Musisz pozwolić mu odejść, Ingrid. Nie jest już małym chłopcem, jest

dorosły.

Znów poczuła tę bezsilną złość na myśl, że nie może syna uściskać, choćby przez pięć minut. Tylko tyle chciała: wskoczyć do samolotu, żeby go zobaczyć, dotknąć, jedyne pięć minut, potem wróciłyby szczęśliwa, bo miałyby pewność, że nic mu się nie stało.

– Pozwoliłam mu odejść – syknęła na Davida. – Ale to mój syn, Kocham go i zawsze pozostanie częścią mnie, więc się o niego boję.

Potem jednak górę wzięła analityczna natura Ingrid Fitzgerald. Kobiety, która w swoim życiu rozmawiała z tysiącami spin doktorów i psychologów, która wiedziała, jak nadziać na widelec swojego rozmówcę i nigdy nie przynosiła swoich umiejętności z pracy do domu.

– Tu nie chodzi o wypuszczenie z gniazda – odparła chłodno. – Można pozwolić komuś odejść i dalej się o niego martwić. I powinnam mieć możliwość podzielenia się swoimi uczuciami z tobą, bo jeśli nie będę mogła... hm, to chyba nie powinniśmy być razem, prawda?

David się wyprostował. Dotąd siedział rozwalony na kanapie ze swoją wieczorną brandy, przeglądając jedną z wielu gazet dostarczanych codziennie rano do domu. Ostry ton jej słów mocno go poruszył. Coś zamigotało w jego oczach: strach, pomyślała Ingrid. Ucieszyło ją, że go zraniła, przypominając mu, że on też powinien pracować nad ich związkiem. A potem zrobiła coś, czego nie robiła prawie nigdy: wyszła z pokoju, bo nie chciała już dłużej z nim rozmawiać. Kochała Davida, absolutnie. Po trzydziestu latach małżeństwa wciąż go kochała, ale dzieci wręcz uwielbiała. Dzieci stanowią trzeci punkt w tym trójkącie wiecznej miłości. Szkoda, że David tego nie rozumie.

Przeprosił ją potem, a ona mu wybaczyła, prawie. Ingrid nie potrafiła chować urazy ani rozpamiętywać starych kłótni, ale bardzo trudno było jej

przyjąć przeprosiny Davida i nie wykrzyczeć mu w twarz, że w ogóle jej nie rozumie.

Molly i Ethan może i są dorośli, ale zawsze pozostaną jej dziećmi. I jeśli przyjdzie jej ich bronić, zabije gołymi rękami, kogo trzeba.

Zakręciła prysznic, owinęła się ręcznikiem i spojrzała na siebie w lustrze. Wyglądała dziś na zmęczoną, dokładnie na swoje pięćdziesiąt siedem lat. Dłużej teraz trwał makijaż w studio przed wejściem na wizję, więcej czasu zabierało stworzenie znanej wszystkim Ingrid Fitzgerald – jej inteligentne szare oczy musiały być duże i ożywione, a to niełatwe, gdy skóra nad powiekami tak zwisa. Skorygowała to już laserem, by zredukować zmarszczki, a następny krok to nieuchronnie lifting oczu, który wciąż odkładała. Widziała zbyt wiele nienaturalnie młodych kobiet. Operacje takie dawały świetny efekt w połączeniu z retuszem zdjęć, na przykład u gwiazd filmowych, ale na żywo kobiety wyglądały dziwnie, jakby gładka skóra zaprzeczała życiowej mądrości widocznej w rysach twarzy, którą zyskały z wiekiem. Regularne dawki botoksu stanowiły w jej przypadku ryzyko zawodowe. Zasadniczo należała do jego przeciwniczek. Ale była też realistką, która lubi swoją pracę. Młodość daje niesamowitą moc. Ingrid miała szczęście – tak, zdawała sobie sprawę, że w jakiejś mierze to kwestia szczęścia – programy społeczno– polityczne to dziedzina, w której wiek nie gra aż takiej roli jak w innych programach telewizyjnych. Gdyby prowadziła zwyczajny talk– show, wyleciałaby po czterdziestych trzecich urodzinach. Na jej poletku wiek i format człowieka ceniono zarówno u mężczyzn, jak i kobiet. Ale to może się zmienić w każdej chwili. Ingrid potrafiła się pogodzić z faktem, że pewnego dnia jej twarz będzie za stara, by się pojawiać na ekranie. Wystarczy, że po którejś dyskusji grupowej prowadzący ją dwudziestoletni mądrała stwierdzi, że młodzi telewidzowie masowo

wyłaczają odbiorniki na widok tej kobiety, która zdążyła już nawet zapomnieć o menopauzie, i tyle. Kariera telewizyjna Ingrid Fitzgerald zostanie natychmiast zakończona, nie licząc może podkładania głosu w programach historycznych i od czasu do czasu zrobienia jakiegoś dokumentu. Była zbyt inteligentna, żeby nie wiedzieć, iż taki dzień nadejdzie.

Ale dziś nie było w pobliżu nikogo, kto widziałby jej zmarszczki. Bóg jeden wie, kiedy wróci David. Umówił się w końcu ze swoją kochanką i oczkiem w głowie, pomyślała z nutą goryczy – ze swoim sklepem.

Usłyszała dobiegający z dołu skowyt psów. Miały zakaz wchodzenia na górę, ale kiedy słyszały, że ktoś tam jest i nie rzuca się natychmiast do zabawy z nimi, zaczynały błagalne piski.

– Zaraz schodzę – krzyknęła Ingrid. Dochodziła dziesiąta, więc można uznać, że jednak pospała dłużej.

Kiedy już się ubrała, zeszła czym prędzej na dół i usiadła na ostatnim stopniu schodów, a psy zaczęły ją trącać nosami, wyrażając tym ogromną radość.

– Nie udawajcie, że David was rano nie wypuścił, wy małe nicponie – mówiła ciepło, gdy Lucinda, cocker–spaniel, zaczęła swój taniec „wypuść mnie na siku”. Potem Sybil, czamo–biała kundelka ze schroniska Molly, dołączyła do niej.

Ingrid otworzyła podwójne kuchenne drzwi prowadzące do ogrodu, a psy ledwie wyszły, natychmiast przykucnęły na nieco dłuższą niż zwykle chwilę.

Ingrid patrzyła zaskoczona. Rzeczywiście, nie były dziś jeszcze na zewnątrz. Jedyne wyjaśnienie to fakt, że David wyszedł o świcie, nie zaglądając w ogóle do kuchni, czyli nie jadł śniadania, i dlatego psy go nie słyszały. Od czasu do czasu, gdy budziła się wcześniej niż zwykle, przyłapywała je, jak smacznie chrapią w swoich koszach, a potem z

przyjemnością obserwowwała, jak powoli się budzą i sennie merdają ogonami. Obydwie były już stare i miały przytępiony słuch, co nie czyniło z nich zbyt skutecznych stróżów domu.

Co się stało, że w sobotę David pędził do sklepu skoro świt i nie miał nawet czasu, żeby wypić kawę i wypuścić psy?

W sercu poczuła ukłucie niepokoju. Fakt, zawsze miał obsesję na punkcie swojej firmy, szczególnie przez ostatnie pięć lat, po rozszerzeniu działalności.

– Kiedy pożyczasz tak dużo pieniędzy, musisz spędzać więcej czasu w pracy – mawiał, gdy otwarli sklep po zmianach i reorganizacji, w które włożył dwanaście milionów euro, i siedział tam w dzień i w nocy. – Nikt inny tego nie zrobi, przecież wiesz, Ingrid. Jestem tylko ja.

Ingrid, która zwykle czuła pewną ulgę na myśl, że David jest głównym udziałowcem Kenny's, bo wiedziała, na jakie kłótnie o każdy kupiony kubeczek narażeni są inni właściciele rodzinnych interesów, po raz pierwszy żałowała, że jej mąż nie ma braci ani sióstr, którzy mogliby mu pomóc.

Nie chodziło o pieniądze. Sama dobrze zarabiała i nawet bez jakiegokolwiek udziału Davida mogliby spokojnie i dostatnio żyć. Ingrid nie marzyła o wielkiej fortunie. Bóg wie najlepiej, jak wielu ludzi z górami pieniędzy rok w rok podwaja tylko swoje problemy. Na każdego bogatego człowieka przekazującego datek na walkę z AIDS przypadało pięćdziesiąt osób posiadających dzieci, którym nie chciało robić się nic bardziej męczącego niż zażywanie kokainy i wbijanie swoich lamborghini w przydrożne latarnie.

Komu potrzebne jest wielkie bogactwo? Na pewno nie im.

Przecież byli teraz w takim punkcie swojego życia, kiedy mogli już nieco zwolnić, poświęcić czas na coś innego. I ona rzeczywiście mniej

pracowała, dlaczego więc David nie potrafił?

Z tym samym uczuciem niepokoju wpuściła psy z powrotem do domu, nakarmiła je i wyjęła kawę.

Miała ochotę do niego zadzwonić i zapytać, co było aż tak ważne, że jak oparzony wyleciał z domu o świcie. Ale takie rozmowy nigdy nic nie dawały. Jako doświadczony dziennikarz wiedziała, że na tak postawione pytanie nie istniała kulturalna odpowiedź.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wyleciałem jak oparzony... – odpowiedziałaby. I kłótnia gotowa.

Nie, nie, o wiele lepiej jest poczekać, a potem zauważyć luźno, że musi być zmęczony tym rannym wstawaniem i w związku z tym odłożymy dzisiejszą kolację, żeby mógł się wcześniej położyć. Wtedy on wyjaśni, dlaczego musiał się zerwać tak wcześnie, i zaczną normalnie rozmawiać, zamiast wdawać się w nieprzyjemne przesłuchanie. Jeśli jest jakiś problem, wtedy się dowie. A Ingrid miała silne przeczucie, że problem jest.

Jadła śniadanie, oglądając poranne wiadomości. Psy u jej stóp czekały w nadziei na okruchy razowej grzanki z miodem.

– Obiecuję, że niedługo wyjdziemy na spacer – powiedziała.

Normalnie bardzo lubiła te soboty, kiedy nie miała żadnych obowiązków ani szczególnych planów. Świadomość, że jej czas należy wyłącznie do niej, był luksusem, który wywoływał przyjemny dreszczyk. Ale dziś czuła się nieswojo, a w dodatku nie umiała jednoznacznie wskazać powodu. Musi się czymś zająć, to powinno pomóc. Wyprowadziła więc psy, ze zwykłą energią sprzątnęła w kuchni, a potem weszła do swojego niewielkiego gabinetu, by sporządzić listę maili i listów do napisania. Ani słowa od Ethana. Mimo wszystko postarała się jakoś uspokoić. Przez godzinę pracowała, następnie wyłączyła komputer, pobiegła na górę i wyciągnęła



wszystko, co powinna zanieść do pralni. Biorąc marynarkę Davida, usiadła na moment i się zamyśliła. O Ethana i Davida właściwie ciągle tylko się martwiła. Nie, musi zacząć myśleć pozytywnie. Ethan prawdopodobnie przeżywa najlepsze chwile swojego życia. A David... Marcella – tak, to jest to, zadzwoni do swojej najlepszej przyjaciółki.

Zeszła na dół do holu, bo w tamtym aparacie miała wpisane numery, i wybrała Marcelłę.

Była to dość niezwykła przyjaźń – Ingrid Fitzgerald, której metody przeprowadzania wywiadów wyciągały na światło dzienne wszelkie braki u wielkich tego świata, i Marcella Schmidt, guru od wizerunku, której praca polega na utrzymaniu tych braków z dala od ludzkich oczu. Marcella prowadzi własną firmę public relations, gdzie uczy polityków i rekiny przemysłu, jak rozmawiać z mediami. Jeśli minister uprzednio bełkoczący pod nosem żenujące nonsensy pojawia się nagle w przyzwoitym, a nie błyszczącym garniturze i zaczyna mówić logicznie, jest duże prawdopodobieństwo, że przeszedł terapię Marcelli Schmidt. A jeśli szef dużej firmy znajdzie się w branżowym zespole doradczym, który okryje go chwałą, i uda mu się sprawić, że ludzie zapomną, jak go przyłapano, gdy wychodził z nocnego klubu, zataczając się i obejmując dwie gibkie tancerki, też dostał szkołę u Schmidt. Marcella jest w tym świetna i kocha swoją pracę. Ingrid zdawała sobie sprawę, że właśnie dlatego się zaprzyjaźniły – miały wspólną pasję. Co z tego, że Ingrid znajdowała pęknięcia w teflonowej powłoce nakładanej na polityków przez Marcelłę – pracowały w tej samej jaskini lwa.

Ingrid wiedziała, że gdyby ją przyłapano in flagranti w pokoju hotelowym z jakimś przystojnym biznesmenem, na pewno zwróciłaby się do Marcelli. To najpewniej nigdy się nie wydarzy, ale mimo wszystko. Jeśli

Ingrid wdepnie w gówna, natychmiast dzwoni do Marcelli Schmidt.

– Cześć, Marcella, tu Ingrid – powiedziała, gdy przyjaciółka odebrała telefon. – Co słyszeć u atrakcyjnego Kena Devlina?

To był ich aktualny żarcik. Młody bóg z urodą południowca, Devlin, był obecnie najseksowniejszym prowadzącym talk-show. I jednym z wielkich sukcesów Marcelli.

– Nie może się mną nasycić – westchnęła Marcella, jakby nieco zmęczona jego miłosnymi zapędami.

– Nadal?

– Nadal. Planuje dziki seks aż do końca przyszłego tygodnia...

– Tylko tyle? A co z kolejnym tygodniem?

– Aż tyle by nie wytrzymał – odparła Marcella z wyczuwalnym w głosie uśmiechem. – Ach, ci młodzi mężczyźni, nie potrafią dotrzymać kroku starszym kobietom. Ciekawa kwestia na kolejny artykuł: *Kiedy twój i jego szczyt seksualnych możliwości się mijają.*

– Ale tylko jeśli chcesz na zawsze zostać upokorzona za to, że po czterdziestce ośmielasz się pisać o seksie z młodszym facetem – odparła Ingrid. Wiedziała, że Marcella żartuje. – Znasz zasady. Stary lis i dzierlatka? Jak najbardziej w normie, a koledzy z zazdrością klepią faceta po plecach. Stara lisica i młodzieniaszek? Zbiorowy jęk i wszyscy myślą, że albo mu płaci, albo on cierpi na kompleks Edypa.

– Szkoda – znów westchnęła Marcella. – Szukam tematu do następnego numeru „Courier Mail”.

– Wątek osobisty nigdy się nie sprawdza. Ty powinnaś wiedzieć o tym najlepiej – przecież wciąż to ludziom powtarzasz. Tak czy inaczej, kiedy to skumałaś się z młodszym facetem? Jak to możliwe, że mój radar go nie wyłapał?

– Nic nie umknie twojemu radarowi – zaproponowała Marcella. – To było lata temu. Zresztą technicznie raczej się nie liczy, bo ja miałam trzydzieści siedem, a on trzydzieści jeden, a wiek odgrywa rolę dopiero po czterdziestce. Przedtem możesz baraszkować z każdym, kto ci się spodoba. Po czterdziestce konieczna jest ustawa. Poza tym to było, jeszcze zanim się poznałyśmy. Zaraz po rozwodzie z Harrym.

Życie osobiste każdej z nich poukładało się odmiennie: Marcella w młodości dwa razy wyszła za mąż i dwa razy się rozwiodła. Pierwszy mąż był rzadko wspomniany, ale z drugim do dziś są przyjaciółmi. Harry często kręcił się w pobliżu: zabawny, uprzejmy, przystojny na swój, nieco wymięty, profesorski sposób. Ingrid bardzo go lubiła i ciekawił ją powód ich rozvodu, ale ponieważ wszystko miało miejsce, zanim się poznały, nigdy nie analizowały tej kwestii. Marcella mówiła tylko, że byli zbyt podobni, żeby stworzyć sobie komfortowe warunki do życia. Inteligentni i uparci mężczyźni świetnie sprawdzają się jako przyjaciele, ale w roli mężów potrafią być bardzo irytujący.

Kiedy Ingrid zobaczyła ich razem na przyjęciu, jak z malującym się na twarzach zadowoleniem kłócą się o wszystko, od polityki do jakości najnowszego filmu, zastanawiała się, czy byłoby inaczej, gdyby mieli potomstwo. Dzieci bardzo szybko ścierają ostre krawędzie. Ale to nigdy się nie stało. A po Harrym nie pojawił się już odpowiedni mężczyzna, z którym można by się było ustatkować. Marcella go szukała, zdecydowanie. Chodziła na imprezy, poznawała mężczyzn na proszonych kolacjach u znajomych, nurkowała w ciepłych morzach z singlami i przeszła piechotą połowę Peru. W efekcie zaprzyjaźniła się z dwoma wspaniałymi mężczyznami – parą gejów, którzy prowadzą restaurację w Donegalu. Ale mężczyzna jej marzeń wciąż jej unikał. A bez niego nie było dzieci dziedziczących jej uśmiechnięte ciemne

oczy i jej bladą cerę. W wieku czterdziestu dziewięciu lat Marcella tak dobrze się już zadomowiła w roli ciotki, że nikt by nie odgadł, iż marzyła o własnych dzieciach.

Od czasu do czasu temat wypływał. Na przykład gdy jakaś dziennikarka zadzwoniła niefrasobliwie z prośbą o wywiad na temat „Bezdzienna z wyboru”.

– Bezdzienna z wyboru? – syczała Marcella tamtego wieczoru, siedząc u Ingrid w kuchni i pochłaniając kieliszek czerwonego Stelenboscha, mimo że był środek tygodnia.

– A kto jest bezdzietny z wyboru? Cholernie mało ludzi, oto kto. I jeśli tak, szczęście im Boże. Niech oni gadają z dziennikarzami o swojej decyzji i o tym, jak to wolą nie powiększać populacji świata i że wiedzą, iż rodzicielstwo nie jest dla nich, więc postanowili podejść do tego jak dorośli. Życzę im szczęścia. – Prawie ochrypła ze złości. – Ale większość z nas nie jest bezdzietna z wyboru. Jesteśmy bezdzietne przez pomyłkę, przez to, że nie znalazłyśmy właściwego faceta albo jak już go znalazłyśmy, to on postanowił odłożyć dzieci, aż zrobi pieniądze, a teraz nie jest już zainteresowany, kochanie, i powinniśmy korzystać z życia! Zabawmy się, może po– jedziemy na Capri?

– Ta reporterka jest wyjątkowo niedelikatna – mówiła Ingrid, próbując łagodzić skutki uderzenia. – Po programie wyborczym przeprowadziła ze mną wywiad. Pytała, czy przygnębia mnie fakt, że w moim wieku pracuję w branży, w której kobiety po pięćdziesiątce są odstawiane na boczny tor, bo ich uroda dawno znikła.

David, który stał przy garnkach, wybuchnął śmiechem.

– Co jej odpowiedziałas?

– Najpierw zmierzyłam ją moim bardzo intensywnym telewizyjnym

wzrokiem – odparła z uśmiechem Ingrid – a potem powiedziałam, że to smutne, iż kobiety wciąż ocenia się na podstawie wyglądu i że fakt bycia starszą i mądrzejszą pozwala nie zamartwiać się tak bardzo zewnętrzną powłoką, ale ułatwia raczej dbanie o osobę, która jest w jej wnętrzu.

Marcella spojrzała na nią żałośnie znad swojego kieliszka.

– Więc nie powiedziałaś jej, ile czasu spędzamy, rozważając operację plastyczną, i że bez wahania zrobiłybyśmy sobie lifting twarzy, gdyby nie fakt, że na zdjęciach od razu byłoby widać, że poszłyśmy pod nóż?

David zagrzmiał jeszcze głośniejsze.

Ingrid do niego dołączyła, potem westchnęła.

– Robi mi się okropnie smutno, jak myślę, że będę się musiała zdecydować na ten lifting – powiedziała i przesunęła ręką po gładkim czole. – Botoks to co innego, ale lifting jest taki radykalny. Wiem, że pracuję w telewizji, ale to wbrew wszystkiemu, w co wierzymy, Marcello: że kobiety są inteligentne i kilka zmarszczek na twarzy nie czyni ich głępszymi.

– Sama już nie wiem, w co wierzę – westchnęła Marcella. – Kiedyś wierzyłam, że jest na tym świecie ktoś dla mnie, ale okazuje się, że nie ma. Tylko ja, moja praca i ludzie pytający, jak się czuję jako rozgoryczona stara panna, która jest bezdzielna z wyboru.

– Uwierz w to wino – powiedział David, napełniając jej kieliszek.

– Jesteś takim fajnym facetem – odparła Marcella.

– Czemu nie masz dla mnie jakiegoś brata? Dlaczego ja nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty?

Ingrid i David wymienili zmartwione spojrzenia. Marcella nieczęsto się załamywała, ale kiedy nadchodził ten moment, jej emocjonalna winda z hiperprędkością pędziła w dół.

– Wcale nie jestem taki miły, jak ci się wydaje, Marcello –

przekonywał łagodnie David. – Doprowadzałbym cię do szafu, prawda, Ingrid?

– I to jeszcze jak.

Teraz Ingrid się zastanawiała, co powie Marcella, kiedy się dowie o jej podejrzeniach w stosunku do Davida – że w sobotę skoro świt wyszedł do pracy, więc jej się wydaje, że coś jest nie w porządku, że coś przed nią ukrywa.

Marcella jest szybka jak błyskawica.

– Ma jakieś kłopoty w sklepie? – zapyta, i właśnie to pytanie nękało Ingrid. Postanowiła nie wspominać przyjaciółce o męczącym ją niepokojem. Jeśli coś było nie tak, David jej powie. Nielojalnie byłoby opowiadać o własnych strachach, zanim się okaże, czy rzeczywiście jest coś konkretnego, o co należy się martwić. Może dziś wieczorem uda się porozmawiać.

– Masz jakieś plany na dziś? – spytała Marcella.

– O to samo miałam zapytać ciebie – odparła lekko Ingrid. – Siedzę sama, bo David wyruszył z samego rana do Kenny's, musi dopilnować, żeby sklep nie wybuchł w czasie jego nieobecności.

– Mężczyźni, co? – roześmiała się Marcella. – Trudno z nimi wytrzymać, ale przejechać ciężarówką wcale nie łatwiej.

Ingrid się odprężyła. Lekkość tonu zadziałała. Normalnie Marcella potrafiła tak się dostroić do tonu głosu rozmówcy, że po pięciu sekundach znała już stan jego umysłu.

– Może zjemy razem lunch? – zaproponowała Ingrid.

– Wciąż słyszę o tej nowej knajpce w Dun Laoghaire przy molo. Masz ochotę ją wypróbować?

– Obok smażalni? Tonio's czy Tomasino's? Możesz na mnie liczyć. W takim razie spotkajmy się o pierwszej na miejscu.

– Super.

Odniosła pranie do czyszczenia i przyjechała do restauracji równo z Marcellą. Czas upłynął im bardzo miło. Zawsze starały się jak najmniej mówić o pracy. Nie byłoby w porządku opowiadać, z kim pracuje Marcella, bo istniało spore prawdopodobieństwo, że wcześniej czy później on albo ona wyląduje na jednym z granatowych skórzanych foteli w studio telewizyjnym z Ingrid w roli wielkiego inkwizytora. Rozmawiały o polityce, reformach i o ludziach.

To nie plotki, zaznaczała zawsze Marcella. Plotki zakładają złośliwość, a w ich rozmowach jej nie było. Po prostu ciekawiła je ludzka natura, to wszystko. W swojej pracy i jedna, i druga spotykały wszystkie możliwe ludzkie typy. Na zebraniach i spotkaniach biznesowych, w wywiadach i na szkoleniach byli żywi ludzie, którzy ciężko harowali, pracowali z pasją, popełniali błędy, wchodzili w układy, zakochiwali się i odkochiwali.

Marcellę i Ingrid fascynowali ludzie, którzy kryli się za oficjalnymi fasadami: ci, którzy musieli przemawiać w parlamencie po bezsennej nocy spędzonej na uspokajaniu dziecka z bolesną kolką, ale nawet słowem o tym nie wspominali, i ci, którzy każde najbłahsze wydarzenie osobiste wykorzystywali dla osiągnięcia swoich celów, choć w ogóle nie dbali o rodzinę. Nic dziwnego, że obydwie uwielbiały *Prezydencki poker*, ale na całe szczęście obydwie kochały też Neila Diamonda, taniec i fatałaszkę.

Marcella umiała fantastycznie ubierać się warstwowo. I były to drogie warstwy. Z tanimi warstwami nigdy nie wychodziło, tłumaczyła Marcella, bo w dwóch tanich T-shirtach i małym topie każdy wyglądał napakowany. Tylko najcieńsze możliwe warstwy, które kosztowały majątek i sprawiały wrażenie, jakby ktoś latami gotował je w pralce, wisiały na człowieku z właściwą, niewymuszoną elegancją.

Ingrid, którą w telewizji obowiązywał strój bardziej formalny, więc przyzwyczajona była w pracy do dopasowanych kostiumów, a w weekendy do elegancko skrojonych dżinsów i marynarek, zazdrościła Marcelli jej doskonałej garderoby.

– Wydaje się, jakbyś narzuciła to na siebie ot tak, bez wysiłku, ale wyglądasz fantastycznie – powiedziała z podziwem.

– Wyglądanie na „bez wysiłku” wymaga wiele pracy – odpowiadała Marcella, spoglądając na swoje dwie bluzeczki na ramiączkach i sweterek wiązany w pasie oraz długą wąską spódnicę w różnych odcieniach srebrnych szarości. – I pieniędzy. Masz pojęcie, ile kosztują te maleństwa na ramiączkach? Za to, co wydałam na ten zestaw, mogłabym kupić torebkę Fendi.

– Nieprzyzwoicie drogie – powiedziała zaskoczona Ingrid.

Marcella się roześmiała.

– Mówisz jak Molly, kiedy przechodziła etap noszenia rzeczy z lumpeksu.

– Ten etap się nie skończył. I pamiętaj, że lepsze to niż wydawanie na ciuchy majątku.

– Ty stara socjalistko! Możesz za to winić tylko siebie. To wy z Davidem wyposażyliście ją w to sumienie społeczne, żeby nie wyrosła na kolejną zepsutą do szpiku kości pociechę słynnych rodziców. Miło, że woli oddawać pieniądze krajom rozwijającym się, niż wydawać je na ubrania.

– Co racja, to racja – z dumą odparła Ingrid. – Niewielu jest takich ludzi jak Molly. Choć wolałabym ją przekonać, że można nakarmić świat i jednocześnie nosić ładne rzeczy. Ale ostatnio pożyczyła ode mnie sukienkę na wesele, więc może powoli kończy etap lumpeksowy.

– Na horyzoncie musiał się pojawić mężczyzna.



– Nie.

Ingrid się zamyśliła. Wolałaby, żeby się pojawił. Nie chodziło o to, żeby córka wyszła za męża, bo tak należy, ale chciała wiedzieć, że Molly jest szczęśliwa i kochana miłością, jaka połączyła ją i Davida. Miłość i uczciwe partnerstwo z kimś, na kim ci zależy i kogo szanujesz, to prawdziwa radość.

Na ten rok, nieco później, przypadała trzydziesta rocznica ich ślubu i rozmawiali nawet luźno o wydaniu przyjęcia z tej okazji oraz o rejsie po Oceanie Indyjskim. Mieli tyle szczęścia, myślała Ingrid, ilekroć słyszała o kolejnym rozwodzie. Bez tego szczęścia pewnie i im by się nie udało. Oczywiście, pracowali nad swoim związkiem, ale sam fakt, że się poznali, już czynił ich szczęściarzami – dwoje ludzi tak wspaniale dobranych.

Zerwania wśród znajomych nie były dla Ingrid żadną niespodzianką. Jako osoba żywo zainteresowana ludzkimi zachowaniami, nie mogła być zaskoczona, kiedy Laurence i Gillan, znajomi jeszcze z college'u, nagle się rozstali. Jedynym zaskoczeniem był fakt, że wytrzymali ze sobą tak długo. Laurence był najszczęśliwszy, gdy siedział w ogródku i rozwiązywał krzyżówkę oraz planował pewnego dnia skosić trawnik. Gillian grywała w badmintona, zaciekle walcząc o zwycięstwo, pracowała na pełnym etacie i nigdy nie było jej w domu.

Ona i David też się różnili pod wieloma względami, ale jednocześnie uzupełniali się nawzajem. Poczula nagły przypływ miłości do niego i pragnienie, żeby jej powiedział, jeśli dzieje się coś złego. No cóż, może i nie rozumie jej dzikiej i niepohamowanej matczynej miłości, ale czy którykolwiek mężczyzna to potrafi? A ona kochała go całym sercem, co do tego nie było wątpliwości.

Kiedy wróciła do domu, koło trzeciej, David już na nią czekał, i to z małym prezencikiem – opakowaniem gęsiego smalcu ze stoiska ze specjałami

Kenny's.

– Dla mnie? – zapytała rozbawiona, obracając pudełko w dłoniach. – Mam się tym wysmarować?

– To na jutro do ziemniaków – wyjaśnił David, całując ją w policzek. – Wiem, że lepszy byłby olejek do kąpieli, ale Molly przychodzi na lunch, a wiesz, jak przepada za pieczonymi ziemniakami. Prezent jest więc dla nas wszystkich, nie tylko dla ciebie. Chociaż – mówił dalej z uśmiechem – możesz się tym wysmarować, jeśli tylko masz ochotę...

Wydawał się w tak wyśmienitym humorze, że Ingrid uznała, iż musiała się pomylić i niepotrzebnie się wcześniej martwiła. Odłożyła prezent, uśmiechając się do niego. Wiele kobiet rzuciłoby nim w Davida, ale Ingrid w kwestii romantycznych gestów pozostała realistką. David, mimo że pracował w sklepie przepełnionym typowymi kobiecymi drobiazgami, nie należał do mężczyzn, którzy przynosiliby żonie kwiaty czy perfumy. Ingrid potrafiła sobie z tym radzić – kiedy miała ochotę na kwiaty, kupowała je sobie.

– Do pieczonych ziemniaków nie ma jak gęsi smalec – ciągnął David, otwierając lodówkę w poszukiwaniu przekąski.

– Nie jadłeś lunchu?

– Miałem późne śniadanie – odpowiedź doleciała z głębin lodówki. – Obudziłem się wcześnie i pomyślałem, że pojedę od razu, żeby jak najszybciej skończyć, a potem Stanley przyszedł z kanapkami. Tak ładnie pachniały, że zjedliśmy wszystkie. Z Obrien's Deli – knajpka odżyła, odkąd zmienili kucharza.

Ingrid jeszcze bardziej się uspokoiła. Znała już wyjaśnienie jego wczesnego wyjścia. Miała rację, nie mówiąc nic Marcelli.

– Musisz być zmęczony, kochanie – powiedziała w końcu. – Jeśli chcesz, możemy odłożyć dzisiejszą kolację.

Zaplanowali pizzę tylko we dwoje, niedaleko domu.

– Eee... – David zrobił skruszoną minę. – Nie możemy. Jim Fitzgibbon przyjechał z Londynu, rozmawialiśmy rano, a ja zapomniałem, że zeszłym razem obiecałem mu kolację. Twierdzi, że umówiliśmy się na dzisiaj...

– Kolacja z Jimem i Fiona? – wykrztusiła Ingrid. Fiona to cudowna osoba, ale Jim, jeden z najstarszych kolegów Davida, to kompletny nudziarz z obsesją na punkcie posiadania.

– Nie, nie z Fiona, niestety – wyjaśnił niechętnie David.

– Przechodzą trudny okres. Będzie z kimś innym.

– Z kimś innym? Rozwodzą się?

– To możliwe. Na razie są w separacji. Jim nie bardzo może się pozbierać. Przepraszam, kochanie, wiem, że to dla ciebie żadna przyjemność, ale nie mogę go zawieść. Nie musisz iść ze mną, jeśli nie chcesz. Powiem, że nie czujesz się najlepiej...

– Pójdę.

Solidarność to kolejny ważny element małżeństwa, uważała Ingrid. KobiECE magazyny sprzed lat przekonywały, że romantyczne gesty stanowią podstawę związku, ale Ingrid, która dostała właśnie śliczną paczuszkę gęsiego smalcu, wiedziała, że to nie wszystko. Jeśli David chciał pocieszyć przyjaciela w związku z rozpadem jego małżeństwa, ona też tam będzie. Zapamiętała sobie, żeby w poniedziałek zadzwonić do Fiony. Niewielu rzeczy Ingrid nie cierpiała bardziej niż odcinania się po rozwodzie od jednej ze stron.

– Kim jest ta kobieta, z którą przyjdzie? – spytała Davida w samochodzie, gdy jechali na kolację.

– Nie wiem – odparł.

– Jesteś niemożliwy – zauważyła z irytacją. – Ja lubię wiedzieć takie

rzeczy.

– No tak, ty i Marcella – powiedział David – i ludzie wam podobni, z obsesją na punkcie prywatnych spraw całego świata. Ale reszta z nas jest w zupełności zadowolona, nie posiadając tego typu informacji.

– Mamy obsesję?

– Absolutnie.

Ingrid postanowiła być ostrożna, nie wiedząc, czego może się spodziewać w restauracji. Jim sam w sobie był wystarczająco okropny, nawet z Fioną, która nieco rekompensowała jego wady, ale Bóg jeden wie, jaką kobietę przyprowadzi teraz. Fiona pochodziła z czasów, gdy nie miał jeszcze fury pieniędzy.

Uwielbiała jadać poza domem. Uważała, że restauratorzy naprawdę wiedzą, czym żyje miasto. Renaldo's, jeden z najlepszych lokali w kraju, z gwiazdką Michelina, od dwudziestu lat słynął z przepysznego jedzenia i świetnej obsługi.

Ale dziś Ingrid nie była w nastroju. Dwa wieczory z rzędu z ludźmi, których nie zna, to o dwa za dużo. Dobrze, że jutro na lunch przychodzi Molly, to pomoże jej zachować równowagę psychiczną.

Kolacja ciągnęła się bez końca. Jim, rumiany, w czerwonej koszuli w paski i kremowej marynarce, ewidentnie się popisywał, ale Ingrid nie potrafiła stwierdzić, czy popisywał się przed swoją nową kochanką, czy tak ogólnie.

Przyjechał do Dublina na oddanie osiedla i w ciągu pierwszych dziesięciu minut cała restauracja usłyszała, że byli:

– ... splukani, totalnie splukani. Kosztowało nas to piętnaście milionów, ale teraz sobie odbijamy, jesteśmy na fali. Sprzedaliśmy już pięćdziesiąt kolejnych mieszkań przed rozpoczęciem budowy. Mamy fart, mówię ci,

David. A niech cię!

„Chcemy zamówić wino. Weźmy Cloud Bay rocznik 99, tak, a na początek Dom Perignon. To rozkręci imprezę!

Nowa kobieta Jima była wystrzałową szatynką o imieniu Carmel, niezwykle normalnym imieniu jak na kogoś sprawiającego wrażenie, że woli, by nazywano go bardziej egzotycznie, na przykład Kiki albo Szeherezada. Carmel nie skończyła jeszcze czterdziestki, ewidentnie stosowała botoks i Restylane, i to w stopniu niemal zagrażającym życiu, byle tylko czoło pozostało nieskazitelnie gładkie, a usta odpowiednio pełne. Intensywnie spryskała się samoopalaczem, od cebulek elegancko ułożonych ciemnych włosów do odzianych w sandaalki znanego projektanta stóp po sesji pedikiuru. Miała ostry czerwony błyszczak na ustach, bardzo drogą sukienkę i cały wieczór mówiła o sobie, celowo zniżając ton głosu.

– Marzę o pracy w telewizji – oznajmiła.

Ingrid próbowała wykrzesać uśmiech. Te słowa potrafiły zepsuć już tyle wieczorów.

– I wiesz, mam bardzo rozwiniętą intuicję – przekonywała Carmel, zanim rozpoczęła monolog, który udowodnił, że jest zbyt zafascynowana własną osobą, by zadać choć jedno pytanie dotyczące kogokolwiek innego.

Ingrid, którą nie raz i nie dwa sadzano obok gości o tendencjach narcystycznych, odcięła się mentalnie i ograniczyła do kiwania głową oraz mamrotania od czasu do czasu słowa „tak”. Doświadczenie nauczyło ją, że próba nawiązania rzeczywistej rozmowy skończy się fiaskiem. Ludzie, którzy lubili mówić o sobie, nigdy takich nie prowadzili. O wiele łatwiej było się uśmiechać i przytakiwać.

Carmel udała się również kilka razy do toalety i za każdym razem wracała nieco bardziej ożywiona, co przekonało Ingrid, że w zakres jej

zainteresowań – poza milionerami, którzy właśnie się rozstali z żoną, i rozwijaniem intuicji – wchodziła również kokaina.

Piekło to nie inni ludzie – to inni ludzie na kokainie.

Koło jedenastej uporali się z serami, a Jim ponownie machał ręką na kelnera z alkoholami. Ingrid pomyślała, że byłaby w stanie wstać i dźgnąć go swoim nożem. Albo nawet i łyżką. To możliwe, była przekonana, jeśli tylko użyłaby wystarczającej siły. Spojrzała tęsknie na męża, ale on unikał jej zboląłego wzroku.

Co się dzieje z Davidem? Cały wieczór rozmawiał z Jimem przyciszonym głosem. Mimo że wiedział doskonale, jak Carmel ją zanudza, nawet nie spróbował się włączyć do konwersacji kobiet, czy też wymigać od dalszego siedzenia zwyczajową uwagą, że „musimy wyprowadzić psy”.

Ingrid chciała kopnąć go pod stołem, bo siedziała za daleko, żeby złapać go za udo i „drapać o pomoc”. Ale nie mogła dosięgnąć. Więc rzuciła mu ostre spojrzenie. Aż nadto dobrze znał jej sygnały.

– Jeszcze jeden koniaczek, Davidzie? No pewnie, przecież jutro niedziela. Nie musisz się zrywać o świcie czy coś. Twoja pani może przynieść ci śniadanie do łóżka – mówiąc to, Jim dał Davidowi kuksańca i puścił do niego oko.

Ingrid złożyła swoją serwetkę i zdecydowanym ruchem położyła ją na stole.

– Jim, Carmel, to był naprawdę uroczy wieczór – powiedziała uprzejmie, ale stanowczo, sięgając po swoją małą kopertową torebkę. – Jestem wykończona i wiem, że David także. Bardzo wam dziękujemy.

Po czym wstała, wzięła swój szal z oparcia krzesła i otuliła nim ramiona.

Jim i Carmel patrzyli na nią ze swoich krzeseł, ale David, który widział już Ingrid w tej odsłonie, po prostu się uśmiechnął i również wstał. Akcja jest

bardzo ważna, powiedziała jej kiedyś legendarna irlandzka aktorka.

– Jeśli to nudziarze, tacy już zostaną niezależnie od tego, ile wypiją szampana – to i tak nic nie da. Wstań elegancko, odsuń krzesło, pozbieraj swoje rzeczy i stanowczo się pożegnaj. To załatwi sprawę.

– I nie pomyślą, że jestem niekulturalna? – zapytała Ingrid.

– Zrobisz to szybko i z wdziękiem – kontynuowała aktorka. – Będziesz emanować blaskiem i autorytetem, na które sobie zapracowałaś, moja droga. Jesteś gwiazdą, i nawet jeśli nie lubisz przełączać się na ten tryb, w razie konieczności zawsze możesz to zrobić. Wciśnij guzik, stań się gwiazdą i powiedz, że musisz wracać do domu. Działa niezawodnie.

Teraz też zadziało.

Choć Jim próbował protestować. – Przecież nie musicie jeszcze iść... – zaczął.

– Dziękujemy za miły wieczór – powtórzyła Ingrid. Naprawdę w lodówce miała kilka rzeczy mądrzejszych od niego.

– Dobranoc, Carmel – Ingrid wyciągnęła do niej rękę. Nie potrafiłaby znieść hipokryzji całowania jej w policzek.

W taksówce siedzieli bez słowa. Jeśli David chciał dopilnować, by tego wieczoru w ogóle ze sobą normalnie nie porozmawiali, udało mu się to doskonale, myślała Ingrid, leżąc w łóżku, zbyt zdenerwowana całym tym wyjściem, żeby spać.

David już usypiał, a Ingrid westchnęła i sięgnęła po książkę.

Ingrid lubiła niedziele – to dni dla rodziny, więc była dumna ze swoich cotygodniowych obiadów. Gotowanie sprawiało jej przyjemność. Nic szczególnego, zwykle, bezpretensjonalne potrawy. Każdy miał swoje ulubione. Molly uwielbiała rybę z grilla, sałatkę i pieczone ziemniaki, a na deser domowe bezy karmelowe. Ethan najchętniej jadał pieczeń wołową i

Yorkshire pudding, a na deser coś grzesznie czekoladowego. Ulubionym daniem Davida był nadziewany kurczak z czosnkiem, a potem sery pleśniowe.

Ingrid najbardziej lubiła coś, co nie miało nic wspólnego z jedzeniem, a mianowicie to, że ma ich wszystkich u siebie.

Dziś nastawiła radio na ulubioną poranną audycję niedzielną i uchyliła drzwi do ogrodu, żeby wpadło trochę świeżego powietrza. Psy leżały jak futrzane worki na wykafelkowanej podłodze, zmęczone po pięciokilometrowym spacerze. Ingrid znów obudziła się wcześniej i nie mogła zasnąć, ale tym razem David leżał obok, pogrążony w głębokim śnie – miał poszarzałą i zmęczoną twarz. Wstała więc cicho i zabrała psy na spacer, potem kupiła gazety i usiadła z kubkiem kawy, by je przeczytać. David pojawił się w końcu koło pierwszej, nieogolony.

– Kawy? – zaproponowała Ingrid. Nigdy nie wstawał tak późno, w dodatku nadal wyglądał mizernie. – Okropnie wyglądasz, Davidzie – dodała. – Nie mogłeś spać?

– Nie – odpowiedział. Zabrzmiało to niemal jak jęk wyczerpania. – Jestem przemęczony.

I usiadł na jednym z kuchennych krzeseł.

– Nie czujesz rwania w ramieniu? – zapytała, usiłując się uspokoić, ale była przerażona, bo naprawdę źle wyglądał. Mógłby mieć atak serca, a ona nic by nie wiedziała. To takie do niego podobne, siedziałby i mówił: „Tak, kochanie, zadzwoń po karetkę, jeśli masz wolną chwilę”.

– Nie przesadzaj, Ingrid – upomniał ją ostro. – Wszystko w porządku, naprawdę. Boli mnie głowa, nie ramię, a kawa świetnie mi robi. Poproszę – dodał po chwili.

Kiwnęła głową, wstrząśnięta i osłabiona. I zła. Nie miał powodu tak do



niej mówić. Przecież tylko zapytała...

– Niespodzianka! – odezwał się głos.

– Molly!

W kuchni stała ich córka obładowana torbami.

– Wszyscy powoli głuchniecie – powiedziała, stawiając bagaże i pochylając się, by pogłaskać psy. – Wrzeszczałam „cześć” od samych drzwi.

Ingrid rzuciła córce spojrzenie, które ta po dwudziestu trzech latach doskonale potrafiła odczytać. Nie denerwuj taty.

Molly ledwie dostrzegalnie skinęła głową i delikatnie objęła ojca. Ingrid zauważyła, że twarz Davida się rozluźnia.

– Jak leci, Truskaweczko?

– Dobrze, tato – odparła, całując go w czoło. – Imprezka?

– Coś w tym rodzaju – przyznał żałośnie David. – Jim Fitzgibbon wlewał we mnie wino.

Molly zachichotała, a potem zostawiła ojca, by pocałować na powitanie matkę.

– Od kiedy to trzeba w ciebie wlewać wino, tato? – droczyła się z nim i nagle całe napięcie wyparowało.

– Nazywasz mnie pijakiem, smarkata?

Obydwie kobiety się roześmiały.

– Skoro pasujesz do definicji... Żartuję. A gdzie byliście?

– Renaldo's – odparła Ingrid, wyciągając kubek dla córki. Nalała kawy i usiadła przy stole z rodziną.

– Jak tam Fiona?

– W tym cały problem – westchnęła Ingrid. – Jim i Fiona są w separacji, więc poznaliśmy jego nową kobietę. Tobie też chyba niezbyt przypadła do gustu, prawda, kochanie?

Uśmiechnęła się do męża – pojednawczym uśmiechem mówiącym, że przeprasza go za to, że złościła się o ten wieczór, i pytającym, czy on mógłby przeprosić za swoje zrządzenie.

– Niezbyt – zgodził się z nią David. – Przepraszam. Przez telefon Jim mówił o niej jak o skrzyżowaniu Matki Teresy i Angeliny Jolie.

Molly zrobiła wielkie oczy.

– I rzeczywiście?

David uśmiechnął się do Ingrid.

– Niezupełnie. Wyglądała OK...

– ... trochę zanadto rzucała się w oczy – przerwała mu Ingrid. – Obcisła mini od Gucciego i sandały do tańca przy rurze to chyba niezbyt odpowiedni strój na pierwszą kolację z najstarszym przyjacielem swojego nowego partnera.

– Problem zaczął się przy rozmowie – ciągnął David.

– Chce się dostać do telewizji.

– Słuchałeś?

Znów się uśmiechnął.

– Przepraszam, wiem, że sądziłaś, że cię nie ratuję. Mimo tych wszystkich przechwałek Jim ma kłopoty finansowe i potrzebował kogoś, kto by go wysłuchał. Nie mogłem mu przerwać, ale usłyszałem to o telewizji.

– Jedna z tych – powiedziała Molly i jęknęła.

– A co u Natalie? Kiedy ślub Lizzie?

– Czternastego. Lizzy zawsze chciała wziąć ślub w walentynki. Wieczór panieński w przyszły weekend, więc w domu jest pełno dziwnych rzeczy: różowe puszyste uszy i inne takie.

Ingrid znów się uśmiechnęła. Jej panieński wieczór był bardzo spokojny w porównaniu z tym, co teraz się dzieje.

– Wybierasz się z nimi?

– Raczej nie. Natalie chce, żebym poszła, a ja staram się wykręcić. Lizzie jest bardzo fajna, ale nie jestem jej bliską znajomą, w przeciwieństwie do reszty uczestniczek. One wszystkie znają się od lat.

Ingrid kiwnęła głową, mimo że w gardle poczuła nagle dławienie, które tak często jej towarzyszyło, gdy myślała o swoim starszym dziecku. Molly zawsze była nieśmiała, choć skutecznie to ukrywała. Była przyjazna i urocza, dobrze wychowana i uprzejma, więc niewielu ludzi potrafiło dostrzec jej nieśmiałość. Nigdy nie należała do tych dzieci, które dobrze się czują w dużej grupie, przez pierwsze lata szkoły płakała każdego ranka, gdy Ingrid ją zostawiała.

– Te dzisiejsze wieczory panieńskie są nieco zwariowane – odezwała się spokojnie Ingrid. – Pewnie czeka was szalona noc – dodała, życząc sobie, żeby choć raz jej córka chciała się przyłączyć do zabawy. Ingrid wiedziała, że nie można zmusić człowieka, by się zachowywał w określony sposób. Zastanawiała się jednak, jak dwoje tak otwartych i kontaktowych ludzi jak ona i David może mieć córkę, która jest ich totalnym zaprzeczeniem?

W szkole nie miała nigdy ani jednej przyjaciółki czy koleżanki, którą by polubiła i przyprowadziła do domu, żeby się z nią pobawić. Jej córeczka najszcześniejsza wydawała się we własnym towarzystwie, kiedy czytała i rozmawiała ze zwierzętami – mieli wtedy szalonego owczarka collie z jednym uchem i kotkę kokietkę, która zbierała małe pluszaki i zносиła je w nocy do jej łóżka.

Molly lubiła zwijać się na łóżku w kłębek i czytać, a kot i pies leżały przytulone do niej. Zaakceptowanie faktu, że jej córeczka jest małą samotną osobką, było jedną z najtrudniejszych lekcji w życiu Ingrid.

Dlatego poczuła się jak w siódmym niebie, gdy jej kochana Molly

zamieszkała razem z Natalie. Poznały się na studiach – wtedy po raz pierwszy w życiu córka znalazła przyjaciółkę.

Każda z nich była na swój sposób poważna: Molly ze swoją dobroczynnością, a Natalie z absolutnym poświęceniem się projektowaniu biżuterii. Skończyła college i pracowała teraz w restauracji w Kenny's, żeby zebrać fundusze na otwarcie własnej firmy. Miała w sobie mnóstwo energii i ambicji, ale Ingrid czuła, że jest w niej też jakaś bezradność.

Widać Molly czekała, aż znajdzie prawdziwą przyjaciółkę.

Po wyjściu córki Ingrid krzątała się, doprowadzając dom do porządku. Kochała go. Goście zwykle się dziwili, że stanowi antytezę neobarokowego uroku Kenny's ze swoimi nowoczesnymi i chłodnymi wnętrzami, w których panował minimalizm, mnóstwo otwartych przestrzeni i duże powierzchnie jasnych ścian. Podłogi wykonano z bielonego drewna, oprócz kuchni, gdzie nieco restauracyjny styl narzucony przez dominującą tu stal nierdzewną został złagodzony szlifowanymi płytami lanego betonu. Miłość Ingrid do bieli odzwierciedlała się w kanapach i fotelach ubranych w ciepłe, białe luźne pokrowce, kolory spływały z dzieł sztuki na ścianach. Wiele z tych prac należało do młodych artystów, których David lubił wspierać. Tęcza barw w holu to zasługa gigantycznego gobelinu od Kenny's, jednego z niezwykłych Gobelinów Bluestone. Przedstawiał drewniany dom na polanie pośród drzew, częściowo przysłonięty krzewami piwonii widocznymi na pierwszym planie.

Rozpoczęły się wiadomości o dziewiątej, David już zaczynał ziewać. Ingrid patrzyła na niego z czułością i przypominała sobie ich żart z dawnych lat, „żeby być w łóżku przed dziennikiem”. Oczywiście wtedy szli do łóżka, żeby się kochać. Teraz zdarzało im się to nieco rzadziej. Wiedziała, że główną przyczyną jest zmęczenie. I choć bardzo ostrożnie o tym rozmawiali, oboje potrzebowali teraz więcej czasu, żeby wejść we właściwy nastrój. Czasy „raz,

dwa i po sprawie” dawno minęły. Ingrid nigdy zresztą nie lubiła szybkiego seksu, choć pochlebiała jej świadomość, że David nie mógł się jej doczekać, że już musiał być w niej. Ale w ten sposób rzadko przeżywała orgazm – potrzebowała czasu i delikatności, a teraz ich seks wymagał czasu. Pasowało jej to, spokojne rozgrzewanie się zamiast natychmiastowego wybuchu ognistej kuli.

– Chodźmy do łóżka – powiedziała cicho.

David oderwał wzrok od wiadomości, spojrzął na nią badawczo swoimi inteligentnymi szarymi oczami. Nieprzeniknionymi, powiedziałaaby, gdyby to był ktokolwiek inny. Ale znała go i wszystkie jego nastroje. Widziała w nich teraz pożądanie.

Pilotem wyłączył telewizor, powoli rozprostował długie nogi i wstał. Wyciągnął do niej rękę:

– Chodź – powiedział.

Sypialnia była jedynym pokojem z dywanem i gdy tylko do niej weszli, Ingrid zdjęła buty, by zatopić gołe stopy w miękkiej wełnie. Włączyła lampy, ich światło ogrzało pokój i odbiło się jasnym blaskiem od ogromnego łóża okrytego jedwabiem w kolorze delikatnego nefrytu.

– Jesteś zmęczony? – zapytała Davida, siadając na brzegu łóżka i rozpinając guziki swojej lekko szeleszczącej świeżością białej bluzki.

Pokręcił głową i dołączył do niej.

Ingrid nie była dziewicą, gdy poznała Davida. Miała wcześniej trzech kochanków, co, wiedziała o tym, stanowiło zupełnie średni wynik. On miał więcej kobiet, ale obiecali sobie, że nigdy nie będą zazdrośni o ludzi, którzy dawno już odeszli z ich życia, tak jak zdarza się to innym parom.

Ingrid wystarczał fakt, że z żadnym innym kochankiem nie czuła, że to jest jedyny sposób uprawiania miłości, że to ta jedyna, doskonała chwila. Nie

miała pojęcia, ile razy spali ze sobą w czasie trwania ich małżeństwa, ale kiedy tylko David ją obejmował i przyciągał do siebie, czuła wewnątrz znajome mrowienie.

Dziś w jego pocałunkach była jakaś niecierpliwość, trzymał jej głowę w swoich rękach jak cenny skarb, kiedy ich usta się spotkały. Delikatnie odchylił bluzkę i dotknął jej piersi, a ona czuła się tak, jakby robił to po raz pierwszy. Poddała się tej świeżej namiętności. W ten sposób ją przeproszał, wiedziała to. Przeproszał za to, że tak się od niej oddalił, w jedyny sposób, w jaki potrafił: kochając się z nią.

Kiedy w końcu w nią wszedł, i ta jakże znajoma twarz znalazła się tuż nad jej twarzą, poczuła falę prawdziwego szczęścia. To miłość, pomyślała, podnosząc głowę, by potrząść nią o jego ramię. Dzielenie się wszystkim z drugim człowiekiem. Znała jego ciało równie dobrze jak swoje, wiedziała, kiedy zbliża się do orgazmu i że jeśli skoncentruje się na tym niepohamowanym ogniu, a jego palce dotkną jej wilgotności, wtedy eksploduje w tym samym momencie, co on. I stało się: wewnętrzny wybuch sztucznych ogni, pojedyncza eksplozja wywołująca tysiące cudownie przenikających ją fal, które wyrwały z jej piersi krzyk.

Potem David z jękiem opadł na swoją stronę łóżka, a Ingrid wyciągnęła nogę i położyła ją na jego nodze. W ten sposób wciąż byli razem. Leżała tak w ciszy, zadowolona, wsłuchując się w jego spokojny oddech, aż była pewna, że zasnął.

– Dobranoc, kochanie – szepnęła i pocałowała go.

W odpowiedzi wymamrotał coś niezrozumiałego.

Jeszcze raz delikatnie go pogłaskała i naciągnęła na niego kołdrę, a potem wstała i poszła do łazienki wykonać codzienną wieczorną toaletę. Mycie, nawilżanie i zęby. Kiedy tak stała w łazience i dokładnie smarowała

balsamem skórę, po raz kolejny zauważyła, że żaden kosmetyk nie jest w stanie sprawić, aby kobieta poczuła się tak piękna, jak się czuje, gdy jest kochana.

TTLR

## 2

*Bądź wierna sobie. Brzmi to jak szaleństwo, prawda? No bo co to znaczy: wierna? Ale zaufaj mi, kiedy to poczujesz, od razu zrozumiesz.*

W następną sobotę wieczorem Natalie Flynn siedziała przy barze w klubie Laguna otoczona muzyką i innymi odgłosami zabawy, rozmyślając leniwie o swoim słowie na dziś. Magnes. Coś, co przyciąga, budzi zainteresowanie. Natalie miała je w ustach. Codziennie znajdowała w słowniku kolejne nowe słowo. Ludzie z dysleksją często mają ograniczony zasób słownictwa, a więc jako dyslektyczka Natalie kupiła sobie słownik zaraz po ukończeniu szkoły. Każdego dnia zamykała oczy, otwierała książkę i palcem wskazywała słowo.

W szkole podstawowej był taki chłopiec, Ben, który miał dyspraksję. Zapytała go kiedyś, co to znaczy.

– O wszystko się potykam. Nazywają mnie niezdara.

– Nie jesteś niezdara, jesteś tylko duży, a świat jest dla ciebie za mały – powiedziała mu Natalie. Ben był rzeczywiście wielki, ręce miał jak ogromne szynki. – Mnie mówili, że jestem głupia. Nie rodzina, ale inni. A okazało się, że mam dysleksję, i to wszystko.

– Wszystkie te słowa na „dys” są złe – zauważył ponuro Ben. Siedzieli wtedy przed salą pani Evans, która prowadziła zajęcia wyrównawcze. Dzieci, które nie musiały na nie chodzić, robiły miny dzwonnika z Notre Dame i szeptały „wyrównawcze”, jakby miały wadę wymowy, do tych, które na nie chodziły. Czasami Natalie pokazywała im język, ale nie zawsze.

W końcu doszła do wniosku, że ci, którzy dokuczali im z powodu zajęć wyrównawczych, sami ich potrzebowali.



Ben i Natalie zastanawiali się nad słowami na „dys”.

Dyspraksja – to, co głupi ludzie nazywają niezdarnością.

Dysleksja – Natalie lubiła ją określać jako problem z widzeniem słów.

– Dysfunkcyjny – dodała Joanne, która była w ostatniej klasie i musiała uczęszczać na zajęcia wyrównawcze, bo często opuszczała lekcje. Ojciec Joann był nieodpowiedzialny, co jak się zorientowała Natalie, w języku dorosłych oznaczało szaleńca. W okresach kiedy stawał się nieodpowiedzialny, Joanne nie przychodziła zwykle do szkoły, w wyniku czego nie mogła przystąpić do egzaminów końcowych wraz z rówieśnikami.

Wczorajsze słowo to „matowy”. Bardzo się jej spodobało. To słowo, którego można dotknąć. U siebie na farmie, w małej szopie, która służyła jej za warsztat, przesiewała przez palce półszlachetne kamienie, szukając wśród nich tych matowych. Niektóre tygrysie oka, wiele zamglonych, przydymionych kwarców. Magnes też się jej podobał. Zastanawiała się nawet, jak to możliwe, że nie słyszała wcześniej tego słowa. Tym właśnie się zajmowała jako jubiler: pracowała z metalami i kamieniami. Tworzyła talizmany, które znajdowały swoje miejsce wokół szyj i nadgarstków ludzi, z kamieniami, które były dla nich ważne.

Magnezem może być nie tylko rzecz, ale i osoba. Siedząc spokojnie na swoim barowym taborecie, nieco z dala od reszty dziewcząt obecnych na wieczorze panieńskim Lizzie, Natalie rozejrzała się wokół. Próbowała znaleźć dla nowego słowa jakieś zastosowanie w otaczającym ją świecie.

Wielu ludzi, gdy jest im źle, albo czują się samotni, czyta gazety lub wysyła esemesy. Natalie, ze względu na swoją dysleksję nie robiła ani jednego, ani drugiego. Nie cierpiała tak rozmawiać z ludźmi – dziwaczna płatanina liter zawsze wydawała się jej całkowicie nieprawidłowa, nawet gdy włączony słownik mówił coś przeciwnego.

– Jesteś jak moja mama – zauważyła raz Molly, jej współlokatorka. – Też nienawidzi esemesów.

Natalie uśmiechnęła się na myśl, że została porównana z taką erudytką jak Ingrid Fitzgerald, która przeczytała zapewne cały słownik od deski do deski i od razu go zapamiętała. Matka Molly należała do osób, przy których Natalie powinna czuć się nieswojo, a jednak tak nie było. Ingrid nie epatowała swoją inteligencją i traktowała wszystkich z jednakowym szacunkiem. W jej obecności Natalie nigdy nie czuła się jak idiotka.

– Twoja mama nie cierpi esemesów tylko dlatego, że przez nie ludzie nie wiedzą już, jak się prawidłowo pisze, a ja nigdy nie umiałam pisać ortograficznie.

– Piszesz całkiem w porządku. A liczy się to, że wiesz, na czym polega życie – kontynuowała Molly. – Wystarczy spojrzeć na tych wszystkich, którym tytuły naukowe uderzyły już do głowy, a ciągle nie mają pojęcia, co jest naprawdę ważne.

Poznały się w college’u, kiedy Natalie z bólem usiłowała zaliczyć część pisemną kursu przygotowawczego z historii sztuki. Dać jej kawałek gliny, to od razu ulepi piękną misę czy wazę. Ale dajcie jej długopis, a staje się jak małe dziecko, które z wielkim trudem odróżnia szóstkę od dziewiątki. Dlatego nie cierpiała szkoły.

Żałowała, że na tej panieńskiej superbalandze nie ma z nią Molly, ale przyjaciółka, która nie należała do osób specjalnie imprezowych, postanowiła zostać w domu z kotami. Była beznadziejna w rozmówkach o niczym, ale potrafiła za to rozmawiać z ukochanymi Bambim i Loopym, jakby to były jej dzieci, gdy w trójkę leżeli razem zwinięci na kanapie, oglądając telewizję. Koty najbardziej lubiły programy, w których występowały ryby.

– Ja też je lubię, ale godzina z National Geographic tylko z powodu

nich? – powiedziała Natalie przed wyjściem z domu, już ubrana, trzymając w ręku sportową torbę wypchaną rekwizytami wieczoru panieńskiego, z gwoździem programu w postaci kowbojskich kapeluszy ze sztucznej skóry zebry.

– Patrzymy tylko do końca tego programu – wyjaśniła poważnym tonem Molly. – Potem przełączamy na salsę.

Natalie skinęła głową.

– Kiedy przyjadą ludzie w białych fartuchach, mam im zaproponować kawę czy herbatę?

Molly zaprezentowała szeroki uśmiech, który rozświetlił jej małą okrągłą twarz i ożywił oczy. Poza oczami nie było w niej nic, czym przypominałaby swoją słynną matkę. Była niska i chuda jak nastolatka, rudobrązowe włosy lubiła spinać w kucyk. Nawet w strój u formalnym, gdy przewodniczyła opracowaniom ważnych sprawozdań na temat ubóstwa, wyglądała raczej na szesnastie niż swoje dwadzieścia trzy lata.

– Ostatnio faceci w bieli pili herbatę – odparła. – Więc może tym razem poczęstuj ich kawą. Wiem, że jestem dziwna, ale ja też lubię programy o rybach – dodała. – Ryby bardzo uspokajają. Poza tym nic innego dziś nie ma. Przejadły mi się te wszystkie kryminalne seriale, mam po nich koszmary. Dopiero później jest dobry film.

Coś romantycznego, odgadła ze wzruszeniem Natalie. Molly pracowała w zaklętych rewirach społeczeństwa, ale relaksowała się, pozerając romantyczne powieści i filmy. Jedyne, co mogłoby ją wywabić z kanapy, to żywy facet w typie Johnny’ego Deppa w kostiumie z czasów regencji marzący o tym, by przytulić ją do swojej męskiej piersi.

– Mam dla ciebie kapelusz na wypadek, gdybyś się jednak zdecydowała... – Natalie nałożyła na głowę Molly kowbojski rekwizyt ze

sztucznej skóry zebry.

– Piękny! – Molly usiadła prosto, by poprawić go sobie na głowie, potem ułożyła się z powrotem na kanapie. – Tu lepiej się czuję, Nat, naprawdę. Nie bardzo nadaję się na przyjęcia. Wolę się im przyglądać z boku, niż w nich uczestniczyć, ale jak stoisz z boku, wszyscy uznają cię za dziwaka. Poza tym nie mamy nikogo, kto posiedziałby z kotami.

– Na razie, wariatko – pożegnała ją Natalie i wyszła.

Lizzie zawsze twierdziła, że Natalie i Molly źle na siebie wpływają, bo obydwie za bardzo lubią przesiadywać w domu. Jej sposób na spędzanie wolnego czasu nie miał nic wspólnego z kotami, książkami czy telewizją. Ale Lizzie nie rozumiała też, jak Natalie może spędzać całe noce w warsztacie z myślą o tym, żeby kiedyś zostać uznaną projektantką biżuterii. Przecież nie można być jednocześnie tam i we wszystkich klubach i pubach po kolei, jak Lizzie. Natalie lubiła wychodzić, ale tylko wtedy, gdy przyszła jej ochota. Dziś jednak, co dziwne, jakoś nie była w nastroju. Zamiast tego się martwiła.

Z tym wieczorem panieńskim wiązało się tyle emocji, a Lizzie była tak zdeterminowana, żeby dobrze się bawić, zdeterminowana, żeby przeżyć ostatnią szaloną imprezę, zanim powie: tak, że Natalie miała obawy, czym to się może skończyć.

Wnętrze klubu Laguna można by nazwać matowym, bo z powodu przygaszonych świateł odnosiło się wrażenie, jakby się miało na oczach słoneczne okulary. Nawet lustra za barem, wykonane z przyciemnionego szkła, przyczyniały się do tego efektu. A magnes... magnesem była Lizzie. Więc wszystko w porządku, przecież to jej wieczór panieński.

Na to ważne wydarzenie zostało zaproszonych dziesięć kobiet: Natalie i Anna jeszcze z czasów szkolnych, dwie szalone kuzynki Lizzie z Donegal, które wyglądały jak supermodelki po pracy, kilka koleżanek z college u i trzy

z pracy. Impreza zaczęła się trzy godziny wcześniej w mieszkaniu Lizzie i sądząc po zachowaniu bohaterki wieczoru, zapowiadała się na całą noc. Natalie, jako osoba odpowiedzialna za organizację całości, będzie musiała zostać do samego końca. A była zmęczona. Praca w Kenny's i nocna produkcja biżuterii nie zostawiały w niej wiele energii. A na pewno nie miała energii takiej jak Lizzie i reszta towarzystwa, energii, by piszczeć i wrzeszczeć z podziwu na widok sukienek, butów i przechodzących mężczyzn. W swoich kapeluszach z zebry – „Nat, jesteś genialna. Są świetne!” – uczestniczki wieczoru panińskiego przyciągały uwagę kilku drapieżnych facetów. Jak dotąd wszystkie propozycje zostały odrzucone, choć jeden typ – w dżinsowej koszuli, która podkreślała jego wspaniałe mięśnie, oraz z kolczykiem z trupa czaszką i pieszczelami w jednym uchu, dającym do zrozumienia, że równy z niego gość – przyglądał im się z boku, wyraźnie napalony na Lizzy. Znudzi się, miała nadzieję Natalie.

Patrzyła, jak barman pracowicie miesza drinki. Fantazyjnie wlewa do shakera czerwony płyn, potem lekki, zgrabny ruch, żeby zrobić wrażenie na paniach, i sięga po piękną butelkę z mrożonego szkła, wlewa coś jasnego, z brzękiem wrzuca lód, wstrząsa.

Wśród kobiet oblegających bar w stylu art deco rozległ się szmer uznania.

– Więcej wódki – wrzasnęła Lizzie, potargana szatynka klęcząca na swoim stołku, żeby lepiej widzieć przedstawienie, choć miała już wyraźnie dosyć. Po czterech wódkach z tonikiem i szprycerze z białym winem teraz zamawiała specjalność zakładu: laguna beach – to mieszanka, która gwarantowała wjazd do kliniki Betty Ford. Wcześniej zdążyła uznać, że jej makijaż wygląda zbyt blado i w egipskich ciemnościach damskiej toalety, gdzie naprawdę przydałaby się latarka, żeby znaleźć przycisk spuszczenia

wody, nieudolnie nałożyła kolejną warstwę kredki do oczu. Połączenie ciemności i alkoholu dały w rezultacie niezbyt ciekawy efekt.

Natalie pomyślała, że całkiem niezły biznes czeka wynalazcę, który opatentuje kosmetyczki z wbudowanym do zamka błyskawicznego alkomatem. Pijana kobieta nie mogłaby wówczas otworzyć kosmetyczki, aby nałożyć na twarz zniekształcające ją groteskowo ilości kosmetyków.

Sama miała to już na sumieniu, w dodatku uwiecznione na zdjęciu. Połączenie Marilyną Mansoną i dziwołagów Picassa, a na dokładkę nieco wampirzego szyku. Nie wyglądało to dobrze, biorąc pod uwagę fakt, że i bez makijażu mogła spokojnie uchodzić za gotycką heroinę. W zależności od tego co na siebie włożyła, wyglądała albo młodo i interesująco, albo przedziwacznie. Miała bladą skórę i tendencję do fioletowych cieni pod heliotropowymi oczami oraz długie hebanowe włosy, które zawsze wydawały się nieuczesane. W dzinsach i T- shircie szczupła sylwetka i długie nogi nadawały jej wygląd studentki, choć skończyła dwadzieścia trzy lata i college miała za sobą. Na dzisiejszej imprezie, w szafirowej sukience na ramiączkach była „lekką podenerwowaną dziewczyną z sąsiedztwa”.

– Bardzo sexy – oceniła Molly wcześniej tego wieczoru, gdy Natalie się ubierała. – Ale pod kontrolą. Nie sexy „bierz mnie, kochasiu”, tylko sexy „możesz popatrzeć, ale łapy przy sobie”.

Miały zwyczaj oceniać wygląd przed wyjściem z domu. Mimo że Molly wyglądała, jakby ubierała się w Caritasie, nie miała sobie równych w klasyfikowaniu kreacji i ocenie, czy strój jest odpowiedni do okazji. Natalie potrafiła to robić z biżuterią, ale gdy przychodziło do ubrań, łatwo było się pomylić.

— I dobrze, bo nie chcę być zbyt seksowna – odparła Natalie, obciągając sukienkę i żalując, że nie jest dłuższa i bardziej nie zakrywa nóg. –

I tak będzie dziś gorąco.

– Więcej soku! – usłyszała, jak Anna woła do barmana Laguny, który mrugnął do niej z shakerem w dłoni. Anna niewiele piła.

– Nie mogę znieść, jak kręci mi się w głowie – mawiała.

To zdanie na większość mężczyzn działało jak czerwona płachta na byka. Przez te lata ich przyjaźni – która zaczęła się jeszcze w przedszkolu – Natalie straciła już rachubę facetów, którzy próbowali doprowadzić Annę do utraty kontroli, mając nadzieję, że jeszcze kilka łyčzków chardonnay rozluźni ją trochę i zmieni swoje nienagane zachowanie. Jak sekretarki w erotycznych filmach, które nagle rozpuszczają włosy. Za to Lizzie, która zawsze była rozluźniona i uśmiechała się do chłopców jak rozradowany szczeniak, w pościgu za Anną w ogóle nie zauważali.

– To niesprawiedliwe – mawiała Lizzie bez cienia goryczy. Kochała Annę, nawet jeśli przyjaciółka przyciągała mężczyzn, podczas gdy ona wydawała się ich odpychać od siebie.

– To te włosy – tłumaczyła przepraszającym tonem Anna. – Naturalne rude włosy działają tak na mężczyzn. Mają gdzieś zaprogramowane, że muszą z nimi spółkować. To nie ma nic wspólnego ze mną.

– To coś więcej niż włosy – wzdychała Lizzie. Anna była doskonała: drobna, proporcjonalnie zbudowana i miała żywe, jasnoniebieskie oczy. Mężczyźni czuli się przy niej tacy potężni. Nosiła buty w rozmiarze trzydzieści pięć, a jej nadgarstki były delikatne jak u porcelanowej lalki.

A potem pojawił się Steve. Nawet drugi raz nie spojrzał na Annę i całkowicie zadurzył się w Lizzie.

Natalie pomyślała przez chwilę o jego wieczorze kawalerskim. Ciekawe, jak się rozwija. Podobno chłopcy mieli iść do klubu nocnego z dawnym kolegą Steve'a ze studiów, który przyjechał z San Diego, a Lizzie

była tym oburzona.

– To ma być twoja ostatnia noc poza domem przed poślubieniem kobiety, którą kochasz, a nie wymówka, żeby się ślinić na widok gołych panienek z figurą lalki Barbie!

Natalie wiedziała, że nie chodziło o uświadomioną seksualność, raczej o to, że Lizzie sama bardzo chciała wyglądać jak Barbie. Dieta przedślubna nie dała spodziewanych rezultatów i Lizzie do upragnionej wagi wciąż brakowało czterech kilogramów. Narzekała, że wygląda jak jałówka.

– Między wami dwoma na zdjęciach wyjdę jak balon – jęczała, gdy przebierały się na wieczór panieński. Ubrała jedwabną sukienkę na ramiączkach z długą spódnicą z delikatnym trenem i obcisłym, skąpym gorsetem, który niezbyt dobrze trzymał jej biust. Nie miała stanika. Natalie też nie miała, ale nosiła rozmiar 70A, podczas gdy Lizzie 80D.

– Och, Lizzie, przestań już wreszcie narzekać – mamrotała Natalie. – Po prostu każda z nas jest inna i tyle – dodała, ustępując. Stopień zamartwiania się swoją figurą można było traktować jak barometr nastroju Lizzie. W okresach zwiększonego stresu stawało się bardziej zauważalne i oznaczało, że przyjaciółka potrzebuje więcej wsparcia i pociechy. – Anna jest słodka i śliczna, ty krągła i seksowna. – Widziała, że Lizzie uśmiecha się wbrew sobie. – Ja robię za pałakowatą. Chciałabym mieć twoje krągłości.

Kłamstwo, ale w dobrej wierze, żeby Lizzie poczuła się lepiej. Macocha Natalie, Bess, krawcowa, uszyła wiele sukien ślubnych, więc Natalie nasłuchiwała się o przedślubnym stresie.

– Nieprawda – powiedziała Lizzie, ale uśmiechała się, przymierzając swój strój na wieczór panieński.

Przygotowując imprezę, Natalie obowiązkowo kupiła różowe puszyste rogi, koszulki z napisem: „Jutro wychodzę za mąż” i zamówiła stół w



Lagunie, klubie, gdzie o jedenastej włączano zestaw do karaoke, a na scenie ustawiano rury dla wszystkich, którzy chcieli spróbować swoich sił, pod warunkiem, że najpierw podpiszą dokument, iż robią to na własną odpowiedzialność.

Do jedenastej brakowało dziesięciu minut. Natalie wiedziała, że przed nimi jeszcze cała długa noc.

Cieszyła się, że przyjaciółka jest szczęśliwa. Steve to naprawdę fajny facet: dobry, miły, porządny. Ale mimo to nie mogła zapomnieć, jak we trójkę, kiedy były młodsze, marzyły o zdobyciu świata. A teraz miały dwadzieścia trzy lata i nagle świat jakby się skurczył. Anna chodziła z facetem, który świetnie prezentował się na papierze, ale w życiu był trochę nudnawy. Gavin pracował w banku, miał swoje mieszkanie, w weekendy grywał w rugby ze szkolnymi kolegami i nosił bluzę do rugby z podniesionym kołnierzem. Za dziesięć lat będzie należał do klubu golfowego, a w sypialni ustawi wioślarka, który zostanie obwieszony ubraniami. Śmiał się kiedyś z takich facetów, tych bezpiecznych, a teraz Anna była jak urzeczona.

Lizzie wychodziła za mąż za słodkiego i kochanego Steve'a, ale nie pójdzie do ślubu w czerwieni, tak jak zawsze obiecywała:

– Nigdy w życiu nie wyjdę za mąż w bieli: dach kościoła by się zawalił!

Zamiast czerwonej jest sukienka z kremowej koronki, ze stanikiem, który podkreśli wszystkie jej atuty. Ciemne loki zakryje skromny welon, a lista gości zawiera wszystkich możliwych pociotków, których zarzekała się, że nie zaprosi.

– Muszę ich zaprosić – tłumaczyła, gdy Natalie wpadła kiedyś i zastała ją nad planem rozsądzenia weselnych gości. Cioteczna babka Mona nie mogła siedzieć obok wujka Toma, bo się pozabijają. Od piętnastu lat nie było

spotkania, na którym by się nie pokłócili, i na pewno teraz nagle nie przestaną.

– Dlaczego musisz?

– Dlatego.

– W ogóle się z nimi nie widzisz, chyba że na weselach i pogrzebach. Myślałam, że ten dzień ma należeć do ciebie i Steve'a, a nie być kolejnym weselem z dziewięćdziesięcioma ciotkami i wujami, których praktycznie nie znasz.

Lizzie się skrzywiła, bo Natalie zacytowała jej własne słowa sprzed lat.

– Mama by umarła, gdybyśmy nie mieli wielkiego wesela – powiedziała. – Przecież wiesz, jaka ona jest. Zresztą... – Lizzie zamilkła na chwilę. – Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale cieszę się, że oni wszyscy tam będą. Kiedy zjawiają się wszyscy kuzyni i ciotki, to staje się jakby bardziej prawdziwe. To tak jakbyśmy naprawdę się nie pobraли, gdyby to było gdzieś daleko na plaży bez nich wszystkich kwękających na wyrzucone pieniądze i narzekających na ości w rybie.

Natalie się roześmiała.

– No dobra, przekonałaś mnie. Ale jak zaczną marudzić, że siedzą za daleko od panny młodej, nie mów, że cię nie ostrzegałam.

– Mama sobie z nimi poradzi – teraz roześmiała się Lizzie.

Kiedyś myśl o mamie Lizzie mogłaby zasmucić Natalie. W dzieciństwie czuła się inna niż wszyscy, bo nie miała mamy. W klasie było więcej osób z nietypowym układem rodzinnym, na przykład ojcowie dwojga dzieci mieszkali osobno, a jeden chłopiec miał dwie rodziny: mamę i ojczyma oraz ojca i macochę, plus kilkoro braci i sióstr. Była też Eileen, cicha myszka o jasnych włosach, których używała do zakrywania oczu. Mieszkała sama z mamą i wręcz zamierała, kiedy na horyzoncie pojawiali się ojcowie.

Może Eileen nie miała ojca, ale miała mamę. Już w wieku lat siedmiu, kiedy mózg Natalie zaczynał dopiero rozważać takie kwestie, i mimo że Eileen była zdecydowanie najdziwniejszym dzieckiem w kasie, Natalie wiedziała, że Eileen ma coś, czego ona nie ma: prawdziwą matkę.

Ojcowie robią czasem różne rzeczy albo zostają dłużej w pracy, ale mamy nie. Mamy zawsze są na miejscu. Oprócz mamy Natalie Flynn. Jej mama nie żyła. Zamiast niej miała Bess, swoją macochę, która była wspaniała i dobra, ale nie była jej prawdziwą mamą. Powiedziała, że Natalie nie musi do niej mówić „mamo”, więc nie mówiła, i ten fakt spowodował dużą różnicę. Inne dzieci miały mamy i tatusiów, Natalie miała tatę i Bess. A Bess niezależnie od tego, jak wspaniała, nie była jej mamą.

Natalie zapomniała wiele przykrych rzeczy, które się jej przydarzyły, na przykład tę mękę pisania pracy dyplomowej, przez co straciła chyba pół mózgu, ale nigdy nie zapomni, kiedy pierwszy raz ją zapytano:

– Jak to jest nie mieć mamy?

Toby – teraz już dorosły i niczego sobie, i zawsze bardzo miły, gdy zajeżdżała do warsztatu, który prowadził – w wieku lat siedmiu był zmorą nauczycieli: nadaktywny i zakochany w słowie „dlaczego”.

Dlaczego nocą słońce zachodzi?

Dlaczego ludzie w telewizji są tacy mali?

Dlaczego trzeba chodzić do szkoły?

Dlaczego twoja mama umarła? Czy jest ci jeszcze smutno, że nie żyje?

Natalie widziała siebie w wieku siedmiu lat: mała, chuda dziewczynka, patykowate nogi wystające spod szaro–białego mundurka i ciemne włosy pełne kołtunów wymykające się spod gumki niezależnie od tego, jak dokładnie Bess uczesała ją rano przed szkołą.

– Nie jest mi smutno – odparła wyzywająco. Toby z pewnością chciał,

żeby przyznała, że jest jej smutno, więc bardzo ważne było, żeby nie dać mu satysfakcji. Tobi twierdził, że dziewczyny nie umieją się wspinać na drzewa, więc udowodniła mu, że się myli. Otarła sobie wtedy całe kolana, ale udowodniła mu.

– Mnie nigdy nie jest smutno.

Czy pokazała mu wtedy język? Tego już nie pamięta. Pewnie tak. Kiedy miała siedem lat, pokazywanie języka stanowiło ważny element zwycięstwa, podobnie jak ciągnięcie za włosy lelujowatych dziewczyn i wskakiwanie na każdy murek, żeby iść po nim zamiast po chodniku.

Wróciła do domu i powiedziała o Tobym tacie i Bess, a oni wymienili między sobą to spojrzenie, które wymieniali dorośli, gdy nie chcieli odpowiedzieć na pytanie.

Nie pamięta, co ostatecznie mówił wtedy ojciec, choć pamięta późniejsze rozmowy. *Pan Bóg zabiera czasem ludzi, nie wiemy dlaczego.*

Odpowiedzialność została z Boga zdjęta, gdy pewnego dnia dziesięcioletnia Natalie oznajmiła:

– Nienawidzę Boga.

Bess zareagowała natychmiast:

– Nie zawsze rozumiemy to, co czyni Bóg. Po prostu musimy to zaakceptować.

Natalie nigdy tego nie zaakceptowała.

Tyle było dobrych rzeczy w jej życiu: kochana rodzina na czele z Bess, tata – słodki i trochę nie z tej ziemi, jej przyrodni bracia, Ted i Joe, i przyjaciele, jak Molly. Miała tak wiele, szczególnie gdy spojrzeć na te dzieciaki, którymi Molly się opiekuje. W porównaniu z nimi była bogata w każdym tego słowa znaczeniu. A jednak czuła, jakby brakowało jej części siebie.

Lizzie i Anna najwyraźniej uważały, że każdą brakującą część może zastąpić mężczyzna. Natalie sądziła, że to jednak coś więcej. Ale co dokładnie?

– Cześć, ślicznotko, mogę ci postawić drinka? – Natalie usłyszała, jak facet z trupią czaszką zwraca się do Lizzie.

Widziała jego odbicie w barowym lustrze. Wysoki i wystarczająco przystojny dla jednej z modelek – kuzynek Lizzie, która rzuciła mu pełne aprobaty spojrzenie. Natalie zauważyła zmierzwione włosy i wyrzeźbione mięśnie. Widziała również napalony wzrok Lizzie.

– Nie, dzięki – wtrąciła się najdelikatniej, jak umiała.

– To wieczór panieński. Mężczyznom wstęp wzbroniony.

– Musisz psuć zabawę? – wymamrotała Lizzie, opierając się na Natalie i uśmiechając do faceta.

– Nie, naprawdę, świętujemy we własnym gronie – dodała stanowczo Anna, odciągając Lizzie.

Mężczyzna wzruszył ramionami i odszedł.

– Był słodki – westchnęła Lizzie. – Mogłabym go wziąć na próbną jazdę...?

Anna i Natalie wymieniły spojrzenia. Rzeczywiście zapowiadała się długa noc.

Dochodziła druga, kiedy się zorientowały, że Lizzie znikła. Cały czas tańczyły, więc gdy Natalie wracała do stolika, sądziła, że Lizzie jest na parkiecie z całą resztą.

– Ja myślałam tak samo – Anna przekrzykiwała muzykę.

Wyglądało na to, że od godziny nikt jej nie widział.

Natalie znalazła ją pierwsza. Na tyłach klubu, w ciemnym zakamarku obok wyjścia ewakuacyjnego siedziała facetowi na kolanach, obejmując go,

przyssana ustami do jego ust, co najmniej jakby ćwiczyli sztuczne oddychanie. Jedna z jego rąk plątała się w jej ciemnych włosach, druga buszowała pod seksowną spódnicą, tak że cała noga była odsłonięta.

W pierwszym momencie Natalie pomyślała, że Lizzie musiała wpaść w amok, skoro zachowuje się w taki sposób, ale potem przyjrzała się jej uważniej. Była tak samo napalona jak ten facet: wiła mu się na kolanach, wpychając język do ust. Natalie rozpoznała gościa, który wcześniej się do Lizzie przystawiał – dzinsowa koszula i kolczyk z trupią czaszką. Lizzie tego chciała, uzmysłowiła sobie Natalie: była chętną partnerką.

– Lizzie! – zawołała, próbując przekrzyczeć rytmiczne basy. – Lizzie!

Złapała przyjaciółkę za ramię i potrząsnęła nią, wtedy ta odwróciła głowę, a Natalie zobaczyła, że szminka wokół ust Lizzie została rozmazana w ogromny czerwony krzyk a la Munch. Przyjaciółka uśmiechnęła się do niej leniwie, przytulona do piersi mężczyzny. Jej oczy błyszczały czystym podnieceniem.

Najbardziej zranił ją ten uśmiech: znaczący, pełen satysfakcji i drwiny.

– Lizzie, musimy już iść – powiedziała, usiłując zachować spokój wobec tej obcej nagle kobiety.

– Jeszcze nie – odparła Lizzie z tym samym uśmiechem, po czym wtuliła twarz w jego szyję. – Dobrze się bawimy.

Natalie uznała, że musi spróbować czegoś innego.

– To jej wieczór panieński – zwróciła się do mężczyzny.

– Za tydzień wychodzi za mąż, a jej narzeczony jest gliną w wydziale narkotykowym.

Była to oczywiście nieprawda, ale Natalie czuła, że ten argument może go przekonać.

I rzeczywiście, w jego oczach dostrzegła niepokój. Szybko wstał,

bezceremonialnie zrzucając Lizzie na podłogę.

– Au! – wrzasnęła głośno Lizzie.

Natalie i facet całkowicie ją zignorowali.

– Serio? – zapytał. Chodziło mu o te narkotyki.

Natalie pokiwała smutno głową.

– Serio.

Nawet się nie oglądając, nacisnął uchwyt na drzwiach i otworzył je. Kiedy zniknął za nimi w ciemności, do środka wdarł się zimny wiatr i zacięło deszczem. Natalie zadrżała.

Spojrzała na podłogę, gdzie wciąż siedziała Lizzie, teraz już nadąsana. Góra sukienki była z jednej strony rozdarta w miejscu, gdzie wielbiciel próbował zbyt energicznie dobrać się do jej biustu.

– Do domu – powiedziała Natalie.

– Wszystko zepsułaś – zawołała oskarżycielsko Lizzie.

– Tak – przyznała Natalie. – Zepsułam. Chodź, idziemy. Gdzie twoje rzeczy?

Kiedy Natalie zaciągnęła Lizzie z powrotem do stolika, nie było tam ani jej torebki, ani płaszcza.

– Wszystko w porządku? – zapytała Anna.

– Tak, OK – odparła pogodnie Natalie. Nie miało sensu wprowadzanie Anny w szczegóły zajścia. – Jest zmęczona i rozemocjonowana.

– Ja też – westchnęła tamta. – Jestem wykończona. Możemy już iść do domu?

– Jasne. Tylko znajdę rzeczy Lizzie.

Płaszcz leżał na stercie pod stolikiem, a po torebce wszelki ślad zaginął.

Lizzie była zbyt pijana, by choć w najmniejszym stopniu się tym przejąć.

– Ta tania torba! – powtarzała głośno. – Tania.

– Liczy się to, co w środku – mówiła Natalie – twój portfel, klucze i telefon.

– Taniocha, taniocha...

W końcu Natalie przestała szukać. Klub niebawem zamykali, a ona była zmęczona.

– Wychodzimy – zakomenderowała i zaraz zdała sobie sprawę, że w takim stanie nie może odesłać Lizzie do mieszkania, które ta dzieliła ze Steve'em. – Lepiej chodź do mnie.

Następnego ranka pierwsza obudziła się Lizzie i natychmiast pobiegła do łazienki. Natalie słyszała, jak wymiotuje. W domu śmierdziało przetrawionym alkoholem. Nawet w łóżku czuć było alkoholowy pot. Natalie wstała i zaczęła zdejmować pościel. Nie mogła się doczekać, kiedy ją wypierze i pozbędzie się wspomnienia poprzedniej nocy. Widok Lizzie w takim stanie budził w niej dziwny lęk. To nie było zwyczajne upicie się, Lizzie zupełnie straciła kontrolę. Jej poszewka na poduszkę nosiła wyraźne ślady startego makijażu. W nocy nie paliła się do umycia twarzy, kiedy w końcu Natalie doprowadziła ją do domu. Wystarczająco dużo czasu zajęło jej położenie przyjaciółki do łóżka. Długo musiała kusić ją pochlebstwami, a potem, już w łóżku, Lizzie wykrzykiwała jeszcze, że nikt jej nie rozumie, że Natalie jest taka okropna, a ona chciała tylko miło spędzić czas, aż w pewnym momencie zasnęła.

– Nie ściel jeszcze – jęknęła Lizzie, zataczając się z powrotem do sypialni. Wyglądała jak upiór. – Muszę się położyć. Błaaaaagam.

– Możesz się położyć na kanapie – odpowiedziała krótko Natalie. – Śmierdzi tu i muszę wyprać pościel.



– Nieee – zaprotestowała Lizzie, położyła się na stercie brudnych poszewek i zwinęła w kłębek. – Mogę leżeć tak. Potem sama je wypiorę.

– Potem, nie wiem, czy pamiętasz – Natalie przypomniała jej cierpkim głosem – masz poznać kolegę Steve’a z San Diego. Tego, który był z nimi na wieczorze kawalerskim. Dzikus. Pamiętasz? Który, jak się obawiałaś, miał zabrać Steve’a do nieodpowiednich miejsc, gdzie spotka nieodpowiednie kobiety.

Lizzie i tak była blada jak ściana, ale na wzmiankę o narzeczonym jej twarz jeszcze bardziej zbieleła.

– Cholera.

– Zaklnij sobie jeszcze raz – zaproponowała Natalie.

– Nie, proszę cię, przestań – błagała Lizzie.

– Przestań co? Przypominać ci o zeszłej nocy?

Natalie wróciła myślami do tych chwil, gdy poddając się w kwestii poszukiwań torebki, wywlokła w końcu Lizzie z klubu, a ta pijana w sztok wpadała po drodze na ludzi i za każdym razem chciała wszczynać awantury, mimo że to ona ich potrącała, a nie odwrotnie. Lizzie! Ta wesoła i zazwyczaj łagodna dziewczyna.

To był jakiś koszmar. No i ten facet, z którym się zadała, zupełnie olewając biednego Steve’a. To było najgorsze.

– A co właściwie pamiętasz? – zapytała oskarżycielsko Natalie.

Lizzie zakryła rękami oczy.

– Dużo. Nawet za dużo. Zbyt wiele wypiałam...

– Nie o tym mówię.

– Ten facet przy barze. Całowałam się z nim...

– Całowałam! Myślałam, że pożresz go żywcem. Lizzie! Ty się do niego przyssałaś i musiałam cię odciągać siłą. Gdyby zobaczył cię ktokolwiek

inny i powiedział Steve'owi, wyobrażasz sobie, co by było? – Natalie z obrzydzeniem kręciła głową. – Można się upić, Lizzie, i można stracić rozum. Ty straciłaś rozum.

– Wiem – powiedziała załamany głosem Lizzie. – To okropne, ja jestem okropna. A przecież obiecałam, że już nigdy, nie po ostatnim razie... – urwała nagle.

Natalie spojrzała na nią oniemiałym wzrokiem.

– Jakim ostatnim razie?

Lizzie najpierw się zawahała, ale potem przyznała szeptem:

– Na imprezie bożonarodzeniowej w pracy. Była bez partnerów i ktoś przyniósł wielkiego jointa i... och, Natalie, mówię ci, nie chcesz wiedzieć.

– Przespałaś się z kimś? – Natalie zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to jak pytanie zadane przez matkę przełożoną żeńskiego klasztoru, ale nie umiała się powstrzymać.

Lizzie nie odpowiedziała i to ją rozwścieczyło.

– A więc tak! Zalana przespałaś się z facetem i w dodatku nie dało ci to do myślenia, więc na własnym wieczorze panieńskim znowu się zaprawiałaś i gdybym cię nie znalazła, gdzie byś teraz była? Powiem ci: budziłabyś się w łóżku tego kolesia – wątpię, że wiesz, jak się nazywa – a my dzwoniłybyśmy na policję, bo pomyślałybyśmy, że coś się stało, i wszyscy, włącznie z twoim n a r z e c z o n y m, szukalibyśmy cię teraz, podczas gdy ty leżałabyś w łóżku z kacem i cholernie obcym facetem. I do walentynkowego ślubu mogłoby nawet nie dojść. Czemu właściwie to robisz? Nie musisz sypiać z byle kim, masz faceta, który cię kocha.

– O matko, zamknij się! Wystarczy mi, że sama się nie cierpię, nie potrzebuję jeszcze twojej nienawiści! – krzyczała Lizzie. Niezdarnie wstała, z zapuchniętymi oczami, przyciskając do piersi prześcieradło. – Kto właściwie,

do cholery, dal ci prawo mnie oceniać? To nie twój interes, nie całowałam się z twoim zasranym chłopakiem, prawda? I jeśli spieprzę, to tylko swoje własne życie!

Nagle Natalie pożałowała swoich słów. Lizzie miała rację, rzeczywiście surowo ją oceniła, a w sumie nie wiedziała właściwie dlaczego. Przecież mnóstwo ludzi upija się do nieprzytomności na swoich panieńskich wieczorach. To właściwie już tradycja tej imprezy. Ale to jednak było coś gorszego. Natalie nigdy w życiu nie widziała, by któraś z bliskich jej osób tak bardzo się zmieniła pod wpływem alkoholu. Ojciec prawie nie pił, podobnie jak Bess. Nawet chłopcy nie potrafiliby dorównać Lizzie, choć znała wielu facetów w swoim wieku, którzy mogli.

W ich rodzinie obowiązywała zasada, żeby z alkoholem postępować ostrożnie.

Wydawało się, że rodzina Lizzie nie wpoila jej podobnych zasad. Zeszłej nocy przyjaciółka stała się inną osobą, osobą, której Natalie nie znała i z pewnością nie polubiła.

– Przepraszam – odezwała się Natalie i usiadła na materacu. Po zaledwie kilku godzinach snu czuła się zmęczona. – Jestem twoją przyjaciółką, Lizzie, ale nie byłabym nią, gdybym udawała, że wczoraj nic się nie stało. Nie mam się wcale za żadną moralną wyrocznię. Możesz sypiać, z kim chcesz, ale ja nie mogę stać obok i być twoją druhną, jeśli ty w ogóle nie chcesz wyjść za Steve’a. Po co ten ślub, skoro masz zamiar sypiać z innymi?

– Ale ja chcę za niego wyjść! – zaprotestowała Lizzie.

– Byłam pijana, to był głupi wyskok. Naprawdę.

– Ale...

– Ale koniec już. Kocham Steve’a. Wczoraj się wygłupiłam, to wszystko. I on nie musi chyba o tym wiedzieć, prawda?

– Chyba nie.

Natalie otworzyła szufladę, w której trzymała czystą pościel. Wciąż nie mogła uwierzyć, że prowadzi z Lizzie taką rozmowę<sup>e</sup>. Jakby odkryła zupełnie nową twarz jednej ze swoich najstarszych przyjaciółek. Nie miała pojęcia, że Lizzie zdolna jest to jednorazowego numeru w przeddzień własnego ślubu, a potem przekonania samej siebie, że o ile nikt o niczym nie wie, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Przeraziła ją agresja pijanej Lizzie, ale teoria, że „wszystko wporzo, dopóki nikt nie wie”, była jeszcze gorsza. Lizzie by się załamała, gdyby Steve przespał się z inną kobietą. To nie w porządku, że do siebie przykłada inną miarę.

– Gdzie moja torebka? – spytała teraz, rozglądając się po pokoju.

– Zgubiłaś ją – przypomniała jej Natalie. – Szukałyśmy wszędzie, ale bez rezultatu. Właśnie, powinnaś zablokować swoją kartę kredytową.

– Cholera, miałam tam telefon, karty, wszystko! – lamentowała Lizzie. – Co ja powiem Steve’owi?

Natalie patrzyła obojętnie na swoją poukładaną czystą pościel. Najbardziej lubiła tę fioletową, w roślinne wzory, jej palce bezwiednie błądziły po gładziutkim miękkim perkalu.

– Nie jestem pewna, co powinnaś mu powiedzieć – odparła powoli.

– Wiem – oznajmiła Lizzie z pewnością siebie. – Powiemy, że obydwie wstawiliśmy się na całego, wróciliśmy tutaj i mimo że chciałam najpierw zamówić taksówkę do domu, ostatecznie zostałam, bo było bardzo późno. OK?

Wcale nie OK, pomyślała Natalie. Z drugiej strony, przecież chyba nie do niej należało naprawianie związku Lizzie i stanie na straży jej moralności.

– OK – powiedziała. Ale czuła się, jakby w żołądku miała kamienie.

### 3

*Naucz się mówić: nie. Dużo ćwicz. Powtarzaj to przynajmniej raz dziennie. I wiesz co? Będziesz coraz lepsza.*

Charlie usiadła z westchnieniem i zdjęła buty. Rozkosznie chłodne powietrze owiało jej stopy, a ona zaczęła ruszać palcami. Hatbox Cafe, przytulna restauracja na drugim piętrze domu towarowego Kenny's, była raczej pustawa. Godziny lunchu minęły, a jeszcze za wcześnie, by pojawili się chętni na popołudniową herbatkę i firmowe specjały: różowe ciasteczka z ozdóbkami w kształcie buczków w wielokolorowej polewie.

Lokal zachował swój pierwotny charakter. Stary pan Kenny, założyciel sklepu, czułby się tutaj jak w domu. Meble z drewna wiśniowego i mosiężne dodatki, secesyjna tapeta z piersiastymi kobietami ledwie mieszczącymi się w swoich greckich tunikach, obicia krzeseł z rubinowego aksamitu. Tylko personel nie nosił już czarno–białych strojów i koronkowych czepków, dawno zamieniwszy je na eleganckie granatowe mundurki oraz białe kelnerskie fartuchy. Karta dań również szła z duchem czasu.

Charlie miała dziś na lunch butelkę wody i kanapkę z razowego chleba. Przyniosła ze sobą czasopismo, które zabrała z pokoju dla personelu. Służyło jako przykrywka. Kiedy już była pewna, że nikt nie chce się dosiąść, więc ma chwilę wyłącznie dla siebie, wyjęła mały notatnik oraz długopis i zaczęła ukradkiem pisać.

*Moja mama nie ma sobie równych, jeśli chodzi o  
wpędzanie w poczucie winy.*

*Myślicie, że to żart? Otóż nie.*

*Zadzwoń do mnie za dziesięć ósma rano.*

– Charlie, leżę w łóżku z grypą. Czy mogłabyś po drodze do pracy odebrać mi rzeczy z pralni? Zaniiosłam tam moje najlepsze żakiety, te tweedowe, i niebieski płaszcz, a będą mi potrzebne.

Niewiele osób by uwierzyło, że dwie podróbki żakietów Chanel i niebieski wełniany płaszcz z około 1963 roku mogą spowodować, że dojrzała kobieta będzie chciała zabić gołymi rękami, a jednak. Pralnia chemiczna może się stać potężnym bodźcem.

– Naprawdę nie mam czasu. Za chwilę wychodzę, a muszę jeszcze zawieźć Mickeya do szkoły. Nie możesz zadzwonić do Iseult?

Chwila ciszy. I natychmiastowe skojarzenie z „czerwoną płachtą na byka”. Wiedziałam, że nie powinnam odmawiać, ale musiałam. To znaczy, nadzoruję dział Belle Organic w Kenny’s, a tam nie można się spóźniać. Poza tym mam trzynastoletniego syna, który najmniejsze nawet spóźnienie do szkoły traktuje z takim przerażeniem jak japoński kontroler ruchu pociągów niespodziewaną obecność zeschłego liścia na torach, więc nie mamy czasu ani na poranne telefony, ani na przystanki w pralni.

Chwila ciszy nagle się skończyła.

– Nie ma sprawy – warknęła moja matka. Mniej więcej jak lady Bracknell na metamfetaminie. – Sama pójdę. Wiesz, nie mogłam dziś w nocy spać. I mam coraz gorszy kaszel. Chyba nie dożyję kolejnej wiosny...

W tym momencie nachodzi mnie zawsze myśl, że gdyby tylko przestała palić trzydzieści papierosów dziennie, kaszel na pewno nie byłby gorszy, ale tego nie mówię. Tego ranka nie stać mnie na dalszą walkę o swoje.

– Odbiorę to pranie – poddaję się.

– Nie, jesteś zbyt zajęta. Sama to zrobię...

– Mamo, daj spokój, gdzieś to wcisnę.

– Nie, dziękuję ci, sama sobie poradzę. Nikt nie musi wciskać mnie w

swoje życie.

*I dźwięk rzuconej słuchawki. Mama zniszczyła w swoim życiu wiele telefonów i odmawia zakupu komórki, bo ta nie pozwala na satysfakcjonujące rzucenie słuchawką.*

*Brak komórki oznacza, że często kiedy dzwonię, nie odbiera, a ja wpadam wtedy w panikę, wyobrażając sobie, jak leży nieprzytomna na schodach albo zasnęła w wannie po ogromnym martini (potrójna porcja ginu i butelka wermutu w pobliżu), więc muszę wykryć i wykryć, aż w końcu odbiera z nieuniknioną pretensją:*

*– O co chodzi? Czy dziewczyna nie może spokojnie pójść do toalety?*

*Mama lubi mówić o sobie: dziewczyna. Rozpływa się często nad tym, jak to ona i jej przyjaciółki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych walczyły z tyranią Kościoła i państwa, dając Irlandii pigułkę antykoncepcyjną i prawa kobiet. Wspomina, jak „ta wspaniała dziewczyna” i „tamta kochana dziewczyna” stawiały czoła rozwścieczonym prawnikom wymachującym krzyżami. I to jest rzeczywiście piękne. Mama była częścią czegoś niesamowicie ważnego w czasach, gdy kobiety nie mogły kontrolować swojej płodności i odmawiano im wielu praw, które im się słusznie należały, i tak dalej, i tym podobnie, ale – nie wierzę, że w końcu to przyznają, mimo że tylko na papierze – strasznie mnie to irytuje. NIE MOGĘ TEGO ZNIEŚĆ! Bo słowo „dziewczyna” sugeruje słodycz, niewinność i pewną delikatność. A moja mama jest mniej więcej tak dziewczęca jak gang motocyklowy Anioły Piekieł.*

*Jest twarda – musiała być. Więc niech skończy z „dziewczętami”, błagam. Niech inni też zobaczą tę twardzielkę pod spodem, nie musi jej ukrywać tylko dla mnie.*

*Owszem, potrafi być dziewczęca, na przykład uśmiechać się słodko (szczególnie do mężczyzn) i trzepotać rzęsami – nigdy nie była z tych, co to*

*palą biustonosze. Należy do bardziej nowoczesnej odmiany, która nie ma nic przeciw temu, by czerwona szminka i push-up szły w parze z równymi wynagrodzeniami na tych samych stanowiskach.*

*Dla mnie, Córki Numer Dwa, nie sili się na uśmiechy i trzepotanie. Dostaję pouczenia, co robię w życiu źle: niewłaściwa fryzura, przybieranie na wadze („To postarza, Charlotte”) i wykonywanie zawodu sługusa, bo tak kwalifikuje moją pracę, to pierwsze pozycje na liście. Idealnie byłoby, gdybym silną ręką zarządzała własną firmą, zamiast stać za ladą domu towarowego i sprzedawać kobietom nadzieję w ślicznych buteleczkach. Idealnie Córki Numer Dwa zawdzięczałby swój sukces wyłącznie matce, często powtarzając: „To ona wszystkiego mnie nauczyła”.*

*Iseult, moja starsza siostra i Córka Numer Jeden, która jest piękna, mądra i odniosła sukces, nie otrzymuje takich pouczeń. Ona słyszy komplementy, a z gazet są wycinane wzmianki o niej. Iseult pisze sztuki teatralne. Napisała trzy, z których dwie zostały bardzo dobrze przyjęte, a jedna być może zostanie wystawiona na Broadwayu. Sztuki Iseult to kontynuacja dzieła matki, bo mama uważa Iseult za swoje najlepsze dzieło i ma album dokumentujący wszystkie jej sukcesy od pierwszej sztuki: jej ulubiony artykuł pochodzi z gazety wydanej w Galway, gdzie słynna pisarka i jej matka rozmawiają o łączących je relacjach, a Iseult mówi, oprócz sakramentalnego: „wszystko co umiem, zawdzięczam mamie”, że mama zawsze była tak piękna, że podobała się naszym kolegom bardziej niż którakolwiek z nas.*

*Mówiąc szczerze, nie bardzo przypominam sobie coś takiego, ale mama wzięła sobie tę wypowiedź do serca i bardzo ją spopularyzowała. Nie tylko osobiście odpowiada za emancypację kobiet w naszym ciemnym od wieków kraju, ale uważa się także za sobowtóra Pani Robinson z absolwenta”.*



*No dobra, chyba zaczynam zrzędzić. Przecież to nie wina biednej Iseult, nie zrozumcie mnie źle, Boże, w żadnym wypadku. Rzeczy po prostu tak się mają w naszej rodzinie, a rodziny bywają dziwne, czyż nie? I nasza, jak sądzę, wcale nie jest dziwniejsza od innych – tylko ja zwyczajnie sobie z tym nie radzę. W moim wieku powinnam być mądrzejsza. Niedługo skończę czterdziestkę, mam fantastycznego syna, cudownego męża, naprawdę nie mogę na nich narzekać. Chodzi tylko o mamę: doprowadza mnie do szału. A to chyba nie jest normalne?*

Charlie nigdy nie prowadziła dziennika, jakoś nie czuła potrzeby. W ich rodzinie to Iseult była pisarką, a Charlie wolała zachowywać swoje myśli dla siebie. Ale dziennik wdzięczności – to zupełnie inna sprawa. Słyszała pewna kobietę w radiu, mówiła o takim dzienniku, w którym zapisywała wszystkie rzeczy, za jakie była wdzięczna. Ostatecznie dzięki temu miała – się zdarzyć coś, co sprawi, że fakt pisania o wdzięczności zmieni się w odczuwanie prawdziwej wdzięczności. I tak się zaczęło, w okolicach Bożego Narodzenia.

*Jestem wdzięczna za dzisiejszy dzień, kiedy patrzyłam, jaki szczęśliwy był Mickey na treningu swojej drużyny piłkarskiej, taki radosny...*

*... Wczoraj wieczorem Brendan zabrał mnie do Chińczyka na górce i było cudownie. Bez żadnej specjalnej okazji, uznał, że fajnie będzie zrobić coś spontanicznie. I rzeczywiście. To głupie, że coś tak prostego daje mi tyle szczęścia, a jednak.*

*... Sprzedaż rośnie i David Kenny, główny szef, przyszedł nam pogratulować, z szampanem.*

*– Laurent Perrier, nie byle co – i było małe przyjętko. Razem z Shotsy siedziałyśmy w kącie, dochodząc do wniosku, że premie pewnie też pójdą w górę. Tak się cieszę, bo wciąż splącamy z Brendanem nasz ostatni remont, a Shotsy ma na oku mały czerwony MG.*

Dwa dni przed świętami, czyli po tygodniu czystej wdzięczności, nadszedł dzień, kiedy matka tak ją zirytowała, że jakakolwiek próba odczucia wdzięczności byłaby po prostu stratą czasu.

*Mama NIE przychodzi do nas na święta, mimo że w tym roku nasza kolej i musieliśmy zrezygnować z wyjazdu do Walii, do rodziny Brendana, która nas zapraszała. Po prostu beztrąsko oznajmiła mi, że wybiera się z Iseult do Biarritz, a kogo obchodzi, że przez tydzień przygotowywałam dla niej pokój i kupowałam jej ulubione smakołyki! Nie możemy już pojechać do Walii, bo przyjeżdża siostra Brendana i nie byłoby dla nas miejsca. A chcielibyśmy pojechać, bardzo. Jestem taka zła, że mogłabym krzyczeć.*

Co najdziwniejsze, zadziało. Charlie, która od studiów nie napisała ani jednego wypracowania, wypełniła całe siedem stron.

Kiedy skończyła, zamiast palącej złości na matkę, czuła niezwykły spokój. Gniew znikł jej z głowy – przeniósł się na papier. Zapisywanie słów miało w sobie coś magicznego. To prawdziwe czary. Złość w głowie zawsze pulsowała i dudniła, ta na papierze była płaska i nie miała nad nią żadnej mocy. Ale co z tego, skoro sam fakt pisania dziennika wciąż wzbudzał w niej wrzuty sumienia – czuła się wręcz zdrajczynią. Zapisywanie rzeczy, które ją denerwowały, to jeszcze nic złego, ale przecież ciągle denerwowała ją własna matka, i z tym było coś nie tak, bo wszyscy inni ją uwielbiali.

– Cudowna, można jej słuchać godzinami – mówili ludzie.

– W młodości musiała być nadzwyczaj piękna.

Charlie miała nadzieję, że tej ostatniej uwagi Kitty nigdy nie słyszała: wynikało z niej, że jej uroda należy do przeszłości, a Kitty Nelson nie zależało na byciu eks–pięknością. Chciała być „wciąż piękna jak na swój wiek”.

*Żałuję, że nie potrafię lepiej sobie z tym radzić, – pisała teraz. – Że ciągle się tak bardzo denerwuję. Albo, jak mówi Brendan, że nie umiem*

*nauczyć się tym nie denerwować. Ale ona po prostu ma dar mówienia dokładnie tego, co mnie wkurzy.*

*– Twoja matka tak świetnie potrafi pociągać za sznurki, bo to ona je zainstalowała – tłumaczy mi Brendan.*

*Myślę, że przeczytał to na jakiejś pocztówce. Wnerwią mnie, że dzisiejsze pocztówki niosą ze sobą mądrości na miarę Nietzschego.*

*– Odetnij się od niej z miłością – mówi z kolei Shotsy. Jeśli mi kiedyś wyjaśni, co to znaczy, chciałabym spróbować, ale póki co nie mam pojęcia...*

*– Charlie?*

Charlie aż podskoczyła na krześle, a długopis przejechał całą stronę, kreśląc na niej atramentowy zawijas, po czym upadł na podłogę. W zasadzie miała poczucie winy za każdym razem, gdy wyjmowała notatnik z kryjówki za naderwanym fragmentem wyściółki swojej czarnej torebki. Niezależnie od tego jak dobrze jej robiło zapisywanie uczuć, umarłaby, gdyby ktokolwiek to zobaczył.

*– Pisziesz listy miłosne? – usłyszała ironiczny głos. Dolores, która pracowała w Kenny's od wczesnej młodości, a teraz zbliżała się do emerytury, postawiła tacę na stole tuż obok nietkniętej kanapki Charlie.*

*– Nie – odpowiedziała wesoło, zamykając dziennik i wkładając go do torebki. – Robię kolejną listę, no wiesz – dodała niejasno.*

Uwielbiała listy. Według ekspertów cała sztuczka polegała na tym, by nie składały się ze zbyt wielu pozycji. Wtedy istniała realna szansa na osiągnięcie celu.

*– Nie cierpię list – poinformowała Dolores, mieszając cukier w swojej kawie. – Znalazłam kiedyś taką jedną sprzed lat, miałam wtedy czterdziestkę i zapisałam rzeczy, które chciałabym osiągnąć do czterdziestego pierwszego roku życia.*

– Na przykład co?

– Nowy samochód – nie używany, tylko nówka. Zrzucić dziesięć kilogramów. Znaleźć faceta moich marzeń... – westchnęła i zaczęła otwierać sos do sałatki. – Żadna z nich się nie wydarzyła, tyle mogę powiedzieć na temat cholernego zamawiania marzeń w kosmosie.

– Więc tak to działa? – Charlie od razu pożałowała tych słów. Nieszczęśliwe życie miłosne Dolores stanowiło temat wielu rozmów przy lunchach w Kenny's, i choć Charlie z całego serca życzyła jej miłości, szczęścia i podwójnej porcji George'a Clooneya z bitą śmietaną, nie była w tej chwili emocjonalnie przygotowana na kolejną sesję pod tytułem: „Nie ma już żadnych przyzwoitych facetów do wzięcia”.

– Jak widać nie – odparła żałośnie Dolores. – Chyba że nastąpi kumulacja, jak z procentem składanym. Jeśli zrobisz wystarczająco dużo list, w końcu coś ci się trafi. Może fakt, że jesteś wytrwała, ma znaczenie.

– Wytrwała w czym? W małżeństwie? W życiu? W pracy tutaj?

Shotsy, drobna, brązowa jak orzech włoski, z czupryną platynowoblond włosów, postawiła na stoliku filiżankę. Charlie bez patrzenia wiedziała, co w niej jest: potrójne espresso. Shotsy zarządzała działem z torebkami i akcesoriami, żyła modą i nikt dotąd nie widział, by do jej ust trafiało coś oprócz mocnych papierosów i czarnej kawy.

– W pracy nie jest tak źle – powiedziała Charlie, uśmiechając się do Shotsy.

– Mów za siebie – wymamrotała Dolores, sięgając po mleko, by dolać go do kawy.

– Mam nowiny – szepnęła do Charlie Shotsy.

– Co takiego? – z zaszępienia czoła Shotsy wnioskowała, że nie są zbyt dobre.

– Później – powiedziała tym razem bezgłośnie.

Shotsy odczekała, aż Dolores – raczej nie słynąca z dyskrecji – skończy lunch i opuści je.

– Nikomu nie mów – szepnęła ponownie – ale słyszałam, że w zeszłym tygodniu David spotkał się ze Stanleyem DeVerem.

Charlie ze zdziwienia aż otworzyła usta.

– Jesteś pewna?

DeVere's to pierwszoligowy dom towarowy, wysokiej klasy sieć z filiami w pięciu irlandzkich miastach i trzema największymi centrami handlowymi w kraju. Reprezentowali pieniądze. Duże pieniądze. Stanley DeVere był przeciwieństwem Davida Kenny'ego: nosił krzykliwe garnitury w prążki i uważał, że wymachiwanie niezapalonym cygarem utrwała w jakiś sposób jego wizerunek prawdziwego konesera. Charlie widziała go tylko w telewizji, ale od razu się jej nie spodobał. Nie było tajemnicą, że DeVere chętnie postawiłby kolejny sklep na gęsto zaludnionym wschodnim wybrzeżu kraju, a wykupienie Kenny's, z jego wspaniałą lokalizacją i renomą jedyne w swoim rodzaju klejnotu wśród domów towarowych, byłoby dla niego nie lada gratką. Tajemniczy nie stanowił również fakt, że David nie lubił Stanleya DeVerego i przysięgał, że nigdy nie sprzeda sklepu.

Spotkanie ze Stanleyem podawało tę przysięgę w wątpliwość.

– Ale po co? Myślałam, że Kenny's dobrze stoi – zareagowała Charlie.

– Przypuszczam, że chodzi o marże – powiedziała ze smutkiem Shotsy.

– Wszystko się o nie rozbija. Nie możemy cenowo konkurować z takimi jak DeVere. Kupują dziesięć razy więcej od nas. To samo jest z supermarketami, aptekami sieciowymi i marketami z wyposażeniem domu. Z nikim już nie jesteśmy w stanie konkurować. Ratuje nas jedynie fakt, że jesteśmy sklepem niszowym. Weź na przykład Organic Belle. Na razie firma jest ekskluzywna,

bo to pomaga marce, ale pewnego dnia wykupi ich jakiś gigant typu L'Oreal i nagle będą wszędzie – w każdym sklepie na świecie. A jak to się stanie, kłopoty murowane. Więc wcale dobrze nie stoimy, a światowy kryzys też nie pomaga. Kogo dziś stać na luksusy?

– To okropne – uznała Charlie.

– Ale przynajmniej wiemy, co się święci. Można się przygotować – zauważyła ponuro Shotsy. – W DeVere's mają własnych ludzi zajmujących się zakupami torebek i z pewnością nie potrzebują mnie. Gdzie kucharek sześć, i tak dalej.

– Ale ty jesteś w tym świetna – zaprotestowała Charlie.

– „Świetna” nic nie znaczy. To wrogie przejęcie i niezależnie od tego co nam powiedzą o płynnym połączeniu firm bez komplikacji dla personelu, to się nie ziści, nie w przypadku DeVere's i Kenny's, w których obowiązują tak odmienne zasady i filozofie funkcjonowania. Ludzie tacy jak ja staną się zbędni. Koniec, kaput. Szkoda, że nie można już palić w budynku.

Charlie wstała, wzięła dwa puste styropianowe kubki i postawiła jeden przed Shotsy.

– Przelej swoją kawę i chodź na dach. Będiesz mogła zapalić i swobodnie pogadamy.

– Myślałam, że matka skutecznie zniechęciła cię do nikotyny? – zauważyła Shotsy, przelewając espresso do kubka.

Shotsy jako jedna z niewielu rozumiała, że matka Charlie nie była do końca tą słodką rewolucyjną ślicznotką, za jaką chciała uchodzić.

– Trudno dorastać z taką matką – powiedziała, kiedy się poznały, w czasie jakiejś uroczystości w sklepie. – Na wszystko ma wyrobiony pogląd.

Charlie posłała jej wdzięczne spojrzenie. Shotsy nie należała do klubu fanów Kitty Nelson, skaperowanych wymruczanym „kochchanie” i hasłem,

że pozwoliła swoim córkom żyć własnym życiem, bo niedobrze jest narzucać im archaiczne kodeksy moralne.

– Nie znoszę zapachu tytoniu – mówiła teraz Charlie – ale chcę się wszystkiego dowiedzieć, a ty, żeby normalnie myśleć, musisz zapalić.

Taras na dachu był o wiele mniej atrakcyjny, niż mogła wskazywać nazwa – płaska powierzchnia otoczona ze wszystkich stron skośnymi płaszczyznami dachówek. Żeby tam wejść, musiały pokonać tylne schody, które wiodły obok księgowości i kontroli kredytów.

W końcu Charlie pchnęła stare metalowe drzwi i poczuły, ciągle jeszcze dysząc, chłodne powietrze słonecznego letniego popołudnia. Charlie trzęsła się cała z zimna, bo nie miała żakietu, ale mimo to odczekała, aż Shotsy zaciągnie się kilka razy, zanim zadała pytanie:

– No i co robimy?

– Trzymamy oczy i uszy otwarte i czekamy – odparła Shotsy.

– Tylko tyle: czekamy?

– Cóż więcej możemy zrobić? Jesteśmy w tym ulu tylko szarymi robotnicami.

Charlie objęła się ramionami.

– Jeśli DeVere's nas kupią, mogą wcale nie wprowadzić radykalnych zmian – zaczęła z nadzieją. – Skoro coś nie jest zepsute, po co to naprawiać, prawda? – Myślała, jak bardzo lubi swoją pracę, i jaka jest w niej dobra. Shotsy też świetnie sobie radziła z akcesoriami, rozumiejąc, że kobiety, których nigdy nie będzie stać na pełny zestaw markowych ciuchów, też lubią zadać szyku torebką czy okularami przeciwsłonecznymi znanego projektanta. Jak DeVere mógłby umniejszać to, co ma do zaoferowania personel Kenny's?

– Może i nie jest zepsute – zgodziła się Shotsy, gasząc papierosa – ale i tak będą chcieli to naprawić, żeby Kenny's nie był już Kenny's, tylko

DeVere's. Budowanie świadomości marki – dodała cicho – o to tu chodzi. Ludzie tacy jak ja należą do marki Kenny's i nie będą pasować do innej. Ale nie ma powodu, dla którego nie mieliby zatrzymać ciebie.

– Oprócz jednego – zauważyła Charlie. Właśnie przyszło jej do głowy coś potwornego. – W DeVere's nie sprzedają Organic Belle. Tak jak mówiłaś przed chwilą: Organic Belle chce być ekskluzywna, więc tu, na wschodzie, mamy ją tylko my.

My i Pathologie w Galway, potem jeszcze trzy sklepy w Cork i Kerry. No i teraz Harrods. To wszystko. Założę się, że De Vere's byli wściekli, że jej nie dostali. A jeśli postanowią olać Organic Belle, tak dla zasady, żeby wszystkim pokazać? Albo Organic Belle się wycofa? Co wtedy? Będę bez pracy.

– Zasady to jedna rzecz, a interesy – druga – powiedziała Shotsy. – W DeVere's nie pracują głupcy.

– Pozbycie się ciebie byłoby głupotą, a jednak jesteś pewna, że zrobiliby to – zripostowała Charlie.

– Odłóżmy martwienie się do czasu, aż będziemy wiedzieć, o co tu chodzi – Shotsy poprawiła swoje platynowe włosy i otworzyła drzwi prowadzące na piąte piętro. – Po prostu miej oczy otwarte. David to dobry człowiek. Gdyby sprzedawał sklep, na pewno pomyślałby też o pracownikach, prawda?

Nie powiedziała tego z przekonaniem, pomyślała Charlie. David Kenny był dobrym człowiekiem i troszczył się o personel. Ale jeśli miał powód, by sprzedać sklep, to może nie być w stanie zatroszczyć się o nich tak, jak to robił w przeszłości.

Przez resztę dnia na szczęście panował spory ruch i Charlie nie miała ani chwili na rozmyślanie. Na stoisku Belle Organic pracowały trzy ekspedientki,



ale to zawsze Charlie cieszyła się największym powodzeniem zarówno wśród nowych klientek, jak i stałych bywalczyń. Miała ten rodzaj empatii, który pozwalał jej zrozumieć, jak onieśmielony może się czuć człowiek po wejściu do eleganckiego domu towarowego, stając przed nienagannie umalowanymi kobietami za ladą.

Po części przyciągała dlatego, że nie odpowiadała stereotypowemu wizerunkowi olśniewającej piękności, która zwykle zajmowała miejsce w dziale z kosmetykami. Owszem, jej subtelny makijaż był bez zarzutu dzięki kursom, które ukończyła, gdy zgłosiła się do współpracy z Organic Belle, ale uznała, że nie chce wyglądać zbyt onieśmielająco ani niedostępnie.

Charlie była drobnej budowy, niemniej jednak zaokrąglona w odpowiednich miejscach, miała kasztanowe włosy upięte w schludny kucyk, okrągłą, bardzo miłą, uśmiechniętą twarz oraz nieco kocie oczy odziedziczone po matce. Nie została natomiast obdarowana delikatnymi rysami twarzy Kitty Nelson ani jej pełnymi ustami, które Kitty malowała różnymi odcieniami czerwieni: szkarłat, malina, rubin. Nie miała też tych długich, eleganckich nóg, które matka i siostra lubiły prezentować w komplecie z wysokimi szpilkami, przezroczystymi pończochami i sporą dozą pewności siebie.

Miała w sobie natomiast życzliwość, która przyciągała do niej ludzi.

Mąż wciąż próbował jej wytłumaczyć, jakie to ważne i że długie nogi czy zmysłowe usta ani wąska talia nie dorastają do pięt jej wrodzonej dobroci.

– Kiedy się uśmiechasz, w pokoju robi się jaśniej. Zdajesz sobie z tego sprawę? – mawiał.

– Brendan, przestań! – śmiała się Charlie i całowała go. Ale lubiła, kiedy tak mówił. Nie zaznała takiej dobroci od odejścia ojca.

Dorastając z matką i siostrą o tak silnych osobowościach, Charlie czuła

się często jak grubiułka myszka, która wśliznęła się do klatki lwów. Lwy zniewalały ludzi swoim wdziękiem i dzikością, a nikt nie mógł uwierzyć, że Charlie, która raczej słuchała niż mówiła, może być spokrewniona z Kitty i Iseult.

Jej mistrzem był ojciec. Co prawda potrafił stać się tak samo egoistycznym kotem jak żona i starsza córka, ale uwielbiał swoją małą Charlotte.

Aż kiedyś, pewnego okropnego dnia, kiedy Charlie miała piętnaście, a Iseult osiemnaście lat, spakował walizki i odszedł.

– Nie odchodzę od c i e b i e, Charlotte – powiedział Anthony Nelson, wyciągając z pudełka chusteczkę za chusteczką, by wycierać łzy Charlie. – Kocham cię, pamiętaj o tym.

– Ale odchodzisz – łkała Charlie.

– Po prostu nie potrafię już żyć z twoją mamą, Charlotte, nie umiem. Bóg mi świadkiem, że próbowałem, ale ona mnie niszczy... – przerwał i zmitygował się. – Dorośli czasem od siebie odchodzą, ale to nie znaczy, że opuszczają swoje dzieci. Kocham ciebie i Iseult i to się nigdy nie zmieni.

– Mogę pojechać z tobą?

Wydawał się zszokowany.

– Charlotte, dzieci nie mieszkają z ojcami. Mieszkają z matkami, przecież wiesz.

– Ale czy muszą? – szepnęła. Gdyby usłyszała to mama, na pewno wybuchnęłaby gniewem. Przez ostatnią godzinę poziom krzyków w domu i tak był już niebezpiecznie wysoki. Teraz zapanowała cisza, ale tylko dlatego że Kitty trzasnęła drzwiami dużego pokoju. Siedziała w nim teraz zamknięta i puszczała w kółko *It's too late*, niemal zagłuszając w ten sposób brzęk butelki z ginem. Ale gdyby tak wykradła się po cichu i podsłuchiwała, co Charlie mówi,

na pewno by się rozzłościła...

– Nigdy nie powiem ci złego słowa o twojej mamie, Charlotte – powiedział gwałtownie tata, trzymając ją za rękę.

– Ona was kocha, a Bóg wie to najlepiej, ma w sobie tyle pasji, że jeśli kocha, to kocha naprawdę. Nie znoszę mężczyzn, którzy rozstając się z żoną, próbują ją dyskredytować. Twoja mama jest wspaniałą kobietą, spójrz, czego dokonała, zobacz, ile robi dla ciebie.

Charlie pomyślała o swojej koleżance Suzy, której mama siadała wieczorami na jej łóżku i pytała, jak minął dzień, a potem mówiła Suzy, jak bardzo ją kocha i jaka jest z niej dumna.

Charlie też by tak chciała, ale to nie było w stylu jej mamy. Zresztą mama gardziła matką Suzy.

– Ta kobieta to koszmar! Czy ty naprawdę musisz się przyjaźnić akurat z Suzy? Jest takim mdłym dzieckiem. No dobrze już, poddaję się. Idź do niej, jeśli musisz, ale jak po ciebie przyjadę, żebyś mi czekała przed bramą. Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych bzdur, jaka Suzy jest wspaniała i że na wakacje jadą pod namiot czy coś równie potwornego. Kto, do cholery, jeździ pod namiot? No owszem, byliśmy z dziewczętami na kempingu w Paryżu – ale to zupełnie inna sprawa. Brałyśmy udział w demonstracji Women and Power i nie miałyśmy grosza przy duszy.

Po czym nastąpił opis wspaniałych przygód, jakie wtedy przeżyła, włącznie z nocą na Montmartre z facetem, który odpalał jednego gauloise'a od drugiego i zamierzał wyrzeźbić ją jako Mariannę, bo była przecież celtycką Marianną. I och, był też ten cudny sklep w Maras, gdzie Kitty kupiła używaną sukienkę od Schiaparelli, którą wszyscy podziwiali. A mężczyźni na jej widok padali jak muchy. Po prostu padali.

– Twoja mama wiele dla was poświęciła, dziewczynki – kontynuował

tata. – Nie zapominajcie o tym. Byłaby zdruzgotana, gdyby was nie miała. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak mógłbym zrobić jej coś takiego.

Przez chwilę wydawał się zagubiony w myślach, a Charlie wiedziała, że zastanawia się nad jej niewdzięcznością. Miał rację, mama była wspaniała, naprawdę. Dzieci nie zostawiają swoich mam. To grzech. Bycie matką jest trudne, a jeśli mama czasem krzyczy, to dlatego, że dzieci ją do tego doprowadzają. Więc Charlie była złym człowiekiem, że nawet pomyślała o opuszczeniu swojej mamy.

Spojrzała na ojca i zobaczyła, że ma wilgotne oczy. Wtedy poczuła, że jakaś jej część skuliła się i umarła. Wyznała swojemu ukochanemu tatusiowi coś złego i teraz on się na nią zdenerwował. Było jej strasznie wstyd.

– Kocham cię, Charlotte – powiedział przed wyjściem.

Charlie skinęła głową, ale się nie odezwała. Nie śmiała, bo bała się, że zacznie płakać. Mówienie prawdy nie może być dobre, kiedy to, co się czuje w środku, jest takie złe.

Kiedy skończyła dwadzieścia cztery lata, poznała Brendana i on wszystko zmienił. Sprawił, że poczuła się kimś specjalnym i bardzo cennym. Od ich pierwszego spotkania wiedziała, że jest miłością jej życia. Przyzwyczajona do burzliwej atmosfery swojego domu, w którym napięcie to rosło, to opadało, w dodatku w zawrotnym tempie, teraz, spędzając czas z Brendanem, przekonała się, że ludzie mogą być spokojni i uprzejmi w stosunku do siebie. Nikt w domu Brendana nie krzychał na innych tylko dlatego, że akurat miał zły humor.

Po sześciu miesiącach zamieszkali razem, po roku byli już małżeństwem.

– Marnujesz swoje życie – mówiła z wściekłością matka. – Przecież on pracuje w banku. Nigdy do niczego nie dojdzie.

*Przecież wcale nie chodzi o to, żeby do czegoś dochodził, pomyślała Charlie, ale się nie odezwała. Przecież właśnie tę zasadę matka zawsze głosiła: nie ma sensu udawać Kopciuszka i czekać na księcia z bajki. Musisz być swoim własnym księciem.*

Miała dobrą pracę w firmie telekomunikacyjnej. Razem z Brendanem zarabiali wystarczająco, by wziąć kredyt na dom. Razem mogli to zrobić. Ale teraz matka stwierdziła, że tu wcale nie chodzi o razem – Brendan powinien być w stanie sam zapewnić dobrobyt im obojgu, tylko wtedy to się liczy.

Po urodzeniu Mikeya zrezygnowała z pracy – następna bomba.

– Nie możesz teraz odejść! Masz coś przeciwko żłobkom? – chciała wiedzieć Kitty.

– Są drogie. Będę pracować tylko po to, żeby zapłacić za żłobek i płacić za żłobek, żebym mogła pracować. To błędne koło. Postanowiliśmy, że zostanę w domu, aż Mickey pójdzie do szkoły, i już.

– Zrujnujesz sobie karierę! Czy ja cię niczego nie nauczyłam?!

Jak się okazało, kariera Charlie nie została zrujnowana, choć kiedy Mikey poszedł do szkoły i zaczęła szukać pracy, była co najmniej przerażona. W sumie to kto chciałby ją zatrudnić? Kiedy w dawnej firmie powiedzieli, że nie mają wolnych etatów, wydawało się, że matka miała rację. Ale potem przyjęli ją w Organic Belle, firmie kosmetycznej, która właśnie pojawiła się na rynku. Okazało się, że Charlie potrafi sprzedawać kosmetyki. Szło jej tak dobrze, że rok temu została kierownikiem, co oznaczało więcej pieniędzy i więcej odpowiedzialności. Bardzo się jej spodobała ta nowa rola.

Brendan też piął się po szczeblach kariery, ale bank nie mianował go jeszcze kierownikiem, a to jedyne stanowisko, które mogłaby zaakceptować teściowa.

Ich życie kręciło się wokół Mickeya. Kiedy dorastał, Charlie dojrzewiała

wraz z nim, zdając sobie sprawę, że choć nie robi zawrotnej kariery, jakiej życzyłaby sobie mama, zajmuje szczególne miejsce w świecie pewnego małego chłopca i jego ojca i tak naprawdę tylko to się liczy.

Macierzyństwo nauczyło ją ufać własnej intuicji. Nauczyło ją też czegoś, czego wolałaby może nie wiedzieć: że istnieje wiele sposobów na bycie matką, a dawanie dziecku odczuć, że mama poświęciła dla niego swoje wspaniałe życie, to nie najlepszy pomysł. Ta myśl pozostała gdzieś w zakamarku jej mózgu. Ktoś może być dobry w jednym, na przykład w walce o równouprawnienie, i jednocześnie być okropny w czymś innym, na przykład w roli troskliwej i kochającej matki.

Nie ma prawa, które mówiłoby, że człowiek musi umieć i to, i to. Jedno w zupełności wystarczy. Ale świadomość swoich umiejętności w tych dziedzinach jest kwestią dość istotną. Charlie wychowano na kobietę niezależną, jednak odkryła, że to właśnie rodzicielstwo daje jej najwięcej satysfakcji. Bolało ją tylko to, że matka z taką pogardą traktowała tę stronę życia, która dla niej była taka ważna.

Kiedy w sklepie zrobiło się trochę luźniej, Charlie wykorzystwała ten moment, by zapytać Karen, która była u niej na praktyce, jak sobie radzi. Lubiała pracować z praktykantką – mi, ekscytowało ją spotkanie z kimś, kto uczy się o Organic Belle, szczególnie jeśli tak jak ona wcześniej, wraca do pracy po przedłużonym urlopie wychowawczym.

Karen miała czterdzieści lat i wciąż jeszcze denerwowała się nową pracą, mimo że była kiedyś asystentką wielkiego biznesmena.

– To było wtedy, teraz jest teraz – mówiła do Charlie.

– Dziesięć lat to długa przerwa. Wydaje mi się, jakbym udawała kobietę pracującą. Czuję, że klientka zaraz mi powie, żebym wyszła z za tej lady i zawołała kogoś prawdziwego.

– Jesteś świetna – przekonywała ją Charlie. — **I** masz dobry kontakt z ludźmi. Na początku też tak się czułam, byłam tak samo zdenerwowana.

– To miłe z twojej strony, Charlie, ale tylko tak mówisz – odparła nieuspokojona Karen. – Niemożliwe, żebyś ty się denerwowała. Spójrz tylko na siebie – całkowity spokój i profesjonalizm. Nigdy ci nie dorównam.

– Zaufaj mi – powiedziała Charlie. – Denerwowałam się tak samo jak ty. Jeśli nie wierzysz sobie, uwierz mnie. A ja ci mówię, że dasz sobie radę.

Kiedy Karen odeszła do klientki, Charlie pomyślała, jakie to dziwne, że jej współpracownicy odbierali ją jako spokojną profesjonalistkę, podczas gdy w oczach matki była niezdecydowana i pozbawiona ambicji. To syndrom rodzinnego zaszufładowania: rodzina wkłada cię do konkretnej szufladki, jeszcze kiedy jesteś mała, a gdy już się tam znajdziesz, nie wyjdiesz z niej – przynajmniej nie w ich głowach.

Charlie utknęła w szufladce z napisem *zahukana, nigdy do niczego nie dojdzie*, i tam miała już pozostać.

No cóż, postanowiła jednak, że nie zostanie, dla nikogo.

Dziś pracowała do wieczora, więc o szóstej Brendan odbierze Mikeya z domu kolegi i razem przygotują obiad. Brendan uczył Mickeya gotować i powoli przerabiali książkę Jamiego Olivera. Okazuje się zresztą, że Mickey ma duży talent w tym zakresie i rozwija się tak szybko, iż wkrótce prześcignie tatę.

– Tato, patrz – mówił Mickey zeszłego wieczoru, biorąc ostry nóż i krojąc cukinię, powoli, ale pewnie. – O, tak, widzisz, bokiem. Powinny być proste, wszystkie takie same.

Mickey miał ciemną cerę, tak jak ojciec, duże brązowe oczy i nastroszone włosy, które spadały mu na czoło, gdy pracował. Skoncentrowany na krojeniu cukinii wystawiał lekko język. To w połączeniu

z intensywnością wyrazu jego młodej twarzy ścisnęło Charlie serce. Tak szybko rósł.

– Kiedy już otworzysz własną restaurację, będziemy przychodzić codziennie – powiedział z dumą Brendan.

– Dobra – odparł syn, nie przerywając krojenia – ale płacicie jak wszyscy. Muszę przecież zarobić!

– OK, ustawimy się, jak wszyscy, w długiej kolejce do wejścia – zapewniła Charlie.

Mickey się zastanowił.

– Nie, w porządku, możecie wchodzić bez kolejki.

– Dlaczego? – zapytała Charlie, mierzwiąc mu włosy.

– Bo będziemy zbyt starzy i pomarszczeni, a to może odstraszyć gości?

Mickey zachichotał. Szeroki uśmiech ożywił mu twarz i oczy.

– No dobra. Możecie jeść za darmo.

– Tak samo jak ty tutaj – roześmiała się jego mama.

– Wszyscy jedzą za darmo.

Dziś robili gulasz wołowy i Charlie już się nie mogła doczekać. Żeby mieć swój wkład, w dziale spożywczym kupiła strudel jabłkowy, a w lodówce mieli śmietanę. Niezależnie od wielkości dania głównego i Brendan, i Mickey potrafili spałaszować każdą ilość deseru. W zeszłym roku Mickey wystrzelił w górę, dorównując ojcu, i mógł bić rekordy w jedzeniu bez szwanku dla szczupłej sylwetki.

Było po siódmej, kiedy doszła do samochodu, wysłużonego citroena, do którego mimo jego stanu była bardzo przywiązana. Położyła torebkę, włączyła ogrzewanie, żeby rozgonić zimowy chłód i zadzwoniła do domu.

– Cześć, kochanie – powiedziała do Brendana. – Jak minął dzień?

– Cześć, Charlie. No wiesz, jak zwykle. W każdym razie skończył się i o



to chodzi. A co u ciebie?

Charlie przypomniała sobie nowiny Shotsy. Zwykle mówiła Brendanowi wszystko – no, prawie wszystko. Czasami przemilczała sprawy związane z matką, bo Brendan nie potrafił znieść niektórych opinii wygłaszanych przez Kitty. Ale dziś nie chciała niszczyć tego wieczoru i wyciągać sprawy DeVere's. Powie mu jutro albo może w weekend.

– Dobrze – odpowiedziała. – Czy szef kuchni już zaczął?

– Brązowi właśnie wołowinę.

– Niesamowite – odparła zdumiona. Znała wiele osób, które mówiły o swoich nastoletnich pociechach, jakby te za chwilę miały zostać młodocianymi przestępcami, a tu proszę, ona i Brendan mieli to cudowne dziecko, które raz w tygodniu przyrządza dla nich kolację. Owszem, czasami narzekał, i zostawiał w swoim pokoju porzucone śmierdzące skarpetki czy strój na rower, i robił się głuchy, gdy siadał ze swoją Playstation. Ale nigdy nie krzyczał, że nikt go nie rozumie, i nie mówił rodzicom, że ich nienawidzi, co zdawało się normą. Kiedy Charlie myślała o swoim ukochanym Mickeyu, czuła się szczęściarą.

– Ja w wieku trzynastu lat nie wiedziałem, jak przybraćować wołowinę – dodał Brendan.

– Ani ja – stwierdziła Charlie. Trudno się dziwić, pomyślała zaraz, biorąc pod uwagę, że gotowanie nie należało do czynności celebrowanych w domu Nelsonów. – I być może już nie będę musiała, skoro ciągle robi to Mickey.

– Jest lepszym kucharzem niż my oboje – z żalem przyznał Brendan. – Masz coś na deser?

– Kochasz mnie tylko dlatego, że pracuję w Kenny's – droczyła się Charlie.

- Czy to znaczy: tak?
- Tak, łakomczuchu. Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Wracasz już?
- Właśnie wyjeżdżam.
- Jedź ostrożnie.

Charlie się rozłączyła i skasowała wiadomość o nieodebranym połączeniu. Matka dzwoniła dwa razy. Pierwszy raz za pięć trzecia, a potem pół godziny później. W Kenny's obowiązywała zasada, że personel nie nosi swoich komórek w godzinach pracy, chyba że istnieje ku temu jakiś szczególny powód. Więc Charlie, tak jak większość osób, zostawiała swoją w szafce razem z torebką. Brendan, Mickey i jego szkoła mieli bezpośredni numer na stoisko Organic Belle, by w razie konieczności móc się z nią skontaktować. Dlatego jedyną osobą, która zostawiała jej na komórce niecierpiące zwłoki wiadomości, była jej matka.

*Siedzę u lekarza, w poczekalni. Poczulałam się słabo i wezwałam taksówkę. W dodatku jest długa kolejka. Ale doktor Flannery na pewno szybko mnie przyjmie. Wie, że mam kłopoty z sercem, więc mój stan jest na pewno poważniejszy niż innych. Zadzwoń, jak znajdziesz czas. Ktoś musi mnie zawieźć do domu.*

Charlie poczuła znajome napięcie w skroni, które niechybnie zwiastowało okropny ból głowy, i zastanawiała się, czy ma w torebce ibuprofen. Tylko mama mogła zostawić taką wiadomość. Za nic miała cierpienie innych i rozprawiała o tym głośno, podczas gdy cała poczekalnia słuchała.

Druga wiadomość była bardzo lakoniczna:

*Doktor Flannery chce mi zbadać cholesterol. Jest zaniepokojony. Ja zresztą też. Już rano wiedziałam, że coś jest nie tak. Będę w domu, jeśli*

*znajdziesz czas, żeby zadzwonić.*

Charlie wyszła z menu i całkowicie wyłączyła telefon. Czy to miała na myśli Shotsy, mówiąc, żeby „odciąć się z miłością”? Charlie nie była pewna. Rano nowiny Shotsy, a na koniec podwójne uderzenie matki – czuła się skonana. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, zjeść z rodziną kolację i z nikim innym już nie rozmawiać. Nie miała ochoty być teraz na każde zawołanie mamy. Czy to zbyt wiele?

TTLRR

## 4

*Kiedy jesteś zdenerwowana, nie wyciągaj wszystkich dawnych urazów, które chowasz na dnie serca. To tylko pogorszy sprawę.*

Walentynki wypadły w piątek. W drodze do pracy, mijając na ulicy mężczyznę z bukietem czerwonych róż, Ingrid pomyślała o córce, która się szykuje na ślub Lizzie. W budynku telewizji, w holu przy recepcji, strażnik ciągnął przez drzwi ogromny wór z pocztą od fanów, pełen czerwonych kopert. Trzeba je było dostarczyć do adresata.

– Walentynki dla Kena Devlina? – zapytała.

– Nie wiem, co one w nim widzą – wymamrotał strażnik, dysząc. – Brzydki jak noc, a na dodatek karzeł. Góra metr pięćdziesiąt pięć. Karzeł. No jasne, w telewizji wygląda na wyższego.

Ingrid pokiwała niezobowiązująco głową, myśląc o Marcelli. Dla jednych karzeł, dla innych bóg miłości.

Chyba nie da się uciec przed świętym Walentym, nawet w pracy. Zespół *Wieczoru z polityką* podzielił się na dwa obozy: jedni uważali walentynki za okrutny chwyt marketingowy wymyślony przez kwiaciarnie i producentów pocztówek, drudzy widzieli w nim ekspresję czystego romantyzmu polegającego na wyznaniu publicznie swojej miłości i okraszeniu tego wyznania bukietem kwiatów lub pudełkiem czekoladek.

Ingrid zauważyła, że punkt widzenia w tym przypadku idzie w parze z aktualnym stanem spraw sercowych u delikwenta. Martin, jeden z producentów, był w trakcie bardzo nieprzyjemnej sprawy rozwodowej, więc mamrotał coś ponuro, że tabuny samochodów dostarczających kwiaty niemal

straciły go z roweru w drodze do pracy.

– Strata czasu i pieniędzy – warknął w którymś momencie. – To w ogóle nic nie znaczy. Kup jej kwiaty, podetnij sobie żyły i co tylko chcesz! A te zdziury i tak mają to gdzieś.

Ingrid bardzo współczuła Martinowi, bo wiarygodne źródła donosiły, że jego żona wynajęła jedną z najlepszych prawniczek od rozwodów, kobietę, której motto brzmi: „Zabierz mu wszystko, co ma”. Nie jest może chwytlive, ale skuteczne. Wściekle eks-żony ustawiały się do niej w kolejce.

Tymczasem Jeri, asystentka producenta, zakochała się na umór w mężczyźnie, którego poznała na randce w ciemno – nauczycielu, podobno „... miłym i zabawnym właścicielu psa, biorącym udział w triathlonach! ”. Chodziła otoczona widoczną aurą, która się pojawia jedynie po otrzymaniu publicznego wyznania uczucia, informującego kolegów z pracy, że jest się dla kogoś Kimś Szczególnie Ważnym.

– Dwadzieścia cztery czerwone róże – szepnęła Gloria, asystentka Ingrid – i miś z czerwonym satynowym serduszkim z napisem „I love you”.

– Cudowne – odparła z zadowoleniem Ingrid. Miała nadzieję, że to przetrwa, bo Jeri to kochana dziewczyna i zasługuje na kogoś wartościowego.

– Poczekaj, aż zobaczysz własny bukiet – dodała Gloria.

Ingrid się zdziwiła. David zwykle nie bawił się w czerwone róże.

– Chyba że to jakiś potajemny kochanek – kontynuowała Gloria, widząc jej zaskoczenie. – Ja uznałam, że są od Davida...

Ingrid wybuchnęła śmiechem.

– Kochanek, rzeczywiście! Gloria, a skąd ja bym wzięła na to czas? Wyobrażasz sobie, jaki ubaw mieliby politycy, gdyby się okazało, że ukrywam kochanka? Nigdy nie odpowiedzieliby już na żadne moje pytanie – uśmiechaliby się na wizji z wyższością i czekali na okazję, by powiedzieć:

„Żadnych pytań, pani Fitzgerald, dopóki nie powie nam pani, gdzie spędziła zeszłą sobotę”...

Gloria zachichotała.

Na widok bukietu z kremowych róż Vendella Ingrid pomyślała, że tylko kochanek o wysublimowanym wyczuciu smaku i z górami pieniędzy przysłałby coś tak pięknego. W kryształowym wazonie, przybrane blad różową bibułą i zawiązaną ręcznie kokardką, były po prostu prześliczne.

Zdziwiła się, z jakim wzruszeniem przeczytała karteczkę: *Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek, kocham, David.*

Ona nic dla niego nie miała, rzadko wymieniali teraz kartki czy prezenty w dzień świętego Walentego. David nie był typem romantyka, zresztą romantyzm nie powinien zostać ograniczony do jednego dnia w roku, uważała Ingrid, często rozwijając ten temat. A jednak proszę, siedziała tu zauroczona jak nastolatka widokiem swojego pięknego bukietu.

David był niesamowity. Wciąż, po tylu latach, potrafił ją zaskoczyć.

Szkoda, że nie może zjeść z nim lunchu i mu podziękować, ale spotyka się dziś z siostrami. Raz w miesiącu umawiały się na lunch, nie mogła ich zawieść.

Ale mogła przecież upichcić wieczorem coś specjalnego. Może poprosi panią Hendron, gosposię, która przychodzi dwa razy w tygodniu, żeby kupiła jakąś rybę, a ona przyrządzi swoją popisową zapiekankę, za którą David przepada, ale jada rzadko, bo przygotowanie dania jest czasochłonne i skomplikowane. Zadzwoiła na bezpośredni numer Davida w Kenny's. Odebrała Stacey, jego asystentka.

– Dzień dobry – powiedziała zaskoczona Ingrid. Osobista linia Davida była nienaruszalna. Nikt poza nim nie odbierał tych telefonów.

– Dzień dobry, pani Ingrid – zaczęła Stacey. – Pan prezes jest na

spotkaniu. To nie powinno już zbyt długo potrwać, powiem mu, że pani dzwoniła, jak tylko wróci.

– Och, to nic takiego – odparła Ingrid. – Chciałam mu tylko podziękować za kwiaty.

Znów poczuła ten przyjemny dreszcz. Jej mężczyzna przysłał jej kwiaty. Czyżby ostatecznie w wieku średnim zamieniała się w słodką nastolatkę?

– Podobają się pani? – spytała trochę natarczywie Stacey. – To nowa seria w dziale z prezentami z ostatniej chwili, przyszły w zeszłym tygodniu i słyszę, że wprost sfruwają dziś z półek. Wszystko to pomysł Claudii, ta dziewczyna to skarb, mówię pani. Jest tu dopiero kilka miesięcy, ale radzi sobie doskonale, warta swojej wagi w złocie. Uparła się, żeby wszyscy panowie wysłali swoim żonom kwiaty – relacjonowała prostodusznie.

Ingrid w jednej chwili doszła do siebie.

– Tak, są śliczne – odparła automatycznie. – Wspaniały ten pomysł Claudii.

– Jest taka młoda i energiczna, zawsze na pełnych obrotach – asystentka mówiła dalej. – Siedzi do późna, pracuje nad nowymi pomysłami. Nie wiem, co pan prezes by bez niej zrobił.

– Tak, ja również – zgodziła się z nią Ingrid.

Tego ranka nie mogła się jakoś skupić na pracy. Na zebraniu przed jutrzejszym programem, czyli specjalnym weekendowym wydaniem na temat wyborów uzupełniających, wszyscy roztrząsali, jakie skutki dla rządu będzie miał niekorzystny wynik. Wydrukowali stare sondaże i wskaźniki poparcia dla kandydatów, porównywali dzisiejszą sytuację z analogiczną sprzed lat. Myśli Ingrid krążyły gdzieś bez celu, wracały do dziwnego nastroju Davida i kwiatów wysłanych rzekomo przez Claudię. Coś było nie tak, ale nie potrafiła

powiedzieć co.

David ją kochał, tego była pewna, ale martwił się czymś i nic jej nie mówił. Nie był typem człowieka, który by ją zdradzał. Mogłaby się założyć o własne życie. Ale coś się działo.

Miał kłopoty w pracy i nie chciał jej o nich powiedzieć. Wiedziała, że w zeszłym roku interesy nie szły zbyt dobrze. Była dyrektorem firmy, choć nie aktywnym, więc znała wyniki finansowe. Ale gdyby problem był poważny, David zwołałby zebranie dyrektorów i na pewno by ją zaprosił, wraz z Timem, głównym dyrektorem finansowym, i Leną, dyrektorem do spraw marketingu. Nie zrobił tego jednak.

Mężczyźni! – mruknęła pod nosem.

– Ingrid?

Wszyscy obecni przy stole konferencyjnym przyglądali się jej znad swoich filiżanek z kawą.

– Właśnie sobie przypomniałam, że mają dziś przyjść naprawić mi komputer – zaimprovizowała.

Wszyscy pokiwali głowami: fachowcy i ich z kosmosu wzięte godziny wizyt – każdy to rozumiał.

Ed, dyrektor, opowiedział nawet historyjkę o fachowcu od zmywarki, o którego względy nieźle musiał zabiegać, żeby ten w końcu łaskawie zgodził się przyjść.

– Tak to jest, kiedy się ma zmywarkę z dwoma osobnymi komorami – droczyła się z nim Jeri.

W końcu zebranie zakończono.

Ingrid miała sporo pracy, ale mowy nie było, żeby mogła się na niej skupić, skoro myślami krążyła zupełnie gdzie indziej.

Położyła papiery na biurku i wzięła torebkę.



– Gloria, wychodzę dziś wcześniej na lunch.

– Z siostrami? – Gloria знаła Florę i Sigrid. Były zupełnie inne niż Ingrid, no jasne – przecież ona była niepowtarzalna. Ale obydwie to wspaniałe kobiety i w wystarczającym stopniu ekscentryczne, żeby Gloria się przekonała, że to rodzinna cecha Fitzgeraldów.

– Tak, mogę wrócić później.

Ingrid miała już plan – po lunchu wpadnie do Kenny’s. W pracy nie było nic tak pilnego, żeby nie mogło poczekać do jutra. A to... c z u ł a, że to jest pilne.

W samochodzie specjalnie nastawiła radio głośno, żeby w drodze do Ardagh nie zostać sam na sam ze swoimi myślami. Ale nie mogła się ich pozbyć. To uczucie, że z Davidem coś jest nie tak, dręczyło ją już od kilku tygodni.

Ingrid zwykle nie działała impulsywnie, była ostrożna, rozważna, starała się myśleć trzeźwo. Ale nie dziś.

Wiedziała o Claudii. David zawsze opowiadał jej o wszystkim, co się działo w Kenny’s. Claudia była zastępczynią Leny, zawsze opanowanej Leny, która kierowała działem rozwoju i nowych produktów. Jej zadaniem było wymyślanie nowych strategii marketingowych i ochrona ich marki. Jeśli ktoś miał pomysł, szedł do Leny, a ona dbała o to, żeby spełniał standardy jakości Kenny’s.

Claudię zatrudniono, żeby wzmocnić zespół Leny. Ingrid pamiętała proces rekrutacji, kiedy David siedział w salonie nad przysłanymi CV. Ingrid uwielbiała je czytać, bo stanowiły cudowne obrazy ludzi i ich życia.

– Nie wiedziałam, że kandydaci wpisują jeszcze lotniarstwo w rubryce zainteresowania – zauważyła, przeglądając je, najzwyczajniej zafascynowana. Był czas, kiedy każdy wpisywał lotniarstwo, nurkowanie

albo czytanie starych francuskich powieści, chcąc w ten sposób zwrócić ma sobie uwagę. Ale teraz zainteresowania stawały się coraz bardziej realistyczne, więc jeśli ktoś wpisywał „podróże po Indiach na rowerze”, istniało spore prawdopodobieństwo, że rzeczywiście to robił. W przeciwieństwie do mitycznych skoków ze spadochronem.

– Pokaż – David przyglądał się dokumentowi przez swoje okulary. – Nie – powiedział. – Nie spodobał mi się. Zbyt pewny siebie. Nie podziękował Stacey za kawę.

Ingrid się roześmiała. Gdyby facet przeszedł szkolenie u Marcelli, wiedziałby, że sposób traktowania osób teoretycznie nieważnych stanowił ważny element oceny kandydatów. Nieuprzejmość w stosunku do kogoś, kto podaje herbatę, to fatalny błąd. Nigdy nie zatrudniłaby kogoś takiego.

– O, ale ta była dobra – kontynuował David, biorąc kolejne CV i podając je Ingrid.

Claudia Mills miała dwadzieścia osiem lat, magisterium z marketingu i rozwoju biznesu. Przez rok pracowała w Stanach, a teraz bardzo chciała wrócić do kraju.

– Ładna – powiedziała, podziwiając profesjonalne kolorowe zdjęcie ciemnookiej kobiety. Pewny siebie wyraz twarzy, lśniące brązowe włosy ułożone w klasyczny bob i błyszczący na ustach. – I seksowna.

– O to już musisz zapytać Lenę – stwierdził David. – Ona zauważa takie rzeczy, ja po prostu szukam człowieka, który nadaje się do tej pracy.

David nigdy jej nie zdradził. Nawet przez moment w swoim życiu tak nie pomyślała. Ale fakt, że pracownica z najkrótszym stażem upiera się, żeby wszyscy, włącznie z szefem, wysłali swoim żonom kwiaty na walentynki, wzbudził w Ingrid podejrzenia. Tylko flirciara albo kobieta bardzo pewna swojej pozycji mogła zrobić coś takiego. Co więcej, była to rozmyślna

zniewaga dla zainteresowanych kobiet, jakby im mówiła: „Twój mąż sam by o tym nie pomyślał, ale poprosiłam go, więc wysłał ci kwiaty”. Bardzo subtelna, ale jednak zniewaga.

Siostry Ingrid, Sigrid i Flora, były odpowiednio o dziesięć i dwanaście lat starsze. Ona była ulubieńcem rodziny, kochanym „wypadkiem przy pracy”, „wpadką”, która rosła otoczona miłością i dobrocią.

Pasją Flory była muzyka. Uczyła gry na pianinie i żyła w rozkosznym szczęściu w małym domku w Wexford razem z Brid, nauczycielką gry na wiolonczeli. Była mężatką, miała troje dorosłych dzieci i wszystkie je całkowicie zaskoczyła, gdy odeszła od nieco zdeprimowanego męża Paula do Brid.

Miała wtedy pięćdziesiąt pięć lat. Teraz, kiedy się zbliża do siedemdziesiątki, oprócz narzekań na niepewny kręgosłup twierdzi, że nigdy nie była szczęśliwsza. Dzieci odwiedzały ją już z własnymi dziećmi, jej wnukami, Paul co wtorek przyjeżdżał na obiad, a Brid i Flora planowały wybrać się w kwietniu do Rzymu wraz z grupą swoich dorosłych uczniów.

– Idziemy też na specjalną mszę w Watykanie – mówiła. – Tak się cieszę.

Wszystko to zorganizował kuzyn Brid, ksiądz w seminarium Irish College w Rzymie. Ani Flora, ani Brid nie widziały nic dziwnego w tym, że dwie kobiety, które żyją raczej wbrew zasadom Kościoła, odwiedzają Stolicę Apostolską mimo jej ostrego potępienia związków lesbijskich.

Z drugiej strony Ingrid wiedziała, że nikt ich stamtąd nie wyrzuci, bo dla całego świata wyglądały jak dwie spokojne nauczycielki muzyki, które najbardziej lubiły spędzać czas przy Mozarcie i kubku kakao.

Pilnowała się, żeby nic takiego nie powiedzieć przy Florze, bo każdy, kto wyciągnąłby takie wnioski, natychmiast zostałby poinformowany, że

Flore i Brid łączy zdrowy związek homoseksualny, dziękuję bardzo.

– Dlaczego młodzi ludzie sądzą, że to oni wymyślili seks? – zaprotestowała kiedyś podczas kolacji. – To jak gra na pianinie, praktyka czyni mistrza, więc nawet jeśli palce nie są już tak elastyczne jak dawniej, masz technikę, która pozwoli ci to zrekompensować.

Tego wieczoru gdy Flora wygłosiła tę opinię, David zakrztusił się zupą.

– Myślisz, że wciąż to robią? – zapytał później Ingrid.

– A czemu nie? – odparła. – My robimy, prawda?

Sigrid również miała słaby kręgosłup, bo u nich to rodzinne, ale odmawiała wizyty u polecanych przez Florę kręgarzy i wolała zachowywać formę dzięki jodze.

Ostatni jej hit to jogalates, choć na zajęcia musiała co tydzień jeździć do Dublina, a jazda samochodem nie służyła jej stawowi krzyżowo-biodrowemu.

Sigrid narzekała jedynie, że TJ, jej mąż, nie był zainteresowany zachowaniem kondycji fizycznej i pewnego dnia wtopi się w swój fotel od wiecznego w nim siedzenia i słuchania w radio relacji z wyścigów konnych.

– Gdybym padła jutro trupem, musiałyby najpierw spojrzeć na plan gonitw, żeby ustalić, kiedy mnie pochować tak, żeby nie przegapić wyścigów – twierdziła, ale to był żart. Zarówno Flora, jak i Ingrid wiedziały, że gdyby cokolwiek stało się Sigrid, TJ podążyłby za nią do grobu w ciągu tygodnia. Mogli na siebie narzekać i gderać, ale praktycznie byli jak syjamskie bliźnięta.

Siostry siedziały teraz w pubie Pod Morskim Pstrągiem przy stoliku w rogu sali, w pobliżu płonącego kominka, i czytały karty dań, nie przestając plotkować o wszystkim, co się wydarzyło przez ostatni miesiąc.

– Razem z Brid z okazji walentynek nazwałyśmy wzajemnie swoimi

imionami gwiazdy – oznajmiła z dumą Flora, kiedy kelner się oddalił.

– Bosko! – zawołała zachwycona Sigrid – Powinnam namówić TJ– a, żeby nazwał moim imieniem konia! Można to robić, wiecie, nadawać koniom imiona. Trzeba tylko za– sponsorować treningi. To znaczy, raczej nas na to nie stać i w ogóle, ale mimo wszystko...

– Cudowna rzecz, Floro – powiedziała Ingrid, świadoma kolejnego napadu znajomego lęku.

Jej prawie siedemdziesięcioletnia siostra dostawała lepsze prezenty walentynkowe od swojej kochanki lesbijki niż ona, i to porównanie ją zasmucało. Ale dlaczego? Przecież nie miała czasu na walentynkowy komercjalizm. Nigdy go nie miała. Jednak myśl, że siostra dostała coś tak niezwykle romantycznego, rozbudziła w niej pragnienie otrzymywania takich podarków. Jeśli David miał przysłać jej kwiaty, powinien zrobić to z własnej woli.

Po lunchu pojechała do Kenny's i zostawiła samochód na parkingu ogólnym zamiast na tym dla personelu. Trudno powiedzieć dlaczego, ale chciała zobaczyć Davida w pracy i wołała, żeby się jej nie spodziewał.

Weszła głównym wejściem i od razu poddała się atmosferze tego miejsca.

– Super ci w tej czerwieni – usłyszała westchnienie kobiety w kwiecistej bluzce zwracającej się do swojej koleżanki. Obie stały na stoisku z kosmetykami. Koleżanka z przerażeniem oglądała w lusterku swoje błyszczące czerwone usta.

– Chyba żartujesz, wyglądam raczej na desperatkę – orzekła i czym prędzej starła szminkę.

– Jasna czerwień to trudny kolor – doszedł ją łagodny głos zza lady. – Ten lekko beżowy róż dobrze by się komponował z pani karnacją i efekt

byłby mniej dramatyczny.

Zewsząd dolatywały ją urywki rozmów.

– Gdzie jest dział spożywczy?

– Na którym piętrze znajdę majtki wyszczuplające?.

Zapach kenijskiej kawy mieszał się z aromatami wszelkich możliwych rodzajów perfum, a z każdej strony dochodził ją szmer głosów, śmiech i uprzejme „dziękuję”, gdy ekspedientki oddawały klientom karty kredytowe i podawały delikatnie kremowe papierowe torby z nazwą sklepu wydrukowaną ozdobną złotą czcionką w eleganckim stylu art deco.

Zdała sobie sprawę, jak dawno tu nie była. Kenny’s stał się po prostu pracą Davida, tak jak studio telewizyjne jej „pracą”. Miejscem, gdzie spędzali sporą część swojego życia osobno. Poczowała się winna. Nic dziwnego, że nie opowiada jej o sklepie: odsunęła się od niego i zapewne dlatego David nie potrafi z nią o nim rozmawiać.

Spokojnie przeszła do tylnej części budynku i weszła na schody wiodące do pomieszczeń biurowych, gdzie urzędował jej mąż.

Drzwi do pokoju Stacey były otwarte, podobnie jak te do gabinetu Davida. Ani śladu potajemnych schadzek.

– Pani Ingrid – powiedziała radośnie Stacey. – Jak miło panią widzieć. Właśnie robiłam kawę, może też się pani napije?

– Nie, dziękuję – odrzekła Ingrid, uśmiechając się i wchodząc do biura męża. Siedział przy dużym stole, gdzie czasami odbywały się spotkania. Na lśniącym orzechowym blacie leżało mnóstwo papierów.

– Ingrid – powiedział zadowolony – co cię tu sprowadza? Czy to nie dzień Flory i Sigrid?

Wyciągnął ramiona, żeby ją ucałować, i część niepokoju Ingrid stopniała.

– Tak – odparła. – W drodze powrotnej pomyślałam, że wpadnę. Dawno tu nie zaglądałam.

– Stacey robi kawę – dodał, wracając do papierów.

– Chciałam ci podziękować za kwiaty – mówiła dalej Ingrid. – Za róże. Słyszałam, że to pomysł Claudii – dodała spokojnie.

– Podobały ci się? – spytał David nieobecny głosem z głową pochyloną nad dokumentami.

Zawyła, gdyby tylko potrafiła, ale się nie odezwała. Podziałało.

David gwałtownie uniósł głowę i spojrzał pytająco.

– Wszystko w porządku?

– Nie – burknęła, zniżając głos, świadoma otwartych drzwi. – Nie jest w porządku. Jestem twoją żoną i dziś przysłałeś mi do biura kwiaty na życzenie swojego energicznego żeńskiego Piętaszka, Claudii. Więc nie, nie wszystko jest w porządku. A nawet jest bardzo nie w porządku.

Nikt nie mógłby zarzucić Davidowi głupoty, od razu zrozumiał, o co jej chodzi.

– Więc chodzi o Claudię? – spytał. – Claudię, która tu pracuje?

Jego wzrok wyrażał absolutne zdumienie i stanowił dowód, którego potrzebowała Ingrid. Nikt nie potrafiłby udać zdziwienia tak przekonująco. A w swojej karierze dziennikarskiej Ingrid widziała mnóstwo ludzi, którzy próbowali to robić. Na jego twarzy nie widziała najmniejszego śladu zdeprymowania.

– Denerwujesz się z powodu Claudii – powiedział, a ona mogłaby przysiąc, że poczuł ulgę, jakby istniało coś innego, czym powinna się denerwować.

Wewnętrzny strach zelżał i pojawiły się wyrzuty sumienia, że go niesprawiedliwie oskarżała.

– Przepraszam – powiedziała. – Pomyliłam się.

– Tak – przytaknął, ale nie roześmiał się ani nawet jej nie przytulił za to, że pomyślała coś takiego. – Claudia i Lena są strasznie podekscytowane tym pomysłem na prezenty z ostatniej chwili i wczoraj Claudia przyszła tu, żeby się pochwalić, jak świetnie idzie, to wszystko.

– Kwiaty są rzeczywiście piękne – przyznała Ingrid.

Ale ciągle coś jej nie pasowało. David nie powiedział: „Jak mogłaś pomyśleć coś takiego?” ani jej nie przytulił.

– O co chodzi, Davidzie? Masz kłopoty? Powiedz mi, proszę cię, powiedz mi, co się dzieje.

Pokręcił głową.

– Nic się nie dzieje, Ingrid. Proszę cię, nie przesłuchuj mnie, tylko tego mi brakuje.

Nigdy go nie przesłuchiwała.

– Ale coś cię gryzie, widzę to. Nie zamykaj się przede mną.

Potał oczy, jakby pozbywając się z nich piasku.

– Pieniądze zawsze stanowią jakiś problem, szczególnie w czasie kryzysu, ale poradzimy sobie, zawsze jakoś sobie radzimy. A teraz przepraszam, kochanie, ale muszę to jak najszybciej skończyć. Możemy potem wypić kawę w bufecie, jeśli masz ochotę? Potrzebuję jakieś pół godziny.

Ingrid pokręciła głową.

– Muszę wracać do pracy. Pomyślałam, że zrobię dziś zapiekankę rybną.

Jego twarz się rozjaśniła.

– Świetnie.

Ingrid spacerowała po sklepie jeszcze pół godziny, zanim wyszła.



Wciąż czuła się winna, że tak długo tu nie zaglądała, i chciała zobaczyć Claudię, tak, żeby się przekonać.

Kenny's to prawdziwy klejnot, uświadomiła sobie, przechodząc przez dział „dla domu” z jego rozmyślnie wybranym asortymentem. Sklep nie był w stanie konkurować z innymi tego typu domami towarowymi w okolicy, więc specjalizowali się w rzeczach, których nie można było kupić nigdzie indziej. Były tu niezwykła porcelana, wspaniała ceramika szklona w kolorze indygo, rzeźbione drewniane lampy z podstawami z kształcie kwiatów, lampy witrażowe podtrzymywane przez wróżki z brązu i gobeliny Bluestone, które Ingrid uwielbiała, mimo że bardzo się różniły od tego, co zwykle się jej podobało, jeśli chodzi o wystrój wnętrz.

Przed jednym z nich stała kobieta z dzieckiem w wózku, dotykała kolorowej syreny. Ingrid pamiętała, że kiedy Ethan i Molly byli dziećmi, miała tak mało czasu na chodzenie i oglądanie rzeczy w sklepach. Poczowała dziwną tęsknotę, żeby zwrócono jej ten czas, a postąpiłaby zupełnie inaczej. Poświęciłaby go więcej na to chodzenie, jak kobieta obok niej.

Ale ona zawsze była taka zajęta. Usiłowała pogodzić pracę i dom, a doba przecież miała tylko dwadzieścia cztery godziny.

Kobieta z wózkiem odwróciła się i napotkała wzrok Ingrid.

- Piękny, prawda? – westchnęła z myślą o gobelinie.
- Ale dla mnie trochę za drogi.
- Ja też je lubię – przytaknęła Ingrid. – Nawet mam jeden w domu.
- Ma pani szczęście – powiedziała kobieta.

Tak, pomyślała Ingrid, mam szczęście.

## 5

*Życie to coś, co nam się przytrafia, gdy mamy zupełnie inne plany.*

W dniu ślubu Lizzie poranek wstał przejmująco zimny. Niezwykle niskie temperatury jak na tę porę roku, mówiła wesoło pogodynka w radio, gdy Natalie siedziała z Molly przy piecu, w domu na farmie swoich rodziców.

Natalie czekała na owsiankę macochy, która powoli gotowała się na piecu i smakowała inaczej niż wszystko, co sama podgrzewała w mikrofalówce u siebie w mieszkaniu.

Molly bez sensu robiła tosty z domowego chleba: bez sensu, bo trzy psy zasiadły u jej stóp, śliniły się i robiły głodne, błagalne miny.

– Mówiłam ci – powiedziała Natalie – one myślą, że to ich tosty, nie twoje.

– Są słodkie – odparła Molly, która uwielbiała takie wielkie brązowe oczy.

Otwarły się tylne drzwi i dziewczyny poczuły podmuch lodowatego powietrza.

Wszedł Des, ojciec Natalie, i nawet on pocierał ręce, żeby je trochę rozgrzać.

– Ta pogoda nawet pingwinowi odmrozi jaja. Mam nadzieję, że Lizzie nałoży na siebie jakiś polar – mówił, podchodząc do pieca i wyciągając nad nim ręce.

– Tato, przecież wiesz, jaka uparta jest Lizzie – tłumaczyła Natalie. – To jej bajkowy, walentynowy ślub i odmówiła założenia czegokolwiek, peleryny ze sztucznego futra czy nawet szala. Ma zamiar wyglądać jak księżniczka niezależnie od temperatury.

– Cała w gęszej skórcie raczej nie wyjdzie dobrze na zdjęciach – zauważyła spokojnie Molly. Sama miała zamiar ubrać do kościoła wełnianą sukienkę retro, płaszcz i kaszmirowy szal, a zastanawiała się, czy to aby wystarczy.

– Spróbuj to powiedzieć Lizzie – odparła Natalie.

– Nasza Lizzie jest uparta jak osiołek – uśmiechnął się Des, puszczając oko do Molly, by pokazać, że się z nią zgadza.

Molly uwielbiała ojca Natalie i bardzo lubiła ich dom na wsi.

Po części dlatego, że tak bardzo różnił się od eleganckiego domu jej rodziców ze wspaniale zaprojektowanym ogrodem pielęgnowanym przez wynajętego ogrodnika, który przychodził raz w tygodniu.

Trawę na farmie Woodenbridge przygryzał ulubiony baranek nazywany Sydney, który dbał o wygląd trawników i wybiegał na powitanie gości, gdy wysiadali z samochodów. Sydney został wychowany w domu i był karmiony butelką, w wyniku czego żył w błędnym przekonaniu, że jest psem.

Nieduży, solidny wiejski dom wybudowany z kamienia od pokoleń zamieszkiwała rodzina ojca Natalie. Ogrzewano go wyłącznie ogniem w kominkach i ogromnym piecu kuchennym. Dla zmarzluchów było też tu i ówdzie kilka grzejników gazowych.

Kiedy Molly została tu kiedyś w zimie na noc, zrozumiała w końcu, dlaczego Natalie nigdy nie włącza w ich mieszkaniu ogrzewania. Była po prostu przyzwyczajona do chłodu.

– U nas do spania musisz się ubrać – wyjaśniła wesoło Natalie. – Kiedy jest naprawdę zimno, trzeba zabrać dwie butelki z gorącą wodą albo wpuścić na łóżko psy. Zawsze mam wrażenie, że ludzie, którzy nie lubią psów w łóżku, nigdy nie mieszkali w domu bez centralnego ogrzewania.

Wszystkie podłogi były z kamienia lub drewna i nikomu nie

przeszkadzało, gdy trzy psy, cztery koty i zabłąkany kurczak wchodziły do domu i wychodziły, kiedy chciały, zostawiając za sobą sierść i pióra. Dwie stare kanapy i wytarty dywan w przytulnym salonie to oryginały, a nie superdrogie podróbki, które miały nadać wnętrzu sielsko– wiejski charakter. Była to prawdziwa farma, na której hodowano niewielkie stado bydła mięsnego na rynek włoski, i nikogo nie stać tu było na luksusy.

Rodzina żywiła się własnymi warzywami i jajkami, które znosiły ich kury.

Panujący tu spokój wprost urzekał. Bess, macocha Natalie, rządziła domem z łatwością i wdziękiem drużynowej troszczącej się o zastęp zuchów. Nawet wyglądała na harcerkę: drobna figura zawsze w dżinsach i długich, zrobionych na drutach swetrach. Siwiejące włosy obcinała krótko, jakby zabawianie się suszarkami i lokówkami mogło jej tylko przeszkadzać w natłoku zajęć.

Dla głodnych w lodówce zawsze była domowa zupa lub zapiekanka. Bess zaczynała swój dzień od upieczenia słodkich bułek, ale nigdy nie wypychała jedzenia w domowników. Przygotowywała je i szła do swoich zajęć, a jak ktoś miał ochotę, mógł się poczęstować. Jeśli tylko po sobie posprzątał, wszystko porządku. W domu nie było pieniędzy na gosposię, większość prac domowych Bess wykonywała sama, dorabiając jeszcze jako krawcowa.

Bracia Natalie, Ted i Joe – para rosnących „irlandzkich bliźniaków” nazywanych tak, bo różnica wieku między nimi była mniejsza niż rok – wspaniale się rozwijali w tej atmosferze. W przeciwieństwie do większości chłopców w wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat obydwaj umieli gotować i świetnie prasowali. Molly wiedziała, że jej mamle by się to spodobało. Ingrid nie cierpiała mężczyzn, którzy w kuchni byli bezradni jak dzieci, za to

potrafili bez trudu przejść na dziesiąty poziom w *Świątyni Przeznaczenia*.

Kiedy poprzedniego dnia Natalie przyjechała z Molly do domu, rodzina w wesołej atmosferze spożywała kolację. Dziś Natalie miała iść do Lizzie, żeby wypełnić swoje obowiązki druhny. Molly cieszyła się na ten ranek na farmie, miała zamiar obejść ją całą i pójść na długi spacer po okolicznych wzgórzach, może z którymś z psów z domowego stadka klanu Flynnów. Sparkles, szorstkowłosa chudy piesek, który trochę utykał, bardzo sobie Molly upodobał, więc chodził za nią wszędzie i patrzył wzrokiem pełnym uwielbienia. Mimo że nie był najpiękniejszym psem na świecie, miał cudowne oczy: wielkie i łagodne, w kolorze toffi, które tak długo błagalnie się w nią wpatrywały, aż w końcu wzięła go na kolana.

W kościele mieli być o trzeciej i choć Molly nie przepadała za ślubami – miała wrażenie, że trwają i trwają – tym razem było OK, bo będzie siedzieć z rodziną Natalie.

- No dobra, to jadę – oznajmiła Natalie, obejmując ojca na pożegnanie.
- Do rodziny O’Shea, żeby zobaczyć, czy już się zdążyli pozabijać.
- To jakaś nowa tradycja weselna? – zapytał wesoło Des.
- W jej domu na pewno.

Zaparkowała w ślepej uliczce, gdzie mieszkała rodzina Lizzie, i jak tylko otworzyli jej drzwi domu bliźniaka, wiedziała, że się nie pomyliła. Dokładnie tak jak przewidywała, zastała sytuację kryzysową. Nie było herbaty ani mleka, a żaden z sąsiadów, którzy przyszli na krótką przedślubną imprezę, nie kwapił się, by wyjść na ten ziab i coś kupić. Fryzjerka zaczęła godzinę temu i jeszcze się nie uporała z fryzurą matki Lizzie, czyli miała spore opóźnienie. A makijażystka na razie się nie pojawiła.

- Zadzwonisz do niej? – poprosiła Lizzie, gdy Natalie weszła do pokoju.

W puszystym szlafroku, z mokrymi włosami i bez makijażu w niczym nie przypominała bajkowej panny młodej.

Makijażystka nie odbierała, więc Natalie zostawiła wiadomość.

Półtorej godziny spóźnienia, nie za dobrze, ale jeszcze nie fatalnie.

– Skoczę na dół do sklepu po herbatę i mleko – postanowiła Natalie.

– Jezu, nie! – krzyknęła przeraźliwie Lizzie. – Zabierz wreszcie tę fryzjerkę od mojej matki. Ona ją zaanektowała. To mój dzień, nie jej. W kuchni jest wielka butelka Baileysa, mogą sobie dodać do kawy i do diabła z mlekiem.

Okolo godziny później fryzjerka mocowała we włosach Lizzie ogromne gorące wałki, a ta wykrzykiwała:

– Au, au, boli!

Anna, druga drużna, też się pojawiła na miejscu i obydwie z Natalie na zmianę zaczęły wydzwaniać do makijażystki. Co dziesięć minut. Kobieta nie reagowała ani na esemesy, ani na nagrane wiadomości.

– Najwyraźniej nie ma zamiaru przyjść – zawyrokowała Anna. – W życiu nie uda nam się w tak krótkim czasie zorganizować kogoś innego. Co robimy?

– Nie patrz tak na mnie, wiesz, że nie znam się na makijażu – powiedziała Natalie.

– Ja umiem pomalować siebie, ale nigdy nie malowałam kogoś innego – odparła Anna.

– Dla kogo kawa z Baileyssem?! – wrzasnęła z dołu matka panny młodej. Natalie olśniło.

– Charlie z Kenny's, ta od Organic Belle, może wypożyczy nam kogoś na godzinę. Jest kochana, na pewno pomoże, zobaczysz.

Charlie w lot zrozumiała sytuację.

– Na razie nie ma zbyt dużego ruchu – mówiła do słuchawki. – Nikogo nie mogę wam przysłać, ale jeśli wyjdę wcześniej na lunch, sama przyjadę. Czy półtorej godziny nam wystarczy?

– Jesteś aniołem! – zawołała z wdzięcznością Natalie. Dziewięćdziesiąt minut na pewno wystarczy na makijaż Lizzie i jej mamy. Wszyscy inni muszą sobie radzić sami.

Poszła do sypialni, by oznajmić Lizzie dobrą nowinę, i została zatrzymana przez trzecią druhenę, siostrę Steve'a, Shazzę. Shazza bardzo nalegała, żeby zostać druheną, a kiedy Lizzie się zgodziła, za wszelką cenę chciała przejąć stery.

– Uważam, że wszystkie powinnyśmy upiąć wysoko włosy – poinformowała ją teraz.

– Co takiego? – spytała zaskoczona Natalie.

– Upiąć, to o wiele lepiej wygląda – powtórzyła Shazza, trzymając własne blond włosy w górze, żeby zademonstrować Natalie, o co jej chodzi.

Shazza nie posłuchała Lizzie, która uznała, że samoopalacz będzie wyglądał śmiesznie w samym środku lutego, i była złoto brązowa jak włoska torebka. Wszyscy inni mieli normalny, irlandzki, lekko niebieskawy odcień skóry.

Jedną ręką przytrzymując włosy, Shazza zrobiła przed Natalie obrót.

– Widzisz? O wiele lepiej komponuje się z sukienką. Sukienki druzhen miały odcień bladego różu, który w ogóle nie pasował Natalie, za to Shazza wyglądała w nim świetnie.

– Nie cierpię upinania włosów – zaprotestowała. – Poza tym uzgodniłyśmy przecież, że robimy delikatne loki...

– Nie, masz rację, Shaz – odezwała się zdradziecko Lizzie. – Upięte będą super. O wiele bardziej bajkowo. Mamo! – zawołała. – Mogę jeszcze raz

Baileysa? Pić mi się chce.

– Robi to tylko dla świętego spokoju – szepnęła Anna do Natalie, widząc jej rozwścieczoną minę. – Jak się nie zgodzi, Shazza poleci się poskarżyć Steve’owi na jego przyszłą żonę.

– Ale to my się z nią przyjaźnimy od przedszkola – syknęła w odpowiedzi Natalie.

Anna wzruszyła tylko ramionami, jej oczy mówiły, że wszystkie wesela to koszmar.

Kiedy Natalie znów spotkała się z Molly i rodziną, trzęsła się cała z zimna, a czaszka bolała ją od miliona wpiętych spinek. Miała wrażenie, że ktoś wkręcił jej tam śruby. Oficjalne zdjęcia po ceremonii przeciągały się w nieskończoność, przy czym większość pstrykano na dworze, w *niezwykle urokliwym ogrodzie eleganckiego hotelu Mount Ardagh*, który zasadniczo sprowadzał się do kawałka trawnika z tyłu budynku. Była tam łuszcząca się pergola z oplatającymi ją kwiatami i mały staw, w którym już od jakiegoś czasu nie pływała żadna ryba, natomiast porastały go rośliny przypominające paprocie, bardzo dobrze prezentujące się na zdjęciu, a w rzeczywistości niemiłosiernie śmierdzące.

– Obiecuję – szepnęła Molly – że jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to będzie latem i sama wybierzesz sukienkę.

– Nie wychodź za mąż – powiedziała również szeptem Natalie, cała drżąc. – Błagam, przynieś mi coś gorącego do picia, umieram z zimna.

Bess podała jej ciemnoczerwony wełniany szal, dzięki niemu Natalie nabrała rumieńców.

– Lizzie powinna pozwolić każdej założyć sukienkę w kolorze, który jej pasuje – stwierdziła macocha, a Natalie poczuła wyrzuty sumienia, że się z nią zgadza.



Nawet jej młodszy brat Joe, który nie zauważał, w co dziewczyny są ubrane, chyba że któraś akurat mu się podobała, widząc Natalie, ze współczuciem pokiwał głową.

– To już okrucieństwo – powiedział, wskazując włosy.

– Wygląda, jakby bolało.

– Bo boli – poinformowała go Natalie. – Ale muszę z tym chodzić całe wieki.

– Joe lubi tylko długie rozpuszczone włosy – powiedział z uśmiechem Ted.

Joe go walnął.

– Tak? A czyż to długie rozpuszczone włosy?

– Niczyjeż.

I Joe jeszcze raz walnął Teda, na szczęście.

– Następny do ołtarza pójdzie Joe – mówił dalej Ted, odsuwając się od brata. – Znow będziesz musiała być druhną, Nat.

Wszyscy się uśmiechnęli, a Bess z miłością zmierzwiła potraktowane żelem włosy Joego.

– Zanim pójde kupić kreację odpowiednią dla matki narzeczonego, mogę się dowiedzieć, kim jest przyszły członek naszej rodziny? – zapytała.

Natalie poczuła ukłucie zazdrości. Dlaczego? Nie mogła zrozumieć, skąd się jej to bierze. Jakby się obudziła i nie potrafiła przypomnieć sobie snu, jakby czuła, jak się jej wymyka. Miało to coś wspólnego z Joem i Bess i przyszłym ślubem brata.

– Nikim – rzekł nachmurzony Joe. – A ten gaduła powinien uważać, bo inaczej znow oberwie.

Siedzenie przy weselnym stole przypominało pełnienie roli międzynarodowego mediatora, myślała Natalie. Żeby ogarnąć jakoś

skomasowane oddziały klanów O'Shea i Devine'ów, ustawiono ostatecznie długi stół z dodatkowymi dwoma okrągłymi, jakby doczepionymi na każdym końcu, by w ten sposób ugłaskać różne babcie, ciocie– babcie i wujków, którzy czuliby się pokrzywdzeni, gdyby posadzono ich na mniej honorowym miejscu. Siedzącą w punkcie, gdzie długi stół łączył się z jednym z okrągłych, Natalie otaczali ludzie z mnóstwem chowanych w sercach uraz i nie mogli się doczekać, żeby je głośno wyrazić.

– Na ostatnim weselu łosoś był lepszy – mamrotała jedna z ciotecznych babek.

– Nic o tym nie wiem, bo mnie tam nie zaproszono – czym prędzej odparła kuzynka o świdrującym spojrzeniu.

– Gdzie twoja rodzina, dziecko? – zażądała informacji sąsiadka Natalie, drobna starsza pani o myląco słodkiej twarzy, która przyjechała aż z Kinsale i zraziła się do hotelu, ponieważ nie było w pokoju czajnika i nie mogła zrobić sobie herbaty.

Natalie zdążyła już dwa razy usłyszeć całą historię.

– O, tam są – powiedziała teraz, wskazując z tęsknotą w oczach na odległy zakątek stołu, gdzie jej rodzina i Molly wyglądali, jakby się bardzo dobrze bawili.

Dama z Kinsale przyglądała się im przez chwilę.

– Kim jest ta dziewczyna w dziwnym stroju z tym cudakiem na ramieniu?

Natalie ukryła uśmiech. Molly była bardzo dumna ze swojej sukienki, szarej wełnianej kreacji z lat pięćdziesiątych z szeroką spódnicą, do której dopasowała postarzony pasek i ogromny ozdobny bukietek a la Carrie z *Seksu w wielkim mieście*, bez wątplenia cudak w nomenklaturze damy z Kinsale.

– Jedną z moich najlepszych przyjaciółek.

– Myślałam, że to Lizzie jest twoją najlepszą przyjaciółką.

Tym razem uśmiech Natalie był wymuszony.

– No tak, ona też.

Wniesienie butelek szampana, które zapowiadało przemowy, uciszyło większość z tych bardziej marudnych gości, więc Natalie odetchnęła.

Nawet wzajemny brak życzliwości emanujący od stołów pełnych członków rodziny nie zaćmił miłości Steve'a do Lizzie. Natalie zauważyła nawet, że Steve wzdycha, gdy przemawia, i że nazwał Lizzie „swoim wszystkim, na zawsze”.

– Przepięknie – powiedziała dama z Kinsale, upijając spory łyk szampana, a następnie podnosząc kieliszek, by został ponownie napełniony.

Natalie jej nie słuchała, patrzyła, jak Lizzie i jej mama się obejmują, zapominając o wszystkich porannych kłótniach o to, kogo fryzjerka musiała dłużej czesać. To marzenie, które Natalie nigdy się nie spełni, zdała sobie sprawę. Bess i Joe, matka i syn. Lizzie i jej mama. Najsilniejsza więź na świecie.

– Nic się martw, kotku, pewnego dnia i ty wyjdiesz za mąż – pocieszała ją pani z Kinsale, domyślając się powodu błyszczących od łez oczu Natalie. – Ale na twoim miejscu zrobiłabym coś innego z włosami. Ta fryzura w ogóle ci nie pasuje.

Kiedy personel hotelu przesuwał stoliki, by zrobić miejsce na parkiecie, Natalie wyszła do toalety. Olać Shazzę i jej pomysły. Skrupulatnie wyjmowała po kolei spinki, aż zupełnie uwolniła głowę od metalu i znów mogła potrząsnąć swoimi długimi ciemnymi włosami. Od razu wyglądała lepiej. Z szalem Bess na ramionach poczuła się wreszcie sobą, a nie okropną, fałszywą wersją panny młodej.

Mimo zimna uznała, że zaryzykuje wyjście i zaczerpnie świeżego

powietrza. Palacze zaanektowali na swoje potrzeby mały bar na zewnątrz, z krzesłami i grzejnikami, więc poszła w przeciwnym kierunku, na taras, by spojrzeć na morze, którego ciemność rozjaśniały jedynie błyski światła latarni.

– Zastanawiałem się, jak będziesz wyglądać z rozpuszczonymi włosami  
– usłyszała męski głos.

– Jakkolwiek wyglądam, na pewno lepiej się czuję – powiedziała, odwracając się. – Wyjęłam z nich właśnie dwadzieścia siedem spinek.

– Dwadzieścia siedem?

– Dokładnie je policzyłam.

Miał miły uśmiech. W zasadzie cały był miły, naprawdę, z tą inteligentną twarzą i dobrocią w oczach. Musiał być w jej wieku, może trochę starszy, i nawet w eleganckim granatowym garniturze wyglądał, jakby stworzono go do wyważania drzwi, a szary jedwabny krawat ubrał przez pomyłkę.

– Sam nie robię zbyt wiele z włosami – dodał i spokojnie dotknął dłonią głowy, która miała kształt kuli osadzonej na szerokich ramionach. Był ogolony na łyso.

Natalie głośno się roześmiała.

– Przepraszam – powiedziała natychmiast w obawie, że mogła go urazić.

– Zaczęły po prostu wypadać – tłumaczył – a nie chciałem być jednym z tych facetów, co to mają trzy długie włosy i układają je na głowie lakierem: jeden na prawo, jeden na lewo i jeden niedbale rzucony.

– No tak, to niezbyt dobry pomysł – przyznała mu rację.

– Pozbyłem się ich w całości.

– Pasuje ci to.

– Tak? – zapytał tonem, jakby nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Natalie poczuła nagle, że lubi tego dużego przyjaznego człowieka.

– To dość wygodne – wzruszył ramionami.

– Z czyjej jesteś strony? – spytała Natalie.

– Pana młodego. Jestem Rory Canavan – odparł i podał jej gigantyczną dłoń.

– Natalie Flynn, pierwsza drużna i szkolna koleżanka panny młodej.

– Tak, wiem – przyznał Rory. – Pytałem.

– Hm, są faceci, którzy na weselu muszą zaliczyć drużnę.

– Coś słyszałem – powiedział Rory. – Nie jest to zbyt szlachetne, zgodzisz się ze mną?

– Rzeczywiście, nie jest. Ciekawe, czy mają jakiś system punktowy? Trzy za główną drużnę, cztery, jeśli jest mężatka i starościna, a dziesięć plus premia za zaliczenie panny młodej.

– To dość cyniczne – stwierdził ze śmiechem.

– Nie próbujesz zdobyć trzech punktów?

Pokręcił głową.

– Wyszedłem tu za tobą, bo zauważyłem cię wcześniej i chciałem podejść, ale wydawałaś się bardzo zaabsorbowana sąsiadami przy swoim stoliku.

– Gdybyś tylko wiedział – powiedziała z żalem Natalie.

– Mogłeś mnie uratować wcześniej.

Rory wydawał się zadowolony.

– A teraz cię ratuję? i

– Ratowałbyś, gdybyś usiadł razem ze mną – powiedziała z rozmysłem Natalie.

Dama z Kinsale zadała wszystkie pytania, których nie potrafiła zadać

Natalie.

– Czym się pan zajmuje, młody człowieku – zapylała, czarując go swoim najpiękniejszym uśmiechem i dając mu kuksańca w szeroką pierś. Zaliczyła już kilka kolejek wina musującego i niemal zapomniała o urazie, jaką żywi do hotelu z powodu braków w wyposażeniu pokoju.

– Jestem weterynarzem.

– Och, weterynarz! Profesjonalista! – zawołała i tym razem z satysfakcją poczęstowała kuksańcem Natalie. – A gdzie dokładnie?

– Około piętnastu kilometrów za Ardagh – tłumaczył głośno starszej pani. Natalie mogła go zapewnić, że pani z Kinsale ma taki słuch, że usłyszałyby, jak szpilka spada na podłogę w drugim końcu sali. – Zajmujemy się dużymi zwierzętami, krowy, konie, niektóre psy i koty.

– Miałam kiedyś terierkę, ale zdechła biedaczka – powiedziała z rozrzewnieniem pani z Kinsale. – Była dla mnie jak dziecko, naprawdę kochałam ją jak dziecko.

– Wzięła pani potem innego psa?

Starsza pani pokręciła głową.

– Nie dałabym rady, no i kto by się nim zajął, gdybym umarła?

– A wie pani, że jeśli weźmie pani psa od dobrego weterynarza, mogą się z panią umówić, że zajmą się zwierzęciem, gdyby pani nie była już w stanie się o nie dłużej troszczyć? – mówił uprzejmie Rory. – Wiele osób się o to martwi i weterynarze to rozumieją. Ale taka dziarska istota jak pani na pewno ma jeszcze wiele lat przed sobą – dodał. Zespół muzyczny zaczął grać *When I fall in love*. – Tańczy pani walca? Bo ja fatalnie.

Pani Kinsale rozpromieniła twarz w uśmiechu.

Stanowili dziwną parę: chłop wielki jak dąb i filigranowa kobietka. Natalie zauważyła, że nie jest jedyną osobą, która przygląda się im ze

wzruszeniem.

Lizzie, nienawidząca wolnych tańców, szła teraz w jej stronę, ciągnąc za sobą suknię. Na spódnicy zauważyła coś ciemnego, czerwonego. Wino, odgadła Natalie.

– Mam dość – powiedziała panna młoda, ciężko opadając na krzesło Rory'ego. Podniosła pełny kieliszek wina musującego i wypła do dna. – Widzę, że poznałaś Rory'ego.

– Jest miły – odparła Natalie, co było w zasadzie niedopowiedzeniem. Nigdy jakoś nie biegała za tymi dobrze zbudowanymi sportowcami, ale teraz doceniła ich urok. Z Rorym u boku można by się poczuć całkowicie bezpiecznie, w każdym znaczeniu tego słowa. Miał w sobie jakąś szlachetność, czuła, że ochroniłby ją przed każdym złem.

– Jasne, jeśli lubisz ten typ – podsumowała szorstko Lizzie. Jej zawsze podobali się wytworni mężczyźni. Steve, ze swoimi wąskimi biodrami i modną fryzurą, spokojnie nadawał się na modela. – No i nie da się go porządnie ubrać. W garniturze wygląda śmiesznie.

– Odkąd to oceniamy ludzi po ubraniu? – spytała Natalie. Poczowała się urażona, ale nie okazała tego. Od tak dawna nie spodobał się jej żaden facet, a teraz, gdy polubiła tego poznanego na weselu przyjaciółki, ona – nie wiedzieć czemu – chciała jej go obrzydzić.

Poza tym Rory wyglądał w swoim garniturze bardzo dobrze. Seksowny i jakby nieco pomięty. Ciekawe, jak całuje...

– Trochę z niego jaskiniowiec – kontynuowała Lizzie lekceważąco. – I nie znajdziesz w nim ani krztyny artystycznej wyobraźni. Nie cierpisz takich facetów. Pamiętasz, jak w szkole nie mogłaś znieść głupkowatego Alana?

– To nieprawda, że nie mogłam go znieść – odparła Natalie. – Po prostu mi się nie podobał, to wszystko.

Alan też był ogromny – syn farmera, który adorował ją przez kilka lat, aż w końcu jej ciągle odmowy umówienia się z nim tak go zdenerwowały, że nazwał ją „nadętą krową”.

– Lizzie, kiedy to było? Zamierzchła przeszłość.

– Tylko ci przypominam.

Natalie odniosła wrażenie, jakby Lizzie chciała zatrzymać czas, załaminować przeszłość i zostawić wszystko nienaruszone, żeby mogła od czasu do czasu ją odwiedzać. Lizzie nie zauważyła, jak bardzo wszyscy się zmienili, ale z drugiej strony, może ona sama nie zmieniła się wiele.

Kiedy Rory wrócił z panią z Kinsale, poprosił do tańca Natalie.

Tempo się zmieniło i zespół, który według umowy miał grać i nowsze, i starsze przeboje, próbował nieśmiało swoją wersję *Wonderwall*.

– Uwielbiam ten numer – powiedział Rory, kiedy znaleźli miejsce na coraz pełniejszym parkiecie.

– Ale w wykonaniu Oasis? – spytała złośliwie Natalie.

– Ta interpretacja też ma swoje mocne strony – odparł, nie odrywając od niej oczu.

– Że wokalista tylko troszkę fałszuje?

– Nie, mam na myśli towarzystwo – powiedział i Natalie poczuła mocniejsze bicie serca.

Umiał tańczyć. Co jest dość rzadkie przy takich gabarytach. Natalie spotkała wielu, którzy turlali się po parkiecie jak lodówki na kółkach i wyglądali niezgrabnie. Ale Rory czuł rytm. I był wysportowany. Kiedy *Wonderwall* się skończyła, a potem cały szybki kanon Elvisa, Natalie była spocona i wyczerpana.

– Zwolnijmy trochę – zanucił wokalista i kiedy zespół przestawiał się na wolniejszy kawałek, perkusista uderzał tylko delikatnie miotełkami.



Natalie chciało się śmiać, takie to było ckliwe, i już była gotowa wracać na miejsce, gdy Rory złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Zatańczymy?

Z bliska jego ciało było twarde i muskularne, czuła się w jego ramionach lekka jak puch, ale cały efekt zrujnował fakt, że okropnie się pocila. Mogłaby się założyć, że cholerna różowa sukienka jest mokra pod pachami, a włosy wilgotne przy samej głowie. Nie można czuć się romantycznie w takich okolicznościach.

A jednak czuła się romantycznie. Natalie była wysoka, a mimo to jej nos znajdował się na wysokości jego podbródka. Było coś zniewalającego w tańcu z mężczyzną, przy którym czuła się jak małe elf wyjęty wprost z bajki dla dzieci.

– Chciałem cię o coś zapytać, ale nie wiem, czy to będzie w porządku pytać cię teraz, gdy nie ma z nami starszej pani z twojego stolika– powiedział.  
– Tak ją to ciekawi, że wydaje się wręcz niestosowne kontynuowanie naszej rozmowy bez niej.

Natalie się roześmiała.

– Pytaj.

– Umówisz się ze mną?

To przyjemne uczucie powodowane bliskością Rory’ego jeszcze się nasiliło.

– Bardzo chętnie.

– Super.

Zatrzymał się na tyle, żeby pomachać do pani z Kinsale.

– Zgodziła się! – wrzasnął.

## 6

*Nigdy nie jest za późno, żeby się zatrzymać i zmienić kierunek. Nigdy.*

Matka Marcelli Schmidt zawsze jej powtarzała, że jest zbyt wybredna. Gdy dać jej do wyboru dwie rzeczy, wybierze trzecią, tak dla pewności. Wcześniej nosiła nazwisko Doyle i nie mogła się doczekać, aż je zmieni. Samo Doyle było w porządku, podobnie zresztą jak Marcella, ale razem brzmiały śmiesznie. Egzotyczna Marcella połączona z zaprzeczeniem egzotyki. Jej matka, Jane, broniła swojego wyboru dziecięcych imion.

– Marcella to imię, które każdy zauważy – mówiła pani Doyle, która przez całe życie nie cierpiała być zwykłą Jane. Może istniały gdzieś jakieś Jane, które wiodły ciekawy żywot i przytrafiały się im ekscytujące przygody, ale ona do nich nie należała. I nie pozwoli, by jej dzieci też się tak męczyły. Każdy zapamięta dziewczęta o imionach Marcella, Regina i Concepta. A fakt, że nazwisko było zwyczajne, w ogóle nie miał znaczenia. To imiona ludzie pamiętali.

Strój do bierzmowania Marcelli spowodował w ich rodzinnym domu niemałe zamieszanie. Mama chciała, żeby Marcella założyła tę samą koronkową sukienkę, która została jej po starszych siostrach. Marcella się przed tym wzdragala.

Regina, która opuściła już ich małą farmę w Mayo i pracowała w jednym z dublińskich biur, obiecała jej kupić sukienkę w dziale dziecięcym w Arnotts’.

– Sukieneczka z aksamitu – będziesz bardzo elegancka.

Marcella jednak nie widziała się ani w sukience z koronki, ani z aksamitu. W Ballinie był taki butik, w którym wypatrzyła śliczną prostą

sukienkę bez rękawów i żakiet do kompletu, a la Jackie Onassis, w kolorze koralowego rózu. Nie był to strój dziecięcy, ale przy wzroście Marcelli na pewno będzie pasował.

Koncepta, o trzy lata starsza, ale niższa, uważała, że to niesprawiedliwe, że jej młodsza siostra może wyglądać w dniu bierzmowania tak cudownie, podczas gdy ona wyglądała jak dzieciuch w tej śmiesznej kremowej koronce i podkolanówkach z lakierkami. Marcella dorastała o wiele za szybko.

– Regina przyśle ci sukienkę z Dublina – jęczała. – Czy to ci nie wystarczy?

– Regina uważa, że wciąż jestem dzieckiem, a ja nim nie jestem – tłumaczyła spokojnie Marcella.

– Ona ma dobry gust, na pewno przyśle ci coś ślicznego – pocieszała ją Jane Doyle. – Poza tym nie możesz paradować po kościele w sukience dla dorosłych. Masz dopiero dwanaście lat. No i skąd weźmiemy na to pieniądze?

– Skoro Regina chce zapłacić za sukienkę z Dublina, może przecież zapłacić za tę – odparła Marcella. Wszystko zdążyła sobie przemyśleć. – Mamo, chcę wyglądać jak należy.

– Jesteś zbyt wybredna, kochanie – westchnęła matka.

– A to nie za bardzo się opłaca.

Marcella nie mogła się z nią zgodzić. W dniu bierzmowania wszyscy mówili, że pięknie jej w tym rózu, dorośli nie traktowali jej jak dziecka, a starsi chłopcy, którzy się jej podobali – bracia kolegów z klasy – też zwrócili na nią uwagę.

– Zawsze dostajesz to, co chcesz – powiedziała rozzalona Koncepta, jakby to było naganne.

– A co w tym złego? – spytała urażona Marcella. Chciała, żeby siostra ją pochwaliła.

– Jesteś jak balsam na duszę – mówił ojciec, uśmiechając się z dumą do najmłodszej córki.

Marcella zapomniała o uwagach Koncepty i pławała się w pochwałach ojca. Uwielbiała go. Nie uważał, że jest wybredna, uważał, że jest taka, jaka ma być.

Trzydzieści siedem lat później Marcella nie była już taka pewna zalet bycia wybredną – czy też wymagającą, jak wołała to teraz nazywać.

To podejście sprawdzało się w biznesie: firma Marcelli była jedną z trzech najlepszych w kraju, mogła przebierać wśród klientów do woli. Sprawdzało się też w finansach: jej pakiet akcji miał się lepiej niż większość innych, mimo potężnych spadków. No i sprawdzało się z ubraniami: Marcella uwielbiała zakupy, nosiła bardzo drogie marki interesująco skomponowane z rzeczami, które można kupić w każdym centrum handlowym, i to tak, że nikt nie był w stanie zauważyć różnicy.

Ale bycie wybredną nie bardzo sprawdzało się z mężczyznami. Z nimi wybredność oznaczała, że zostajesz sama.

Wcale nie chodzi o to, że zawarła pakt z diabłem, wybierając sukces zawodowy kosztem ogniska rodzinnego. Marcella pragnęła obu tych rzeczy i poświęciłaby jakąś część życia zawodowego na rzecz rodziny, gdyby to było konieczne, gdyby spotkała mężczyznę, który chciałby mniej kobiety interesu, a więcej żony. Siostry, które wychwalały w niej feministkę, mogłyby się zdziwić, ale to prawda. Cel uświęca środki.

Ale ten właściwy mężczyzna nie poprosił jej – ani subtelnie, ani wprost – by poświęciła swoją karierę, i teraz się zastanawiała, czy to jej wina, bo stosowała zbyt ostre kryteria. Marcella nie chciała kogoś, kto będzie „OK”. Chciała, żeby był doskonały, albo nie chciała wcale.

Tak wielu ludzi sądziło, że ma wszystko, szczególnie rozwiedzione

koleżanki, które zaczynały od nowa całą tę zabawę w randki. Marcella, wydawały się sugerować, ma wszystko w małym palcu, wie, jak działa system. Bywa na kolacjach i przyjęciach, jej zdjęcie zamieszczają w rubrykach towarzyskich, wiedzie wspaniałe życie, jest samowystarczalna i nigdy nie użala się nad sobą w domu z butelką wina i DVD. Mogła im pomóc, twierdziły szczęśliwe, że znalazły towarzyszkę niedoli w nowym życiu singielek.

Jako mistrzyni w stwarzaniu wrażenia, że jest w pełni zadowolona i ma wszystko pod kontrolą, Marcella oczywiście nie pozwalała sobie na wykrzywienie im w twarz, że przecież wcale nie jest taka mądra, bo gdyby była, piłaby wino i oglądała filmy z własnym facetem, zamiast włóczyć się po mieście z nagle osamotnionymi koleżankami.

Ingrid była jedną z niewielu osób, z którymi mogła szczerze rozmawiać. Cóż za ironia, że jej powierniczką w sprawach samotności stała się kobieta, której małżeństwo jest idealne.

– Nie chodzi tylko o faceta, Ingrid – tłumaczyła. – Wiem, że wiele zdobyłam, i w dodatku mam dużo szczęścia. I najlepszą pracę na świecie, ale w nocy praca nie da mi pocieszenia. Wciąż myślę, jakie samotne jest takie życie i że kiedyś, dawno temu chciałam czegoś więcej, że wciąż tego chcę. Nie tyle chodzi o seks, naprawdę, ile o kogoś bliskiego.

Żarty o nowej gwiazdzie telewizyjnej, Kenie Devlinie, też się z tym wiązały: taka gra, w którą grały z Ingrid, udając, że mężczyźni to zabawki, a kobieta taka jak Marcella nie ma na nich czasu. Ale tak nie było. I kiedy znajome, choćby Ingrid, wspominały swoich mężów, najzwyczajniej mówiąc, że wybierają się razem na pizzę albo spontanicznie postanowili wyjechać na weekend, bo są akurat tanie bilety, Marcella czuła samotność nie do opisania. Nie było nikogo, kto wziąłby ją za rękę w samolocie podczas

turbulencji, nikogo, kto kupiłby jej lekarstwa, gdy złapie przeziębienie, i nikogo, kto wystawi kosze w dzień wywozu śmieci. Nie marzyła o dzikim seksie, tęskniła za drugim ciałem, do którego mogłaby wracać i spędzać z nim razem życie.

– Marcello, mam Connora na dwójce. Mówi, że to pilne.

Daniel, osobisty asystent Marcelli, posiadał aksamitny, kojący głos. Pracował dla niej od trzech lat i niezależnie od tego jak gorączkowy pośpiech towarzyszył przekazywanej informacji – a w ich branży miał do czynienia z palącymi problemami – w ustach Daniela brzmiała ona, jakby na rozwiązanie mieli całą wieczność.

– Dzięki, Danielu – odparła Marcella, przełączając się na drugą linię.

Connor Davitt był jej współnikiem w SD International, czyli Schmidt–Davitt International, i czasami pojawiał się na scenie, by ugasić jakiś pożar. Dziś był na wyjeździe z dużym klientem korporacyjnym, który zorganizował charytatywny turniej golfowy. Pogoda im sprzyjała. Jego zadaniem był z jednej strony nadzór i koordynacja całości, z drugiej wtopienie się w tłum i dopilnowanie, by wszyscy odpowiedni ludzie poznali wszystkich, których powinni poznać. Connor potrafił to robić nawet przez sen. Jeśli ktoś nie dotarł zbyt wcześnie do dziewiątego dołka i nie wpadł z tego powodu w amok z żelazną dziewiątką w jednej ręce i butelką szkockiej w drugiej, telefon raczej nie dotyczył dzisiejszego turnieju, zdała sobie sprawę Marcella.

– Co jest, Connor? – zapytała.

– Raczej, czego nie ma. Kolejnych spodni na tyłku.

– Matko kochana, znowu? Kto tym razem?

– Mickey Roche, w podróży służbowej na Bahamy. Jednym z problemów jest pewna kobieta, która twierdzi, że jej nie zapłacił i ma oddać czterysta dolarów.

– Podróż służbowa na Bahamy? Dlaczego wciąż wysyłają takie typy na Bahamy? – zapytała ze znużeniem.

– Ponieważ podróże służbowe w miastach zimnych i deszczowych są o wiele mniej zabawne niż w tropikalnych rajach.

Marcella nie cierpiała tego rodzaju robótek. Ponieważ ludzie głównie o nich czytali, zakładali, że działalność ich firmy ograniczała się właśnie do tego. A to nieprawda. Jak często powtarzała, ich praca polega na tym, by umożliwić ludziom osiągnięcie najlepszej możliwej wersji siebie.

– Aresztowali go?

– Nie. Razem z tą kobietą palili sobie jointa na balkonie jego pokoju, a on wpadł na pomysł, że fajnie będzie poopalać się nago, no wiesz.

– No wiem – przytaknęła Marcella, z niesmakiem myśląc o Mickeyu Roche, radnym, który nigdy nie dostałby się do konkursu Mister Uniwersum, chyba że zmieniliby kryteria, dopuszczając wielki bebecz, czterdzieści procent tłuszczu w tkankach i lubieżne spojrzenie. Był też idiotą. Najpierw wziął udział w ich tygodniowym intensywnym szkoleniu z zakresu mediów, po czym udzielił wywiadu w radio i od razu obraził dziennikarkę, insynuując, że dostała pracę dzięki swoim wielkim balonom. Co dziwne, ludzie go lubili. *Mickey mówi tak, jak jest* – twierdzili z dumą.

No tak, myślała Marcella, o gustach się nie dyskutuje.

Connor tymczasem kontynuował:

– Kiedy poprosili go, żeby się ubrał, poczuł się urażony.

– Naturalnie.

– A potem wyprosił swoją towarzyszkę z pokoju, zrzucając jej rzeczy przez balkon wprost do basenu, za to zapominając dorzucić cokolwiek z tych obiecanych czterystu dolarów. Odsyłają go do domu z wszystkimi pozostałymi radnymi, którzy są okropnie zażenowani...

– ... i zdecydowani odsunąć jakiegokolwiek podejrzenia od siebie, piętnując to, co zrobił Roche, i dystansując się od całego skandalu.

– Właśnie tak. Dziś wieczorem zostaną wydane oświadczenia. Tylko jeden zachował na tyle przytomności umysłu, żeby zadzwonić do szefostwa partii i poinformować o całym zdarzeniu.

Marcella była świadoma, że ten tydzień nie obfitował w ciekawe wiadomości. Wyskok Mickeya miał wszelkie dane na to, by zrobić furorę w mediach i dać gazetom możliwości rozpatrywania go pod wszelkimi możliwymi kątami, począwszy od marnowania publicznych pieniędzy. Najgorsze będą żarciki w tabloidach i historyjki o rozbierającym się facecie o imieniu Mickey.

– Błagam, powiedz, że nie mają żadnych zdjęć.

– Na razie nie mogę, bo jeszcze nie wiem – odrzekł Connor. – Będziesz musiała podzwonić, ja nie dam rady.

– Nie ma sprawy, odezwę się.

Marcella wkroczyła do akcji. Najpierw trzeba się dowiedzieć, co czwarta władza wie o całej sytuacji. Wybrała numer znajomego dziennikarza.

– Cześć Donald, tu Marcella Schmidt. Możemy porozmawiać?

– Prywatnie?

– Tak

– Poczekaj, odbiorę w biurze.

Marcella czekała. Dość często bywała w „Courier Mail”, wiedziała więc, że w miejscu pełnym ludzi, którzy żyją z tego, że interesują się nie swoimi sprawami, prywatność jest czymś praktycznie nieosiągalnym. Jako redaktor działu wiadomości, Donald miał osobne biuro oddzielone szklanymi ścianami, jednak drzwi zawsze były otwarte, a gdyby je zamknął, ściągnąłby na siebie wzrok każdego obecnego dziennikarza. Kilku co sprytniejszych



łebków nauczyło się czytać z ust tylko i wyłącznie dla chwil takich jak ta.

Donald i Marcella znali się od dawna. Wiele lat temu przeżyli jednonocną przygodę w czasie służbowego wyjazdu do Brukseli i z jakiejś wspaniałej przyczyny nie została po niej między nimi żadna niezręczność. Obydwoje byli wtedy wolni. Następnego dnia, leżąc w ogromnym hotelowym łóżku Donalda, toczyli rozmowę równie przyjemną, jak przyjemny był seks, który uprawiali wstawieni poprzedniej nocy.

Nigdy nie mogliby być razem, w tej kwestii Marcella miała pewność. Donald był bardziej żonaty ze swoją pracą niż mógłby być z jakąkolwiek kobietą. Zaangażowani dziennikarze to koszmar – zawsze zaaferowani artykułem, nawet na chwilę nie potrafią zapomnieć o pracy. Ale zostali przyjaciółmi i czasami informowali się nawzajem o rzeczach, o których powinni wiedzieć.

– Jestem w norze, mów – usłyszała w słuchawce głos Donalda.

– Dobra. Przepraszam, że o to pytam, ale mam tu narowistego radnego, który wpadł w tarapaty i...

– Mickey Roche – powiedział, jeszcze zanim zdążyła dokończyć zdanie. – Naszemu adiustatorowi podoba się „Mickey na polowaniu”. – „Courier Mail” jako poważna gazeta nigdy nie zamieściłaby takiego tytułu, ale nieoficjalny biurowy bukmacher, dziennikarz sportowy imieniem Chuck, prowadził intratne zakłady dotyczące nagłówków w tabloidach. – Ja stawiam na *Paróweczkę Mickeya*.

– Macie zdjęcie – jęknęła Marcella. Taki tytuł możliwy był tylko ze zdjęciami. Bo jak inaczej mogliby pokazać, że przyrodzenie Mickeya jest rzeczywiście wielkości paróweczki?

Donald się roześmiał.

– Nie – powiedział. – Nie sądzę, żeby były jakieś zdjęcia, ale głowy nie

dam. My ich w każdym razie nie mamy. Jak to rozegrasz?

– Nie wiem – odparła Marcella. – Co tu można jeszcze zaradzić, skoro radny na haju prezentuje swój interes na balkonie bahamskiego hotelu?

Tym razem Donald śmiał się tak, że aż parsknął.

– Powinnaś wziąć udział w naszym konkursie, masz talent. Obejdziemy się z Mickeyem łagodnie, żadnych słownych gier. Spodziewamy się reakcji z Leinster House, więc raczej oprzemy się na tym. – Choć Mikey Roche jako lokalny radny nie rezyduje w Leinster House, budynku, w którym ma siedzibę parlament irlandzki, jego partia wysłała kilka strażaków w stronę niesfornego członka. – Masz czas w tym tygodniu? Może umówimy się na drinka?

Marcella przypomniała sobie swój terminarz.

– Chyba tak. Może w piątek? Jutro do ciebie zadzwonię.

– Super. A teraz, skoro już rozmawiamy, masz bliski kontakt z Ingrid Fitzgerald i Davidem Kennym – mówił dalej. – Czy to prawda, że w Kenny's mają problemy z płynnością i że De Vere's wykupują ich za bezcen?

Legendarne opanowanie Marcelli na chwilę ją opuściło. Za bezcen oznaczało, że problemy były poważne.

– Co? – powiedziała.

– Uznam to za „nie” – stwierdził Donald. – To tylko mała ploteczka. Słyszałem ją w zeszłym tygodniu i od tego czasu cisza, więc zastanawiałem się, czy jest w tym coś z prawdy. Nie mamy ludzi ani pieniędzy, żeby gonić i sprawdzać wszystko.

– Nic takiego nie słyszałam – powiedziała zdecydowanie Marcella, odzyskując pełną kontrolę. Lubiała Donalda, ale Ingrid i David to jej najbliżsi przyjaciele, więc instynkt opiekuńczy wziął górę. – To raczej mało prawdopodobne, a nawet bardzo nieprawdopodobne – dodała. – David jest świetnym biznesmenem i z tego co wiem, sprawy idą doskonale.

– No dobrze. – Donald się zastanawiał. – Może wypuścili to z DeVere's?

– Wszystko możliwe. W sumie zdarzały się i dziwniejsze rzeczy – powiedziała lekko Marcella. – Zadzwoń jeszcze w sprawie piątku. Na razie dzięki, Donaldzie.

Gdy odkładała słuchawkę, los Mickeya Roche'a zupełnie wyparował jej z głowy. Będzie musiała porozmawiać z Davidem.

TTLR

*Co cię nie zniszczy, to cię wzmocni. Mam tylko nadzieję, że w ogóle nie będziesz musiała się o tym przekonywać. Ale jeśli zdarzy się inaczej, wierz mi – to prawda.*

Dwa dni później David wchodził do swojego sklepu od frontu. Często szedł tędy do gabinetu, tak jak klienci popychając ogromne złoto– brązowe wahadłowe drzwi, zamiast wślizgiwać się tylnym wejściem, które wiodło wprost do pomieszczeń biurowych. W ten sposób jakby łączył się ze sklepem, przypominał sobie, co stworzył.

Nawet w środę rano ruch był duży. W dziale kosmetycznym aż brzęczało, w powietrzu unosiły się zapachy i szmer rozmów. Muzyka zawsze była dyskretna, dziś puszczała Vivaldiego. David nie znosił popu z głośników i upierał się przy odpowiednio dobranej muzyce klasycznej. Czasami nawet była to opera. Przeszedł przez kosmetyki do działu z biżuterią, tutaj było spokojnie. Mieli bardzo eleganckie stoisko, wystawiali przepiękną sztuczną biżuterię z niewielką ilością prawdziwej. Ostatnio wziął nowego projektanta, młodego Polaka, był naprawdę dobry. David, spojrzawszy w jedną z gablot na prace Pawła Zaborskiego, z zadowoleniem skonstatował, że dobrze wyglądają. Nowoczesne, zaokrąglone kształty, spinki do mankietów i pierścionki z półkulistymi półszlachetnymi kamieniami. Nie były drogie, ale na takie wyglądały – i o to chodziło. David natychmiast połknął haczyk, ale Ingrid by się nie spodobały. Mimo że była kobietą na wskroś nowoczesną, jeśli chodzi o biżuterię, lubiła styl art deco, broszki z markazytami oraz delikatne kolczyki i małe zegarki, które wyglądały, jakby spadły z ręki jakiejś

bladej i wątlej weneckiej księżnej z lat dwudziestych. Nie, Ingrid nie kupiłaby biżuterii Pawła, ale wielu innych – owszem.

Molly, jego córka, mówiła mu, że koleżanka, z którą mieszka, Natalie, prawie kończy swoją pierwszą kolekcję.

Lubił Natalie, podziwiał jej oddanie swojej pasji i fakt, że była gotowa ciężko pracować u niego w restauracji, nie oczekując żadnego specjalnego traktowania z powodu przyjaźni z jego córką. Z drugiej strony, myślał z dumą, Molly nie przyjaźniłaby się z kimś, kto by tego oczekiwał. Już w szkole nie cierpiała tej kliki nazywanej przez nią „dziećmi tych i tamtych” – nastolatków ze słynnymi i bogatymi rodzicami, które wierzą, że są kimś specjalnym tylko dlatego, że mamusia lub tatuś pracują w dużej firmie albo występują w telewizji. A jak mówiła Molly: „Wcale nie!”.

Ethan był inny. David westchnął. Syn nie wykazywał najmniejszego zainteresowania ani rodzinnym interesem, ani żadną inną pracą. Ingrid zawsze mu ulegała i martwiła się bez przerwy jego wyjazdem do Tajlandii. Kiedy David był w wieku syna, pracował już w sklepie, i to od rana do nocy, wykonując wszystkie najgorsze roboty, żeby nie uderzyła mu do głowy woda sodowa, jak mawiał ojciec.

– Dzień dobry, panie prezesie – odezwała się ekspedientka na stoisku z biżuterią.

– Dzień dobry, pani Lauro – odparł natychmiast. – Spokojnie tu dzisiaj.

– Tak, raczej tak – powiedziała Laura. – Ale wiadomo, że mało kto kupuje biżuterię tak wcześnie rano. Ruch zacznie się później.

– No tak, oczywiście – uśmiechnął się w odpowiedzi.

Była nieco zdenerwowana, gdy z nim rozmawiała, ale tylko odrobinę. David nigdy nie wprowadził rządów opartych na strachu, nauczył się tego od ojca.

– Kenny’s to rodzinny interes, a rodzinne interesy prosperują lepiej, kiedy rodzinne wartości znajdują odzwierciedlenie również w sposobie zarządzania – mawiał Andrew Kenny.

Było to szczególnie ważne w dawnych czasach, gdy zaczynali. W 1924 roku nikt by nie pomyślał, że dom towarowy może działać poza wielkim miastem, a tu, proszę.

David opuścił stoisko z biżuterią, znów myśląc o Natalie, przyjaciółce Molly.

– Ma naprawdę ładną kolekcję, tato – mówiła mu córka.

– Nie potrafię jej opisać, ale jest odważna i silna.

– Niech przyjdzie mi ją pokazać.

– Hm... – Molly przerwała. – To nie takie proste.

– Dlaczego?

– Natalie jest bardzo niezależna. Chce to załatwić tak, jak należy, przez Paula. – Paul nadzorował cały dział. – Nie chce wykorzystywać znajomości, żeby się dostać do środka.

David się zastanowił.

– To albo bardzo chwalebne, albo bardzo głupie, sam nie wiem jakie.

– Natalie nie jest głupia – obruszyła się Molly. – Gdyby przez ostatni rok tak wielu jubilerów nie splajtowało, na pewno u któregoś dostałaby pracę i mogłaby sprzedawać swoje wyroby. Świetnie sobie poradziła z warsztatem i chce wszystko zrobić tak, jak ma być. Myśli podobnie jak ja i nienawidzi tego koleśiowskiego podejścia: „Nie chodzi o to, co robisz, tylko kogo znasz” – Molly niemal splunęła.

– Powiedziałem tylko, że może to pokazać mnie – zauważył spokojnie David. – Nie powiedziałem, że kupię od niej tę biżuterię, bo jest twoją koleżanką. Interes to interes. Następny wyświechtany slogan.

David uśmiechnął się teraz.

Stanął przed szerokimi drewnianymi schodami. Z obu stron strzegły ich błyszczące staroceltyckie boginie, przywodzące skojarzenia z galionami. Jedna z nich to Morrigan, bogini wojny, wyrzeźbiona w dębie, z ostro zarysowanym podbródkiem, długimi włosami i mieczem w silnej dłoni. W drugiej miała tarczę ze swoim symbolem – wroną. Druga to Brigid, uzdrowicielka i kapłanka ognia druidów. Jej suknię zdobią płomienie, a w złożonych dłoniach trzyma pleciony krzyż ze swoim imieniem.

W czasach ojca Davida boginie były egipskie, w kolorach złotym, czarnym i lazurowym. W latach trzydziestych Andrew wybrał się w podróż wzdłuż Nilu i był tak oczarowany, że przez resztę życia czytał o Egipcie i spędzał tam każde wakacje – zatrzymywał się w hotelu Old Cataract i robił zdjęcia świątyni.

Ale kiedy ukochane przez ojca kobiety egipskie zaczęły łuszczyć się i kruszyć, David postanowił zamówić starożytne boginie irlandzkie. Chciał w ten sposób upamiętnić czasy, kiedy kochał kobietę, która o starej celtyckiej religii wiedziała wszystko.

Ingrid z kolei, ponieważ w ogóle nie interesowała się magicznymi wizerunkami, nie miała pojęcia o ich symbolice. Nigdy też nie mówił jej o Gwieździe – kobietom trudno się pogodzić z istnieniem innych ważnych kobiet w życiu mężczyzny. To też powiedział mu ojciec.

David nie skierował jednak kroków na schody, ale wszedł do windy. Kiedy wzniósł się ponad piętra, nie poczuł tej dumy, co zwykle. Dobrze, że ojciec nie może widzieć, co tu się dzieje, myślał, zupełnie nie zważając na wspaniałość sklepu, któremu poświęcił całe swoje życie. Gdyby ojciec nie umarł wcześniej, to na pewno zabiłby go.

Tuż po wpół do pierwszej Stacey O'Shaughnessy w swoim niewielkim

pokoju na piątym piętrze domu towarowego Kenny's poczuła dobiegający skądś zimny podmuch. Automatycznie się odwróciła, żeby zobaczyć, czy David nie otworzył może okna w jej biurze, gdy wcześniej schodziła na drugie piętro po kawę, ale nie, było zamknięte. Więc znów przeciągi, mimo góry pieniędzy wpompowanych w remont sklepu. Był to jednak stary budynek pełen architektonicznych osobliwości, jakich nie uświadczysz w nowoczesnych, dobrze ocieplonych konstrukcjach.

Postawiła na tacy cafe latte Davida, wsypała pół łyżeczki cukru, tak jak lubił, i zdjęła celofan z jego kanapki. Razowy chleb z szynką i sałatą. Szczerze mówiąc, David nawet nie zauważał, co je. W każdym razie nie ostatnimi czasy. Stacey pracowała u niego piętnaście lat i zawsze lubił jedzenie. Kiedy jeszcze piekła dla swoich dzieci, przynosiła czasem do pracy muffinki albo słodkie bułeczki na drugie śniadanie. Uwielbiał je. Oczywiście dzieci już dorosły i nie piekła tak często, tylko z okazji urodzin i tym podobnych, wąpiła jednak, czy David miałby ochotę, nawet gdyby poczęstowała go jego ulubionymi – z dżemem agrestowym. Zmienił się, jadł teraz swój lunch, jakby w ogóle nie czuł smaku.

Wypiła łyk cappuccino, po czym wzięła tacę i zapukała do gabinetu Davida.

– Panie prezesie! – zawołała głośno. – Lunch.

Nie odpowiedział. Nie było go, pewnie wyszedł, kiedy zeszła po kanapkę.

Trzymając tacę na jednej dłoni, otworzyła drzwi.

David Kenny był w środku, siedział w swoim fotelu zwrócony do otwartego okna. Oto i źródło przeciągu, przebiegła jej przez głowę myśl, zanim zdała sobie sprawę, że wzrok szefa nie wędruje, jak niekiedy, pomiędzy wieżami miasta aż do falistej linii wybrzeża i grzywiastych



bałwanów Morza Irlandzkiego. Jego głowa luźno opadła w dół.

– Panie prezesie! – Stacey upuściła tacę na podłogę i podbiegła do niego. Ale jeszcze zanim go dotknęła, wiedziała, że jest za późno. Zwykle opalona twarz miała teraz szary odcień, wokół ust zauważyła dziwną bladość, a szczęka zwisała luźno. David Kenny nie żył.

Na pierwszym piętrze budynku telewizji Ingrid zajmowała się tym, co lubiła najbardziej – zbierała informacje. Co kilka tygodni przeprowadzała wyczerpujący wywiad ze znaną osobistością i chciała, żeby był nieszablonowy. Zamiast więc stosować prostą formułę pytanie– odpowiedź, w której znani ludzie wypowiadali swoje poglądy na taki czy inny gorący temat, jak przestępczość czy bezrobocie, rozmawiała z nimi o tym, dlaczego zajęli się polityką i co ich motywuje dzisiaj.

Kochała to, bo dzięki temu mogła analizować ludzi – do czego naprawdę była stworzona.

– Jesteś niespełnionym psychologiem – powiedział jej producent, gdy zajrzał do gabinetu i zastał ją w okularach do czytania na nosie i ze stygnącą herbatą na biurku, jak nieświadomie uśmiecha się do siebie, robiąc notatki.

Ingrid spojrzała na Carlosa znad okularów.

– Z powodu tego? – wskazała na biurko zavalone papierami: wycinki z gazet i czasopism, artykuły wydrukowane z Internetu. – Pewnie masz rację. Czy to robi ze mnie nudziarę?

Roześmiał się.

– Jeśli pozycja jednej z najlepiej zarabiających dziennikarek telewizyjnych w kraju oznacza bycie nudziarą, to tak, jesteś nudziarą.

– Chyba powinieneś zrobić nowe koszulki na program: *Wieczór z nudziarą* czy coś – odparła z uśmiechem. – Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie – powiedział, ale wszedł i usiadł na krześle naprzeciwko.

Bycie producentem potrafi szybko człowieka wypalić, więc Ingrid lubiła pracować z młodymi producentami, bo mieli dużo energii. Ona sama była chyba najstarsza w całym zespole, co z jednej strony napawało ją dumą, a z drugiej przerażeniem.

– Wszystko dobrze? – zapytała Carlosa.

– Nie tylko dobrze, wręcz znakomicie – odparł. – Ty jesteś znakomita – dodał żarliwie. – Przyszedłem tak tylko, chwilę pogadać – powiedział i wziął do ręki gazetę, po czym zaczął ją przeglądać.

Ingrid się uśmiechnęła. Carlos też był znakomity, choć nie umiał usiedzieć w miejscu, cały czas chodził, stawiając ogromne kroki.

Pochlebiali jej, że cenił ją jako profesjonalistkę. Nigdy nie czuła się oszustką, która pewnego dnia zostanie zdemaskowana i jako taka wyrzucona na bruk. Wiedziała, że wiele kobiet, miliony kobiet tak właśnie się czuje, niepewne swoich umiejętności i przekonane, że mają te dobrze płatne posady tylko i wyłącznie przez pomyłkę i że pewnego dnia ktoś tę pomyłkę odkryje.

Poznać motywy działań człowieka – to było jak narkotyk. Jedni upajają się seksem, inni prochami, a Ingrid osiągała ten stan, wkładając na miejsce ostatni fragment psychologicznej układanki i wykrzykując za Archimedesem: „Eureka! ”. Wcześniej uczestniczyła w kolejnym z niekończących się zebrań, a potem przeglądała materiał filmowy do dzisiejszego programu. Ale to, rozgryzanie drugiego człowieka, to kochała najbardziej.

Usłyszała dzwonek swojej komórki.

Wzięła ją do ręki i zobaczyła numer gabinetu Davida.

– Cześć, kochanie – powiedziała wesoło, spodziewając się usłyszeć, że nie będzie go dziś na kolacji. Poprosiła już panią Hendron, by rozmroziła ekologicznego kurczaka i włożyła go do piekarnika zaprogramowanego na szóstą.

– Pani Ingrid... – to nie był David, ale jego prawa ręka, Stacey.

– Przepraszam panią, Stacey. Myślałam, że mąż dzwoni osobiście – powiedziała swobodnie Ingrid. – Co tam słyhać? Czy zapomniał mi powiedzieć, że dziś wieczorem ma być w Ułan Bator i nie wraca do domu?

Stacey nie podchwyciła żartu. Nie było śmiechu, tylko cisza. Instynkt, o którego posiadanie Ingrid się nie podejrzewała, pozwolił jej zrozumieć, że stało się coś bardzo złego.

– Co się stało, niech pani mówi – błagała Ingrid.

– Och, pani Ingrid, nie wiem, jak to powiedzieć, ale weszłam do gabinetu, a on siedział przy oknie i...

– ... i? – ponaglała ją Ingrid w panice.

– On nie żyje. Zadzwoiłam po pogotowie. Dolores zna się na pierwszej pomocy, ale mówi, że nic już nie można zrobić. Pan David nie żyje.

Ingrid wypuściła telefon z ręki. Uderzył głośno o biurko, na które spadł.

– O co chodzi? – Carlos wyciągnął do niej rękę przez biurko, bo wyglądało na to, że zemdleje.

– David – powiedziała bez wyrazu. – Stacey mówi, że nie żyje.

– Psiakrew.

Carlos pomógł jej usiąść, wybiegł na korytarz i wezwał pomoc, a potem wbiegł z powrotem i podniósł upuszczoną przez nią komórkę.

– Mówi Carlos Monero – powiedział – kolega Ingrid. Z kim rozmawiam?

Ingrid jak przez mgłę słyszała głos Carlosa i jeszcze kogoś, kto wszedł i ją objął, a potem wyszedł po kubek bardzo mocnej, słodkiej herbaty.

– Lepsza byłaby brandy – powiedział jakiś głos.

– Od brandy dostaje się ataku serca – twierdził ktoś inny.

– Najlepsza jest herbata z cukrem.

– A może whiskey?

– Słuchajcie, to nie czas na rozlewanie drinków. Właśnie umarł jej mąż.

– Słyszała w ich głosach frustrację. – Powinniśmy wezwać lekarza, ona jest przecież w szoku.

– Mamy zawieźć ją do Kenny's?

– Nie, raczej nie. Nie musi oglądać jego ciała, jeszcze nie teraz.

*Jego ciała.*

– Dlaczego, do cholery, zadzwoniła pani do niej? A nie do kogoś z nas, kto mógłby jej to przekazać osobiście, jakoś delikatniej? – mówił tymczasem do telefonu Carlos.

Ingrid wszystko słyszała, ale nie potrafiła się włączyć, podobnie jak nie mogła podnieść kubka z herbatą, który stał przed nią na biurku. Czuła się dziwnie, jakby w innym świecie, jakby unosiła się pod sufitem i patrzyła w dół. Niby była tam, ale jakby jej nie było. Wszystko stało się takie nierealne. David nie mógł umrzeć, nie jej David. Pewnie to się jej śni, okropny koszmar, z którego człowiek budzi się z krzykiem. Może jak będzie cicho, wróci do normalnego, zdrowego snu, a potem się obudzi, już rano, i David będzie leżał obok niej.

Nie mogli jej go zabrać. Był częścią jej życia, mężczyzną, którego kocha. Nie potrafi żyć bez niego. Nie wiedzieli o tym?

– Ingrid, spójrz na mnie.

Skupiła się na tyle, by rozpoznać swoją asystentkę, Glorię, która przed nią klęczała. Gloria jest taka skuteczna, z wszystkim sobie poradzi, tę sytuację też opanuje. David nie umarł. To szalony pomysł. Nikt tak pełen życia jak David nie może umrzeć.

– Zadzwonisz do niego, prawda? – poprosiła Glorię.

– Zajmij się tym, proszę cię. Naprawdę nie wiem, co z tą Stacey,

wszystko popłatała.

Gloria nie należała do osób zbyt wylewnych. Nie ścisnęła ludzi na powitanie ani nie całowała w policzek. Ale teraz wzięła dłonie Ingrid i trzymała je mocno, chcąc ją pocieszyć, ukoić.

– Ingrid, Stacey nic nie popłatała, nie ma żadnej pomyłki, rozmawialiśmy z nią. Jest tam teraz pogotowie i mówią, że nic się nie da zrobić. Nie wiedzą, co się stało, prawdopodobnie atak serca.

Czuła się, jakby upuściła szklanę na swoją wykafelkowaną podłogę – rozbiłaby się z hukiem na kawałki, a szkło rozprysłoby się po całej kuchni. Słowa Glorii roztrzaskały tę nadzieję, którą zbudowała w głowie. Będzie dobrze, David nie mógł odejść... Nadzieja prysła.

David nie wróci. Już nigdy go nie zobaczy.

Ingrid trzymała się Glorii, ale nie czuła ukojenia. Nie umiała płakać. Zamknęła tylko oczy i kołysała się rytmicznie, do przodu, do tyłu, w milczącym żalobnym lamencie. Nikt w gabinecie się nie odezwał. Cóż mogli powiedzieć.

Kiedy Gloria wszystkich wyprosiła, przysunęła Ingrid kolejny kubek herbaty.

– Wypij – powiedziała. – Jesteś w szoku.

Ingrid posłusznie podniosła kubek i wypijała. Zazwyczaj lubiła słodką herbatę, ale ta smakowała dziwnie metalicznie. Skrzywiła się.

– Pij – mówiła Gloria.

– To obrzydliwe.

– Szok – powtórzyła Gloria.,

– Szok powoduje, że herbata jest okropna?

– Szok powoduje, że wszystko jest okropne. Ingrid, musimy załatwić kilka spraw. Nie wiem, co chcesz zrobić najpierw. To znaczy... musimy

zawiadomić dzieci...

Organizacyjna część mózgu Ingrid weszła w swoje zwykłe tryby, jak dobrze wyćwiczony mięsień, który przez lata praktyki doszedł do perfekcji. Poczowała ulgę, że może oderwać się od tego wszechobecnego bólu świadomości, że Davida już nie ma.

– Dzieci, muszę im powiedzieć. I ciotka Davida, moje siostry. Dzieci... z Molly nie ma problemu, ale Ethan, z nim będzie trudniej.

Miała wrażenie, jakby mózg chronił ją, każąc myśleć o innych: kiedy skupi uwagę na ukochanych dzieciach i na tym, jak one przyjmą wiadomość o śmierci ojca, nie będzie musiała myśleć, jak strasznie sama się z tym czuje.

– W takim razie zadzwonię do Molly, tak? – Gloria już była gotowa to zrobić. – Czy wolisz powiedzieć najpierw jej przyjaciółce, żeby nie była sama?

Ingrid miała ochotę to wszystko wstrzymać, bo jeśli Gloria zadzwoni, to okaże się jednak prawdą.

– Nie, powinna wiedzieć od razu, chciałyby tego – zdecydowała rozpaczliwie Ingrid. – Muszę do niej pojechać.

Sama myśl o powiedzeniu Molly była przerażająca. Ingrid na chwilę schowała twarz w dłoniach, próbując się uspokoić.

– Ingrid, nie jesteś w stanie pojechać do Molly. Proszę cię, zadzwoń – tłumaczyła Gloria. — A może jest ktoś, z kim mogłabyś porozmawiać, żeby przywiózł ją tutaj?

Ingrid pokręciła głową.

– To musiałyby być Natalie, jej najlepsza przyjaciółka. Pracuje w Kenny's, w restauracji.

Jeśli Ingrid nie może być z Molly, powinna to być Natalie.

– Zadzwonić do niej?

– Nie, najpierw do Molly.

Pozwoliła Glorii znaleźć w swojej komórce Molly i wcisnąć „zadzwoń”.

Wzięła od niej telefon i pomyślała o tych wszystkich rzeczach, które powinien robić tylko rodzic. Zaprowadzić dziecko pierwszy raz do szkoły, pocieszać je, gdy ktoś mu dokucza, przytulić, gdy się nieszczęśliwie zakocha. Informowanie o śmierci ojca nie powinno być na liście.

– Cześć, mamó, co słysząc? – Ingrid usłyszała wesoły głos Molly i skrzywiła się.

– Molly, kochanie... – zaczęła.

– Mamó? Co się stało? Tak dziwnie mówisz.

– Chodzi o tatę – powiedziała Ingrid. – To chyba atak serca.

– Co... Jak on się czuje?

Ingrid zakryła ręką oczy.

– Nie żyje, kochanie. Nie żyje.

Natalie znów się sparzyła, spieniając mleko w ekspresie do kawy.

– Cholerny spieniacz – powiedziała, sięgając do apteczki, by wyjąć piankę na oparzenia. Dokładnie to samo zrobiła tydzień temu, a rany po gorącej parze okazały się bolesne.

– Ta maszyna chyba cię nie lubi – zauważył Hugh, kierownik restauracji, który natychmiast przyszedł, by zobaczyć, czy wszystko w porządku. – Mogę ją zbić następnym razem, jak będę przechodził.

Uśmiechnęła się. Pozostali pracownicy twierdzili, że Natalie podoba się Hugh, że ciągle się w pobliżu niej kręci i gapi na nią tymi swoimi psimi oczami. Natalie w to nie wierzyła. Obydwoje po prostu interesowali się filmem, to wszystko. Z tym że Hugh najbardziej lubił telewizyjne programy science fiction. W zeszłym roku był na trzech zlotach i zapisał się już na

kwiecień, na całotygodniowy Science Fest w Killarney. Przyrzekał, że się nie przebiera, ale Natalie tak do końca mu nie wierzyła. Hugh kojarzył się jej z tymi dzieciakami, z którymi chodziła na zajęcia wyrównawcze: słodki, bezbronny i przyzwyczajony do tego, że się z niego śmieją.

– Spryskać ci ranę? – zapytał troskliwie.

Uśmiech Natalie nieco zrzędł.

– Eee, nie, dzięki – powiedziała. – Najlepiej takie rzeczy robić samemu, nie uważasz?

– Natalie! – wrzasnęła z zaplecza Siobhain. – Telefon do ciebie!

Natalie wycisnęła jeszcze trochę pianki na rękę, a potem spojrzała na Hugh. Nie wydawał się zirytowany, że ktoś dzwoni i przeszkadza jej w pracy, jak to zwykle miało miejsce w przypadku innych pracowników. Właściwie wciąż wyglądał trochę niewyraźnie, gdy tak się jej przyglądał. Odłożyła piankę, uśmiechnęła się i szybkim krokiem ruszyła do biura. Pozostali mieli rację: podobała mu się. Nagle wyobraziła go sobie w stroju z filmu *Star Trek* i wstrząsnął nią dreszcz. Musi mu wspomnieć mimochodem, że ma randkę z boskim facetem o imieniu Rory. Najlepiej odprawić go delikatnie, był taki słodki.

– Halo?

– Czy rozmawiam z panią Natalie?

– Tak, kto mówi? – Natalie oglądała swoją ranę. Była zmęczona, dlatego się sparzyła. Znów do późna siedziała w warsztacie. I choć główna barmanka Michelle uważała, że każdy głupi potrafi obsługiwać ekspres do kawy, Natalie wiedziała doskonale, że wpatrywanie się znużonym wzrokiem w przestrzeń przy robieniu cappuccino niechybnie grozi katastrofą.

– ... ojciec Molly... Ingrid chciałaby, żeby pani do niej pojechała. Proszę porozmawiać z kimś w biurze dyrektora, wezwą dla pani taksówkę...



– Słucham? – Natalie nic nie rozumiała.

– Ojciec Molly, David Kenny, nie żyje. Pracuję z jej mamą i ona chciałaby panią poprosić, by pojechała pani do Molly. Jest jej teraz bardzo trudno.

– Mój Boże – powiedziała Natalie. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Nikt nie może, ale niestety to prawda.

Ingrid wiedziała, że w stanie szoku ludzie czują się zagubieni. Czytała o jego fizycznych efektach, że hormon stresu, kortyzol, zalewa układ nerwowy, wywołując natychmiastowy efekt w postaci podwyższonego pulsu i ciśnienia. Podchodziła wtedy do tematu obiektywnie i bez emocji, przygotowując się do programu o negatywnych skutkach stresu.

Pamiętała taki wywiad z pewnym politykiem, który rok wcześniej owdowiał – po długiej walce żony z rakiem. Okropnie się wtedy namećczyła, żeby ułożyć pytania, żeby zadać odpowiednie, chcąc zrozumieć jego ból, ale go nie pogłębić – dla dobra swojego wywiadu. Myślała, że się jej udało.

– Musi jej panu bardzo brakować – powiedziała wtedy, na wpół pytając, na wpół stwierdzając fakt. Dla zawodowego polityka wystarczy. Ten sposób wypowiedzi oraz empatia Ingrid i jej charyzma, gdy pochyliła się w jego kierunku, dały pożądany efekt. Polityk nie poczuł się urażony, nikt nie uznał, że posunęła się za daleko w tak intymnej kwestii.

– Bardzo – odparł cicho polityk. – Była przy mnie całe moje dorosłe życie, a teraz odeszła. Kiedy jestem poza domem, jakoś to wszystko się kręci, ale kiedy przechodzę przez próg...

Ingrid nic nie mówiła, czekała. W telewizji takie chwile ciszy okazywały się często najcenniejsze.

– ... wydaje się, jakby wyszła tylko na chwilę. Niemal jestem w stanie uwierzyć, że zaraz stanie w kuchennych drzwiach, żeby się ze mną przywitać.

Wspomnienie tego elektryzującego momentu było dla Ingrid jak policzek, gdy stanęła teraz za Glorią w holu swojego własnego domu, słysząc drapanie psów w drzwi kuchni.

Sądziła, że obeszła się wtedy ze swoim rozmówcą w możliwie najdelikatniejszy sposób, ale teraz, we własnym zimnym holu i z własnym nieżyjącym mężem, znów poczuła obnażony ból tego człowieka i chciała zadzwonić do niego, by go przeprosić.

Teraz wiem, jak to jest, powiedziałaaby. Rozumiem. Wcześniej nie byłam w stanie, ale teraz już wiem. Przepraszam, że o to wszystko pytałam.

On okropnie cierpiał, a ona nic nie rozumiała.

Miała wrażenie, że świat dzieli się na dwa obozy: tych, którzy cierpią, i tych, którzy nie cierpią, a ci pierwsi potrafią się rozpoznać po pustym wzroku i odrętwiałych twarzach. We właściwym obozie wiesz, że ludzie rozumieją, ale wśród tych niedotkniętych, tych, którzy wszystkiego nie stracili – tam jesteś całkiem sam. Gdyby zadzwoniła do tego polityka, zrozumiałaby i może poradziłby jej, co ma dalej robić.

– No dobrze – powiedziała Gloria, kładąc na stoliku klucze Ingrid.

Kiedy już owdowiejesz, nie możesz nawet otwierać własnych drzwi. Gloria wzięła jej klucze i otworzyła drzwi za nią, a potem wyłączyła alarm.

– Tak – odezwała się znowu. – Herbata, możemy zrobić herbatę. Kubek czegoś ciepłego na pewno nie zaszkodzi.

Podjąwszy decyzję, podeszła do kuchennych drzwi i je otworzyła, wypuszczając tym samym psy, które natychmiast zaczęły skakać z podniecenia.

Patrzyła na tę psią radość i zbierało się jej na płacz. Gdy zostawiała je dziś rano, wszystko było w porządku, normalnie. Była żoną Davida, była szczęśliwa. A teraz jest wdową. David odszedł na zawsze. To wszystko

zdarzyło się tak szybko. Jak to możliwe?

– Dobrze się czujesz? – spytała Gloria, kładąc rękę na ramieniu Ingrid. – Przepraszam – dodała, poprawiając się.

– Głupie pytanie. Oczywiście, że nie czujesz się dobrze, jak mogłabyś się dobrze czuć?

Ingrid zastanowiła się nad tym pytaniem. Dobrze? Już nigdy nie poczuje się dobrze.

Molly w ogóle nie płakała. Kiedy Natalie po nią przyjechała, siedziała bez ruchu przy swoim biurku. Przed nią stał kubek nietkniętej herbaty. Została z nią jedna z koleżanek – na widok Natalie w jej oczach pojawia się wyraźna ulga.

– Nie czuje się dobrze, biedactwo – powiedziała kobieta.

– To okropne, gdy śmierć przychodzi tak nagle. Nie można się nawet pożegnać.

Kątem oka Natalie dostrzegła, jak na te słowa Molly marszczy twarz.

– No właśnie – powiedziała, po czym zabrała stamtąd Molly i jej torbę. Wsiadły do czekającej taksówki. Kiedy przejechały przez następne światła, Molly szlochała tak gwałtownie, że cała się trzęsła.

– Gdybym tylko wiedziała – łkała. – Zadzwoiłabym do niego, powiedziała mu, że go kocham. Ale wiesz co? Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz mu to mówiłam. A jeśli o tym myślał? Wiesz przecież, że się o mnie martwił. A ja mu powiedziałam, że nie chcę już pracować w sklepie. To go zdenerwowało, wiem, że tak, Natalie. Ethana w ogóle nie interesuje sklep i tata cieszyłby się, gdybym ja się tym zajęła, ale nie umiałam udawać. A teraz wszystko stracone, już mu nie powiem, że mogłabym to dla niego zrobić, że go kocham...

Natalie objęła przyjaciółkę i pozwoliła jej mówić. Nie знаła słów, które

mogłyby jej pomóc, ale cierpiała razem z nią.

I nagle wśród tego współczucia zaświtała jej w głowie myśl, tak samolubna, że zrobiło się jej niedobrze: David był wspaniałym ojcem i to okropna tragedia, że go straciła, ale Molly przynajmniej знаła ojca. A Natalie nie dane było poznać matki. Czy to było gorsze od nagłej śmierci – w ogóle nie znać swojego rodzica? Czy w ten sposób jest łatwiej? Nie można tęsknić za kimś, kogo się nie znało, prawda?

Niektórzy z personelu uważali, że na resztę dnia sklep należy zamknąć.

– Jako hołd.

– David nie chciałby, żeby zamykać sklep! – mówił ktoś inny. – On kochał to miejsce. Na pewno by chciał, żeby drzwi zostały otwarte, a klienci tłumnie przychodzili.

– Biedna Ingrid – odezwał się kolejny głos.

Wszyscy pokiwali głowami. Lubili Ingrid, choć młodszy pracownicy nie znali jej zbyt dobrze. Częściej zaglądała do sklepu, gdy dzieci były młodsze, żeby się zobaczyły z ojcem.

– Boże, pomóż Molly i Ethanowi – szlochała Lena, której wprost nie dało się uspokoić. – Jeśli ja nie potrafię uwierzyć, że już go nie ma, to jak oni muszą się czuć.

Charlie razem z Shotsy siedziały na dachu. Shotsy paliła i płakała. Znała Davida dłużej od Charlie. Zatrudnił ją, gdy była bardzo młoda, i wraz z Leną był jej mentorem.

– To niesprawiedliwe, że ktoś taki jak David umiera ot tak, bez żadnego ostrzeżenia – mówiła, gasząc jednego papierosa i zapalając drugiego.

Charlie się z nią zgadzała. W śmierci Davida Kenny'ego było coś dziwnie szokującego. Jakby tak pełen życia człowiek nie mógł zapadać na te same choroby co normalni ludzie.

W życiu był jak opoka: szef, zawsze opanowany, który wszystko miał pod kontrolą, jak prawdziwy ojciec. Jego śmierć zostawiła po sobie wielką, ziejącą dziurę wątpliwości: skoro David umarł, to k a ż dy może.

– Zaczynasz myśleć o własnych rodzicach – ciągnęła Shotsy, której dziewięćdziesięcioletnia matka przyprawiała o palpitacje serca całą rodzinę, gdy opowiadała, jak to w mroźny poranek wychodzi do ogrodu, żeby nakarmić ptaki.

– Rodzina to skarb. Dopiero jak ich zabraknie, zdajesz sobie sprawę, ile dla ciebie znaczyli.

– No tak – powiedziała automatycznie Charlie.

Ale śmierć Davida nie nasunęła jej na myśl matki ani ojca, tak jak Shotsy. Charlie myślała o Brendanie i Mickeyu. Gdyby coś się stało któremuś z nich, ona też chciałaby umrzeć. Życie nie miałoby dla niej żadnego sensu.

Gdyby natomiast umarła jej matka... błysnęła kolejna myśl.

Poradziłaby sobie. Czy to normalne, że córka tak myśli?

Na pewno nie, powinna czuć coś więcej. Była zła. Chciałaby kochać matkę tak jak Iseult, ale tamte dwie łączy jakaś specjalna więź, jakby miały wspólną tajemnicę. Charlie czuła, że gdyby tę tajemnicę poznała, zyskałaby również udział w tej miłości.

I wtedy przyszło jej do głowy coś potwornego – a jeśli ten brak uczucia jest dziedziczny i Mickey w przyszłości będzie czuł do niej to samo?

– Dziękuję ci – mówiła tego wieczoru Ingrid do Natalie. Taksówka czekała przed bramą, na koszt Kenny's. Miała odwieźć Natalie do domu.

– I pamiętaj o tych cholernych kotach – dodała.

Obydwie się uśmiechnęły, jedyna lżejsza chwila w całym dniu. Molly przestała w końcu płakać i od razu zaczęła się martwić o swoje maleństwa, które muszą być przerażone, że ani jej, ani Natalie nie ma jeszcze w domu.

– Naprawdę obydwu nam bardzo pomogłaś, nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły – ciągnęła dalej Ingrid.

Natalie przypomniała sobie swoje zdenerwowanie, gdy po raz pierwszy spotkała słynną matkę koleżanki.

Pani Kenny okazała się naprawdę miła („Musisz mówić mi Ingrid”) i w ogóle niepodobna do gwiazdy telewizyjnej, jak ją sobie wyobrażała Natalie.

– Chciałabym móc zrobić więcej – odparła.

Ingrid wyglądała na zupełnie zdruzgotaną. Miała ochotę ją przytulić, ale to wydawało się nie na miejscu.

– Byłaś z nami, gdy tego potrzebowaliśmy, i to wystarczy, dziękuję – powiedziała Ingrid.

Kierując się do bramy tego pięknego domu, Natalie czuła zadowolenie, że wychodzi. Ten ogrom bólu i smutku wprost trudno było znieść.

Gloria wychodziła ostatnia. Zanim wyszła, wręczyła Ingrid mały plastikowy woreczek z nadrukiem apteki. W środku były opakowane w sreberko tabletki.

– Xanax – wyjaśniła. – Mój żelazny zapas. Brałam go, gdy Freddie miał operację wszczepiania bajpasów. Wiem, że nie lubisz tabletek, ale pomogą ci zasnąć, a potrzebujesz teraz snu.

Ingrid, która rzadko sięgała nawet po pastylki od bólu głowy, wzięła woreczek.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Kiedy oddech Molly się uspokoił i wyrównał, Ingrid przykryła ją kołdrą i położyła się po swojej stronie łóżka. Było duże, zmieściłyby się i cztery osoby. David takie chciał, bo lubił się wygodnie rozciągać, a nie chciał przy tym zgniatać Ingrid.

Trudno było kupić odpowiednią pościel. W Kenny's mieli przepiękne

prześcieradła i poszewki, ale nawet oni musieli składać specjalne zamówienia. I przychodziły wyłącznie w stonowanych, subtelnie eleganckich kolorach: beże i kremy. Ingrid, która lubiła w takich kolorach chodzić, na pościeli wołała jasne kwiatowe wzory. Ale nigdy nie mogła ich mieć. Razem z Davidem leżeli zazwyczaj na ogromnej beżowej przestrzeni.

Czy kiedykolwiek znajdzie się obok niej ciało innego mężczyzny? Dziwne, w takiej chwili myśleć o seksie, a jednak nagle Ingrid zapragnęła poczuć na sobie nagie ciało Davida i dotyk jego rąk na skórze. Nigdy już tego nie dostanie, takiej miłości i czułości. Kolejna strata. Kto obejmie ją rano, by zaplanować razem nowy dzień, albo się pochyli nad jej ramieniem, gdy będzie myć zęby, i pocałuje ją delikatnie w szyję? Nikt.

Pustka, jaką po sobie zostawił, była tak ogromna, że ledwie mogła ją ogarnąć.

Odszedł, na zawsze.

Widziała przed sobą mroczną otchłań bólu. Zaczęła głęboko oddychać i odegnała ją od siebie. Nie, jeszcze nie teraz.

Plastikowy woreczek leżał na nocnej szafce, obok książki, którą rano czytała – czy to naprawdę było zaledwie dziś rano? Wydawało się wieki temu. Otworzyła torebkę, wyciągnęła sreberko i na sucho połknęła tabletkę. Opadła z powrotem na poduszkę, wciąż nie chcąc zamykać oczu. Jak je zamknie, pojawi się ból. Tylko leżąc z otwartymi oczami w delikatnym półmroku, mogła powstrzymać ten koszmar i udawać, że to wszystko się w ogóle nie wydarzyło. Nie była gotowa, żeby się z tym zmierzyć, po prostu nie mogła. Gdyby pozwoliła sobie na łzy, nigdy by się nie skończyły, bo coś w niej pękło. Jeśli tego nie zatrzyma, wybuchnie niepohamowanym płaczem, a z nim przyjdzie ból i bezdena rozpacz. Ingrid nie zniosłaby tego. Więc trzymała się mocno, zmuszając płuca do spokojnego oddechu i wpychając

krzyk z powrotem do gardła w oczekiwaniu, aż tabletki zaczną działać.

Następnego ranka obudziła się z myślą, że czeka ją ciężki dzień. Wieczorem miała przeprowadzić trudny wywiad. Rozciągnęła się i podniosła na łokciu, żeby spojrzeć na budzik, i wtedy sobie przypomniała. Nie nastawiła wczoraj budzika. Nie musiała wstawać o siódmej, biec pod prysznic, zjeść śniadania i pędzić do zajęć.

O okna sypialni walił ulewny deszcz. Ingrid uwielbiała siedzieć w środku, gdy na dworze padało, kochała uczucie przytulności, ciepła i bezpieczeństwa. Na zewnątrz – deszcz, w domu – bezpiecznie.

Tylko że to nieprawda. Już nigdy nie poczuje się bezpiecznie. David nie żyje. Poczucie bezpieczeństwa okazało się iluzją.

Myślała, że najgorsza rzecz, jakiej powinna się obawiać, to że coś może się przydarzyć dzieciom. Była przekonana, że nigdy sobie z czymś takim nie poradzi. Dlatego tak bardzo martwił ją wyjazd Ethana.

Ingrid przeżyła już w swoim życiu śmierć bliskich. Zmarli jej rodzice, ale oboje wiele lat chorowali, matka na raka, ojciec cierpiał na chorobę płuc. Wiedzieli, że umrą, i ta śmierć była spokojna, spodziewana, a po całym bólu i cierpieniu wydawała się niemal wybawieniem. Ale to? Na to nie była przygotowana.

Obok niej Molly jęknęła przez sen i odwróciła się w jej stronę, by mocniej naciągnąć na siebie kołdrę. Na razie pozostawała bezpiecznie w krainie snu. Ethan też był bezpieczny, bo jeszcze o niczym nie wiedział. Gloria poszła do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i mieli spróbować go namierzyć przez konsulat w Wietnamie, ale na razie nie nawiązali kontaktu.

W tej chwili Ingrid musiała zająć się tylko sobą. Nie było obok niej nikogo, kto w milczeniu patrzyłby na jej łzy.

Zamknęła oczy i stało się. Płynęły z taką szybkością, że chusteczki



przemakały natychmiast. Przestała ich używać, wzięła po prostu prześcieradło i przyłożyła je do opuchniętej twarzy, chowając głowę między kolana. Kołysała się delikatnie, szlochając, oplakując Davida: Davidzie, och, Davidzie, kocham cię.

Ingrid poczuła światło flesza sekundę wcześniej, zanim je zobaczyła. Ostre i oślepiające podrażniło jej siatkówki, a potem, za późno, zdała sobie sprawę, co to było. Dziennikarz sfotografował ją, jak czeka na Ethana w sali przylotów.

Jego samolot wylądował. Przysłał esemesa, że czeka na bagaż, więc wiedziała, że lada chwila się pojawi. Tak długo tęskniła, żeby go przytulić, a teraz, gdy ta chwila była już blisko, myślała tylko o tym, że zrobiłaby wszystko, by zawrócić czas. Kilka dni temu po prostu martwiłaby się tym, że wyjechał do obcego kraju, teraz obawiała się tego, jak bardzo będzie załamany – przecież sama przeżywała piekło na ziemi.

A tu jeszcze paparazzo wpychający się z butami w jej żałobę. I po co? Po zdjęcie nikomu do niczego niepotrzebne.

Wiedziała, że na pogrzebie Davida będzie prasa, po pierwsze dlatego, że był znanym krajowym przedsiębiorcą, a po drugie, bo był mężem Ingrid. Ale jaka gazeta ma tak mało szacunku dla ludzkiego cierpienia, żeby chcieć zamieścić zdjęcie, na którym ona z podpuchniętymi od płaczu oczami spotyka się z synem pierwszy raz po śmierci jego ojca?

To nie była ciekawa ludzka historia, to jej życie.

Odwróciła się i podeszła do fotoreportera z wyrazem determinacji na twarzy.

– Proszę poczekać – powiedziała.

Zatrzymał się, choć niechętnie.

– To osobista sprawa – mówiła tonem, jakiego używała, gdy na planie

musiała być przekonująco autorytatywna.

– Mój syn jest osobą prywatną i choć ja mogę się wydawać panu niezłą zdobyczą, nasz kodeks daje nam prawo oczekiwać dziś dyskrecji.

Mężczyzna zamrugął niepewnie, zaskoczony, że fotografowany obiekt może posiadać taką wiedzę na temat naruszania dóbr osobistych.

– Chciałabym, aby pozwolił nam pan oplakiwać zmarłych w spokoju – ostatnie zdanie zabarwiła wyważonymi, twardymi nutami, które w studio powodowały, że rozmówca zaczynał się kręcić na swoim fotelu i nagle czuł, że uciskają go górne guziki koszuli. Zawsze działało. I tym razem również.

– OK – powiedział pokonany fotograf.

Patrzyła, jak odchodzi, wciąż zaciskając zęby ze złości. Nie było gwarancji, że nie wróci, ale Ingrid pozwie każdego, kto wydrukuje to zdjęcie. Kiedy to przestała być jedną z nich, przedstawicielem prasy, a stała się zwierzyną?

– Mamo?

Dziki zwierzęta potrafiły rozpoznać swoje młode po głosie, czytała kiedyś, i gdy się odwracała, by zobaczyć, jak Ethan idzie do niej wśród tłumu podróżnych, wiedziała, że to prawda. Nawet pośród jazgotu lotniska usłyszała jego głos.

Wydał się jej wyższy niż przed wyjazdem, ale to pewnie ta opalenizna i szczupła sylwetka: niewiele brakowało, by nazwać go chudym, szerokie ramiona wyglądały na kościste pod ciężarem wielkiego plecaka.

Ingrid poczuła spływające po policzkach łzy.

Nie płakała od tego ranka w dzień po śmierci Davida, nie płakała nawet, gdy rozmawiała z Ethanem przez telefon, a on szlochał w słuchawkę. Łzy nie wystarczały, by wyrazić, jaka samotna i pusta się czuła. Musiało istnieć coś jeszcze, co mogłoby dać wyraz temu spustoszeniu, myślała. Może krwawe

ły? Zaczynała rozumieć indyjski obrządek sati, gdy wdowa, zostawiwszy odciski dłoni na ścianach znaczące jej drogę na stos pogrzebowy męża, rzuciła się w ogień, by spłonąć razem z nim i towarzyszyć mu w następnym życiu. Kiedyś uznawała to po prostu za marnotrawstwo ludzkiego życia. Ale teraz, czując się na pół martwa, widziała w tej praktyce głęboki sens.

– Mamo. – Był już obok niej, objęli się i razem płakali.

– Nawet się nie pożegnałem – powiedział.

Ingrid czuła, że inna jest teraz wymowa jej łez. W tym momencie musi być matką dla syna, a jej własny ból musi tymczasem zejść na drugi plan. Chciała mu powiedzieć, że sama też się nie pożegnała, że David wyszedł rano do pracy, a niebo nie zesłało żadnego znaku, że ostatni raz mówi mu do widzenia.

Ale nie czas teraz nad tym rozmyślać. Pozwoliła, by zwyciężył instynkt macierzyński.

– Tata cię kochał – powiedziała żarliwie. – Umarł, wiedząc, że ty go kochasz, a on kochał ciebie, nigdy o tym nie zapominaj.

## 8

*Czasami nie da się nic zrobić. Po prostu trzeba odpuścić.*

Trzy dni po śmierci Davida Gwiazda siedziała na swojej werandzie otulona starym kremowym wełnianym pledem, który ogrzewał poprzednie dwa pokolenia kobiet z rodziny Bluestone, przyciskając do mostka maleńką filiżankę z parującą herbatą z dzikiej róży. Bardzo lubiła tę werandę, jej blado–niebieskie deski, delikatnie skrzypiącą huśtawkę, na której siedziała z podkulonymi nogami, oraz wiciokrzew i glicynię oplatające drewniane podpory jak kochanków. Zaledwie sześćdziesiąt centymetrów dalej deszcz zalewał ogród, przesiąkał ziemię i przygniatał jej zioła.

Poprzedniej nocy była pełnia. Po raz pierwszy odkąd pamiętała, nie odczuła ulgi na widok dojrzałego, zaokrąglonego księżyca na tle ciemnego nieba. Przez całe życie księżyc ją uspokajał. Ma taką moc nad Ziemią, mówiła jej matka, reguluje pływy morskie i cykle menstruacyjne kobiet. Nawet nasiona wysiane wtedy, gdy księżyc przybywa, lepiej się rozwijają niż włożone do ziemi w innym czasie.

W domu, nad kołowrotkiem babci Petry wisiał na ścianie obrazek, połączenie ołówka i akwareli, przedstawiający dwanaście znaków zodiaku. Słońce, z wieloma ostro zakończonymi promieniami, takie jak to przedstawiające francuskiego króla Ludwika XIV, błyszczało żółtym odcieniem krokusów.

Ale dla niej to zawsze księżyc był najważniejszy. Namalowano go czymś innym, wydawało się, że połyskuje jak metal, i oglądany z różnych stron przybierał różne odcienie. Dla Gwiazdy był najintensywniejszą częścią obrazka.

– Może powinnam cię była nazwać Księżyc – mawiała Eliza Bluestone, gdy przyłapała córeczkę, jak przesuwając paluszkami po błyskotliwym księżycu.

– Lubię być Gwiazdą – odparła Gwiazda. – Może poślubię mężczyznę o nazwisku Księżyc i wtedy stanę się Gwiazdą Księżyc.

Mama nic na to nie odpowiadała. Dopóki nie straciła Danny'ego, Gwiazda nie uzmysławiała sobie, że kobiety Bluestone nie wychodzą za mąż. Nie istniało żadne prawo, które by o tym mówiło, nie było napisu nad drzwiami wejściowymi ich drewnianego domu na odludziu, ale to nie zmieniało postaci rzeczy. Nie wychodziły za mąż.

Mogły jednak kochać, nawet przez całe życie.

Gwiazda westchnęła i wypła łyk herbaty. Musi się przygotować do pogrzebu. Odkąd usłyszała o śmierci Davida Kenny'ego od Leny, która zadzwoniła, by z płaczem przekazać jej wiadomość, czuła w środku ból, ból, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Ten pełen życia, poetycki David nie żyje? Jak to możliwe?

Po odłożeniu słuchawki wyszła z domu i objęła jarzębinę – tę posadzoną, gdy David odszedł z jej życia.

– Jesteś szczęśliwy? – szepnęła z twarzą przy korze, wdychając zapach żywego drzewa.

Chciała, by jej dar zrozumienia pomógł jej go odszukać, gdziekolwiek był, aby mógł jej przekazać, że odnalazł spokój. Ale nie czuła spokoju, tylko szorstkość kory na policzku i szelest smutku.

Tym razem czary nie pomogły. Ludzie tak dziwnie postrzegali magię: że to jakaś sztuczka, która pozwala wyciągać króliki z kapelusza czy zabijać ludzi wzrokiem. Nonsens. Magia, jaką znała Gwiazda, a przed nią jej matka, polegała na opanowaniu tego, co już istniało, podłączeniu się do energii tej

cudownej planety.

Kiedy była malutka, mama starała się jej to wytłumaczyć słowami: – Istnieje siła życiowa, która przenika cały nasz świat, przepływa między najmniejszym źdźbłem trawy i kroplą deszczu, a my zamykamy oczy...

Pięcioletnia Gwiazda posłusznie zamknęła oczy.

– ... by zrozumieć ten świat.

– Mamusiu, czy tylko my to robimy? – chciała wiedzieć Gwiazda.

– Nie, nie tylko. Kiedyś potrafiło to robić bardzo wielu ludzi. Dziś już mniej. Gdyby tylko chcieli wyłączyć swoje komórki i usiąść spokojnie, żeby się wsłuchać w otaczającą ich naturę, też by potrafili. Oczywiście musieliby jeszcze otworzyć umysł.

Gwiazda ze zdumieniem podniosła powieki. Jednocześnie otworzyć umysł i zamknąć oczy? Jak to?

– Niektórzy nazywają to szóstym zmysłem – mówiła dalej matka. – Nie ma takiego słowa w staroirlandzkim, ale moja mama nazywała to *feth*, magiczna mądrość ludowa. Chodzi o to, by odnaleźć w sobie to, co każdy kiedyś miał, ale potem utracił. Ten szósty zmysł to coś, z czym się rodzimy.

Fakt, że rzeczywiście potrafiła zjednoczyć się z planetą

– wyczuć nadchodzącą burzę, zanim zobaczy na niebie chmury, albo obudzić się w złocisty wrześnieowy poranek z uczuciem pewności, że tego pięknego dnia, w którym się unosi babie lato, wszystko wspaniale się ułoży – dawał jej prawdziwą radość i spokój. Gwiazda pamiętała czasy, kiedy kobiety doczołgiwały się do ich drzwi, błagając o pomoc. Wystarczyło wziąć je za rękę, prowadząc do mamy, by od razu się zorientować, że w domu jest nic niewart damski bokser. Eliza Bluestone robiła, co mogła. Szła do sierżanta Maguire'a i ojca Hely'ego i przekonywała, że trzeba zareagować, zanim będzie za późno i kobieta straci życie. Czasami żona przybiegała do nich kilka

dni później, wściekła, że policja zabrała jej ukochanego, kiedy on tylko potrzebował *kogoś, kto by go zrozumiał*.

Kiedy już opuszczały ich dom, Eliza siadała na werandzie, pomrukując coś o odpowiedzialności, która idzie w parze z darami, i o tym, że o wiele lepiej byłoby mieć talent krawiecki czy kulinarny – wszystko, tylko nie to. Ale potem przeproszała, na wypadek gdyby jej słowa raniły Gwiazdę.

– To wielki dar – mówiła. – Wielki dar. Prawdziwe błogosławieństwo.

Ich zdolności nie były takie same. Gwiazda miała dar dotyku – gdy dotykała czyjejś dłoni, od razu wiedziała. Czasem jakby oglądała w przyspieszonym tempie film z czyjegoś życia – trwał kilka sekund. Innym razem była to tylko jedna rzecz, jeden jasny, lśniący punkt: narodziny dziecka, muśnięcie policzka ukochanego. Zdarzały się też takie chwile, w których wyczuwała ciemność, jakby ktoś zamknął okiennice, pogrążając ją w mroku. Te odczucia były najgorsze. Rozumiała cierpienie tej osoby, a kiedy przez nią przepływało, również je czuła – bolało ją całe ciało, gdy przechodził na nią ból ich duszy.

Dar Elizy nie był tak bezpośredni – z linii dłoni czytała tak jak inni z mapy, w każdym zagłębieniu widziała lekcje, jakie ludzie przeszli w życiu i jakie ich jeszcze czekają. Czytała też z liści herbaty, ale to robiła tylko dla zabawy, z przyjaciółmi, z którymi mogła sobie na to pozwolić.

Eliza twierdziła, że dar Gwiazdy – widzenie przez dotyk – był najintensywniejszy z wszystkich, które miały kobiety w ich rodzinie od trzystu lat, od kiedy zamieszkały na tym skrawku wybrzeża. Opowiadanie o tych darach stanowiło część ich spuścizny, każda przekazywała córkom i wnuczkom informacje o szczególnych umiejętnościach przodków. Dom też był częścią tej spuścizny: skrzypiące, żywe, drewniane na

czynnie mieszczące całą wiedzę i mądrość tych, które mieszkały i

kochały tutaj od lat.

Niestety magia nie do końca działała, gdy szło o ich własne życie. Bo inaczej Gwiazda nigdy by się nie zakochała w Dannym, a nawet w Davidzie, i oszczędziłaby sobie złamanego serca.

– Serce musi być złamane, zanim potrafi się naprawdę otworzyć – tłumaczyła jej mama.

Brzmiało to bardzo mądrze, ale w rzeczywistości ogromnie bolało.

A teraz, trzydzieści pięć lat później, Gwiazda chciała go poczuć, dotknąć jego duszy, gdziekolwiek jest, i nie potrafiła. Jego śmierć odcisnęła na niej swoje piętno.

Dzień po otrzymaniu wiadomości spojrzała na swoje odbicie w łazienkowym lustrze nad umywalką i zobaczyła, że jej blond włosy są siwe. Bez przeplatających je złotych nitek wyglądała jakoś surowo. I twarz miała bladą, jakby w nocy pokrył ją niepostrzeżenie szron starości.

Przez wiele lat żyła bez Davida, w spokoju, wiedząc, że jest szczęśliwy i że ona też jest zadowolona z własnego życia. Ludzie mogą myśleć, że jest ekscentryczką, owszem, może i jest, ale takie życie naprawdę jej odpowiada: niemal klasztorne odosobnienie, samotność w pracy i cisza, jaka towarzyszy człowiekowi, gdy z nikim nie mieszka. Kochała to.

A teraz coś się zmieniło. Czuła jakiś lęk i niepewność.

I nie wiedziała dlaczego.

W dniu pogrzebu Davida Kenny'ego Charlie obudziła się o świcie, wyrwana ze snu przez potworny sen, w którym rwąca rzeka porwała Brendana i Mickeya. Ona sama została w maleńkiej łódce, wołała ich i wyciągała do nich ręce, ale prąd z każdą sekundą zabierał ich coraz dalej i dalej...

Usiadła gwałtownie na łóżku, cała sztywna ze strachu i oblana zimnym



potem, serce jej waliło.

W pokoju panował jeszcze głęboki półmrok wczesnego poranka, a Brendan pod kołdrą wyglądał jak nieforemna bryła. Z ulgą wyciągnęła rękę i dotknęła go, bardzo lekko, żeby się nie obudził. To tylko koszmar, nic więcej. Ale jaki wyrazisty.

Zdając sobie sprawę, że to głupie, i tak postanowiła to zrobić. Wyszła cicho z łóżka i na palcach zakradła się do pokoju Mickeya. Znajomy, lekko mdławy zapach nastoletnich skarpetek był dla niej jak perfumy i znów poczuła ulgę na widok leżącego w łóżku syna, praktycznie obok zamiast pod kołdrą w wojskowych barwach ochronnych. Ostrożnie go przykryła, chcąc mieć pewność, że jest mu ciepło, bo ranek był zimny, a ogrzewanie włączy się dopiero za jakiś czas.

Śpiąc, jeszcze bardziej przypominał Brendana – miał tę samą delikatność w twarzy, takie same piegi i ciemne włosy, które sterczały na wszystkie strony, niezależnie od tego jak je czesał.

Zastanowiło ją, jak go widzą inni ludzie, bo dla niej był tak nieskończenie cenny, że potrafiła w nim dostrzec tylko piękno. Wszystko było w nim doskonałe, takie jak ma być. Był taki delikatny, taki dobry. Nawet nauczyciele to przyznawali.

Ten przerażający sen... Charlie zadrżała, w równej mierze przez chłód, który czuła na wilgotnej skórze, jak i z powodu treści snu. Musiał być wynikiem jej myślenia o dzisiejszym dniu, o pogrzebie Davida.

Od jego śmierci w Kenny's nie mówiło się o niczym innym.

Jaka zdruzgotana musi się czuć Ingrid. Miała co prawda jeszcze dzieci, ale mimo wszystko...

Z empatią, którą Brendan tak w niej kochał, Charlie próbowała wyobrazić sobie ból Ingrid – nie jak jasnowidz, ale tak jakby przez to mogła

przesłać Ingrid trochę miłości i światła.

Kiedy jako nastolatka usiłowała wyjaśnić matce swoją teorię na temat empatii, Kitty Nelson śmiała się do rozpuku.

– Empatia – mówiła Charlie – jest jak spirale dymu, które wypuszczają niebieskie wąsy wysoko w niebo. Jeśli im się pozwoli, mogą lecieć, dokąd chcą, dosięgać ludzi, dotykać ich i pomagać im. To rodzaj globalnej miłości – wielkie nieświadome czynienie dobra.

Kitty uniosła brwi, perfekcyjnie podkreślone kredką Diora. Wyłącznie Dior, słońko, wszystko inne to śmieci.

– Globalna miłość? – wymówiła te słowa, jakby Charlie opowiadała o miłości karaluchów. – Cóż za kompletna bzdura. Jedyna globalna miłość, o jakiej słyszałam, to dużo alkoholu, narkotyki i bardzo głośna muzyka Hendriksa. Skąd ty bierzesz te swoje pomysły, Charlotte? To najgłupsza rzecz, jaką w ogóle słyszałam.

Od tego czasu Charlie stała się ostrożniejsza, a teorie na temat miłości i częstotliwości ziemskich pozostawiała dla siebie. Gdyby matka pozwoliła, mogłaby jej wytłumaczyć, że bycie dobrym wywołuje efekt fali, jeden uczynek pociąga za sobą kolejny i kolejny, aż coraz to nowe fale obejmują cały świat. Ale nic nie powiedziała.

Inna nieznośna rzecz związana z pogrzebem Davida to fakt, że Kitty postanowiła na niego iść. Stwierdziła, że знаła Davida jeszcze z dawnych lat.

Charlie słyszała o tym dość często, odkąd zaczęła pracować w Kenny's, i wciąż się obawiała, że pewnego dnia matka wkroczy do sklepu, domagając się widzenia ze swoim starym znajomym, Davidem. To byłoby właśnie w jej stylu, na szczęście nigdy się nie wydarzyło. Dziś jednak świat powinien zobaczyć, że byli znajomymi – postanowiła – mimo że nie spotykali się od lat.

– Znałam też jego dawną dziewczynę, Gwiazdę. Bardzo zarozumiała –

prychnęła Kitty.

Charlie uznała, że nieznana jej Gwiazda raczej nie należała do fanek Kitty. Nie skomentowała tej uwagi.

Fiolet byłby akurat: jeden z tych długich kożuszków do połowy łydki, który obwieszczał wszem wobec, że właścicielka jest obrzydliwie bogata i ma gdzieś pogrzebową etykietę.

Albo róż, róż Schiaparelli, wyglądałaby bajecznie wśród tych zaniedbanych kur w czerni.

Kiedyś pomalowałaby usta do koloru – różową szminką, ale te czasy minęły bezpowrotnie.

I nie chodziło nawet o to, że usta się skurczyły, choć prawdę mówiąc, skurczyły się. Głównym powodem były bruzdy wokół nich, które absolutnie wykluczały jaskrawy róż.

Papierosy czy życie, zadawała sobie pytanie.

Kitty poznała Davida na początku lat siedemdziesiątych, kiedy jeszcze chodził z tą Bluestone. Obracali się w różnych kręgach: David i Gwiazda lubili się zadawać z malarzami i poetami, Kitty trzymała z feministkami. Zdarzały się jednak wspólne spotkania. David uchodził za świetną partię, spadkobierca Kenny's, choć wyglądało na to, że ma gdzieś rodzinną firmę i woli być z Gwiazdą.

Kitty nigdy jakoś jej nie polubiła: miała wrażenie, że ta dziewczyna prześwieśla człowieka na wskroś. Jakby widziała twoje myśli, szczególnie gdy nie były zbyt miłe. Rzuciła jej jedno z tych swoich spokojnych, znaczących spojrzeń, kiedy flirtowała z jej Davidem. Zresztą on i tak nie podjął tematu, idiota.

W tamtych czasach niewielu mężczyzn potrafiło się jej oprzeć. Ale kiedy Kitty zamruczała do niego: „Mógłbyś kiedyś zaprosić mnie na drinka,

tylko we d w o j e”, on delikatnie odbił piłeczkę: „To miłe, Kitty, ale nie, dzięki”.

Była wściekła, w końcu jednak jej przeszło. Mężczyźni są dziwni, co do tego nie ma wątpliwości.

Wyciągnęła teraz z pudełka papieros i zapaliła go jednym płynnym ruchem. Siedząc przy toalecie i w ogóle nie zwracając uwagi na widoczną w zimowym słońcu warstwę kurzu, podziwiała swoje odbicie w lustrze, gdy pali. Jakie to ma znaczenie, co mówią cholerni lekarze? Palenie jest sexy. Czy może być coś bardziej erotycznego niż usta układające się w okrągły dzióbek, by się zaciągnąć, a następnie wydmuchać pełen obietnicy obłoczek dymu w twarz siedzącego naprzeciwko mężczyzny?

Który z nich potrafi się temu oprzeć?

Niewielu, otóż to. Nie licząc Davida, a i to tylko dlatego, że był wtenczas zniewolony przez Gwiazdę. No i jeszcze Anthony. Cholerny Anthony. Że też zawsze wracała myślami do niego.

Kitty odwróciła wzrok od potrójnego lustra i mocno zaciągnęła się dunhillem, mając nadzieję, że ukochana nikotyna wywieje jej go z głowy.

Tak, gdyby to był jego zasrany pogrzeb, wystąpiłaby w różu albo fiolecie, a może nawet w ostrej czerwieni z futrzanym kołnierzem, żeby było bardziej ekstrawagancko. Wszystko, byle pokazać światu, że ona wciąż tu jest, podczas gdy on leży w grobie.

*Wciąż tutaj jestem.*

Wyobraziła sobie zdumienie Charlie, gdyby wiedziała, o czym Kitty teraz myśli.

– Maaamo! – zawołałaby, rozciągając jedną sylabę w trzy/

Charlie była taka naiwna.

Iseult, jej starsza córka, nie zareagowałaby. Mało co potrafiło ją

wytrącić z równowagi. Znała ten świat i uodporniła się na jego ciosy. Podobnie jak Kitty.

A biedna Charlie, niestety, nie. Była taka bezbronna. Nie miała bladego pojęcia, co przeżyła Kitty. Nie rozumie i nigdy nie zrozumie.

Gdyby to był pogrzeb Anthony'ego, wydałaby huczne przyjęcie, na którym lałyby się alkohol i graliby jazz, a jedzenie byłoby tylko na śniadanie – dla tych najtwardszych, którzy by dotrwali.

Dom świetnie się nadawał na czuwanie przy zwłokach, to znaczy jej dom, który w ramach umowy rozwodowej musieli sprzedać, a ona nie miała wyjścia i musiała zamieszkać w tym pudelku, w którym tkwi do dziś.

Dom nie był bardzo duży, ale wolno stojący, z niewielką oranżerią. Idealny na imprezy.

Uczucie ciepła na palcach uświadomiło jej, że papieros dopalił się do końca.

– Cholera! – Wrzuciła słupek popiołu do kryształowej popielniczki i automatycznie sięgnęła po kolejny papieros.

Chwilowa seksowność, jaką czuła, podziwiając swoje odbicie, gdzieś znikła. A seksbomba o ciemnych włosach zalotnie wydymająca pełne usta ulotniła się już ze dwadzieścia lat temu. Niskie promienie zimowego słońca rozjaśniły pokój, rzucając ostre światło na jej twarz. Kitty wiedziała, że przy odpowiednim oświetleniu – najlepiej świecach – gdy jej skóra twarzy jest świeżo wygładzona laserem, z wypełnieniami we wszystkich właściwych miejscach, może uchodzić za kobietę przed sześćdziesiątką. Dziś, w ciemnobordowym kostiumie, który wyciągnęła z szafy na pogrzeb, z ciemnymi włosami, które odbijały się od jasnej skóry głowy, wyglądała dokładnie na swoje sześćdziesiąt dziewięć lat.

W sam raz na pogrzeb, uśmiechnęła się do siebie. Wciąż miała poczucie

humoru. Jeśli potrafisz śmiać się z życia, to znaczy, że została ci jeszcze ostatnia broń. Poranek nie zapowiadał dużo śmiechu, więc Kitty postanowiła go wykorzystać, dopóki mogła.

Charlie na pewno będzie popłakiwać, a Kitty nie znosi płaczu. Bardzo się starała nauczyć córki, że płacz do niczego nie prowadzi. Gniew, determinacja, dziki strach o własne życie, owszem, to działało. Ale tego w college'u nie uczyli.

– To będzie taki okropny pogrzeb – powiedziała jej wcześniej Charlie. – Mamo, on nie miał nawet sześćdziesięciu lat. Biedna Ingrid. I dzieci, to je zupełnie zaskoczyło. To znaczy, są dorosłe, ale jednak, przecież to ich ojciec. Wszyscy mówią, że Ingrid jest bardzo silna, ale nie wiem, jak sobie z tym poradzi.

– Poradzi sobie, poradzi.

Wzięła do ręki koralową pomadkę i zaczęła malować usta. Mężczyźni odchodzą. Lepiej pogodzić się z tym teraz niż później. Lepiej, jak mąż umiera i możesz go opłakiwać, niż jak ucieka od ciebie, bo „nie jest szczęśliwy”. Nie jest szczęśliwy? W sumie wolałaby, żeby zostawił ją dla jakiejś dwadzieścia lat młodszej flamy. Wtedy mogłaby przynajmniej psioczyć na ladacznice, które tylko czyhają, żeby ukraść ci męża. Ale żeby facet odszedł nie z powodu innej kobiety, żeby odszedł po prostu dlatego, że nie potrafi już żyć z t o b ą? Upokorzenie nie do opisania. I spróbuj teraz opłakiwać coś takiego.

– Bez niego będzie ci lepiej, zobaczysz – powtarzały jej wszystkie przyjaciółki.

– Masz przecież swoją karierę.

– Jesteś piękna, ani się obejrzysz, a spotkasz kogoś innego.

Akurat! Wszystko nieprawda.

Czerwony, zdecydowała Kitty – na pogrzebie Anthony'ego wystąpi w

czerwieni. Czerwone usta i paznokcie, i bardziej wygładzi twarz wokół nosa i ust. Szkoda, że nie stać jej na kolejny lifting oczu. Ale ma jeszcze ten stary czerwony kostium – retro, z lat pięćdziesiątych, kiedy gorset dawał możliwość uzyskania figury syreny każdej kobiecie, nawet w średnim wieku, gdy zaczyna się już tyć. Na pewno przyjdą wszystkie jego były dziewczyny. Choć nie miał ich zbyt wiele i w większości były to szare myszki. Zupełnie do niej niepodobne. No i żadnej z nich nie poślubił. Więc to ona będzie na pogrzebie najważniejsza, byłej żonie należy się szacunek niezależnie od tego, co się wydarzyło w przeszłości. To jej przyjdą złożyć kondolencje. A ona będzie się uprzejmie uśmiechać i na pewno nie da po sobie poznać, że cieszy ją ta śmierć. Ma za swoje, tchórz!

Kitty nałożyła drugą warstwę szminki. Pogrzeby lubiła tylko dlatego, że stanowiły świetną okazję, by pokazać ludziom, że jeszcze nie umarła. Obojętnie, jak potoczyło się jej życie, jest tu i walczy. A to chyba też coś znaczy?

Gwiazda usiadła z tyłu kościoła i rozglądała się wokół z ciekawością. W swoim życiu nie była w zbyt wielu kościołach, a bardzo je lubiła ze względu na wspaniałą architekturę, piękne obrazy i rzeźby. Panowała tu atmosfera świętości, a Gwiazda szanowała wiarę, obok której dorastała. Jej przyjaciele chodzili do kościoła takiego jak ten i Gwiazda często ze zdumieniem słuchała, z jakim lekceważeniem mówili o swojej religii, pozostając jednak częścią tej społeczności. Czowała, że jeśli ktoś nie potrafi się całkowicie zaangażować, staje się hipokrytą.

Ale to nie jej sprawa, więc nie komentowała tego.

W jej wierze najważniejsza jest dobroć i wielkoduszność. Okazywanie ich ludziom i wdzięczność za to, co mamy, stanowią główne cele. W sumie nie różni się to od tego, czego nauczają w tej świątyni.

Tylko słowa i zasady były inne, konstatowała Gwiazda. W religiach stworzonych przez ludzi zawsze obowiązywało mnóstwo zasad. Dotyczących zachowania w kościele, zachowania poza nim, związanych z seksem – dlaczego seks był tak ważny? Przecież religia powinna przede wszystkim skupiać się na dobroci i duchowości, a nie na tym, co ludzie robią w łóżku. Czy nie?

Patrzyła, jak wierni wchodzą do kościoła, niektórzy w smutnej czerni, inni, najwyraźniej chcąc uczcić życie Davida – w jasnych kolorach. I to się Gwiazdzie podobało. Sama ubrała się na białe, z wyjątkiem czerwonego bukietka, który wpięła w klapę płaszcza. Był to subtelny sposób złożenia hołdu dawno utraconej miłości.

Do kościoła wkroczyła majestatycznie wysoka kobieta o błyszczących czarnych włosach, w czarnym, rzucającym się w oczy płaszczu, wsparta na ramieniu starszego mężczyzny, który próbował ją chyba uspokoić. Najwyraźniej ktoś bliski Davidowi. I przyjaciółka Ingrid, zdecydowała Gwiazda. Dobrze, Ingrid będzie potrzebowała teraz przyjaciół. Gwiazda zamknęła oczy i wysłała wysokiej kobiecie światło i uzdrawiającą moc.

Idąc sztywno wzdłuż nawy z Harrym u boku, Marcella wprawnym okiem zlustrowała zebranych. W normalnych warunkach potrafiłaby ich rozszyfrować na podstawie zachowania i ubioru. Dziś jednak wciąż czuła się zbyt oszołomiona faktem, że to pogrzeb Davida, by zachować zawodowy dystans. David był jej przyjacielem, ukochanym mężem Ingrid, to wszystko było takie osobiste. Rzucała więc gniewne spojrzenia na każdego, kto nie był odpowiednio do okazji zdruzgotany.

Żelazna zasada mówi, że ci z nienagannym makijażem, w doskonale skrojonych płaszczach oraz ciemnych okularach to albo rodzina, zdeterminowana, mimo bólu, by pokazać się z jak najlepszej strony, albo



typy, które uwielbiają się oglądać na zdjęciach w gazecie, bo takie na pewno zostaną zamieszczone po tym pogrzebie.

Zauważyła kilkoro z tej drugiej grupy – w okularach i bez najmniejszego śladu łez szczebiotali w najlepsze, jakby przyszli na imprezę, gdzie większość akurat ubrała się na czarno. Marcella zmarszczyła brwi.

– Spokojnie – szepnął Harry, który stał obok niej i doskonale wiedział, co ją tak denerwuje.

– Ta ciućma nigdy w życiu nie powiedziała o Ingrid czy Davidzie dobrego słowa – syknęła Marcella, wskazując kobietę w skórzanej kreacji uzupełnionej apaszką Hermesa i świeżo ułożoną fryzurką. – Co ona tu w ogóle robi? Czemu ludzie są takimi hipokrytami, że się pokazują na pogrzebie kogoś, dla kogo za życia w ogóle nie mieli czasu?

– Spójrz na tych, którzy płaczą – szepnął Harry. – David był kochany, a Ingrid nadal jest. Mnóstwo ludzi przyszło dziś z właściwych powodów.

Marcella próbowała stłumić gniew. Kościół zapełniał się ludźmi, którzy rzeczywiście cierpieli, napotkała pełen smutnej rezygnacji wzrok wielu osób, a inni przyszli uściskać ją zamiast Ingrid. Wiedzieli, że Marcella Schmidt była jedną z osób najbliższych Davidowi i Ingrid.

– Po prostu nie umiem dziś znieść ani grama hipokryzji – mówiła Marcella, chowając twarz w silnym ramieniu byłego męża. – Nie dziś, nie na pogrzebie Davida. Chcę, żeby było prawdziwie.

– I jest prawdziwie, nie martw się – odparł Harry, spoglądając na pustą pierwszą ławkę, w której zasiądą Ingrid, Molly i Ethan.

Gwiazda poczuła obecność Natalie, jeszcze zanim ją zobaczyła – poczuła dreszcz i gęsią skórę na rękach – a potem przeszła obok niej szczupła dziewczyna z kaskadą ciemnych falistych włosów, otulona w szary wełniany płaszcz z pasiastym szalem wokół szyi, który zakrywał jej pół

twarży. Dla Gwiazdy to było jak podróż w przeszłość, wydawało się jej, że znów widzi profil Dary, ten sam drobny nosek, policzki, ten sam zdecydowany podbródek i zarys ciemnych brwi nad ogromnymi czarnymi oczami. Znikło gdzieś nagle zwykle opanowanie i poczuła, jak coś ściska ją w gardle. To dziecko Dary. Wyrosło na tę piękną, młodą kobietę, a Gwiazdy przy tym nie było. Pomyślała o przysiędze, jaką kazała im złożyć Dara, i po raz kolejny poczuła, że to był wielki błąd. Ludzie mają prawo wiedzieć, skąd pochodzą. Przeszłości nie da się wymazać jak kredy z tablicy. Fakt, że nie wiesz, kim jesteś, może zniszczyć cię tak samo, jak pamięć bolesnej przeszłości. Może nadejdzie taki czas, kiedy Natalie sama będzie chciała się czegoś dowiedzieć. Gwiazda miała nadzieję, że tak się stanie.

Limuzyny pogrzebowe przypominają trumny, skonstruowała Ingrid. Są większe i mają szyby, ale i tak są jak trumny. Kiedy człowiek się w takiej znajdzie, zostaje całkowicie odizolowany. Ludzie go widzą, ale właściwie nie chcą patrzeć, jakby spojrzenie mogło wynagrodzić ich miejsce we wnętrzu, gdzie panuje ból i cierpienie. Zakład pogrzebowy wysłał im tę najbardziej luksusową, Ingrid siedziała w środku, z Molly po jednej stronie i cioteczną babką Davida – ciocią Babe – z drugiej, a naprzeciwko nich Ethan.

Ledwie mogła patrzeć na zdruzgotane twarze swoich dzieci. Pod opalenizną Ethana widziała bladość wywołaną smutkiem, a oczy Molly wciąż były zaczerwienione od płaczu. Nie miała pewności, jak sama wygląda – w hołdzie Davidowi starannie się umalowała, choć miała ochotę wyrzucić kosmetyki za okno, bo przecież i tak już nigdy nie będzie wyglądać normalnie, teraz, kiedy go nie ma. Włosy miała czyste, bo pamiętała, że wcześniej myła je dość automatycznie, i wiedziała, że czarny wełniany płaszcz i miękki filcowy kapelusz są odpowiednie, ale poza tym w ogóle się nie przejmowała wyglądem. Dziś nie powinien mieć znaczenia, i może nigdy już nie będzie

miał.

Siostry, Flora i Sigrid, jechały następną limuzyną.

– Chcecie pojechać razem z nami? – proponowała im Ingrid.

– Nie, kochanie – odparła Flora. – Powinniście jechać sami, ty i dzieci. Ty w pierwszym samochodzie, my w drugim. Tak to zwykle jest.

Ingrid nie chciała stosować się dziś do żadnej idiotycznej etykiety. Nie chciała jechać sama z dziećmi. Czułaby się taka samotna, odseparowana. Dlatego obecność Babe stała się dla niej wybawieniem. Dziewięćdziesięciodwuletnia i wciąż bardzo żywotna Babe była już słaba fizycznie, jej twarz otaczał obłok białych włosów, a na nosie miała różowe okulary ze skrzydełkami przypominającymi te, które zdobią zazwyczaj tył buicków. Nic jej nigdy nie umykało i można było liczyć, że podzieli się z obecnymi swoimi najskrytszymi myślami.

Rodzina wiedziała, że ekscentryczność Babe nie wynika z jej wieku. Jak David z rozrzewnieniem wspominał, ciocia Babe zawsze była kobietą szaloną.

– Świat musi zaakceptować ciocię Babe taką jaka jest – śmiał się, opisując, jak w młodości doprowadzała do szału jego babcię, bo niestosownie się zachowywała w klubie tenisowym, miała krąg niewłaściwych wielbicieli i motocykl, a jeszcze nie skończyła dziewiętnastu lat.

– Jest nie w ciemną bita – dodawał. – Urocze szaleństwo to tylko część jej gry, nie dajcie się nabrać. Miała ciekawe życie, mówię wam. Gdyby tylko udało się ją namówić, żeby je spisała... ciocia Babe żywi jednak głębokie przekonanie, iż prawdziwa dama całuje, ale o tym nie opowiada.

Dziś Ingrid była najzwyczajniej wdzięczna za to, że Babe jest z nimi, nawet w swoim karkołowym płaszczu do samej ziemi, którego zapach wskazywał, że nie wyciągała go z szafy od czasów jego świetności,

przypadającej mniej więcej na rok 1938. Ponieważ Babe tu była, Molly i Ethan próbowali się nią opiekować, a ona wywoływała uśmiech na ich twarzach, opowiadając historyjki z życia Davida, gdy ten był jeszcze młody.

Babe przywykła już do pogrzebów i dawno się nauczyła, że przypominanie sobie szczęśliwych chwil z życia zmarłego pomagało uczynić ten dzień bardziej znośnym.

– Ingrid, pamiętasz, jak David wraz z kolegami z powodu zakładu przepchnął kiedyś łóżko od Earls Court Terrace do samego Malahide? – zapytała Babe.

Ingrid potrząsnęła głową.

– To musiało być, zanim się poznaliśmy – powiedziała cicho.

– Och, ale przecież musiałam ci o tym opowiadać – ciągnęła wesoło Babe, poklepując Ingrid po ręce. – On, razem z takim miłym kolegą, Johnnym – musisz pamiętać Johnny’ego, ma coś z nogą i jest łysy. Łysy jak kolano od dwudziestego roku życia. Kobiety go uwielbiały, wiesz? No cóż, są gusta i guściki.

Wszyscy żałobnicy się uśmiechnęli.

To Babe powinna występować w telewizji, nie ja, myślała Ingrid. Starsza pani robiła świetną robotę, wspominając dawne czasy, i to tak subtelnie, że ani Ethan, ani Molly nie zdawali sobie sprawy, że specjalnie odwraca ich myśli od bolesnego tematu. Ingrid spojrzała w dół, na drobną dłoń Babe, z widoczną siateczką żył, zaciśniętą na jej dłoni, i pomyślała, że może to starsza pani miała rację. Jeśli nie zwiążesz się na stałe z jednym mężczyzną, nie złamie ci serca jego śmierć.

Ale z drugiej strony nie przeżyjesz też radości posiadania dzieci z tym człowiekiem, a dzieci były jedynym, co trzymało ją przy życiu. Nie była pewna, czy bez nich miałyby siłę na ten cały pogrzeb. To wszystko wydawało

się tak potwornie bezsensowne, że... zresztą nieważne. David odszedł i niezależnie od tego co wszyscy jej mówili, Ingrid nie mogła od tego uciec.

Poczuła na ręce kruchą dłoń. Babe się jej przyglądała, a w jej bystrych oczach zobaczyła łzy.

– Głowa do góry, kochanie – powiedziała. – Choć usłyszysz to jeszcze tysiąc razy od ludzi, którzy naprawdę nie znali Davida, mnie możesz uwierzyć, że tego by właśnie chciał.

Kitty Nelson – to dopiero widok dla zmęczonych oczu! pomyślała z uśmiechem Gwiazda. Nie widziała jej chyba z milion lat, ale na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniła. Nadal chodzi, lekko kołysząc biodrami i z trudem mieszcząc się w obcisłym stroju, który bardziej by się nadawał do Las Vegas, by się położyć w kuszącej pozie na fortepianie, niż na pogrzeb w Ardagh. Gwiazda obserwowała, jak Kitty wystukuje obcasami swoją ścieżkę, przemierzając nawę główną, i władczym wzrokiem spogląda na ławki, by ocenić, czy zechce zaszczyścić siedzące w nich osoby swoim towarzystwem czy nie. Miała na sobie kołnierz z lisa i jedną ręką bawiła się małą zasuszoną główką, która się kołysała to w tę, to w tamtą stronę. Za nią spieszyła jedna z córek, Charlie, ta, którą rozpoznała wtedy w Kenny's. Starsza, Iseult, była słynną pisarką i sobowtórem Kitty, więc gdyby tu była, mieliby dwie kobiety kołyszące biodrami na nieprawdopodobnie wysokich obcasach i szukające odpowiedniego dla siebie miejsca. Kiedyś dawno, już po rozstaniu z Davidem, Gwiazda była gdzieś z przyjaciółmi i zobaczyła Kitty z córkami. Tamta jej nie zauważyła – oczywiście gdyby była z Davidem, Kitty na pewno zwróciłaby na nią uwagę.

Charlie wydała się jej wtedy słodką małą dziewczynką, delikatną i nieśmiałą, która w ogóle nie pasuje do domu Kitty Nelson. W walce płci Kitty stawała się walkirią, w złotej zbroi i hełmie z rogami czuła się jak we własnej

skórze, siejąc strach w sercach nieszczęśników. Zadumane i lękliwe dziecko przy takiej matce skuli się i schowa w swojej skorupce. Mama Gwiazdy mówiła jej zawsze, że nienarodzone dzieci wybierają sobie rodziców z określonego powodu. Idą do takich rodzin, w których będą się mogły nauczyć tego, o co akurat im chodzi. Charlie musiała wybrać bardzo trudną lekcję. Może to dlatego ma takie łagodne, zranione oczy. Gwiazda zwróciła na nie uwagę już wtedy, gdy rozpoznała ją w dziale z kosmetykami.

Patrzyła teraz, jak Charlie dostrzega w kościele znajomych i znajduje w sobie dość śmiałości, by złapać matkę i pociągnąć ją do jednej z ławek, które tamta wcześniej wykluczyła. Mimo wszechobecnego smutku Gwiazda się uśmiechnęła. Brawo, Charlie.

Charlie płakała, jak zwykle na pogrzebie, niezależnie od tego kto umarł. Smutna, melancholijna muzyka, odczucie, że ludzie zebrani wokół chcieliby pomóc, ale wiedzą, że nie potrafią – wszystko to wzruszało ją w taki sposób, że nie mogła powstrzymać łez.

Siedząca obok niej Shotsy w zawadiackim czarnym, aksamitnym kapeluszu na platynowej czuprynie, cała drżąc, pochlipywała w kolejną chusteczkę.

Shotsy była przekonana, że Davida zabił stres związany z koniecznością sprzedaży sklepu konkurencji.

– Dranie! – powiedziała wcześniej. – Zobacz, co mu zrobili!

Miała też wyrzuty sumienia, że wątpiła w jego lojalność wobec pracowników.

– Narzekałam na niego, a on umarł po tym wszystkim, co dla nas zrobił.

Charlie sięgnęła do torebki po następną chusteczkę, miała dziś spory zapas. Ponieważ zawsze płakała, zawsze też przychodziła przygotowana.

– Co jej jest? – zapytał zirytowany głos po jej drugiej stronie.

Charlie wolałaby, żeby mamy tu nie było, ale Kitty nie należała do osób, które można od czegoś odwieść.

– Oczywiście, że pójdę – burknęła, kiedy Charlie ostrożnie nadmieniła, że w pogrzebie będą uczestniczyć najbliżsi przyjaciele rodziny i pracownicy Kenny's, więc Kitty nie powinna iść.

– Możesz mnie zawieźć. Ale nie tym twoim wrakiem. Pożycz auto Brendana. Albo jeszcze lepiej, weźmiemy samochód Iseult.

Charlie jechała samochodem Brendana, Iseult była nieosiągalna.

– Zajęta, wciąż zajęta – mruzczała matka z aprobatą.

Charlie musiała szukać ukojenia w swoim dzienniku antywdzięczności.

*Iseult jest po prostu bardzo zajęta, tłumaczy sobie mama, gdy nie może się z nią skontaktować, a jak ja nie oddzwonię w ciągu pół godziny – jestem trudna.*

*Dlaczego?*

– Czemu jest taka smutna? – zapytała głośno Kitty, wskazując na Shotsy. Potem nieco ściszyła głos. – Czy coś ją z nim łączyło?

Charlie zamknęła oczy, modląc się o grom z nieba, który zabrałby stąd matkę. Błagam, niech nikt tego nie usłyszy. Mama zawsze koszmarnie się zachowywała, ale była przynajmniej koszmarem w miarę dyskretnym. Jak widać jednak, to już przeszłość.

– Nie – syknęła. – David taki nie był, mamó. Był dobrym człowiekiem. Shotsy jest przykro, bo bardzo go lubiła. Wszyscy go lubiliśmy.

– Przecież tylko pytałam – prychnęła Kitty, nieporuszona. Pochyliła się do przodu, żeby lepiej się przyjrzeć Shotsy, jakby chciała ocenić, czy ma w sobie coś, co pozwoliłoby jej zwrócić na siebie uwagę wpływowego mężczyzny. – Chyba masz rację, Charlotte – dodała w zadumie. – Za chuda.

Na szczęście Shotsy usłyszała tylko ostatnie słowa.

– Kto jest za chudy?

Charlie pokręciła głową, dając jej do zrozumienia, że to nieważne.

Szkoda, że nie może nakazać matce wyjść z kościoła, jeśli nie będzie się odpowiednio zachowywać, ale skoro jej matka przez całe życie nie zachowywała się odpowiednio, raczej trudno oczekiwać, że teraz nagle zacznie.

– Wiem, że to nieodpowiedni czas na takie rozmowy, ale co z nami teraz będzie? – zapytała Dolores, kiedy wychodzili powoli z kościoła.

– To pewnie zależy od Ingrid i dzieci.

Pracownicy Kenny's lubili i szanowali Molly i Ethana. W czasie wakacji obydwójce zdobywali doświadczenie w sklepie i jasne było, że nie byli wychowywani pod kloszem. Molly pracowała z Shotsy przez dwa lata pod rząd. Na koniec Shotsy westchnęła, mówiąc, że nic się nie da zrobić z tą nieszczęsną dziewczyną, bo Molly nie interesowały ani buty, ani torebki, ani ubrania.

– Karygodne – wzdychała. – Mogłaby być śliczna, gdyby włożyła w to choć odrobinę wysiłku, ale nie. Myślę, że ona się lubi taka niemalowana. A co do ubrań z lumpeksu – są OK, jeśli nie stać cię na więcej, ale nie sądzę, że kiedykolwiek da się z nich spruć zapach obcego potu.

– Nie mogę uwierzyć, że już go nie ma – szlochała Lena. Claudia obejmowała ją, próbując jakoś uspokoić, ale bez rezultatu. – Był taki dobry – mówiła dalej Lena. – Rozmawiał ze mną, jakbyśmy byli przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi.

Wszyscy spojrzeli na nią ze smutkiem. Wiedzieli, co ma na myśli. David Kenny był jedyny w swoim rodzaju, co do tego nikt nie miał wątpliwości.

Natalie pamiętała urywek programu radiowego o pogrzebach w



dawnych czasach. Wszyscy szli „zobaczyć zwłoki”, jak to nazwano. Młodzi i starzy bez wyjątku przychodzili złożyć kondolencje i wypić filiżankę herbaty z rodziną zmarłego. Ktoś opowiadał, że należało pochylić się nad trumną i pocałować zmarłego w czoło, na co Natalie aż jęknęła i czym prędzej zmieniła stację. Obrzydliwe!

Pogrzeb ojca Molly będzie jej pierwszym pogrzebem. Albo raczej pierwszym, który zapamięta. Oprócz tego fragmentu w radio, wszystko co wiedziała o tych obrzędach, pochodziło z telewizji albo z filmów. Cmentarze pojawiały się w horrorach, w których głupie dzieciaki zawsze tam kończyły pięć minut przed godziną klątwy, kiedy to dziesiątki odrąbanych rąk zaczynało wychodzić z grobów.

Msza była smutna, ale jednocześnie podnosiła na duchu – chór śpiewał nieznane jej hymny, potem grali jakąś ludową muzykę, która dla niej brzmiała z rosyjska, ale sąsiad w ławce szepnął, że to John Taverner. Całość okazała się tak podniosła i wzruszająca, że wszyscy się uśmiechali, nawet ci, którym na wspomnienie o Davidzie Kennym w oczach stawały łzy.

Na przykościelnym cmentarzu usytuowanym na zboczu wzgórza, w przejmującym zimowym chłodzie, było już całkiem inaczej. Wiatr hulał bez opamiętania, podnosząc płaszcze i niszcząc fryzury. Świeżo rozkopaną ziemię wokół grobu przykryto sztuczną trawą i Natalie aż się skrzywiła na ten fałsz. Głupio to wyglądało, jakby ktoś mógł się nabrać, że to na miękkim zielonym łożu, a nie w ciemnej dziurze spocznie trumna, zanim spadną na nią ciężkie czarne grudy.

Nawet słowa księdza nie brzmiały przekonująco.

Mówił o życiu wiecznym i podróży do Boga. Natalie podobała się msza, jej subtelność i znane modlitwy, które słyszała setki razy, ale tutaj na cmentarzu, ze szlochającą Molly tulącą się do matki i brata, gdy wszyscy

wyglądali, jakby ich życie legło w gruzach, ta mowa o życiu wydawała się równie nie na miejscu jak pseudodarń pod jej stopami. David Kenny odszedł. Jakie to miało znaczenie, czy patrzy gdzieś z góry? I kto wie na pewno, że tak jest? Potrzebowali go tu i teraz, a jego nie było. To rzeczywistość.

I kiedy tak stała nad grobem, nagle to zobaczyła – wspomnienie z jakiejś zamkniętej szufladki jej mózgu. Była już kiedyś na pogrzebie. I wtedy również wiał silny wiatr, poruszał gałęzie drzew i owiewał ją zimnymi podmuchami. Tata trzymał ją na rękach, a ona przywarła do niego, nie patrząc w dół. Nie chciała sama stać, bo była zmęczona. Czuła raczej, niż widziała, że ma na sobie ciemnozielony tweedowy płaszcz z miękkim kołnierzem. Może aksamit? Był też zapach, perfumy, jakby połączenie piżma i bursztynu, ciepły i kojący. Perfumy jej mamy. Mama często całowała Natalie, gdy ta miała na sobie płaszcz, i ich zapach na nim został.

I znów pomyślała o tym, jak fakt, że nie miała prawdziwej matki, wpłynął na jej życie. To ją odsuwało na bok, mimo że Bess była dla niej jak opoka: dobra, kochająca, zawsze mogła na nią liczyć, i nigdy nie twierdziła: „Jestem twoją matką”. Nie, Bess doskonale wyczuwała granicę – Natalie była już wystarczająco dorosła, żeby to docenić. Pewnie trudno wychowywać córkę poprzedniej żony męża i kochać ją jak własną.

Ponieważ Bess tak dobrze sobie radziła, Natalie jako nastolatka nigdy nie wykrzyczała jej w twarz: Nie mów mi, co mam robić, bo nie jesteś moją matką!

Teraz, gdy dostojne topole na cmentarzu jęczały, uginając się pod naporem wiatru, gdy czuła zapach prawdziwej ziemi unoszący się nad grobem, który przypominał sugestywnie, gdzie ostatecznie spocznie ciało, Natalie pomyślała o innym grobie, w którym leży jej prawdziwa matka.

Kobieta, której nigdy nie poznała, o której pamięć ograniczała się do

kilku oprawionych w ramki zdjęć z jej dziecinnej sypialni, a której zapach perfum przypomniała sobie nagle po dwudziestu latach.

Jej prawdziwa matka żyła kiedyś, oddychała i tańczyła, urodziła ją, a Natalie nic o niej nie wiedziała.

Gdy tak o tym myślała, poczuła ogromny wstyd. Nie wiedziała nic o swojej mamie, nigdy nie stała nad jej grobem, płacząc i modląc się. Gdzieś tam leżała jej mama – nieopłakiwana i niekochana, podczas gdy ona, która powinna ją opłakiwać i kochać, żyła sobie spokojnie własnym życiem.

Natalie nigdy jeszcze nie zemdląca, więc nikt się nie zdziwił bardziej niż ona sama, gdy najpierw zaczęła drżeć, a potem poleciała do przodu wprost na sztuczną trawę.

Nie zauważyła wcześniej kobiety, która ją złapała – wysokiej, szczupłej, o białych włosach. Miała na sobie biały płaszcz z przypiętym na piersi czerwonym bukietem, jak plama krwi.

Pomimo wieku była zdumiewająco silna, delikatnie ułożyła Natalie na ziemi, mówiąc:

– Już dobrze, Natalie, kochanie, jesteś bezpieczna.

Co dziwne, Natalie rzeczywiście poczuła się bezpieczna, choć wciąż czuła też ten mocny zapach ziemi i pamiętała siebie z czasu, gdy jako dziecko płakała nad innym grobem. Ale z siwowłosej kobiety emanował taki ogrom spokoju, że ukoił jej ból.

Inni ludzie pospieszyli do Natalie, więc kobieta w bieli odsunęła się, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Czerwony jedwabny kwiat upadł na ciemny płaszcz Natalie. Gwiazda Bluestone postanowiła go nie podnosić. Niech zostanie u Natalie. Gwiazda nosiła go chyba z dwadzieścia lat temu, kiedy znała jej matkę. Dziewczyna tak bardzo ją przypominała – ta sama dzika, surowa uroda i miała w sobie coś takiego bezbronnego. W tym okropnym

dniu przywołującym ból i wspomnienia tego, co mogło się zdarzyć, Gwiazda nie chciała już patrzeć w przeszłość. Gdyby tylko nie złożyła Darze tej obietnicy, poczułaby częściowy spokój. Teraz śmierć Dary i śmierć Davida połączyły się w jakiś dziwny, niepokojący sposób. Gwiazda odeszła pospiesznie z przygniatającym uczuciem, że w obydwu przypadkach coś zostało niedokończone.

Charlie usłyszała pomruk zdziwienia rozlegający się wśród ludzi na cmentarzu. Ktoś zemdłał. Stojąca obok jej matka, od której czuć było papierosy i przynajmniej połowę butelki perfum Shalimar, zachwiała się i musiała złapać Charlie, żeby nie upaść. Charlie spojrzała na śmiesznie wysokie buty Kitty, z licowej skórki, z paseczkami na wysokości łydki i szpilami jak gwoździe murarskie. Idiotyczne obuwie na pogrzeb, nic dziwnego, że nie potrafi utrzymać równowagi.

Przyszło tyle ludzi, że wszyscy stali ściśnięci, niektórzy nawet na kamiennych obmurówkach grobów. Stanie na samym grobie uznawano za profanację, ale stanie na niskich ściankach było niekiedy dopuszczalne. Żeby wszystko dobrze zobaczyć, Kitty zajęła pozycję na jednym z takich murków i z zainteresowaniem przyglądała się morzu głów osób przybyłych na cmentarz.

Charlie myślała, że kiedy zdarza się wypadek, wszystko powinno się dziać w zwolnionym tempie, a matka spadła z niskiego murka tak nagle i szybko, że Charlie uznała, iż to tylko jej wyobraźnia. Dopiero co Kitty stała obok niej, z długimi czerwonymi paznokciami na smutnej, skurczonej główce tego okropnego kołnierza z lisa, a po chwili leżała już jak długa na ziemi.

– Kłątwa lisa? – zasugerowała Shotsy, jeszcze zanim Kitty krzyknęła, i to tak, że nikt nie miał wątpliwości, iż uraz jest poważny.

– Nie brzmi to zbyt dobrze – dodała Shotsy.

Charlie przytaknęła i zaparła się nogami, przygotowana, by pomóc

matce wstać.

Ale nie, Kitty nie mogła wstać.

– Złamałam coś, ty głupia dziewczyno! – wrzasnęła z całej siły. – Boli mnie!!! Dzwon po pogotowie.

Lekarka na izbie przyjęć miała bladą, zmęczoną twarz. Charlie była pewna, że w normalnych warunkach na te niebieskofioletowe cienie pod oczami matka poleciłaby jej korektor rozświetlający Touche Eclat firmy Yves Saint Laurent. Kitty zawsze potrafiła coś doradzić w sprawach makijażu, czy ją ktoś prosił czy nie. Ale to nie był dzień na porady.

– Cholera, to moje biodro, ty kretynko! – ryknęła, a twarz lekarki jeszcze bardziej pobiadła.

Charlie zdawała sobie sprawę, że pewnie są tu przyzwyczajeni do niewybrednego języka pijaków, ale nienagannie umalowane starsze panie w kołnierzach z prawdziwego lisa przeklinające jak szewc to zupełnie inna sprawa.

– Czy pani matka zażywa jakieś leki? – zapytała lekarka.

– Nie jestem idiotką! – krzyknęła przeraźliwie Kitty, z każdą minutą coraz bardziej wkurzona. – Więc proszę się zwracać do mnie!

Charlie widziała, jak na twarzy lekarki znużenie walczy z gniewem. I wygrał gniew.

– Nie zajmujemy się panią, jeśli będzie nas pani obrażać \_ powiedziała stanowczo, prostując się. Za nią stały dwie pielęgniarki, których cierpliwość też już się kończyła. Żadna nie sprawiała wrażenia, że rozpoznaje podporę ruchu feministycznego, kobietę, która twierdzi, że już dawno byłaby lady Kitty, gdyby tylko żyła w kraju, gdzie się docenia ludzi, którzy oddali zasługi państwu.

– Boli mnie – zakwiliła nagle Kitty. – Bardzo – i rozplakała się.

Pielegniarki ustąpiły.

– Ból każdego może wyprowadzić z równowagi – powiedziała jedna łagodnym głosem.

Kitty pokiwała głową i złapała Charlie za rękę, co zdarzało się tak rzadko, że ta w szoku o mały włos nie zaczęłaby jej się wyrywać.

– Zostań ze mną – jęknęła – proszę cię.

– Nigdzie się nie wybieram – odparła Charlie.

Pomyślała o Shotsy i jej lęku, że straci matkę. Charlie tak tego nie odczuwała i oto, proszę, następuje kara. Nie kochać własnej matki to zbrodnia wobec natury. A zajmowanie się Kitty będzie jej pokutą.

## 9

*Bądź dla siebie dobra. Pokochaj siebie. Nikt inny nie będzie w stanie tego zrobić, jeśli ty nie zrobisz tego pierwsza. To trudna lekcja, bardzo.*

Sześć tygodni później

Zapach środka dezynfekującego wyciskał jej łzy z oczu i Natalie była teraz zadowolona, że nie nałożyła maskary, a na powieki dała tylko trochę cienia. Za to sala operacyjna lśniła czystością, więc rozpierała ją duma, że tak szybko uporała się z robotą.

– Rory, czy to jest właśnie twoja koncepcja romantycznej randki? – zapytała, odkładając szczotkę i ocierając rękawem pot z czoła.

– Skądże znowu – powiedział Rory, udając zdziwienie – to dopiero wstęp. Na właściwej randce zobaczymy kilka zdjęć rentgenowskich koni i – tu zniżył głos do szeptu – pokażę ci narzędzie, którego używamy do wrywania krowom zębów. Wtedy robi się naprawdę romantycznie, co?

Natalie się skrzywiła.

– Tylko nie to, błagam – prosiła. – Może najpierw wyszorujmy jeszcze raz podłogę? Wszystko, tylko nie krowia stomatologia!

– Dzięki za pomoc – dodał.

– Nieźle sobie radzisz z wiadrem i szczotką – pochwaliła go Natalie – ale nie posiadłeś jeszcze tej kobiecej umiejętności sprzątnięcia w szybkim tempie i jednoczesnego prowadzenia rozmowy. Żebyś mnie dobrze zrozumiał, wcale nie uważam, że kobiety sprzątajają lepiej, tylko że...

– ... potraficie robić kilka rzeczy naraz, wiem, podzielność uwagi – przerwał jej wesoło Rory. – To nie idealna randka, ale najlepsze, co dało się zrobić.

Spotkali się już kilka razy, a na dziś planowali kino i kolację. Wtedy kolega Rory'ego został wezwany do jakiejś cennej klaczy, która miała trudności z ózrebieniem się, i w ostatniej chwili Rory musiał odwołać randkę, żeby go zastąpić i przeprowadzić kilka rutynowych operacji.

– Chyba że chcesz przyjść i poczekać na mnie w przychodni – zaproponował.

– No pewnie – powiedziała szczerze. – Mogę przyjść wcześniej i popatrzeć?

Jako córka farmera widziała przy pracy wielu weterynarzy, ale nigdy operację.

To proste, mówił Rory, trzy sterylizacje, jedna z nich u terierki Jack Russell, która siedziała nerwowo w swojej klatce i patrzyła na Natalie, podnosząc małą szpiczastą główkę. Natalie włożyła rękę do klatki i pogłaskała aksamitne uszka.

Cieszyła się, że jest na sali operacyjnej, i z zafascynowaniem patrzyła, jak Rory z wprawą podaje środek usypiający.

– Każdy może operować ludzi – tłumaczył, czekając, aż środek zacznie działać – ale tylko weterynarz może operować zwierzęta. Wiedziałaś o tym?

Natalie patrzyła dalej, jak dokładnie dezynfekuje mały różowy brzusek, a potem przecina skórę i warstwę tłuszczu. Była pod wrażeniem, że takie wielkie ręce mogą być tak delikatne i zręczne. To były dobre ręce.

Operacja trwała krótko, bo Rory szybko znalazł macicę, mieniający się perłowo różowy organ, jak marmur ukryty wśród jedwabnych fałdek, a potem z obu stron założył zaciski.

– Chciałam być weterynarzem – powiedziała z żalem Natalie.

– Więc dlaczego nie zostałaś?

– Miałam za słabe oceny. Jestem dyslektyczką.



– To zazwyczaj genetyczne – zauważył Rory, sprawnie zaszywając brzuszek psa. – Czy twoi rodzice albo bracia też to mają?

– Tata nie, a Bess nie jest moją prawdziwą matką – powiedziała. – To znaczy, jest jak matka, ale nie biologicznie...

Rory po raz pierwszy oderwał wzrok od swojego futrzanego pacjenta.

– A co się stało z twoją prawdziwą mamą?

– Umarła, kiedy byłam mała.

– Musiało ci być ciężko.

Natalie skinęła głową. Nie mówiła mu, że zemdląca na cmentarzu i potem siedząca w samochodzie Leny, a pielęgniarka, która akurat też była na pogrzebie, zmierzyła jej puls i radziła iść do lekarza na dokładniejsze badania.

Zignorowała tę radę. To był po prostu trudny dzień i tyle. Wszyscy byli w złym stanie. Nikomu nie zdradziła, o czym wtedy myślała.

To brzmiałoby zbyt dziwacznie – zamknęliby ją w zakładzie. Nie, nie miało sensu wszystkich denerwować.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała uspiętego psa. Różowy języczek zwisał mu z boku pyszczka. Rory wyjaśnił jej, że kolor psiego języka jest dobrym wskaźnikiem stanu psa. Gdy zaczyna szarzeć, to znaczy, że jest źle.

– Czy twoja mama była dyslektyczką?

– Nie wiem – odparła Natalie i znów poczuła ten wstyd, ten, który pojawił się na pogrzebie, kiedy zdała sobie sprawę, że nic nie wie o swojej biologicznej matce. Niemal czuła znów zapach ziemi...

– Mogłabyś zapytać kogoś, czy była... czy to nie jest zbyt dobry pomysł? – pytał Rory.

Natalie napotkała jego wzrok. Rory instynktownie wyczuł, że w tej historii chodzi o coś więcej.

– Tata nigdy o niej nie mówił – przyznała, wciąż głaszcząc uszy psa,

jakby trzymała talizman. – A ja nie pytałam. Wiedziałaś, że z jakiegoś powodu to temat tabu.

No i proszę, powiedziała to.

– A nie znasz rodziców twojej mamy albo innych krewnych, których mogłabyś zapytać?

– Ojciec mamy nie żyje, a jej jedyny brat mieszka w Australii. Nigdy go nie poznałam, nawet nie wiem, czy mam tam jakichś kuzynów. Tata ma braci i Bess też – rodzina więc jest duża i to zawsze jakoś wystarczało... Wstyd mi, że nigdy nie zapytałam o swoją mamę, ale wiesz, kiedy jesteś dzieckiem, zakładasz, że dorośli mówią ci wszystko, co powinieneś wiedzieć. A o niej nikt nie mówił...

To było dziwne. Powiedzenie tego głośno ostatecznie jej to uświadomiło. Ale tata i Bess byli naprawdę wspaniałymi rodzicami. Bess mogłaby dostać nagrodę Macochy Roku. Natalie nigdy nie lubiła oglądać bajek Disneya o złych macochach, bo to taki oklepany stereotyp. Jej macocha była cudowna, równo kochała Natalie, Joego i Teda. Traktowała ich wszystkich tak samo, jakby Natalie też była jej. Bess nie należała do kobiet, które najchętniej wyrzuciłyby pierwszą żonę męża w kosmos, bo nie mogły znieść konkurencji. A tata – to jeden z najlepszych ludzi na świecie. Nie pozwoliłby, żeby prawdziwa mama Natalie znikła tak bez przyczyny, prawda?

– Jak miała na imię? – spytał Rory.

– Dara – powiedziała Natalie z uśmiechem. Lubiała to imię. – Mam kilka jej starych zdjęć. Wygląda na nich podobnie do mnie.

– A więc coś jednak o niej wiesz – zauważył.

Kiedy skończył pozostałe dwie operacje, zaczął sprzątać salę i Natalie zaproponowała, że mu pomoże.

– Nie – odparł. – Naprawdę, usiądź sobie tutaj, a ja to dokończę.

– Daj mi mop – zakomenderowała Natalie. – Jeśli chcę się poczuć jak weterynarz, muszę to zrobić jak należy.

Kiedy już doprowadzili do porządku salę i siebie, Natalie poczuła się przyjemnie zmęczona. Zadowolona, to chyba najodpowiedniejsze słowo. Tak właśnie się czuła, kiedy była z Rorym.

– Może zrezygnujemy dziś z kina i od razu pójdziemy na kolację? – powiedziała.

– Mógłbym coś dla nas u mnie ugotować – zaproponował Rory.

Natalie się uśmiechnęła.

– Wspaniale.

Następnego dnia, w piątek, umówiła się na mieście z Lizzie i resztą bandy. Rory miał późne wezwanie i nie mógł przyjść, co Natalie przyjęła niemal z zadowoleniem. Nie dlatego, że nie miała ochoty się z nim zobaczyć, wręcz przeciwnie, co dziwne zresztą, ciągle chciałyby go widzieć, a to jeszcze nigdy się jej nie przytrafiło. Nie, cieszyła się, że go nie będzie, bo w jego obecności Lizzie tak dziwacznie się zachowywała. Nie chodzi o to, że go nie lubiła – chyba nie było takiego człowieka, który mógłby nie lubić Rory'ego, myślała z dumą Natalie. Ale Lizzie wydawało się, że Natalie stać na kogoś lepszego, i to powodowało pewną niezręczność na wspólnych spotkaniach.

Po ślubie Steve'a i Lizzie Anna przewidywała, że przestaną się z nimi spotykać.

– Małżeństwa robią inne rzeczy – tłumaczyła z pewną tęsknotą w głosie, która wskazywała, że kiedy, o ile, ona i Dennis się pobiorą, nie będą już chodzić ze starymi znajomymi na pizzę. Zajmą się sprawami małżeńskimi takimi jak szukanie domu czy siedzenie nad katalogiem z Ikei, albo oglądanie

filmów na DVD, żeby zaoszczędzić i móc ubiegać się o kredyt.

Jednak mimo ślubu Steve i Lizzie nie siedzieli w domu, rozważając zalety i wady kolejnych kredytów hipotecznych. Nadal uwielbiali wychodzić z przyjaciółmi, mimo że ciągle byli spłukani.

Anna i Dennis dziś nie przyszli, bo oboje byli bez grosza, co w ogóle nie ruszało Lizzie.

– Mam trzydzieści dwa funciaki do następnej wypłaty – powiedziała właśnie, podnosząc głowę znad torebki po przeprowadzeniu wnikliwej analizy zawartości swojego portfela.

– A kiedy wypłata? – spytał Mark, jeden z przyjaciół Steve’a.

– Za tydzień, niestety – odparła Natalie.

Mark się skrzywił.

– Wszystko pod kontrolą – rzekła na to wesoło Lizzie – mój mąż pożycz mi trochę gotówki. Co moje, to jego i vice versa. Czyż nie tak, mężu? Steve lubił, gdy go tak nazywała, i uśmiechnął się do niej z uczuciem.

– Oczywiście, żono – powiedział. – Mam całą stówkę.

– Hurra! Dokąd idziemy? – zawołała entuzjastycznie Lizzie.

– Nie mamy kasy – zauważyła Natalie.

– Psujesz całą zabawę – stwierdziła Lizzie. – Niedługo upodobnisz się do Molly.

Po śmierci ojca Molly przeniosła się na jakiś czas do matki. Natalie i koty bardzo za nią tęskniły. Mieszkanie co prawda nie było duże: dwie sypialnie, łazienka z porządnym prysznicem i przytulny salonik z kuchnią. Ale bez osoby, z którą można by je dzielić, wydawało się olbrzymie i puste. Koty cały czas miauczały żałośnie, z daleka obchodząc jedzenie i odmawiając korzystania z usług automatycznego urządzenia do karmienia. Chciały żywej osoby, która otwierałaby paczki z najdroższą kocią karmą i osobiście

nakładła ją łyżką do ich miseczek. Kilka dni temu Molly w końcu wróciła, ale w ogóle nie chciała słyszeć o wychodzeniu gdziekolwiek. Mimo to Natalie zaprosiła ją na dzisiejszy wspólny wieczór, choć nie miała wielkiej nadziei, że Molly się pokaże.

– Obydwie zamieniacie się w zakonnice – ciągnęła tymczasem Lizzie. Natalie zacisnęła zęby.

– Obrażasz trzy grupy ludzi, Lizzie. Mnie, Molly i zakonnice.

– A co ci tak zależy na zakonnicach? – buntowała się Lizzie.

– Bardzo mile zakonnice kiedyś mnie uczyły, a skoro już o tym wspomniałaś – ciebie też. I nie ma nic złego w tym, że ktoś woli posiedzieć w piątek w domu. Nie zapominaj, że dopiero co zmarł jej ojciec.

– Spokojnie, OK, dobra? Przecież nie to miałam na myśli – zaperzyła się Lizzie. – Chodzi o to, że nie ma już z tobą żadnej zabawy...

– A ty za to jesteś ekspertem na tym polu, tak? – oczy Natalie zabłysły groźnie. – Tak się składa, że umówiłam się wczoraj z Rorym.

Nie rozmawiała teraz z Lizzie przez telefon tak często jak kiedyś, więc Lizzie nie wiedziała, jak często się spotykali.

– Gdzie byliście? – spytała podejrzliwie przyjaciółka, jakby chcąc potwierdzić, że randka była prawdziwa.

– U niego na kolacji – poinformowała ją Natalie – i zostałam na noc.

Usta Lizzie ułożyły się w doskonały owal. To pierwszy raz, kiedy Natalie została u faceta i nie powiedziała o tym Lizzie zaraz rano następnego dnia.

– Cześć.

Podniosły wzrok. Obok nich stała Molly.

– Przyszłaś, super, Molly! – przywitała ją Natalie.

– Cześć – pozdrowiła ją szorstko Lizzie i dodała, wstając: – Idę do baru.

Molly usiadła obok Natalie, a ta, chcąc dodać jej otuchy, ścisnęła jej ramię.

– Nie mogę uwierzyć, że przyszłaś!

Po raz pierwszy od śmierci ojca gdzieś w końcu wyszła. Natalie wiedziała, że sześć tygodni siedzenia w domu musiało być ciężkie.

– Tylko na chwilę – wyjaśniła Molly. – Nie lubię zostawiać kotów, nie są przyzwyczajone. Kiedy mieszkałam u mamy, przeżyły szok. Przepraszam, nie chodziło mi o to, że się nimi nie zajmowałaś.

– Wiem – powiedziała Natalie. – W porządku, rozumiem to, one są twoimi dziećmi.

Zauważyła, że Molly ma obgryzione paznokcie, a brązowa sukienka w rzucik jest dla niej teraz zbyt szeroka.

– Myślimy, żeby zamówić coś do jedzenia. Kurczaka i frytki? Albo kielbaski? A może pójdziemy na całość i weźmiemy hamburgery... – próbowała wprawić Molly w lepszy nastrój.

– Jasne, może być – odparła Molly. – Ale tu dziś głośno.

Rzeczywiście. Muzyka osiągnęła poziom grożący migreną i w pubie była jakaś promocja drinków. Przepiękne dziewczyny z mocnym makijażem, w krótkich spódniczkach i meksykańskich kapeluszach chodziły wkoło, namawiając ludzi na spróbowanie nowego drinka.

– Masz ochotę? – zapytała Natalie.

– Nie – odparła zgodnie z przewidywaniem Molly. – Nie jestem w nastroju.

Mark, jeden z najlepszych kumpli Steve'a, przyłączył się do rozmowy Natalie i Molly. Okazało się, że wszyscy troje mają zamiar wybrać się na ten sam film. W końcu Natalie mogła oprzeć się wygodnie i zrelaksować, zostawiając Marka i Molly w spokoju. To było jak pilnowanie dziecka,

myślała, trzeba się nim zajmować tak długo, aż będzie w odpowiednim nastroju – wtedy dopiero można je zostawić. Biedna Molly nie mogła się pozbierać po stracie ojca. Najgorsze, że to wszystko przyszło tak nagle.

Bess, macocha Natalie, powiedziała, że taka szybka śmierć jest dobra dla tego, kto umiera, ale okropna dla wszystkich, którzy zostają.

– Nikt nie może się pożegnać – mówiła.

Nie tylko w takim przypadku nie można się pożegnać, myślała Natalie. Gdy patrzyła, jak Molly opłakuje ojca, zaczynała myśleć o swojej mamie, której nigdy nie знаła. Próbowwała zapomnieć ten dzień na cmentarzu. To takie żenujące, przewrócić się na pogrzebie, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę, a przecież to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Nawet nie wiedziała, dlaczego ten pogrzeb był dla niej aż tak przygnębiający. Przecież jej ostatnio nikt nie umarł.

Próbowwała o tym nie myśleć, ale wciąż to do niej wracało, głównie w nocy, szczególnie gdy Molly wcześniej się kładła. Mimo że zamykała drzwi swojego pokoju, Natalie i tak słyszała jej szloch.

I kiedy tak martwiła się o przyjaciółkę, w głowie pojawiały się myśli o własnym smutku. Ona nigdy nie opłakiwała swojej mamy.

Pukała potem do drzwi Molly, chcąc jej jakoś pomóc.

– Jeśli masz ochotę pogadać, jestem tu.

– Nie, dzięki. Wszystko w porządku, naprawdę – odpowiadała Molly.

Czy rozmowa mogła pomóc? Natalie w to nie wierzyła. To tak, jak kazać pić herbatę komuś, kto właśnie przeżył wstrząs. Albo radzić mu, żeby się położył. Wszystko na nic. Nie pomagało. Rozmowa nie wskrzesi ojca Molly. Ale przyszło jej do głowy, że może mogłaby pomóc ożywić troszeczkę jej mamę.

Wyglądało na to, że Molly i Mark świetnie sobie radzili. Po raz

pierwszy od dawna Molly się uśmiechała, a kiedy podeszła kelnerka z kartami, wzięła od niej jedną. Tak trzymać, pomyślała Natalie, może zostanie i zje coś, a wtedy będzie można zaliczyć ten wieczór do spędzonych poza domem, a nie na siedzeniu z kotami i gapieniu się niewidzącym wzrokiem w telewizor. Natalie czuła, że spada jej z serca ciężar wyrzutów sumienia. Ostatnio miała poczucie winy, że tak często wychodzi z Rorym albo znajomymi, podczas gdy Molly zostaje sama w domu i może się odezwać tylko do kotów.

– O mój Boże, ten nowy drink jest fantastyczny! – Lizzie usiadła na dwóch barowych taboretach naprzeciwko Marka, Molly i Natalie. Oczy jej błyszczały, tryskała zadowoleniem i niewiele jej już brakowało do stanu upojenia.

– Uderza wprost do głowy – niesamowity! – zachichotała, po czym położyła stopy na trzecim taborecie. – O matko, ale wygodnie, mogę tu siedzieć całą noc. Nie! – wrzasnęła nagle, gdy ktoś próbował zabrać stołek. – Jest zajęty, potrzebuję wszystkie trzy!

Natalie zauważyła, że Mark i Molly przyglądają się Lizzie z niesmakiem. To coś, na co nie zwróciła uwagi aż do wieczoru panińskiego, kiedy usiłowała wyciągnąć przyjaciółkę z klubu. Ludzie ustępowali im z drogi, z obrzydzeniem patrząc na pijaną w sztok młodą kobietę. Bardzo przykro było widzieć ten wyraz twarzy, szczególnie u Marka. Natalie pomyślała, że to niedobrze, gdy najlepszy kolega twojego męża patrzy na ciebie w ten sposób. Oczywiście Lizzie nic nie zauważyła.

Co do Molly, która przypatrywała się Lizzie z litością... no cóż, Molly i Lizzie nigdy nie miały wielu wspólnych tematów.

– Posuń się – powiedział Steve, spychając nogi Lizzie na bok. Usiadł na trzecim taborecie, a ona od razu położyła mu stopy na kolanach.



– Tani wieczór poza domem – powiedział, mając na myśli promocję drinków.

– No – odparł niepewnie Mark.

Steve nie wyglądał na pijanego, zauważyła Natalie. Pochylił się i położył dłoń na czole żony, jakby sprawdzał, czy ma gorączkę.

– Jak sobie tu radzisz, szalona kobieto? – spytał.

– Świetnie! – wrzasnęła Lizzie. – Absolutnie wspaniale. Przynieś mi jeszcze kilka tych drinków, mężu, wciąż nie mam dość.

– A ja myślę, że masz – odpowiedział jej ze śmiechem Steve.

– Nieprawda – upierała się Lizzie. – Chcę jeszcze jednego, albo nie, weź dwa. Brać, skoro dają! Nie zapominaj, że musimy oszczędzać. Gratisowy drink jest w sam raz dla nas.

Steve posłusznie poszedł szukać jednej z dziewczyn w meksykańskich kapeluszach.

– Wiesz, chyba na dziś ci wystarczy – zauważyła chłodno Molly.

Lizzie wyprostowała się, podparła na łokciu i powiedziała:

– Nie bądź głupia! Poza tym – dodała jeszcze bardziej rozwścieczona – to chyba nie twój interes, prawda?

Natalie cała się w sobie skuliła. Molly tak świetnie szło, a teraz durna Lizzie ją zdenerwuje. Ale wtedy Molly ją zaskoczyła – lekko się wyprostowała na krześle i odezwała tonem, który Natalie, co dziwne, skojarzył się z Ingrid:

– A właśnie, że mój interes, bo jesteś w moim towarzystwie, a ja nie mam zamiaru spędzać wieczoru z osobą, której głównym celem jest otwieranie buzi i wlewanie w siebie alkoholu. Nie prościej zostać w domu z butelką wódki i wenflonem?

– Odpieprz się – warknęła Lizzie. – Będę robić to, co mi się podoba.

Zacząła schodzić z taboretów, na jej twarzy widać było złość i agresję. O nie, pomyślała Natalie, szykuje się awantura. Ale nagle Lizzie straciła równowagę i z hukiem spadła na podłogę. Mark zerwał się, żeby pomóc jej wstać, a Molly zwróciła się do Natalie.

– Wiesz – powiedziała – fajnie jest znowu wyjść z domu, ale nie chce mi się z nią siedzieć. Myślisz, że mogłybyśmy pójść gdzie indziej?

Natalie spojrzała na podłogę, gdzie Lizzie leżała jak długa, przeklinając i nie pozwalając biednemu, kochanemu Markowi sobie pomóc.

– Zostawcie mnie, sama umiem wstać. Głupia ciućma, nie jej zasrany interes, mogę pić, co mi się żywnie podoba.

Jej przemowa nie była skierowana do nikogo w szczególności. Nie wiedziała, co mówi. To nie była osoba, którą Natalie знаła i kochała, tylko ktoś zupełnie inny.

Wzięła swój płaszcz i torebkę.

– Masz rację, Molly, chodźmy stąd.

– Nie zostawiajcie mnie! – darła się Lizzie, kiedy wychodziły.

– Hej, co się dzieje? – zapytał Steve, który wracał właśnie z nową kolejką drinków.

– Lizzie nie jest dziś w dobrej formie, trudno się z nią dogadać – powiedziała mu Natalie. – Poszukamy innej knajpy. Sorry, Steve.

Objęła go na pożegnanie i wyszły. Niech Steve się teraz martwi. Ona nie miała już zamiaru brać odpowiedzialności za przyjaciółkę.

Lizzie zadzwoniła następnego dnia, na kacu i pełna wyrzutów sumienia.

– Naprawdę przepraszam, Natalie – mówiła. – Steve powiedział, że zachowałam się jak ostatni gbur w stosunku do ciebie i Molly. Przepraszam, nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Hm, to zabawne, bo ja doskonale wiem, co w ciebie wstąpiło: pół

wiadra taniej wody, oto co.

– O rany, na Boga – wyrzuty sumienia znikwały z głosu Lizzie w ekspresowym tempie. – Wystarczy, że już Steve całe rano mi to wypomina. Co z wami wszystkimi jest? Po prostu dobrze się bawiłam.

– No cóż, to co dla ciebie jest zabawą, dla wszystkich pozostałych nie jest – tłumaczyła jej chłodno Natalie. – I nie rozumiem, dlaczego zabawa w twoim stylu zawsze oznacza wódek. Ostatnio nic innego cię nie bawi. Wychodzisz z domu i upijasz się do nieprzytomności. Widzisz w tym jakąś przyjemność dla innych? Może ty się bawisz świetnie, ale nikt poza tobą.

– Ale to przecież nic złego – powiedziała Lizzie, chyba zdziwiona szorstkością wystąpienia Natalie.

– Nieprawda. To jest złe. W stosunku do Molly zachowałam się jak ostatni cham. Po raz pierwszy od śmierci ojca wyszła z domu i musiałyśmy pójść gdzie indziej, bo z tobą po prostu nie dało się wytrzymać. Równie dobrze mogłyśmy zostać w domu.

– Jasne, że zostać w domu – drwiła teraz Lizzie. – Siedzicie tam jak dwie stare lesby ze swoimi kotami.

Przez chwilę Natalie miała jej ochotę powiedzieć, że ciotka Molly rzeczywiście jest lesbijką i mieszka ze swoją partnerką, choć bez kotów. Zaraz jednak sobie uzmysłowiła, że to mogłoby być niebezpieczne. Ze względu na to, kim była jej matka, Molly musiała bardzo uważać, komu opowiada o swojej rodzinie. Dawna Lizzie raczej zachowywałaby tajemnicę. Nowa Lizzie, która myśli tylko o tym, żeby się napić, a potem nie pamięta, co się działo, raczej nie.

– Zadzwoń do mnie, jak będziesz w lepszym humorze albo jak naprawdę będziesz chciała mnie przeprosić – powiedziała krótko i trzasnęła słuchawką.

W sumie, stwierdziła po krótkim namyśle, ta nowa Lizzie nie pojawiła się tak zupełnie nagle. Już od dłuższego czasu zabierała jej przyjaciółkę, skradając się cichuteńko, stopniowo, krok po kroczku. To ta Lizzie upiła się na balu maturalnym, a potem, gdy razem z Natalie i Anną chyłkiem weszły na „Tydzień Pierwszaka” na uniwersytecie, ululała się na amen tanim winem wyprodukowanym na wydziale mikrobiologii. To nie nowa Lizzie, to dawna Lizzie, która coraz bardziej się stacza.

Molly obudziła się w dobrym nastroju.

- Wczorajszy wieczór dobrze mi zrobił oznajmiły
- Czasem miło jest wyjść, a nie siedzieć tu wiecznie z tyra pudłem.
- Lizzie dzwoniła, żeby przeprosić – powiedziała jej Natalie.

Molly wzruszyła ramionami, stawiając czajnik z wodą.

- To nie jej wina – powiedziała. – Jest po prostu alkoholiczką.
- Co? – Natalie niemal upuściła miskę z płatkami.
- Wcale nie!
- Przepraszam cię – odparła Molly. – Myślałam, że wiesz.
- Nie, to moja przyjaciółka, jest w moim wieku.

Natalie nie wiedziała, co powiedzieć. Alkoholicy to przecież starzy faceci w brudnych płaszczach przeciwdeszczowych, którzy wystają przed otwieranymi wcześniej pubami, posiwiali i wyniszczeni, bo muszą się napić, żeby nie zobaczyć maszerujących ulicą różowych słoni. A nie jej piękna przyjaciółka.

– Nie da się pracować z biednymi i nie spotykać się z tym na każdym kroku – wyjaśniła jej rzeczowo Molly. – Czy ktoś próbował jej pomóc?

Natalie miała mętlik w głowie.

- Pomóc?

– No wiesz, odwyk czy coś w tym rodzaju?

– Nie wiem – przyznała Natalie. – Ja nie.

– Wyszukaj sobie w Internecie „alkoholizm” – zaproponowała Molly. – Potem mi powiesz, co o tym myślisz. Ale z punktu widzenia kogoś postronnego i biorąc pod uwagę jej stan rano po wieczorze panieńskim, mogłabym się założyć, że mam rację.

Charlie odkryła, że praca pomaga. Intensywna codzienna praca, dzięki której nie miała czasu, by zaciskać pięści z chęcią pozabijania nimi wszystkich poduszek w domu. Rano wstawała wcześniej niż zwykle i sama w spokoju wypijała w kuchni filiżankę kawy, zapisując coś w swoim dzienniku. Tylko wtedy była zupełnie sama i chciała te chwile jak najlepiej wykorzystać.

Czas dla siebie jest bardzo ważny, wszyscy wciąż jej powtarzali. Czas dla siebie polega na tym, że możesz robić to, na co masz ochotę, i nikt nic od ciebie nie chce. Ponieważ normalnie w ciągu dnia to było niemożliwe, Charlie uznała, że czas dla siebie znajdzie o szóstej rano. Potrzeba matką wynalazków.

*Iseult doprowadza mnie do szału, nawet bardziej niż mama. Tak, to szok, okropność – wiem. Nigdy nie powiedziałam na nią złego słowa, ale przysięgam, że ją zabiję, jeśli nie przestanie być taką świnią i mi nie pomoże.*

*To znaczy, jak ona ŚMIE mówić do mnie w ten sposób? „Nie mam na to czasu, Charlie, jestem zajęta. To dla mnie bardzo ważny moment. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale będziesz musiała sobie jakoś sama poradzić”.*

*Jak ona śmie? Przez sześć tygodni bez przerwy zajmuję się mamą, a ona w ogóle, oprócz tego, że przyszła do szpitala i zrobiła awanturę – jakby awanturowanie się matki nie wystarczało – oraz wkurzyła cały personel, tak że potem wszyscy na MNIE patrzyli ze złością aż do końca pobytu mamy w*

szpitalu. No dobrze, szpital nie okazał się Ritzem– Carltonem, ale który szpital nim jest?

*A pielęgniarki były świetne. OK, rehabilitant mówił do nas, jakbyśmy były bandą przedszkolaków, ale i tak się starali. Cała ta gadka o przewiezieniu jej gdzie indziej helikopterem i że Iseult ma znajomego w prywatnym szpitalu całkiem niedaleko, i jak tam jest wspaniale, na niewiele się zdała, tyle że wszyscy się obrazili. A przecież opowiadała bzdury – skoro miała zamiar przetransportować mamę helikopterem, to czemu tego nie zrobiła? Bo to tylko głupie gadanie, oto dlaczego. To właśnie Iseult robi – gada. I na tym się kończy.*

*A teraz z mamą jest już lepiej, ale ciągle chodzi o kuli i nie może wrócić do domu, bo jest zbyt słaba. Więc mieszka u nas i obawiam się, że może dojść do tragedii.*

Złamania biodra, powiedział im konsultant, kiedy już ustalono, co dokładnie się stało, częściej zdarzają się u osób starszych oraz gdy zmniejsza się gęstość kości. Głównym czynnikiem jest tu palenie papierosów. Kiedy to mówił, spojrzał ostro na Kitty, ale ona odpowiedziała mu tym nonszalanckim wzrokiem, który Charlie znała aż nazbyt dobrze.

Lekarz był niski, łysiał, i ogólnie wyglądał przeciętnie. Gdyby przypominał doktora Kildare’a, wtedy Kitty zatrzepotałaby powiekami i szepnęła seksownie: „Oczywiście, panie doktorze”, dając do zrozumienia, że pali tylko okazjonalnie. Na przykład po seksie – mogłaby dodać znacząco.

Charlie była wdzięczna, że choć ta konkretna scena została im oszczędzona.

W szpitalu nie było z kim flirtować, co oznaczało, że mama była bardziej poirytowana niż zwykle. Flirt w jej przypadku podtrzymywał normalne funkcjonowanie, a jeśli ofiara reagowała właściwie, Kitty jeszcze

przez jakiś czas pozostawała w nastroju postflirtowym, czyli zadowolona.

Ale ich piętro cierpiało na brak flirciarzy. Był jeden polski sprzątac, który słabo mówił po angielsku i przestraszył się nie na żarty, gdy kobieta z pomalowanymi na czerwono ustami zaczęła stroić do niego miny i mrużyć, że może by jej poprawił poduszki. Na sąsiednim oddziale męskim leżeli co prawda pacjenci, ale wyglądali, jakby jedną nogą byli już w grobie, i Kitty patrzyła na nich z obrzydzeniem, gdy powłócząc nogami, przechodzili obok jej pokoju, a kapcie szurały po linoleum.

Był też jeden pielęgniarz, ale zdaniem Kitty facet w tym zawodzie staje się jakiś zniewieściały.

– Mężczyźni są lekarzami – stwierdziła – a nie pielęgniarzami.

– To seksizm – zauważyła Charlie. – Przecież walczyłaś z seksizmem i szklanymi sufitami.

– Ale dla kobiet – odparowała ze złością matka.

– A to dopiero seksizm – ośmieliła się Charlie. Fakt, że mama natychmiast nie zaprzeczyła, najlepiej świadczył o tym, jak bardzo jeszcze była słaba.

Oczywiście płatało się tam mnóstwo młodych lekarzy, jednak wszyscy byli zbyt zmęczeni i zajęci, by zauważyć świeżo nałożoną czerwoną szminkę czy zalotne mruganie, a kiedy stawali przy łóżku Kitty, omawiali wyłącznie przypadek medyczny, nie człowieka.

Pozostał jeszcze ksiądz, pałakowaty człowiek nazywany ojcem Farrarem, chudy jak patyk i z wyrazem świętości na twarzy.

Księża należą do niewielkiej mniejszości mężczyzn, dla których Kitty nigdy nie miała czasu. Przecież nie wolno im flirtować, więc jaki sens?

Za trzecim razem, kiedy ojciec Farrar próbował podać Kitty komunię, rzuciła w niego gazetą.

– Nie interesuje mnie nawrócenie przez twojego męskiego Boga – zaskrzeczała. – Przyjdź, jak On przyjmie do klubu kobiety!

Charlie zbladła. Ojciec Farrar cofnął się kilka kroków i zaraz przybiegła pielęgniarka, która czym prędzej zaciągnęła zasłonkę wokół łóżka Kitty.

– Pani Nelson, chyba rozmawialiśmy już o tym. To nie fair w stosunku do ojca Farrara i do innych pacjentów. Jeśli nie chce go pani widzieć, nie ma sprawy, ale żadnych krzyków.

– Przecież mówiłam mu, żeby się do mnie nie zbliżał – odparła Kitty, wzruszając ramionami. – To on powinien dostać burę.

Goście tylko pogarszali sprawę, bo przy nich ujawniała się bardziej pretensjonalność Kitty.

W dawnych czasach ludzie w szpitalach mieli przynajmniej jakąś rozrywkę, mamrotała Kitty pod nosem, jakieś małe przyjątka i przymykanie oka przez personel na butelkę whiskey przemyconą na oddział między winogronami.

Gwen, koleżanka z czasów świetności, która przyszła wraz ze spokojniejszą panią o imieniu Fiona, miała cały zapas historyjek z przeszłości.

Pojawiła się w szpitalu z wypożyczonymi z biblioteki książkami, zakurczonym pnącym bluszczem i butelką czegoś w kolorze sików, co na pewno było domowej roboty, alkoholowe i prawdopodobnie niebezpieczne.

– Gwen! – pisnęła Kitty z zadowoleniem, z jakim nigdy nie zdarzało się jej witać Charlie, gdy przychodziła z winogronami, czekoladowymi herbatnikami i nową książką na płycie CD.

– Kitty, kochanie! – Gwen rzuciła się wraz ze swoimi pakunkami na łóżko i gdyby Charlie nie chwyciła przytomnie butelki, ta niechybnie rozbiłaby się na podłodze. – Spójrz tylko na siebie! Co oni z tobą zrobili?



Gwen brała udział w marszach na rzecz antykoncepcji, w paru większych rozróbach we Francji i przez kilka lat mieszkała w komunie w West Cork, aż któregoś dnia niemal zmarła na listeriozę, którą zaraziła się z powodu domowej roboty sernika i braku lodówki – interweniował sanepid. Gwen lubowała się w pomiętych lnianych ciuchach, hennie na włosach i perfumach, w których udało się połączyć zapachy marokańskiego bazaru i najmocniejszą wersję Poison Yves’a Saint Laurenta.

– Mam nadzieję, że dostajesz jakieś porządne leki – mówiąc to, Gwen myszkowała na małym stoliku przy łóżku w poszukiwaniu słoiczków z czaszkami i skrzyżowanymi pieszczelami.

– Niestety – odparła Kitty. – Tabletki przeciwbólowe, które nie pomogłyby nawet myszy. Fiona, chodź tutaj i siadaj – powiedziała do spokojniejszej kobiety. – Charlotte przyniesie nam kawę i herbatę.

Nie: Charlotte, czy mogłabyś przynieść nam kawę i herbatę?

– Oczywiście – powiedziała Charlie automatycznie. Poczula w sercu przelotny ból, bo po raz kolejny odstawiono ją na boczny tor. Gdyby tu była Iseult, matka rozpoczęłaby litanie na temat jej ostatnich triumfów. Ją natomiast traktuje jak kelnerkę.

Przyniesienie napojów zabrało jej całe wieki, a kiedy wróciła, mama opowiadała właśnie brzydki dowcip.

– A wtedy on mówi: „Proszę pani, ale ja miałem zamiar włożyć ten termometr zupełnie gdzie indziej!”.

Trzy kobiety zachichotały. Razem wyglądały jak wiedźmy z *Makbeta*, tylko jeszcze straszniejsze.

Kiedy Kitty wypuścili w końcu ze szpitala i wylądowała u nich w domu, było tylko gorzej. Ze szpitala Charlie mogła przecież wyjść. W domu stała się więźniem, którego pilnuje bardzo nieprzyjemny strażnik. Kiedy w pobliżu nie

było nikogo, dla kogo warto by się umalować, ani z kim można by pogawędzić czy się pośmiać, Kitty dwadzieścia cztery godziny na dobę była poirytowana. A najbardziej odczuła to Charlie, która wzięła urlop, żeby opiekować się matką.

Bez makijażu Kitty wyglądała na swój wiek, a może nawet na kilka lat więcej. Sam upadek jej nie zaskoczył, ale fakt, że jest przykuta do łóżka i nie potrafi nic wokół siebie zrobić – owszem. Charlie zdała sobie sprawę, jak bardzo przyzwyczała się do widoku matki w pełnej zbroi i barwach wojennych.

Po sześciu tygodniach Kitty powinna być już sprawniejsza, ale postęp nie był tak duży, jak przewidywano – częściowo dlatego, że nie znosiła fizjoterapii i często po prostu nie chodziła na ćwiczenia.

– Charlotte – wrzasnęła teraz, przerywając Charlie jej cenny wczesnoporanny czas dla siebie.

Charlie westchnęła i wstała. Zaczyna się.

– Daj mi tabletki – zażądała Kitty, gdy tylko Charlie weszła do sypialni.  
– Potem muszę umyć włosy. Wyglądają okropnie. Właściwie to muszę iść do fryzjera. W tym zakładzie na Shop Street chyba umieliby mnie uczesać – dodała.

Kitty nie znosiła Ardagh. Mówiła, że to prowincjonalne miasteczko z pretensjami, i to tylko z powodu tego, że jest tu duży dom towarowy Kenny's.

Co innego prawdziwe miasto. Ludzie mogą czuć się sobą, mogą prowadzić ciekawe i ekscytujące życie, nie czując na sobie kajdan wzroku kochanych sąsiadów.

Od kiedy to zwracasz uwagę na innych? – miała ochotę zapytać Charlie, ale się nie odezwała. Nie zniosłaby łatwej do przewidzenia reakcji.

– Chloe's, zakład nazywa się Chloe's.

Lubiła to miejsce. Nie było tam tak elegancko jak w małym salonie na trzecim piętrze Kenny's, ale za to bardzo przyjemnie i wesoło. Właściciel, Gordon, to wspaniały człowiek, którego wszyscy brali za geja, bo nosił stylowe broszki i gestykulował w dość teatralny sposób. Gordon mówił Charlie, że jest heteroseksualny, ale kobiety wolą fryzjerów gejów.

– Interes się rozkręcił, jak zmieniłem imię, a na neonie umieściłem kociaka z długimi brwiami i boa z piór – tłumaczył. – Gejowatość uspokaja i koi, a na tym przecież polega piękno, prawda? Spokój i wyciszenie.

Charlie nie była do końca przekonana. Wydawał się w tym aż za dobry. Nie czuło się, że udaje. Miała wrażenie, że z broszkami w kształcie salamandry i czerwoną chustką wystającą spod kołnierzyka jest jak najbardziej w swojej skórze.

– No właśnie, Chloe's. Głupia nazwa dla fryzjera. Chyba nie muszę do nich dzwonić? – Kitty uznała, że w punktach świadczących usługi wieśniakom z Ardagh nie trzeba się wcześniej umawiać.

– Musisz – powiedziała opanowana. – Zadzwoń trochę później.

– Dzwon od razu – rozkazała matka.

Charlie policzyła do dziesięciu.

– Mamo, jest wpół do siódmej. Zadzwoń o dziewiątej.

Mieli wolny termin o dziesiątej, więc Charlie przywiozła mamę pod drzwi dwadzieścia minut wcześniej.

Miała wielką ochotę usiąść przed lustrem. Gordon by się koło niej kręcił, cmokał z niezadowoleniem nad stanem jej włosów i zamówił na koszt firmy poczęstunek w sąsiednim Kool Koffee, więc popijałaby latte z syropem karmelowym.

Ale siedząca obok mama odebrałaby sytuacji cały urok. Wystarczy, że w ogóle ją tu przywlokła – będzie denerwować ludzi swoją negatywną

energiją, traktując ich z lekceważeniem, jak kardynała, którego teleportowano do burdelu.

– Mama jest nieco... przygnębiona – zwróciła się taktownie do Gordona.

– Złamała biodro i bardzo cierpi. Może trochę ponarzekać, nie zwracajcie na to uwagi.

– Oczywiście, kochanie, nie ma sprawy. Zajmiemy się nią – odparł Gordon. Dziś nosił broszkę w kształcie pająka, podobną do tej, jaką księżę Windsoru kupił księżnej u Cartiera. Sweter o drobnym splocie miał cytrynowy kolor, a buty niepokojąco przypominały baleriny i odnosiło się wrażenie, że w każdej chwili może zawirować po salonie, wykonując kilka piruetów.

– Na pewno nie chcesz poczekać? Może cię uczeszymy?

Charlie się uśmiechnęła, kręcąc głową.

– Nie mam chwili dla siebie. To jedyny moment, kiedy mogę coś pozająlatwić.

Zrobiła zakupy, zaniosiła kilka rzeczy do pralni i jedną z torebek mamy do naprawy, zapłaciła rachunki na poczcie, a potem biegiem wróciła do fryzjera, czując na skórze kropelki potu.

Spodziewała się nieuchronnie zwykłego nastroju matki, ale kiedy weszła, rozpromieniła się w jej kierunku nowa, szczęśliwa Kitty.

– Gordon to skarb! – szczebiotała, kręcąc głową i podziwiając świeże loki delikatnie otulające jej twarz. Gordon nałożył też farbę – łagodny kasztan z jaśniejszymi pasemkami pięknie podkreślający kolor skóry Kitty.

– Jasne pasma przy linii włosów, oto cała tajemnica – mówił Gordon, poprawiając coś to tu, to tam.

Charlie była zdumiona, że czuje aż taką złość. Jak matka śmie przychodzić tu i zabierać dla siebie Gordona! Nie miała prawa, to znajomy

Charlie.

Już w domu Kitty poszła do siebie podziwiać nową fryzurę, a Charlie zadzwoniła do pracy, by się zorientować w sytuacji.

Odkąd była zmuszona wziąć wolne, czuła się niedoinformowana. Przez kilka pierwszych tygodni po śmierci Davida wszystko szło swoim zwykłym trybem, oczywiście z wyjątkiem faktu, że nie było już z nimi Davida. Mówiło się, że wprowadzony przez niego system pracy działał bezbłędnie i sklep sam się prowadził. Tom, dyrektor firmy, zastąpił Davida, a Lena została jego prawą ręką.

– To nie może trwać wiecznie – mówiła do słuchawki Shotsy. – Obroty zdecydowanie spadają, zresztą jak wszędzie w towarach luksusowych. Sprzedaż jest chyba nieuchronna, ale Ingrid z nikim jeszcze nie rozmawiała.

Obydwie kobiety zamilkły po tej uwadze. Ingrid dzwoniła do Toma i Stacey, ale była zbyt załamana, żeby zdobyć się na wizytę.

– Więc Tom wybiera się do niej.

– Okropne. – Charlie aż wstrząsnął dreszcz. – Śmierć męża, a do tego jego interesy w tarapatach.

– Mam tylko nadzieję, że jednak nie stracimy pracy w całym tym zamieszaniu – dodała Shotsy.

– Wiem, ale i tak myślenie w ten sposób wydaje mi się okropne – powiedziała Charlie. – My możemy znaleźć inną pracę, a Ingrid nie może sobie znaleźć drugiego Davida, prawda?

Na lunch przyjechała Iseult i to jeszcze bardziej poprawiło Kitty humor.

– Cześć, dziewczyny – powiedziała, kładąc na stole torbę smakołyków oraz storczyk w chińskiej doniczce i plik czasopism.

Czyż Iseult nie była wspaniałomyślna?

Uściskała ciepło Charlie, a potem wzięła storczyk i podała go Kitty.

– Kwiaty dla kwiatu – powiedziała, a Kitty uśmiechnęła się tak, jakby cała rozświetliła się od środka.

Charlie patrzyła na mamę, zastanawiając się, jak – na Boga – Iseult to robi. Czy chodzi o to, co mówi, czy jak mówi? A może po prostu wynika to z lepszej relacji między nią i mamą, o jakiej Charlie nawet nie może marzyć?

– Świetne włosy, mamó – ciągnęła Iseult.

– Wiem, są cudowne, prawda? – odparła Kitty, poprawiając kokieteryjnie fryzurę. – Zrobili mi to w małym tutejszym saloniku. Wprost nie mogę uwierzyć, że tak się spisali. Z zewnątrz wygląda jak nora, ale naprawdę znajdują się na rzeczy.

Charlie aż zeszytniała z gniewu w imieniu Chloe's i Gordona.

– Ty też wspaniale wyglądasz – powiedziała Kitty do starszej córki.

Iseult jest wysoka, ma długie nogi i włosy, te ostatnie wybielone, by dorównać skandynawskiej bogini. Burza blond loków to jej znak firmowy, któremu poświęca wiele czasu z gorącymi wałkami. Podobnie jak matka w normalnych okolicznościach bardzo dba o wygląd, więc nigdy nie wychodzi bez lakieru na paznokciach, maskary i dokładnie wyregulowanych z pomocą odrobiny wosku brwi.

– Dzięki, skarbie. Ależ chce mi się pić – powiedziała Iseult, otwierając lodówkę i zaglądając do środka. – Zabiłabym za filiżankę herbaty. Albo nawet za drinka. Macie jakieś otwarte wino?

– W t y m domu? – powiedziała zjadliwie Kitty. – Ani kropli. Ale jedno całkiem niezłe, czerwone, znajdziesz w szafce obok drzwi.

Które Brendan kupił wielki temu i trzymali je na jakąś okazję, pomyślała Charlie, jednak nic nie powiedziała.

Wino zostało otworzone, podobnie jak paczka domowych serowych herbatników wraz z resztą smakołyków z delikatesów, a herbata zrobiona. I

już po chwili Iseult opowiadała im wesołe historie z prób nowej sztuki.

Sponsorzy nie mieli pojęcia o teatrze, ale byli, jak nazywano takich ludzi, teatralnymi aniołami – bogatymi dobroczyńcami zesłanymi, by sztuka mogła zostać wystawiona. W ogóle nie wiedzieli, o co chodzi. Wydawało się im, że branża teatralna to wieczna zabawa, przesiadywanie w Trocadero do białego rana i opowiadanie anegdotek o wielkich przedstawieniach. W rzeczywistości zaś praca w teatrze to ciągły kontakt z pełnymi kompleksów, nerwowymi aktorami, którzy martwią się swoimi tekstami, rolami i reżyserią, a dodatkowo potrzebują ogromnej ilości pochwał i komplementów.

Choć trochę zabawy przy tym jest, dodała Iseult, opowiadając, jak Edwina, reżysera, zauroczyła dublerka aktorki grającej główną rolę, co bardzo złościło rzeczoną aktorkę. Albo jak okazało się, że ktoś zawałił ze strojami i w efekcie pięć sukni z gorsetami trzeba uszyć zupełnie od nowa.

– Są z surowego jedwabiu, kosztowały fortunę i wszystkie jak miniaturki. Żadna nie wejdzie nawet na dziecko, i to maksymalnie rozsznurowana. Jennifer, grająca główną rolę, chciała swoją przymierzyć i oczywiście cycki wypchało jej w górę. Wtedy Iarlath, który gra jej syna i jest koszmarny w stosunku do kobiet, mówi, że nałoży jej na sutki trochę różu. Bierze róż i zabiera się do roboty. Wszyscy pękamy ze śmiechu, ale kobieta od kostiumów jest nowa, więc stoi blada jak ściana, patrząc na śliniącego się Iarlatha, który próbuje pomalować Jennifer. Wszyscy oczywiście zebrali się wokół niej, ktoś wyciągnął telefon z aparatem, więc Jennifer zaczyna się wydzierać, że nie zgodziła się na rozbieraną sesję w męskim czasopiśmie, i tym bardziej się nie zgodzi na czerwone cycki w byle jakim aparacie telefonicznym. Leo, jej sceniczny mąż, który zresztą jej nie znosi, mówi na to, że gazecie trzeba by dopłacić, żeby umieściła jej cycki, i wtedy reżyser musi zabrać Jennifer do pubu, żeby ją pocieszyć i zapewnić, jaka jest wspaniała,

cudowna i tak dalej. A wszystko to opóźnia próby o kolejne dwie godziny.

- Szkoda, że nie zostałam aktorką – westchnęła marzycielsko Kitty.
- Byłabyś świetna – zareagowała odpowiednio Iseult.
- Uwielbiałabym kostiumy.
- I czerwone sutki! – roześmiała się siostra.
- No jasne! – ryknęła Kitty i obydwie chichotały już razem zadowolone.

Po lunchu Charlie posprzątała wokół nich i poczuła pewną ulgę, gdy matka z popielniczką i swoim kieliszkiem wina wyszła do ogródka, żeby zapalić po posiłku.

Iseult poklepała krzesło obok siebie, zapraszając Charlie, żeby usiadła.

- Radzisz sobie? – zapytała delikatnie.
- Tak – skłamała Charlie. Ale zaraz dodała: – Nie, w ogóle sobie nie radzę. Mama na pewno nie zdobędzie nagrody dla najlepszej pacjentki roku, bo jest...

Iseult jej przerwała. Zawsze to robiła. Zawsze zbyt niecierpliwa, żeby wypowiedzieć swoją kwestię, nigdy nie pozwalając skończyć innym.

- No tak, ale przecież ciągle cierpi, Charlie, i pomyśl, jak musi jej być ciężko. Nie może żyć swoim normalnym życiem.

I nie zapominaj, że w grę wchodzi też kwestia śmiertelności. Wyobraź sobie, że upadasz i łamiesz sobie kość: wizja przyszłości jest z tej perspektywy przerażająca. – Iseult przerwała, żeby nabrać powietrza, ale zanim Charlie zdążyła coś powiedzieć, znów zaczęła: – To fascynujące, prawda? Historia, którą trzeba opowiedzieć, o starości i wszystkim, co ona reprezentuje. Pracuję teraz nad takim scenariuszem. No, na razie jest jeszcze w powijakach, ale załóżkę pomysłu mam. Bach! I twoje życie się zmienia, zaczynasz dostrzegać zbliżającą się starość, zwyczajne, codzienne zajęcia stają się nagle nieosiągalne...



– Iseult nie widziała już siedzącej obok siostry. Oczy jej błyszczały, skupione na odległym punkcie w jej wyobraźni.

– Iseult – przerwała jej Charlie. – Ja to wszystko wiem. Ja jestem wyrozumiała, nawet bardzo, ale moje codzienne zajęcia też stają się dla mnie nieosiągalne. To jest trudne dla nas wszystkich. Naprawdę byłoby dobrze, gdyby mama mogła przez jakiś czas mieszkać z tobą. Nie mogę brać już więcej urlopu.

– Ale ja nie mogę. To wykluczone. Jestem teraz wariacko zajęta – odparła Iseult. A Charlie poczuła się nagle, jakby znów była dzieckiem.

Trzy lata to niewielka różnica, gdy jest się dorosłym, ale dla dziecka to cała wieczność. Iseult wyrosła już z zabawy lalkami, zmieniania im pieluszek i karmienia butelką, kiedy Charlie dopiero zaczynała.

– To dla dzieci – prychała Iseult, ubierając smukłą, długonogą lalkę Sindy, wąską w talii jak osa, z plastikowymi piersiami sterczącymi jak dwa górskie szczyty.

Kiedy Charlie w końcu odziedziczyła Sindy i Barbie wraz z ich nieco zużytą garderobą, Iseult interesowała się już tylko własnymi strojami i tym, co na siebie włożyć, żeby zrobić wrażenie na chłopcach z klasy.

Cokolwiek robiła Iseult, było najważniejsze. Pierwsze egzaminy Iseult pograżyły dom Nelsonów w gorączce niepewności, ale kiedy Charlie zdawała swoje, matka powiedziała tylko:

– Wielkie nieba, egzaminy to nie wszystko, Charlotte. Przecież masz dopiero piętnaście lat, w tym wieku to właściwie nie ma znaczenia.

Teraz są dorosłe i nic się nie zmieniło.

Iseult potrafi być zabawna i przynajmniej przejawia jakieś zainteresowanie Charlie, Brendanem i Mickeyem, na co u mamy nie ma żadnych szans. Ale zawsze jednak wiadomo, że je j życie i j e j sukcesy są

ważniejsze. Charlie zawsze czuła, że zainteresowanie Iseult to łagodna fascynacja tymi, którym poskąpiono takiej inteligencji i sukcesów, jakie stały się jej udziałem.

Nie ma mowy, żeby Iseult zabrała mamę do siebie, musi to zrobić Charlie – taką ma rolę.

Trudno było jej powstrzymać całą tę złość i ból, ale poradziła sobie. Jaki sens miała walka z Iseult czy z mamą? Żadna z nich nie uważa, że jej życie jest ważne. Żeby to zmienić, musiałoby nastąpić swoiste trzęsienie ziemi.

Późno wieczorem, gdy wszyscy już spali, Charlie usiadła na łóżku i zapisała jeszcze kilka słów w swoim dzienniku wdzięczności.

*Chcę, żeby moja mama i siostra zrozumiały, jakie to ważne, że mam męża, którego kocham i który kocha mnie, i syna, który rozjaśnia cały mój świat. To coś bardzo cennego i one muszą to zrozumieć.*

Charlie przerwała. Ten głupi dziennik nagle wydał się jej taki beznadziejny, bo w sumie nic się nie zmieniło od czasu, kiedy zaczęła go pisać.

Może mama i Iseult nigdy nie zrozumieją. Nigdy. Przecież Charlie nie mogła wbić im tego do głowy. Nie da się zmienić tego, co myślą inni. Jedyne co może zmienić, to siebie samą i swój sposób radzenia sobie z nimi. Zapomnij o zmienianiu innych – nie możesz tego zrobić. Możesz zmienić tylko siebie.

*Mama ma rację – jestem głupia. Całe lata myślałam, że mogę ją zmienić, a przecież nie mogę. Czy to nie głupota? Kończę z tym. Kończę z pisaniem i z nadzieją. Mama jest, jaka jest. Jeśli mnie nie lubi – nawet pisanie tych słów wywoływało dziwne mrowienie – to trudno. Nic nie mogę z tym zrobić.*

*Nie ma prawa, które mówiłoby, że matka musi kochać, albo nawet lubić*

*swoje dziecko, prawda?*

*Iseult tak samo. Dla niej liczy się tylko jej życie.*

*I zawsze tak było. Jak mogę zmienić czterdzieści kilka lat przyzwyczajęń...? Odpowiedź: nie mogę.*

W napisaniu tego było coś bardzo wyzwalającego. Jakby rezygnacja z rozwiązania problemu stanowiła jedyne rozwiązanie. Opuścić, mogłaby powiedzieć Shotsy. Charlie postanowiła spróbować.

TTLRR

## 10

*Żyj chwilą obecną. Nie przyszłością ani przeszłością. Liczy się teraz. Nie wiesz, co się wydarzy jutro, a wczoraj już przeminęło, więc jedyne co masz, to dziś, ta chwila. Ciesz się nią.*

Marcella nie cierpiała poniedziałków – wstawania rano po weekendowym wylegiwaniu się do późna i pośpiechu w czasie tych najprzyjemniejszych chwil, takich jak poranna herbata, którą popijała, wpatrując się w morze przez swoje ogromne okna na ostatnim piętrze. Ulice w drodze do pracy zawsze były niemożliwie zatłoczone, pełne facetów w wolniejszych samochodach, którzy czuli, że ich męskość jest zagrożona przez kobietę w opływowym, szarym metalicznym bmw. Zajeżdżali jej drogę na światłach i patrzyli z irytacją. Kurier na motocyklu pozdrowił ją obraźliwie, gdy utknęła na środku skrzyżowania, a on musiał się uciec się do nielegalnego manewru, żeby ją ominąć.

– I nawzajem – mruknęła Marcella.

Tyle było negatywnej energii w poniedziałkach. Mogłaby się założyć, że żaden z największych umysłów tego świata nie wymyślił niczego w poniedziałek. Oczywiście nie wspominano, w który dzień tygodnia Einstein kończył swoją teorię względności czy Maria Curie odkryła rad. Ale na pewno nie było to w pierwszy dzień tygodnia.

W siedzibie SD International, pięknym klasycystycznym budynku, nastrój wcale się jej nie poprawił. Kiedy otworzyła drzwi zazwyczaj nieskazitelnego holu, zobaczyła przed sobą strefę zero. Katastrofa. Miękki niebieski dywan – nieprawdopodobnie drogi, tkany ręcznie, z logo firmy w postaci liścia klonu – leżał rzucony byle jak pod ścianą, ociekając wodą, a

drewniana podłoga sama przypominała płytki staw z przemoczonymi gazetami pływającymi po nim jak wodne miasta przyszłości. Marcella z roztargnieniem pomyślała, że może to nie dzisiejsze gazety i zaraz potem dopadła ją rzeczywistość.

Julie, zwykle pięknie prezentująca się recepcjonistka, klęczała w swoich pończochach marki Wolford i bezskutecznie próbowała rękami zatrzymać powódź. Woda sięgała co najmniej siedmiu centymetrów. Nogi Julie i dolna część jej spódnicy były mokre.

– Co się stało? – zapytała Marcella, stojąc tuż za drzwiami, żeby nie wejść do wody.

– Coś pękło — chyba rura, nie wiem — jęknęła Julie, przerywając wycieranie. – Przyszłam jak zwykle o ósmej i zastałam to. Nie wiem, skąd płynie.

– Dzwoniła pani do firmy remontowej?

– Tak. Powiedzieli, że przed jedenastą nie dadzą rady.

W pokoju zawirowała dodatkowa dawka negatywnej energii. Marcella jęknęła po raz kolejny tego dnia, do połowy łydki podwinęła nogawki swoich ciemnoszarych spodni, zdjęła buty na wysokich obcasach i skarpetki, po czym weszła do sięgającej kostek wody. Czuła się, jakby chodziła po lodowatej kałuży.

Przy biurku recepcjonistki sprawdziła, czy woda wpłynęła już do gniazdek. Nie. Przynajmniej tyle.

Znalazła książkę telefoniczną, a potem numer firmy i natychmiast się połączyła.

Człowiek po drugiej stronie nie wydawał się zbyt zaniepokojony sytuacją.

– Ależ oczywiście, będziemy na miejscu o jedenastej i wtedy wszystko

się sprawdzi. To stary budynek, wie pani.

Stare rury i co tam jeszcze. Trzeba by wszystko wykuć i położyć całość od nowa, żeby takie rzeczy się nie zdarzały.

Marcella zobaczyła oczami wyobraźni, jak siedzi sobie na swoim krzeselku, drapie się po brzuchu i z zadowoleniem recytuje mały wykładzik o rurach w starych budynkach, który przygotował specjalnie dla żeńskiej części klienteli. Nie zdziwiłaby się, gdyby za chwilę usłyszała: „Niech pani nie zawraca sobie tym swojej ślicznej główki, słoneczko”.

– Wykuliśmy wszystko i położyliśmy całość od nowa – powiedziała swoim lodowatym tonem. – Trzy lata temu. Wiem, bo sama wypisywałam czek. Wypisuję też czeki za wasze comiesięczne usługi, do których należy zapewnienie, że w razie awarii przyjedziecie natychmiast. Za chwilę woda dojdzie do gniazdek i jeśli ktoś zostanie porażony prądem, to pozwę za niewywiązanie się z umowy. Jak pan myśli, jakie odszkodowanie dostaniemy za wypadek śmiertelny?

– ... eee, no...

– W tej chwili jest ósma trzydzieści. W ciągu godziny chcę tu widzieć kogoś od was. – I na tym zakończyła, odkładając słuchawkę.

– Musi mnie pani nauczyć, jak się to robi, pani Marcello – odezwała się z podłogi Julie.

– To nie był zbyt dobry model – westchnęła Marcella.

– Nerwy mi trochę puściły, a w takim wypadku traci się całą przewagę moralną.

– Mimo wszystko... – powiedziała Julie. – Mam zamiar wysłać do pani mojego chłopaka, żeby mu pani opowiedziała o tych badaniach, z których wynika, że pracujące kobiety i tak wykonują wszystkie obowiązki domowe.

– Nie potrafi obsługiwać odkurzacza? – spytała Marcella, kierując się na

schody.

– Nie jestem pewna, czy wie, że coś takiego mamy.

– Dwie opcje, moja droga... – usiadła na trzecim stopniu i zaczęła wkładać buty. – Może mu pani oczywiście kazać spakować manatki, ale lepiej będzie omówić z nim kwestię sprzątanía domu i dzielenia się obowiązkami. Musi mu pani wytłumaczyć, że to dla pani ważne, i spróbujcie wypracować jakiś kompromis.

– Więc nie sadzać go na kanapie i stawiać ultimatum?

– Julie wydawała się zdziwiona. W jej ulubionych magazynach preferowano raczej odstawkę niewłaściwego faceta, a nie marnowanie na niego czasu. Olej Niewłaściwego, znajdź Właściwego.

– Ultimatum nigdy nie działa. Kompromis – tak – oświeciła ją Marcella, zapinając drugi but. – Jeśli go pani kocha i on kocha panią, dacie sobie radę. Ale być może będzie pani musiała nauczyć się z tym żyć. Nie wiem, czy można naprawdę kogoś zmienić. Trzeba zdecydować, czy warto zostać z nim i jego wadami, czy lepiej być bez niego.

Kiedy znalazła się w zaciszu swojego gabinetu, żałowała, że ktoś nie powiedział jej tego, gdy była w wieku Julie. Ale w tamtych czasach kompromis to nie było słowo na czasie. Chodziło o to, żeby walczyć o swoje prawa i przywoływać do porządku każdego faceta, który ośmielił się dyskutować. Biedny Harry, jej były, wiele razy poczuł na własnej skórze jej wcielenie Alexis Colby. Życie Marcelli mogłoby być inne, gdyby jakaś mądra kobieta dawno temu wytłumaczyła jej, na czym ono polega. Teraz było już za późno.

Usiadła przy biurku i, jak co dzień, zadzwoniła do Ingrid.

– Cześć, co słychać? – zapytała pogodnie, mniej więcej jak zwykle.

Zdażyła się już nauczyć, że wyświechtany frazes „jak się czujesz?”

zwiastuje katastrofę, ostatecznie jak Ingrid mogła się czuć?

– Czuję się okropnie! – krzyknęła na nią piskliwie jednego dnia, a Marcella nie wiedziała, co ją bardziej zdziwiło: to, że usłyszała krzyk tak oczywistego bólu przyjaciółki, czy fakt, że Ingrid nie dała rady wypowiedzieć zwyczajowego kłamstwa osoby w żałobie: „Dobrze, dziękuję”. Chciała, żeby Ingrid była z nią szczerą, ale trudno jej było znieść aż taką szczerłość.

– Co słyhać? Niewiele – odparła przygnębiona Ingrid.

Przez telefon trudno było rozpoznać w niej tę błyskotliwą i inteligentną osobę, jedną z najlepszych dziennikarek w kraju.

– Tom, prawa ręka Davida, przychodzi dziś porozmawiać – dodała. – Tak chciałabym to od siebie odsunąć, ale nie mogę.

– Rozumiem – powiedziała Marcella, nie znajdując odpowiednich słów, co jest wręcz niemożliwością, jak powiedziałałby Harry.

– Miałabyś później ochotę na moją wizytę?

– Nie – wciąż mówiła zupełnie bez życia. – Wszystko w porządku. Lepiej się czuję sama ze sobą. Poza tym jeśli się na to zdobędę, mam zamiar wybrać się po południu do sklepu, a potem Sigrid się uparła, że zabierze nas na wspólną kolację jeszcze przed wyjazdem Ethana, na co zresztą w ogóle nie mam ochoty, więc żadne ze mnie towarzystwo, szczerze mówiąc.

Marcella odłożyła słuchawkę, czując ogromną ulgę, że nigdy nie kochała nikogo tak jak Ingrid Davida. Zetknąć się z takim obnażonym bólem, to jakby stanąć przy kimś, kto ma całą poparzoną skórę, pokrytą pęcherzami, ale nie czuć nic oprócz delikatnego ciepła wynikającego z jego bliskości. Jeśli miłość robi z człowiekiem coś takiego, to lepiej, że była sama. Lepiej, że dla niej już za późno, żeby się zakochać.

Tego dnia w wiadomościach pokazywali materiał o sztormie na Pacyfiku. Zdjęcia egzotycznych drzew złamanych w pół przez wiatr, domy



zamienione w gruz. Biedni ludzie, powiedziała głośno Ingrid, a potem zdała sobie sprawę, że wypowiedziała te słowa zupełnie automatycznie. Nie czuła tego. Nie mogła czuć, bo całkowicie paraliżował ją własny smutek.

A jednak dla innych ludzi życie toczyło się dalej. Rano wstawali, śmiali się, słuchając radia, całowali swoich ukochanych na do widzenia, zamawiali czekoladę podczas lunchu i mówili: do diabła z dietą, wychodzili ze znajomymi, głośno rozmawiali, pili czerwone wino, a potem kładli się bezpieczni we własnym łóżku.

Gdy tymczasem życie Ingrid nagle się skończyło, jakby uderzyła w betonowy mur.

Tak jak ludzki umysł nie radzi sobie z pojęciem nieskończoności, Ingrid wiedziała, że nie potrafi poradzić sobie z koncepcją świata bez Davida. Jego nieobecność była zbyt potężna.

I co ona zrobi bez niego przez resztę życia?

Byłoby inaczej, gdyby dzieci były jeszcze małe — wtedy miałyby powód, żeby codziennie rano wstać z łóżka. Macierzyństwo, rola lwicy strzegącej swoich młodych, do tego byłaby zdolna.

Dorośle dzieci to już zupełnie inna sprawa. Mają własne życie i na swój sposób radzą sobie z żałobą. Ethan jak zawsze, gdy dopadł go kryzys emocjonalny, rzucił się w wir innych zajęć, żeby zapełnić w ten sposób pustkę, która została po ojcu.

Chodził na imprezy, koncerty, do klubów ze znajomymi. Całymi godzinami siedział przed komputerem albo grał na wii, a z pokoju dochodził tylko łomot muzyki – jedyny znak, że był w domu.

Molly wprowadziła się na chwilę z powrotem do swojego dawnego pokoju, zostawiając koty pod opieką Natalie. Zajął się domem, bo Ingrid nie była już w stanie tego robić.

Kiedy w nocy nie mogła spać, co zdarzało się dość często, siadała przed telewizorem i oglądała wiadomości, Sky News albo CNN, szukając coraz gorszych historii, bo tylko wtedy potrafiła zracjonalizować własne cierpienie.

Inni ludzie też tracili bliskich, w atakach bombowych, sztormach czy z powodu głodu. Musieli sobie jakoś radzić i ona też musi.

Zasypiała dopiero o świcie, co oznaczało, że schodziła na dół koło południa, wyczerpana i z zapuchniętymi oczami.

Molly wzięła w pracy urlop okolicznościowy, a kiedy się skończył, wykorzystała część zwykłego urlopu, żeby nie zostawiać Ingrid cały dzień samej.

– Idę tylko na cztery godziny – powiedziała pewnego dnia, kiedy Ingrid stała jeszcze w szlafroku gdzieś pomiędzy ekspresem do kawy i lodówką, zastanawiając się, co powinna zrobić. Nawet zaparzenie kawy urastało do rangi problemu.

– Jest Ethan? – spytała. Słyszała wcześniej jego głęboki głos dochodzący z kuchni, ale teraz, kiedy tu przyszła, nie było go.

– Wyszedł – powiedziała szybko Molly.

Ethan jej unika, uzmysłowiła sobie Ingrid.

– Schodzi mi z drogi – mówiła ze łzami w oczach do swojej siostry Flory. – Jakby myślał, że to moja wina, że lepiej powinnam się opiekować Davidem, zauważyć, że jest chory.

– Ingrid, Ethan cię kocha – powiedziała łagodnie Flora.

– I w najmniejszym stopniu cię za nic nie wini. Ja to wiem i ty też to wiesz. Problem w tym, że potrafi sobie poradzić tylko z własnym smutkiem, twój już go przerasta.

Ingrid była oszołomiona. To prawda, zdała sobie sprawę. Jej smutek był tak obezwładniający, że ludzie się od niego odsuwali. Tylko najsilniejsi

przyjaciele potrafili podejść bliżej, a Ethanowi brakowało po prostu doświadczenia, żeby to zrobić.

Wtedy zrozumiała, dlaczego Molly wprowadziła się do niej – nie żeby szukać pociechy u mamy, ale żeby ją pocieszyć.

Ostateczne odwrócenie ról.

Zamiast wdzięczności dla Molly za jej miłość, Ingrid poczuła na ramionach dodatkowe brzemienie. Nie była już silną lwicą, stała się ciężarem dla swoich lwiątek, to ona potrzebowała ich opieki.

Któregoś dnia powiedziała Ethanowi i Molly, że chce z nimi porozmawiać przy kolacji. Zmobilizowała się nawet do tego stopnia, że ugotowała normalne jedzenie, zamiast jak zwykle podgrzać w mikrofalówce coś gotowego i nie zjeść nawet połowy.

Przyrządziła kurczaka, nadzienie i pieczone ziemniaki, a kiedy płakała przy gotowaniu, nastawiła głośniejszą wiadomości, niejako zwiększając dawkę terapii „Inni ludzie mają się gorzej”.

Otworzyła butelkę wina, wyjęła swoje ulubione czerwone serwetki i przesunęła kuchenny stół pod ścianę, żeby puste miejsce Davida tak bardzo nie rzucało się w oczy. Oto nasza nowa rodzina, próbowała powiedzieć bez słów. Sama tego nie akceptowała, ale nadszedł czas pomatkować dzieciom i pomóc im w to uwierzyć.

– Powinnaś wrócić do siebie, Molly – zwróciła się stanowczo do córki.

– Musimy przecież żyć dalej.

Ingrid nie mogła znieść, gdy to samo ludzie mówili do niej – żyć dalej. Przecież śmierć Davida to nie incydent bez znaczenia, ale największy ból, jaki kiedykolwiek czuła. Żyć dalej bez człowieka, którego kochała przez ponad połowę swojego dorosłego życia? To zniewaga.

Niemniej same słowa były jednak przydatne.

– Wszystko w porządku, Molly, to znaczy, o ile może być w tych okolicznościach – poprawiła się.

– Lubię tu być, mamie – zaprotestowała Molly.

– I ja lubię, jak tu jesteś, kochanie, ale praktycznie zawiesiłaś całe swoje życie, a znasz tatę – bardzo by mu się to nie podobało. Taki był zawsze z ciebie dumny, na pewno by chciał, żebyś żyła dalej, a nie siedziała tu i pilnowała mnie.

Molly na w pół płakała, na w pół się śmiała. Pokiwała głową.

– A ty, Ethan, uważam, że powinieneś kontynuować podróż. Chłopcy są teraz w Australii, więc jeśli się pospieszysz, zostaną ci jeszcze całe trzy miesiące zwiedzania świata.

Ethan bawił się widelcem.

– Bardzo bym chciał, ale to wydaje się takie niestosowne...

– Wcale nie – zareagowała żywo matka. – Nie możesz dla mnie poświęcać swoich marzeń. Tata by się na pewno zdenerwował. Wiesz przecież, jak się ze mną przekomarzał, że za bardzo się o ciebie martwię i że nie mogę się doczekać twoich maili.

Wszyscy się uśmiechnęli wzruszeni, a Ingrid poczuła ból w sercu. Czego by nie oddała, żeby móc wrócić do tamtych czasów, gdy byli jeszcze pełną rodziną, a jedyne jej zmartwienie stanowił lęk, że Ethanowi coś może się stać. Nie potrafiła tego docenić. Dlaczego człowiek uświadamia sobie własne szczęście dopiero wtedy, gdy ono się kończy?

– Ale będziesz musiał częściej pisać, to mój jedyny warunek – kontynuowała Ingrid, zastanawiając się, skąd czerpie siłę, by odegrać rolę twardej, ale szczęśliwej matki.

– Obiecuję – powiedział żarliwie Ethan.

Ingrid patrzyła jeszcze przez chwilę na pacyficzny sztorm, a potem

wyłączyła telewizor. Kiedy zadzwoniła Molly, stała przed swoją szafą, zastanawiając się, co ubrać.

– Mamo, mogę odwołać lunch – zaproponowała Molly.

– Idziesz do sklepu pierwszy raz od śmierci taty, nie powinnaś być sama. Naprawdę nie ma sprawy, przecież rozumiem...

– Nie, niczego nie odwołuj – odparła Ingrid. Specjalnie wybrała ten dzień, wiedząc, że u Molly w pracy jest zwykle zawrót głowy. Upływa termin złożenia ważnego raportu do mediów. Chciała, żeby Molly wróciła na swoje miejsce, a nie stała się jej cieniem. – Dam sobie radę, naprawdę. A poza tym wcześniej przyjeżdża Tom, więc może do Kenny's pojedziemy razem.

Nie dodała, że to raczej mało prawdopodobne. Zastępca Davida to przemiły człowiek, choć nie miał w sobie cienia charyzmy. Chciał z nią porozmawiać już od dawna, a ona wciąż to odwlekała.

Powiedział, że rozumie, jeśli nie chce spotykać się w Kenny's – „zbyt wiele skojarzeń” – jak to ujął.

A dziś przyjeżdżał do domu, gdzie skojarzeń było nie mniej, a może nawet więcej. Każdy najmniejszy przedmiot mówił jej, że Davida już nie ma.

Tego wieczoru, gdy po raz pierwszy wystawiła kubły ze śmieciami, płakała. To była robota Davida. I nie miała komu przeczytać urywka z gazety, nikogo, kto wypiłby drugą filiżankę kawy z ekspresu. Jeszcze gorsze były te bardziej nieuświadomione rzeczy. Wieczorami czuła się bezradna, bo nie wiedziała, kiedy powinna się położyć, kiedy wyłączyć telewizor i zakończyć dzień. Zawsze robili to razem. Teraz wybór należał już wyłącznie do niej.

Właśnie się ubrała, gdy zadzwonił dzwonek. Było wpół do dziesiątej. Ingrid pomyślała, że Tom przyjechał wcześniej, ale za drzwiami stał Carlos, jej producent.

– Nie oddzwoniasz, więc postanowiłem cię zaskoczyć

– powiedział, obejmując ją na powitanie.  
– Kawy? – zaproponowała, wytrącona z równowagi tym najściem.  
– Taa, poproszę – odparł, kładąc na stole papierową torebkę z jakimiś ciastkami z piekarni.

Jak zawsze, Carlos od razu przeszedł do sedna.

– Jak sądzisz, wrócisz wkrótce do pracy?

Mówiąc, chodził po kuchni, tak samo jak w biurze. Ciągły ruch, to cały Carlos. Chodzi, podnosi zdjęcia, przygląda się im przez chwilę, odkłada na miejsce, tu zetrze trochę kurzu z półki, tam wyciągnie głowę, żeby przeczytać tytuły książek, które poznał już poprzednim razem. Niektórych to de-nerwowało, ale nie Ingrid. Rozumiała ten wysoki poziom energii. Ale dziś ją irytował. Przypominał o dawnym życiu. Ingrid chciała uniknąć takich w<sup>s</sup>pomnień. Porównanie było zbyt bolesne.

– Nie wiem – odpowiedziała na jego pytanie. – Nie wiem, czy jestem już w stanie wrócić.

Zdawała sobie sprawę, że to niewłaściwa odpowiedź. Ta poprawna brzmiała: Tak, nie mogę się już doczekać, chcę jak najszybciej wejść znów na scenę i królować na planie najlepszego programu politycznego. Ale w ogóle tego nie czuła. Czytała książki o żałobie – no dobrze, przejrzała je pobieżnie, odkładając potem na dużą stertę przy łóżku. Ale z tego co przeczytała, wynikało, że powrót do realnego świata to ważny etap odzyskiwania swojego życia. Twój ukochany zmarł, ale ty wciąż żyjesz, głosiła myśl przewodnia i Ingrid ją rozumiała – w teorii. W rzeczywistości było inaczej. Po prostu w ogóle jej nie zależało.

Niewiarygodne, ale nawet nie oglądała programu, którym kiedyś żyła. Przeglądała gazety, bo nadal dostarczano je do domu, ale nagłówki nie wzbudzały jej zainteresowania. Polityczne knowania, katastrofalna przegrana

w wyborach uzupełniających, przewroty i zamachy stanu – wszystko było jej obojętne. Nie kupowała już gazet w niedzielę, jedyny dzień, kiedy nie przynosili ich do domu. Z Davidem zawsze chodzili po nie do sklepu, wstępując po drodze po rogaliki na śniadanie. Ale teraz, po co? Ingrid uznała, że naprawdę dalej świat może się kręcić bez niej.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że szykują na twoje miejsce Joan – mówił dalej Carlos.

– O – powiedziała Ingrid. – Joan... powinna się sprawdzić. Musi tylko popracować nad „s”, za bardzo jej syczą.

– No tak, wiem. Nikt za nią specjalnie nie przepada i wyobraź sobie, będzie się domagać dofinansowania na garderobę.

Ingrid się roześmiała. Zabrzmiało to fałszywie, jak zwykle ostatnimi czasy. Na palcach jednej dłoni mogłaby policzyć, ile razy naprawdę się śmiała od śmierci męża.

– Na garderobę? Może się jej uda.

Ingrid dostawała na ten cel jakieś grosze. Nawet ktoś, kto pojawia się na ekranie dwa razy w tygodniu i powinien wyglądać poważnie i inteligentnie, bo przekazuje najważniejsze wiadomości dnia, musi sam płacić za większość swoich kreacji.

– Ma trzydzieści siedem lat – ciągnął Carlos.

Kiedyś ten argument natychmiast by ją przekonał. Ale dziś już nie.

– I jest ładna – dodała. Sama też niezbyt ją lubiła. Joan nie grała zespołowo, jakby nie rozumiała, że program może być nadawany dwa razy w tygodniu tylko dzięki ciężkiej pracy wielu osób. Ingrid zawsze miała świadomość, że choć ona jest twarzą programu, stoi za nim cały zespół ludzi.

– Myślałem, że bardziej cię to zdenerwuje – zauważył Carlos.

Ingrid spojrzała na niego, a on pomyślał, jak okropnie wygląda – niemal

trudno rozpoznać w niej słynną Ingrid Fitzgerald, z którą przez te wszystkie lata tak bardzo lubił pracować. I nie chodzi tylko o to, że schudła, ani o wymizerowaną twarz, ale o tę pustkę w jej oczach, zupełny brak wyrazu. W Ingrid nie było ani iskry życia.

– Ja też. Przykro mi, Carlosie.

– Mają podjąć decyzję do końca przyszłego tygodnia. Więc jeśli chcesz tę robotę, musisz wrócić. Nie wiem, zadzwoń, pogadaj z dyrektorem – mówił Carlos. – Ingrid, nie podoba mi się to, co widzę.

– Tak, wiem, mnie też nie – powiedziała gorzko. – Dzięki, że przyszedłeś, dobry z ciebie kolega. Zatrzaśnij drzwi, jak będziesz wychodził, dobrze?

Następny dzwonek zapowiedział Toma z Kenny's, który zjawił się pół godziny po wyjściu Carlosa. W drodze do drzwi zauważyła swoje odbicie w lustrze. Nie wyglądam dobrze, pomyślała, zdając sobie sprawę, choć zupełnie nie przejęta, dlaczego Carlos wydawał się taki zaskoczony jej widokiem.

Włosy niby poczesane, ale ostatni raz była u fryzjera jeszcze przed śmiercią Davida i odrosty miały ten siwo-brązowy kolor, w którym nikomu nie jest do twarzy, a na pewno nie jej. Nie pomalowała się, za to policzki i czoło lśniły od nadmiaru kremu nawilżającego, bo nałożyła go w nadziei, że skóra nie będzie się jej tak ściągała. Nie przywiązywała też wagi do tego, co miała na sobie. Dziś założyła czarne spodnie od dresu i bluzę w odcieniu bladego różu, którą Marcella nazwała „elegancją domu spokojnej starości”.

– Wywal to – namawiała kiedyś Ingrid, dawno temu, gdy ją w niej zobaczyła.

– Dlaczego? Lubię ją, jest wygodna – stwierdziła Ingrid.

– Wyglądasz w niej, jakbyś wybierała się na transfuzję krwi – odparowała Marcella. – Wyrzuć ją!



Przekornie Ingrid zachowała bluzę i dziś wydała się jej akurat w sam raz. Może nie potrzebowała transfuzji krwi, ale gdyby ktoś załatwił jej transfuzję życia, albo transfuzję Davida, to mogłoby pomóc.

Tom zachowywał się bardzo oficjalnie i nie miał zielonego pojęcia, co jej powiedzieć.

– Ingrid, moja droga.

Zdobył się na krótki uścisk, ale dziwnie się poczuła, bo nie należał do tego typu ludzi.

Nie chciał herbaty ani kawy, usiadł naprzeciwko niej przy stole w jadalni. Ingrid przygotowała się na to, co ją czeka. Jakakolwiek wzmianka o interesach tak bardzo przypominała jej Davida. Musiała się zmusić, by pójść do adwokata w sprawie testamentu, i zrobiła to tylko dlatego, że była jego wykonawcą.

Audytorzy domagali się rozmowy, ale nie potrafiła się zdobyć na to spotkanie. Może jak testament się uprawomocni, myślała beznadziejnie. Wtedy przyjrzy się firmie i zdecyduje, jak ją dalej poprowadzi, o ile David przekazał jej pakiet kontrolny.

Tom zaczął od stron pełnych cyfr przedstawiających sytuację przedsiębiorstwa za ostatni kwartał, a Ingrid, która zawsze dobrze sobie radziła z liczbami, dziś nie potrafiła się na nich skupić. Mimo to w jej odczuciu nie wyglądały zbyt dobrze. Ale to chyba niemożliwe? Przecież Kenny's świetnie sobie radził, tak mówił David. Więc to dlatego audytorzy nalegali na spotkanie? Żeby przekazać jej przerażające wieści? Nie chciała, żeby Tom jej mówił, że jest źle. Chciała zapewnić Davida, że wszystko porządku.

W końcu miała już dość.

– Trudno mi się dziś skupić, Tom – powiedziała. – Co z tego

wszystkiego wynika?

– No więc – zaczął ostrożnie, a potem ewidentnie podjął decyzję. Miał minę człowieka, który rzuca się z urwiska.

– Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Ingrid, ale firma ma kłopoty finansowe. Nie chodzi o to, że David popełnił jakiś błąd. Po prostu Kenny's handluje towarami luksusowymi, a dziś ludzie mają mniej pieniędzy. Wszyscy musimy zacisnąć pasa. Niezależnie od tego jak świetne pomysły marketingowe przyjdą nam do głowy, jeśli ludzie nie mają pieniędzy, nie będą mogli nic kupić.

Ingrid udało się nie krzyknąć ze zdumienia. Kenny's w tarapatkach. A David nie pisnął nawet słówka.

– No tak — powiedziała, jakby wszystko już dawno wiedziała. – Jaki David miał plan? No wiesz, chodzi mi o szczegóły, co chciał zrobić?

Nie przyznałaby się, że nie miała o niczym pojęcia.

– Nie wiem – odparł Tom. – Szczerze mówiąc, nie zdawałem sobie sprawy, że jest aż tak źle i jak bardzo naciskają nas banki do momentu, kiedy David oznajmił mi, że był na lunchu ze Stanleyem DeVerem. Wtedy zrozumiałem, że coś się święci.

– No tak – powtórzyła Ingrid, próbując ukryć szok. David nie lubił Stanleya DeVerego i jego stylu prowadzenia interesów. W sumie „nie lubił” to zbyt łagodne określenie.

– Mówił ci, jak poszło? – pytała. – Z perspektywy interesów?

– Nie. Bardziej chodziło o „wycucie ich”. Wiesz przecież, że David nie lubił odkrywać swoich kart.

Ingrid ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć „najwyraźniej”.

– Tak – powiedziała głośno. – Wiem.

Nie wiedziała, ale szybko się uczyła.

– Przepraszam cię, Tom, że nie byłam w stanie przyjść do sklepu i że nie umiem podjąć szybkiej decyzji, ale co ty byś zrobił na moim miejscu? – zapytała, na chwilę wyłączając mechanizmy obronne.

– Sprzedałbym – odparł beznamiętnie. – Spójrzmy prawdzie w oczy. Prowadzenie Kenny’s to konkretna robota na pełny etat. Przerosła nawet Davida.

– Ale to było jego dziecko – z żalem zauważyła Ingrid.

– Kochał ten sklep. Miał go we krwi. Był jak ojciec, z każdą częścią wiązała się osobna historia, z każdymi drzwiami, oknem, podłogą...

– To zwykły sentymentalizm – rzeczowo mówił Tom – a w obecnym klimacie gospodarczym nie stać nas na sentymentalizm. Ten interes ma dużą wartość, jeśli sprzedasz go teraz. Ale jeśli przez następne kilka lat będziesz w niego wkładać serce i duszę, a i tak nie wyjdiesz na prostą, nie uzyskasz już dobrej ceny. Przykro mi – ciągnął, widząc osłupienie na jej twarzy. – Wiem, że pewnie nie powinienem ci tego mówić, biorąc pod uwagę, jak się teraz czujesz, ale gdybym powiedział cokolwiek innego, działałbym na szkodę Davida. Był fantastycznym handlowcem i miał wspaniałe pomysły, a nawet dla niego okazało się to trudne. Ingrid, to nie jest twoja działka, a dzieci też chyba nie chcą się zajmować sklepem.

– Rzeczywiście.

Po przekazaniu złych wieści Tom był gotów na miłą pogawędkę, ale Ingrid delikatnie go wyprosiła. Dwóch posłańców ze złymi wiadomościami to więcej, niż mogła znieść jednego dnia. Skoro David nosił się z zamiarem sprzedania swojego ukochanego sklepu i nie powiedział jej o tym, jak to świadczyło o nich, o ich związku? Starał się ją chronić czy nie potrafił dzielić się z nią swoim życiem? Nie wiedziała.

Wypuściła psy na ostatnie sikanie, założyła płaszcz na bluzę do

transfuzji i wyszła, by pojechać do Ardagh. Nie miała ochoty na wizytę w Kenny's i stawianie temu czoła bez Davida, ale to właśnie należało zrobić.

– Może coś pani podać? – Stacey stała tuż za nią. Właściwie od wejścia do Kenny's nie odstępowała jej na krok. Ingrid jej współczuła, ale w zupełnie obojętny sposób. Nie istnieje protokół, który mówi, jak się zachować podczas pierwszej wizyty żony zmarłego szefa w jego gabinecie.

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku – odparła Ingrid i zaraz pomyślała, że nic nie jest w porządku. A jednak mimo spustoszenia, jakie spowodowała w niej śmierć Davida, wciąż czuła w sobie ten przymus: musisz być miła dla innych i nie pokazywać swojego cierpienia. Zresztą i tak nie potrafili go dostrzec, nawet gdyby położyła im je przed nosem.

Przypomniła sobie sąsiadów, którzy przychodzili do domu z zawiadomieniem o mszy za zmarłego, kwiatami albo lazanią, składali kondolencje, mówiąc, jak im przykro i że David był takim cudownym człowiekiem, i czyż to nie okropne i czy możemy coś dla ciebie zrobić? Ale kiedy próbowała z nimi rozmawiać o Davidzie, wycofywali się albo zmieniali temat. Po prostu nie umieli sobie z tym poradzić. Rytuály związane ze śmiercią stanowią część tradycji, ale Boże broń przed zajmowaniem się rzeczywistością po śmierci, kiedy już zmarły zostanie pochowany.

Nie, nie, lepiej iść dalej, zacząć nowe życie i odnaleźć spokój – oto sztuczka, której się wymaga od tych, którzy zostali. Tyle że Ingrid nie wiedziała, jak znaleźć to nowe życie. Była szczęśliwa w tym, które wiodła dotychczas.

– Mogłabym przynieść z bufetu cappuccino albo herbatę czy wodę? – ciągnęła swoje Stacey.

– Dziękuję, naprawdę – powtórzyła Ingrid. – Czuję się dobrze, chcę tu tylko chwilę pobyc.

– Oczywiście – powiedziała szybko Stacey i czym prędzej wróciła do swojego biurka.

Ingrid stanęła w drzwiach gabinetu Davida i rozejrzała się wokół. Dziwnie się czuła, będąc tutaj bez niego, jak intruz w jego prywatnej przestrzeni. Nic się tu nie zmieniło. Wszystko było dokładnie takie samo. Ale jak to możliwe, żeby wszystko pozostało takie samo, choć osoba, która to stworzyła, umarła i została pogrzebana? Po śmierci człowieka powinien nastąpić rozpad jego rzeczy, fizyczna manifestacja odzwierciedlająca jego odejście. Dokumenty powinny się kruszyć, ulubione kubki pękać. To źle, że rzeczy fizyczne zostają nienaruszone, podczas gdy ludzie, którzy kochali zmarłych, wewnątrz rozpadają się na kawałki.

Biurko wciąż lśniło, a w powietrzu unosił się delikatny zapach pasty do mebli. Na biurku stała staromodna suszka do atramentu, którą tak lubił, a obok, bardziej na lewo – podkładka pod myszkę. Tuż przy niej lśnił elegancki biały komputer.

No cóż, nie ma rady. Ingrid weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. To jego miejsce, tu spędzał większość czasu, kiedy nie było go w domu, z nią. Miał tu zdjęcia jej, Molly i Ethana w pięknych drewnianych ramkach, obrazy i kilka starych map, również oprawionych w ramy. Uwielbiał stare mapy, na których granice krajów tak bardzo się różniły od dzisiejszych. Mapy, których używali wielcy podróżnicy, by dopłynąć do biegunów. David często wyobrażał sobie siebie jako członka ekspedycji, z saniami i psami husky, w ubraniach, które wytrzymają niskie temperatury.

– Jestem już za stary – powiedział, kiedy ostatnio o tym myślał.

– Wcale nie – zaprotestowała Ingrid. – Człowiek nigdy nie jest za stary, to kwestia nastawienia.

Uśmiechnęła się teraz. A po chwili uśmiech znikł. Może i wiek jest

kwestią nastawienia, ale ciało, no cóż, ciało z wiekiem się poddaje. Umysł może mieć i dwadzieścia lat, ale serce, niestety, może się okazać stare.

Choć większość szafek z dokumentami znajdowała się w pokoju Stacey, David miał też kilka pięknych okazów wykonanych z orzecha. Były wcześniej zamknięte, poinformowała ją Stacey, ale ponieważ do większości ma klucze, zostawiła dziś zamki otwarte. Ingrid wysuwała szuflady jedną po drugiej, myśląc o człowieku, który otwierał je przed nią – o Davidzie. Wsunęła je z powrotem i usiadła w fotelu, w którym zmarł. Nie będzie płakać, w końcu jego życie nie kręciło się przecież wokół tego mebla. Nie zdawał sobie sprawy, powiedział jej lekarz rodzinny. W przypadku tak ostrego ataku serca wszystko nastąpiło bardzo szybko. Nie ma mowy, żeby siedział i rozmyślał o tym, co traci, z bólem przywołując obrazy jej i dzieci.

Oparła się wygodnie i zamknęła oczy, chcąc znaleźć się blisko niego, ale nic nie poczuła. Zabolęło ją to, ta pustka, gdzie kiedyś był on. Ksiądz mówił o innym świecie, Bogu i miłości, a ona siedziała teraz w gabinecie Davida, w którym spędził tyle czasu i gdzie umarł, i nic nie czuła. Już nigdy go nie zobaczy, odszedł od niej na zawsze.

Flora, jej siostra, była głęboko wierząca. W ciągu ostatnich kilku tygodni wiele razy odwiedziła Ingrid, siedziała z nią, wysłuchiwała, co ma do powiedzenia, przytulała, gdy Ingrid płakała, i mówiła, że wszystko będzie dobrze. Często trzymała Ingrid za rękę, od czasu do czasu delikatnie ją poklepując. Ingrid chciałaby poczuć otuchę, ale nie potrafiła. Nic nie mogło ukoić jej cierpienia.

– Musisz mieć wiarę – mawiała Flora. – Nie znamy woli Boga, nie wiemy, czego od nas oczekuje. To rodzaj testu dla twojej wiary, Ingrid.

Ingrid nie mogła już tego słuchać. Cofnęła rękę.

– Wiem, że chcesz mi pomóc, Floro – powiedziała – ale to mi nie

pomaga. Jak mam mieć teraz wiarę? Nie jestem taka jak ty, chciałabym, ale nie jestem. Gdyby coś się stało Brid, umiałabyś sobie z tym poradzić i znaleźć w tym sens. Widziałabyś ją w niebie. Jak to mówili na pogrzebie – że w domu Boga jest wiele pokoi? W twoim przypadku by zadziało, w moim nie. Nie mam twojej wiary. Wiara w Boga, kiedy właśnie zabrano mi męża, nie ma dla mnie sensu.

Ingrid bez przerwy myślała teraz o Bogu i Jego planach. Ksiądz mówił, że wiara pomoże jej przez to przejść i że David jest już z Bogiem.

Ale David wcale nie chciał być z Bogiem, on chciał być z nimi.

Po pogrzebie, kiedy wszyscy poszli do hotelowej restauracji w Ardagh na kawę i kanapki, znów pojawił się ksiądz, usiadł obok niej na taborecie, prawie jak uczeń czekający na reprimendę nauczyciela, pomyślała wtedy Ingrid.

Był młody, mógł mieć trzydzieści lat, i przy każdej innej okazji Ingrid na pewno by go polubiła. Flora szepnęła jej, że przez trzy lata pracował w Ameryce Południowej, a przed przejściem do ich parafii zajmował się też więźniami w zakładzie o zaostrożonym rygorze.

– Wie ksiądz na pewno, że David jest szczęśliwy? – zapytała go. – Bo ja tego nie czuję. Czuję tylko jego brak i ten brak jest tak wszechobecny i dojmujący. On nie wróci. Już nigdy go nie zobaczę. – Zakryła twarz dłońmi i odetchnęła głęboko.

– A ksiądz mówi, że tak. Ale skąd ksiądz może wiedzieć?

– Nie wiemy tego, na tym właśnie polega wiara: ufamy Wszchemogącemu.

– Jak mogę ufać osobie, która zabrała mi męża? – domagała się dalszych wyjaśnień.

Widać było, że ksiądz nawykł do takich rozmów po pogrzebach, więc

odpowiedział jej spokojnie. Mówił o miłości, wierze i Duchu Świętym, który prowadzi opuszczonych.

On też nie znalazł odpowiedzi, doszła do wniosku Ingrid.

Teraz otwierała szuflady biurka Davida, szukając czegoś, czego dotyk mógłby jej go przywrócić. W pierwszych dwóch trzymał przybory do pisania, ale trzecia była zamknięta. Pewnie Stacey nie znalazła klucza. Pociągnęła mocniej, nie pomogło. To zbyt wiele, za bardzo boli, nie powinna była tu w ogóle przychodzić. Wstała i wyszła z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie będzie płakać, na pewno nie przy ludziach.

– Jestem trochę zmęczona, chyba wrócę do domu.

Wyśliznęła się jednym z bocznych wyjść. Nie miała ochoty przechodzić obok biur i z każdym rozmawiać. Trzymaliby jej dłoń nieco dłużej niż zwykle, patrzyli ze smutkiem, myśląc sobie: biedna Ingrid, jak ona sobie radzi? To tylko pogarszało sprawę. Nie dobroć – dobroć jest wspaniała i ludzie byli dla niej naprawdę dobrzy. Ale litość, gdy tak patrzyli na nią i widzieli jej przyszłe puste życie – to bolało. Wiedziała, bo sama tak robiła, gdy ukochany kogoś znajomego odszedł zbyt wcześnie. Patrzyła na nich wtedy takim samym wzrokiem, myśląc: biedaku, jak dobrze, że to nie ja. Ingrid nie była na to dziś gotowa.

Na ulicy odetchnęła chłodnym, świeżym powietrzem. Dzień był piękny, ciągle zimno, ale świeciło słońce. Szła chodnikiem, mijając nieco efekciarski salon fryzjerski o nazwie Chloe's, przed którym w powietrzu unosił się zapach lakieru do włosów, i weszła do małej kwiaciarni, gdzie kupiła duży bukiet frezji.

– Są na prezent? – zapytała dziewczyna w sklepie, sprawnie pakując je w celofan.

– Tak – odparła Ingrid. Były na prezent, dla Davida.



Na wąskim cyplu, gdzie znajdowały się kościół i cmentarz, dzień wciąż był piękny, choć wietrzny. Słyszała szum morza i fale rozbijające się o niebezpieczne skały Dwunastu Apostołów, niosące śmierć zarówno pływakom, jak i łodziom. Tutejsi nazywali kościół Czarnym Klasztorem, bo zbudowano go z ciemnych kamieni i wyglądał jak wycięty wprost z ziemi, w kolorze mokrego łupku, z wąskimi strzelistymi wieżyczkami wzbijającymi się do nieba.

Kwestia miejsca pochówku to nie temat, który Ingrid by wybrała na przyjemną wieczorną rozmowę, ale kiedyś go poruszyli i David stwierdził, że to jest miejsce dla niego. Nie chodziło o kościół, wyjaśnił jej, ale o sam cmentarz. Był piękny, Ingrid musiała to przyznać, o ile cmentarz w ogóle można nazwać pięknym. Leżał na wzniesieniu, na którym wybudowano kościół. Był rozłożony pod nim jak peleryna, która przywiera do ziemi, przyjmując jej kształt. Znajdowało się na nim wiele pięknych wiktoriańskich nagrobków. Widziała też kamienne anioły z porośniętymi mchem ogromnymi skrzydłami i wielkie grobowce, nie otwierane od stu lat, wszystkie gotyckie, piękne i majestatyczne. Ingrid rozumiała, dlaczego David chciał być tu pochowany, i ona też by chciała, pomyślała ze zdumieniem. Wykupił miejsce dla dwojga. Pewnego dnia spocznie obok niego. I to było przerażające, bo choć pragnęła znów być razem z nim, nie chciała leżeć w tej zimnej ziemi.

Opatuliła się mocniej płaszczem z wielbłądziej wełny i poszła w stronę grobu. Wciąż nosił ślady świeżej żałoby. Wśród pozostałości kwiatów z pogrzebu i wielkiego bukietu żonkili, które przyniosła w zeszłym tygodniu, zobaczyła mały bukietek czerwonych róż, ułożony w miejscu serca Davida, jeśli można tak pomyśleć. Przyjrzała mu się dokładniej. Nie było karteczki, nic, co wskazywałoby, kto je przyniósł. Długo na nie patrzyła. Kto zostawił

Davidowi czerwone róże?

Zamknęła oczy do modlitwy, ale nie mogła się skupić. W pewnym momencie złapała bukiet i wyrzuciła go poza mur cmentarny, żeby obijając się o skały, wpadł do morza. To ona, I tylko ona, może zostawić Davidowi czerwone róże.

Tego samego dnia podczas kolacji w niewielkiej restauracji na obrzeżach Ardagh Flora opowiadała, co usłyszała w radio o nietoperzach.

– Fascynujące – mówiła. – Okazuje się, że wcale nie są tak ślepe, jak się naukowcom wydawało.

– Proszę cię, Floro – upomniała siostrę Sigrid – przecież jemy. Nie chcę teraz myśleć o nietoperzach.

– Ale to ciekawe – upierała się Flora.

Ingrid niemal usłyszała głos Davida: „Sama jest jak nietoperz, pewnie dlatego tak je lubi”, i musiała powstrzymać śmiech.

– Bardzo lubię to miejsce – powiedziała Molly, rozglądając się po restauracji. Objęła ciocię, kończąc tym samym kłótnię o nietoperze. – Dziękuję, ciociu Floro.

– Uważam, że nie powinniśmy unikać miejsc, do których chodziliśmy z Davidem – zauważyła stanowczo Flora. – Nie będziemy niczego unikać, będziemy celebrować życie.

– Dobrze – odparła Ingrid. Lepiej było nie kłócić się z Florą, gdy była w takim nastroju.

– Zgadzam się z ciocią, mamó – rzekła na to Molly. – Powinniśmy uczcić życie taty w każdy możliwy sposób.

– Tak – powiedziała Ingrid, myśląc o swoim spotkaniu z Tomem i rozmowie o sprzedaży Kenny's. Jej mąż spotkał się z właścicielem De Vere's i nic jej o tym nie powiedział. – Tak – zgodziła się – powinniśmy uczcić jego

życie.

Próbowała się uśmiechnąć do rodziny, klepiąc po ręce Ethana, który siedział obok niej, i posyłając między świecami na stole uśmiech Molly. Wszyscy byli tacy dobrzy, ale ona czuła się zbyt pusta, by się tym cieszyć.

Ingrid w ogóle nie czuła smaku jedzenia, choć wyglądało pięknie i miało nawet wspaniały aromat. Zamówili jagnięcinę Wicklow w ziołach i świeże warzywa, a jej wszystko smakowało jak psia karma z kartonu marynowana w słonawej wodzie. Markowała więc jedzenie i wymuszała na sobie uśmiech, żeby nie psuć nastroju. Wszyscy tak się dla niej starali.

Gdy Flora wręczyła Ethanowi listę win, oczy mu się podejrzliwie zaczerwieniły.

– Ty wybierz, kochanie – powiedziała. – Tata na pewno dużo cię nauczył o winach, no, wybieraj.

David wcale nie nauczył syna dużo o winach i Ingrid dobrze o tym wiedziała. Nie byli koneserami tego trunku, na pewno nie snobami, a wiedza Ethana na ten temat dorównywała jej własnej: wybierz coś w średniej cenie, to bardzo się nie pomylisz. Ale widziała, jaki był wdzięczny ciotce, że to powiedziała, bo mógł w pewnym sensie poczuć się następcą ojca.

Na początku spotkania Molly robiła coś, co zwykła robić jako dziecko, kiedy się denerwowała – bez przerwy okręcała wokół palca pasemko włosów. Jednak w miarę jak upływał wieczór, przestała. Wszyscy oprócz Ingrid byli w stanie się zrelaksować. Jak by się czuli, gdyby zwyczajnie wstała i powiedziała: „Naprawdę was przepraszam, to miłe z waszej strony, ale nie potrafię. Jeszcze nie jestem gotowa”.

Na stole stały kwiaty, goździki. Nie cierpiała goździków i ich ostrego zapachu. Za to sąsiedni stolik zdobił storczyk, o wiele ładniejszy, a dalej na wielkim stole dla dziesięciu osób były czerwone róże. Coś błysnęło jej w

głowie. Czerwone róże... co to było? Przypomniała sobie czerwone róże na grobie Davida. Czerwonych róż nie zostawia nikt oprócz żony albo kochanki, a jednak tam były, mały bukiet, pięknie przystrojony.

– Poszłam dziś na grób Davida – powiedziała i wszyscy spojrzeli na nią ze smutkiem, wyobrażając sobie przywołany widok: samotna wdowa przy grobie męża. – Ktoś zostawił śliczne czerwone kwiaty, ale wiatr musiał zdmuchnąć karteczkę. Ty je zaniosłaś, Sigrid?

– Nie, niestety – odparła Sigrid. – Mam rośliny w sam raz, żeby postawić je przy nagrobku, ale jeszcze się nie wybrałam.

– To nie moje – zgłosiła się Molly.

– Ani moje, przepraszam – powiedział pełen winy Ethan.

– Chciałem nawet dzisiaj coś kupić. Czy moglibyśmy pójść jeszcze na grób przed moim wyjazdem?

Nikt z nich, żadna z najbliższych mu osób nie zostawiła Davidowi czerwonych róż.

Miał przed nią tajemnice – dowiedziała się tego dzisiaj od Toma. A w jego gabinecie była zamknięta szuflada, do której Stacey nie znalazła klucza. Coś przed nią ukrywał.

Ingrid poczuła, że robi się jej niedobrze. Odsunęła krzesło od stołu.

– Przepraszam – powiedziała, wstając. Serwetka upadła na podłogę. Wszyscy na nią spojrzeli. – Boli mnie głowa.

– Pójdę z tobą, mamó – Molly od razu się poderwała.

Ingrid opanowała się na tyle, by powiedzieć:

– Nie, kochanie, zostań. Proszę.

Jakoś udało się jej wyjść z restauracji i wsiąść do samochodu. Droga do sklepu zajmie pięć minut, to wszystko.

Ochroniarz Abel ewidentnie uznał, że Ingrid znajduje się pod wpływem

jakichś środków.

– Nikogo teraz nie ma, proszę pani – powtarzał łagodnym głosem, jakby mówił do dziecka.

– Wiem – syknęła Ingrid, z trudem utrzymując swój publiczny wizerunek osoby spokojnej. – Muszę po prostu coś sprawdzić.

– Wszyscy wrócą rano... – tłumaczył Abel.

– Teraz, chcę to sprawdzić teraz – warknęła Ingrid.

– Oczywiście, proszę pani.

I Abel nałożył swoją zawodową maskę. Znów był uprzejmy – wysoki, elegancko ubrany człowiek z Sierra Leone. David mówił zawsze, że Abel posiada inteligencję i godność sędziego. Co mógłby w życiu osiągnąć, gdyby los nie przywiódł go razem z liczną rodziną do Ardagh, gdzie musiał brać zmiany, których nikt inny nie chciał? Ciekawe, czy David przychodził tu późno w nocy i Abel się przyzwyczał, by wpuszczać go o tej porze razem z towarzyszką uczipioną jego płaszczą i zaśmiewającą się z powodu takiej brawury... Nie, nie będzie tak myśleć. W każdym razie dopóki się nie upewni.

Kiedy wkładała klucz do drzwi pokoju Stacey, zadzwoniła jej komórka. Pewnie Flora sprawdza, czy dojechała do domu. Raczej nie uspokoi jej wiadomość następującej treści: *Nie, jeszcze nie dojechałam. Postanowiłam odwiedzić gabinet zmarłego męża, żeby sprawdzić, czy moja intuicja dobrze mi podpowiada, że coś przede mną ukrywał.*

Gdyby Flora dostała taką wiadomość, mogłaby skończyć na lekach w pokoju bez klamek.

Sprawdziła komórkę.

Pisała Molly, chciała wiedzieć, czy wszystko w porządku. Cokolwiek się działo, Ingrid nie miała zamiaru wplątywać w to Molly.

*Prawie w domu, przepraszam, ból okropny, pogadamy rano, pa, mama.*

Wysłała wiadomość.

Kiedy umiera ci mąż, kłamstwo jest OK. Gdyby mówić ludziom prawdę o tym, jak się czujesz, zamknęliby cię w zakładzie.

Włączyła wszystkie światła, przeszła przez pokój Stacey i znalazła klucz do gabinetu Davida. Gdy nacisnęła włączniki na ścianie, stojąca na biurku lampa z pleksi zajaśniała zielonkawym światłem. Sprytne. Jak wszystko u Davida i to było świetnie zorganizowane – żadnego szukania przycisków na biurku. Zwracanie uwagi na szczegóły to był jego znak firmowy.

I właśnie dlatego te czerwone róże na grobie i zamknięta szuflada brzmiały w uchu Ingrid fałszywie.

Szuflada wciąż była zamknięta. Ingrid jeszcze raz pociągnęła, żeby się upewnić. Ani drgnęła. Rozejrzała się za czymś, czym dałoby się ją otworzyć, ale na wierzchu nic nie leżało.

Pootwierała pozostałe szuflady biurka. Znalazła w nich papier, teczki, ołówki, a nawet, co znaczące, wielki korkociąg, ale nadal nic przydatnego. Przeszukała więc biurko Stacey i trafiła w dziesiątkę – nożyk do otwierania listów wyglądał na śmiertelnie niebezpieczny.

– Doskonały – powiedziała ponuro Ingrid.

Zabrało jej to dziesięć minut, dużo więcej niż złodziejom w filmach. Ale oni mają zazwyczaj delikatne szpilki, a ona waliła w dziurkę od klucza końcem nożyka do kopert. W końcu zamek puścił. Stępiony nożyk rzuciła na podłogę. Stacey będzie się zastanawiać, co się z nim stało. To nie problem Ingrid.

Przez kilka sekund ta otwarta szuflada wyglądała jak każda inna w jego biurku – niewinna skrzynka z równo ułożonymi papierami. Wymyśliła sobie coś okropnego. Smutek potrafi płać ludziom obrzydliwe figle. Wyobrażają

sobie wszystko, co najgorsze.

Przeszukiwała papiery okiem detektywa.

I znalazła – schludna wiązka pisanych ręcznie listów. Podniosła je.

Bogini kiczu była dziś łaskawa. Listy nie były związane czerwoną wstążką ani – powąchała je – spryskane perfumami. Co nie zmieniało faktu, że były to listy miłosne, napisane kobiecym pismem z pętelkami na całkiem przyzwoitym papierze:

*Kochanie, śniłam o Tobie zeszłej nocy. Obudziłam się z myślą, że jesteś przy mnie. Nie cierpię tego.*

*Ameryka wydaje się tak daleko, a ja chcę Cię mieć obok siebie, chcę, żebyś się ze mną kochał. Całuję, Ja*

Kosz na śmieci w jego gabinecie był metalowy i bardzo dobrze, bo gdzieś musiała zwymiotować, a wolała nie brudzić dywanu. Ta troska wydawała się dość dziwna w zaistniałych okolicznościach. Jej serce pękło na kawałki, a ona nie chciała brudzić dywanu?

Kiedy już pozbyła się pięknej kolacji, która smakowała jak trociny, usiadła, opierając się o ścianę i resztką sił trzymając kosz, z nogami wyciągniętymi przed sobą. Zamknęła oczy. Nie chciała się ruszać, bo jeśli to zrobi, znów może ją zemdlić. Tyle było w niej uczuć i wszystkie domagały się uwagi. Zupełnie opadła z sił.

Po chwili poczuła, że może odłożyć kosz. Rękawem szarego kaszmirowego swetra wytarła usta i przez chwilę pomyślała, jak absurdalna i niespójna ta scenka wydałaby się widzowi: Ingrid Fitzgerald, pólleżąc na podłodze, obok niej kosz z wymiocinami, a ich resztką na rękawie jej swetra. Podniosła się i usiadła na fotelu.

Listy położyła po jednej stronie. David trzymał je spięte dużymi spinaczami, żadnych czerwonych wstążeczek. Nigdy i przecież nie był

romantyczny, prawda? Była w tym jakaś odrobina przyjemności, że brak romantyzmu dotyczył obydwu jego kobiet. Potem do nich zajrzy, jak się poczuje na siłach.

W szufladzie było coś jeszcze – rachunki, które opowiadały historię tego romansu. Lunche w pięknych restauracjach na obrzeżach Dublina, noce w eleganckich hotelach, gdzie nikt się nie umawiał na spotkania w interesach, trzydniowy pobyt w Paryżu, w George Cinq. To zaboląło, mimo muru, jakim się otoczyła. Paryż, ich miasto, gdzie jeździli, kiedy dzieci były małe, a potem na pierwsze wakacje bez nich, gdy wyfrunęły już z gniazda.

Chodzili do George Cinq na kawę, ale nigdy tam nie nocowali. Nocowali za to w Crillon, wylegiwali się w zabytkowym francuskim łóżu, w śnieżnobiałej pościeli, wśród niezliczonych poduszek, popijając przynoszony do pokoju szampan i zając ich słynne śniadania.

Od tamtego czasu wiele razy odwiedzili Paryż. Ulubionym sklepem Ingrid był piękny Anne Fontaine, z bluzkami, gdzie eleganckie ekspedientki sadowiły Davida w fotelu, podawały kawę i „Le Monde”, poklepując go wyrozumiale na swój charakterystyczny, francuski sposób, więc był zadowolony, a Ingrid mogła spokojnie przymierzać wspaniałe bluzki, które leżały na niej jak szyte na miarę.

– Jak zbankrutujemy z powodu twojego upodobania do tego sklepu, na pocieszenie zostanie nam świadomość, że „zawsze będziemy mieć Paryż” – zauważył raz David, zaśmiewając się serdecznie z własnego żartu.

– To nam nie grozi, biorąc pod uwagę, o której wracasz z pracy – zażartowała w odpowiedzi.

Teraz nie było to już takie zabawne.

Ingrid przyglądała się rachunkom, wielu już wyblakłym, przez małe okulary do czytania, których nigdy nie zakładała na wizji, bo uważała, że ją



postarzają. Czuła, że jeśli dostatecznie mocno się zdystansuje, to może uda się jej poczuć jak u siebie w gabinecie, gdy czyta informacje zebrane na temat oszukującego polityka.

Siedziałyby przy swoim biurku, Gloria wyciągałyby kolejne szczegóły, a wszyscy by się zastanawiali, czy wykorzystywanie tego typu materiałów jest etyczne. Czy moralność polityka należało omawiać publicznie?

Ale te dowody nie dotyczyły polityka, który nic jej nie obchodził, ani biednej, zahukanej żony polityka, która czekała cierpliwie w domu, podczas gdy nawet wróble na dachu ćwierkały, że jej mąż spędza z koleżanką po fachu o wiele więcej czasu, niż to konieczne. Ingrid zawsze współczuła tym kobietom, które czuwały nad domowym ogniskiem, woziły dzieci do i ze szkoły i odbierały telefony od niezadowolonych wyborców, gdy tymczasem pan i władca ucztował w Dublinie i Brukseli, jakby to wszystko było takie proste. Było proste dzięki jego żonie, a on ją zdradzał.

A teraz Ingrid znalazła się dokładnie w takiej samej sytuacji. Tak bardzo ją to bolało.

Zaskoczył ją natomiast gniew, czysty i ostry, który w niej aż płonął. Jak David mógł jej to zrobić? Nigdy się go nie czepiała, gdy wracał do domu, rozdrażniona jego życiem i znudzona swoim. Miała przecież, do cholery, własną karierę. Co dzień zajmowała się ważnymi sprawami, nie bała się odpowiedzialności.

Jeśli nie był szczęśliwy, mógł odejść, ale to – mieć na boku inną kobietę, która pisała piękne miłosne listy i tak bardzo go pragnęła – to najczystsza zdrada.

Jej życie ległoby w gruzach, gdyby David poprosił ją o rozwód, ale gdyby powiedział, że zakochał się w innej kobiecie, dałaby mu go. Tylko głupiec albo masochista próbowałby lepić pęknięcia w takim małżeństwie.

Ale on nigdy tego nie powiedział. Dalej udawał szczęśliwego męża. Umarł, pozwalając jej wierzyć, że był wierny. Stała nad jego grobem, wypłakując sobie oczy za człowiekiem, który kochał inną.

Gdyby David żył, mogłaby go zabić gołymi rękami.

Pochyliła się i znów zwymiotowała, tym razem żółcią. Nic innego nie zostało już w żołądku. Zamknęła oczy, czekając, aż miną mdłości, potem wstała i podeszła do małej lodówki w pokoju Stacey. Znalazła w niej kilka puszek z gazowaną oranżadą, więc wypila jedną.

Czuła, że powoli odzyskuje energię i częściowo panowanie nad sobą.

Stacey będzie się zastanawiać, co tu zaszło, kiedy zobaczy brudny kosz, zniszczony nożyk i szufladę. Nie da się ukryć jej obecności w sklepie – Abel, strażnik, ma obowiązek zgłaszać każdego, kto wchodzi do budynku. Ingrid zdawała sobie sprawę, że musi to rozwiązać taktownie. Opróżniła szufladę i zamknęła ją, potem zaniósła kosz do łazienki i go umyła. Kiedy w gabinecie wyglądało mniej więcej tak, jak przed jej wizytą, napisała krótki list:

*Pani Stacey, David miał listy ode mnie i wiedziałam, że trzyma je w biurku. Przyszłam wieczorem, żeby je zabrać. Były bardzo osobiste, nie chciałam ich tu zostawiać. Ingrid Kenny*

Niezła wymówka, pomyślała ponuro. Ludzie przychodzą i odchodzą, ale kłamstwo jest wieczne.

Przeszła całe piąte piętro w poszukiwaniu pustego kartonu. Kiedy wkładała do niego dowody zdrady Davida, nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Sprawdziła jedynie szuflady w biurku. Może było coś więcej? Otwarła eleganckie szafy z orzecha, które kryły szafki na dokumenty, gdzie David trzymał teczki osobowe, i sprawdziła szuflady. Pośród tych niewinnie otwartych jedna pozostała zamknięta.

– No proszę – wymamrotała, znów zbrojąc się w nożyk do papieru.

Zamek od razu puścił. W środku znalazła kolejne wydruki płatności kartami. Przejrzała pierwszy, a potem wrzuciła całość do kartonu. Zamknęła szufladę i zasunęła drzwi szafki. Miała nadzieję, że list uspokoi Stacey. Chyba że była współniczką Davida.

– Powiedz Ingrid, że mam spotkanie, umówiłem się znów na potajemną randkę – mógłby powiedzieć, a Stacey puszczala do niego oko uświęconym zwyczajem osobistych asystentek, wiedząc doskonale, że jej obowiązkiem jest dochowanie tajemnicy.

A może to Stacey była tą kobietą. „Zamknijmy drzwi, nikt się nie dowie...”.

David, niech go diabli! Musi się dowiedzieć, kto to był, bo inaczej zwariuje, podejrzewając każdą kobietę, którą znał. Ale musi być ostrożna. Media miałyby używanie, gdyby się okazało, że taka gwiazda jak Ingrid została zdradzona przez rzekomo kochającego męża. Dzieci byłyby zdruzgotane, gdyby poznały prawdę. Ingrid robi wszystko, żeby ukryć przed nimi istnienie tej kobiety. Ale najpierw musi się dowiedzieć, kto to jest.

Znała tylko jedną osobę, której mogła powierzyć taki ból – Marcellę. Pośród wielu swoich talentów Marcella miała i ten – potrafiła schować sekret w swojej mentalnej kasie pancерnej i pozostawić go tam na zawsze.

Marcella siedziała z podkulonymi nogami na swojej kanapie, pozbywając się zrogowaciałego naskórka stóp i oglądając jeden z odcinków *Seksu w wielkim mieście*. Akurat ten widziała już wiele razy i miała go w swojej kolekcji, ale oglądanie własnego DVD nigdy nie było tak przyjemne, jak przypadkowe włączenie tego samego filmu w telewizji. W przerwie na reklamy pobiegła do kuchni, żeby zrobić sobie kolejny kubek bezkofeinowej herbaty. Dopóki akupunkturzysta nie powiedział jej, że kofeina wieczorem może powodować kłopoty ze snem, wypijała hektolitry herbaty, ale jako

osoba cierpiąca na bezsenność, musi wprowadzić pewne ograniczenia.

W domu rozległ się nagle głośny dźwięk dzwonka.

Marcella instynktownie spojrzała na zegarek. Piętnaście po jedenastej. Nikt nie przychodzi o tej godzinie bez uprzedzenia, więc albo to coś nagłego – w innym wypadku zatelefonowaliby? – albo jakiś wariat sprzedający religię czy inny ćpun ze strzykawkami, który chce się włamać do domu. Wybrali niewłaściwą kobietę. Złapała pilot do alarmu i komórkę, od razu wybierając 999, żeby być w pogotowiu. Potem wyjrzała przez okno tuż obok drzwi i ku swojemu bezmiernemu zdumieniu zobaczyła Ingrid.

– Ingrid!

Marcella czym prędzej szarpnęła drzwi i z niepokojem przyjrzała się przyjaciółce. Z wielkim kartonem w rękach i dziwnie poszarzałą twarzą Ingrid wyglądała, jakby nie spała od stu lat.

– Wchodź. Co się stało?

Ingrid się nie odezwała. Wniosła karton do środka i położyła go na ogromnym szklanym stoliku. Marcella zauważyła kawałeczki własnego naskórka leżące spokojnie tuż obok kartonu w oczekiwaniu na wrzucenie do kosza. Normalnie widok ten przeraziłby osobę tak pedantyczną jak Marcella, ale teraz po prostu zrzuciła całość na podłogę. Z wyrazu twarzy Ingrid wnioskowała, że jej naskórek nie ma żadnego znaczenia wobec spraw, które ją zajmowały.

– Co się stało? – powtórzyła.

– To – powiedziała Ingrid bez wyrazu, wskazując na kartonowe pudło. – Dziś po południu na grobie Davida znalazłam czerwone róże, a jedna szuflada jego biurka była zamknięta. Wiedziałam, że coś jest nie w porządku.

Marcella opadła na fotel.

– Róże?

– Czerwone róże. Nie były ode mnie i nie miały też żadnej podpisanej wstążki ani kartki – mówiła Ingrid, spokojnie otwierając karton. Zaczęła wyjmować z niego pliki papieru i układać je w równe stosy. – Byłam na kolacji z siostrami i dziećmi – ciągnęła dalej – i nie mogłam przestać myśleć o tych różach. I o tej zamkniętej szufladzie, którą odkryłam w jego gabinecie, kiedy pojechałam dziś do Kenny's.

W geście pocieszenia Marcella położyła jej rękę na ramieniu, wiedząc, jakie to musiało być trudne, przecież Ingrid tak długo odkładała tę wizytę.

Ingrid posłała jej krótki, cierpki uśmiech.

– Ja też myślałam, że jestem dzielna. Pojechałam dziś, bo wiedziałam, że Molly będzie zajęta w pracy, a nie chciałam jej ciągnąć ze sobą, żeby przeglądała ze mną jego rzeczy. Nie chciałam robić z niej małej służebnicy śmierci, która musi stale mi towarzyszyć i ciągle się o mnie martwić. Umarł jej ojciec, to wystarczy. Nie powinna zajmować się dodatkowo moimi uczuciami. Rozumiesz?

Marcella pokiwała głową, choć nie rozumiała. Wyobrażała sobie, że dzieci raczej pomogą Ingrid przejść przez ten okres po śmierci Davida, bo zawsze będzie ich troje, którzy go stracili. Nie potrafiła jednak sobie wyobrazić, jak to jest być matką. Odłożyła ten ból na razie gdzieś na bok.

– I cieszę się, że Molly ze mną nie było – kontynuowała Ingrid, zaczynając znów wyciągać rzeczy z pudła. – Ona na pewno zwróciłaby uwagę na zamkniętą szufladę.

– Gdzie był klucz?

– Nie miałam klucza – odparła Ingrid. – Stacey go nie znalazła. I przy kolacji to wszystko nie dawało mi spokoju. Postanowiłam się upewnić. Pojechałam do Kenny's i włamałam się do tej cholernej szuflady za pomocą nożyka do otwierania kopert. W każdym biurze powinni taki mieć – dodała z

udawaną wesołością. – I oto co znalazłam...

– W jednej szufladzie? – Marcella spojrzała na stół, teraz cały zavalony papierami.

– Okazało się, że jest jeszcze szuflada w szafce na dokumenty. Nie przeglądałam tamtych rzeczy – szorstki głos Ingrid po raz pierwszy zaczął się łamać. – Przeczytałam tylko jeden list z biurka. David był w Ameryce, a ona za nim tęskniła. Napisany ostatniego czerwca.

– To mogą być listy do kogoś innego – Marcella chwyciła się czegokolwiek. Szukała wśród papierów zapisanych ręcznie kartek.

– W zeszłym roku w czerwcu David był w Stanach – mówiła bez wyrazu Ingrid. – I po co miałyby ukrywać czyjeś listy? Nie, są jego.

Oparła się na kanapie i spojrzała w ekran. Lubiła ten serial, był zabawny i niegłupi. Samantha, Carrie, Charlotte i Miranda jadły późne śniadanie w swojej niedzielnej restauracji. Czymkolwiek martwiły się wcześniej, minęło. Problem okazał się wymyślony. Ingrid sama czuła się nieco wymyślona. Jej życie nie było w ogóle prawdziwe. To, co jej wydawało się prawdą, wcale takie nie było.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówiła Marcella, ciągle szukając. Znalazła w końcu listy i położyła je sobie na kolanach, dowód numer jeden, wysoki sędzie.

*Kwiaty, które mi przysłałeś, już prawie zwiędły.*

*Nie będę ich wyrzucać aż do samego końca. To był cudowny weekend, prawda? Kiedy jestem z Tobą, czuję się taka bezpieczna, otoczoną opieką.*

*Jak byłam mała, suszyłam kwiaty i wkładałam je do książek, mam zamiar zasuszyć twoje róże...*

– Co to za bzdury? – skomentowała wściekła. – To jakaś mała dziewczynka? „Suszyłam kwiaty”. Kiedyś miałam zasmarkaną Barbie, ale

nie chodzę i nie chwale się tym teraz.

– Mówiłam ci, że przeczytałam tylko jeden fragment – powtórzyła Ingrid. – Przyniosłam je tutaj, żebyś zrobiła to za mnie.

Marcella głęboko wciągnęła powietrze.

– Napijesz się wina?

– Jak to zrobię, to się rozpłaczę, a nie chcę płakać. Jeszcze nie teraz.

– Co racja, to racja.

Marcella wyszła z pokoju i wróciła pięć minut później, niosąc kawę i ciasteczka.

– I tak nie będziemy spały, więc możemy się uraczyć. Włączyła muzykę, Tinę Turner, bo żadna kobieta nie może się załamać, gdy w tle Tina śpiewa *What's Love Got to Do with It*. Po czym zaczęła przeglądać listy. To było zadanie dla giganta – dekonstrukcja mitu Davida i Ingrid. Jak anty-bajka. *Śpiąca Królowna*. Tylko że w tym przypadku królewicz nie obudził Ingrid z długiego, stuletniego snu – on sprawił, że w jednej chwili postarzała się o sto lat.

Ingrid naląła sobie kawy, oparła się wygodnie na kanapie i pozwoliła płynąć myślom.

Przypomniała sobie, jak na przyjęciach uśmiechała się z pobłażaniem do Davida, kiedy flirtował z innymi kobietami. One być może myślały, że są dyskretne – uśmiech, niewinna zabawa włosami, dotknięcie go podczas rozmowy – ale ona to wszystko widziała. I uśmiechała się. Ufała mu. Wierzyła, że nigdy by jej nie zdradził, że to tylko taki ich prywatny żart: nawet gdyby wszystkie kobiety świata rzuciły się na niego, on i tak nic by nie zrobił, bo kochał Ingrid, a prawdziwa miłość wszystkiemu się oprze.

Tymczasem było zupełnie inaczej.

Czuła w sobie mrok, to najlepsze słowo. Jakby ktoś zabrał całe światło z

jej życia. Zawsze sądziła, że z wiekiem to kariera się w niej odkocha. Nie mąż.

Marcella czytała, a wyczerpany umysł Ingrid wrócił do pewnego wydarzenia sprzed roku.

Telewizja jest okrutna, mówili ludzie. David też tak twierdził.

Kiedy po raz pierwszy w programie telewizyjnym delikatnie odsunęli na bok kobietę, którą znała, Ingrid przeżyła szok, choć w zasadzie widziała, co się święci.

Kiedy Grace Reynolds, czterdziestoparoletnia była modelka, rozpoczęła pracę w telewizji, od razu oczarowała widzów swoim poczuciem humoru i inteligencją. Przez pięć lat współprowadziła program poranny. Współczująco trzymała za rękę ofiary przeróżnych reality show dzielące się swoją wersją historii, uśmiechała się pocieszająco do ludzi zbierających fundusze na walkę z okropnymi chorobami, które zabierały im bliskich. Matkowała gościom, a widzowie to kochali. Niestety producent programu odczuwał potrzebę młodszej krwi. Uznał, że kanciasty Jeff – co najmniej piętnaście lat starszy od Grace – powinien mieć partnerkę o słodkiej, dziecięcej twarzyczce. Nowa prezenterka, świeżo po studiach, miała dwadzieścia trzy lata, wygląd modelki reklamującej bieliznę, miodową skórę, blond włosy, nieskazitelną cerę i uzupełnione botoksem błyszczące usta, które, jak bezlitośnie twierdziły niektóre źródła telewizyjne, zacisnęły się już na niektórych częściach ciała producenta. Zaczęła od razu, a Grace, jak przystało na osobę o tym imieniu, z gracją się usunęła, grzecznie recytując przygotowaną dla niej formułkę: *Męczyło ją wczesne wstawanie, chciała też więcej czasu poświęcić dzieciom i mężowi.*

I to właśnie wkurzyło Ingrid najbardziej: równie dobrze można osobie potrąconej przez samochód, którego Kierowca uciekł z miejsca wypadku,



kazać przyznać, że to jej wina, że po prostu chciała zostać przejechana, naprawdę.

– Powinnaś odejść – powiedział wtedy rozwścieczony David. – – To samo zrobią tobie, Ingrid, a ty nie możesz im dać tej satysfakcji.

Poczuła wtedy przypływ miłości do niego, do człowieka, który nie chciał, by ktoś ją zranił. Owszem, obawiała się tej gilotyny i wstydu odsunięcia na drugi plan za zbrodnię, którą przypisywano jedynie kobietom, ale nie chciała, by David dowiedział się o tym strachu. Tylko bardziej by się martwił. A po co?

Dość miał swoich zmartwień ze sklepem.

– Kochanie, jestem dużo silniejsza od Grace, nie będzie tak łatwo się mnie pozbyć – powiedziała wtedy. – Poza tym ja się już z tym pogodziłam. Nie chcę pracować w nieskończoność. Mam mnóstwo pomysłów na książkę, na przykład o kulcie feminizmu w przedchrześcijańskiej Irlandii. Teraz prowadzę program, więc nie mam na to czasu, ale kiedy będzie go więcej, bo zdecydują już, że nie jestem im potrzebna i są gotowi wypłacić mi przyprawiającą o zawrót głowy odprawę, no cóż, zniknę w mgnieniu oka. Nie ma sensu opowiadać światu, że nie lubię już pracować nocami. Nie zgadzam się, żeby zepchnęli mnie z drogi tak jak biedną Grace.

– Jesteś pewna? – zapytał David. Był zmartwiony, a w Ingrid wszystko aż się gotowało na myśl, że ktokolwiek z telewizji ma moc zasmucania jej rodziny. Jej NIE zwolnią w taki sposób jak Grace, przez podstępny atak partyzancki. To podejście sprawdza się tylko w przypadku uległych pracowników, którzy uśmiechają się dzielnie i potulnie odchodzą. Ingrid nie ma zamiaru odchodzić potulnie, a ci u steru już dobrze o tym wiedzą.

– Oczywiście, że jestem pewna. Telewizja to gra dla młodych. Gdybym przeszła na emeryturę, moglibyśmy więcej podróżować. Może do Australii,

pamiętasz, jak się nad tym zastanawialiśmy?

Udało się, David był spokojniejszy.

– Jesteś niezwykłą kobietą – powiedział, kręcąc głową.

– Myślałem, że taka sytuacja cię zezłości.

– Bo rzeczywiście jestem wściekła – z powodu Grace. Ale nie martwię się tym, kochanie. Ze mną tak nie będzie, obiecuję.

Później jednak rozmawiała z Marcellą przez telefon.

– A co, jeśli ze mną też tak będzie? Jeśli zmuszą mnie do odejścia i postawią na moim miejscu jakiegoś dzieciaka?

– Nie zrobią tego – odparła Marcella. – Grace jest przemiła, zbyt miła na telewizję, jeśli mam być szczerą. Powinna była przyjść do mnie, doradziłabym jej, jak to załatwić.

– Czy to znaczy, że ja nie jestem miła? – roześmiała się Ingrid.

– Prawdziwa z ciebie jędza – nie czytałaś artykułu w „Irish Times”?

Tym razem obydwie się zaśmiały.

– Nie, ty jesteś po prostu profesjonalna, Grace nie była. Była śliczną, utalentowaną amatorką, a w tej robocie nie można być amatorem. Musisz mieć pancerną skorupę zawodowca.

– Nie zwolnili jej za to, że była amatorką – przypomniła przyjaciółce Ingrid. – Zwolnili ją, bo popełniła kardynalny błąd i nie pozostała wiecznie młoda. I pamiętaj, że nie starzała się jak normalna osoba, tylko jak modelka. Ma wspaniałą skórę i kości policzkowe.

– Wygląd Grace przynajmniej w połowie wpłynął na decyzję o jej zatrudnieniu – zauważyła Marcella. – A ty, mimo wysokiego miejsca na liście „Seksownych po pięćdziesiątce” w magazynie „Woman’s Way”, nie zostałam zatrudniona ze względu na wygląd.

– To prawda. Ale w takim razie jak to możliwe, że mogę zostać

zwolniona za to, że wyglądam starzej?

– Poddaję się, nawet ja, stara, mądra kobieta – odrzekła Marcella.

Tymczasem Marcella wciąż czytała. Gdyby Ingrid nie było w pokoju – choć siedziała dziwnie spokojnie, wpatrując się w przestrzeń przed sobą – Marcella zakłębaby tu i ówdzie, przedzierając się przez zapisane ręcznie stronic listów miłosnych.

Owszem, mogła je napisać jakaś obłąkana dama, która prześladowała Davida, a następnym jej krokiem będzie gotowanie królików i porwanie Ethana i Molly, ale Marcella raczej w to wątpiła. Nie miała co prawda odpowiedzi Davida, ale wszystkie szczegóły wskazywały na to, że pisała je jego kochanka.

Myśl, że David to robił, sprawiała jej ból. Więc jak musiała się czuć Ingrid?

Żaden z listów nie został podpisany, ale nie miała pewności, czy autorka chciała zachować anonimowość, czy to tylko część jakiejś gry.

*Kochany Davidzie, dziękuję za najpiękniejszy wieczór w moim życiu. Chciałabym, żeby się nigdy nie skończył. Dlaczego musisz do niej wracać...*

Marcella nie potrafiła znieść myśli, że Ingrid mogłaby to przeczytać.

*... Wiem, że to skomplikowane, wiem, że nie da się tego rozwiązać w pięć minut, ale chciałabym, żeby było inaczej. Kochanie, dlaczego ona może Cię mieć, a ja nie? To wydaje się takie niesprawiedliwe – ona ma wszystko. Przepraszam, Davidzie, nie chciałam tego napisać. Po prostu jest mi tak smutno. To pewnie przez ten szampan. Ale czuję się taka samotna, siedząc tu sama, w tym pięknym peniuarze, który mi kupiłeś, i marząc, żebyś mógł być ze mną i go zobaczyć...*

Marcella przebiegła wzrokiem list do końca. Myliła się – to zabiłoby Ingrid, gdyby musiała go przeczytać. Peniuary i Ingrid jako „ona”.

Obrzydliwe. Listów było kilkadziesiąt Z podziękowaniami za lunche, kolacje, wspólne noce, seks – razem przedstawiały sobą wszystko, co David ukradł Ingrid

– No i? – zapytała w końcu przyjaciółka. Marcelli wydawało się, że minęły wieki, ale w rzeczywistości była to tylko godzina.

– No i powinniśmy się położyć – zaproponowała Marcella. – To wszystko poczeka spokojnie do rana, za to my, jeśli sit nie prześpimy, będziemy wyglądać jak dwie stare wiedźmy.

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, zaraz ich pożałowała.

Kobieta, która pisała listy, nigdzie nie zdradziła swojego wieku, ale Marcella mogłaby postawić roczną pensję, że była znacznie młodsza od Ingrid.

Ingrid jednak uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

– Kolejny kubek tej kawy szybko postawi nas na nogi.

– I za to cię lubię – Marcella odpowiedziała jej uśmiechem.

Ingrid obudziła się kilka minut po siódmej. Miała jasny umysł i czuła się wypoczęta. Spała tylko pięć godzin, ale od śmierci Davida nie zdarzył się jej tak głęboki sen. Dziwne. Śmierć i zdrada po śmierci przyjmowały inne wartości w skali zakłóceń snu. Musi powiedzieć Davidowi, że...

Często jej się to zdarzało. Myślała, co chce mu powiedzieć, a potem przypominała sobie, że nie może, bo go już nie ma. Wtedy zazwyczaj dopadał ją mrok i zastanawiała się, czy ten ból kiedyś odejdzie.

Ale dziś reakcja była inna. Dziś w to wszystko wmieszał się gniew. Złość na Davida była dużo łatwiejsza niż opłakiwanie go.

W łazience, która przylegała do jej sypialni, zmyła z twarzy resztki snu. Poprzedniej nocy nie starła makijażu, mimo że Marcella oferowała jej kosmetyki. Przez całe swoje życie skrupulatnie zmywała wieczorem makijaż

i miała już tego dość. To wszystko kamuflaż, maska, by ukryć wiek i zdradę. Żadne maści ani kremy nie mogą tego zmienić.

W szafce pod umywalką znalazła elastyczną gumkę, zaczesła włosy palcami do tyłu i spięła. Ta fryzura nie pasowała do jej twarzy. Wyglądała jak średniowieczna wdowa wygnana do zakonu.

Ale pasowała dziś do jej nastroju. Zbyt długo grała niewłaściwą rolę. Wierzyła, że jest pełną życia kobietą, która najlepsze lata ma wciąż przed sobą, cieszyła się na ten czas, kiedy wybierze się w podróż ze swoim wciąż kochającym ją mężem. Teraz stało się jasne, że od razu powinna była grać staruchę.

Miała jedno pragnienie, które ją spalało. Dowiedzieć się, kim była kochanka Davida. Ale jeśli Marcella nie trafi wśród tych papierzysk na jakąś wskazówkę, nie miała pojęcia, od czego zacząć. Czowała się zagubiona. Zagubiona i samotna.

## 11

*Walcz o siebie. Dużo czasu może ci zabrać odkrycie, kim jesteś naprawdę, ale kiedy już to zrobisz, dbaj o tę osobę. Jest jedną z najcenniejszych przyjaciółek, jakie kiedykolwiek będziesz miała.*

Ludzie, którzy odwiedzali Gwiazdę, niezmiennie się dziwili, że jej drzwi strzegą dwa chińskie psy Fu. Dom, ze swoją fasadą z niebieskich desek i okrytą glicynią werandą, wydawał się miejscem dość dziwnym dla tak egzotycznych stworzeń. Kiedy jednak goście wchodzili do środka, zaczęli rozumieć – znajdowało się tam mnóstwo zachwycających i niezwykłych przedmiotów z całego świata.

Domu Gwiazdy nie można by nazwać zwyczajnym. Pierwsza rzecz, jaką się zauważało już od progu, był zapach – połączenie cynamonu, ambry i kadzidła z ostrą, gorzkawą nutą trawy cytrynowej. Potem przechodziło się przez piękny perski dywan, starszy niż wszystko inne, a pod stopami można było usłyszeć skrzypienie desek podłogowych, co według Gwiazdy przynosiło szczęście. Następnie gość podziwiał skarby, jakie przez wiele lat zebrały kobiety z rodziny Bluestone.

Na stoliku w przedpokoju stał stary sekstant z siedemnastowiecznego żaglowca, a obok drewniany model statku, który wypłynął z Plymouth Rock. Na ścianach wisiały gobeliny Gwiazdy, których żywe kolory kontrastowały z fotografiami w sepii przedstawiającymi inne kobiety o nazwisku Bluestone, wszystkie o silnych twarzach i długich blond włosach. Zdjęcia zrobiono w Maroku i innych częściach Afryki, w Skandynawii i na Alasce.

Półki w niewielkiej niszy prezentowały przepiękną lampę witrażową i drewnianą misę wykonaną przez francuskich mnichów setki lat temu.

W salonie natomiast, długim pokoju zajmującym całą tylną część domu, można było znaleźć jeszcze więcej skarbów: masywne kanapy, regały zapchane ciasno książkami, akwarele przedstawiające rzadkie kwiaty i kolekcję niezwykłych złoconych filiżanek z przezroczystej porcelany kostnej w przepięknych kolorach. Dumą domu były drewniany bujany fotel należący niegdyś do prababci Gwiazdy, z zachowanymi oryginalnymi koronkowymi poduszkami, oraz gramofon z lat czterdziestych, który pięknie odtwarzał płyty hrabiego Johna McCormacka, ale nie chciał grać nic innego.

Lena była już w domu Gwiazdy wiele razy, zwykle aby omówić kwestie związane z gobelinami. Uwielbiała to miejsce – pod oknami grządki kwitnących kwiatów, piękne storczyki w małej oranżerii z jej żelaznymi krzesłami pochodzącymi z zupełnie innej epoki i kwiecistymi poduszkami, w które człowiek cudownie się zapadał. Podobały się jej szmaciane chodniczki i stare fotele obite perkalem, i te miedziane garnki wiszące nad ogromnym piecem w kuchni. Dziś chciała pokazać to urokliwe miejsce swojej koleżance Claudii.

– Gdybym tu mieszkała, w ogóle nie chciałoby mi się wychodzić – mówiła Claudii Lena, gdy na zaproszenie Gwiazdy weszły do środka i natychmiast poddały się panującej tam atmosferze prawdziwego komfortu charakterystycznej dla domu Bluestone.

– Pięknie tu – powiedziała Claudia, rozglądając się z podziwem – A ten zapach, jest...

– Och, to tylko specjalne cynamonowo– kawowe muffinki, które właśnie robiłam – wyjaśniła Gwiazda. – Brzmi zachęcająco?

– Bardzo – odparły obie panie.

– To jest Claudia – przypomniała sobie nagle Lena.

– Przepraszam, że was nie przedstawiłam jak należy.

Claudia się zaczerwieniła.

– Przepraszam – powiedziała też i wyciągnęła rękę.

Niekiedy ludzie uznawali, że Gwiazda jest nieprzystępna. Spotykając kogoś na ulicy, nie rzucała się, żeby go ścisnąć i całować, ani nawet podawać ręki. Stała przez chwilę bez ruchu, co z czasem zaczęto uznawać za oznakę rezerwy. Ale to nieprawda. Dotyk jest po prostu dla Gwiazdy bardzo ważny. Dotknięcie drugiego człowieka może pomóc zajrzeć w jego duszę, a przynajmniej tak jest w przypadku Gwiazdy, która zauważyła to już jako mała dziewczynka. Teraz ostrożnie ujęła dłoń Claudii i trzymała ją w obu rękach.

– Miło mi panią poznać – powiedziała, wciągając głęboko powietrze. Początkowo odczucie było bardzo subtelne.

Claudia, młoda, śliczna i uśmiechnięta, emanowała ciepłem, szczęściem i zadowoleniem. Nagle Gwiazda zobaczyła młodego człowieka, który ją kocha i się oświadczył, dał też pierścionek z niedużym kwadratowym kamieniem, nie był to brylant, ale jakiś szczególny stary klejnot.

Wszystko to wyczuła, ale powiedziała tylko: „Miło mi panią poznać”.

Nigdy nie mówiła o tym, co widziała. Claudia zapewne wolała zatrzymać to w tajemnicy. Już jako dziecko Gwiazda się nauczyła, że nie wszyscy potrafią zrozumieć i docenić talenty rodziny Bluestone.

Babcia Gwiazdy, po której nadano jej imię, umiała wyczuwać światło w jak to nazywała, „naładowanych” przedmiotach, w rzeczach szczególnych. Jeśli ktoś dał jej zegarek albo coś innego, co należało do ukochanej osoby, wyczuwała jej energię, potrafiła określić, gdzie się znajduje i co jej się stało. To potężny dar, szczególnie w czasach gdy większość wieśniaków w czarach szukała po prostu „lekarstwa” na różnorakie dolegliwości.

Kiedy do Ardagh przybyła kobieta imieniem Madeline, sprzedająca garnki i patelnie, ludzie natychmiast zaczęli do niej łągnąć, bo rozniosło się po



okolicy, że ma moc uśmierzenia bólu krzyża. Nikt nie wiedział, jak właściwie to robi, ale po wizycie u niej wszelkie problemy z kręgosłupem zniknęły. Były to proste, nieskomplikowane czary, niemniej skuteczne. Babcia opowiadała wnuczce, jak razem z Madeline, rozpoznając u siebie nawzajem szósty zmysł, rozmawiały o tym, że ich szczególne dary odsuwają je od ludzi.

– Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją – mówiła Madeleine. – Chcą tego, ale się boją.

– Czy łatwiej jest ciągle się przenosić z miejsca na miejsce? – zastanawiała się babcia Gwiazdy.

– I tak, i nie – odpowiadała Madeline. – Ja od zawsze podróżowałam. W potrzebie ludzie przyjmują cię serdecznie, ale kiedy wydobrzeją, pragną, żebyś sobie poszła. To okropne uczucie, gdy nie chcą mieć z tobą nic wspólnego.

– Rozumiem – mówiła babcia.

O jej darze wszyscy dowiedzieli się dużo wcześniej, kiedy odnalazła zaginioną kobietę. Od tamtego czasu wielu się u niej zjawiało, ale na koniec zawsze czym prędzej zmykali, odwracając wzrok i obawiając się, że ktoś ich zobaczy. Potrzebowali jej pomocy, ale woleli, żeby nikt nie wiedział, że zwrócili się do tej Bluestone, zamiast paść na kolana w kościele.

Z doświadczenia Gwiazdy wynikało, że w tym zakresie nic się nie zmieniło, dlatego wolała nie mówić ludziom, co widzi, kiedy ich dotyka.

Trzymając dłoń Claudii, nagle zeszywniała. To było jak impuls elektryczny, coś o Davidzie i jakiejś kobiecie – o jej Davidzie. Usiłowała to zrozumieć, ale wizja była niewyraźna – zawsze takie są, gdy dana osoba nie zna dokładnie sytuacji. Cokolwiek to jednak było, miało związek z Davidem i kobietą bardzo bliską Claudii, choć ona sama nie brała w tym udziału. A potem Claudia cofnęła rękę.

– Piękny dom – mówiła. – Uwielbiam stare mapy, a te imbryczki są po prostu niesamowite.

Wszyscy podziwiali imbryki Gwiazdy. Zbierała je od dziecka, więc miała ich mnóstwo: biało–niebieskie wzory z wierzbą, jeden grecki, ręcznie malowany, bardzo kolorowy, kilka zdobionych delikatnie chińskimi wzorami, które przywiozła z podróży. Dla niej najcenniejszy był maleńki imbryczek z glinki ceramicznej, wykonany ręcznie z nieco nierównym dzióbkiem i uchwytem z wierzbowej gałązki, bardzo stary – należał do jej praprababci. Zaparzona w nim herbata mogła dać pijącemu wgląd w przyszłość. Gwiazda użyła go tylko kilka razy w życiu. Nie powinno się go nadużywać, mawiała jej mama.

– Pani Gwiazda ma nieprawdopodobną kolekcję – zgodziła się Lena. – Czy to jakiś nowy? – zapytała, przesuwając palcem po pękatym różowym imbryczku z ukruszoną rączką.

– Kupiłam w sklepie z antykami – odparła Gwiazda zupełnie bez wyrazu. Nie mogła się skupić na imbrykach. Myśli jej błądziły po dłoniach Claudii i po tym, co w nich zobaczyła. Ślad innej kobiety bliskiej Davidowi. Nie była to Lena ani nikt, kto z nim pracował, chodzi o inny rodzaj bliskości, jakby miłość – ale to przecież bez sensu, bo ta kobieta była związana z Claudią, a jak David mógł być zakochany w kobiecie związanej z Claudią?

Miała przemożną ochotę znów złapać ją za rękę, ale za drugim razem równie dobrze mogło się nie udać. Ten jej talent czasami dziwnie się objawiał, podając jej wizje, kiedy chciał, nie na życzenie, a już na pewno nie wtedy, gdy tak bardzo tego pragnęła.

Gwiazda czuła się roztrzęsiona i niezdarna, co było do niej zupełnie niepodobne. Przy parzeniu herbaty rozsypała trochę liści, a potem przewróciła dzbanuszek i mleko zalało drewniany kuchenny stół, o mały włos

nie zmoczyłoby najnowszego gobelinu, który rozłożyła tam dla gości.

– Przepraszam, przepraszam – powtarzała, szybko łapiąc papierowy ręcznik i ścierając płyn.

Kiedy już razem usiadły, racząc się herbatą i muffinkami Gwiazdy – choć ona sama, nagle zmartwiona, prawie nie czuła ich smaku – przez chwilę rozmawiały o Davidzie.

– To oklepany frazes, ale naprawdę trudno uwierzyć, że go nie ma, po prostu nie mogę – mówiła ze smutkiem Lena.

– Oszedł tak nagle. Dopiero co był i już go nie było.

– Wiem – powiedziała Claudia i odłożyła muffinkę, jakby też nagle straciła cały apetyt.

Gwiazda ją obserwowała. Działo się w niej coś dziwnego, czuła to. Nie, nie tyle dziwnego, co smutnego. Wypełniały ją smutek i ból. W związku z kimś.

W chłodnej szopie zamienionej na warsztat, stojącej tuż przy domu na farmie, Natalie pracowała wytrwale, z pomocą małego młoteczka jubilerskiego nadając miedzianym zwojom odpowiednie kształty. Takie rytmiczne stukanie w określonym celu dawało jej zwykle dużo satysfakcji. Ale dziś to była męka. Bolały ją ręce – od ścięgien w nadgarstkach aż po zginacze w palcach. Tępy ból pochodził gdzieś z wnętrza, nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła.

Trwało to już od tygodnia – rano czuła się normalnie, potem w Kenny's ból pojawiał się od czasu do czasu, nawracając i pulsując w każdym nerwie. Najgorzej jednak było w nocy. Niezależnie od stopnia zmęczenia i tak przynajmniej raz się budziła z bólem, zawsze silniejszym niż w dzień.

Nic nie pomagało: masowanie, rozciąganie, różne rodzaje zginania. Zastanawiała się, czy to nie znaczy, że powoli popada w obłąd – odczuwanie

dziwnych rzeczy, które trudno opisać innym, ale które ciągle cię dręczą.

– Jak leci?

W drzwiach stał ojciec w swoim zwykłym roboczym stroju – znoszonych sztruksach, gumowcach, starym jak świat swetrze i kurtce przeciwdeszczowej. Przyniósł ze sobą woń obory: mieszankę zapachu zwierząt i kiszonki. Dla Natalie był jak prawdziwy aromat, przywodził na myśl dzieciństwo i nie wiadomo dlaczego, wydawał się cenniejszy niż wszystkie inne, choć gdyby ją przycisnąć, przyznałaby, że kruche ciasto Bess z jabłkiem i jeżynami plasowało się zaraz na drugim miejscu.

– Nie najgorzej – odparła i odłożyła młoteczek.

– Bess mówi, że jesteś w złej formie.

Natalie uśmiechnęła się lekko. Tata nigdy nie owijał w bawełnę.

– Chyba tak, trochę.

– Dlaczego? Chodzi o Rory’ego?

Bess i tata poznali go już i uznali, że jest bardzo miły. Co więcej, psy – mądre barometry istot ludzkich – polubiły go od pierwszego wejrzenia, a baran za drzwiami kuchennymi niemal oszalał, dobijając się i domagając wspólnej zabawy.

– Doktor Dolittle – zauważył wesoło ojciec. W jego ustach to komplement. Za to w ustach Lizzie, gdy pytała: „Spotykasz się znowu z doktorem Dolittle? ”, brzmiała wyraźna drwina.

– Nie, Rory jest super.

Nawet za bardzo. Miły, seksowny, zabawny, wielkoduszny: mogła zaznaczyć wszystkie kratki. Jednak mimo to wciąż nie pozwalała sobie na pełne zakochanie się.

Był to, myślała cierpko, doskonały przykład „to nie ty, to moja wina”. To b y ł a jej wina. On jest naprawdę cudowny, ale ona nie była pewna, choć

nie miała pojęcia dlaczego. Po prostu ostatnio nie czuła się sobą.

Nie dość, że źle spała, to czuła się nerwowa i do bólu smutna. W drodze do pracy z trudem słuchała wiadomości radiowych, a gdy wracała do domu, nie mogła patrzeć na kolejną partię ulotek z kampanii przeciwko biedzie organizowanej przez Molly. Czarno–białe zdjęcie przedstawiało małe dziecko skulone w kącie pustego pokoju, smutne i przestraszone.

Kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, poczuła napływające do oczu łzy.

– Na pewno? – wypytywał dalej ojciec. – Wszyscy uważamy, że Rory to fajny facet, ale jeśli nie jest w porządku, mogę od razu pojechać do tej przychodni i udać, że powybijam mu wszystkie zęby. I tak by wygrał, wiadomo, ale dla ciebie się poświęcę.

– Nie, naprawdę, jest OK – roześmiała się Natalie.

– No dobrze. – Ojciec znów spoważniał.

W zasadzie, tato, chodzi o to, żebyś opowiedział mi o mamie, ostatnio trochę o niej myślę...

Ale nie wiedziała, jak zacząć. Jak zacząć rozmowę, na którą czeka się całe życie?

– Nie chcę się wtrącać. Jeśli nie chcesz, to nie mów. Ale pamiętaj, że jestem tu, gdybyś mnie potrzebowała.

Nie dała rady.

– Chodzi o Lizzie – powiedziała w końcu. W sumie po części to prawda. Lizzie ją denerwuje. Aczkolwiek odkąd Natalie zaczęła jej unikać, nie była już świadkiem żadnej pijackiej imprezy. Ale teraz Lizzie w sam raz się nada, żeby zbić tatę nieco z tropu.

– Co takiego zrobiła?

– Trudno to wytłumaczyć. Jest moją przyjaciółką i nie chcę być niełojalna...

– Przysięgam, że nic, co powiesz, nie wyjdzie poza ten pokój – oświadczył ojciec i usiadł na porysowanej drewnianej ławie, która przez wiele lat stała w kuchni, zanim wstawiono ją tutaj. Dawno temu nazywano ją „twardziochem”, powiedział jej kiedyś ojciec.

Pomyślała o wszystkich rzeczach, których tata nauczył ją przez te lata. Był wspaniałym ojcem, ale ukrywał przed nią pewne sprawy, sprawy, które chciała poznać.

– No więc co zrobiła Lizzie? – powtórzył ojciec.

– Molly mówi, że Lizzie jest alkoholiczką – odparła Natalie i nawet w jej uszach zabrzmiało to szokująco. – Sama nie wiem, tato, nie może mi się to pomieścić w głowie. Rzeczywiście Lizzie dużo pije, ale przecież ma pracę i w ogóle, nie mieszka w kartonie na ulicy. No i nie pije codziennie. Nieraz już nie piła alkoholu, kiedy miała prowadzić...

– Nie zawsze da się to tak łatwo rozpoznać – powiedział ojciec, a Natalie miała wrażenie, że się zdenerwował.

– Wiesz co, wydaje mi się, że zostawiłem w garażu włączone światło – dodał szybko, podrywając się z ławy. – Lepiej od razu je wyłączę, póki pamiętam. – Położył jej rękę na ramieniu. – Posłuchaj, Lizzie to dobra dziewczyna, ale nigdy nie wiadomo, co dzieje się w czyimś życiu. Nie pozwól, żeby cię to zniszczyło, skarbie.

I już go nie było. Natalie zabolalo, że tak raptownie wyszedł.

Straciła zapał do pracy, więc posprzątała i poszła się przebrać do swojego pokoju. Cenne zdjęcia mamy leżały w komódce przy łóżku. Wyjęła je teraz, by na nie spojrzeć. Miała tylko trzy, sama też na nich była, na dwóch jako niemowlę, a na jednym chyba jako dwuipółletnia dziewczynka. Mama wyglądała rzeczywiście tak jak Natalie – to samo szczupłe ciało, długie ciemne włosy i oczy, które na starych zdjęciach wydawały się czarne. Jej

uśmiech aż tryskał ze zdjęć i można było odnieść wrażenie, że trzymanie malej Natalie to największa radość na świecie.

Natalie pogłaskała kciukiem twarz mamy, jakby dotyk fotografii mógł dostarczyć jej wiedzy o niej.

– Mamo – spróbowała. – Mamo.

Ta kobieta była jej matką. A ona nic o niej nie wiedziała.

– Hej, Nat – pozdrowił ją Joe, wchodząc do pokoju. Młodszy brat nigdy nie czekał na zaproszenie, po prostu opierał się o drzwi, częściowo wchodząc i jednocześnie pukając. Natalie wepchnęła zdjęcia pod poduszkę.

Joe ułożył włosy na żelu i wylał na siebie sporo wody po goleniu.

– Wychodzisz?

– Tak. Jak wyglądam?

Miał na sobie T-shirt z kapelą rockową i bluzę z kapturem, którą sprezentowała mu pod choinkę – Diesel, naprawdę fajna, bardzo ją lubił.

– Świetnie. Wszystkim opadną szczęki. Albo jej opadnie... Czy to randka? – zapytała.

– No – powiedział wciąż na maksa wyluzowany. Podziwiał się w lustrze toaletki, pozując, wkładając ręce do kieszeni i rzucając posępne spojrzenie.

– Jak ma na imię?

– Sarah – odparł. – Jest całkiem inna, w ogóle nie jak Kylie.

Kylie, ostatnia dziewczyna braciszka, to zdaniem Natalie duży błąd. Różniła się od innych dziewczyn Joego tym, że mierzyła wartość torebkami marki Louis Vuitton i kręciła się wokół tych, którzy mogli jej zapewnić życie na takim poziomie, do jakiego miała zamiar przywyknąć. Natalie nie polubiła jej od pierwszego wejrzenia, a uczucie to zostało w pełni odwzajemnione.

– A jaka jest?

– W sumie ładna, ma długie włosy i... no wiesz. Lubi muzykę. Jest do

rzeczy – dodał.

Natalie się uśmiechnęła – rozmowny to on nie był. Kochała go, mimo że nie miał wiele do powiedzenia. Zabije tę całą Sarę, jeśli nie będzie dla niego dobra. W zasadzie to jesz– cze się nie policzyła z Kylie, przypomniała sobie teraz. Każdy, kto rani jej młodszych braci, będzie miał do czynienia z nią.

– Wyglądasz super – powiedziała – ale na twoim miejscu zmyłabym trochę wody po goleniu, tak trochę, wiesz.

– Za dużo? – zapytał z niepokojem, znów stając się małym chłopcem.

– Coś w tym rodzaju.

– Dobra, siostrzyczko. Na razie.

Kiedy wyszedł, a wraz z nim ta obezwładniająca woń, Natalie znów przyjrzała się fotografiom. Potem schowała je do komódki. Nie było w nich żadnej odpowiedzi.

Ale po zamknięciu szuflady jeszcze raz się zastanowiła. Znów ją otworzyła, wyjęła małe zdjęcie i włożyła do torebki. Miło będzie mieć je przy sobie.

Następnego ranka Natalie miała w Kenny's pierwszą zmianę. Chociaż sklep otwierali dopiero o dziewiątej, restauracja była do dyspozycji personelu już pół godziny wcześniej, żeby mogli spokojnie zjeść śniadanie. Pierwsza przysłała dziś Charlie.

– Jak miło znów cię zobaczyć – powiedziała Natalie z uśmiechem. Długo się nie widziały, ktoś mówił chyba o wypadku jej matki i że wzięła urlop, by się nią opiekować. Bez Charlie to miejsce nie było takie samo. Miała coś tak przyjaznego w uśmiechniętej twarzy i tych błyszczących oczach, no i uratowała je w dniu ślubu Lizzie, gdy zawiodła makijażystka.

– Cześć, Natalie. Poproszę duże cappuccino i – przyjrzała się ciastkom na ladzie – może jeden z tych apetycznych pączków z syropem klonowym,



choć nie powinnam – powiedziała, poklepując się po brzuchu. – Ale nie jadłam ich już od kilku tygodni.

Natalie nałożyła na talerzyk pączek i zajęła się cappuccino.

– Twoja mama była chora? – zapytała, odwrócona do Charlie plecami.

– Tak, zajmowałam się nią, jestem dziś pierwszy raz po przerwie.

– No to witamy z powrotem. Na pewno bardzo się martwiłaś?

– Można tak powiedzieć – odparła powoli Charlie.

– Chyba nie zostałam stworzona na pielęgniarkę. Trudno opiekować się drugą osobą, a moja mama nie jest najcierpliwszą pacjentką na świecie.

– To musiało być trudne dla was obu – automatycznie zareagowała Natalie.

– Rzeczywiście – powiedziała Charlie tak, jak wypadało. A potem westchnęła i dodała coś, czego nie wypadało mówić:

– To był koszmar. Myślałam już, że nigdy nie wrócę do pracy. Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze się z mamą dogadujemy w normalnych warunkach, a dodaj do tego jeszcze złamane biodro i katastrofa gotowa.

No i stało się. Powiedziała to.

Obydwie na moment przerwały to, co akurat robiły

– Charlie szukanie w torebce drobnych, a Natalie wycieranie spodu filiżanki papierowym ręcznikiem – i spojrzały na siebie. Szczere słowa Charlie wciąż wisiały w powietrzu.

– Przepraszam – powiedziała szybko Charlie. Czemu ja to powiedziałam?

– Nie – odparła Natalie. – Nie przepraszaj. Skoro tak jest, to tak jest.

– Nie powinnam tego mówić – denerwowała się Charlie. – Coś ze mną nie w porządku. Nie mówi się tak o własnej matce, prawda?

– Nie mam pojęcia, moja mama zmarła, kiedy byłam bardzo mała –

wyjaśniła Natalie.

– Boże! I w dodatku pogarszam tylko sprawę – jęknęła Charlie. – Naprawdę przepraszam...

– Przestań, proszę cię – Natalie postawiła filiżankę na tacy. – Cieszę się, że to powiedziałaś. Całe swoje życie myślałam, że jestem inna niż reszta ludzi, bo nie mam normalnej klasycznej matki. To znaczy, mam Bess, moją macochę, i ona jest super, ale nie mówię do niej „mamo”. Zawsze wydaje mi się, że wszyscy wokół mają taki świetny kontakt ze swoimi matkami, dlatego wręcz miło jest usłyszeć, że czasami jest inaczej.

– Naprawdę? – powątpiewała Charlie.

– No pewnie. Czujesz się wtedy mniej wyobcowana. Kiedy słyszysz tylko, że wszystkie matki są takie wspaniałe, to zaczynasz się czuć jeszcze bardziej samotna. Ludzie mówią tylko dobre rzeczy i te się zwykle zauważa. A nawet jeśli czasem się pokłóca, to każdy kwituje: matka kocha cię niezależnie od wszystkiego.

Obydwie się nad tym zastanowiły.

– Nie jest łatwo być matką – pierwsza odezwała się Charlie. – Ciągłe się boisz, że coś zrobisz źle. Zawsze gdy bierze mnie złość na mamę, patrzę na mojego synka i zastanawiam się, czy jak osiągnie mój wiek, też będę go tak denerwować, że będzie miał ochotę mnie zabić. Może to taki cykl i obojętne jak się starasz, twoje dzieci i tak będą narzekać na popełnione przez ciebie błędy. Mogę zapytać, co się stało z twoją mamą?

– Umarła, kiedy miałam trzy lata. Ale w sumie to nic oniej nie wiem.

Charlie zauważyła, że Natalie jest bliska płaczu.

– Usiądź ze mną – powiedziała impulsywnie.

– Nie mogę...

– Możesz. Jak ktoś przyjdzie, po prostu wstaniesz i go obsłużysz, a na

razie usiądź.

Charlie weszła za kontuar i przygotowała filiżankę kawy dla Natalie, potem zaniósła tacę do stolika.

– Opowiadaj – zachęciła ją, siadając obok.

To było dziwne. Natalie pomyślała o tych wszystkich ludziach, z którymi mogła o tym porozmawiać, i w sumie to właśnie Charlie wydała się jej najwłaściwszą osobą. I miejsce też było odpowiednie – przytulne wnętrze kafejki w Kenny's, do którego o tej porze mógł przyjść tylko ktoś z pracowników.

– Pogrzeb Davida bardzo źle na mnie wpłynął – powiedziała – i zaczęłam o niej myśleć. Wyszukałam w Internecie informacje na temat dzieci bez matek i niektóre sprawy zaczęły się logicznie układać. Na przykład trudne kwestie z okresu dojrzewania, których wtedy nie rozumiałam. Pamiętam, jak Lizzie – to moja najlepsza przyjaciółka, mniej więcej – przeprowadzała długie rozmowy z mamą o miesiączkach i mama dała jej książkę. Pożyczyłam ją od niej i nawet nie pytałam Bess, bo już wszystko wiedziałam. To było jakby coś, o czym rozmawia się z mamą i bezpieczniej jest zatrzymać to w sobie, niż pytać. Czy to ma sens?

Charlie pokiwała głową.

– Na stronie pisali o ważnych momentach w życiu i że bywają trudne, kiedy nie masz rodzica. A w moim domu nigdy nie mówiło się o mojej mamie.

– Więc czujesz, że nie powinnaś pytać o nią swojego tatę? – dopytywała się Charlie.

– Właśnie tak. Nigdy o niej ze mną nie rozmawiał. Kiedy byłam mała, dał mi jej zdjęcia, ale to wszystko. A nie chcę rozdrapywać starych ran.

– Musisz go zapytać – stwierdziła Charlie.

– Powinnam – dodała nieprzekonująco Natalie.

– Posłuchaj, całe lata nie potrafię dogadać się z matką i ciągle mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie nauczyłam się sobie z tym radzić, aż do czasu kiedy zaczęłam pisać, co czuję, w moim dzienniku. I to mi naprawdę pomogło. Trzymanie tego w głowie tylko pogarsza sytuację. Ja coś zrobiłam i ty też musisz. Powinnaś dowiedzieć się o swojej mamie jak najwięcej. To twoja mama, masz prawo wiedzieć. Inaczej ta sprawa pozostanie niezakończona.

– Mam przy sobie jej zdjęcie.

Pobiegła do swojej szafki w kuchni, wyciągnęła zdjęcie, które rano włożyła do torebki, i wróciła.

– Wygląda tak samo jak ty – powiedziała Charlie, patrząc na piękną kobietę o długich czarnych włosach i szerokim uśmiechu, przytulającą do serca swoje cenne niemowlę.

– Może twój tata nie chce o tym mówić, bo to zbyt bolesne, a nie dlatego, że ma coś do ukrycia.

– Na miejscu mojej macochy byłabyś na mnie zła, gdybym zapytała o moją prawdziwą mamę?

Charlie pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie. Mówiłaś, że Bess jest wspaniałym człowiekiem i że cię kocha. Przypuszczam, że ona i twój ojciec czekali, aż ich o to zapytasz. Podobnie jest z ludźmi, którzy; adoptują dzieci: wiedzą, że kiedyś dzieci będą chciały się dowiedzieć o rodziców. Po prostu ich zapytaj.

Natalie pokiwała głową, cała drżąc.

– Zapytam – postanowiła. – Już niedługo. A co z tobą i twoją mamą?

– Nie sadzę, że coś da się zrobić – powiedziała cierpko Charlie. – „Odetnij się z miłością”, tak mi powiedziała Shotsy.

– Chodzi o to, że często się kłócicie?

– Nie, raczej o to, że mama mnie nie akceptuje. Nie jestem tym, kim chciała, żebym była, za to moja starsza siostra spełniła jej oczekiwania.

– A mianowicie?

– Powinnam być kimś ważnym.

– To musi być trudne.

Charlie westchnęła.

– Owszem, jest. Może któregoś dnia wpadnę na to, jak zadowolić, i wszystko się ułoży. Byłoby fajnie, co?

Przez resztę dnia Natalie myślała o tym, jak dzięki Charlie łatwo to teraz brzmiało: po prostu zapytaj. Zapyta, i to dziś. Podjęła decyzję.

Okazało się, że wieczór był wręcz idealny na rozmowę z ojcem. Kiedy Natalie dzwoniła po południu do domu, Bess jej powiedziała, że chłopców nie będzie, a ona musi iść do klientki na przymiarkę sukni ślubnej.

– Ale tak bardzo chciałabym cię zobaczyć – mówiła Bess.

– Powiem ci, co zrobię. Zapytam, czy nie da się przesunąć przymiarki wcześniej...

– Nie – przerwała jej szybko Natalie, nienawidząc się za to, że nie jest szczerą w stosunku do kochanej Bess, ale czuła, że tacie trudno byłoby mówić o mamie w jej obecności.

– Chciałam wpaść tylko na pięć minut po drodze z pracy, na małą kawę, więc nie ma sensu niczego przesunąć.

Kiedy weszła do kuchni, ojciec podniósł wzrok znad zapiekanki shepherd's pie. Natalie pomyślała, że Bess jest wspaniałą żoną – nawet gdy miało jej nie być w domu, przygotowywała obiad, tak by jej mąż po ciężkim dniu pracy mógł usiąść i zjeść coś, co lubi, z gazetą przy talerzu i psami u stóp.

Natalie przyszło do głowy pytanie, czy czeka ją podobny związek z Rorem. Czy dojdą razem do takiego punktu w życiu, że kiedy jej nie będzie w domu, on będzie mógł zjeść przygotowany przez nią posiłek? Dziwnie było tak myśleć. Ale łapała się na tym, że wyobraża sobie życie z nim, budzenie się przy nim, siedzenie wieczorem razem na ławce, odbieranie telefonów, gdy jedzie do chorego zwierzęcia...

– Natalie! – zawołał zaskoczony ojciec. – Nie wiedziałem, że przyjdiesz. Bess nic mi nie mówiła.

– Tak sobie pomyślałam, że wpadnę na chwilę – odparła. Teraz, kiedy już tu była, nie wiedziała, jak zacząć. Cokolwiek powie, zabrzmiałoby to jak krytyka ojca i Bess, a przecież nie o to jej chodziło.

– Siadaj. Jadłaś coś? To jest pyszne – mówił, machając widelcem nad zapiekanką. – Ale muszę się ograniczać – dodał. – Ostatnio miałem za wysoki cholesterol.

– Tak? – spytała Natalie nieco zaniepokojona, przypominając sobie Davida Kenny'ego.

– Och, nie ma się czym martwić, tylko trochę podwyższony. Spokojnie, skarbie. Siadaj i częstuj się.

– Nie, dzięki, nie jestem głodna – odparła Natalie. Zajął się robieniem herbaty, na którą nie miała właściwie ochoty, aż w końcu usiadła naprzeciwko niego.

– A jak tam Rore? – zapytał ojciec i zaraz się uśmiechnął. – Bess uważa, że to coś poważnego. Czy on jest... tym jedynym? Muszę powiedzieć, że mnie się bardzo podoba, to porządny facet.

Natalie się uśmiechnęła, przypominając sobie inne rozmowy o swoich chłopakach. Nigdy nie był wtrącającym ojcem, który stoi nad delikwentem z ponurą miną i patrzy groźnym wzrokiem.

– Rory jest świetny – potwierdziła Natalie.

– Ale ty przyszedłeś, żeby ze mną o czymś porozmawiać? – powiedział ojciec, nie przerywając jedzenia. Tak dobrze ją znał.

– Zgadza się – przyznała.

– O co chodzi, Natalie? – zapytał. – Widzę, że coś się stało.

– Nie, nic się nie stało – odpowiedziała szybko. – Niezupełnie.

– No więc?

Teraz, kiedy nadeszła ta chwila, Natalie miała ochotę skłamać, że jest na przykład spłukana (choć to akurat była prawda) albo coś innego, cokolwiek, żeby tylko odsunąć tę rozmowę. Ale nie, czekała już zbyt długo.

– Chodzi o moją mamę – w końcu to powiedziała. – Ja po prostu muszę się czegoś o niej dowiedzieć... – przerwała, kiedy zobaczyła ból na twarzy ojca. To było w jego oczach: nie strach, coś innego. Smutek? – Przepraszam, tato. Nie chcę cię ranić, ani Bess, ale...

– Nie – przerwał jej. – To moja wina.

Złożył razem sztucce i odsunął od siebie talerz.

– Nie przerywaj sobie jedzenia.

– Już skończyłem – mruknął. – Naprawdę mi przykro, Natalie, powinienem porozmawiać z tobą wcześniej, ale ciągle czekałem na właściwy moment.

– No właśnie – Natalie postanowiła wykorzystać okazję.

– Każdy moment wydawał się nieodpowiedni. Tato, przez te wszystkie lata tyle razy się zastanawiałam, jaka ona była. Tak naprawdę nic o niej nie wiem i mam tylko kilka zdjęć, a ty nigdy o niej nie mówisz i...

– I ty uznałeś, że pytanie o nią byłoby nielojalne w stosunku do Bess i do mnie – skończył za nią.

– No właśnie, ale ja muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć, dlaczego nigdy o

niej nie rozmawiamy. Czy to było takie straszne, jej śmierć? Czy po prostu chciałeś zostawić to w przeszłości i zacząć od nowa? Chciałabym zrozumieć, tato.

Teraz, kiedy już zaczęła, nie potrafiła skończyć.

– Po śmierci ojca Molly zaczęłam myśleć o mamie. Tego dnia na pogrzebie, gdy zemdlałam, wydawało mi się, tak sędzę – przerwała, bo zdawało jej się, że zabrzmiało to idiotycznie – że przypominam sobie pogrzeb mamy. – Nie śmiała na niego spojrzeć, myśląc, jaki mu to musi sprawiać ból.

– Kochanie, Natalie, przepraszam cię – powiedział i nad stołem złapał ją za rękę. – Nigdy nie chcieliśmy, żeby to tak wyszło.

– Ale rozumiesz mnie, prawda, tato? I Bess też zrozumie? Nie chodzi o to, że was nie kocham, chcę się tylko dowiedzieć czegoś o mojej prawdziwej mamusi.

Dziwacznie brzmiała nawet *mamusia*.

O prawdziwej mamie myślała zawsze mama, ale nie *mamusia*. Tak mówiło się do kogoś, kogo się codziennie widywało, całowało i przytulało.

– Wiedziałem, że śmierć ojca Molly miała na ciebie wpływ – mówił cicho ojciec. – To jest przecież ten sam cmentarz. Kiedy powiedziałaś mi, że zemdlałaś, zastanawiałem się, czy czasem nie przypomniałaś sobie czegoś.

– Ten sam cmentarz? – Natalie nie mogła w to uwierzyć.

– Pokażę ci. Zabiorę cię tam, żebyś zobaczyła grób. Natalie zakryła usta dłonią. Nie zwariowała – to były prawdziwe wspomnienia z pogrzebu jej mamy.

– Byłam tam wtedy?

Ojciec kiwnął głową.

– Natalie, to nie był mój pomysł, żeby nic ci nie mówić – tłumaczył teraz.



– Więc to Bess? – zapytała ostrożnie. Wymazywanie matki Natalie z pamięci innych wydawało się zupełnie do macochy niepodobne, ale przecież mogło tak być. Może życie ze wspomnieniem swojej poprzedniczki okazało się dla niej zwyczajnie zbyt trudne.

– Nie, to nie Bess. Uznała to za najgłupszy pomysł, o jakim w życiu słyszała. Była przeciwko, kiedy się dowiedziała. Twierdziła, że to nie fair w stosunku do ciebie. Nie, to nie Bess, Natalie, życzyła sobie tego twoja mama.

– Moja mama?

– Twoja mama – powtórzył. – Była wspaniałą kobietą. Boże, jak ja ją kochałem. Jej śmierć to chyba najgorsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała, ale nie chciała, żebyś była... – ewidentnie szukał właściwych słów. – Przepraszam, skarbie, gdybyś wiedziała, ile razy przeprowadziłem z tobą tę rozmowę w myślach. Kiedy byłaś mała, miałem ją dopracowaną do perfekcji, ale co innego mówić do dziecka, a co innego rozmawiać z dorosłą osobą. Twoja mama miała trudne życie i ciężko pracowała, żeby to zmienić. Jej plan polegał na tym, żeby nie pozwolić przeszłości zniszczyć ciebie.

Natalie patrzyła na ojca z niedowierzaniem.

– Nie chciała pozwolić, żeby przeszłość mnie zniszczyła?

– powtórzyła. – Jaka przeszłość?

– Spróbuję ci to wytłumaczyć, skarbie.

**PRZESZŁOŚĆ****DARA**

Dara Murphy uwielbiała oglądać telewizję. Jej ulubionymi filmami były *Waltonowie* i *Domek na prerii*. Opowiadały o rodzinach, w których niezależnie od tego jak trudna była sytuacja, zawsze sobie pomagano i wszystko się dobrze kończyło.

Jej przyjaciółka, Ruth, czytała *Domek na prerii* i mówiła, że książki są zupełnie inne niż film.

– W książkach więcej się dzieje i w ogóle są o budowaniu domu w trudnych warunkach, czasami nie ma w okolicy szkoły, i w dodatku mało jedzenia. I w ogóle nie ma Nellie Olesen, przynajmniej ja jej nie zauważyłam.

Dara nie czytała zbyt wiele, bo to zawsze było dla niej trudne. Czasami wypożyczała coś z biblioteki, ale książki nie cieszyły się w jej domu zbyt dużym szacunkiem. Albo się gubiły, albo kończyły upaprane jedzeniem.

Ojciec nienawidził książek.

– Zastrani księży – mówił zawsze, gdy jakąś zobaczył.

W jego głowie słowo pisane kojarzyło się nieodłącznie

ze szkolnictwem, a to z Kongregacją Braci w Chrystusie, której członkowie go edukowali. Nauczyciele ci znani byli powszechnie ze swego umiłowania kar cielesnych i wielu byłych uczniów nie lubiło ich z powodu ich sympatii dla skórzanych pasów. Ojciec Dary, jak to on, pałał do nich niechęcią do n– tej potęgi. Kiedy przejeżdżali autobusem obok jego dawnej szkoły, spluwał przez okno. Greg, brat Dary, śmiał się z tego.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – mówiła Dara.

– Też mogłabyś się uśmieć – odpowiadał jej.

Ale w śmianiu się Greg był lepszy.

– Chciałabym żyć w takim świecie, jak w *Domku na prerii* – mówiła Dara do Ruth. – Wyobraź sobie miejsce, gdzie wszyscy się kochają. W filmie jak ktoś jest zły, to pod koniec odcinka wszyscy już o tym wiedzą.

– To tylko telewizja – odpowiadała Ruth. – W prawdziwym życiu jest inaczej.

– Tak, wiem – wzdychała Dara. – Tak tylko mówię.

Przyjaciółki rozmawiały o wielu rzeczach, ale miały też tematy tabu. Na przykład co trzeba zrobić, żeby fiut mógł wejść do środka, skoro normalnie był cały miękki, albo dlaczego Eric, sąsiad Ruth, brał narkotyki, skoro był całkiem bystry i spokojnie mógłby pójść na studia i w ogóle. Ojciec Dary też należał do tych zakazanych tematów.

Czasami Dara opowiadała, jakby to było, gdyby jej mama nie zginęła w wypadku, kiedy Dara miała sześć lat. W świecie fantazji Dara, jej mama i Greg mieszkali w wielkim domu i mieli dużo psów – Dara kochała psy – a także ogromny telewizor i działające ogrzewanie.

– Gdybyś mieszkała w wielkim domu, to co by było z nami? – pytała Ruth, kiedy Dara wyruszała w świat swoich marzeń.

– Tak tylko sobie żartuję – odpowiadała przyjaciółka.

– Bez ciebie przecieżbym zwariowała.

Mieszkały naprzeciwko siebie, na wielkim dublińskim osiedlu, na którym budynki rozmieszczono wokół niewielkich trawników z placami zabaw. Ulice miały śliczne nazwy, na przykład aleja Żonkilowa czy Przebiśniegowa, wymyślone zapewne przez człowieka nastawionego do życia albo niezwykle optymistycznie, albo ironicznie. Domy przyjaciółek, w alei Przebiśniegowej, z zewnątrz wyglądały dokładnie tak samo: małe dwukondygnacyjne budynki z cegły z miniaturowymi ogródkami od frontu i z

tyłu. Ojciec Ruth hodował tam gołębie pocztowe i jej mama zawsze na to narzekała.

– Te cholerne ptaki – nic tylko smród i wieczny hałas – mamrotała pod nosem.

Chociaż tak naprawdę wcale jej nie przeszkadzały. Narzekanie było częścią tradycji, jak mawiał ojciec Ruth. Gdyby kobiety nie narzekały na ulubione zajęcia mężów, to po prostu zanudziłyby się na śmierć. Jeden z gołębi nazywał się Lulu, bo ojciec Ruth uznał, że wydaje taki sam odgłos jak Lulu, gdy śpiewa pierwszą sylabę piosenki *Shout*.

– Bardziej kocha te swoje gołębie niż nas wszystkich – powtarzała mama Ruth.

Oczywiście tak tylko żartowała.

Rodzice i dwaj starsi bracia Ruth wypełniali dom wesołym gwarem. Jej mama okropnie gotowała, ale nikomu to nie przeszkadzało. Dara bardzo lubiła u nich jadać, bo czuła, że jest mile widziana.

W środku ich domy różniły się od siebie jak dzień i noc.

Gdyby domy były kolorami, to dom Ruth byłby pełnym ciepła głębokim różem, a dom Dary takim zimnym, szarym odcieniem, jak nieustający nigdy deszcz. Najbardziej lubiła jadalnię, bo ojciec rzadko tam wchodził. Wołał salon z kominkiem i wielkimi fotelami, w których przez długie godziny mógł z kolesiami pić. Dara zawsze wiedziała, kiedy tam siedzą – wracała ze szkoły, a atmosfera w domu była tak gęsta i napięta, że zaczynała się bać. W takie dni czasami biegła do Ruth i zostawała aż do wieczora. Ale nie lubiła się zbyt często narzucać. Ruth miała przecież własne życie. Dara nie chciała się za bardzo uzależniać od przyjaciół. To nie byłoby fair.

Większość dorosłych też na nic się nie zdała.

– A gdzie zadanie? – pytała pani Daniels, oglądając nie– zapisany

zeszyt.

– Nie wiem, proszę pani – odpowiadała Dara, patrząc pustym wzrokiem na czyste kartki. Żaden nauczyciel nigdy nie przyszedł do nich do domu, żeby zapytać, dlaczego nie odrabia zadań albo dlaczego jest na lekcjach taka zmęczona, albo nawet dlaczego jej drugie śniadanie składa się z chipsów. Nauczyciele niezbyt wiele zauważali, albo jeśli zauważali, uznała Dara, nie chcieli się w to angażować.

Jej bratu Gregowi podobała się Ruth. Dara nie zauważyła, kiedy to się stało. Mieszkając naprzeciwko siebie, widywali się dość często, a czasem Greg szedł też razem z Darą do szkoły – co u św. Dominika, gdzie uczęszczał, było czymś niespotykanym. Starsi bracia nie prowadzali się z młodszymi siostrami. Ale Greg i Dara byli inni – bardzo ze sobą życzliwi. Zresztą musieli, bo oprócz siebie nie mieli nikogo innego, tylko tatę, mamy nie. I gdzieś w drodze do szkoły Ruth i Greg zakochali się w sobie. Greg był wysoki i przystojny, Dara to zauważyła. A Ruth śliczna, choć nie miała drogich ubrań i dużo pieniędzy na kosmetyki. Miała piękno i blask, które pochodziły z wnętrza.

Nie była zazdrosna, kochała ich oboje. Ale nie chciała, żeby Ruth się o wszystkim dowiedziała, szczególnie o tym, co naprawdę się działo w ich domu. Nigdy jej nie mówiła. Za bardzo się wstydziła. A teraz, kiedy Greg chodzi z Ruth, o wszystkim jej opowie.

- Nie powiesz jej, prawda? Proszę cię.
- Nie świruj, Dara, co niby mam powiedzieć?
- Nie wiem – odpowiedziała cicho.
- Przecież jest twoją najlepszą przyjaciółką – kontynuował Greg.
- Po prostu nie chcę, żeby wiedziała – mówiła Dara.
- I już.

– Nie martw się, nie powiem jej.

Wieczorem, kiedy wszyscy albo grali w piłkę, albo leżeli na trawie, Greg i Ruth siadali na niskim murku niedaleko huśtawek i rozmawiali. Siadanie na murku było jak ogłoszenie w gazecie, które informowało: *Chodzimy ze sobą*. Murek był dla par, siedziały na nim, niekoniecznie się dotykając, ale zawsze blisko. Na murku nigdy nie było wiele otwartej czułości. Mogliby zostać wyśmiani. Chłopcy, którzy kopali piłkę, szydziłoby, rzucając niewybredne żarty i rycząc sprośnie, że dziewczyna potrzebuje antykoncepcji w postaci aspiryny.

– I trzymaj ją między nogami– wykrzykiwaliby– bo jak wypadnie, to wpadłaś!

Kiedy Ruth i Greg po raz pierwszy usiedli razem na murku, Dara poszła wcześniej do domu, choć ojciec miał to gdzieś, o której wracała. Mogła przyjść i o trzeciej nad ranem, ciągnąc za sobą Rolling Stonesów – było mu wszystko jedno. Im więcej, tym weselej, szczególnie jeśli przynieśli coś mocniejszego.

Kiedy Dara skończyła szkołę, zaczęła pracować w banku. Z jednej strony go uwielbiała, z drugiej nienawidziła. Pierwszy raz została zatrudniona na poważnie, bo soboty w pobliskim supermarkecie się nie liczyły. Spodobało się jej, że ludzie nie mogli na nią nakrzyczeć, choćby nie wiem co, ale nie mogła znieść tej okropnej przewidywalności. Po długim i mozolnym tygodniu dostawała tylko okruch weekendu, jak posmak ciasta czekoladowego, którego ledwie zdąży się spróbować, a już je zabierają i następuje kolejny, nudny i męczący tydzień.

Sama praca ją rozczarowała. Niby każdy chciał pracować w banku. Bezpieczna posada z ubezpieczeniem emerytalnym, w tych niepewnych czasach to wymarzona robota

– twierdzili. Ale oni nie musieli wykonywać obowiązków młodszego referenta Harp Bank w filii Inchicore, który całe dni sortuje tony listów i układa je w stosy według ośmio– cyfrowych numerów kont, a potem odnajduje odpowiednie mikrofiszki – kawałki przezroczystego plastyku dziesięć na piętnaście centymetrów, które można odczytać przez szkło powiększające – na których da się zarejestrować osiem stron A4. Listy zabierano następnie do działu mikrofilmów, gdzie przenoszono ich treść na plastik. Po skopiowaniu dostarczano listy do adresatów w banku, a Dara musiała odłożyć każdą fiszkę z powrotem na miejsce. Cały proces należało zakończyć w ciągu jednej dniówki. To była istna tortura, a przeszukiwanie szuflad z mikrofiszkami bolało jak cholera, kiedy ostre krawędzie plastyku ocierały jej palce. Jeszcze gorsze było odczytywanie bazgrołów na kopertach. Numery kont trzeba było sprawdzać z fiszkami, żeby się upewnić, czy to 6, czy 0.

– Dlaczego ludzie nie mogą pisać wyraźnie? – denerwowała się koleżanka Dara, Elaine. – Czy to takie trudne napisać czytelnie swój numer konta? Małpa napisałaby lepiej niż ci idioci.

– Hej, uważaj, niektórzy z moich dobrych znajomych to małpy – żartowała Dara. A potem zmieniała temat na swój ulubiony: – Gdzie zjemy lunch?

Elaine przerwała na chwilę pracę i się zastanowiła.

Czasami wszyscy pracownicy pakowali się do samochodów i jechali do Kitty O’Shea’s – wtedy było najprzyjemniej. Kłopot w tym, że nie zawsze udawało się załatwić ostatniego klienta przed przerwą, czyli o 12. 25.

Często, gdy zaplanowali wspólny wypad do Kitty, punktualnie o 12. 24 zjawiał się jakiś stary wariat z workami pół– pensówek do zważenia.

Pracownicy w okienkach musieli zostać na swoich miejscach i z

uśmiechami na twarzach udawać, że zupełnie nie przeszkadza im odór brudnych monet, podczas gdy jedyne zapachy, jakie chcieliby w tej chwili czuć, to zupa jarzynowa i kanapka z szynką.

A osoby bez samochodów, jak Dara i Elaine, przestępowały z nogi na nogę, nie mogąc się już doczekać swoich kierowców.

– Jesteśmy splukane – przypomniała Elaine. – Mamy kanapki, pamiętasz?

– Z samym serem, bo skończyło mi się masło – odparła ponuro Dara, wracając do rzeczywistości. – Nie cierpię własnych kanapek. Zawsze okropnie smakują. A to samo w pubie jest pyszne. Jak to się dzieje?

– Nie umiesz gotować?

– Kanapek się nie gotuje.

– No dobra, sęk w tym, że kiedy jesz tutaj, nie możesz popić ich piwem – powiedziała Elaine.

– To jest to. Magicznym składnikiem kanapek okazuje się piwo.

Bankowy mundurek też nie pomagał. Strój służbowy składał się z zielonej niedopasowanej spódnicy w kształcie trapezu, zaprojektowanej przez kogoś, kto ewidentnie nie widział w swoim życiu spódnicy, i kremowej poliestrowej bluzki z małymi zielonymi harfami oraz malej zielonej apaszki zawiązanej pod szyją w schludną kokardkę. W lecie w poliestrowej bluzce człowiek się pocił i wydierał charakterystyczny zapach, a w zimie trząsał się z zimna. Zaletą uniformu było to, że najbardziej antybankową osobę zamieniał natychmiast w skromnego urzędnika, ponieważ z zielonymi harfami nie sposób wyglądać ani rewelacyjnie, ani obojętnie. Odcień bankowej zieleni pasował do ciemnych włosów, takich jakie miała Dara, i zdaniem Elaine z tego powodu bank zatrudniał więcej brunetek niż pracowników o innym kolorze włosów.



– Gdybyś była blondynką, już dawno by cię zwolnili – mówiła czasami.

– Gdybym była blondynką, całe popołudnie siedziałabym na kolanach dyrektora, a nikogo, kto to robi, nie zwalniamy ot tak – odpowiadała Dara.

Dyrektor nigdy nawet nie próbował z nią flirtować, za co była niezmiernie wdzięczna. Nie miała pojęcia, jak by zareagowała na taką próbę. Jej obroną były zuchwały, nieco wyzywający wzrok i fioletowy cień na powiekach. *Nie zaczynaj ze mną*, mówiły oczy i kosmetyki.

– To gdzie idziemy na początek? – Jean zwracała się do Dary i Elaine.

Był piątek, nieomylny znak, że czeka je większa impreza. Dara była zaskoczona i wniebowzięta, że koledzy z pracy okazali się tacy normalni – kiedy zegar wskazywał magiczną godzinę piątą, bank pustoszał.

– Czy ja wiem – powiedziała Dara.

Jean była nowa i nie została jeszcze oficjalnie dopuszczona do ich dwuosobowego klubu, ale była już blisko.

– Kapitan Ameryka? – zaproponowała Elaine.

– Super – powiedziała Dara, ustępując. – Uwielbiam tę knajpkę.

– Zadzwońię do Jasona – oznajmiła Elaine. – Jest dopiero piętnaście po, więc na pewno siedzi jeszcze za biurkiem.

Jason to jakby chłopak Elaine, pracował w jednym z banków w centrum wraz z mnóstwem ludzi, którzy też lubili imprezować.

Kiedy Elaine zebrała ekipę, po kolei się przebrały i umalowały w maleńkiej bankowej toalecie.

Dara była dumną posiadaczką jednego wspaniałego wyjściowego płaszcza – długi, z aksamitu i rozkloszowany od pasa w dół. Coś takiego mogłaby nosić Siouxsie Sioux. Gdyby dodać szydełkowane rękawiczki bez palców, sporo eyelinera i jej nowe kabaretki, Dara uważała, że byłaby nawet lepszą Siouxsie niż sam oryginał. Miała nieco inny kolor włosów i jej oczy

nie były aż tak kocie, ale mimo wszystko.

Jean, która zapomniała czarnych rajstop i musiała zostać w służbowych, cielistych, zrobiła się aż zielona z zazdrości, gdy zobaczyła Darę w pełnej krasie.

– Wyglądasz świetnie! Ja wyglądam jak idiotka.

– Wyglądasz OK– zapewniła ją Dara. – A po drodze możesz kupić czarne rajstopy.

Jean się skrzywiła. Oszczędzała na skuter. Miała oko na taki jeden liliowy. Uniezależni się od autobusów i czekania na przystankach.

– To bez sensu, skoro mam ich tyle w domu.

Dara wzruszyła ramionami. Oszczędzanie było jej zupełnie obce. Nigdy nie miała grosza przy duszy. Gdy tylko dostała wypłatę, pieniędzy już nie było: czynsz, długi, wypad na miasto.

Po przebraniu się wróciła do swojego biurka, by pozbierać resztę rzeczy.

– Dokąd się wybierasz ze swoimi ślicznymi koleżankami? – zapytał James.

W hierarchii bankowej James stał trzy poziomy wyżej, więc należało postępować z nim ostrożnie. Przysiadł na skraju biurka, pochylając się nad nią złowrogo. Kiedy był tak blisko, w głowie Dary włączył się alarm. Wciąż nie wiedziała, jak go sklasyfikować: nieszkodliwy i interesujący czy niebezpieczny? Trudno powiedzieć.

– Na miasto – odparła lakonicznie. Im mniej, tym lepiej z takimi jak James.

– Na miasto. Ciekawe – mruknął, zbliżając się do niej tak, że poczuła jego oddech.

Ta bliskość wywołała w niej chwilową falę strachu, odczucie, że jest

zdziczałą bestią i normalne zasady postępowania się do niego nie odnoszą. Ale odsunęła tę myśl. Strach był śmiertelny. Jeśli pokażesz im, że się boisz, wygrają, i wezmą to, co chcą.

Chwyliła swoje rzeczy.

– Tak, na miasto – powtórzyła i spojrzała na niego wzrokiem Siouxsie. Który mówił: *Odejdź*.

Kolega Jasona, Felipe, trzymał ją pod ramię, gdy stali razem na krawężniku przy jednej z głównych i najbardziej ruchliwych arterii Dublina, nawet o wpół do pierwszej w nocy. Dara ze wszystkich sił próbowała się skupić, ale to ją przerastało. Widziała jak przez mgłę i niezależnie od tego, które oko zamykała i tak wszystko było zamazane.

– Muszę wziąć taksówkę – udało się jej wyartykułować.

– Zrobiło się strasznie późno.

– Jasne – odparł Felipe.

Razem weszli na środek jezdni i zaczęli machać na samochody. Byli jak wielkie głazy w rzece, auta musiały omijać ich łukiem.

– To nie taksówki — krzyknął ktoś z chodnika. — Tylko zwykłe samochody.

To ją niesamowicie rozbawiło i upadła na ziemię, śmiejąc się i usiłując pociągnąć za sobą Felipe’a.

– Nie taksówki! – chichotała. – Zwykłe samochody!

– Jesteś naprawdę fajna – mówił Felipe. – O, patrz, park jest chyba otwarty.

Powiedział to, po czym uwolnił swoje ramię i chwiejnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy, by po chwili zacząć się dobijać do bramy parku Stephen’s Green, jak więzień, który chce się wydostać na wolność.

– Dara, zejdź z ulicy – ktoś zawołał. – Zaraz coś cię przejedzie.

Dara, urażona, wstała niepewnie.

– Wcale nie – zawołała. – O, nie jestem przejechana. Stoję.

Nagle jakiś samochód podjechał niebezpiecznie blisko, w ostatniej chwili omijając ją zaledwie o milimetry. Stał błysnęła w świetle latarni.

– Oho – powiedziała Dara i tak ją to rozśmieszyło, że znów musiała na chwilę usiąść.

– Zabijesz się, durna babo!

Ktoś bardzo zły złapał ją potem i ciągnął za sobą z powrotem na bezpieczny chodnik. To Lawrence, inny kolega Jasona, nudny sztywniak, który w ogóle nie umie się bawić. Ale milutki, pomyślała Dara. W sumie trudno powiedzieć, bo cały czas płasał jej przed oczami, ale chyba mógł być milutki. Ładna koszula, w paski i z fioletowym. Dara lubi fioletowy. Złapał dla niej taksówkę i przytrzymał otwarte drzwi, usiłując wepchnąć ją do środka.

Urocze.

– ... niech pan ją zabierze, nie będzie wymiotować...

– Nie będę – odezwała się Dara. – Nie jestem pijana. Nic a nic. Mogłabym wypić dużo więcej, ale muszę rano wstać do pracy.

– Jutro sobota, idiotko. Zamknij się już, Dara, dobra?

Patrzyła teraz prosto w twarz Lawrence'a i miała pomysł na świetne pożegnanie, tak żeby zapamiętał ten wieczór na zawsze. Zręcznym ruchem podciągnęła w górę koszulę w fioletowe paski i ugryzła go w sutek.

– Dobranoc – powiedziała, po czym oparła się wygodnie na tylnym siedzeniu. – Do domu, panie kierowco, i niech pan nie oszczędza koni.

Poranek dopadł znienacka jej świadomość. Nie uniosła spokojnie powiek, tylko gwałtownie usiadła na łóżku, w jednej chwili zrobiło się jej gorąco. Gdzie jest? Która godzina? Co...?

Jest we własnym łóżku i w swoich ciuchach, dobrze. Obmacala się ostrożnie i okazało się, że wszystkie części garderoby są na miejscu, była całkowicie ubrana. Niczego nie brakowało – to było zawsze najgorsze. Ale jest ubrana. I w swoim łóżku – rozejrzała się z niepokojem – sama. Żadnych śladów drugiego człowieka, a skoro wszystko wciąż miała na sobie, to raczej mało prawdopodobne, że kogoś przyprowadziła. Ludzie w domu, mężczyźni, oznaczali, że mogła coś zdjąć i nawet jeśli nic nie pamiętała, ta możliwość zawsze wisiała w powietrzu. W takie dni bardzo długo stała pod prysznicem, szorując się naturalną gąbką kupioną w Body Shop, aż czuła, że ma obtartą skórę. Jak mnisi w dawnych czasach, gdy chcieli zmyć grzech. Ale dziś była ubrana. Żadnego faceta, nikt obok niej nie chrapał.

Przynajmniej tyle. Zaraz jednak, usiłując sobie przypomnieć poprzedni wieczór, zaczęła wymieniać w myślach wszystkie złe rzeczy, które mogły się wydarzyć. Dokąd poszła, co robiła. Czasami jedynymi wskazówkami były rachunki w jej torebce, które zresztą opiewały na kwotę równą sporej części wypłaty. Kiedy piła, brak kasy nigdy jej nie zrażał. W takich chwilach czuła się bogata jak J. R. Ewing, gotowa zamówić każde wino, nieważne jak drogie czy obrzydliwe.

I znów to zrobiła. Chciała wypić tylko jednego drinka, tylko jednego, i co? Wlała w siebie morze drinków, czystej i tequili i czego tam jeszcze.

Ogarnął ją wstyd – czysto fizyczne doznanie. Wstyd może być fizyczny. Jeśli flirt wywołuje rumieniec o delikatnym różowym odcieniu, to wstyd parzy jak ogień.

Rhona pracowała w banku dłużej od Dary i nie musiała już cały dzień układać mikrofilmów. Teraz udzielała telefonicznych informacji o kontaktach depozytowych.

– Pijesz inaczej niż my wszyscy – powiedziała kiedyś.

Dara poczuła mrowienie na karku.

– To znaczy? – wyrwało się jej. *Idiotko*, zabrzmiało, jakby się tym przejęła, a nie chciała, żeby to tak wyglądało. – Niby jak nie piją wszyscy? – dodała, usiłując wykrzesać w głosie trochę nonszalancji.

Rhona nie spuszczała z Dary wzroku. Dara niezbyt ją lubiła – cwaniara, która zbyt łatwo mówi to, co myśli – bardzo irytujący nawyk.

– Jakby chcieli opróżnić cały bar.

– Coś ci się pomyliło – roześmiała się Dara. Przekonująco, nie?

– Skoro tak mówisz – i Rhona wzruszyła ramionami.

Kiedy odeszła, Dara pomyślała, jaka głupia była cała ta rozmowa. Czyż nie taki jest w ogóle sens picia – żeby opróżnić bar? Znalazła w pamięci ten moment w knajpie, gdy alkohol w nią wsiąka, a ona się w nim zanurza, patrzy na błyszczące butelki mieniące się kolorami drogich kamieni i ma ochotę opróżnić każdą z nich, do ostatniej kropli. Przecież inni też muszą to czuć, prawda?

Dara wynajmowała kawalerkę w pobliżu banku, niedużą, ale w miarę czystą, no i miała ją całą dla siebie. To było w niej najlepsze.

Des Flynn mieszkał nieopodal. Lubiała go, choć w ogóle do niej nie pasował. Zawsze w towarzystwie innych chłopaków, tak samo jak on wysportowanych, dobrze zbudowanych typów z wielkimi torbami, które kryły stroje do piłki nożnej i adidas, no i pewnie wilgotne ręczniki, nieprane jak rok długi – schronienie dla bilionów bakterii. Mili chłopcy, którzy wypijali wieczorem kilka piw i niezbyt dobrze tańczyli do muzyki Dexy's Midnight Runners. Nie należał do tych, co wiedzą, jak zrobić skręta ani gdzie kupić butelkę absyntu, i właśnie dlatego do niej nie pasował.

Czasami obserwowała go, jak szedł z kolegami. Gdy siadywała z kieliszkiem wina w otwartym oknie balkonowym i wystawiała nogi do

słońca, żeby się opalić, miała świetny widok prawie na całą ulicę, aż do końca. Często widywała małego starego człowieczka, który każdego popołudnia wychodził powoli z domu i powłócząc nogami, udawał się do jednego z bukmacherów, a potem pewnie na piwo do Horgana, gdy tylko otworzyli puby. Była też młoda matka z dwojgiem małych dzieci, cała zdyszana, krzyczała na nie w drzwiach. Jeden maluch trzymał się jej niechętnie, drugi siedział w wózku i płakał, wykrzywiając małą buzię. Do parku, pomyślała Dara, na pewno idą do parku, a tam matka się uspokoi, usiądą wszyscy na trawie w słońcu, przy huśtawkach, i dzieci będą się uśmiechać do biegających po parku psów, które wszystko muszą obwąchać. Nie miała pojęcia, czy tam właśnie idą, ale lubiła wyobrazać sobie życie innych ludzi.

I widywała też chłopców, Desa z kolegami.

– Jak leci? – zawołał do niej z dołu.

– W porządku – powiedziała. Chciała jeszcze coś dodać, ale nie mogła nic wymyślić, więc pomachała tylko ręką. Głupio to wyglądało, pomyślała.

Znów poszli po pracy do pubu. Był czwartek, więc nikt nie chciał długo siedzieć. W każdym razie nie tak długo.

– Tequila i sprite – zamówiła.

– Tak trzymać – zawołał Stanno. – Brawo, Dara. Wszyscy napijemy się tequili.

– Człowiek jest nudny, jak nie pije – zgodził się Mark, który pracował w okienku i czarował wszystkie mamuśki przychodzące spłacać zadłużenie z kart kredytowych mężów.

– Nie cierpię nudziarzy – westchnęła Michaela. – Dziś w salonie było ich mnóstwo.

Wszyscy uśmiechnęli się pobłaźliwie. Michaela, czyli właścicielka

pobliskiego zakładu fryzjerskiego, często zaglądała do pubu, bo nie mogła znieść zapachu środka do trwałości. Dodatkowo niewinne małe drinki pomagały jej jakoś radzić sobie z dziesięcioma pracownikami i irytującą klientelą.

Była od nich wszystkich starsza, miała przynajmniej z czterdzieści pięć lat i kręcone włosy w kolorze jeżyn. Stały przed nią trzy kieliszki z likierem brzoskwiniowym, który był jej ulubionym alkoholem od czasu, gdy odkryła go jako główny składnik drinka o nazwie Westal Virgin. Nikt się nie orientował, co jeszcze w nim było, ale zupełnie zwał z nóg.

Pojawiła się tequila, rzucona wręcz na stół przez kelnerkę, która była zbyt zajęta, żeby się bawić w uprzejmości.

– Jeden sprite wystarczy – powiedziała szybko Dara. Nie było sensu płacić za oranżadę, skoro przede wszystkim chodziło o alkohol.

Kelnerka bez słowa zabrała pozostałe i pozbierała od nich monety.

Dara pierwsza chwyciła sprite, wlała trochę do swojej tequili i zakryła szklanekę dłonią, żeby wszystko zamieszać, po czym postawiła ją zdecydowanym ruchem na stole. Drink zamusował, i Dara wypila go jednym haustem.

Goryczka tequili podrażniła jej kubki smakowe. Obrzydlistwo, ale rany, jaki efekt. Zamknęła oczy i czekała. Przyjemne ciepło rozprzestrzeniało się z głębin żołądka w kierunku kończyn i co najważniejsze, głowy. Zagłuszało jej starchy i lęki, zatapiając ją delikatnie jak łagodna fala. Otworzyła oczy, z ulgą uśmiechając się do kolegów. Teraz czuła się bezpieczna i kochana.

– Co z wami, jeszcze nie zaczęliście? Ja jestem gotowa na następny.

James i kilku innych starszych facetów z banku siedzieli osobno i prowadzili poważne rozmowy. Ale w miarę upływu czasu, gdy spora część towarzystwa poszła do domu, przyłączyli się do młodszego personelu.



James podszedł prosto do Dary, jak zwykle, a ona, ten jeden raz, nie miała nic przeciwko. W sumie był całkiem nieszkodliwy, stwierdziła w rozkosznym poczuciu bezpieczeństwa, jakie dało jej kilka kieliszków tequili.

– Dobrze się bawisz? – zapytał, siadając na barowym taborecie obok niej, jednocześnie przywołując ręką barmana.

– Bardzo dobrze – odparła zadowolona Dara.

– I to w środku tygodnia – dodał James. – Ostra z ciebie zawodniczka. Mała dzikuska, co?

Dara się uśmiechnęła. Dzikuska – podobało się jej. Lubiła myśleć, że nie można jej ujarzmić. Bo ludzie zazwyczaj nie próbowali łąpać ani ranić dzikich stworzeń. Jak widać zauważył to w niej.

– Jeszcze jeden?

Dara rozważyła kolejną tequilę. Zwykle bolał ją po niej żołądek. Zjadła co prawda kilka frytek, gdy jeden z chłopaków zamówił kielbaski z frytkami, ale zasadniczo kiedy piła, raczej nie jadła. Alkohol wsiąkający w jedzenie to takie okropne marnotrawstwo.

– Może masz ochotę na coś innego? – namawiał James, widząc w jej oczach niezdecydowanie. – Ja piję brandy.

To ten zapach rozsiewał wokół, zdała sobie teraz sprawę – mocny i ognisty. Podobał się jej.

– OK. Spróbuję.

Po tequili czuła się odlatowo, ale brandy dała jej prawdziwego kopa. Puls skoczył wysoko, poczuła taki przyływ energii, że gdy z szafy grającej rozbrzmiały dźwięki Salt'n'Pepa, miała ochotę tańczyć, ale że w tej knajpie akurat nie wolno, musiała się zadowolić stanem przy barze i rytmicznym kołysaniem biodrami.

Skupiła się na swoim odbiciu w lustrze. Kiedy była pijana, i tylko

wtedy, lubiła swój wygląd. W każdej innej chwili czuła się brzydka i – obojętnie ile razy znajome typu Ruth czy Elaine przekonywały ją, że tak nie jest – gruba.

– Nosisz trzydzieści sześć – piszczła Elaine. – Jeśli ty jesteś gruba, to jaka ja jestem, idiotko?

Elaine nosiła czterdziestkę.

– Ale ty jesteś wyższa – odpowiadała Dara. Elaine była śliczna, bez porównania. Mogłaby ważyć i sto trzydzieści kilogramów, a i tak byłaby śliczna. Nie chodziło o wagę, nie u innych. Tylko u niej. Była po prostu do niczego.

Ruth i Elaine jednak się nie poddawały.

– Musisz sobie powtarzać: „Jestem piękną kobietą, która chowa w sobie tajemnicę” – mówiła Ruth, która ostatnio ćwiczyła, jak wchodząc do pokoju, zrobić wrażenie całkowicie opanowanej, a jednocześnie zachwycająco tajemniczej.

Dara udawała, że tak robi, ale ani przez chwilę w to nie wierzyła. To tylko słowa. Nie była piękna, choć miała mnóstwo tajemnic.

W tej chwili czuła się trochę mniej brzydka, choć do pięknej brakowało jej całych lat świetlnych. W panującym półmroku z lustra patrzyła na nią drobna twarz z wielkimi oczami i rzęsami tak długimi, że mogły uchodzić za sztuczne. Skóra miała ciepły odcień, a nos i policzki zdobiły piegi. Szminka już dawno się skończyła, więc posmarowała usta truskawkowym błyszczkiem z Body Shop. Sexy, tak właśnie wyglądała, z wielkimi ciemnymi tęczówkami i gęstwiną długich włosów w kolorze mocnej kawy, kręcących się na wysokości ramion.

James stał przed damską toaletą, kiedy z niej wyszła.

– Tak sobie pomyślałem – zaczął. – Nudno tu, nie? Chodźmy gdzie

indziej. Bliżej miasta, lepsza zabawa.

Dara się zawahała. Chciała zostać z Elaine, a nie wychodzić z Jamesem. Nie lubiła go, mimo brandy.

– Mam twoje rzeczy – powiedział, pokazując torebkę i płaszcz. – Chodź.

Złapał ją za rękę i wyprowadził na zewnątrz, i od razu zaczął biec, ciągnąc ją za sobą. Miał czerwone MG. Dara nigdy nie siedziała w takim samochodzie.

James zapalił, zawrócił na środku ulicy i ruszył w kierunku przeciwnym do miasta.

– Źle jedziesz – zauważyła Dara.

– Pojadę boczną drogą. Nie chcę, żeby zatrzymały mnie gliny.

Przyszło jej do głowy, że może w ogóle nie powinien siadać za kierownicą po tylu drinkach. Ile można wypić i prowadzić? Nie miała pojęcia, bo nie posiadała samochodu, a w czasie przejażdżki autobusem nie obowiązywały żadne limity alkoholu.

James włożył kasetę i włączył magnetofon, ustawiając maksymalną głośność.

– Pink Floyd – powiedział.

Po kilku minutach zatrzymali się na małym parkingu, całym w graffiti, na którym wały się puszki i rozbite butelki. Wysiedli. Pub mieścił się w przysadzistym kwadratowym budynku z cegły, miał zabite okna i kraty.

– Superknajpa – oznajmił James.

Nie wyglądała super, ale poszła za nim. W środku było pełno, sami faceci. Gapili się na Darę z jej aksamitnym płaszczem i oczami mocno podkreślonymi kredką. Zadrżała. Jej ojciec czułby się tu jak w domu, razem z innymi pełnymi goryczy i whiskey kolesiami, którzy wściekają się na swoje

życie i na każdego, kto krzywo na nich spojrzy.

James znał chyba barmana, usiadł wygodnie przy barze i zamówił dwie podwójne brandy.

– Pij – powiedział, gdy barman przyniósł alkohol.

Nie mieli tu pękatych kieliszków, tylko zwykłe proste szklanki, które wydawały się brudne. Wypiła, ale strach pozostał.

– Nie podoba mi się tu – szepnęła do Jamesa.

– Nie, kotku? – zapytał, kładąc rękę na jej nodze, jakby był jej właścicielem.

Poruszyła się niespokojnie, ale James przesunął dłoń wyżej.

– Więc, pij, ślicznotko, i spadamy stąd.

– Chcę jechać do domu – powiedziała Dara, gdy wsiedli do samochodu.

– Jasne – odparł niewyraźnie. – Wrócimy boczną drogą.

– Nie – powiedziała szybko, nagle ogarnęła ją panika.

– Zatrzymaj się na postoju, wezmę taksówkę.

– O nie, nie ma mowy. To niebezpieczne.

Brandy i Pink Floyd przyprawiły ją o ból głowy. Czowała się jak na tajemniczej wycieczce w nieznaną, w pół drogi do nikąd. James jechał dziwnymi ulicami wzdłuż doków, mijał ogromne puste budynki i zabite deskami bloki. W tym labiryncie skręcił nagle i wjechał w jakiś ślepy zaułek. Zatrzymał się i złapawszy ją, zaczął zbliżać do niej twarz.

– James, nie! – krzyknęła, odpychając go z wściekłością.

– Tak – mamrotał, wpychając jej język do ust, rozsuwając płaszcz i obmacując ją przez bluzkę. – Boże, jesteś taka inna – powiedział, ignorując jej opór.

– Nie – wrzasnęła, odpychając go tak mocno, jak umiała.

Był teraz na niej. Udało mu się jakoś opuścić jej oparcie i przesunąć się

nad drążkiem skrzyni biegów, a potem przygnieść ją do fotela.

– Chcesz tego – mówił ochryple – wiesz, że chcesz.

– Nie w taki sposób – odparła rozpaczliwie, mając nadzieję, że powstrzyma go podstępem. Może uda się jej zwabić go do mieszkania i wtedy zacznie krzyczeć – ludzie na pewno usłyszą.

Ale nie udało się, James dobrał się do jej piersi, czuła na skórze jego gorący oddech.

– Jestem dzikuską, pamiętasz, nie możesz tego zrobić – błagała, próbując go jakoś otrzeźwić.

– Dzikuska, o tak – jęknął, a potem złapał ją na dole, jeszcze mocniej. Nie wiedziała, że jest taki silny, albo że ona jest aż tak słaba. Jej siła nic przy nim nie znaczyła, mógł ją złamać jedną ręką.

– Jasne, że tego chcesz – jęczał znowu. – A po co stałabyś tam i tańczyła przy barze, kręcąc mi tyłkiem przed oczami?

– Nie – wrzasnęła z całej siły, ale zatkał jej ręką usta, naciskając tak mocno, że o mały włos by zemdląła.

– Chcesz tego.

Ciężar jego ciała, jego siła i własny strach przeniosły ją z powrotem do sypialni na alei Przebiśniegowej, do czasu gdy była jeszcze małą dziewczynką. Inny mężczyzna, inne ciężkie ciało na niej. – Nie – szepnęła w swojej głowie.

– Nie! – próbowała krzyczeć, ale ręka Jamesa tłumiała jej głos.

Mogła już zrobić tylko jedno – wycofała się w głąb. Zamknęła się. To coś więcej niż tylko zamknięcie oczu. Zamknęła serce i duszę, gwałcili tylko jej skorupę, nie ją. A skorupa poradzi sobie ze wszystkim.

– Dobrze się pani czuje? – zapytała pani Davis, która mieszkała na parterze. Jej drzwi znajdowały się tuż obok telefonu, wychodziła właśnie z

psem na poranny spacer.

Dara stała otulona kołdrą, biała jak papier, nie licząc oczu zaczerwienionych od całonocnego płaczu.

– Tak, dobrze – wymamrotała, kuląc się przy telefonie. Nie miała drobnych, więc wybierała numer, naciskając małe przyciski na słuchawce. Nie zawsze się udawało, ale czasami można było zadzwonić, nie płacąc.

Pani Davis prychnęła i poszła z psem do wyjścia. Dara oparła się o ścianę, mocno przyciskając słuchawkę do ucha.

Odebrała Elaine.

– Dzień dobry, Harp Bank, filia Inchicore – powiedziała pogodnie.

Dara nie musiała nawet udawać ochryplego głosu osoby chorej. Ledwie mogła mówić, czy to z powodu głośnego krzyku, czy też po prostu szoku.

– Elaine – wychrypiała – to ja, Dara. Jestem chora, nie wiem, coś złapałam.

– Jasne – rzekła Elaine. – Brandy, to złapałaś. Wymknęłaś się z Jamesem?

Dara musiała się złapać ściany, żeby nie upaść.

– Nie, pojechałam do domu. Źle się czułam, musiałam wrócić.

– O – Elaine była chyba coraz bardziej przekonana.

– Powiedz im, że nie przyjdę – dodała jeszcze i odwiesiła słuchawkę.

Tym razem nie było ciepłej wody na kąpiel, choć w nocy wzięła tak gorącą, że aż ją parzyła. James odwiózł ją do domu, uśmiechając się, jakby wracali z randki stulecia, jakby nieświadomy, że Dara siedzi obok w milczeniu i drżącymi rękami przytrzymuje podartą bluzkę. Niemal wypadła z samochodu, buty zostały gdzieś w środku. Było jej wszystko jedno, boso weszła na górę, zaciskając w rękę torebkę i trzymając się jakoś w garści, dopóki nie była bezpieczna.

Leżała więc w chłodnej kąpieli, nie patrząc na swoją bladą skórę w wodzie. Nogi miała posiniaczone, a na piersi ślad po ugryzieniu. Od pchania do tyłu bolała ją szyja, kręgosłup zaś w miejscach, o które uderzyła, gdy James miotał nią po samochodzie, leżąc na niej i wpychając ją na drążek biegów.

Wiedziała, co trzeba teraz zrobić.

W przychodni ginekologicznej dyżur miała kobieta, za co Dara była wdzięczna. Nie mogłaby zostać sam na sam z mężczyzną.

Usiadła na krześle i wpatrując się w swoje kolana, poprosiła o tabletkę „po”. Pielęgniarka spisała wcześniej jej dane, zmierzyła ciśnienie i wysłała ją do gabinetu.

– Może mieć pani mdłości – powiedziała rzeczowo lekarka, kiedy sprawdziła w kartotece jej ciśnienie. I rzekomą przyczynę wizyty. Niepewność co do obliczeń cyklu. Takiej wymówki użyła Elaine, kiedy musiała zażyć tabletkę. Darze zostało to gdzieś w pamięci i dziś, choć miała w głowie zupełną pustkę, przypomniła sobie o tym.

Skinęła.

– Tak, wiem.

– To nie jest rodzaj antykoncepcji, jaki można stosować co miesiąc – ciągnęła lekarka. – Tylko w przypadku konieczności, proszę o tym pamiętać.. . . . .

Dara wciąż nie podnosiła wzroku.

Lekarka podała jej jakieś różowe i białe tabletki.

– Białe są przeciw mdłościom – wyjaśniła.

– Dziękuję.

– Czy jest coś, o czym chciałaby pani porozmawiać? – w głosie lekarki usłyszała delikatniejszą nutę. Może zauważyła zadrapania na jej dłoniach,

pomyślała Dara, sięgając do klamki. Nie, nikt nie mógł jej pomóc. Nie tutaj.

– Nie, dziękuję – powiedziała i wyszła.

Białe tabletki nie dały rady pokonać mdłości wywołanych różowymi. Dara klęczała na podłodze w łazience, wstrząsana odruchami wymiotnymi. W przerwach kładła się na kafelkach i wtedy spostrzegła pokłady kurzu i śmieci, jakie zebrały się w kątach. Kawałeczki waty, nadpalone zapalki, pobłyskująca drobina szkła z kieliszka, który stłukła kiedyś, gdy wzięła ze sobą wino do łazienki. Kiedy wychodziła z wanny, nastąpiła na leżący okruch i zraniła się w stopę, ale wtedy tylko się roześmiała. Skakanie po mieszkaniu i zostawianie za sobą krwawych śladów wydawało się zabawne, bo była pijana. Dopiero rano, kiedy wytrzeźwiała, uświadomiła sobie, jakie to chore.

Picie ją do tego doprowadziło. Picie doprowadziło ją do Jamesa, zbyt dużej ilości brandy i gwałtu w samochodzie. Picie oznaczało, że jest tak samo winna jak on. Nikt nie pozwoliłby jej mówić o gwałcie, skoro miała w organizmie tyle alkoholu.

Była wcięta, wysoki sędzie, powiedzieliby na rozprawie i wszyscy spojrzeliby na nią z obrzydzeniem. Pijana zdzira, która tańczyła w pubie z oskarżonym, piła z nim brandy i zadowolona wsiadła do jego samochodu. Nikt jej nie zmuszał, nikt nie złapał jej za włosy i nie powiedział: „Musisz iść z tym facetem. Musisz wypić tę brandy”.

Cóż może być warte słowo tej młodej kobiety, wysoki sędzie? Nic. Nie można jej ufać.

Niall, jeden z jej sąsiadów, organizował w sobotę imprezę. Pani Davis wyjechała, a tylko ona skarżyła się właścicielowi. Wszyscy inni przychodzili i przyjemnie spędzali czas.

– Przyjdź, Dara – namawiał ją Niall, opierając się o framugę i patrząc na nią z zaciekawieniem. Ciągle chodziła owinięta kołdrą.



Niall był bardzo fajny i miał przedziwne włosy – bardzo rude i stojące jak szczotka.

Pokręciła głową.

– Ojej, daj spokój – nie ustępował. – Do wieczora ci przejdzie, a potrzeba nam wesołych ludzi, żeby ożywić towarzystwo.

Do dziewiątej wieczorem Dara prawie nic nie zjadła, ale czuła przemożną ochotę na drinka. W domu nie miała ani kropli. Dosłownie nic.

Założyła więc dzinsy i wielki wełniany sweter, mimo że wieczór był ciepły, po czym zeszła na imprezę. Musiała się napić, tylko jednego. Przecież jeden drink nie może jej zaszkodzić, prawda? Tyle, żeby zagłuszyć strach, i wszystko będzie dobrze.

Do północy impreza objęła również ogród. Dara znów była szczęśliwa, przyjemnie rozgrzana ponczem. Paliła papierosa i trzymała w dłoni puszkę z piwem, stojąc obok drewnianej szopy, w której właściciel trzymał tymczasowo nieużywane meble. Patrząc na opartą o szopę drabinę, pomyślała o lataniu.

Umiała latać, tego była pewna. Bardzo często robiła to we śnie – trzeba się rozciągnąć i rozłożyć ramiona i nogi, podobnie jak przy pływaniu.

Czasami kiedy się budziła, była tak przekonana o swojej umiejętności latania, że przeżywała prawdziwy szok, uświadamiając sobie, że jednak jest inaczej.

Przywiązanie do ziemi to coś strasznego, zero wolności. Ale dziś na pewno by potrafiła. Była niezwykła. Przesuwając dłonią po gładkiej skórze ramienia, czuła pod nią kształtne mięśnie, gotowe unieść ją ponad ziemię, gdzie dałaby się ponieść gorącym prądom powietrza, jak ptak, wolna. Mogłaby zacząć z dachu szopy.

Świetny plan.

Zaczęła wchodzić na drabinę.,

– Co robisz? – zapytał ją ktoś. Niall. Śmiesznie wygląda, pomyślała Dara. Włosy ma jeszcze dziwniejsze niż zwykle.

– Włosy? – wyartykułowała. Chciała powiedzieć coś w rodzaju „twoje włosy”, ale jakoś jej nie wychodziło. Spróbowała jeszcze raz i znów nic z tego. Słowa zbierały się w jej ustach, jakieś takie niezdarne. Nie cierpiała czuć się niezdarna, więc potrząsnęła głową, żeby to zmienić, jakby to mogło wszystko wyprostować, jednak niezdarność została.

Niall trzymał ją teraz.

– Przestań – bełkotała do niego.

– Co robisz, Dara? – powtórzył. – Nie wygłupiaj się, bo wszyscy wylądujemy na ulicy.

W każdym razie wydawało się jej, że to właśnie powiedział.

– Nie głupia – odparła i uwolniła się od niego, normalnie waląc go po głowie.

– Au, to boli! – krzyknął.

Dara zachichotała i dalej wchodziła na drabinę. Potem go przeprosi, jak już pofrunie.

Czuła się teraz, jakby tańczyła. Na dachu szopy stało wiadro z brudną wodą. Sam dach był zrobiony z surowego drewna.

Dara prawie tego nie zauważyła. Jej skóra była tak pełna życia, że nie zwracała uwagi na takie przyziemne odczucia jak ból, była ponad to.

Z dołu słyszała krzyki. Uśmiechnęła się pobłaźliwie, nic nie rozumieli. Stojąc na krawędzi dachu, spojrzała w dół.

– Dara! Jezu, Dara, co ty tam robisz? Złóż, i to zaraz – wrzeszczał Niall.

– Omuboże!

Poczuła szorstkość drewna, gdy przesunęła jedną stopę do przodu.

Zrozumieją, kiedy zobaczą, jak lata. Skoczyła, czekając na omiatające jej ciało prądy powietrza, które porwą ją w górę, na to cudownie uczucie podniebnego szybowania.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Był tylko nagły skrzek strachu, żołądek podszedł jej do gardła jak na karuzeli, a potem ciemność.

– Trudno powiedzieć, co brała...

Słowa dotarły do świadomości Dary.

– Pili, wszyscy...

– Nigdy nie widziałem nic podobnego... jest policja. Nie, sama to zrobiła... mówiła, że umie latać. Nie mam pojęcia, jakim cudem nic sobie nie złamała. Choć ma nieźle skręconą kostkę. Upadła na worki ze śmieciami, inaczej byłaby w kawałkach.

Głosy umilkły, gdy znikąd, nagle, pojawił się ból – jak grad kul. Ostry, parzący, nieznośny. Ale dzięki niemu przestała przynajmniej myśleć o tamtym bólu, tym w sercu. Ból fizyczny łatwiej było znieść. Z nim zawsze wiadomo, na czym człowiek stoi....

Mały salonik śmierdzał palonym drewnem i starym potem. Kiedy Dara mieszkała na alei Przebiśnegowej, nigdy nie zdawała sobie sprawy, jaki brudny i ponury był ich dom, przez całe jej życie z tą samą tapetą na ścianie. W salonie to mogły kiedyś być małe niebieskie kwiatki na kremowym tle. Wyobrażała sobie, jak mama ją wybiera i potem popędza tatę, żeby wytapetował pokój. Teraz była żółta, a kwiatki wyblakły w nicość, bardziej żółta na górze z powodu lat kontaktu z dymem tytoniowym, z wielkimi pasami oderwanymi od ściany nad kominkiem – wynik pewnej nocnej awantury.

– Więc wróciłaś.

Ojciec Dary siedział w swoim starym fotelu przy kominku, z

nieodłączną szklanką w dłoni, obok poplamionego karcianego stolika, na którym leżały akcesoria do skręcania papierosów. W szkle połyskiwał przezroczysty płyn, więc się domyśliła, że dostał skądś pędzoną pokątnie whiskey. Nielegalny irlandzki alkohol, dobrze zrobiony, był mocny, cudownie słodki i dojrzały. Produkowany byle jak mógł doprowadzić nawet do ślepoty. Ale tata by się nad tym nie zastanawiał. W tej kwestii zgadzał się z Machiavellim: cel uświęca środki. Tak czy inaczej można się było nim upić, czyli działał. Cała reszta się nie liczy.

– Wróciłam – powtórzyła, choć nie miała ochoty się odzywać. Wystarczy, że musi się tu znów wprowadzić. Nie chciała z nim gadać. Rozmawiali o tym wcześniej z Gregiem.

– Ostatnio nie jest taki zły – twierdził Greg. – Nie pije tyle w domu, częściej wychodzi. Tak jest łatwiej.

– Łatwiej by było, gdyby zdechł – burknęła Dara na brata.

– Łatwiej by było, gdyby cię nie wywalili z mieszkania – powiedział Greg głosem bez wyrazu. – Opowiesz mi o tym?

– Nie, po prostu nieporozumienie w związku z czynszem – skłamała. Jak mogła się przyznać, że właściciel wyrzucił ją po ostatniej imprezie? Znalazłaby coś innego, gdyby tylko oddał jej kaucję, ale oczywiście nie oddał.

– Oszalałaś, kobieto? – krzyknął na nią, wymachując rękami. – Chcesz kaucję po tych wszystkich problemach, które mi zgotowałaś? Mam policję na karku, a w kolejce czeka skarbówka. Wynoś się i nie wracaj.

Bez pieniędzy i dachu nad głową – pytała kilka koleżanek, czy nie mogłaby zamieszkać z którąś z nich, ale wszystkie odmówiły – nie zostało jej nic innego, jak wrócić na aleję Przebiśniegową.

Była pewna, że dawny pokój nie pomieści wszystkich jej rzeczy, ale –

co dziwne – okazało się, że posiada mniej, niż się jej wydawało. Wypakowała jeden z worków na śmieci i zaczęła wkładać ubrania do zakurzonej szafy, ale była zbyt zniechęcona, żeby dokończyć tę czynność. Położyła więc pełne worki w jednym kącie i zeszła na dół.

– Napijesz się? – ojciec wskazał butelkę na podłodze.

Nie było szklanek, tylko kilka brudnych kubków na kominku.

– Gościnność Murphys – skomentowała cynicznie.

Rzucił jej to swoje spojrzenie, z którym dorastała, niebezpieczne.

Na pewnym poziomie upojenia alkoholowego widoczna w oczach złość w ciągu milisekundy mogła się zmienić w czystą furję, a wtedy doskakiwał do niej i walił w twarz. Niewiarygodne, jaki szybki może być taki niewysportowany człowiek, jeśli tylko chce.

Innym razem spoglądał tylko chłodno i kazał jej spieprzać.

Kiedyś bez pudła potrafiła rozpoznać każde z tych spojrzeń. Wypracowała to jak naukowcy w CERN–ie matematyczny wzór:  $x + y =$  katastrofa/umiarkowana obojętność, z wariantem k.

Ale dziś nie miała siły analizować jego nastroju.

Niech ją uderzy.

Nie mógł już zranić jej w środku, nikt nie mógł. Cóż znaczy jeszcze jedno uderzenie pięścią ojca? Przywykła do tego. Po pierwszych dziesięciu latach człowiek staje się przyjemnie odrętwiały. Dara nigdy mu nie oddała. Nie wiedziała dlaczego. Przecież ojciec powinien chronić dziecko. Czy o to chodzi? Że prawidłowa relacja między rodzicem i dzieckiem zakodowana w jej podświadomości spowodowała, że była zbyt oszołomiona, by właściwie zareagować?

Tak czy inaczej, zawsze pozwalała, by ją bił.

Ale na tym koniec. Może i jej stary pokój jest wciąż taki sam, jednak

Dara się zmieniła. Odda mu, podpowiadał jej to niezawodny zwierzęcy instynkt, który zawsze miała.

– Nie ma sprawy – odparł ojciec ze wzruszeniem ramion.

– Nie pijesz, zostanie więcej dla mnie.

Na dźwięk tego słowa od razu poczuła pragnienie. Pragnienie tego przyjemnego wewnętrznego ciepła, którego nikt nie mógł jej zabrać.

– Zmieniłam zdanie – warknęła.

Złapała butelkę z podłogi, odkręciła i przyłożyła do ust. Towar był niezły, nawet bardzo, słodki i delikatny, jak dojrzałe japońskie wino ryżowe, tylko zimne.

– Jezu, nie mówiłem, żebyś wypiała wszystko – zauważył, patrząc jak butelka coraz bardziej się opróżnia.

Bimber zrobił swoje, i to wielokrotnie. Dara była tak zmęczona, że usiadła w fotelu i gapiła się pustym wzrokiem w telewizor, gdy ojciec oglądał mecz, myśląc, jak tu zebrać siły, żeby wejść na górę i położyć się do łóżka.

– Pomogę ci – powiedział nagle ojciec, gdy wstała i zataczając się, szła do drzwi.

Jakoś udało im się wejść po wąskich schodach. W pokoju ojciec zaciągnął ją do łóżka i Dara opadła na nie bezwładnie, zrzucając na podłogę plastikowe worki.

– Położę cię – mamrotał, podnosząc jej stopy na łóżko i zdejmując buty. Odsunął kołdrę i popchnął ją dalej do ściany, żeby zrobić więcej miejsca. – Moja dziewczynka.

Dara otworzyła szeroko oczy. Strach ją otrzeźwił. Był bardziej pijany niż ona, widziała to. Wypił już tyle, że teraz szło to coraz szybciej. Od zera do setki w kilka drinków. Oto co robi z człowieka czterdzieści lat picia.

– Moja dziewczynka.

Trzymał rękę na jej szyi, obejmując ją, palce ześlizgiwały się do jej piersi w taniej akrylowej koszulce z kołnierzykiem, którą miała na sobie.

Wspomnienia uderzyły ją jak obuchem.

– Bierz łapy! – ryknęła. – Bierz te łapy!

– Jezu, ja tylko... – mamrotał.

Dara kopnęła go z całej siły, aż spadł z łóżka.

– Wynocha!

Pozbierał się jakoś z podłogi i zatoczył do drzwi. Zaczęło nią trząść, więc ześliznęła się z łóżka, gorączkowo szukając w swoich rzeczach butelki wódki. Wracały wspomnienia, a ona nie chciała pamiętać.

– *Wykąpiemy się i będziesz cała czyściutka.*

– *Dobrze, tatusiu.*

*Woda była dla niej za gorąca, ale i tak włożył ją do wanny.*

– *Dzielna z ciebie dziewczynka, wiesz o tym?*

*Nie było piany, tylko woda, więc widziała jego chude nogi i kościste ciało. Tylko brzuch, miękki od piwa, był tłusty, biała masa spoczywająca na sflaczałym penisie.*

*Chłopcy w szkole żartowali czasem z siusiaków. Padraig, który miał prawie dziesięć lat, więc był starszy niż reszta trzeciej klasy, narysował kiedyś jednego i nauczycielka wyrzuciła go z sali. Dara się nie odzywała. Ona też mogła narysować siusiak.*

– *Jest brudny, więc tatuś nie może go dotykać. Umyj go tatusiowi, grzeczna dziewczynka.*

*Robiła to już wcześniej. Robiła gorsze rzeczy.*

*To co działo się w jej łóżku, kiedy się naprawdę upił, było przecież gorsze, prawda? Choć mówił, że to takie ich wyjątkowe chwile. Te wyjątkowe chwile bardzo raniły Darę. Zamykała zawsze oczy i uciekała w to miejsce w*

*swojej głowie, gdzie nikt nie mógł jej dotknąć. Tam było bezpiecznie.*

Znalazła butelkę w pudle z płytami. Wypiła połowę wódki, strumień parzącego płynu nawet nie dotknął jej gardła, gdy go w siebie wlewała. Zanim zacznie działać, minie jakaś chwila. Teraz już tak było. Czasy, gdy działało od razu, należały do przeszłości. Żeby poczuć się ciepło i bezpiecznie, musiała pić coraz więcej i więcej. Ale teraz pora stąd spadać. Nie mogła zostać. Wepchnęła trochę *rzeczy* z powrotem do czarnego worka, wzięła torebkę i plecak i zeszła po schodach. Na dole leżały kluczyki od jego gównianego samochodu. Wzięła je. Nie miała pojęcia dokąd, ale musiała uciec, wyjechać z miasta.

Zgubiła się, zanim na dobre opuściła teren zabudowany. Jechała starą drogą w samym środku jakiegoś zadupia. Jezdnię rozdzielał niewielki pas zieleni, a w dali widziała morze. Samochód wydawał dziwne odgłosy. Wiedziała, że jest jakiś problem ze sprzęgłem. Kupa gówna. Typowe dla wszystkiego, co posiada ojciec. Skręciła kierownicę i auto wjechało w zarośnięty trawą rów, wydając przy tym działający jej na nerwy chrobot.

– Cholera – syknęła, waląc w kierownicę. Całe wieki otwierała drzwi, bo nie mogła znaleźć klamki. Kiedy w końcu się jej udało, prawie wypadła na drogę. Nareszcie się wydostała. Samoloty też mają ten problem, prawda? Muszą ocenić, gdzie jest horyzont i gdzie dół, a gdzie góra. Ale Dara nie mogłaby być samolotem. Niestety. Żadnego więcej latania.

Skupiła się na okolicy. Dojechała prawie na sam cypel, który wbijał się w morze. Jeszcze kawałek, a by tam była. Droga się zwężała, a potem nagle kończyła, jeszcze kilka metrów gęstej trawy i nic więcej, tylko woda i skały. W pewnym miejscu stoi tam taki drewniany plotek, przypomniała sobie, i jeśli ostrożnie go obejść, można pójść jeszcze dalej, do samej krawędzi i patrzeć w dół na spienione fale, wyobrażając sobie, jak tam lądujesz, wbita na



ostre, wystające skały, wśród których żyły miliony skorupiaków.

W pobliżu musi być jakiś dom, bo widziała tablicę ze skrzynką pocztową, na której ręcznie napisano *Bluestone*.

Zastanawiała się, czy to rzeczywiście nazwisko, i wtedy się potknęła, upadając na żywopłot przy samochodzie. Był zaskakująco miękki, z pachnącym mchem wilgotnym od deszczu, który padał wcześniej tego dnia. Położy się tu. Zamknie oczy i chwilę odpocznie.

Obudziła się zesztywniała z zimna. Światło zniknęło już z nieba, a z ziemi zaczynała się unosić wieczorna mgła. Dara poruszyła głowę i jęknęła. Odlot minął i znów była w tym szarym miejscu, którego najbardziej nie cierpiała – tu, gdzie nienawidziła siebie w każdy możliwy sposób. Właściwie nie było sensu się ruszać, no bo po co? Dokąd miałyby pójść? Nikt jej nie chciał, a zresztą ona też nikogo nie chciała.

W końcu jednak musiała się ruszyć, bo zachciało się jej sikać, ale kiedy stanęła jakoś na nogach, poczuła, że jedna nogawka spodni jest bardziej mokra niż reszta wilgotnego ubrania. Głowa jej pękała, ale schyliła się, żeby powąchać. Mocz. Zdażyła się posikać. Wstrząsnęła nią kolejna fala obrzydzenia, tym razem mocniejsza.

Przykucnęła przy samochodzie, żeby sobie ulżyć, wykrzywiając twarz, gdy wciągała z powrotem mokre džinsy. Była odrażająca, nikt nie musiał jej tego mówić.

Samochód też wzbudzał odrazę. Wzięła jego auto. Jak mogła zrobić coś takiego? Jak mogła po tym wszystkim znów się do niego wprowadzić?

I po tym, co jej zrobił.

I James, nigdy nie zapomni, co zrobił jej James. Nikomu nie powiedziała, zresztą kto by jej uwierzył? Kto stanąłby po jej stronie, kto by jej współczuł? Nie miała nikogo.

Rozplakała się. Bezgłośny szloch wyrzucał z jej duszy ogromne głązy. W końcu powlokła się z powrotem do rowu i znów opadła na mech, zagubiona i samotna w swoim nieszczęściu.

Nie słyszała kroków dochodzących z podjazdu przed domem z napisem Bluestone, ale zaraz zdała sobie sprawę, że ktoś się jej przygląda. Kobieta, wysoka i szczupła, w długim wełnianym swetrze, którym targał wiatr. Długie pasma srebrzystych włosów fruwały wokół jej twarzy wyrażającej głęboki niepokój. Dlaczego? zastanawiała się Dara. W okolicy była tylko ona, a dlaczego ktoś miałby się nią przejmować, skoro sama jest sobie winna? Nie ma współczucia dla kogoś, kto sam ściąga na siebie nieszczęście.

– Mogę jakoś pomóc – powiedziała kobieta. To nie było pytanie. Tylko oferta pomocy.

Dara pokręciła głową, czując, że z oczu znów cieką łzy.

Kobieta kucnęła i zbliżyła się do niej w sposób, w jaki człowiek próbuje podejść do potrąconego przez samochód dzikiego kota.

– Co się stało? – zapytała.

– Chcę umrzeć – odparła Dara. I tak było. Właśnie teraz. Mogłaby nie żyć, tak by było łatwiej, mniej by bolało. Nikt naprawdę nie będzie za nią tęsknił. No dobra, może Greg, i tak bardzo go kochała, ale trzymali się razem jako dzieci, a teraz Greg jest dorosły i znalazł kogoś innego, kto go kocha – Ruth. Poradzi sobie. Nie był taki jak ona.

– Możesz to zmienić – odezwała się tymczasem kobieta.

Mówi dziwne rzeczy, uzmysłowiła sobie Dara.

– Naprawdę? – zapytała ją, sama się nad tym zastanawiając.

Kobieta przechyliła srebrzystoblond głowę jak ptak, i wtedy Dara zauważyła, że ma przedziwne oczy – raczej długie niż okrągłe i lekko uniesione do góry na końcach, jakby w żyłach jej przodków płynęła azjatycka

krew. I miały niesamowity odcień zielonego, nie jakiś tam przybrudzony, tylko prawdziwy kolor oliwiny z mocnymi ciemnymi obwódkami wokół tęczówek.

Złapała Darę za rękę, zanim ta zdała sobie z tego sprawę. I wydarzyły się dwie rzeczy: kobieta zamknęła oczy i westchnęła, a Dara poczuła falę ciepła, która płynęła przez jej dłoń, jakby się opierała o piec. Gorąco aż parzyło, od dłoni, przez ramię, aż do – i to było naprawdę dziwne – do serca. Tak to czuła. Nie puszczając ręki kobiety, z trudem usiadła i dotknęła piersi swoją drugą dłonią. Tak, w miejscu gdzie powinno być serce, czuła ciepło. Normalnie nie czuła tam nic, tylko pustkę. A czasami tępy ból. Ale teraz było tam ciepło i to dodawało jej otuchy...

– Biedne dziecko, zostałeś bardzo zraniona, ale możesz sobie pomóc – powiedziała kobieta, puszczając jej dłoń.

Dara chciała zaprotestować, na szczęście jednak to cudowne, kojące uczucie ciepła pozostało w niej. Spojrzała na swoją dłoń. Wyglądała zupełnie normalnie.

– Jestem Gwiazda Bluestone – przedstawiła się kobieta.

– Robiłam właśnie kolację. Miałabyś ochotę zjeść ze mną?

## **DWA LATA PÓŹNIEJ**

Sofie, Lorelei i Dara wyszły ze spotkania, zegnając się z wszystkimi palącymi, którzy zostali jeszcze chwilę na papierosa.

– Idziemy do mnie na kawę – powiedziała do palaczy Lorelei.

– Za chwilę dojdziemy – odpowiedział jeden z nich. Trzy kobiety szły powoli chodnikiem i w pewnej chwili natknęły się na grupkę chłopców, którzy kopali piłkę, odbijając ją od ściany.

– Co wy tam właściwie robicie? – zapytał jeden z nich.

– Jesteście tu w każdy poniedziałek wieczorem. O co chodzi?

Dara przyjrzała się im uważnie.

– Jesteśmy prawicową grupą chrześcijańską – wyjaśniła. – Zwykli Ludzie Przeciw Diabłu. O, spójrzcie... – i zaczęła szukać czegoś w torebce. – Mam ulotki. Mogę wam dać. Trzeba odmówić modlitwę wieczorną dziewięćdziesiąt razy i przyrzec, że nie stracisz dziewictwa do dwudziestego pierwszego roku życia, to naprawdę łatwe.

Chłopcy patrzyli na nią z przerażeniem.

– Ale trzeba rzucić palenie, picie i dziewczyny. O... – Dara wskazała na piłkę, która leżała teraz nieruchomo – i piłkę. Piłka nożna to dopiero dzieło diabła. To znaczy, no dajcie spokój – Arsenal? Przecież to oczywiste.

I wyciągnęła z torebki jakieś papiery – w rzeczywistości broszurki reklamujące zajęcia aerobiku w nowym, dopiero co otwartym klubie.

– Proszę, to ulotki. Spodoba się wam.

– Banda dziwaków – wymamrotali chłopcy i odbiegli z piłką.

Trzy kobiety wybuchnęły śmiechem.

– Mogłybyśmy pokazać im robotę diabła – zaśmiewała się Lorelei.

– I jeszcze coś na dokładkę – westchnęła Sofie, która od trzech lat była trzeźwa, ale wciąż cała się trzęsła, przypominając sobie siebie z tamtych czasów. – Gdyby oni wiedzieli.

Do domu Lorelei doszły w pięć minut, mieszkała sama w niewielkim segmencie. Odkąd Dara zaczęła uczęszczać na spotkania Anonimowych Alkoholików w Inchicore, spędziła u niej wiele wieczorów.

Wszystko dzięki Gwieździe Bluestone, zdawała sobie z tego sprawę. Gdyby nie wzięła jej do siebie, nie opiekowała się nią w czasie potwornej fazy odtruwania organizmu z alkoholu, a potem nie wozila na spotkania AA, nie byłoby tu dziś Dary. Nigdy nie zdoła Gwieździe podziękować.

– Sama to zrobiłaś – odpowiadała za każdym razem, gdy Dara jej to

mówiła.

– Nie zrobiłabym tego bez ciebie – protestowała Dara.

– Bez kogoś, kto we mnie wierzy.

– Macie ochotę na herbatniki? – pytała tymczasem Lorelei, gdy woda gotowała się już w czajniku.

– Nie – odparła Sofie. – Odchudzam się. Próbuję dietę Plan F.

– Ja się już nie odchudzam – stwierdziła pogodnie Lorelei. – Za dużo słodzę, żeby zawracać sobie głowę odchudzaniem.

Lorelei przestała pić dwanaście lat temu. Miesiąc wcześniej obchodziła urodziny AA i wydała przyjęcie dla całej grupy z Inchicore. Urodziny AA były cenne, cenniejsze niż te zwyczajne. Kiedy przestajesz pić, mówiła Lorelei, to jakbyś rodziła się po raz drugi.

Była całkowitym przeciwieństwem tego, co Dara dawno temu mogłaby uznać za „alkoholika”. Przede wszystkim pochodziła z dobrze sytuowanej i wykształconej rodziny. Jej mąż, podobnie jak ojciec i bracia, był znanym chirurgiem, a ona rozwijała skrzydła jako fizjoterapeutka, dopóki nie zepsuła wszystkiego pić.

Patrząc teraz na elegancko ubraną siwowłosą kobietę, trudno było sobie ją, wyobrazić pijaną i dobijającą się do drzwi własnego domu, krzyczącą na męża, żeby ją wpuścił, bo musi się zająć dziećmi – a takie właśnie przedstawienie odgrywała co wieczór przez miesiąc, aż w końcu mąż wyrzucił ją z domu. Opiekę nad dziećmi przejęła jego matka, a Lorelei wypijała przynajmniej litr wódki dziennie, żeby fakt ten wymazać z pamięci. Kiedy już go wymazała, mogła wracać do domu i zacząć znów się dobijać.

– To byłam ja – powiedziała Darze, kiedy się poznały.

– Nie miałam domu, mieszkałam na ulicy. Wylądowałam na dnie, dotkliwie objając sobie tyłek.

Nie powinno się przywiązywać wagi do wyglądu, ale Dara wiedziała, że ocenia ludzi na jego podstawie: ten dobrze wychowany człowiek z pięknym samochodem nie może być uzależniony od heroiny. A ta pani z doskonale ułożoną fryzurą i manikiurem nie mogła przecież sikać na środku ulicy i wykrzykiwać obelg pod adresem przechodniów, aż w końcu zabierała ją policja. A jednak tak właśnie było. Wygląd nic nie znaczy. Liczy się wnętrze.

– Jak ci się układa z Desem?

Zaskoczyła Darę.

– Ty się rumienisz! – zauważyła Sofie.

– Przestań! – zirytowała się Dara, jeszcze bardziej czerwieniejąc.

– To musi być miłość.

– Och, wypchajcie się – powiedziała, ale z uśmiechem.

– Zresztą, niech wam będzie, to miłość. Zadowolone?

Pół godziny później Dara dopijała swoją kawę.

– Wracam do domu – oznajmiła i wysunęła się z za kuchennego stołu Lorelei. Otworzyła drzwi wyjściowe, a potem szepnęła do Sofie i Lorelei: – żeby spędzić trochę czasu z moim kochankiem!

– Jak było na spotkaniu? – zapytał Des, gdy wróciła do domu.

Gotował. I to gotował wspaniale, ale za to sprzątanie szło mu bardzo słabo. Wypracowali więc razem taki system, że on gotował – ona i tak nie miała doświadczenia, bo wychowała się na spaghetti z puszki, fasoli i parówkach oraz białym chlebie – a ona potem sprzątała.

– Bardzo dobrze. – Stanęła za nim i objęła go, przytulając się do jego silnych pleców. – Co to? – wciągnęła nosem zapach.

– Dorsz w sosie cytrynowym.

Des trzymał w ręku kupiony w antykwariacie egzemplarz *Kuchni dla smakoszy* i pilnie się weń wczytywał.

Dara jeszcze raz pociągnęła nosem.

– Jesteś pewien, że ta ryba nie jest zepsuta? – zapytała.

– Świeża, prosto z kutra – odparł z oburzeniem Des.

– Kupiłem dziś w McKee's.

– Przepraszam, ale dziwnie pachnie.

Obydwoje pochylili się nad patelnią i powąchali.

Darę aż odrzuciło.

– Chyba zaraz zemdleję – zdążyła wymamrotać, zanim Des ją złapał,

– Co się stało? – Po chwili próbowała wstać, ale głowę miała wciąż otepiałą.

Leżała na łóżku, a Des siedział przy niej z zatroskaną miną.

– Zemdląłeś.

Słyszała w jego głosie niemal oskarżenie.

– Nigdy w życiu nie zemdlałam – odgryzła mu się.

– Dara, to nie czas, żeby udowadniać, jaka jesteś twarda! – jęknął Des.

– Po prostu uwierz mi, że zemdląłeś.

– Dlaczego niby miałabym zemdleć?

– A skąd ja mogę wiedzieć?

Patrzyli na siebie ze złością.

– Przepraszam. – Des położył się obok niej i przytulił ją tak mocno, że czuła, jak chroboczą jej żebra. – Martwię się o ciebie.

– Nic mi nie jest.

– Nieprawda. Idziemy do lekarza.

Następnego ranka w poczekalni Des martwił się o Darę, a Dara martwiła się, jak zapłaci lekarzowi. Nie mieli pieniędzy, przecież ich nie stać. Ledwie starczało im na życie i opłacenie czynszu.

– Kochanie, wracajmy do domu – powiedziała. – Czuję się już zupełnie

dobrze.

– Nie – odparł stanowczo. – Idziesz do lekarza, jesteś chora.

W gabinecie Des usiadł na krześle i czekał z niepokojem w oczach, podczas gdy lekarz spokojnie zmierzył Darze ciśnienie, zadał kilka pytań, zanurzył jakieś patyczki w próbce jej moczu i zbadał węzły chłonne na szyi.

Po chwili podniósł cienką białą tubkę.

– To nie zakażenie układu moczowego ani infekcja nerek, ale chyba wiem, co pani dolega.

– Co? – Des wyglądał, jakby się spodziewał najgorszego-

– Jest pani w ciąży – uśmiechnął się lekarz.

– Jezu! – powiedział Des.

– W ciąży? – powtórzyła zdumiona Dara, a potem powtórzyła to w głowie: w ciąży, ona? I poczuła, jak ogarnia ją cudowna radość, od palców u stóp aż do samej głowy. W ciąży! Będą mieli dziecko, jakie to niewiarygodnie cudowne.

Des złapał ją i namiętnie pocałował w usta.

– Poradziłbym wam wynająć jakiś pokój – zażartował lekarz – ale najwyraźniej ten etap macie już za sobą.

W dniu ślubu Grega i Ruth Darę obudził cudowny kwietniowy poranek. Wesele organizowano na szybko, bo Greg wyjeżdżał służbowo na kontrakt do Sydney i kto wie, kiedy znów będą z Ruth w domu, żeby móc się pobrać wśród rodziny i przyjaciół.

– Gotowa? – zawołał z dołu Des.

Znaleźli mały domek w Ashbourne. Co prawda Des miał stąd daleko do pracy, ale był ogródek i wielu sąsiadów z dziećmi – idealnie dla malucha, kiedy się urodzi.

– Gotowa jak nigdy – powiedziała Dara. Jej włosy błyszcząły, policzki



same się różowiły, bez potrzeby nakładania pudru czy rózu, i mimo że jej ogromną bawełnianą sukienkę i płaskie sandały trudno by podziwiać za elegancję, i tak wiedziała, że nigdy w życiu nie wyglądała lepiej. Jak bogini, dojrzała i silna miłością.

*Dzięki tobie* szeptała do dzidziusia w swoim brzuchu. *Dzięki tobie.*

Bez dziecka w jej łonie ten dzień byłby dla niej nie do przejścia.

W momencie gdy ojciec otworzył tylne drzwi samochodu Desa, od razu poczuła jego oddech – słodkawy, lekko miodowy zapach porannego drinka wymieszany z ciężkim aromatem wczorajszego bimbru wydobywającego się przez pory skóry. Nie odezwała się, kiedy usiadł z tyłu, tylko uśmiechnęła na powitanie i mocno objęła rękami wydatny brzuch. W zapachu przetrawionego alkoholu było coś chorego. Mówi się, że ciężarne kobiety nie powinny wdychać dymu papierosowego. To samo powinno dotyczyć pijackich wyziewów.

– Nigdy bym nie pomyślał, że dożyję tego dnia – powiedział uradowany ojciec.

Zawsze był zadowolony, gdy trafiło mu się rano kilka kieliszków, pomyślała ze złością Dara. I zadowolony, gdy miał przed sobą imprezę, na której może się z wszystkimi bratać i grać duszę towarzystwa. Nic dziwnego, że tak niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, że Bernard Murphy ma poważny problem z alkoholem. Na imprezach widzieli tylko uroczego kompana, który z biegiem czasu zaczynał mówić nieco niewyraźnie, za to lubił zasiąść przy fortepianie i śpiewać piosenki Percy'ego Frencha. Czy jest w tym coś złego?

Nigdy nie widzieli złości, która wypływała na tę twarz, kiedy impreza się kończyła, ani zniszczeń, jakie potrafił czynić, gdy nie miał obok siebie pełnej podziwu publiczności, a jedynie dwoje niechętnych widzów – syna i córkę.

Samochód szarpnął na czerwonym.

– Przepraszam – powiedział przepraszająco Des.

Uśmiechnęła się do niego leciutko. Był tak samo zdenerwowany jak ona, tylko dlatego, że nie chciał, by spotkała ją jakaś przykrość.

Dara czuła, że serce zaczyna jej walić ze złości. To niedobrze dla dziecka. Zmusiła się do głębokiego oddechu i pozbyła gniewu. Nie, nie pozwoli, by cokolwiek zepsuło jej ten dzień, obiecała sobie. To dzień Grega, i dla niego oraz dla jego ukochanej Ruth pójdzie na wesele i będzie się uśmiechała, jakby rzeczywiście stanowili normalną rodzinę, w której jedyny syn się żeni. A nawet zatańczy z ojcem, gdy nadejdzie czas. Zrobi to dla Grega i Ruth.

Sam ślub w ogóle jej nie martwił. Nie odbywał się w kościele, do którego chodzili z Gregiem jako dzieci – to byłoby trudne, siedzenie w ławce i patrzenie na te znajome stacje Drogi Krzyżowej, które od razu przeniosłyby ją z powrotem w dzieciństwo, gdzie zawsze towarzyszył jej strach i napięcie. Na szczęście Greg i Ruth wybrali kościół w pobliżu hotelu, w którym się odbywało przyjęcie. Był kojąco nieznanym, z dziewczęcym chórem, który śpiewa na ślubach z akompaniamentem gitary. Nie wiązały się z nim żadne wspomnienia.

Sam hotel był bardzo ładny, cały obrosnięty bluszczem. Prowadziło go urocze małżeństwo. Zapewne organizowali takie uroczystości co tydzień, ale zachowywali się tak, jakby ślub Murhpy/Keogh był u nich wydarzeniem roku.

Wszystko dało się załatwić. Przytachali skądś dla Dary wielki fotel z podnóżkiem i kilka poduszek, żeby mogła wygodnie usiąść podczas uroczystości powitalnej przy barze. Większość ludzi stała, więc Dara znajdowała się o poziom niżej, co jej pozwoliło na spokojną obserwację.

Patrzyła, jak świeżo upieczona bratowa stara się każdemu poświęcić trochę uwagi. Jej piękna kremowa suknia i miniaturowe różyczki zdobiące jasne splewające loki przemykały wśród zebranych gości to tu, to tam. Widziała Desa, rozmawiającego cierpliwie ze starszą panią, cioteczną babką Ruth, która się martwiła, że nie zna w hotelu nikogo prócz gości weselnych, „a oni na pewno nie będą mieć dla niej czasu”.

Obserwowała też, jak Greg śledzi wzrokiem Ruth i widziała, jak na początku stał ze szklanką pełną piwa, ale po chwili ją odstawił, wypiwszy zaledwie mały łyżeczek. Zauważyła ojca, który stał przy barze wraz z ojcem Ruth, obydwaj z piwem z dłońmi. Bernard oparł jedną stopę na rurce biegnącej wzdłuż baru – tę pozę przybierał tak często, że Dara się zastanawiała, czy mięśnie tej nogi nie były krótsze niż drugiej. Jedno piwko zastąpiło następne, a potem przeszli na whiskey. Ze swojego miejsca nie słyszała, o czym rozmawiali, ale znała to na pamięć.

– No tak, do obiadu i wina jeszcze sporo czasu. Wypijmy kilka głębszych, żeby się rozkręcić.

Ona i Des zjedli zupę grzybową, a potem łososia irlandzkiego i pozarli wręcz deser bezowy z malinami, od czasu do czasu wymieniali spojrzenia podczas weselnych występów. Jako ojciec pana młodego Bernard Murphy nie miał przemawiać, ale to nigdy wcześniej go nie powstrzymywało.

Siedział sobie zadowolony obok mamy Ruth i nic w jego wyglądzie nie wskazywało na to, że ilość, jaką zdążył już wypić, powaliłaby niejednego normalnego człowieka.

– Piękny dzień, prawda? – powiedział do Dary ojciec Ruth, kiedy siedzieli pod ścianą, czekając, aż stoliki zostaną przesunięte, by zrobić miejsce na tańce. – Mieliliśmy szczęście z pogodą, choć założę się, że byłabyś zadowolona, gdyby nie było tak ciepło.

Dara uśmiechnęła się do niego.

– Mieliśmy szczęście pod każdym względem – zapewniła.

Ostatecznie to tańce poruszyły tę czułą strunę. Zespół

grał znane przeboje. Na początku zabrzmiała ulubiona piosenka Ruth: *Just the Way You Are* Billy'ego Joela. Wokalista miał niezły głos, myślała z roztargnieniem Dara, patrząc, jak jej starszy brat obejmuje swoją piękną żonę i delikatnie prowadzi ją na parkiecie.

Obok nich zaczęli podrygiwać matka Ruth i ojciec Dary, a zaraz po nich wszyscy zgodnie poderwali się do tańca i w ten sposób wszelkim formalnościom ślubno– weselnym stało się zadość. Jedna piosenka płynnie przechodziła w kolejną, aż w którymś momencie popłynęła *What a Wonderful World* Armstronga.

– Chodź, mała, poskaczemy trochę.

Dara oderwała wzrok od tańczących i zobaczyła przed sobą ojca.

– Nie tańczę – powiedziała. – Tata Ruth pytał, czy chcę sobie odpuścić rodzinny taniec, i powiedziałam, że tak. Mam już za duży brzuch.

– Nonsens.

Złapał ją mocno za ramię i postawił na nogi. Dziwne, jak można wyglądać tak krucho i mieć taką siłę. Bardzo mylące.

– Trochę ruchu dobrze ci zrobi.

Jedną ręką ją objął, w drugiej trzymał jej dłoń i patrzył w dół, żeby skoncentrować się na krokach. Zawsze był dumny ze swoich umiejętności tanecznych – umiał tańczyć nawet fokstrota, mawiał, choć Dara nigdy widziała go w wykonaniu na trzeźwo.

Przybrała odpowiedni wyraz twarzy i pozwoliła mu poniewierać sobą na parkiecie. Nie dała mu poznać, ile ją to kosztowało.

– Przyjdiesz mnie chyba odwiedzić, kotku, kiedy dziecko się urodzi,

co? – zapytał ojciec.

Potknął się lekko, ale Dara go trzymała, więc tańczyli dalej. Wciąż był wysokim mężczyzną, choć mięśnie zamieniły się już w tłuszcz, a jego brzuch był niemal tak nabrzmiąły jak jej – od nieprzerwanego raczenia się przez lata piwem. Które oczywiście popijał whiskey.

Dara chciała mu powiedzieć: *Pewnie, że cię odwiedzimy*, ale po prostu nie mogła. Nie potrafiła kłamać, nie teraz, nie, kiedy słucha jej dziecko. Zbyt dużo było już kłamstw w domu Murphych, wystarczy.

– Piękny dzień – kontynuował ojciec – naprawdę piękny. Ilu facetów, którzy bawią się na ślubie córki i syna w ciągu jednego roku, może się pochwalić, że to wyłącznie ich zasługa? Nie byłem takim złym ojcem, prawda, Daro?

Czekał, aż mu przytaknie. Że powie zaraz: Tak, tato, byłeś najlepszy. Nigdy nie krzyczałeś na nas tak długo, aż się pochowaliśmy, ani nie straszyłeś nas pasem i nie przepijałeś pensji, że nie było na jedzenie i musieliśmy biegać do mamy Ruth po chleb z cukrem, ani... Zająknęła się na tym „ani”. Było takie wielkie, większe niż kiedykolwiek, teraz, gdy była w ciąży.

– Prawda, Daro?

Nie mogła już tego znieść.

Zdała sobie sprawę, że zawsze czekała na coś – na coś, co pozwoli jej poczuć, że przeszłość jest znów bezpieczna, na tę chwilę, gdy ojciec przemieni się w mitycznego tatusia, jakim nigdy nie był. Wizja tej przeszłości była jak odległy sen po przebudzeniu, prawie mogła jej dotknąć. Wyciągała więc rękę, ale okazywało się, że jest poza jej zasięgiem.

Nic nie zmieni przeszłości, ani jej najserdeczniejsze pragnienie, ani ten szczęśliwy dzień, kiedy może oglądać rodzinę rzeczywiście razem, gdy wszyscy się do siebie uśmiechają, a nie przybierają masek, jakby za wszelką

cenę chcieli zapomnieć.

Dara siedziała właśnie u Gwiazdy, patrząc jak układa pasma farbowanego jedwabiu, kiedy zaczęły się skurcze.

– Och – powiedziała zdziwiona, łapiąc się za brzuch, gdy przechodziły przez nią kolejne fale bólu.

– Czy to już? – pytała zaniepokojona Gwiazda.

Dara pokiwała głową, wytrzymując ból. Kiedy skurcz minął, odchyliła się na krześle i dyszała głośno.

– Au! – powiedziała i roześmiała się z ulgą. – To chyba skurcze Braxtona–Hicksa.

Wiele godzin spędzili z Desem, studiując poradnik dla przyszłych rodziców.

Gwiazda nie wyglądała na przekonaną.

– Nie wydaje mi się.

– Nie, naprawdę, najpierw muszą odejść wody – zaczęła Dara i przerwała, gdy wyleciał z niej strumień płynu. – No tak – przepraszam, na podłogę.

Teraz to Gwiazda się roześmiała.

– Ta podłoga doświadczyła już wielu wód płodowych, tego możesz być pewna. Moja mama urodziła ośmioro dzieci.

– A ty?

– Ani jednego jak na razie.

Des był na farmie wujka, bardzo blisko, więc szybko znalazł się w domu Gwiazdy.

– Spokojnie, skurcze są co dwadzieścia minut – powiedziała Dara, która leżała teraz na kanapie otoczona poduszkami. – Mamy mnóstwo czasu i pamiętasz, co mówili w szkole rodzenia? Jak przyjedziemy za wcześnie,

odeślą nas do domu. Lepiej zostańmy, tu jest wygodnie.

– OK – powiedział Des z powątpiewaniem w głosie.

Godzinę później Dara nagle zawyła z bólu.

– Des, to więcej niż skurcz, nie wiem, co to jest, ale ratunku. Ratunku...

– Jedziemy do szpitala, szybko – zdecydowała Gwiazda. – Ja prowadzę.

Poród Dary był długi i bolesny, położna zaproponowała petydynę.

– Nie – jęknęła Dara. – Żadnych prochów.

Jeszcze mocniej ścisnęła rękę Desa. Żadnych prochów, nie teraz.

A potem urodziła się Natalie, z główką jedwabistych ciemnych włosów i wściekłym krzykiem, że wyciągnięto ją na ten zimny, bardzo jasny świat.

– Wsadźcie mnie z powrotem! Woła nasz dzidzius – nucił Des, trzymając wrzeszczące dziecko w ramionach.

A Natalie, zmęczona, ale radosna, uśmiechnęła się do nich.

Kiedy Gwiazda wzięła małą na ręce, rozplakała się. Dara nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wcześniej widziała u Gwiazdy łzy.

– Przepraszam – westchnęła Gwiazda. – Ale ona jest taka piękna, taka cenna.

Ojciec przyszedł do szpitala następnego dnia. Des był z nią prawie cały czas, ale wtedy akurat już wyszedł. Pora odwiedzin dobiegała końca, gdy wkroczył. Pijany, ale Dara miała to gdzieś. Była szczęśliwa, bezpieczna w swojej bańce szczęścia. W obecności innych ojciec nigdy nie robił się agresywny ani nie miotał obelg, więc tu, w sześciuosobowej sali szpitalnej, z Natalie otuloną ciepło w łóżeczku obok niej i innymi matkami po obu stronach, oraz pielęgniarkami i lekarzami kręcącymi się po korytarzu, nic jej z jego strony nie groziło. Poza tym nie był już w stanie jej dotknąć ani fizycz-

nie, ani emocjonalnie, w żaden sposób.

– Patrz tylko, jaki maluszek – powiedział, niezdarnie wpadając na łóżeczko i sięgając, jakby chciał podnieść Natalie.

– Nie! – powiedziała szybko Dara. – Nie można, obudzisz ją. Ona teraz śpi.

W cudowny sposób Natalie się nie obudziła, mimo że jej dziadek robił mnóstwo hałasu i wciąż zaglądał do łóżeczka. Może wiedziała, że mama chce, by trzymała oczka zamknięte, tak aby dziadek nie mógł jej wziąć na rękę i trzymać przy swojej pijanej twarzy. Spała głęboko, a długie rzęsy w błogim spokoju spoczywały na delikatnych policzkach.

– Och, jest taka śliczna – powiedział. – Śliczne dziecko. Wypiłem parę kieliszków z kolegami, żeby oblać urodziny wnuczki.

– No tak – odparła Dara. Każdy powód był dobry: urodziny dziecka, czyjaś śmierć, bo słońce świeci, bo słońce nie świeci. Świetnie to rozumiała. Ojciec stał w nogach łóżka, jakby wyczuwał zbroję, którą Dara włożyła na siebie i dziecko.

– Chciałem ci przynieść kwiaty albo coś, ale zapomniałem.

– Nie ma sprawy – powiedziała spokojnie. Dostała prezenty, które chciała dostać – kartkę i kwiaty od Desa. Powiedziała mu, że nie powinien nic przynosić, bo potrzebowali pieniędzy na spłacenie raty, a on przyszedł z pięknymi białymi różami, było ich dwanaście. Bardzo go za to kochała.

Bernard usiadł na końcu łóżka i Dara mimowolnie przyciągnęła stopy do siebie. Chociaż założyli jej szwy i było to niewygodne, siedziała wyprostowana – chciała być z nim bardzo oficjalna, nie będzie leżeć ani się nie odpręży. Najgorsze, że Natalie pewnie zaraz się obudzi i trzeba ją będzie nakarmić, a nie było mowy, żeby karmiła ją piersią przy ojcu.

– Kropka w kropkę twoja matka – mówił tymczasem Bernard,



przyglądając się niemowlęciu zamglonymi oczami. – Jak żywa. I te włosy. Miło będzie znów mieć w domu dziecko.

Dara poczuła obezwładniającą falę obrzydzenia. Miło będzie znów mieć w domu dziecko? Dziecko, które urośnie i stanie się małą dziewczynką, którą można będzie dotykać i wykorzystywać w taki sposób jak ją? Zwariował? Nie pamięta już, co jej zrobił? Tak łatwo wymazał to z pamięci, czy mózg do tego stopnia przesiąkł już alkoholem, że wierzy, iż nigdy jej nie molestował?

Rozległ się dzwonek informujący, że za piętnaście minut, goście muszą wyjść.

– Koniec odwiedzin, tato – powiedziała. – Lepiej się zbieraj, bardzo tu tego pilnują.

Nie potrzebował żadnej zachęty więcej.

– Powiedziałem, że wrócę jeszcze do pubu, chłopcy chcą mi postawić kilka kolejek. W końcu jest okazja, no nie? Jak jej dasz na imię?

– Jeszcze nie zdecydowałam – skłamała Dara, ale podanie mu jej imienia było jak oddanie części jej duszy, a nie chciała tego robić, jeszcze nie. Pochylił się chwiejnie, żeby ją pocałować. Dara poczuła w żołądku skurcz. Odwróciła głowę, tak że otarł tylko nieogoloną twarzą o jej policzek.

– Cześć – powiedziała, a on chybotliwie wyszedł z sali, bez wątplenia bardzo z siebie zadowolony. W świecie Bernarda wszystko grało.

Ledwie dziadek wyszedł, a już Natalie otworzyła oczy, wydając przy tym słodkie miauknięcie, jak kociak, kiedy się budzi i rozciąga.

– Co słyhać, kochanie? – zapytała Dara, biorąc ją na ręce i tylko lekko się krzywiąc z bólu. Różowiutkie usteczka Natalie złapały mamina pierś i dziewczynka zaczęła ssać. Karmienie piersią jest niesamowite, myślała Dara, nikt jej nie powiedział, że to tak będzie. Wiedziała, że może się okazać trudne i niektóre kobiety sobie z tym nie radzą, a inne czują obrzydzenie na samą

myśl, bojąc się, że piersi naciągną się do kolan. Dara miała szczęście – Natalie od razu zaczęła pić i choć piersi ją bolały, a małe dziąsła drażniły obolałe brodawki, usiłując właściwie je chwycić, było w tym coś pierwotnego i wspaniałego. Czowała, jakby jej ciało do tego właśnie zostało stworzone. Ten zwierzęcy wręcz instynkt matki dbającej o młode był najsilniejszym i najbardziej intensywnym uczuciem w jej życiu. Objęła małą ciemną główkę Natalie, zamknęła oczy i rozkoszowała się przepelniającym ją poczuciem sensu – że wszystko jest tak, jak ma być. Ale wizyta ojca ciągle tłukła się jej po głowie. Musiał przyjść, przyjść i zniszczyć całe dobro i szczęście.

Obojętne, co zrobi Dara, on zawsze tam będzie. Czasami go nienawidziła. Mimo że powinna pozwolić odejść przeszłości, odpuścić i nikogo nie winić, winała go. Nie potrafiła ubrać go w światło przebaczenia, bo to co jej zrobił, było tak potworne. Kiedy ma się dziecko, powinno się je kochać i chronić. Tak podpowiadał jej instynkt, gdy trzymała na rękach Natalie. A jej ojciec zdradził miłość rodzicielską i zrobił najgorszą rzecz, jaką w ogóle może zrobić rodzic. Jak może tu przychodzić i opowiadać, że miło będzie znów mieć dziecko w domu, i nie pamiętać, co zrobił własnemu dziecku, kiedy urosło i stało się małą dziewczynką?

Dara pogłaskała Natalie i przyrzekła, że nigdy nie pozwoli, by coś takiego przytrafiło się jej córeczce. Nigdy nie wybaczy ojcu tego, co zrobił.

Natalie to najbardziej niezwykle dziecko na świecie, powtarzali wszystkim Dara i Des. Mając pięć miesięcy, przesypiała już całą noc i bez żadnych trudności przeszła na pokarmy stałe. Najbardziej lubiła puree z marchewki, a przy pierwszej łyżeczce startego jabłka aż piszczała z radości.

Raczkowała w ekspresowym tempie, miesiąc wcześniej, niż przewidywały podręczniki, a rodzice czuwali, by nie wpadła na coś i nie uderzyła się w główkę. Jej rozwój był opóźniony tylko pod jednym

względem, a mianowicie Natalie uwielbiała spać w łóżku rodziców i odmawiała przeprowadzki do własnego.

– Powinniśmy być bardziej konsekwentni, kiedy była mała – mówił z żalem Des, gdy kolejna próba położenia jej w łóżeczku zakończyła się wściekłymi krzykami.

– Ale jest przecież taka malutka – odparła Dara, która czuła niemal fizyczny ból, gdy córeczka płakała. – Nauczy się jeszcze.

– Sami kręcicie sobie bicz, pozwalając dziecku spać z wami – tłumaczyła pani McGuinness, która mieszkała pod nimi i którą często spotykali, gdy rano szli na spacer. Pani McGuinness знаła się na wszystkim – od rządu, poprzez taksówkarzy i ceny żywności, aż po tych hałaśliwych chłopców od sąsiadów, którzy urządzali głośne imprezy... Dara i Des odkryli, że pytanie jej o cokolwiek to duży błąd, bo zwykle odpowiadała wykładem długości, jakiej nie powstydziliby się doktor habilitowany.

– Wiem – powiedziała szybko Dara. – Ale jest taka szczęśliwa, kiedy śpi z nami, no i od razu zasypia, a dzięki temu my też możemy się spokojnie wyspać. Jak położymy ją do łóżeczka, wrzeszczy bez końca. Jak jej tatuś zresztą

– Dara się roześmiała i uśmiechnęła do swojej prześlicznej córeczki, łaskocząc ją pod bródką. – Kiedy się na coś uprze, nie ma rady.

Pani McGuinness spojrzała na Darę przenikliwie.

– A mnie się wydaje, że ma to też po mamusi. Widzi mi się, że kiedy mama sobie coś postanowi, też nie lubi tego zmieniać.

– Kiedyś taka byłam – przyznała zgodnie Dara. – Ale już nie jestem.

Najlepsze były sobotnie poranki, bo Des nie musiał się zrywać o świcie do pracy i oboje mogli wylegiwać się w pieleszach z Natalie między nimi, która przeciągała się i wiała zadowolona, podziwiana przez kochających

rodziców.

Kiedy Natalie skończyła siedem miesięcy, Dara nie miała już pokarmu. Zdecydowała się na tatuaż. Najpierw jednak upewniła się, że to bezpieczne. Lekarz ją zapytał:

- Co to będzie? Motylek?
- Coś w tym rodzaju.

Tatuaż był maleńki, po wewnętrznej stronie nadgarstka, tworzyły go trzy spiralnie zapisane daty, najważniejsze daty w życiu Dary, czyli dzień, w którym przestała pić, ten, kiedy tak naprawdę poznała Desa, i dzień urodzin Natalie. Córeczka była nim zafascynowana, często wodziła paluszkami po delikatnej siateczce linii na wąskim nadgarstku swojej mamy.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła, moje ty kochanie? – szeptała do niej Dara, głaszcząc ją, dotykając jej mięciutkich policzków i trzymając za tłuściutkie rączki, podziwiając światło w jej pięknych oczach. – Jesteście dla mnie wszystkim, słoneczko. Ty i twój tatuś.

Tacy byli szczęśliwi we trójkę, to był dobry czas. Dara nigdy wcześniej nie przeżyła takiego szczęścia.

Des nie cierpiał swojej pracy w sklepie z meblami. Dara wiedziała, że niczego tak nie pragnie jak kawałek ziemi, bo najszczęśliwszy czuł się w Wicklow, na polach farmy Pinewood należącej do jego wujka.

Zawsze gdy odwiedzał wujka Filipa, Dara przychodziła z córką do Gwiazdy.

Natalie uwielbiała raczkować po podłodze, próbując dosięgać wszystkich tych fascynujących przedmiotów w tym ciekawym domu. Dara chodziła za nią niespokojna, że coś stłucze.

– Przestań się przejmować – mówiła Gwiazda. – To tylko rzeczy, nie są niezastąpione.

Dara się śmiała.

– Wszystko w tym domu jest niezastąpione, wszystko jest takie szczególne albo bezcenne.

Siadały na werandzie, pozwalając Natalie baraszkować na trawie z gołymi nóżkami i rozmawiały.

Dara radziła się Gwiazdy, jak namówić Desa na przeprowadzkę do Wicklow.

– Kocha to miejsce, ale twierdzi, że ja nie mogłabym żyć poza miastem. A dla mnie nie ma znaczenia, gdzie mieszkam, jeśli tylko Des i Natalie są ze mną. Mogłabym być szczęśliwa nawet w kartonie na autostradzie. – Poderwała się, żeby zabrać Natalie z rączki tłustego robaka, a córka, która rozważała jego zjedzenie, zapiszczała w proteście.

Gwiazda się roześmiała.

– Więc powiedz mu to – powiedziała.

Dwa krótkie lata później Gwiazda stanęła przed drzwiami swojego domu i od razu wiedziała, że ktoś jest w środku. Wszystko wyglądało normalnie, ale ona po prostu wiedziała.

Weszła cicho do kuchni, a potem na taras, gdzie znalazła swojego niezapowiedzianego gościa. Na huśtawce, owinięta kremowym wełnianym kocem, siedziała Dara, luźno trzymając w ręku kubek z herbatą. Na stoliku obok stał mały imbryczek.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by Gwiazda zrozumiała, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Usiadła z drugiej strony huśtawki i spojrzała Darze w twarz. Była blada jak ściana, z ust odpłynęła cała krew.

– Co się stało?

Dara pokręciła głową.

– Nie mogę – szepnęła. – Nie mogę.

– Powiedz mi.

Wzrok Dary powędrował do imbryczka. Był najstarszy z wszystkich, przekazywany z matki na córkę przez ponad trzysta lat. Dara wiedziała o jego właściwościach, bo Gwiazda jej o nich opowiadała. Herbata wypita z tego imbryczka przepowiadała przyszłość, jeśli tylko wiedziało się, jak o nią zapytać.

– Po co go wzięłaś? – zapytała Gwiazda.

– To znamię, które mam na ręce, mała czarna plamka – powiedziała Dara. – Pamiętasz? Facet od tatuaży mówił, żebym je pokazała lekarzowi, ale jakoś nie mogłam się zebrać, aż ostatnio poszłam z Natalie, bo miała kaszel, i lekarz zasugerował, że najlepiej byłoby to usunąć. Usunął, a potem do mnie zadzwonił i powiedział, że to rak skóry, złośliwy. Miałam go już tak długo... nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że to może być niebezpieczne...

– Jak niebezpieczne?

Gwiazda nie mogła się zdobyć na dotknięcie Dary, bojąc się, że coś okropnego wyskoczy z jej duszy, jakaś bardzo zła wiadomość.

– Poszłam do szpitala na tomografię. Jest wszędzie. Mam plamy na wątrobie. Des jeszcze nie wie, nie umiałam mu powiedzieć. Lekarze chcą, żebyśmy przyszli razem, to z nami porozmawiają... – Dara spuściła głowę. – Nie mogę przestać myśleć, że to ma coś wspólnego z moim pićciem, i nie umiałam mu powiedzieć. Jakbym sama to sobie zrobiła, jakby to była moja wina. Pomyślałam, że jak tu przyjdę, może ty mi powiesz, że wszystko będzie dobrze. Wtedy mogłabym mu powiedzieć, bo znałabym zakończenie.

Gwiazda domyśliła się już dalszego ciągu.

– Nie było cię, a ja tak bardzo chciałam wiedzieć...

– Wzięłaś imbryczek.

– Tak. Nie zostało mi nawet pół roku. Mówili, że może tak, ale nie mam nawet tyle, nawet nie pół roku. Na pogrzebie będzie zimno, wiesz. Widziałam to i wszyscy byli w zimowych płaszczach – powiedziała. – Nie mogę zostawać Natalie. Tak bardzo ją kocham. Strasznie boli mnie serce – dodała cicho. – Taki ogromny, tępy ból, który zaczyna się w gardle i schodzi na dół.

– Przecież musi być jakaś terapia – mówiła Gwiazda, choć wiedziała, że to nieprawda. Imbryczek nie kłamał. To co Dara zobaczyła, naprawdę się wydarzy.

Ale Dara pokręciła głową.

– Rak mnie nie boli – odparła. – Po prostu pęka mi serce i stąd ból. Natalie dorośnie, a ja tego nie zobaczę, nie poznam jej. Jedyne, o czym mogę myśleć, to że jestem jakaś felerna, niebezpieczna. Przynoszę ludziom tylko cierpienie – biednemu Desowi i teraz Natalie. Może kiedy ja odejdę, odejdzie też z mojej rodziny ból, wszystko zostanie wymazane, a Des i Natalie będą mogli zacząć od nowa.

– Jak mogą zaczynać od nowa bez ciebie?

– Ruszą do przodu, zapomną o mnie i znajdą nowe życie – powiedziała żarliwie Dara.

Gwiazda wzięła ją za rękę i zobaczyła, że Dara rzeczywiście tak myśli.

– Chcę, żeby była szczęśliwa, a moja historia jej w tym nie pomoże. Zasługuje na nowy początek, z dobrymi rodzicami. Z Desem i kimś innym. Nie ze mną i moją ponurą przeszłością. Jaką ja mogę być zmarłą matką? Wariatka, do której żadne dziecko nie chciałoby być podobne. Kim była twoja mama, Natalie? Och, alkoholiczką, córką alkoholika, który ją molestował i gwałcił, więc potem chciała się zabić. Niezbyt dobry wzór do naśladowania. Nie, lepiej, jeśli zacznie od nowa beze mnie.

– Ale przecież się zmieniłaś.

– Próbowałam – powiedziała cicho. – Staralam się, ale to ciągle we mnie jest, ten mrok, bo niby dlaczego mi się to przytrafiło? Tak bardzo ich Kocham i moja miłość na zawsze z nią zostanie, czy będzie tego świadoma czy nie. – Zaśmiała się krótko. – Ty mnie wyczujesz, ale chyba nikt więcej.

– Natalie ma prawo poznać swoją przeszłość.

Dara pokręciła głową.

– Czasami przeszłość lepiej pochować i zostawić w spokoju.

TTLRR



## 13

*Tylko jedna osoba może zmienić twoje życie. Tą osobą jesteś ty. Nie czekaj, aż ktoś to zrobi za ciebie, księżę na białym koniu czy ktokolwiek inny.*

*Bądź swoim własnym księciem.*

Rano deszcz niemiłosiernie zalewał Ardagh strugami wody, ale teraz, kiedy wieczorne niebo ubrało się w opalizujący róż, na szczęście było sucho. Różane promienie zachodzącego słońca wyglądały jak średniowieczny obraz i Natalie pomyślała, że tej scenie brakuje jedynie sylwetki anioła unoszącego się nad morzem.

Siedziała w milczeniu w starym pickapie ojca, którym wyjeżdżali właśnie z Ardagh drogą do Czarnego Klasztoru. Tata mógł myśleć, że zamknęła się w sobie, czując smutek i zamęt, ale ona była tylko trochę wytracona z równowagi. Miała wrażenie, że znalazła się w jakimś innym świecie. Po tych wszystkich latach dowiedziała się w końcu czegoś o swojej ukochanej mamie, Darze. I nie była to byle jaka historia, nawet jeśli poznała tylko jej skróconą wersję.

– Gwiazda opowie ci więcej – rzekł ojciec.

Mówił jej, jak bardzo kochał Darę, i jacy byli zdruzgotani, kiedy dowiedzieli się, że ma umrzeć. Ale w życiu jej mamy było dużo zła, rzeczy, o których nawet on nie wiedział.

– W dzieciństwie Dara doświadczyła wielu strasznych rzeczy i nie chciała mi o wszystkim opowiadać – mówił. – Tak samo jak uznała, że będzie lepiej, jeśli ty się o nich nie dowiesz, bo jak to ujęła, bycie córką zmarłej alkoholiczki z dysfunkcyjnej rodziny to nic, czym warto by się chwalić.

Natalie skinęła tylko głową, zbyt wzruszona, żeby mówić. Ta kobieta ze

zdjęcia stała się człowiekiem z krwi i kości, któremu w dodatku przypadł w udziale ciężki los.

A teraz Natalie jechała na jej grób.

Samochód zakręcił i w oddali majaczył już zarys kościoła i otaczającego go cmentarza, a nad nimi widniała ogromna ciemna chmura zwiastująca deszcz. Wąska droga z prawej strony prowadziła w głąb cypla. Kiedy miała naście lat, razem z Lizzie i Anną chodziły tam czasem z chłopcami, ześlizgiwały się po kamienistej skarpie, siadali na skałach z nogami w wodzie i flirtowali. Było tam pięknie i dziko, a do tego dochodził dreszczyk emocji, bo wystarczyła chwila nieuwagi i można było wpaść między spienione fale i zostać już tam na zawsze.

Jej mama dużo czasu spędziła u Gwiazdy. Czy też spacerowała po tych skałach?

Kiedy się zbliżyli do klasztoru, Natalie przez załzawione oczy niewiele widziała.

– Nie chciała, żebym się dowiedziała o jej cierpieniu, bo... mnie kochała? – spytała, gdy już zaparkowali i tata zgasił silnik.

– Kochała cię ponad wszystko, Natalie – odpowiedział łamiącym się głosem. – Mógłbym mówić całe życie, a i tak nie zdołałbym tego opisać. To jedyny powód, dla którego nie chciała, żebyś poznała przeszłość, ona mogłaby się okazać dla ciebie bolesna, więc postanowiła cię przed nią ochronić.

Kiedy szli przez porośniętą trawą żwirową alejkę cmentarza, ojciec trzymał ją za rękę. Minęli bardzo dobrze utrzymane nowsze groby – między innymi Davida – i przeszli do starszej, tylnej części. Znaleźli się bliżej morza. Z ziemi wystawały tu gdzieniegdzie skały, jakby woda miała zamiar zabrać ją z powrotem.

Natalie szukała wzrokiem grobu matki, mając nadzieję, że zauważy go, zanim ojciec go wskaże.

– To ten – powiedział, zatrzymując się przy niewielkim kopczyku z cokolem, na którym stała marmurowa kobieta– anioł. Pięknie wyrzeźbioną głowę, spuszczoną w modlitwie, oplatał warkocz, białe powieki miała zamknięte. Jej sylwetka była smukła i pełna gracji, od szyi aż do palców złożonych dłoni.

Pod aniołem stały doniczki z pięknymi kwiatami, Natalie żałowała, że nie przyniosła ze sobą nic, co mogłaby położyć na grobie. To pewnie Gwiazda o niego dbała.

Nad kwiatami zobaczyła napis na cokole.

*Dara Flynn zmarła w wieku 28 lat. Ukochana żona*

*Desmonda i kochająca mama Natalie.*

*Oplakiwana przez rodzinę i szerokie grono przyjaciół.*

Natalie zakryła usta rękami. To było tu napisane, wszystko, co kiedykolwiek chciała wiedzieć i czuć.

– Chciała tylko prosty kamień – mówił ochrypłym głosem Des. – Nic wymyślnego. Ale u kamieniarza zobaczyłem tego anioła i od razu wiedziałem, że tu jest jego miejsce. Bo ona była aniołem, wiesz. Moim aniołem.

Natalie uklękła i zaczęła się modlić. Nieczęsto chodziła na mszę, ale w tej chwili czuła, jak przepływa przez nią świętość tego kościoła i cmentarza.

Po raz pierwszy w życiu pozwoliła sobie na rozmowę z matką.

*Mamusiu, przepraszam, że tak późno do Ciebie przychodzę. Powinnam była przyjść dużo wcześniej. Myślałam, że łatwiej będzie nic nie mówić i pozwolić życiu toczyć się dalej, ale teraz wiem, że jest inaczej. Chcę Cię poznać.*

Nie było żadnego znaku, że ktoś słucha. Ogromne drzewa drżały poruszane wiatrem, a z nieba zaczęły spadać wielkie krople deszczu.

– Chodź, zaraz przemokniemy do nitki – ponaglał Des, podnosząc ją z klęczek.

Zdążyli do samochodu w ostatnim momencie. Kiedy wsiedli, olbrzymie krople bębniły już na dobre w dach i szyby.

– Jedziemy do Gwiazdy – powiedział ojciec.

W domu Gwiazdy roznosił się smakowity zapach zupy rybnej. Gdy obudziła się tego ranka, poczuła nieodpartą ochotę na tę zupę, więc udała się do portu, żeby zobaczyć, co rybacy mają do zaoferowania.

– Dawno cię nie było – powiedział stary Liam, nie przerywając pracy przy łodzi, „Lady Anne”, nazwanej tak na cześć jego żony.

Anne i Gwiazda chodziły razem do szkoły i od tamtego czasu były dobrymi znajomymi.

Wiele lat temu, gdy pewnego wieczoru „Lady Anne” zaginęła w czasie sztormu, to właśnie do Gwiazdy pobiegła żona Liama, by się dowiedzieć, czy jej mąż i załoga są bezpieczni.

– Obudziłam się z myślą o zupie rybnej – powiedziała Liamowi.

– Ja się codziennie budzę z tą myślą – odparł tamten.

– Co byś chciała?

Wróciła do domu z makrelą, rdzawcem i niewielkim woreczkiem małży. Przez pół godziny z przyjemnością obierała małże, a potem ugotowała zupę według specjalnego przepisu swojej mamy. Nie miała pojęcia, skąd się bierze taka nagła ochota na zrobienie czegoś, ale zawsze się jej poddawała. Wszystko ma swoją przyczynę.

Teraz właśnie podgrzewała na piecu zupę. Wcześniej włączyła lampy nad stołem i rozpałała w kominku ogień, który spowił salon złotym blaskiem –

przyjemny kontrast z ulewnym deszczem za oknem. Czasami lubiła deszcz, ale dziś wydawał się intruzem.

Miała ochotę posłuchać muzyki. Włączyła odtwarzacz CD i z głośników popłynął utwór Delibesa, wypełniając pokój czystymi dźwiękami.

Lena z Kenny's była zaskoczona, widząc u Gwiazdy ten szczyt techniki.

– Kiedyś mieliśmy gramofon na korbkę – droczyła się z nią Gwiazda – ale zmęczyło mnie to ciągle kręcenie.

– Nie, chodzi o to, że wszystko tu jest takie ekologiczne, organiczne i...

– ... i bardzo stare. Włącznie ze mną. – Gwiazda się roześmiała. – Kocham stare rzeczy, ale robię czasem wyjątek. Jeśli jakiś nowoczesny sprzęt jest przydatny, pierwsza ustawiam się w kolejce.

Tak właśnie postąpiła w kwestii oranżerii – swojego miejsca pracy. Nie tak dawno była to bardzo stara, metalowa konstrukcja. Zielona farba mocno się już łuszczyła, a gdy mocniej zawiało, szyby aż dzwoniły.

Za pieniądze zarobione przez trzy lata współpracy z Kenny's Gwiazda przeprowadziła w końcu generalny remont, wykorzystując nowoczesne technologie, i teraz nie musiała już się ubierać do pracy na cebulkę. Delibes towarzyszył jej w każdym pomieszczeniu, wtapiając się wręcz w drewnianą konstrukcję domu.

To był dziwny wieczór. Deszcz lał strumieniami, a ciemnofioletowe chmury wisiały złowroźnie w tle, podczas gdy z prawej strony poprzez nie do oranżerii zaglądało słońce i storczyki kąpały się w jego świetle. Uwielbiała storczyki. Najbardziej Lady Slipper, są takie delikatne – te jedwabiste płatki i pastelowe kolory. Zupa była już prawie podgrzana, a Gwiazda, chodząc po oranżerii, sprawdzała wilgotność ziemi, podlewała to tu, to tam lub pryskała rośliny lekką mgiełką. W rogu stało piękne wiktoriańskie terrarium, a w nim kolejny storczyk. Przechodząc obok, Gwiazda delikatnie go pogłaskała. Zupa

jest już gotowa, czuła to. I wtedy usłyszała przed domem chrzęst opon na żwirze – to zaleta żwirowego podjazdu, każdego gościa słyhać już z daleka.

Wyrzała przez okno w kuchni i zobaczyła wysokiego szczupłego mężczyznę, który wysiadł z samochodu, a za nim młodą kobietę.

– Dara! – Gwiazda musiała się oprzeć o okno. Złapała się parapetu, bo inaczej upadłaby na podłogę. Nie, to nie Dara, to Natalie, kochana Natalie i Des.

Des się postarzał – jak wszyscy zresztą – pomyślała z goryczą Gwiazda. Nie widziała go ponad dwadzieścia lat. Serce jej rosło na myśl, że Natalie jednak trafiła do jej domu. Nigdy nie próbowała zobaczyć przyszłości, ale coś w głębi duszy, w jej najbardziej magicznym zakątku, mówiło jej, że Natalie zjawi się u niej któregoś dnia.

Choć Dara tak bardzo się starała wymazać skutki swojej bolesnej przeszłości z życia Natalie, prawda zawsze znajdzie drogę, by wyjść na światło dzienne, podobnie jak pęd rośliny wśród czarnych grudek ziemi. Człowiek zasługuje na to, by znać swoją przeszłość, bo to właśnie ona czyni go tym, kim jest.

– Trochę się boję, tato – mówiła tymczasem Natalie, łapiąc ojca za rękę, gdy podchodzili do drzwi.

– Nie ma czego, skarbie – odparł spokojnie. – Pokochasz Gwiazdę, zobaczysz, jest naprawdę wspaniała. Zawsze taka była. Żałuję, że nie widziałem jej tyle czasu.

I wtedy drzwi się otworzyły, a w nich stanęła uśmiechnięta Gwiazda, wyciągając ramiona.

– To pani! Pani pomogła mi na pogrzebie Davida Kenny’ego – powiedziała Natalie, z zaskoczeniem rozpoznając kobietę o długich jasnych włosach, która nie pozwoliła jej upaść tamtego dnia na cmentarzu. – I znała

pani moje imię, nazwała mnie pani Natalie.

– Niemal nazwałam cię Darą – przyznała Gwiazda. – Jesteś taka podobna do swojej mamy.

– Naprawdę?

– Jak dwie krople 'wody, to wręcz przerażające. – I Gwiazda objęła Natalie. – Tutaj twoja mama znalazła jakby drugi dom, więc witaj w domu, Natalie – dodała, po czym objęła też Desa.

Natalie zaniknęła oczy i pozwoliła sobie na łzy. Dlaczego było jej tak dobrze, skoro dopiero co przeżyła jedną z najsmutniejszych rzeczy w życiu – wizytę na grobie własnej matki? Przypomniała sobie rosnące tam kwiaty i jak od razu odgadła, że to Gwiazda je pielęgnuje. Wspaniale, że właśnie Gwiazda zajmuje się grobem.

– Nigdy o niej nie zapomniałam i nie przestałam jej kochać – powiedziała Gwiazda.

Natalie odsunęła się zaskoczona.

– Wiedziała pani, co myślę?

– Nie, niezupełnie. Ale trzymałam cię za rękę, a w ten sposób czasami widzę różne rzeczy – wyjaśniła. – Taki mam dar, to moje czary.

– Czary? – Natalie stała przed Gwiazdą, obejmując się rękami i przypatrując jej nieufnie. – Skoro umie pani czarować, dlaczego nie przysłała pani do mnie przez te wszystkie lata, kiedy tak bardzo chciałam się czegoś dowiedzieć o mojej mamie, gdy płakałam bezradnie w poduszkę? Gdzie wtedy był ten pani dar?

Nie widziała, jak ojciec załamany zwiesił głowę.

Gwiazda położyła mu rękę na ramieniu.

– To tak nie działa, Natalie – powiedziała, wyciągając do niej drugą rękę. – Chodźcie, wejdźmy do środka.

Gdy tylko Gwiazda jej dotknęła, Natalie poczuła, jak energia z jej ciała płynie do ciała Gwiazdy, ale nie bała się. czuła po prostu przyjemne falowanie, które pochodziło gdzieś z głębi niej i działało niezwykle kojąco.

– Co pani robi?

– Bardzo niewielu ludzi w ogóle zdaje sobie sprawę, że to robię – skomentowała Gwiazda. – Ale twoja mama też to wyczuła, od razu tego wieczora, kiedy spotkałam ją płaczącą tu na środku drogi,

– Płakała na drodze? – powtórzyła Natalie. Tata nic nie mówił. Tyle tylko, że Dara mieszkała u Gwiazdy w tym czasie, kiedy skończyła z piciem. Myśl, że mama cierpiała, powodowała u Natalie niemal fizyczny ból. Jak mogła tyle przejść, a ona nic o tym nie wie?

– Nie da się opowiedzieć czyjś życia w godzinę – zauważył Des.

– Wiem. Tylko że ja się czuję taka... oszukana – przyznała Natalie. – Wręcz zła, że wy wszystko wiedzieliście, a ja nie.

– To dość skomplikowane – odezwała się Gwiazda.

– Nie spieszmy się, a opowiem ci, jaką wspaniałą kobietą była twoja mama i jak bardzo cię kochała. Wiele w życiu wycierpiała, Natalie, ale o tym możesz posłuchać potem, kiedy już się dowiesz, jak sobie z tym poradziła, jak wszystko zmieniła i jak uwielbiała ciebie i twojego ojca. To jest najważniejsze i przede wszystkim to powinnaś o niej wiedzieć. Cała reszta, dzieciństwo, sprawy, które chciała wymazać z pamięci, na to przyjdzie czas, kiedy już się dowiesz, jakim była człowiekiem.

– A więc rzeczywiście miała trudne dzieciństwo?

– Najgorsze – odparła spokojnie Gwiazda, prowadząc Natalie do kuchni. – Czuła się niekochana i zdradzona. To co przeżywasz jako dziecko, formuje cię jako osobę dorosłą, a jeśli jako dziecko zostaniesz zraniona, już zawsze będziesz nosić w sobie blizny. Dara pokonała swoje dziecięce



doświadczenia, ale kiedy wiedziała już, że umiera, bała się, że jedyne czego się o niej dowiesz, to te złe rzeczy z przeszłości.

Gwiazda i Des wymienili spojrzenia.

– Może miała rację. Małe dziecko nie potrafi zrozumieć bólu osoby dojrzałej i zresztą nie powinno musieć tego robić. Chciała dla ciebie wszystkiego co najlepsze, szczęśliwej rodziny, bez rzucającej cię przeszłości, tylko normalność. Ale ja i tak wiedziałam, że pewnego dnia do mnie przyjdiesz.

Tym razem to oczy Gwiazdy zaszły łzami.

I wtedy akurat zupa na piecu zaczęła gwałtownie bulgotać, co gospodyni przyjęła z ulgą i natychmiast się nią zajęła.

– Mam nadzieję, że lubisz zupę rybną, Natalie? – spytała. – Dziś rano poczułam nagły impuls, żeby ją zrobić. To ulubiona zupa twojej mamy.

– Niesamowite. Ja też ją bardzo lubię, wręcz uwielbiam. Skąd pani wiedziała?

– Nie wiedziałam. – Gwiazda wyjęła z kredensu fajansowe miski. – Czary działają według własnych reguł. Obudziłam się dziś i poczułam przemożną ochotę na zupę rybną, więc gdzieś głęboko musiałam sobie zdawać sprawę, że wieczorem się zjawisz. Czasami pełnię tylko funkcję kanału przesyłowego.

Natalie słuchała, szeroko otwierając oczy, o tym, jak cudownym przeżyciem dla Dary było macierzyństwo, o jej ogromnej miłości do niej i Desa. Usłyszała też o dzieciństwie mamy na duży osiedlu, gdzie mieszkała ze swoim starszym bratem i ojcem alkoholikiem. Gwiazda bardzo krótko rozprawiła się z okresem, gdy Dara piła, ale Natalie między wierszami wyczytała ogrom cierpienia matki.

– Tato, to dlatego tak się zdenerwowałeś, kiedy powiedziałam ci o

Lizzie – wybuchnęła nagle. – Lizzie to moja przyjaciółka – wyjaśniła Gwieździe – ale za dużo pije, a ja nie mogę sobie z tym poradzić, to takie okropne.

– Byłaś na nią taka zła, a ja nie mogłem przestać myśleć o tym, że kiedy poznałem twoją mamę, i już wtedy mi się spodobała, też była zamknięta w tym więzieniu. Tak jak Lizzie, a może i gorzej. Widziałem, z jakim obrzydzeniem o tym mówiłaś, i zastanawiałem się, skąd u ciebie taka nienawiść do alkoholizmu. Sprawa genetyczna? – mówił Des.

– Albo coś dużo starszego i głębszego – zasugerowała Gwiazda. – Rozmawialiśmy z twoją mamą o tym, że alkoholizm można mieć we krwi, ale ona nie pozwalała sobie tak myśleć, czuła, że to tylko wykręt. Powiedziała, że jeśli ktoś nie powinien chcieć pić, to właśnie ona.

– Ale geny nie są tu bez znaczenia – tłumaczyła Natalie.

– Przyjaciółka, z którą mieszkam, Molly, poradziła mi poszukać w Internecie, jak można Lizzie pomóc, i wychodzi na to, że to choroba genetyczna. Wszyscy w domu Lizzie piją.

– Mam nadzieję, że ciebie ona ominęła – powiedział bardzo poważnie Des. – Nie masz pojęcia, jak uważnie obserwowaliśmy cię z Bess, kiedy byłaś nastolatką, jak czekaliśmy, czy nie wrócisz pewnego dnia z imprezy pijana. To straszna spuścizna, Natalie. Między innymi przed tym chciała cię uchronić mama.

– A co z moim dziadkiem i wujkiem?

I znów Gwiazda i Des wymienili spojrzenia.

– Twój wujek mieszka w Australii. Greg to wspaniały człowiek. Jego wyjazd z Irlandii to też swego rodzaju ucieczka – tłumaczył Des. – Na pewno chciałby cię poznać i przedstawić kuzynom. Co do dziadka, wydaje mi się, że nie żyje.

– Wiesz, Natalie, Dara wychowywała się bez matki i bardzo boleśnie odczuła jej brak. Dla ciebie chciała czegoś więcej, miała nadzieję, że Des się znów ożeni i zacznie nowe życie, w którym będziesz miała mamę.

– Kocham Bess, ale ona nie jest moją prawdziwą mamą, zawsze to wiedziałam – powiedziała Natalie, biorąc ojca za rękę i mocno ją ściskając, aby w ten sposób dać mu do zrozumienia, że nie chciała w żaden sposób urazić Bess.

– Byłaś już duża, kiedy pojawiła się Bess, miałas prawie pięć lat – przypomniał jej ojciec. – Oczywiście, że wiedziałaś.

– Na strychu mam mnóstwo rzeczy Dary – oznajmiła Gwiazda. – Czekają na ciebie.

– Rzeczy mamy – Natalie zabrakło tchu.

– Jest tam też dużo innych rzeczy – ostrzegła Gwiazda.

– Bo wielu ludzi powierzyło mi swoje tajemnice. Odnalezienie należących do twojej mamy zabierze mi trochę czasu, dziś na pewno tego nie zrobię.

– Trudno – powiedziała zasmucona Natalie. Teraz, kiedy w końcu tu dotarła, chciała od razu wiedzieć wszystko.

– Usiądźmy i porozmawiajmy o Darze – zaproponowała Gwiazda. Był jeszcze inny powód, dla którego nie chciała się spieszyć z pokazywaniem Natalie rzeczy jej matki – dziewczyna powinna mieć czas, żeby oswoić się z tym, co usłyszała. O takich sprawach lepiej się dowiadywać stopniowo.

– Bardzo mi się podoba pani dom – mówiła tymczasem Natalie, rozglądając się wkoło. – Jest piękny. Czuję się tutaj jak u siebie.

– Przecież o mały włos urodziłabyś się tutaj – uśmiechnął się Des.

– Zaraz ci o tym opowiem – powiedziała Gwiazda i zaczęła kolejną historię.

*Ufaj swojej intuicji. Ja w ogóle sobie nie ufałam, więc lekceważyłam też intuicję. Ale jak się nad tym zastanowić, to dziewięć razy na dziesięć intuicja dobrze mi podpowiadała. Tylko że ja nie zwracałam na nią uwagi.*

Żałoba ma wiele twarzy. Ingrid przeglądała książkę na temat teorii Kubler– Ross. Mówiła o kilku etapach, przez jakie przechodzi człowiek po stracie bliskiej osoby – począwszy od gniewu, a skończywszy, miała nadzieję, na akceptacji.

Abra, miła psycholożka, do której Ingrid chodziła, wytłumaczyła jej, że nie ma określonych ram czasowych tego procesu.

– Żałoba to podróż przez zmieniający się krajobraz, a każdy z nas pokonuje tę drogę w swoim własnym tempie – wyjaśniała. Starsza od Ingrid, stanowi idealny przykład psychoanalityka z wizji Woody’ego Allena. Mądra twarz o bystrych ciemnych oczach zdobią surowe okulary. Nosi bardzo proste rzeczy, które w ogóle nie przyciągają uwagi, za to mówią, że tak dobrze się czuje z własnym wizerunkiem, iż nie potrzebuje mody, by zdefiniować, kim jest.

Z początku Ingrid siadywała naprzeciwko Abry, aż pewnego dnia tamta zaproponowała, by się położyła na kanapie, a ona usiadzie za nią.

Ingrid przyzwyczajona w pracy, że ludzie zawsze na nią patrzą, poczuła się nieporównanie swobodniej, nie musząc utrzymywać kontaktu wzrokowego. Leżała spokojnie, patrząc w znajdujące się przed nią okno, i mówiła, mając świadomość, że jest słuchana.

Tego dnia gdy powiedziała Abrze o niewierności Davida, czuła ulgę, że

nie musi na nią patrzeć. Ufała jej i jej mądrości, ale ledwie mogła znieść fakt, że ma w ogóle powiedzieć komuś o tej historii. Z Marcellą to inna sprawa, ona była jak siostra. Bitwy Ingrid traktowała jak własne. W sumie Ingrid nie zwierzyła się prawdziwym siostrom, Florze i Sigrid. Nie była pewna dlaczego. Może nie zniosłaby litości, a może tego, że znienawidziłyby Davida.

Chciała najpierw zrozumieć, co sama do niego czuje, zanim komukolwiek o tym powie. O ile komuś powie.

– Jestem na niego wściekła i dlatego nie potrafię go opłakiwać tak jak należy – tłumaczyła Abry. – Okłamał mnie we wszystkim, bo prowadzenie drugiego życia powoduje, że kłamie się w każdej sprawie. Każda myśl, uczucie – wszystko jest nieprawdziwe. Za każdym razem kiedy się kochaliśmy, to było kłamstwo.

Fakt, że David kochał się z nią i z inną kobietą, nie bolał tak mocno jak wtedy, tej pierwszej nocy. To nie myśl o seksualnej zdradzie tak ją raniła, ale przede wszystkim te inne oszustwa. Subtelne kłamstwa o tym, gdzie był, jak się czuł – kłamstwa, które nadawały rytm ich codziennemu życiu – to było nie do zniesienia.

Dlaczego po prostu nie powiedział o tamtej? Dlaczego dalej z nią żył, ale odmówił jej szansy zmierzenia się z tym zagrożeniem dla ich małżeństwa? Kochał ją czy tę inną kobietę? Nie mógł się zdecydować, i dlatego nie zrobił z tym porządku?

Teraz już nigdy się nie dowie.

– Mogłabym napisać kontynuację książek Kubler– Ross – *powiedziała do Abry*. – Gdy cierpienie nie wystarcza i pomaga jedynie krzyk. *Byłby to jedyne w swoim rodzaju poradnik dla tych odbiegających od normy*.

Abra niewiele się śmiała. Ale teraz się uśmiechnęła, Ingrid słyszała to w

jej głosie.

– Pomysł wydaje się niezły. Rzeczywiście jesteś już chyba ekspertem w tym temacie.

Była zadowolona ze swojego żartu. Czy to znaczy, że zrobiła jakiś postęp? Miała nadzieję, że tak.

W innych sprawach też posunęła się do przodu. Uczestniczyła w spotkaniu z audytorami i była na zebraniu zarządu, na którym z dwoma pozostałymi dyrektorami ustalili tymczasowy plan działania – do czasu uprawomocnienia się testamentu – kiedy to Ingrid oraz Molly i Ethan, którzy również odziedziczyli udziały w sklepie, będą mogli zdecydować o przyszłości.

Z punktu widzenia sklepu rysowała się ona w ciemnych barwach. Kenny's był na granicy opłacalności.

– Jak tak dalej pójdzie, w przyszłym roku nas nie będzie – mówił ponuro Tom.

Ingrid poczuła w brzuchu coś z dawnego ognia.

– Nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa – zapewniła go.

Ingrid czekała z psami, żeby przejść przez ulicę. Został im ostatni etap sześciokilometrowego spaceru, więc wszyscy byli zmęczeni. Tę część w dodatku najmniej lubiła, bo trzeba przejść kilka ruchliwych ulic, a ona wolała spacerować po spokojnych podmiejskich okolicach.

Czuła się dziś zbyt słabo, aby przebiegać przez jezdnię.

Niedaleko niej stanęła długonoga dziewczyna w spódniczce mini, czarnych rajstopach i zrobionej na drutach czapce założonej zawadiacko na jasne włosy. Też chciała się dostać na drugą stronę. Mimo porannego chłodu nie założyła płaszcza. Mogła być w wieku Molly, w wieku, kiedy dziewczyny są odporne na zimno i wychodzą na całonocne imprezy w maleńkich

sukienczynach, i to bez żakietu. Wyglądała tak młodo, świeżo i radośnie, i skóra lśniła jej delikatnie w porannym słońcu, że – zauważyła Ingrid – kierowcy leciutko zwalniali, by na nią spojrzeć, i w końcu kierowca ciężarówki błysnął światłami, dając znak, żeby przeszła. Podziękowała mu machnięciem i poszła, a Ingrid wciąż stała z psami w miejscu, ciągle w nią wpatrzona.

Niewidzialna, pomyślała Ingrid, oto jaka się stała. Mogła coś zdziałać, gdy ułożyła włosy, umalowała się i ubrała telewizyjne kostiumy, ale teraz, z poszarzałą twarzą, bez makijażu i z włosami splątanymi w jeden wielki kołtun, praktycznie nie istniała. Zarówno dla kierowcy ciężarówki, jak i pozostałych uczestników ruchu była tylko jakąś zwariowaną starszą panią wyprowadzającą psy, pewnie wracającą do domu, by usiąść przed kominkiem i ponarzekać gorzko na świat, a w szczególności na dzisiejszą młodzież. Tak teraz ludzie o niej myśleli. Przekroczyła tę linię, która czyniła ją niewidzialną.

Kiedy wróciła do domu, z całej siły trzasnęła drzwiami, aż psy podskoczyły przestraszone.

– Przepraszam was, pieski – powiedziała. – Nie chciałam was przerazić, ale mam coś do załatwienia.

Zadzwoniła do Marcelli.

– Chcę wrócić do pracy – powiedziała od razu na wstępie.

– Hura! Kiedy?

– Jutro?

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Musisz coś zrobić z włosami. Wybłagaj fryzjerkę, żeby cię dziś przyjęła. A ja zamówię ci na rano kogoś do makijażu, przyjdzie do domu. Musisz zrobić wrażenie.

– Czy ona wykonuje też zabiegi?

– Właśnie – przytaknęła Marcella. – Jak czoło? Przydałby się botoks?

Ingrid mogłaby żyć szczęśliwie do końca swoich dni bez wbijania strzykawki, ale rozumiała, o co chodzi Marcelli.

– Na razie jest OK. Gładkie. Za to cała reszta w stanie opłakanym.

– Spotkamy się o dziewiątej – powiedziała Marcella.

– Ingrid – dodała i zamilkła na moment. – Tak się cieszę.

– Wiem – mruknęła Ingrid.

Następnego dnia koło dziesiątej przypominała mniej więcej dawną siebie. Po pierwsze, włosy znów miały odcień blond. Ze świeżymi pasemkami i mnóstwem preparatu zwiększającego objętość wyglądała jak ostoja amerykańskiej telewizji.

Marcella przekonała ją, żeby założyła ciemnoszary kostium od Armaniego, ten ze spódnicą. Był na nią trochę za duży, bo schudła, ale Armani świetnie potrafił to ukryć.

Makijażystka, którą przysłała Marcella, dokonała niemożliwego. Twarz Ingrid była świeża i pełna życia, lśniła blaskiem, jakby po wypiciu magicznego napoju.

– Mój Boże, jest pani niesamowita – powiedziała Ingrid młodej kobiecie, gdy zobaczyła się w lustrze. – Czyni pani cuda.

– Owszem, ale tylko wtedy, gdy pracuję na odpowiednim płótnie – odparła tamta.

Ingrid miała zażartować o pomarszczonym płótnie, ale zrezygnowała z tego. Byłoby to umniejszaniem własnej wartości, a więc czymś autodestrukcyjnym.

Gdy przejeżdżała przez bramę studia, była zdenerwowana, cała drżała jak wtedy, gdy wracała do pracy po urodzeniu dzieci. To chyba to samo, myślała sobie, śmierć i narodziny mają ze sobą wiele wspólnego. Wielkie



wydarzenia, które wstrząsają twoim światem i zmieniają go na zawsze. Nie była pewna, czy ma dość siły, by wejść tam i przywitać wszystkich pogodnym „cześć”, jakby właśnie wróciła z dwutygodniowych wakacji, a nie po trzech okropnych miesiącach nieobecności z zupełnie innych powodów. A jednak tak właśnie powinna zrobić. Jeśli chciała wrócić, musi wszystkim jasno dać to zrozumienia. Jak jej powiedziała Marcella – choć Ingrid wiedziała o tym aż nadto dobrze – w tej branży liczy się przede wszystkim wrażenie.

Trzy miesiące poza obiegiem z Joan na zastępstwie, wyłącznie tymczasowym, to było jeszcze w granicach rozsądku. Cokolwiek ponad to można by już uznać za zawodowe samobójstwo.

W biurze nawet pachniało tak samo, zdała sobie sprawę, gdy spokojnie weszła do środka. Czowała aromat kawy, rogalików i setki różnych perfum oraz ten nieuchwytny, ale i trudny do pomylenia z czymkolwiek innym zapach ludzkiej bieganiny, nie takiej w pocie czoła, lecz pełnej energii. Bardzo jej tego brakowało.

– O mój Boże, Ingrid!

Najpierw okrzyk zachwyty, a potem ton głosu lekko opadał, jakby przypominali sobie, dlaczego jej tak długo nie było.

– Och, Ingrid – dodawali ze smutkiem.

– Brakowało nam ciebie – powiedziała Jeri, asystentka producenta, po czym ją uściskała.

Ingrid pomyślała o tych czerwonych różach, które Jeri dostała na walentynki, ostatniego dnia jej dawnego życia. Miała nadzieję, że miłość kwitnie i służy Jeri.

– Dobrze znów cię widzieć – mówił tymczasem Martin. Ciekawe, jak rozwija się trudna sprawa rozwodowa.

– I ciebie również, Martinie.

Przechodziła obok kolejnych biurków, rozmawiała, uśmiechała się i nie kłamała, kiedy pytali: „Jak się trzymasz?”.

Nie było sensu odpowiadać „och, wspaniale”, czego niektórzy po trzech miesiącach żałoby najwyraźniej oczekiwali.

Zamiast tego mówiła:

– Nieźle, dziękuję. – I od czasu do czasu dodawała w myślach: Gdyby tylko wiedzieli...

A potem stanęła przed nią Gloria, do której ostatecznie zmierzała.

– Ingrid, cudownie, że w końcu wróciłaś. Bardzo nam tu ciebie brakowało – powiedziała, a wszyscy pokiwali głowami.

– Ja też się cieszę, że wróciłam – odparła Ingrid i weszła do swojego gabinetu jakby nigdy nic.

– Mówię poważnie, wspaniale, że wróciłaś – powtórzyła Gloria już za zamkniętymi drzwiami – bez ciebie wszystko jakby zamarło.

Jej gabinet wyglądał inaczej. Pomalowali go, a biurko przesunęli w inne miejsce.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ale pomyślałam, że trudno byłoby ci tu wrócić i zastać wszystko tak jak wtedy, gdy ostatnio stąd wychodziłaś – zaczęła Gloria. – To przypominałoby ci...

Właściwie to był zupełnie inny gabinet. Nowe miejsce na nowy początek. Bardzo się jej to spodobało.

– Dziękuję ci. – Złapała drobną dłoń Glorii. – Idealnie to wymyśliłaś.

– No wiesz, nie byłam pewna. W ciągu godziny możemy to wszystko przestawić tak, jak było...

– Nie chcę tak, jak było – powiedziała szybko Ingrid.

– Nic już nie będzie tak jak wcześniej.

– Ingrid, tak się cieszę, że cię widzę!

Jack, szef programów publicystycznych, zerwał się z fotela i wyszedł zza biurka, by z powagą uściskać jej dłoń. Ingrid przełączyła się na tryb gwiazdorski i posłała mu swój najbardziej promienny zawodowy uśmiech.

– I ja się cieszę, Jack.

– Wyglądasz po prostu fantastycznie.

Ingrid zdawała sobie sprawę, że jej wygląd to bardziej sprawa sprytnych sztuczek niż cokolwiek innego, ale była z niego zadowolona. Chciała z powrotem choć jeden kawałek dawnego życia, choćby najmniejszą część. Większość i tak jest stracona, umarła wraz z Davidem i jego zamkniętymi na klucz szufladami, ale wciąż została jej ta jedna sfera, do której miała dostęp i gdzie mogła udawać, że nic się nie stało, co było niemożliwe z Ethanem i Molly. Tutaj, w studio, mogła udawać, że wszystko jest jak dawniej, i to będzie musiało wystarczyć.

– Dziękuję, Jack. – Ingrid nie przestawała się uśmiechać. Nigdy nie przepadała za Jackiem i była przekonana, że z wzajemnością, ale dobrze im się razem pracowało. Joan, gotowa wskoczyć na jej miejsce, to z pewnością prezenterka bardziej w jego stylu – młoda, uległa i chętna, by uczestniczyć w jego imprezach, jak domowy zwierzak, wytresowana i gotowa na pokaz. Ingrid nigdy taka nie była. I teraz też nie będzie, ale może poświęcić coś w zamian za to, co chce dostać.

– Ty też świetnie wyglądasz – dodała. – Jak twój handicap, niezmiennie jednocyfrowy?

To zawsze działało, Jack jako fanatyk golfa uwielbiał o nim rozmawiać.

– Ech, sama wiesz, tak trudno się teraz wyrwać na pole.

Łgarz, pomyślała, bo wiedziała doskonale dzięki Glorii, że Jack grywał trzy razy w tygodniu, i to wcale nie w weekend. Inne zasady dla chłopców,

inne dla dziewcząt. Ciekawe, ilu kobietom dyrektorom udaje się urwać z roboty trzy razy w tygodniu.

– Dziękuję ci za ten urlop okolicznościowy – powiedziała jeszcze. – Bardzo tego potrzebowałam, ale teraz jestem już gotowa do pracy.

Kolejne kłamstwo.

– Na pewno chcesz wrócić?

Ingrid zaprezentowała swój megaśmiech, który zwykle wykorzystywała tylko w telewizji.

– Oczywiście, Jack, o tym właśnie przyszłam porozmawiać.

– No i jak? – zapytała Gloria, gdy Ingrid znalazła się w bezpiecznym zaciszu własnego gabinetu.

– W porządku – odparła zwięźle.

– Tylko w porządku?

– Mam nadzieję, że nie przyszłam za późno.

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że nie. Ten program to ty. Co tydzień dostajemy setki maili i listów z pytaniem, kiedy wracasz. Nie jestem w stanie ich ogarnąć.

– Z tym że ludzie piszący te listy nie odpowiadają za programy publicystyczne – zauważyła Ingrid. – I w tym cały problem. Dodatkowo chodzi też o to, że Joan ma agenta, agenta, który jest dobrym znajomym Jacka.

Ingrid nigdy nie miała agenta, głównie dlatego, że kiedy zaczynała, utalentowani ludzie nie miewali agentów, a dziś ma go każdy. Sama kierowała swoją karierą, z niewielką pomocą Davida, gdy przychodziło do liczb. Zawsze potrafił przygotować wspaniałe propozycje wynagrodzenia. Ale co on sobie właściwie myślał, kiedy je sporządzał, zastanawiała się teraz ponuro. Jego zdrada wciąż tak mocno bolała. Przez większość czasu starała

się nie dopuszczać do siebie bólu i myśleć, że Davida po prostu nie ma, a ona musi radzić sobie sama. Ale czasami się nie udawało i przychodził moment prawdziwej tortury wraz z myślą, że nie tylko go nie ma, ale też że ją zdradził, a ona nigdy się nie dowie dlaczego.

– Jaki jest plan? – pytała tymczasem Gloria.

– No cóż, nie mam zamiaru robić wokół siebie szumu – powiedziała Ingrid swojej asystentce. – Tak też przedstawiłam to Jackowi. Nie chcę zrobić wrażenia, że od dziś przejmuję całą planetę, więc powiedziałam, że się zorientuję, co i jak, i na dobre zacznę w przyszłym tygodniu.

– Carlos chce, żebyś była dziś na spotkaniu przedprogramowym.

Ingrid kiwnęła głową. Skoro powiedziało się „a”...

Czułaby się, jakby w ogóle nie brała tego urlopu, gdyby nie obecność Joan, bardziej odstawionej, niż Ingrid pamiętała. Mocniejszy i bardziej lśniący blond szedł w parze z szykownym ciuchem. Usiadła w przeciwległym końcu sali konferencyjnej i obserwowała Ingrid, jak Wiluś E. Kojot obserwował Strusia Pędziwiatra.

Kiedy to stałam się wrogiem? Zapisała w głowie, że musi o tym pogadać z Marcellą. Pamięta przecież, że kilka lat temu udzielała jej rad, kiedy Joan dołączyła do ekipy. Wcześniej relacjonowała dla stacji przebieg procesów sądowych. Była wtedy pełna zapału, nosiła ciepłe kurtki, żeby się nie przeziębć podczas relacji na żywo przed sądem, i podziwiała Ingrid. Tamten rozdział jest już najwidoczniej zamknięty. Teraz Joan chciała zająć jej miejsce.

Umarła królowa, niech żyje królowa, pomyślała Ingrid. No cóż, ta królowa jeszcze żyje, i to jak. Może nawet kopać i gryźć, jeśli zajdzie potrzeba.

Pierwszy temat dotyczył kryzysu energetycznego. Martin, któremu

prawniczka żony spuściła niezłe lanie, miał już rozwiązanie problemu:

– Wystarczy wykorzystać energię pełnych jadu już wkrótce byłych żon – powiedział nienawistnie. – Komu potrzebna energia nuklearna, skoro pierwsze żony same z siebie stają się nuklearne. To nieskończone źródło furii. Można zasilić cały kraj.

– Martin, skończ już – jęknęła Jeri.

– Poczekaj trochę – warknął – aż pan Triatlon Doskonały powie, że się pomylił, że w ogóle nie powinniście byli być razem, ale przynajmniej nie macie dzieci, i czy moglibyście się rozstać w sposób kulturalny... i już go nie będzie.

– Martin! – Carlos rzadko podnosił głos, ale kiedy to robił, ludzie go słuchali.

– Przepraszam. – Martin wstał i wyszedł.

Gdy wychodził, Ingrid patrzyła na jego plecy. Czy wszystkie odrzucone żony zamieniały się w nuklearne elektrownie wściekłości? Czy z nią byłoby tak samo, gdyby David dał jej wybór i zostawił, zamiast umierać?

Nie chciałyby się tak zachowywać.

Na koniec omówili czekający ich wywiad z ministrem finansów. Wszyscy od razu spojrzeli na Ingrid. Głównie dlatego, że miała najwięcej doświadczenia, wiele razy już z nim rozmawiała. Niemal widziała na twarzy Joan zimną wściekłość – Ingrid wróciła i bez wysiłku wchodzi w swoją dawną rolę, i nikt nawet nie zapytał: „A co z Joan?”.

Dawniej Ingrid podeszłaby może do niej po spotkaniu, żeby o tym porozmawiać. Ale nie miała już siły na takie rzeczy. Jeśli Joan będzie na miejscu odpowiednio długo, na pewno któregoś dnia dostanie tę robotę. Ingrid miała świadomość, że nie jest wieczna. Ale w tej chwili potrzebowała tej pracy bardziej niż Joan.

– To pani!

Goniec zobaczył ją na dole przy recepcji, gdy wychodziła.

– Mamy dla pani górę poczty. Całe worki. – Nagle jakby przypomniał sobie, czego mogą dotyczyć listy. – Przykro mi z powodu pani męża – dodał.

– Bardzo tu pani wszystkim brakowało.

– Dziękuję – powiedziała szczerze.

Dziś potrafiła odczuwać wdzięczność nawet za małe rzeczy. Wróciła do pracy, w przyszłym tygodniu czeka ją ważny wywiad, a ludzie odczuli jej brak. To nie wszystko, czego pragnęła, ale na dziś wystarczy.

## 15

*Życie wydaje się takie długie, kiedy jesteśmy w środku drogi, ale gdy wiesz, że wkrótce się skończy, zdajesz sobie sprawę, jak mało czasu mamy na ziemi. Nie zmarnuj go.*

Kitty, Brendan i Charlie siedzieli w łoży, czekając na podniesienie kurtyny. Byli na premierze nowej sztuki Iseult *Tańcząc z życiem*. Sala i balkony pękały w szwach. Iseult przysłała im do łoży ogromną butelkę szampana w kubelku z lodem. Kitty natychmiast poleciła Brendanowi ją otworzyć.

Jednak Iseult, czyli gość honorowy, nie zasiadła z nimi. Była za kulisami, rozmawiała z aktorami i reżyserem. Kitty się złościła, że pozwolili jej tam zostać tylko pięć minut, a potem delikatnie, ale stanowczo Iseult ją wyprowadziła. Charlie była zaskoczona, widząc mamę tak prędko z powrotem.

– Szybko wróciłaś – powiedziała, zauważając, że zaróżowione policzki matki świetnie się komponują z jej bordową sukienką z surowego jedwabiu.

Wyglądała świetnie, Charlie musiała to przyznać. Nikt by się nie domyślił, że jeszcze kilka tygodni temu Kitty ledwie kuśtykała po złamaniu biodra, przybita i nieumalowana.

Dziś wieczorem jej włosy zakręcone w ogromną ilość maleńkich loczków, które otaczały twarz, bez mała można by nazwać triumfem sztuki fryzjerskiej. A makijaż był wprost fantastyczny. Charlie się domyśliła, że mama zafundowała sobie jakiś zabieg, choć zapewne zaprzeczyłaby, gdyby ją zapytać.

– Dobre geny, no i dbam o siebie – lubiła odpowiadać.

Cokolwiek to jednak było, botoks czy wypełniacze, efekt psuła nieco



irytacja widoczna na twarzy Kitty.

– Za kulisami odchodzi jakieś zawracanie głowy – mówiła rozzłoszczona, sadowiąc się w łoży jak królowa matka na przedstawieniu galowym. – Nie chcą tam obcych. Jakbym ja była obca!

Za nią Charlie i Brendan wymienili uśmiechy. Charlie wyciągnęła do niego rękę. Cudownie, że był tu razem z nią. Jego obecność tak ją uspokajała. Bardzo się bała dzisiejszego dnia. Owszem, cieszyła się, że zobaczy nową sztukę Iseult, bo talent siostry gwarantował interesujący wieczór, ale była też pełna obaw, bo wiedziała, że mama wejdzie w rolę „matki autorki sztuki”, co się wiązało z całym wachlarzem min, gestów i napadów złości.

Kilka dni wcześniej Kitty nie mogła się pozbierać z radości, kiedy napisali o Iseult w „Irish Timesie”. Cytowano tam jej nieśmiertelną kwestię: *Mama była dla mnie taką inspiracją.*

Kiedy Charlie i Brendan przyjechali, żeby zabrać ją do teatru, wycinek wisiał na lodówce. Pewnie go oprawi, pomyślała ze złością Charlie, a potem wściekła się na siebie, że jest taka zgorzkniała i pełna urazy.

*Odetnij się z miłością.* Powinna odpuścić. Wiąż między mamą i Iseult to ich sprawa, a jeśli jest silna, tym lepiej dla nich. Żadna z nich nie ma przecież tego co ona, czyli wspaniałego małżeństwa i cudownego synka.

Ostatnio bez przerwy powtarzała sobie, że nie da się zmienić tego, co ludzie myślą i jak postępują, można tylko zmienić swój stosunek do nich.

No tak, ale to była teoria. Obojętne, ile razy sobie to mówiła, w rzeczywistości było jednak inaczej.

– Spokojnie – szepnął bezgłośnie Brendan ze swojego miejsca w łoży.

Żartobliwie pokazała mu język, a on odpłacił jej tym samym. Gdy byli z Kitty, czuli się zawsze jak dzieci, skąd to się brało? Charlie nie przychodziły do głowy żadne inne okoliczności, w których miałyby ochotę wystawiać

język.

To Kitty, była pewna. A Brendan jest niesamowity. Tak dobrze ją toleruje, biorąc pod uwagę fakt, że sam ma jak najbardziej normalną rodzinę.

W niedzielę pojechali do rodziców Brendana na obiad i wspañiale się u nich zrelaksowała. Jenny i Stephen to emerytowani nauczyciele. Stephen jest bardzo spokojnym człowiekiem, który częściej się uśmiecha, niż odzywa, jak Brendan. Jenny to urocza i silna kobieta, która wychowywała sześcioro dzieci, jednocześnie pracując, co nie było łatwe. Jest podporą miejscowego kościoła, świetnie gotuje i bardzo się angażuje w życie swoich dzieci oraz wnuków, ale zawsze z wyczuciem.

Nie trzeba chyba dodawać, że Kitty jej nienawidzi.

– Jest okropnie pobożna, no nie? – zwykła mawiać. – I te włosy. Mogłaby coś z nimi zrobić!

Włosy Jenny były krótkie i rzadkie i nigdy nie dotykał ich fryzjer.

Niechęć, jaką Kitty żywiła do Jenny, przez kilka lat spędzała Charlie sen z powiek, ale te czasy już minęły. Chyba jednak dziennik wdzięczności zadziałał, uznała Charlie. Czytanie rzeczy, które wcześniej napisała, pomagało lepiej je zrozumieć. Zrozumiała na przykład, że mama nie cierpi Jenny głównie z powodu zazdrości. Kitty rozwodziła się zawsze na temat praw kobiet i wagi pracy zawodowej w ich życiu, ale w sumie po urodzeniu dzieci sama nigdy nie pracowała.

Jenny za to wychowywała szóstkę, jednocześnie pracując na pełny etat, i zakończyła karierę jako wicedyrektor jednej z państwowych szkół. Kitty nie lubiła Jenny nie z powodu poczucia wyższości, ale dlatego że czuła się gorsza.

– Czy ta cholerna sztuka w ogóle się dziś zacznie? – burknęła teraz.

Tak, pomyślała Charlie, złości się, bo nie pozwolili jej zostać za

kulisami. Zachowuje się jak dziecko, któremu ktoś odebrał zabawkę. Zrozumienie pomagało.

Pod koniec drugiego aktu Charlie zupełnie zapomniała o nastrojach matki i skupiła się na scenie. Główna bohaterka, umierająca kobieta, poprzez migawki wspomnień patrzy na swoje życie, w którym wojna i śmierć mieszają się z miłością i romansami. Rodzina jest przy niej na łożu śmierci. Oczami jej członków Iseult zanalizowała ich poszczególne relacje z matką. Sztuka była tak głęboka, a aktorzy grali tak świetnie, że Charlie nie mogła sobie nawet przypomnieć tych zabawnych historyjek, jakie siostra opowiadała o próbach. Zapomniała o wszystkim, wpatrzona w scenę, na której rozgrywała się ta niesamowita historia.

Wątek, który ją wprost zafascynował, dotyczył postaci najmłodszej córki – osoby, która najbardziej rozpaczała przy łóżku matki. W końcu stało się jasne, że jej ojcem nie jest ojciec pozostałych dzieci.

Jej ojciec to prawdziwa miłość matki. Człowiek, którego musiała kochać potajemnie, ale był jej bliższy niż ktokolwiek inny, nawet pozostałe dzieci. I właśnie to, zdawała się sugerować Iseult, spowodowało, że między matką i córką zaistniała ta specjalna więź.

– Ach, rozumiem – zawołała półgłosem Charlie, choć nikt jej nie usłyszał, bo wszyscy obserwowali aktorów.

Teatr przesunął się jakby na drugi plan, a jej ni stąd, ni zowąd przypomniło się, jak pierwszy raz poszła na USG, kiedy była w ciąży z Mickeyem.

Brendan był przy niej, trzymał ją za rękę, obydwoje patrzyli na monitor, gdy lekarz pokazywał im kursorem zarys ciała dziecka w brzuchu Charlie. Na ekranie obraz wyglądał jak mnóstwo rozsypanych w nieładzie kropek i Charlie, choć bardzo chciała zobaczyć, jak wygląda dziecko, po prostu nie

mogła go odczytać.

– O, proszę, tu mamy główkę, widzicie? – mówił lekarz, dotykając palcem ekranu.

I wtedy w jednej chwili wszystko nabrało sensu. Zobaczyła delikatną twarz swojego dziecka, potem wyciągniętą rączkę z paluszkami i nóżki, mocno zgięte.

Zobaczyła pełny obraz. Tak jak teraz. Iseult może sobie twierdzić, tak jak w wywiadzie do gazety, że pisała o fikcyjnej rodzinie, ale coś w samym sercu tej sztuki było jej bardzo bliskie. I być może uda się jej wszystkich przekonać, że to fikcja, możliwe, że sama też w to uwierzy. Ale mimo że żaden inny wątek nie przypomina prawdziwego życia jej siostry, Charlie była niemal pewna, że główną bohaterką Iseult jest ona sama. Co oznacza ni mniej, ni więcej, że Anthony Nelson nie jest ojcem jednej z nich.

Na imprezę po premierze producenci wynajęli apartament w hotelu Merrion, ale w garderobie szampan lał się, jeszcze zanim aktorzy, reżyser i autorka tam dotarli.

Charlie nie miała ochoty iść do niczyjej garderoby, wciąż kręciło się jej w głowie od tego, co zobaczyła na scenie. Więc właśnie to Iseult i mama ukrywały przed nią przez te wszystkie lata? Czy to jest ta prosta i okrutna odpowiedź na pytanie, dlaczego w jej relacji z matką brakuje czułości? Czy ojciec Iseult znaczył dla Kitty więcej niż ojciec Charlie? Kiedy Iseult się dowiedziała i dlaczego nic jej nie powiedziała? Charlie aż się gotowała z bezsilnej złości. Gdy tylko pomyślała o tych wszystkich latach, gdy się martwiła, jak zadowolić matkę, próbując być córką doskonałą, i wszystko na próżno. Nic nie mogła zrobić, żeby zostać faworytką Kitty – ta rola została przypisana komuś innemu poprzez proste i niemożliwe do zmiany okoliczności ich narodzin.

– Niezbyt dobrze się czuję, boli mnie głowa. Wracam do domu – powiedziała matce, kiedy wyszli z łoży. Dziś wieczorem nie zniesie widoku Kitty.

– Nonsens! – odparła matka tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Mam w torebce tabletki przeciwbólowe, nic ci nie będzie, chodź – i pociągnęła Charlie za sobą. Brendan szedł za nimi.

Charlie obejrzała się na niego bezradnie.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony. Była taka blada.

– Nie – poruszyła tylko ustami, kręcąc głową.

Miała ochotę usiąść na samym środku teatru i się rozplakać, ale uniemożliwiła to Kitty, mocno ją trzymając, zadziwiająco mocno jak na kogoś, kto jeszcze niedawno był taki kruchy i słaby. Kitty dotarła, rozpychając się łokciami, za kulisy, skąd dochodziły triumfalne odgłosy wyskakujących korków szampana połączone z podnieconymi okrzykami ulgi po udanej premierze.

– Podobało im się, naprawdę im się podobało! – wrzeszczał ktoś.

– M y się im podobaliśmy! – zawołał ktoś inny.

– Byłeś wspaniały!

– Nie, to t y byłaś wspaniała!

– Naprawdę tak uważasz, kotku?

Charlie nigdy nie zazdrościła Iseult sukcesu. I dalej tak było. Ale dziś nie miała serca, by fetować tę konkretną sztukę. Przeżyła szok, bo ważna tajemnica jej życia została ujawniona na oczach setek innych ludzi. Gdyby chociaż Iseult ją uprzedziła, gdyby Kitty coś powiedziała.

Ledwie Kitty dostrzegła wysoką sylwetkę starszej córki i jej blond czuprynę walkirii ponad głowami tylu innych osób, natychmiast przyspieszyła, puściwszy Charlie.

– Kochanie, to było niesamowite.

I Charlie ze złością patrzyła, jak się obejmują, znów czując się wykluczona.

– Pani Nelson, musi być pani taka dumna – zagadnęła ją kobieta z notesem, obok której stał fotograf. Notes znalazł się przy twarzy Kitty, jakby to był mikrofon.

– Ależ oczywiście – zaczęła. – To właśnie wieczory takie jak ten przypominają o trudach samotnego wychowywania dziecka.

Nawet Iseult wyglądała na lekko oszołomioną tym wystąpieniem. Matka nigdy nie wychowywała ich sama. Kiedy Anthony się wyprowadził, Iseult miała osiemnaście lat. I dlaczego dziecka, a nie dzieci? Jakby Charlie zwyczajnie nie istniała. Czowała napływające łzy złości.

– Jestem niezmiernie dumna z mojej córki – kontynuowała Kitty, odsuwając do tyłu włosy, tak żeby optycznie wydłużyć szyję – dla fotografa. W zbliżeniu na zdjęciach tak łatwo można wyjść grubo.

– Zapewne dumna z obydwu córek – powiedziała lekko reporterka, dostrzegając Charlie.

Kitty mrugnęła, gdy błysnęła lampa flesza.

– No tak, oczywiście, że z obydwu – powiedziała zupełnie zaskoczona. Obejrzała się, rzucając Charlie spojrzenie spod rzęs mocno podkreślonych maskarą. Charlie odwróciła się i odeszła.

– Mamo! – syknęła Iseult. Kitty przykleiła do twarzy uśmiech.

– Tak, kochanie?

Tylko nieznacznie zgrzytając zębami, od lat przyzwyczajona do rozmów z dziennikarzami, Iseult wyprowadziła matkę spod nosa dziennikarki.

– Proszę nam wybaczyć – powiedziała Kitty ze swoim przyklejonym

uśmiechem.

– Mamo! – zawołała Iseult, kiedy znalazły się w miejscu, gdzie nikt ich nie słyszał. – Dlaczego to powiedziałaś? Spójrz na biedną Charlie, przecież wiesz, jakie to musi być dla niej trudne, kiedy wszyscy gratulują mnie. Nie możesz mówić, że jesteś dumna ze mnie, tak jakbyś miała tylko jedną córkę, gdy ona stoi obok ciebie!

– Nie bądź śmieszna. Ona się tym nie przejmuje.

Ale nie była pewna, Charlie wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

Nagle Iseult dojrzała kogoś, z kim musiała porozmawiać, więc odeszła, zostawiając Kitty z czymś zupełnie jej obcym – poczuciem winy.

Kitty zwykle nie robiła sobie wyrzutów. Uważała, że to strata czasu. Ona i Mairead wiele razy o tym rozmawiały, zazwyczaj popijając ulubione martini Kitty.

– Po co komu wyrzuty sumienia? – mówiła Mairead, kręcąc szklanką i prosząc o uzupełnienie. – Stworzono je wyłącznie dla kobiet.

Powodem, dla którego z powodzeniem mogły o tym rozmawiać, był fakt, że żadna z nich prawie nigdy ich nie odczuwała.

A jednak teraz Kitty je czuła. Charlie wyglądała na zdruzgotaną. Kitty nie chciała powiedzieć, że jest dumna tylko z Iseult, oczywiście, że była dumna z obydwu swoich córek. Ale sukces Iseult był o wiele bardziej widoczny, taki dla wszystkich oczywisty. Dzięki temu był inny, bardzo specjalny, jakby trochę wspanialszy. Poza tym Charlie na pewno poszła zażyć środki przeciwbólowe i za chwilę wróci, by zawieźć Kitty na przyjęcie. Wszystko będzie dobrze, Kitty była o tym przekonana.

Charlie jednak nie wróciła i Kitty musiała załapać się na przejazd z Iseult, która nie wzięła swojego samochodu, bo wozili ją producenci w swojej wielkiej czarnej limuzynie – a w niej ku zaskoczeniu Kitty nie bardzo było dla

niej miejsce. Czowała się urażona, szczególnie że tuż przedtem, zanim wsiadły, dziennikarka, z którą rozmawiała wcześniej, znów próbowała ją podejść, by zapytać o jej działalność feministyczną, a wtedy Iseult wepchnęła ją pospiesznie do samochodu.

– Nie, mam, już dość narozrabiałaś!

– Co masz na myśli, mówiąc „narożrabiałaś”? – zażądała wyjaśnień Kitty, kiedy upakowały się ciasno w czarnej limuzynie.

– Ta kobieta pisze do rubryki towarzyskiej i poprzekręca wszystko, co jej powiesz – tłumaczyła z irytacją Iseult. – Dzisiejszy wieczór ma być poświęcony mojej sztuce, a nie prawdziwym kłótniom rodzinnym. Wystarczy, że dałaś do zrozumienia, że jesteś dumna tylko z jednej swojej córki.

– Dlaczego mnie przed nią nie ostrzegłaś? – powiedziała rozdrażniona Kitty. – Przecież nie pierwszy raz rozmawiam z prasą, wiem, co powiedzieć.

– Och, mam – westchnęła Iseult. – Jedyne raz, kiedy rozmawiałaś z prasą, byłaś małą zębatką w feministycznej maszynie. Nie byłaś nawet przewodniczącą. To było wtedy, a teraz jest teraz!

Na przyjęciu Kitty czowała się nieswojo. Lepiej byłoby z Charlie i Brendanem. Też nikogo by nie znali, nie obracali się w takich elitarnych kręgach. Ale Kitty mogłaby z nimi pobyć i ewentualnie zagadnąć kogoś, kto by się jej spodobał. Zawsze łatwiej zacząć rozmowę, gdy człowiek ma swoje towarzystwo, bo jak przychodzi na przyjęcie sam, wygląda żałośnie i samotnie.

Dodatkowo była rozczarowana, bo nikt jej nie rozpoznawał. Powinni ją pamiętać, w latach siedemdziesiątych jej twarz była naprawdę znana. Fakt, nie mogła się nazwać liderką ruchu feministycznego, ale jej uroda była olśniewająca, więc gazety lubiły zamieszczać jej zdjęcie przy okazji artyku-



łów o ruchu wyzwolenia kobiet. „Jesteś inna niż te brzydkie stare feministki, które palą swoje biustonosze” – jak to ujmująco określił pewien fotograf. Była ważna, była kimś. Ale tutaj nikt o tym nie wiedział.

Rozejrzała się wokół z odrazą. Kogo tu znała oprócz Iseult, która już dawno przestała się nią interesować i teraz gawędziła, uśmiechała się, flirtowała i robiła te wszystkie rzeczy, które na jej miejscu robiłaby Kitty. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła swój wiek. Nie, poczuła więcej niż wiek. Czowała się niedołączna i niekochana.

Podeszła do baru, gdzie jeden z aktorów zadowolony rozdawał drinki i gawędził z gośćmi.

– Martini z wódką – mruknęła, opierając się o kontuar.

– Najpierw muszę dostać całusa – odparł barman.

Kitty spiorunowała go wzrokiem.

– Więc uznaj, że dostałeś – powiedziała. – Albo nie, cofam, uznaj, że przetrzepałam ci tyłek. A teraz dawaj to zasrane martini.

Głośno przełknął, zszokowany.

– Już się robi.

Kitty została przy barze, sącząc martini. Miała ochotę na papierosa, ale palenie w miejscach publicznych zostało zabronione przez faszystowskich fanatyków zdrowia, a czuła się zbyt zmęczona, by wychodzić na taras. Dlaczego właściwie cały czas czuła się taka zmęczona? To niesprawiedliwe. W głowie wciąż miała osiemnaście lat i chciała zaczynać życie, mistrzyni zachęcających spojrzeń rzucanych przechodzącym mężczyznom.

Gdyby ktoś zapytał osiemnastoletnią Kitty, co będzie robić po sześćdziesiątce, zapewne krzyknęłaby z przerażeniem.

Do tego czasu już umrze, odparłaby śmiało. Czterdziestka to starość, sześćdziesiąt parę – potworna myśl. Sześćdziesiąt lat miała ciotka Tilda ze

swoimi starymi, obzartymi przez mole norkami, ciepłą bielizną wyglądającą zza bluzek i skórą zaczerwienioną od wiecznego przesiadywania w ogrodzie, gdzie obcinała kwiaty i rozdzielała kłocza irysów.

Tilda była pyskata, zawsze się rządziła i należało jej za wszelką cenę unikać. Drugie martini – supermocne, bo idiota za barem wreszcie załapał – rozjaśniło Kitty w głowie. Normalnie nie rozklejała się przy wódce, ale tym razem tak się stało. Przyszło jej do głowy, że zamieniła się w Tildę. Nie była już tą seksowną laską ze swojej młodości – była irytującą kobietą, której udało się rozdrażnić obydwie córki. No, jedną o wiele bardziej niż drugą.

Cholerne wyrzuty sumienia. Nie chcą się odczepić. Kitty znalazła papierosa i zapaliła mimo zakazu. Niech tylko ktoś spróbuje ją wyrzucić za palenie w hotelu. Jeśli jest na tyle głupi, żeby próbować, to znaczy tylko, że nie zna jeszcze Kitty Nelson.

## PRZESZŁOŚĆ

## KITTY

Kiedy Kitty była młoda, mówiło się, że mężczyznom chodzi tylko o jedno. Jak im to dałaś, byłaś ugotowana, więc tylko głupie kobiety tak robiły. Nawet w bardziej wyrafinowanej i niekonwencjonalnej atmosferze Cardinal Martinez House, szkoły z internatem, do której uczęszczała Kitty, uznawano tę prawdę. Oddaj się mężczyźnie, a jesteś zgubiona.

Kitty orientowała się mniej więcej w kwestii rozmnażania zwierząt. Ostatecznie dziwne by było, gdyby ktoś wychowany na farmie, w dodatku wśród starszych braci, nie miał pojęcia o tych sprawach. Więc wiedziała, o co chodzi. Nie rozumiała jednak, na czym polega ta siła, którą przez akt seksualny wydawali się zyskiwać mężczyźni. To oni rządzą, nie kobiety.

– Dlaczego właściwie mężczyźni zawsze mieliby gonić za seksem? – pytała swoją koleżankę Dervlę. – Przecież nie jesteśmy jakimiś potulnymi owcami, głupimi stworzeniami, które nie potrafią mówić: nie. Albo... – przerwała, bo sama myśl o tym była wręcz szokująca – może to taki wybieg, żebyśmy się nie zorientowały, że też możemy mieć z tego przyjemność?

Dervla i Kitty zostały koleżankami po części dlatego, że nadawały na tych samych falach, a po części dlatego, że sprawiały nauczycielom najwięcej kłopotów w klasie i dlatego sporo czasu spędzały razem, siedząc na przykład wyrzucone na korytarz za złamanie takiej lub innej zasady.

– Nigdy nie słyszy się nic o przyjemności – zauważyła z namysłem Dervla.

– To właśnie część spisku – wyjaśniła energicznie Kitty. Dervla była po jej stronie. – Mówią, że nic w tym fajnego, tak samo jak w papierosach i

alkoholu. Nic przyjemnego. A jeśli to świetna zabawa?

Kitty słyszała o pewnej dziewczynie, która to zrobiła i rzeczywiście miała dziecko. Jako córka zamożnego farmera nigdy jej nie poznała, bo tamta mieszkała w chałupach przy torach, gdzie jak mawiała z pogardą matka Kitty, „rozmnażają się jak króliki”. Nic tam na miejscu nie wskazywało, że czerpią przyjemność z seksu, widoczne były jedynie bezsprzeczne dowody, że go uprawiano. Kiedy Kitty przechodziła obok tych domów, miała wrażenie, że panują tam brud i nędza. Inaczej niż w pozostałej części miasta, gdzie ludzie bardzo dbali o swoje domostwa i ogrody.

Kitty zobaczyła kiedyś tę dziewczynę z dzieckiem i przez chwilę chciała nawet podejść, żeby powiedzieć jej „cześć” albo „dobra robota”. Nie potrafiła sobie wyobrazić piekła, jakie by się rozpętało u nich w domu, gdyby to ona zaszła w ciążę.

Ale dziewczyna wyglądała na wycieńczoną, jasne włosy w nieładzie, wytarte ubranie, no i dziecko darło się tak, że Kitty rozboleła głowa. Uśmiechnęła się półgębkiem i poszła dalej. Z twarzy dziewczyny raczej trudno było wyczytać, że jako kobieta zrobiła ważny krok, czy to uprawiając seks czy rodząc dziecko jako panna. Kitty podsłuchiwała kiedyś, jak znajoma mamy opowiadała, że ksiądz dobijał się do drzwi jej rodziców z żądaniem, by ją wygnali, bo inaczej oni sami staną się współwinni grzechu. Niewiarygodne, ale odmówili. Kitty nie miała cienia wątpliwości, że gdyby zapukał do drzwi jej rodziców, w mgnieniu oka wystawiliby za drzwi ją i jej ciężarny brzuch.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, dostała posadę maszynistki w biurze księgowego ojca w Dublinie. Oznajmiła, że chce się wyprowadzić, i w domu rozpętała się wojna, szczególnie że wszyscy mieli świeżo w pamięci kłopoty, w jakie się wpakowała rok wcześniej we Francji. Wyjechała na wymianę do

Bordeaux i rozpoczęła trwający całe życie romans ze wszystkim, co francuskie. Pojechało z nią jeszcze kilka koleżanek, ale im się specjalnie nie podobało, były na to zbyt sztywne i pruderyjne. Gdy *Madame* kazała im siedzieć w domu, żadnej nawet przez myśl nie przeszło, żeby się wymknąć. Ślepe posłuszeństwo zasadom nigdy jednak nie przemawiało do Kitty. Reguły tworzone po to, żeby je łamać.

*Madame* wyrzuciła ją z domu, gdy odkryła, że Kitty uwiodła jej „słodkiego i niewinnego” syna Charles’a. Charles w najmniejszym stopniu nie był słodki ani niewinny, ale jego matka sądziła, że jest, i tylko to się liczyło.

– Wynocha! – piszczała, wypychając Kitty i jej rzeczy za drzwi. – Musisz wyjechać i nie chcemy cię tu widzieć z powrotem.

Charles, ten tchórz, wyglądał żałośnie z okna na piętrze, gdy Kitty ze swoją walizką wlokła się w stronę ulicy. Jego papa patrzył z drugiego okna, również żałośnie.

Kitty miała swoje plany również względem niego. Podobał się jej pomysł ze starszym mężczyzną w roli głównej, ale to nie było im pisane.

Wtedy właśnie pojechała po raz pierwszy do Paryża. Paryż 1959 – to było to. Żadnych prowincjonalnych idiotyzmów, jak w ojczywej Irlandii, gdzie ludzie, których ledwie się zna, komentują na ulicy twoje zachowanie, bo są „starsi i lepsi”, i to uprawnia ich do besztania cię za palenie czy czerwoną szminkę na ustach. W Paryżu można było palić, malować usta, całować kogo i kiedy się chciało, i nikt się nie czepiał. Kitty zakochała się w tym mieście od pierwszego wejrzenia. Nie miała też grosza przy duszy i po dwóch tygodniach wylądowała z powrotem w domu, z podciętymi przez matkę skrzydłami.

– Ty mały włóczykiju! – syczała matka. Otrzymała list od *Madame*, w

którym dokładnie poinformowano ją, co zaszło. – Zadawałaś się z tym chłopcem?

Kitty zastanowiła się, czy skłamać, ale zdecydowała, że nie zrobi tego. Prawda była ważna.

– A jeśli tak, to co? Byliśmy ostrożni.

Charles był więcej niż ostrożny. Był wspaniały. Kitty napisała list do Dervli, w którym informowała ją o tym, co podejrzewały już tyle lat wstecz: „Seks jest fantastyczny!”.

Kiedy Kitty postawiła sprawę jasno – że wyprowadza się do Dublina i chce tam pracować, z ich zgodą lub bez niej – rodzice ustąpili i ojciec znalazł jej zarówno pracę, jak i pokój w pewnym domu, gdzie dobrze wychowane panny mieszkaly pod czujnym okiem wdowy i byłej nauczycielki, która hołdowała sztywnym zasadom i nie tolerowała złego prowadzenia się. Nora Slattery przewidywała, że z Kitty będą kłopoty, ale trudno było jej zarzucić dziewczynie coś konkretnego. Kitty zawsze wracała przed godziną policyjną i wychodziła do pracy punktualnie, ubrana w ładny, choć może nieco zbyt obcisły komplecik.

Ale coś było na rzeczy, Nora nie miała wątpliwości.

W pracy Kitty wdała się w umiarkowany dziewczęcy flirt ze starszym współnikiem, ale swoje rzeczywiste umiejętności uwodzenia zachowywała dla młodszego współnika, bardzo przystojnego i bardzo żonatego pana Lyncha. Pod jego pełnym podziwu spojrzeniem spódniczki Kitty stały się krótsze, sweterki bardziej obcisłe, a szminka czerwiejsza. Niespecjalnie przejmowała się pracą, ku rozczarowaniu pełnej godności starej panny, która zarządzała maszynistkami. Panna Roche zachowywała spokój, gdy Kitty wracała spóźniona z przerwy na lunch. Panna Roche widziała już niejedno. Młode dziewczyny przychodziły i odchodziły. A kiedy wyszły za mąż,

znikały na dobre.

– To niesprawiedliwe, że po ślubie nie możemy dalej pracować – mówiła Kitty. – Mężczyźni tutaj w większości są żonaci i dalej pracują.

– Zameżne kobiety powinny zajmować się mężami – odpowiadała panna Roche, która nigdy nie miała okazji wyjść za mąż, i dlatego mogła korzystać z tego jedyne go przywileju, jaki w latach sześćdziesiątych świat oferował niezameżnym kobietom.

– A dlaczego mężczyźni nie mogą sami się sobą zająć? – pytała rozdrażniona Kitty.

– To należy do kobiet.

– Bzdury – prychała Kitty. – Jakby mężczyzna nie mógł czegoś ugotować, jeśli tylko zechce.

W tym czasie ulubioną lekturą Kitty była zaczytany egzemplarz *Miłości małżeńskiej*. Wyjaśniano tam tajemnice cyklu menstruacyjnego, a więc kiedy bezpiecznie można się kochać, żeby nie zająć w ciążę. Niestety, ulubioną książką pana Lyncha były *Pamiętniki Fanny Hill*, osiemnastowieczne arcydzieło o tematyce erotycznej, co oznaczało, że nie przywiązywali należytej wagi do rad wyczytanych przez Kitty w *Miłości małżeńskiej*.

Samochód pana Lyncha stał zaparkowany przy plaży, z włączonymi światłami, a oni sączyli whiskey wprost z butelki i głośno czytali sobie nawzajem fragmenty z *Pamiętników Fanny Hill*. Kitty czuła się znów niemal tak cudownie jak w czasie swojego pobytu w Paryżu. I o to chodzi w życiu – być wolnym i nieskrępowanym, iść w awangardzie, uprawiać fantastyczną miłość z fantastycznym mężczyzną. Co z tego, że był żonaty? Takie ograniczenia są dobre dla starej gwardii, a Kitty należała do ludzi nowoczesnych.

– Wyjdę na czas – sapał pan Lynch. Kitty tymczasem było wszystko

jedno, co robi, dopóki trwał ten cudowny pulsujący dreszcz rozkoszy, wyginając jej plecy w łuk.

Kiedy nie doczekała się miesiączki, a piersi jej boleśnie nabrzmiały, przeklęła Fanny Hill, plażę i rady *Miłości małżeńskiej*.

– Zwariowałaś? Żadnego dziecka – syczał pan Lynch. Nie przypominał w ogóle Adonisa, a raczej człowieka bliskiego apopleksji. – Zrób coś z tym. Najlepiej w Londynie. Tam możesz – przerwał i posłał jej świdrujące spojrzenie, którym częstował jedynie gburowatych klientów – to załatwić.

– Załatwić? – powtórzyła Kitty. – Mówimy o twoim dziecku.

– A skąd mam wiedzieć, z kim jeszcze spałaś? Kitty spojrzała na niego.

– Z nikim, ty draniu – syknęła.

– To twój bękart, pamiętaj – warknął na nią. – A co z tym zielonym studencikiem, z którym się prowadzasz? Może być jego?

Powiedziała mu, że nigdy nie spała z Anthonyem Nelsonem. Anthony został wychowany tak, że szanował kobiety, swoją starszą siostrę traktował jak damę. Mógłby zemdleć na skutek doznanego szoku, gdyby Kitty położyła mu rękę na kolanie, a cóż dopiero wyżej.

– Puść tylko parę z gęby, a powiem wszystkim, jaka z ciebie mała dziwka i że od miesiący ślinisz się na mój widok. Jak sądzisz, komu uwierzą? – zagroził jej.

Odpowiadanie mu na to pytanie nie miało najmniejszego sensu. Wyszło na to, że jednak nie jest nowoczesnym człowiekiem. Pomyślała o swoich rodzicach i o upokorzeniu, jakie by przeżyli, gdyby wróciła do domu w ciąży.

Czas zadzwonić do Anthony'ego. Mogliby pójść na randkę, na bardzo długą randkę, którą zakończą na plaży.

Mała córeczka Kitty, Iseult, i córeczka Lisette, Saffron, chodziły do tego samego przedszkola. Kitty, Lisette i kilka innych matek zaczęły po



odprowadzeniu pociech regularnie spotykać się na kawie.

Tym razem przypadała kolej Kitty, więc zostawiła na wierzchu otwartą książkę Betty Friedman *The Feminine Mystique* – może o niej porozmawiają. Betty miała rację, przecież nie tylko kobiety potrafią prasować i gotować. Kobiety mają w sobie tyle energii, ale społeczeństwo patriarchalne zakuwa je w kajdany. To nie fair. Na przykład Kitty miała przed sobą takie możliwości, a jednak proszę, siedzi zamknięta w czterech ścianach i jeśli nie liczyć zakupu wędliny na kanapki Anthony’ego i sprzątanania domu, nie ma nic do roboty. Kochała Iseult – była rozkoszna, mądra i bardzo podobna do Kitty, ale przecież życie to coś więcej, prawda?

Lisette nie chciała rozmawiać o książkach, za to bez problemu dyskutowała o społeczeństwie patriarchalnym.

Miała troje dzieci i męża, który zasługiwał na medal, gdy od czasu do czasu zrobił dzbanek herbaty.

– „Proszę bardzo” – mówi za każdym razem, kiedy cokolwiek zrobi. Cokolwiek. A jak odłoży na miejsce kubek albo położy talerz na suszarce, oczekuje podziękowań.

– I uważasz, że to takie złe? – zareagowała Phyllis, była nauczycielka, zmuszona do rezygnacji z pracy po wydaniu dekretu, na mocy którego kobiety w służbie cywilnej po wyjściu za mąż muszą się zwolnić, tak zwana zaporę małżeńską – *jak o tym pomyślisz, od razu masz ochotę się napić* – mawiała. – Seamus stwierdził, że gdybym lepiej gospodarowała pieniędzmi na życie, mogłabym sobie kupić kilka drobiazgów. A wszystko się zaczęło, gdy powiedziałam, że nie mam już nic ładnego do ubrania, że źle się z tym czuję i że jako jedyna po raz czwarty wystąpię w tej samej sukience na jego firmowej imprezie.

Kitty miała świadomość, że Anthony nie należy do tej kategorii

zarozumiałych mężów, którzy uważali, że ich wkład w małżeństwo kończy się na zarabianiu pieniędzy. Często gotował – mówił, że go to odpręży – a potem zmywał, wiedząc, że zużywa cztery razy więcej naczyń niż ona. Kitty nie była miłośniczką pichcenia, najbardziej lubiła potrawy jednogarnkowe. Wrzucało się kawałek taniego mięsa, jarzyny i gotowało na wolnym ogniu. W *Oszczędnej gospodyni* twierdzili, że danie powinno wyjść delikatne i pyszne. Kitty jednak się przekonała, że tanie mięso i tak smakowało jak podeszwa, obojętne, co z nim zrobiła, ale brudziła tylko jeden garnek i o to chodziło.

Tak czy inaczej Anthony był jednak mężczyzną, a więc siłą rzeczy był odpowiedzialny za to, że nie mogła się rozwijać. Bez niego osiągnęłaby coś wielkiego, jak Simone de Beauvoir czy ktoś taki.

Rozmawiała też o innej matce, która nosiła już piątą ciążę.

– Biedna głupia ciućma – mówiła Phyllis, która miała dwoje dzieci i czuła, że to jej wystarczy, ale ani Kościół, ani Seamus się z nią nie zgadzali.

Seamus pochodził z rodziny żarliwych katolików o długiej tradycji i uważał, że wpływanie na płodność jest jak taniec z diabłem. Phyllis próbowała u swojego lekarza zdobyć tabletki antykoncepcyjne, powołując się na nieregularny cykl, ale ten również okazał się w tej dziedzinie doktrynerem.

– Pani Maguire, dzieci to dar Boga. Ingerowanie w prokreację jest wbrew boskiemu prawu. Dziwię się, że pani...

Phyllis wycofała się, zanim na dobre zaczęła perorować.

– Powinnyśmy kupić je za granicą. Najlepiej w Londynie – powiedziała Kitty. Bała się, że mogłaby zająć jeszcze raz w ciążę. Pilnowała swojego cyklu, ale to nie było takie łatwe.

– A czy tabletki są zdrowe? – zastanawiała się któraś z kobiet.

Pozostałe spojrzały na nią ze zgrozą.

– Niezdrowe jest przede wszystkim rodzenie co rok nowego dziecka –

warknęła Kitty. – Mnie w zupełności jedno wystarczy, dziękuję bardzo.

Kitty nazywała oranżerię swoim kątem. Nie była to właściwie prawdziwa oranżeria, raczej przybudówka z pretensjami, ale miała szklany dach i rośliny, tam też trzymała swoje książki – na przykład *Kobiecego eunucha* i niektóre z serii Virago Modern Classics. Przeczytała je wszystkie, ale nie znalazła nic nowego, a tak długo już szukała. Jedna z matek popełniła fatalny błąd i pożyczyła jej do czytania jakieś historyczne romansidło. Następnego ranka przy kawie Kitty była zła jak osa.

– To jakaś cholerna bajka – wrzeszczała. – I na tym właśnie polega problem dzisiejszych kobiet, wychowano nas na bajkach, a większość z nich jest mizoginiczna. W tych książkach zawsze rządzą mężczyźni. Po prostu śmieszne, śmieszne!

Po pamiętnym wykładzie na temat orgazmu nigdy już nie było tak samo na ich porannych spotkaniach. Zaproszona przez Lisette i Kitty kobieta o imieniu Pandora zakończyła swoje wystąpienie, rozdając lusterka i zapraszając, by każda znalazła jakiś spokojny kąt, albo jeśli dobrze się czują ze swoją kobiecością, „usiadła na środku pokoju” i przyjrzała się swojemu kobiecemu pięknu.

– To znaczy, że mam oglądać moją, no wiesz, w lusterku? – rozdarła się dziewczyna imieniem Rita.

– Nazywanie swojego ciała po imieniu nadaje mu wartość – mówiła monotonnie Pandora, najwyraźniej przyzwyczajona do tego typu uwag. – Obejmijcie swoją kobiecość, podziwiajcie swoje wargi sromowe, srom i pochwę, po łacinie *labia*, *vulva* i *vagina*.

– Myślałam, że vulva to samochód – zachichotała inna, która wypięła zbyt wiele, by utrzymać w ręku lusterko, więc co rusz spadało jej na podłogę.

Nawet Kitty, po czterech martini i cygarze – zwykła kawa dziś nie

wystarczyła – nie była do końca przekonana. Nie chodzi o to, że się nie widziała, owszem, tak. Podczas któregoś z pierwszych romansów oglądała się dokładnie w wielkim ruchomym lustrze, robiąc to z myślą o mężczyźnie, który wkrótce miał zobaczyć to samo. Ale to zupełnie co innego, była wtedy podniecona, pełna żądy. Nie była pruderyjna, miała kochanków i wiedziała, że tam na dole wszystko jest w najlepszym porządku, mimo to jednak uważała, że florystyczne przedstawienie żeńskich organów płciowych Georgii O’Keeffe było dużo ładniejsze niż rzeczywistość. Co innego mężczyźni, och, ich ciała są naprawdę piękne.

Kitty uświadomiła sobie, że jest znudzona. Znudzona swoim życiem i tym, że nie pracuje. Ale, jak pewnego dnia otwarcie wytknęła jej przyjaciółka Mairead, tak naprawdę nie miała żadnych kwalifikacji.

Gdyby ktokolwiek inny coś takiego jej powiedział, dałaby mu popalić, pomyślała Kitty.

Mairead nie należała do kobiet, które uczęszczałyby na ich poranne spotkania przy kawie. Miała posadę w pracowni architektonicznej, pilnowała, żeby architekci się nie obijali. Wiedziała, że ma opinię hetery.

– Silne i niezależne kobiety nazywają heterami – zauważyła kiedyś Mairead. – Natomiast tacy sami mężczyźni są po prostu ambitni. Typowy przykład podwójnych standardów!

Zakończyły więc rozmowy o znudzeniu Kitty i braku praktycznych umiejętności, dzięki którym mogłaby znaleźć pracę. Tak czy inaczej, pocieszała się, Anthony zarabia tyle, że ona nie musi pracować. Co do jej feministycznych poglądów, mieli wspólne konto w banku i nigdy nie było mowy o „dawaniu” jej pieniędzy na dom.

Kitty podliczyła kiedyś, ile kosztowałyby ich gosposia i kompletnie zszokowała Anthony’ego tą liczbą.

– Tyle powinnam zarabiać – powiedziała dumnie.

Anthony nie polemizował.

– W przeciwieństwie do większości mężczyzn Anthony potrafi docenić twoją wartość – powiedziała Mairead.

Ale Kitty wcale nie była taka pewna. W każdym razie rodzina Nelsonów nieźle stała finansowo, więc teraz, kiedy dzieci już podrosły, mogłaby pójść na studia. To byłoby ekscytujące doświadczenie.

Bez niego będzie jej o wiele lepiej.

Znajdzie sobie kogoś dużo lepszego.

Słowa te dźwięczały jeszcze w uszach Kitty, kiedy siedziała w kuchni, samotna i nieszczęśliwa. Tak zareagowały przyjaciółki, gdy Anthony spakował walizki i się wyprowadził.

– Kobieta potrzebuje faceta jak ryba roweru! – mówiła Gwen, która uwielbiała chwytliwe hasła i nosiła ostatnio koszulki z nadrukami, których samo przeczytanie szokowało większość ludzi, nie wspominając już o wypowiedzeniu ich głośno.

– Kitty, jesteś wspaniałą kobietą, już za długo byłaś przy nim uwiązana – powiedziała natomiast Mairead, która uważała małżeństwo za rodzaj niewolnictwa i nie mogła zrozumieć, dlaczego kobiety w ogóle się na to decydują.

Kitty nie dopuszczała do siebie faktu, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej Mairead zachwycała się Anthonym z powodu tego, że nie zachowuje się jak przeciętna szowinistyczna Świnia i docenia wartość Kitty.

A czy życie w grzechu jest takie złe? pytała Mairead. Grzech jest czymś absolutnie wspaniałym, przynajmniej taki się wydawał w opowieściach Mairead. Kitty zawsze czuła się trochę nielojalna, kiedy o tym myślała, ale Mairead i jej chłopak Timny wcale nie robili wrażenia dwóch wolnych dusz,

które co noc urządają sobie orgietkę, tańczą nago w swoim bliźniaku i uprawiają dziki seks tak głośno, że zaniepokojeni sąsiedzi wzywają policję.

Skoro jednak Mairead twierdziła, że życie w grzechu to jest to, może miała rację. Może Kitty popełniła zasadniczy błąd, wychodząc za Anthony'ego, kiedy zaszła w ciążę z Iseult. Ale Anthony miał pracę i zaproponował rozwiązanie. Kitty zawsze była bardzo praktyczna.

– Znajdź sobie przyzwoitego faceta, który rozumie, kim jesteś, i nie chce żyć w okowach społeczeństwa patriarchalnego – radziła Mairead. – To musi być facet, który zaakceptuje dzieci. – I dodała: – A to może się okazać dużą przeszkodą.

Sama Mairead nie przepadała za dziećmi. Nigdy też nie biadoliła, że Bóg nie obdarzył nas potomstwem. Fakt, że ich nie ma, uznawała za duży plus. Trudno byłoby zapakować takiego dzieciaka i wziąć ze sobą na festiwal rockowy, prawda? Otóż to.

I właśnie dlatego nie potrafiła zrozumieć, przez co przechodzi Kitty. Mogła wygadywać, że teraz, gdy Anthony się wyniósł, Kitty powinna sobie znaleźć innego faceta, ale kto weźmie kobietę z dwójką dzieci? Nikt, oto kto.

Iseult ma osiemnaście lat, Charlotte piętnaście, niby dorosłe, a jednak zachowują się wciąż jak dzieci. Kitty wróciła myślami do przeszłości, kiedy sama miała osiemnaście lat. Boże, cóż ona wtedy wyrabiała. Matka nie miała pojęcia.

– Mamo – nieśmiały głos przerwał wspomnienia. To Charlotte. Jeśli była jakaś rzecz, której Kitty naprawdę nie znosiła, to nieśmiałość, a Charlotte była nad wyraz nieśmiała. Kitty od zawsze próbowała ją z niej wytrząsnąć. Charlotte przypominała swojego ojca. Choć jakoś nie brakło mu śmiałości, żeby ją zostawić. Podły drań.

– Nie piskaj tak, Charlotte! – ryknęła na nią. – Nie jesteś myszą.

– Przepraszam, mamó – powiedziała Charlotte jeszcze bardziej przerażonym tonem. – Myślałam, co zrobić na kolację, i musisz mi podpisać mój dzienniczek.

– Dzienniczek? Narozrabiałaś? – pytała Kitty. A to dopiero! Charlotte zawsze zachowywała się nienagannie, a podpisywanie dzienniczka kojarzyło się raczej z informacją o złym zachowaniu.

– Och, to nic takiego, piszą tylko, że dostaniesz zawiadomienie o próbnym egzaminie Inter Cert – wyjaśniła Charlotte.

Powinnam się domyślić, stwierdziła w duchu Kitty. Iseult na szczęście to zupełnie inna historia, ta dziewczyna zawsze rozrabiała. W ostatniej klasie ją zawiesili, bo zachowała się bezczelnie na lekcji angielskiego. No cóż, Kitty w pełni popierała córkę. Stara wiedźma, która ich uczyła, nie miała pojęcia o świecie. To ważne, że Iseult potrafi wyrazić swoje zdanie na temat nauczanego materiału i podać rzetelne argumenty – trudno to nazwać bezczelnością, prawda? Ale w szkole bardzo się zdenerwowali, podobnie zresztą jak Anthony, co wcale jej nie zdziwiło.

– Ma w sobie ogień i tyle. Tak jak ja. Co w tym złego? – chciała wiedzieć Kitty.

– Nic – odparł tępo Anthony.

Już wtedy powinna była się domyślić, że chce ją zostawić, powinna była zauważyć znaki. Bóg jeden tylko wie, dlaczego ten tchórz nie zrobił tego wcześniej.

Tego dnia, kiedy się wyprowadził, bliska była powiedzenia mu, że Iseult nie jest jego córką. Boże, to by dopiero było cudowne uczucie, ale przeważył jednak głos rozsądku. Co prawda Anthony to stary wapniak i skoro przez te wszystkie lata wierzył, że Iseult jest jego dzieckiem, nigdy się od niej nie odwróci. Prawdopodobnie stoicko zauważając, że ojcostwo to coś więcej

niż biologia. Ale mimo wszystko narobiłaby takim wyznaniem sporo zamieszania, no i oczywiście zaczęłyby się pytania, po co w ogóle za niego wyszła. Cała sytuacja mogłaby również wpłynąć na jego chęć utrzymywania ich na odpowiednim poziomie.

– Finansowo nie ucierpisz – powiedział jej na odchodne.

No pewnie, że nie, do cholery.

Już ona mu pokaże, znajdzie innego faceta. Mairead miała rację – tego jej było trzeba – mężczyzny i odrobiny nieskrepowanego seksu. I to uświadomi cholernemu, zasuszonemu Anthony’emu, że nie powinien był jej zostawiać.

Rex nadawał się idealnie. Seksowny i trochę nieokiełznany. Mimo garnituru i krawata szacownej uczelni. Był wspaniałym kochankiem. Spotykali się, gdy Rexowi udało się w czasie przerwy na lunch wyrwać z pracy, a Charlotte była jeszcze w szkole. Kitty przyszło do głowy, że przystojny mężczyzna, który wpada do niej często po południu i zabawia około godziny, może wzbudzić podejrzenia sąsiadów, ale szybko przestała o tym myśleć. Niech ludzie w tym swoim nudnym życiu myślą, co chcą.

Jednak nic z tego nie wyszło. Pewnego dnia leżeli w łóżku, w którym kiedyś spała z Anthonym – miłe uczucie, poprawiało jej nastrój. Seks był fantastyczny. I ten fragment też lubiła, leżenie nago i rozmowę.

Kitty uniosła jedną nogę, jak balerina, gdy sprawdza baletki, i podziwiała ją. Rex również patrzył na nią z podziwem.

– Uwielbiam twoje ciało – szepnął i przesunął dłonią wzdłuż nogi aż do końca, gdzie wciąż była wilgotna, pragnąc więcej.

– Zawsze jesteś gotowa, co?

Kitty opuściła nieco nogę.

– Nie cierpię tych kobiet, które nie lubią seksu, głupie ciućmy. Ty jesteś



prawdziwą kobietą.

Kitty znów rozciągnęła łydkę, rozkoszując się jego pochwałą. Rex był świetnym kochankiem i jego pochwała coś znaczyła.

– Jesteś prawie jak mężczyzna, wiesz o tym? Myślę, że to dlatego jesteś taka super.

Noga baleriny opadła.

– Co masz na myśli?

– Jesteś twarda tak jak ja, to komplement – powiedział Rex. – Nie należysz do kobiet, które biadolą, że chcą być kochane, albo żeby się nimi zaopiekować. Czy one zdają sobie sprawę, jakie to odpychające? To wieczne jęczenie. – Temat go rozgrzał, więc usiadł i sięgnął po papierosa. – Masz ochotę?

Kitty też usiadła, zakryła kołdrą nagie piersi i wzięła papierosa. Czowała, że dobrze jej zrobi.

Nikotyna zadziałała.

– W sumie to o co w tym wszystkim chodzi, w bzdurach typu: „Chcę wiedzieć, co ty myślisz”? – kontynuował.

Gdy Kitty rozmawiała z mężczyznami, zwykle nie czuła się zagubiona, ani kiedy była z nimi w łóżku, ale tym razem zaczynała tracić grunt pod nogami.

– O co komu chodzi kiedy to mówi? – zapytała.

– Och, tej drugiej, z którą się spotykam. To właściwie jeszcze dziewczyna.

Kitty pisnęła jak mysz i mocniej się otuliła kołdrą.

– Dziewczyna? – wymamrotała.

– Nic się nie przejmuj, kochanie, nie jest taka jak ty, w ogóle – dodał, poklepując ją czule. – Taki mały romansik, człowiek musi się kiedyś

ustatkować. Ale ona nie gra w twojej lidze, Kitty, skarbeczku. Nie bawi się w seks – powiedział i uśmiechnął się żarłocznie. – Jej mama by ją zabiła i nigdy nie mogłaby przystąpić do komunii. A co, na miłość boską, ma z tym wspólnego jej matka? Albo Kościół. Przecież nie chcę jej pieprzyć na chórze!

Uznał to chyba za bardzo śmieszne, bo zaczął się histerycznie śmiać. Kitty zwykle lubiła słuchać jego śmiechu. Sam był jak niedźwiedź, a śmiech przypominał dźwięk wielkiego bębna, ale teraz czuła, że ogarnia ją zwątpienie. Była jego panienką do łóżka, kimś, z kim uprawiał seks, widziała to teraz aż nadto jasno. Jego zdaniem, ponieważ nie zadawała zwykłych kobiecych pytań, właściwie nie była kobietą, bardziej czymś na kształt honorowego członka męskiego klubu.

Fakt, że seks sprawiał jej taką samą przyjemność jak mężczyźnie, oznaczał, że nie musi jej okazywać żadnych uczuć. Czerpanie przyjemności z seksu, które dla niej było zdobyciem punktu we własnej feministycznej walce, Rex interpretował jako brak zainteresowania miłością. Nadawała się do seksu, ale do niczego więcej.

To była przerażająca myśl. I co na to prawodawstwo regulujące równouprawnienie kobiet?

*Codziennie uklęknij i podziękuj. Nawet jeśli nie czujesz wdzięczności przez cały czas, ćwicz, a któregoś dnia będziesz w stanie docenić wszystkie te dobre rzeczy. To jeden z największych darów.*

Nazajutrz po spektakularnym sukcesie premierowego przedstawienia sztuki Iseult Charlie musiała wykorzystać swoje zawodowe umiejętności, by zatuszować widoczne na twarzy zmęczenie i zaczerwienione oczy.

Kiedy wrócili wieczorem do domu, wyplakała swoje smutki na ramieniu Brendana i powiedziała mu, co wynika ze sztuki.

Cały czas, gdy płakała, mocno ją trzymał.

– Twoja matka przekracza wszelkie granice, czasami zachowuje się jak wariatka – powiedział, co w jego ustach zabrzmiało bardzo dziwnie.

– Nigdy wcześniej tak nie mówiłeś – pociągnęła nosem Charlie.

– Wiesz, jak to jest z rodziną – szepnął Brendan, całując ją w czubek głowy. – Gdybym narzekał na twoją mamę, nigdy nie mógłbym tego cofnąć. Na zawsze pozostałoby to między nami. Więc nie narzekam. Ale czasem jest po prostu wredna. Wiem, Charlie, że chcesz, by była z ciebie dumna, ale naprawdę to nie jest ci do niczego potrzebne. Przede wszystkim jesteś lepszą matką, niż ona była kiedykolwiek.

– Serio?

Zdumiony odsunął ją na długość ramienia.

– No jasne. Jesteś cudowną matką. Wiesz, że nie lubi mojej mamy, bo pracowała i jednocześnie wychowywała nas wszystkich?

– Wiem – odpowiedziała powoli Charlie. Nigdy o tym nie rozmawiali, a Charlie łudziła się nadzieją, że Brendan nie słyszał mamrotanych pod nosem

uwag Kitty o Jenny.

– Wydaje mi się, że z tobą jest tak samo. Czuje się głupio, bo jesteś dobrą matką, a ona nie była, pomimo całej tej gadki, że dała wam z Iseult szansę bycia tymi, kim chciałyście być. To jakieś gówno. W ogóle nie powinna mieć dzieci, jest na to zbyt samolubna. Ale ty jesteś świetna, a ona nie może znieść, gdy ktoś jest lepszy od niej.

– Tak sądzisz?

Brendan pokiwał głową.

– Mickey cię kocha i ja też. Wiem, że to może nie wystarczyć...

Położyła mu palec na ustach, żeby zamilkł.

– Wystarczy – powiedziała. – Dla mnie w zupełności wystarczy.

– A jeśli chcesz poznać prawdę o sztuce Iseult, trzeba po prostu zapytać którąś z nich.

Charlie będzie musiała się zebrać na odwagę.

Tej nocy prawie w ogóle nie spała. Leżała w ciemnym pokoju, gotując się ze złości na myśl o tych wszystkich rzeczach, które zawsze chciała powiedzieć mamie i Iseult, a nigdy tego nie zrobiła.

Zasnęła w końcu o wpół do szóstej, a o siódmej obudził ją Brendan, przynosząc jej do łóżka kubek herbaty i grzanekę z marmoladą.

– Kocham cię – powiedział, siadając na łóżku, gdy ona zapuchniętymi oczami patrzyła na tacę.

– Wiem, kochanie, dzięki.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Co było z nią nie tak? Miała cudownego męża i wspaniałego syna. Czas już skończyć z nadzieją na uznanie ze strony matki i siostry. Były zamknięte w swoim własnym dwuosobowym świecie. Niech sobie tam zostaną.

W Kenny's tego dnia panowała ponura atmosfera. Nikt nic nie wiedział

na pewno, ale wszyscy czuli, że coś wisi w powietrzu. Słyszano, jak pracownicy z piątego piętra wymieniali szeptem nazwisko DeVere. Już od dłuższego czasu personel Kenny's obawiał się przejęcia ich ukochanego sklepu przez imperium DeVere.

Niemal każdy powtarzał jakąś historię usłyszaną na piątym piętrze, "i nie mów nikomu, ale audyt wyszedł bardzo źle. Kenny's ma poważne kłopoty".

– Przejęcie przez DeVere's to najpewniej jedyny sposób na przetrwanie – mówiła Shotsy do Charlie przy wspólnej porannej – kawie w Hat Box Cafe.

– Może taka całkowita zmiana to jest jakaś odpowiedź – odparła jej bez troski Charlie. – Wszystko sprzedać i zacząć od nowa.

Shotsy zamrugała gwałtownie.

– Co w ciebie wstąpiło?

Charlie kroić swoją muffinkę, żeby czymś zająć ręce. Właściwie nie była głodna, po co ją zamawiała?

– Albo nie, sama zgadnę – ciągnęła Shotsy. – Twoja ukochana mamuśka, tak? Co znowu wymyśliła?

Chyba wszyscy już czytali rubrykę towarzyską w porannej gazecie, gdzie zamieszczono zdjęcie Iseult i matki, jak patrzą na siebie pełnym uwielbienia wzrokiem. Dziennikarka nie napisała jednak, jak Kitty oznajmiła wszem wobec, że dumna jest z jednej córki, gdy druga stała zdumiona tuż obok, tylko zasugerowała, że w rodzinie są jakieś niesnaski, nie mówiąc niczego wprost – przynajmniej tyle.

*Rodzina Nelsonów pojawiła się na czwartkowej premierze w pełnym składzie: Iseult, jej matka, budząca respekt Kitty, oraz siostra Charlie. Można się zastanawiać, skąd utalentowana Iseult Nelson bierze swoje pomysły na rodzinne kłótnie – brzmiał artykuł.*

– Pewnie pomyślała, że ją pozwiesz – stwierdziła Shotsy, gdy Charlie ją oświeciła, co mogłaby znaleźć w gazecie.

– Szkoda, że nie pozwiesz matki, ciamajdo.

Charlie zachichotała. Śmiech dobrze jej zrobił.

– A jak impreza? – dopytywała się dalej Shotsy.

– Taka byłam na nią zła, że nie poszłam. Wymówiłam się bólem głowy i wróciłam do domu.

– Brawo! – pochwaliła ją Shotsy. – Tego właśnie twoja mamunia potrzebuje, tylko w większej dawce. *Dumna z jednej ze swoich córek*, no, no, no.

– To było okropne, czułam się taka malutka – przyznała Charlie.

– Iseult powinna była coś powiedzieć – mówiła dalej zirytowana Shotsy. – Jest właściwie jeszcze gorsza. Twoja matka zawsze była zwariowana jak nie wiem, ale można by sądzić, że Iseult stanie od czasu do czasu po twojej stronie.

– To naprawdę nie jej wina – zaczęła Charlie.

– A zadzwoniła chociaż dziś rano, żeby zapytać, jak się czujesz?

– Nie.

Iseult nie zawracała sobie głowy telefonowaniem do siostry i pytaniem o samopoczucie po tym, jak tamta zrezygnowała z przyjęcia. Gazety donosiły, że po wczorajszym sukcesie reżyserzy ustawiali się do niej w kolejce i prowadziła już rozmowy na temat kolejnej sztuki z teatrem Donmar Ware– house w Londynie. Była zbyt zajęta, by dzwonić i odpowiadać na pytania, które Charlie tak bardzo chciała jej zadać: „Czy to prawda, że tata nie jest twoim prawdziwym ojcem? A jeśli tak, kiedy się dowiedziałas i dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie zasługuję na to, żeby wiedzieć?”.

– Obydwie są winne – powiedziała Shotsy. – I Kitty, i Iseult.

A ty nie wiesz nawet połowy, pomyślała Charlie.

– Czólko, Shotsy i Charlie.

Dolores położyła na stoliku swoją tacę z dwoma czekoladowymi bułeczkami.

– Czemu właściwie nie wykorzystać rabatu dla pracowników, dopóki sklep jeszcze działa.

– Nie bądź defetystką – upomniała ją Shotsy, którą przeszedł dreszcz na widok słodkości. Sama jak zwykle piła potrójne espresso.

– To nie defetyzm – wyjaśniła Dolores. – Podśluchałam rozmowę Leny z Tomem o spotkaniu z audytorami. Mówiła, że Ingrid musi szybko podjąć decyzję. Rozumiecie? Nie rozmawiali o malowaniu elewacji, tylko o sprzedaży firmy – na pewno. Od śmierci Davida ten sklep jest jak wymarłe miasto. Jak go zamkną, żeby wyremontować, wszyscy możemy skończyć na bruku.

Charlie zastanowiła się nad tym i co ciekawe, odkryła, że wcale się tak bardzo nie przejmuje. Lubiła tu pracować, szczególnie ceniła rodzinną atmosferę, ale od kiedy na premierze sztuki Iseult poczuła, jak odmienne staje się jej życie, zrozumiała, że człowiek potrafi przetrwać zmianę. W sumie wszystko się kiedyś kończy. Ważne jest to, jak sobie z tym radzimy. I to, żeby mieć wokół siebie ludzi, których się kocha. To się liczy.

Charlie miała iść w sobotę do pracy, ale obudziła się chora.

Apatyczna leżała w łóżku, niezdolna nawet wypić herbatę, którą Brendan jej przyniósł.

– Zadzwoń i powiem, że jesteś chora – powiedział stanowczo.

– Nie, za chwilę na pewno...

– Nie – przerwał jej. – Powinnaś zostać w łóżku. To wszystko wina twojej okropnej matki – dodał jeszcze.

Charlie się z nim zgadzała, ale nie powiedziała tego.

Mickey miał rano trening, więc kiedy obaj wyszli, Charlie leżała z pilotem w dłoni i przeglądała kanały. Wciągnęła ją Oprah, kiedy zadzwonił telefon.

– Witaj, Charlotte – odezwała się mama. – Dzwoniłam na komórkę, ale jest wyłączona. Myślałam, że w soboty pracujesz. Jesteś chora?

– Minęłaś się z powołaniem, powinnaś zostać detektywem – burknęła Charlie, co obie je trochę zaskoczyło. Charlie nigdy nie odzywała się w ten sposób do Kitty.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Hm, ja nie muszę z tobą porozmawiać – odparła Charlie.

– Jadę do ciebie – mówiła niezrażona Kitty.

Boże, ta kobieta jest jak jednoosobowa armia, pomyślała Charlie. Postanowiła odłożyć słuchawkę, ale matka była szybsza i zdążyła to zrobić pierwsza.

Charlie zazwyczaj malowała się w takich sytuacjach przed przyjściem mamy, żeby uniknąć sakramentalnych okrzyków w stylu: „Charlotte, zrób coś ze sobą”, nieuniknionych, gdyby tego nie zrobiła.

Dziś jednak została w łóżku, w szlafroku, kremowej niezgrabnej kreacji, która była bardzo wygodna, choć ani jej twarz, ani figura szczególnie w nim nie zyskiwały, mówiąc oględnie.

Kiedy matka zaczęła z furją dzwonić, zeszła po schodach, otworzyła drzwi i zaczęła wchodzić z powrotem na górę.

– Niedobrze z tobą – powiedziała zdumiona Kitty, idąc za Charlie.

– Po co przyszłaś, mammo?

I znów Charlie samą siebie zaskoczyła. Gdzież to czaił się dotąd ten twardy charakter? A może zawsze taka była, tylko się ukrywała, ponieważ



sądziła, że będąc kameleonem, znajdzie drogę do serca matki? Tak bardzo się starała, żeby mama ją pokochała, usiłowała być wszystkim, czego mama oczekiwała, wpasować się w każde tło i nigdy się jej nie udało.

Teraz, gdy wiedziała już, że to po prostu kwestia DNA, usłużny kameleon znikł.

– Wydawało mi się, że ostatnio się na mnie zdenerwowałaś – powiedziała nieprzekonująco Kitty, siadając na łóżku.

– Zdenerwowałam się z dwóch powodów – powiedziała chłodno Charlie. – Wiesz jakich?

– Nie chciałam, żeby to tak wyszło z tą dziennikarką, wcale tak nie myślałam – zaczęła Kitty. – Oczywiście, że jestem z ciebie dumna...

– Oczywiście! – wrzasnęła Charlie i nagle przestała czuć się chora, zamiast tego wstąpiła w nią jakaś energia. – Co masz na myśli, mówiąc „oczywiście”? Nigdy mi nie powiedziałaś, że jesteś ze mnie dumna, nigdy. Zawsze tylko Iseult – kocham ją, żeby była jasność – ale trudno jest zawsze być na drugim miejscu. A teraz wiem już, dlaczego tak jest.

Kitty zbladła pod swoją zwykłą warstwą makijażu.

– Mój ojciec nie jest ojcem Iseult, prawda?

Miała wrażenie, jakby patrzyła na zawodowego boksera, z którego uciekła nagle cała energia.

– Nie wiem, po co włożyła to do tej sztuki – powiedziała Kitty.

– Wątpię, by zrobiła to świadomie – odparła Charlie.

– Ale właśnie dlatego ją kochasz bardziej, prawda? Kimkolwiek był, kochałaś go bardziej niż mojego tatę, a ją kochasz bardziej niż mnie.

– To nieprawda! – krzyknęła Kitty. – Ciebie też kocham.

– Wcale nie!

– Właśnie, że tak!

Przez chwilę mierzyły się wściekłym wzrokiem.

– No dobra, spieprzyłam to! – wrzasnęła Kitty. – Nigdy nie byłam zasraną panią Matką Doskonałą. Z Iseult było mi łatwiej, bo jest podobna do mnie. Twardsza. Ty byłaś zawsze taka delikatna. Kiedy patrzyłaś na mnie tymi swoimi smutnymi oczami, od razu wiedziałam, że znów mi nie wyszło. Nikt nie musiał mi mówić, gdzie popełniłam błąd, wystarczyło krótkie spojrzenie na twoją twarzyczkę. Macierzyństwo powinno się opierać na instynkcie, wszystkie powinnyśmy to umieć. Cholerne małpy mają instynkt, więc czemu ja go nie mam?

– I to wystarczy?

– Wystarczy! Nikt nie uzna cię za prawdziwą kobietę, jeśli nie jesteś dobrą matką, zapamiętaj to sobie. Zresztą ty akurat nie masz z tym problemu, Mickey czci ziemię, po której stąpasz.

Nie był to czczy komplement, mama naprawdę tak myślała, zdała sobie sprawę Charlie.

– No, chyba tak.

– Ja nigdy tak nie miałam, z żadną z was.

– Co to za historia z ojcem Iseult?

– Kiedy wyszłam za twojego tatę, byłam już w ciąży. On nie wie i nigdy się nie dowie. – To nie była prośba. Kitty uniosła wysoko głowę. – Kocham cię, Charlie, i przepraszam za tamten wieczór.

– Jak Iseult się dowiedziała?

– Powiedziała jej kiedyś po kilku drinkach i zakazałam mówić tobie.

Przynajmniej, uzmysłowiła sobie Charlie, wyjaśniła się zagadka, dlaczego Iseult nie podzieliła się informacją z siostrą.

– Durny pomysł, żeby umieszczać to w sztuce – ciągnęła Kitty. – W niektórych sprawach zupełnie brak jej wyczucia. Ty nigdy byś tak nie zrobiła,

choć ty jedna umiesz dochować tajemnicy.

Charlie nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem. Chyba bardziej nie można się już zbliżyć do mamy.

Kitty też się śmiała, a potem czym prędzej wykorzystała zmianę nastroju.

– Nie mogłabyś się pozbyć tego szlafroka? Wiem, że Brendan to nie typ mężczyzny, który szukałby czegoś na boku, ale na miłość boską, żaden facet nie zostanie z kobietą, która tak się ubiera do łóżka.

Charlie spojrzała na swój szlafrok. Dostała go kilka lat temu od Brendana na Gwiazdkę i bardzo go lubiła.

– Nie, mamie – powiedziała wesoło. – Jest w zestawie: albo bierzesz nas razem, albo w ogóle.

Kiedy matka wyszła, Charlie czuła się nieporównanie lepiej. Niemal lżej. Wzięła prysznic, ubrała się i pod wpływem impulsu wyciągnęła swój dziennik antywdzięcznościowy, i zaczęła go czytać od samego początku. Dziwnie czytało się własne słowa, ale po czasie mogła to już robić bez emocji. Z tej perspektywy zobaczyła dziecko, które zawsze chciało zadowolić matkę i w efekcie dorosło, nie rozumiejąc, jak ważne jest zadowalanie siebie.

Obydwie, mama i Iseult, zawsze mówiły to, co myślały, i robiły to, co chciały robić, obojętne, jaki wpływ miało to na innych i kogo mogło zranić. Charlie natomiast każdy ruch najpierw filtrowała w swojej głowie, zastanawiając się, czy nie sprawi komuś przykrości.

Ale odkąd pisze dziennik, zauważyła w swoim zachowaniu pewne wzorce i nauczyła się z czasem, że nigdy nie zadowoli wszystkich.

Musi zacząć od zadowolenia siebie.

Odezwał się telefon, więc automatycznie odebrała.

– Charlie?

To była Iseult. W jej głosie nie słyszała zwykłej pewności siebie.

– Cześć – odpowiedziała chłodno. Owszem, czuła się lepiej, ale to jeszcze nie znaczy, że Iseult się wymiga.

– Właśnie dzwoniła do mnie mama. Charlie, nie chciałam, żebyś się dowiedziała w taki sposób. Nie sądziłam, że ktoś zauważy... właściwie to sama nie do końca byłam tego świadomą. Nie pisałam o nas, ale...

– Iseult – przerwała jej Charlie. – Wolałabym nie rozmawiać o tym przez telefon. Możesz do mnie przyjść?

– No wiesz, jestem dość zajęta, mam dziś tysiąc spotkań, bo wszyscy zachwycają się sztuką...

I tu nastąpiła pauza, którą – Charlie była tego świadoma – powinna wypełnić zapewnieniem, że no j a s n e, przecież Iseult jest zajęta, a Charlie chyba zwariowała, żeby w ogóle coś takiego powiedzieć, w końcu mogą się równie dobrze spotkać w każdym innym terminie. Ale Charlie nic takiego nie powiedziała. Westchnęła tylko:

– Aha. – I spokojnie czekała.

Iseult, która potrafiła odczytywać sygnały z tonu głosu, zrozumiała poważną wymowę tego „aha”.

– Będę za pół godziny, może być?

– Zrobię kawę – odpowiedziała z uśmiechem Charlie.

Marcella czuła się nieszczęśliwa i rozstrojona. Cały jej światopogląd legł w gruzach. Jak dotąd planeta mogła co dzień sama się spalać, zadreńczając się cenami ropy i cięciami budżetowymi, a ona potrafiła to znieść, ale potrzebowała w życiu czegoś stałego. I taką stałą byli Ingrid i David. Ich życie dowodziło, że prawdziwa miłość istnieje. Że są na świecie mili, przyzwoici ludzie, a dobre rzeczy przychodzą w końcu do tych, którzy na nie

czekają.

Wszystko to fałsz, jak się okazuje.

Życie Ingrid opierało się na kłamstwie, a David, ten kochany David, którego wręcz podziwiała, spotykał się z kimś innym.

Co gorsza, nie było nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać, bo w tak delikatnych kwestiach Marcella nikomu nie ufała. Owszem, gdyby miała faceta, z nim mogłaby o tym pogadać.

Biedna Ingrid, jak to dobrze, że my mamy siebie, mogłaby powiedzieć. Wyobraziła sobie, jak leżą w łóżku, trzymając się za ręce i ciesząc tym, że są po prostu razem, że nie rozdzieliła ich niewierność.

Ale to tylko marzenia. Nie było mężczyzny, do którego mogła się przytulić w łóżku, mówiąc półgłosem o biednej Ingrid.

I żadnych perspektyw w tym względzie. Nie chodzi o to, że brakowało jej romantyzmu czy dzikiego seksu – pragnęła towarzysza podróży. To wszystko. Sam fakt, że David był na tym świecie, pozwolił jej wierzyć, że są na nim przyzwoici faceci i może pewnego dnia takiego spotka. Owszem, spotkała Harry'ego, ale zbyt się różnili i tak naprawdę nigdy im nie wychodziło. Ale innego porządnego faceta. Teraz nadzieja na to była nikła.

Instalacja padła na całej linii, mimo szybkiej reakcji w czasie awarii, gdy zalało recepcję.

– Wszystko? – powtórzyła Marcella, kiedy jej współnik, Connor, przekazał jej tę złą nowinę.

– Ogrzewanie i wodno–kanalizacyjna. Koszty pójną w tysiące – odparł ponuro Connor.

– Przecież tysiące wydaliśmy na montaż – zauważyła Marcella.

– Możemy pozwać firmę – wtrącił się Paul, asystent Connora, nowy i jeszcze nie pozbawiony złudzeń.

Connor i Marcella wymienili spojrzenia, które mówiły: „ty mu powiesz, czy ja mam to zrobić?”.

Zaszczyt przypadł Marcelli.

– Najprawdopodobniej pozwiemy ich – wyjaśniła – ale sąđenje się z nimi jest jak definicja małżeństwa doktora

Johnsona: triumf nadziei nad doświadczeniem. A problem i tak musimy załatwić teraz.

– Innymi słowy potrzebujemy nowej, dobrej ekipy – wytłumaczył Connor tonem, który wskazywał, że uwagi doktora Johnsona są równie trafne w stosunku do hydraulików.

To akurat nie stanowiło dla Paula żadnego problemu.

– Mój kuzyn jest hydraulikiem. Ma własną firmę i nieźle mu idzie. Żadnych machlojek ani podejrzanych interesów. To ktoś akurat dla was. Bardzo ambitny. Śmiejemy się, że chce stworzyć własne imperium.

– Dawaj tu tego imperatora, niech przyjdzie i zrobi wycenę – zdecydowała Marcella. – Muszę teraz wyjść, wrócę za kilka godzin.

Spotkanie przeciągnęło się w nieskończoność. Rozwścieczona Marcella wbiegała po schodach SD International, płaszcz frunął za nią, i myślała o kosztach naprawy instalacji. Sumy będą astronomiczne. Zabije tych niekompetentnych drani, jak tylko ich dorwie.

Jedno szarpnięcie drzwi na drugim piętrze i z impetem weszła wprost na Connora, Paula i jeszcze kogoś – pogrążonych w rozmowie.

Torebka wylądowała na podłodze, Marcella odbiła się od Connora i cofnęła niezdarnie, wpadając na trzeciego mężczyznę, który złapał ją za ramiona, żeby nie upadła.

Cofnęła się jak oparzona. Nie była w nastroju na objęcia, niczyje.

– To właśnie mój kuzyn, Lorcan McNamara – oznajmił Paul piskliwym,

zaskoczonym głosem.

– O! – powiedziała Marcella i natychmiast się odwróciła. Niech tylko zobaczy w jego oczach, że nie bardzo zna się na robocie, a już ona mu...

Mózg wysłał jej ciału dreszcz pożądania.

– Witam – powiedziała. To był kuzyn Paula?

Dużo czasu minęło, od kiedy mężczyzna zrobił na Marcelli wrażenie. Nawet nie pamiętała, kiedy to było. Ale ten mężczyzna, o, to co innego. Nie chodzi tylko o wygląd – choć Marcella mogła sobie wyobrazić, jak Julie z recepcji mruczy pod nosem, że nie wyrzuciłaby go z łóżka za jedzenie chip-sów, co w jej ustach było najwyższą pochwałą i niewielu facetów na nią zasługiwało. Miał ciemne włosy, takie, które idą w parze z krzaczastymi brwiami i zarostem wymagającym golenia dwa razy dziennie, oraz niebieskie oczy, które uśmiechały się teraz do niej. Był też co najmniej dziesięć lat młodszy od Marcelli, o wiele za młody, by uśmiechać się tak znacząco.

Nie, zupełnie nie o to chodziło, i nawet nie o doskonałą, szczupłą sylwetkę, wąskie biodra w starych džinsach i szerokie ramiona we flanelowej koszuli. Wrażenie robiły absolutny spokój i pewność siebie. Na kilometr się wyczuwało, że wszystko robi po swojemu, a jak się to komuś nie podoba, w porządku, ma do tego prawo, pod warunkiem jednak, że nie podlega jemu, bo jeśli tak, w takim wypadku to nie jest w porządku, i wszyscy mają tańczyć tak, jak on zagra, bez wyjątku – a dokona tego wyłącznie siłą woli.

Ten kawałek mózgu, który wciąż działał, wysłał do kory mózgowej potężny impuls elektryczny.

– Miło mi pana poznać – dodała, usiłując odzyskać normalny głos. – Bierze pan na siebie ogromne wyzwanie. Jaki werdykt?

– Bardzo interesujące zlecenie – odparł, lustrując ją wzrokiem.

Nawet głos miał seksowny.

– Coś mi mówi, że może potrwać dłużej, niż mi się początkowo wydawało – dodał.

Marcella zdała sobie sprawę, że z nią flirtuje, tak subtelnie, że nikt się nie zorientował. Poczowała absolutną żądzę, jej ciało płonęło. Nagle zrobiło się jej tak gorąco, że skóra pokryła się potem – na pewno wszyscy to widzą. Ale wtedy włączyło się szkolenie. Jej własne szkolenie.

Ludzie wcale nie patrzą ciągle na ciebie, wyszukując niedoskonałości. Zdziwiłabyś się, ile im umyka. Czkałka, kichanie, purpurowa twarz – często niczego nie zauważają, a jeśli ty będziesz się zachowywać, jakby nic się nie stało, oni zrobią to samo...

Własne słowa drwiły sobie z niej, gdy gorąco stawało się nie do zniesienia. Nawet satelita na orbicie okołoziemskiej mógłby je wyczuć.

– No nic, to zostawiam was z tą męską robotą – powiedziała, wycofując się do własnego gabinetu. *Męską robotą?* Co to za określenie? Na pewno nie takie, jakiego użyłaby niezależna bizneswoman, ot co.

Usiadła przy biurku i zaczęła się wachlować kalendarzem. Czy to się naprawdę wydarzyło? Czy rzeczywiście powaliło ją czyste pożądanie do hydraulika – kuzyna Paula? Traci głowę. Chyba czas rzucić to wszystko w diabły, wyjechać na odległą wyspę i zapuścić włosy, po czym spać je w kok za pomocą drutów do robótek ręcznych.

Do południa nie wyściubiała nosa z gabinetu i odważyła się wyjść dopiero koło lunchu, kiedy w budynku ucichło. Nie miała pojęcia, czy Lorcan zacznie robotę dziś czy kiedy indziej, ale im mniej go widzi, tym lepiej. Umarłaby ze wstydu, jakby to się powtórzyło. A gdyby tak Connor zauważył? Paul nie, jest jeszcze za zielony, ale Connor się w końcu połapie, choć Marcella świetnie potrafi ukrywać różne sprawy.

Miała nadzieję, że robota nie potrwa zbyt długo, a Lorcan ma zaufanie



do swojej ekipy i nie będzie się tu błąkał ze swoim złowieszczo przystojnym wyglądem i flirciarskim nastawieniem.

Zaparzyła sobie kawę, wzięła banana ze stojącej w kuchni misy z owocami i właśnie wracała do siebie, kiedy się pojawił.

– Szukałem cię – powiedział.

– Tak? – odparła, ściskając banana jak ostatnią deskę ratunku i idąc dalej, aż się znalazła w bezpiecznym zaciszu gabinetu. Lorcan poszedł za nią.

– O co chodzi? – zapytała. – Connora chyba nie ma, ale jeśli chcesz na niego poczekać...

Znów było jej duszno. Nie mogła się powachlować, bo to by wyglądało, jakby dopadło ją klasyczne uderzenie gorąca, co dla kobiety po czterdziestce jest jak pocałunek śmierci.

– Nie przyszedłem do Connora, tylko do ciebie. Chciałbym zaprosić się na kolację – powiedział z błyskiem w oczach.

– Zaprosić mnie...

– ... na kolację, tak – dokończył. – Nie jesteś z nikim związana. Dowiedziałem się. Ja też nie, a bardzo mi się podobasz, więc chcę się z tobą umówić. Jest jakiś problem? – przechylił swoją piękną głowę. Marcella wyobraziła sobie, jak trzyma ją w dłoniach, a ona ociera się o jej szyję, a potem usta schodzą w dół, by ssać jej piersi.

Pot przesiąknął przez białą bluzeczkę, ale miała nadzieję, że materiał nie lepi się do ciała, bo biustonosz pod nią był całkiem przezroczysty, taki, jaki kobieta zakłada do łóżka po to, by facet go z niej zdarł, może nawet zębami...

– O co ci chodzi? – zapytał dobitnie. – Ty, ty...

Jedna brew się uniosła, tworząc łuk.

– Umówić się kiedy? – spytała nagle.

– Dziś?

– Nie mam czasu – warknęła.

– Jutro wieczorem?

– OK. O której?

– Przyjadę po ciebie.

Marcella pokręciła głową.

– Nie, spotkamy się na miejscu.

– Przyjadę po ciebie – powtórzył. – Kiedy zabieram kobietę na kolację, przyjeżdżam po nią. O ósmej? Powiedz tylko gdzie.

– Zawsze jesteś taki bezczelny? – zapytała, gdy zapisała mu adres.

– Tylko wtedy, gdy bardzo mi na czymś zależy – odparł.

Po jego wyjściu Marcella podeszła do okna i szybko je otworzyła. Została tak, pozwalając się owiewać wiatrowi, aż ochłonęła. Pozbędzie się go. Jest pewnie tępą nogą od stołu. A nic bardziej jej nie odpychało od faceta niż głupota.

Nie był głupi. Wręcz przeciwnie. Jedli w małej włoskiej restauracji. Marcella odkryła, że mogłaby go słuchać cały wieczór. Co wcale nie znaczy, że cały wieczór mówił tylko on – nie, pozwolił jej mówić i słuchał. Ale kiedy zabierał głos, było jasne, że za tymi seksownymi niebieskimi oczami kryje się poważny umysł.

Skończył ekonomię i pracował w banku inwestycyjnym, który w latach dziewięćdziesiątych przechodził trudny okres, i wtedy postanowił założyć własną firmę instalacyjną.

– Ale dlaczego instalacje?

– A dlaczego nie?

– Z twoim wykształceniem mógłbyś robić wszystko.

– Chcesz powiedzieć, że z powodu studiów, jakie skończyłem, powinienem mierzyć wyżej niż instalacje? – zapytał Lorcan, smarując dla niej

krakersa serkiem brie.

Marcella zdała sobie sprawę, że ma zamiar ją karmić, i zdumiona, że podoba się jej ten pomysł, zarumieniła się.

– Jeśli nie będziesz mi wymawiała, że jestem hydraulikiem, ja nie będę ci wymawiał, że jesteś piarowcem.

– Kocham swoją pracę.

– A ja swoją i jestem z niej dumny. – Podał jej krakersa do ust, delikatnie, drocząc się z nią i pozwalając tylko na małe kęsy. – Firma się rozwija, zatrudniam czterdziestu pracowników, nie mogę podać ci obrotów, bo tak dobrze jeszcze się nie znamy, ale zarabiam więcej niż w banku. Chyba nie jesteś intelektualną snobką, co?

Marcella znów się zaczerwieniła.

– Snobizm intelektualny to wymysł lat osiemdziesiątych – tłumaczył. – Ja jestem bardziej z dziewięćdziesiątych, więc nie patrzę z lekceważeniem na ludzi z powodu ich wykształcenia i tego, jak je wykorzystują. Ambicja i sukces nie mają z tym nic wspólnego. Niektórzy z najlepszych przedsiębiorców lat dziewięćdziesiątych w ogóle nie studiowali.

– Nie musisz tak bardzo podkreślać, że studiowałam sto lat przed tobą. Mam tyle lat, że mogłabym być twoją matką – powiedziała nerwowo, upijając łyk wina.

– To niemożliwe, chyba że moja matka urodziłaby mnie w wieku lat jedenastu – odrzekł. Rozmawiali już o tym wcześniej i Marcella powiedziała Lorcanowi prawdę, niemal oczekując, że na wieść o jej czterdziestu dziewięciu latach, w porównaniu z jego trzydziestoma ośmioma, spanikuje i ucieknie. Oznajmił, że nie ma to dla niego najmniejszego znaczenia.

– No i z mamą nie chodzę też na romantyczne randki – dodał teraz. – Chyba że wybieramy się do Jerry'ego Springera.

Marcella parsknęła śmiechem, opluwając wszystko winem.

– Przepraszam – powiedziała, biorąc serwetkę. Otarła mu twarz, następnie szyję, a potem poczuła, jakby oboje wstrzymali oddech.

– Jak zejdziesz jeszcze trochę niżej z tą serwetką, to nigdy już nie będziemy mogli tu wrócić – ostrzegł półgłosem Lorcan.

– Nie mam już ochoty na te sery – powiedziała Marcella.

– Ja też.

Obydwoje dali sygnał kelnerowi, by przyniósł rachunek, ale Lorcan wygrał bitwę o to, kto płaci.

Jechał powoli, nie odzywając się, a Marcella czuła w sobie rosnące napięcie oczekiwania. Zaparkował pod jej domem i przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Masz ochotę wejść na kawę? – zapytała.

– A ty masz ochotę, żebym wszedł? – Niebieskie oczy patrzyły na nią swidrującym wzrokiem. – Bo jak wejść, to nie wiem, czy dam radę wyjść.

Marcelli przemknęło przez myśl, że całkiem jej odbija, ale wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka, na którym poczuła już cień zarostu. Jak kot poruszył głową, tak że linia szczęki znalazła się w jej dłoni.

– Nie musisz wychodzić.

Przez te wszystkie lata ich przyjaźni Marcella nigdy nie miała przed Ingrid tajemnic. Nieważne, co to było, zawsze ze sobą rozmawiały. Ale o tym Marcella nie mogła jej powiedzieć, to jak złamanie wszystkich dziesięciu przykazań – cieszyć się życiem, gdy przyjaciółka cierpi, zdruzgotana i zdradzona.

A fakt, że cieszyła się tym życiem z młodszym od siebie mężczyzną, tylko pogarszał sprawę.

Kiedy myślała o dzielącej ich różnicy wieku, czuła się jak Hugh Heffner

z jednym z króliczków Playboya. Myślała o swoich rozmowach z Ingrid na temat takich mężczyzn, którzy starzeli się i starzeli, skóra pokrywała się plamami wątrobowymi, mieli wątle ciała i byli pomarszczeni, ale oczy wciąż im błyszczały na widok ponętnego ciała.

– Są obrzydliwi – mawiała Marcella. – Nie mogą spotykać się z kobietami w swoim wieku albo podobnym? Dlaczego akurat dwudziestolatki?

– Chodzi o władzę – tłumaczyła z powagą Ingrid. – Młoda dziewczyna świadczy o tym, że mają pieniądze i moc przyciągania takich kobiet. Gdyby nie to, byłiby zwykłymi facetami, tylko starszymi.

Więc robiąc coś odwrotnego, spotykając się z młodszym facetem, Marcella czuła się hipokrytką, która w dodatku ukrywa prawdę.

Ale, och, on był taki niesamowity.

Lorcan. Bez przerwy powtarzała jego imię.

Jej młodszy kochanek. W świecie mediów, do którego należy, stała się tygrysią – kobietą w kwiecie wieku z młodszym kochankiem.

Kiedy jednak była z Lorcanem, śmiała się i kochała z nim, byli po prostu ludźmi.

Myślenie o sobie w kategoriach tygryscy zmieniło to, traciło desperacją, mimo że kolorowa prasa zawsze zachwalała taki układ – weź młodszego kochanka, pozwalając mu docenić twoje wewnętrzne piękno i doświadczenie.

Ale w rzeczywistości czuła jednak inaczej. Musi utrzymać to w tajemnicy. Nikt nie powinien się dowiedzieć, na pewno nie w pracy, nawet Ingrid.

Gdyby Lorcan choć trochę gorzej wyglądał, albo chociaż pracował w innej branży. Ale w takiej konfiguracji z hydraulikiem za dużo było w tym

wszystkim Lady Chatterley.

Przecież nie mogła im powiedzieć, że tak naprawdę jest jednym z najinteligentniejszych ludzi, jakich zna. Oczytany, zabawny, mądry. W świecie mediów – świecie, w którym, cóż za ironia, ludzie rzadko czytują coś poza sekcjami gazet poświęconymi mediom oraz artykułami napisanymi przez znajomych – kobieta z określoną pozycją zawodową spotykająca się z hydraulikiem to odpowiednik odnoszącego sukcesy faceta, który prowadzi się z Miss Uniwersum.

Nikt by nie uwierzył, że Marcella jest z nim dla jego umysłu. Pominęliby szare komórki, skupiając się na wymodelowanych mięśniach, przystojnej twarzy i charyzmie, która z niego emanuje, myśląc: Bingo! No jasne, Marcella, że jest inteligentny, jeszcze jak.

Na trzeciej randce zabrał ją do swojego domu, by poznała jego matkę i braci.

Tak się postępuje z kimś, kogo się traktuje poważnie, powiedział, a Marcella, której nie przedstawiano rodzinie faceta od co najmniej dwudziestu lat, pomyślała, że to słodkie – dopóki tam nie przyjechała.

Dom rodzinny Lorcana okazał się obszernym bliźniakiem, w którym jego matka, Antoinette, po śmierci męża sama wychowała sześciu synów. Nieskazitelnie czysty, ale wygodny mówił o rodzinnym cieple. Kiedy przyjechali, trzech braci Lorcana było w domu, wszyscy niemal równie seksowni i czarujący. Marcella pomyślała, że mogliby zapełnić połowę kalendarza z przystojniakami.

Potem poznała Antoinette, która wyszła z kuchni w fartuchu, wycierając dłonie w kuchenny ręcznik.

– Dobry wieczór, pani Marcello – powitała ją, a Marcella poczuła ucisk w żołądku.

Nie była to drobna starsza pani z obłoczkiem białych włosów na głowie. Matka Lorcana wydawała się niewiele starsza od niej, choć z oczywistych powodów różniły się prawie pod każdym innym względem. Patrząc na nią, Marcella pomyślała, że taka właśnie byłaby dziś, gdyby została w rodzinnym mieście i poślubiła jednego z chłopców, którzy się za nią wtedy uganiaли. Antoinette nosiła krótkie włosy, a Marcella pamiętała, jak mama ścięła swoje zaraz po czterdziestce, twierdząc, że długie są dobre dla młodych.

Miała na sobie kremową bluzkę, którą włożyła w praktyczną spódnicę w kratę, i niewątpliwie bardzo wygodne buty, które nigdy nie były i nie będą modne.

Marcella ubrała się zwyczajnie, we własnym rozumieniu tego słowa, czyli sweter Ralpho Laurena z białą bluzką pod spodem i dzinsy, które nie wyróżniały się niczym specjalnym, ale sporo kosztowały, bo projektowała je była modelka, świetnie rozumiejąca kobiece ciało. Włosy oplatały jej głowę ciemnymi lśniącyimi falami.

Co gorsza, jeden z braci, Tony, zjawił się z rodziną: żoną Sarą i osiemnastomiesięcznym maluchem, dziewczynką o rumianych policzkach imieniem Lulu.

Antoinette była dla wszystkich uprzejma, ale Marcella czuła chłód za każdym razem, gdy matka Lorcana spoglądała w jej kierunku.

Tony, Sara i Lulu to normalna rodzina, brzmiało nieme przesłanie. *Ty, starsza kobieto, która zabierasz mi syna, nie jesteś normalna.*

Każdy chciał wziąć Lulu na ręce i kiedy dziewczynka wylądowała na jej kolanach, Marcella raz jeszcze poczuła, co straciła – jak zawsze, gdy trzymała małe dziecko.

To nic, że już się z tym pogodziła i wylała swoją porcję łez – i tak bolało, kiedy w ramionach miała takie doskonałe stworzonko, które z

zainteresowaniem przypatrywało się jej jasnoniebieskimi oczami. To nie będzie jej już dane.

Za to świetnie radziła sobie z dziećmi. Mnóstwo czasu spędziła z siostrzeńcami i siostrzenicami i wspaniale potrafiła je rozbawić.

Po dwóch minutach uśmiechów, rozmowy i łaskotania pulchnej rączki „rakiem nieborakiem” Lulu została kupiona.

– Jaka jestem śliczna! – gruchała Marcella, gdy zachwycona Lulu badała naszyjnik i eksperymentalnie pociągnęła dwa razy za kolczyk.

Zaprotestowała gwałtownie, gdy nowa ciocia chciała ją przekazać dalej, z całych sił przywierając do Marcelli.

– Lubi cię – powiedziała radośnie Sara i odprężyła się na tyle, by spokojnie zjeść kolację.

W innych warunkach Marcella polubiłaby matkę Lorcana, ale kiedy pomagała jej w kuchni po kolacji, Antoinette powiedziała coś, czym zniweczyła wszelkie na to szanse.

– Nie mogę powiedzieć, że bym była zadowolona, że Lorcan się z panią spotyka, ale jest dorosłym mężczyzną i ma swój rozum. Nie mówię mu, z kim ma chodzić. Osobiście jednak wolałabym, żeby znalazł sobie kobietę w swoim wieku. Pani nie da mu dzieci, prawda? Niezależnie od tego jak dobrze pani wygląda, jest już pani na to za stara.

Marcella, która w sali konferencyjnej miażdżyła wzrokiem stada wściekłych samców alfa i zjadała na śniadanie twarde i żółzowate rywalki, czuła, że jest bliska łez.

– Tak – udało się jej wyartykułować.

Nie powie jej, że nie byłaby w stanie zdecydować się teraz na dziecko, choć bardzo go pragnęła, niezależnie od tego jak świetne wyniki osiągają włoscy lekarze z kobietami w zaawansowanym wieku. Jej ból z powodu



braku dziecka to jej sprawa i niczyja więcej, nawet matki Lorcana.

– Jesteś jakaś cicha – zauważył Lorcan, kiedy odjechali.

Cicha? – pomyślała. Gdyby tylko wiedział, jak bardzo się starała, żeby natychmiast nie wybiec z domu i nie wsiąść do taksówki, która wywiozłaby ją jak najdalej stamtąd.

– Wydaje ci się – powiedziała zwięźle i zaraz tego pożałowała. To typowy objaw kobiecego jeżenia się, znaczy tyle co: Czuję się okropnie, więc lepiej się domyśl dlaczego, idioto.

– Mama cię lubi – dodał.

– Jest bardzo miła – odparła Marcella. Wydaje ci się. Miła. Cóż to za słowo, chyba istnieje tylko po to, żeby ludzie mogli prowadzić nieznaczące rozmowy. – Właściwie to nie sądzę, żeby mnie polubiła – dodała, niezdolna stłumić to w sobie.

– Zaufaj mi, polubiła. Gdyby tak nie było, wiedziałabyś o tym. Jedną moją dziewczynę doprowadziła do łez.

– Uśmiechnął się smutno na to wspomnienie.

Marcella musiała utrzymać na wodzy przemożną chęć obicia mu głowy komórką. Typowy cholerny facet – wpatrzony w matkę jak w obraz, w życiu nie uwierzy, że mogłaby się pomylić. Bóg jeden wie, co Antoinette zrobiła tej biednej kobiecie. I nagle poczuła się o nią zazdrosna. Była młodsza od Marcelli? A może w tym samym wieku – kolejna tygrysica w kolejce, na którą rodzina Lorcana wzdycha tylko, wzruszając bezradnie ramionami, i czeka, aż Lorcan otrzeźwieje i zacznie się wreszcie umawiać z taką, która da mu potomstwo.

– Nie lubię, kiedy ludzie mnie nie akceptują – wymknęło się jej. A niech go. Tak jakoś na nią działał, że mówiła to, co myślała. Nigdy wcześniej się jej to nie przytrafiło, nawet z Harrym.

– Rzeczywiście, to nie jest przyjemne uczucie – zgodził się Lorcan. – I obawiasz się, że to właśnie może mnie spotkać ze strony twoich znajomych, tak?

Marcella otworzyła ze zdziwienia usta. Kolejna rzecz z Lorcanem – przy nim zupełnie zapomniała o swoich piarowskich sztuczkach z samokontrolą. Reagowała impulsywnie, niczego nie ukrywając.

– Nie boję się, że moi znajomi cię nie zaakceptują – skłamała.

– Owszem, boisz się tego – powiedział Lorcan. – A skoro już o tym rozmawiamy – ja nie. Chciałbym ich poznać, bo są dla ciebie ważni, ale nie boję się, co mogą sobie pomyśleć. To zależy od nich, a my zależymy od nas. Nie można żyć, zastanawiając się, co pomyślą inni.

Powiedział to, po czym znów skupił się na drodze, kończąc tym samym rozmowę.

Był taki MĘSKI.

*Mów z miłością i z potrzeby, by czynić rzeczy lepszymi.*

Ingrid nigdy nie wychodziła wieczorami na babskie spotkania. Nie unikała ich specjalnie, po prostu ten element pop kultury zwyczajnie ją ominął.

– Ośmielam się powiedzieć, że to z powodu twojego zawodu – mówiła Marcella. – Dla normalnych ludzi jesteś zbyt znana, a gdybyś wyszła gdzieś z innymi sławnymi kobietami, na pewno znalazłaby się wśród nich przynajmniej jedna z ego w rozmiarze XXL, która chciałaby rozmawiać tylko o sobie, swoim programie, swoim producencie i swoich fanach.

Ingrid się roześmiała. Marcella miała rację. Nie lubiła myśleć, że jej sława ją odróżnia, ale to prawda. Byli ludzie, którzy w ogóle nie zwracali uwagi, ile razy jej twarz pojawia się w telewizji, i traktowali ją normalnie, ale dwa razy więcej osób robiło coś wręcz przeciwnego – zadawali zbyt osobiste albo wręcz chamskie pytania, wierząc święcie, że osoby znane nie mają prawa do prywatności.

Dziś Marcella zorganizowała wieczór z Ingrid i dwiema innymi koleżankami, Carlą i Nikki, kobietami, które obydwie znały i bardzo lubiły.

Nie miał to być żaden dziki wyskok na miasto, ale Marcella stwierdziła, że Ingrid powinna gdzieś wyjść, i to nie w sprawach zawodowych. Mimo że w pracy wszystko szło dobrze i szybciej, niż przewidywała, poczuła się znów jak u siebie, unikała na razie spotkań towarzyskich.

– Ręka ci się przyklei do pilota, jak nie przestaniesz przesiadywać wieczorami w domu – wypominała jej Marcella. – Zorganizuję jakiś spokojny, miły wieczór w przytulnej knajpce.

Carla jest sędzią sądu najwyższego, ma męża i troje dorosłych dzieci, Nikki zaś samotną projektantką, która osiągnęła spory sukces, lansując z powodzeniem linię damskich torebek obecną dziś na rynkach całego świata. Obydwie to jej dobre znajome i przemiłe osoby, a jednak kiedy tak Ingrid siedziała z Marcellą przy stoliku, czekając na nie i sącząc kir royale, poczuła się jakoś nieswojo. To pierwszy po śmierci Davida wieczór poza domem, pierwszy wieczór niespędzony z rodziną ani niepoświęcony pracy.

Było w tym coś przerażającego. Ten koc bezpieczeństwa, jakim było jej małżeństwo, przestał istnieć. Nie, poprawiła się w myśli, koc bezpieczeństwa, którym jak sądziła, było jej małżeństwo, przestał istnieć.

Komórka Marcelli dała sygnał, że przyszedł esemes.

– Przepraszam cię – mruknęła przyjaciółka – muszę odpowiedzieć.

Marcella jest jakaś rozkojarzona, pomyślała bezwiednie Ingrid. To pewnie praca.

Sączyla dalej drinka i rozejrzała się po sali.

Właśnie weszła elegancka starsza kobieta. Obrzuciła Ingrid i Marcellę aroganckim wzrokiem, jakby dając do zrozumienia, że spotkanie się z kobietami zasługuje na najwyższą pogardę.

Ingrid z zainteresowaniem obserwowwała, jak przysiada się do stolika starszego pana – wyglądał na bardzo zamożnego. Była chuda, właściwie dużo za chuda, taka chudość bierze się z drakońskiej diety stosowanej przez ostatnie dwadzieścia lat. Ingrid chętnie by zobaczyła jej wyniki badania gęstości kości. Miała na sobie subtelną, prostą luźną sukienkę z większą ilością detali na rękawach, których zadaniem było odwrócenie uwagi od pomarszczonej skóry. Musiała być po sześćdziesiątce, a mimo to zdecydowała się na niemal dziewczęcą fryzurę – tapirowaną blond bombkę. Włosy zostały mocno podniesione nad chirurgicznie wygładzonym czołem, a

końce wywinięte na zewnątrz.

Kontrast między uczesaniem a la Barbie i całą resztą dosłownie wstrząsnął Ingrid. Czy na tym polegało starzenie się? Walka z wiekiem za pomocą dziewczęcych atrybutów?

Mimowolnie dłoń Ingrid powędrowała do jej własnych włosów i poczuła nagle przemożną chęć, żeby je ściąć w całości. Krótko, ostro i elegancko, jak Judi Dech. To byłoby coś zupełnie innego. Nikt nie mógłby jej oskarżyć, że usiłuje wyglądać młodziej. Czy na tym polegał błąd, jaki popełniła w małżeństwie? Założyła, że ona i David będą już na zawsze razem, podczas gdy powinna była wiedzieć, że nic nie trwa wiecznie. Czy jego tajemnicza kochanka była młodsza? Oczywiście, że tak. Ingrid była o tym przekonana...

– Witajcie, przepraszamy za spóźnienie, korki nie do uwierzenia.

Carla i Nikki podeszły do nich w towarzystwie wysokiego siwowłosego mężczyzny.

– To jest Eric Johanssen – przedstawiła go Nikki. – Spotkaliśmy się przy wejściu.

Marcella i Ingrid uśmiechnęły się na powitanie, podając mu po kolei rękę. Ingrid nie potrafiła nigdzie go dopasować.

Na pewno już gdzieś go widziała. Może w gazecie, na stronach poświęconych gospodarce, albo na zdjęciu w „Financial Timesie”...

Miał przenikliwy wzrok rasowego biznesmena, który odniósł sukces, to na pewno – taki, który chłodno ocenia, analizuje i kalkuluje, gdzie można zarobić kolejny miliard.

– Dobry wieczór, miło mi panią poznać – powiedział.

Neutralny akcent i doskonała wymowa człowieka posługującego się wieloma językami. Ingrid zawsze fascynowali tacy mężczyźni – zarządzali

imperiami, mówili po japońsku, chińsku i rosyjsku, w każdym większym mieście mieli sekretarkę, która potrafi stenografować.

Został z nimi tylko minutę, a potem poszedł do swojego stolika, przy którym oczywiście siedzieli mężczyźni w garniturach, czekający na niego przy pękatych kieliszkach wina.

– Gdybym nie miała już męża... – mruknęła Carla, siadając.

– Precz z łapami – zareagowała natychmiast Nikki. – Daj szansę nam, wolnym agentkom.

Nikki spotykała się przez kilka lat z milionerem z Seattle, ale zostawił ją dla masażystki. Od tego czasu wyrzeka się mężczyzn.

– Nieźle ciacho, co? – zwróciła się teraz do Marcelli.

– No, eee, chyba tak – odparła Marcella.

Nikki aż zapiała z radości.

– Marcello Schmidt, ty kogoś masz! Mów nam tu zaraz.

– Wcale nie – zaprotestowała Marcella.

Ingrid dostrzegła, że Carla i Nikki jej uwierzyły. W końcu Marcella wspaniale kłamie. Ale ona zauważyła delikatny rumieniec i wiedziała swoje. W życiu Marcelli musiał pojawić się mężczyzna, a ona nic jej nie powiedziała. Ingrid poczuła wyrzuty sumienia. Kochana Marcella uznała, że powinna ukrywać to przed nią, jakby każda dobra wiadomość mogła ją zabić. A to przecież nie tak. To, że jej życie legło w gruzach, nie znaczyło jeszcze, że wszyscy muszą cierpieć.

– Skąd ja znam tego faceta? – spytała Ingrid, żeby odwrócić uwagę od Marcelli.

– No cóż, kolejny biznesmen miliarder/magnat przemysłowy/od nieruchomości/sieci handlowych/niepotrzebne skreślić – odparła Carla. – Nie wiem, skąd Nikki ich bierze. Jest jakiś klub dla samotnych miliarderów,

Nikki?

– Chciałabym – westchnęła Nikki. – Ale wiecie, w końcu pieniądze to nie wszystko.

Pozostałe trzy się roześmiały.

– Nigdy nie interesuję się mężczyznami z powodu ich pieniędzy – oznajmiła Nikki. Potem na jej twarzy pojawił się uśmiech, szelmowski mały uśmieszek. – Ale są fajniejsi, kiedy je mają.

– Może nie fajniejsi, ale prezenty, jak się tobą znudzą, są dużo lepsze, kiedy są bogaci – zażartowała Marcella.

Nikki pomachała swoją bransoletką z białego złota wysadzaną brylantami, którą dostała od pana z Seattle.

– Nie rozgrzeje cię w nocy.

– Ale Eric, owszem – zasugerowała Carla. – Gdzie go poznałaś?

– W zeszłym roku na nartach w Courchevel.

– Czym się zajmuje? Nieruchomościami, programami kosmicznymi, kupowaniem innych narodów...?

Znów śmiech.

– No wiecie, normalnie, megabogaty gość – wyjaśniła im Nikki. – Bardzo miły zresztą. Szwed, główna siedziba jego firmy wciąż jest w Sztokholmie. Oczywiście domy na całej planecie, wiadomo. Nie pytałam, co go sprowadza do Dublina, ale ci faceci wciąż latają z kontynentu na kontynent własnymi odrzutowcami, negocjując kontrakty.

Podszedł kelner z kartami dań.

– Jedzenie, o rany, umieram z głodu! – zawołała Marcella. Ostatnio wciąż miała wilczy apetyt, musiało to mieć coś wspólnego z faktem, że kiedy była z Lorcanem, nie mogła nic przełknąć. Za to w pozostałym czasie obżerała się na potęgę.

Wieczór minął bardzo przyjemnie, pomimo obaw Ingrid, a kiedy już wychodziły, obiecały sobie kolejne spotkanie w przyszłym miesiącu.

– W porządku? – zapytała cicho Marcella, gdy Carla i Nikki odjechały taksówką.

– Tak – powiedziała Ingrid. – Naprawdę dobrze się bawiłam, jakbym ćwiczyła bycie normalną i zadowoloną. Praktyka czyni mistrza, może po jakimś czasie przypomnę sobie, jak się to robi.

– Nie musisz udawać normalnej i zadowolonej. Spokojnie możesz sobie być smutna.

– Ale nie przez cały boży dzień – odparła Ingrid. – To nie służy duszy. W każdym razie spędziłam dziś autentycznie miły wieczór, dziękuję ci.

Ingrid chciała zapytać Marcellę o tego nowego faceta, ale potem pomyślała, że może nie. Kiedy będzie gotowa, sama jej powie.

Tej nocy znów obudził ją sen. Siedziała w kościele, w pierwszej ławce, czekając, aż Molly przyjdzie do ołtarza. Spojrzała na pana młodego, po raz pierwszy mając okazję dobrze mu się przyjrzeć. Bardzo przypominał Davida – te same ramiona, ten sam wyraz twarzy. Matka przyszłego zięcia, cała w różu i nieskończenie młodsza od Ingrid, ale w sumie dość niewyraźna, siedziała w ławce po przeciwnej stronie i w pewnym momencie syknęła: – Przypomina ci kogoś?

Molly miała poślubić swojego przyrodniego brata, uzmysłowiła sobie Ingrid i próbowała to wykrzyczeć, ostrzec córkę, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

W tym momencie zawsze się budziła, cała spocona i roztrzęsiona.

David nie mógł jej tego zrobić, prawda? A może właśnie zrobił? Może było gdzieś jeszcze jedno dziecko Davida Kenny'ego.

Ale gdyby tak było, to matka zgłosiłaby się chyba po spadek. A może



David wcześniej ustanowił jakiś fundusz na jego rzecz?

Była druga nad ranem. Ingrid włączyła komputer i wysłała krótki mail do Marcelli. *Chcę się dowiedzieć, kim ONA jest. Muszę. To priorytet. Ja.*

Teraz już nie było odwrotu.

Marcella nie miała nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu zabawić się w detektywa, ale tym razem sytuacja była zupełnie inna. Chciała się upewnić, że Ingrid wie, w co się może wpakować.

– Jeśli ktokolwiek się dowie, czego szukasz, będziesz w gównie po pas – ostrzegła. – Wyobraź to sobie we wszystkich tabloidach.

– Wiem – powiedziała Ingrid. – „Tragedia miłosnego trójkąta telewizyjnej Ingrid”.

– Niezły nagłówek – skomentowała Marcella. – No dobra, zostaw to mnie. Sama będę musiała poszperać tu i ówdzie. Nikomu tego nie zlecę. Ale Ingrid, jesteś pewna? Chcesz się dowiedzieć, kim jest ta kobieta. I co dalej? Co zrobisz z tą informacją, o ile w ogóle uda mi się ją znaleźć?

– Nie wiem, przyjrzę się jej i zastanowię, co ona ma takiego, czego ja nie mam? – odparła Ingrid.

– I konkretnie w czym ci to pomoże?

– Zakończę tę sprawę.

– Zawsze twierdziłaś, że nie znosisz tych bzdur o „kończeniu spraw” – burknęła Marcella. – Nazywałaś to zawracaniem głowy i narzekałaś, że świat pełen jest ludzi usiłujących coś zakończyć, od złego dnia w przedszkolu, gdy mieli cztery lata, do kłótni z własnymi dziećmi.

– To było, zanim zrozumiałam, jakie to ma znaczenie – zripostowała Ingrid. – Ta kobieta nie pozwala mi iść dalej. Nigdy nie przestanę się zastanawiać, wiesz, zastanawiać się nad każdą kobietą, którą znaleźliśmy, czy to nie ona albo czy to ktoś z pracy, czy jakaś dawna miłość, do której wrócił.

Właściwie nie opowiadał zbyt wiele o kobietach, j jakie miał przede mną – dodała zamyślona.

– To po prostu niezdrowe – orzekła Marcella. – Nie chce mi się wierzyć, że to robimy.

– Robimy to. Muszę wiedzieć.

Przez następne dwa tygodnie Ingrid chodziła jak we śnie. Poprowadziła trzy programy telewizyjne i po raz pierwszy wystąpiła oficjalnie na imprezie charytatywnej na rzecz molestowanych dzieci, na której przemawiała.

– Zrozumieją, jeśli odmówisz – tłumaczyła jej Gloria.

Ingrid pokręciła głową.

– To co innego. Powiedziałam, że będę, więc będę.

Na swojej osobistej skali ludzkiego cierpienia to, przez co przechodziła, Ingrid stawiała dużo niżej niż ból, jaki jest udziałem dzieci wykorzystywanych seksualnie. Poznała takich ludzi, przygotowując się do któregoś z programów, i nigdy nie zapomni poczucia bólu i zdrady, jakie nosili w sobie czasami dziesiątki lat po tych zdarzeniach. Wierzyła, że pewnego dnia będzie mogła zamknąć oczy i nie myśleć o śmierci Davida ani jego nielojalności. Ludziom wykorzystanym w dzieciństwie nigdy nie udawało się do końca zapomnieć.

Na ten uroczysty lunch ubrała czarną prostą sukienkę z koronki. Pozowała do zdjęć z dyrektorkami organizacji.

– Dziękuję, że jest pani tu z nami dzisiaj – szepnęła pani prezes, elegancka szatynka od stóp do głów ubrana w coś, co wyglądało na kreację Lanvin rozmiar 32.

– Nie darowałabym sobie, gdyby mnie tu nie było – powiedziała Ingrid, ściskając krótko jej dłoń.

Kiedy po trzech kieliszkach szampana pani prezes, co było do

przewidzenia, zaczęła nieprzekonująco grzebać widelcem w swoim lunchu, przyznała się Ingrid, że nie wybrała tej właśnie organizacji przez przypadek.

– Nikt oprócz mojego męża nie zna powodu, dla którego zajmuję się właśnie tymi dziećmi. On jeden wie, że nie chcę dopuścić, by inni musieli przechodzić przez to co ja.

Ingrid przeżyła szok. Ta kobieta nie wyglądała na kogoś, kto był molestowany, ale z drugiej strony, kto tak wygląda?

Tego wieczoru, gdy wróciła do domu, zajrzała do książki o życiu i wdzięczności, którą kazała jej kupić Abra.

Było to swego rodzaju zadanie domowe – czytasz kilka stron i sprawdzasz, jak się czujesz. Jak dotąd Ingrid raczej markowała czytanie. Po dzisiejszym dniu znów spokorniała. Jej ból był okropny, ale istniał gorszy. Dużo gorszy.

*Wdzięczność, mówili w książce, powinna stać się częścią twojej codzienności.*

Ingrid przeczytała to jeszcze raz. Zamknęła oczy i powtórzyła słowa. Ethan był bezpieczny, mailował z Australii, gdzie aktualnie się szlajał – jego słowa – z przyjaciółmi w Cairns. Molly poszła na prawdziwą randkę z chłopakiem o imieniu Mark, który był kolegą męża przyjaciółki Natalie. Bardzo zawile. Ale to dobrze. Poszli do kina do Irish Film Centre, a potem na kolację.

Ingrid nie pamięta nawet, kiedy ostatnio Molly wybrała się na randkę, nie mówiąc już o randce, na której się jej podobało, z mężczyzną, z którym chciała się spotkać ponownie.

Wiedziała, że ma za co dziękować. I będzie. Będzie też próbować żyć dalej, zamiast chować się w skorupie.

Po dwóch tygodniach Marcella nie posunęła się w swoim śledztwie ani

o krok. Plan zakładał, że spotka się z najbliższymi znajomymi Davida pod pretekstem rozmowy o tym, jak według nich trzyma się Ingrid, i zobaczy, co uda się jej z nich wyciągnąć na temat tajemniczej kobiety Davida.

Niestety, plan zawiódł. Marcella wspaniale potrafi wyciągać z ludzi to, co chce, ale tym razem była przekonana, relacjonowała przyjaciółce, że nikt z nich nie ma pojęcia o żadnym romansie Davida.

– To oczywiste, że nie przychodzę i nie pytam: „Czy David Kanny zwierzał ci się, że ma kochankę?” – tłumaczyła.

– Ale gdy rozmawiamy o tym, jakie to smutne i jak wy dwoje bardzo się kochaliście, łatwo mi rozpoznać, czy kłamią, bo na przykład znają drugą stronę medalu.

– Dziękuję ci – powiedziała żałośnie Ingrid. Zdawała sobie sprawę, że Marcella nie może pytać wprost, ale zaczynała mieć już obsesję na tym punkcie. Gdyby wiedziała cokolwiek, najmniejszą rzecz, mogłaby zrobić kolejny krok.

Była dobrą dziennikarką między innymi dlatego, że potrafiła odgadnąć motywy ludzkich zachowań, a tu proszę, oto ona i nie wie prawie nic o sporej części życia własnego męża. Doprowadzało ją to do szału. W końcu doznała olśnienia. Odwiedzi cioteczną babkę Davida, Babe, jego jedyną żyjącą krewną. David często do niej zaglądał, może więc, ze względu na jej niekonwencjonalny sposób bycia i fakt, że nigdy nikogo nie osądzała, zwierzył się jej z czegoś. Szanse co prawda marne, ale Ingrid była już zdesperowana.

Ośrodek Pod Opiekuńczymi Sosnami to nie typowy dom opieki, raczej osiedle dla emerytów, którzy chcą czuć się bezpiecznie, ale jednocześnie zachować nieco prywatności. Kiedy Babe się tu wprowadziła, około piętnastu lat temu, zajmowała dwupokojowe mieszkanie w jednym z dwupiętrowych

budynków, z balkonem i widokiem na morze. Teraz, kiedy jest już słabsza, przeniosła się do głównego budynku, usytuowanego nad morzem i sąsiadującego z hotelami, w którym miała do wyboru dwu- lub trzypokojowe mieszkanie z aneksem kuchennym. Babe mogła więc sama coś ugotować albo zjeść ze wszystkimi w stołówce.

Była wprost zachwycona, kiedy Ingrid zadzwoniła z zaproszeniem na kolację.

– Wspaniale – mówiła przez telefon. – Tak się cieszę. Wszyscy mi będą zazdrościć.

Kiedy o siódmej wieczorem Ingrid stanęła w jej drzwiach, Babe czekała już ubrana jak na wieczór w operze. Miała na sobie długą liliową spódnicę z jedwabiu, żakiet do kompletu i biały puszysty kołnierz wokół szyi, a do tego broszkę z macicy perłowej.

– Za bardzo się wystroiłam? – spytała Babe, stając powoli na nogi. Założyła różowe, chińskie wyszywane kapcie.

– Wyglądasz prześlicznie.

– Nie lubię, jak ubrania tylko wiszą w szafie – ciągnęła Babe. – To takie marnotrawstwo. Ten komplet kupiłam u Madame Nory, och... – przerwała. – Chyba w 1973, i od tamtego czasu tylko kilka razy ujrział światło dzienne. Kiedy odejdę, Molly może go sobie wziąć, ona lubi stare ubrania.

Ingrid się skrzywiła.

– Nie mów tak – powiedziała błagalnym tonem.

– Tutaj cały czas tak mówimy – odparła spokojnie Babe.

– To nie spa, Ingrid. Ludzie się tu przeprowadzają, kiedy nie są w stanie żyć już o własnych siłach. Następny przystanek jest po tamtej stronie. Oczywiście dużo zależy od wizji tamtej strony. Na przykład Beatrice, moja sąsiadka, stawia na niebo, już dwa razy w tym roku była w Lourdes, żeby

zwiększyć swoje szanse. Mówi, że dla mnie nie ma widoków, bo nad moim łóżkiem wisi łapacz snów. Pogańskie zabobony, wiadomo! – snuła opowieść Babe. – Gdy chodzi o tamtą stronę, jestem potępieńcem.

Ingrid mimowolnie się roześmiała.

– A widzisz? Wiedziałam, że cię rozśmieszę. Smucenie się nigdy nikomu nie pomogło. Kiedy starasz się uśmiechać, panujesz przynajmniej nad tą jedną rzeczą.

– Jak udało ci się zdobyć tyle mądrości? – spytała Ingrid, otwierając drzwi wyjściowe i delikatnie podtrzymując Babe.

– Zaleta przeżycia prawie dziewięćdziesięciu lat – odparła tamta z niezmaconym spokojem. – Jeśli są jakieś zalety fizyczne, człowiek jest zbyt stary, by z nich skorzystać.

– Hej, Babe, podoba mi się twoja koleżanka. Ostra jak meksykańskie przyprawy. Wybieracie się na randkę z chłopakami? – zawołał starszy pan, kiedy go mijaly.

Do tej chwili Ingrid nigdy by nie pomyślała, że mogłaby kogokolwiek dyskryminować z powodu wieku, ale tym razem aż oniemiała. Facet musiał mieć co najmniej setkę. Z tą kruchą bezwłosą głową wyglądał tak słabowicie jak muzealny eksponat i żartował na temat randki?

– Tom, ty stary łotrze, nie odzywaj się tak do mojego gościa – wrzasnęła w odpowiedzi Babe. – Nie umawiam się z chłopakami, tylko z mężczyznami. A nawet gdybym szła na randkę, myślisz, że powiedziałabym akurat tobie, największemu plotkarzowi w okolicy?

– To stary świntuch – szepnęła do Ingrid.

– Słyszałem! – łyknał Tom.

– I dobrze – odpowiedziała żywiołowo Babe.

Nie licząc krótkiego przywitania się ze staruszką, która wsparta na

balkoniku szła korytarzem, powłócząc nogami, do wyjścia dotarli już bez dalszych nagabywań.

– Chcesz porozmawiać o Davidzie, prawda? – powiedziała Babe. – Widzę to w twoich oczach. Myślałam, że teraz ludzie lepiej sobie z tym radzą. W moich czasach można było o nich rozmawiać przez jakieś sześć miesięcy, a potem należało wrócić do życia. Uśmiechać się, wyglądać wesoło, zacząć robić na drutach dziecięce czapeczki albo udzielać się w akcjach charytatywnych. Zmarli to przeszłość, chyba że w listopadzie, wtedy należy dawać za nich na wypominki, z których robią się długie listy– . Jakby całe legiony zmarłych czekały w ciszy, aż wpiszą ich na listę, żeby można ich było wspomnieć.

– Chyba taki też był ogólny zamysł.

– Smutne to, okropnie smutne. Kiedy umrę, zamówisz za mnie mszę, prawda? – po raz pierwszy Babe opuściła jej zwykłą żywotność. Wyglądała tak jakoś niepewnie. A nawet jakby trochę przestraszona.

Babe nigdy nie była religijna. Ingrid pamiętała, jak siedziały kiedyś obok siebie na którymś rodzinnym ślubie i Babe mamrotała pod nosem:

– Skoro pobranie się w kościele jest w stanie ich uszczęśliwić, proszę bardzo... Osobiście nie widzę sensu w żadnej zinstytucjonalizowanej religii.

Jednak mimo swojej śmiałej przemowy o tamtej stronie, Babe się bała.

– Oczywiście, że tak, ciociu – zapewniła ją Ingrid. – Wiele mszy. Wpiszę cię u zakonników do Księgi Mszy Świętych Wieczystych, będą się za ciebie modlić przez całe lata, dobrze?

– Głupio się zachowuję – powiedziała Babe, ocierając jedno oko, kiedy już ostrożnie wsiadła do samochodu Ingrid.

– I tak pewnie pójde tam, na dół. Złamałam praktycznie każdą zasadę, a od 1949 nie przystąpiłam do komunii. To jakbym została wpisana na listę

dziesięciu przestępców najbardziej poszukiwanych przez Kościół. Nie zdążyli mnie jeszcze ekskomunikować, ale mają tam dla mnie miejsce – ognie piekielne, cierpienie i sport w telewizji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie musisz żartować – powiedziała cicho Ingrid.

– Żartowanie pomaga. Odejście Davida i tobie musiało nasunąć myśli o śmierci.

Ingrid zajęła się czym prędzej zapinaniem pasów Babe, a potem swoich, byle tylko nie odpowiadać.

– Rzeczywiście – odezwała się w końcu. Zapalając silnik, patrzyła przed siebie, ale czuła, że Babe ją obserwuje.

– Bo kiedy umierają ludzie, których kochamy, nie da się myśleć o niczym innym, prawda? – powiedziała Babe, a Ingrid wydawało się, że wcale nie mówi o Davidzie. – Chyba nigdy ci tego nie mówiłam – zresztą to historia z zamierzchłych czasów, i kto by tam chciał słuchać starej baby opowiadającej o utraconej miłości – ale był pewien człowiek, którego kochałam, bardzo dawno temu, i kiedy zmarł, pękło mi serce, nie widziałam żadnego sensu w dalszym życiu. Moja śmierć, tak jak śmierć każdego człowieka, jest nieunikniona, i tak kiedyś nadejdzie, a jeśli sama bym się tym zajęła, mogłabym umrzeć tak jak on.

– Musiałaś być bardzo nieszczęśliwa.

– Myślałam tak przez długi czas. W zasadzie przez całe lata. Planowałam, kiedy to zrobię i jak: tabletki czy podcięcie żył w wannie. Aż w końcu zdałam sobie sprawę, że wcale nie chcę umierać. Mówiąc szczerze, bardzo się obawiałam, że śmierć Davida wpłynie podobnie na ciebie. Tak bardzo się kochaliście.

– Nie, nigdy aż tak się nie czułam – powiedziała Ingrid i znów poczuła,



jak ogarnia ją fala smutku. Gdyby nie otworzyła wtedy tej cholernej szuflady. Żałowała teraz, że to zrobiła, przecież nie musiała tego wiedzieć. Mogłaby opłakiwać Davida tak, jak powinna, a nie zastanawiać się, czy wszystko było kłamstwem. Ukochany Babe zmarł, a ona była tak zdruzgotana, że chciała do niego dołączyć. Ingrid mogła myśleć tylko o tym, że Davida już nie ma i że ona nigdy się nie dowie, dlaczego ją zdradził i z kim.

O wiele za szybko przejechała przez bramę ośrodka i zaraz musiała ostro hamować, gdy zza zakrętu wyjechała pędząca furgonetka.

– Jezu, ciociu, przepraszam – powiedziała, zakrywając usta dłonią.

– Wszystko w porządku, nie tym się przejmuję.

Ingrid na wpół się roześmiała, na wpół zadrżała.

– Gdyby Molly albo Ethan byli tu ze mną, usłyszałabym, że zamieniam się w szaloną starszą panią i że nie powinnam sama prowadzić samochodu.

– Nonsens – pocieszyła ją Babe. – Nigdy by czegoś takiego nie powiedzieli, za bardzo cię kochają. A teraz powiedz mi, co się stało.

– To znaczy? – zapytała Ingrid.

– Ingrid – powiedziała Babe z wyraźnie ostrzejszą nutką w głosie. – Za długo cię znam, żebyś mogła mi wmówić, że wszystko jest jak należy. Więc co się stało?

– Nie mogę mówić, kiedy prowadzę, bo jeszcze w coś uderzę.

– Dobrze. Poczekamy, aż dojedziemy na miejsce.

Dotrzymując słowa, Babe zabawiała ją w samochodzie wesołymi opowieściami, na przykład o lidze sudoku w Opiekuńczych Sosnach i jak wszyscy się tym pasjonowali.

– To uzależnia – dodała. – Jak ta kota, którą zażywają ludzie.

– Koka – poprawiła ją automatycznie Ingrid.

– Właśnie, koka.

Starą kucharkę zastąpiła nowa, której nikt nie powinien nawet wpuszczać do kuchni, snuła opowieść Babe.

– Kochana dziewczyna, potrafi robić z jedzeniem tylko dwie rzeczy: gotować w wodzie i gotować w wodzie.

Choć właściwie Babe aż tak bardzo to nie przeszkadzało.

– Jem teraz tak niewiele. Jeśli tylko dostanę swoje miętówki, wszystko gra. Na drugim piętrze mieszka ten przemiły młodzieniec, który robi nam wszystkim zakupy.

W kategoriach Babe młodzieniec miał po siedemdziesiątce.

Usiadły wygodnie w restauracji, małej rodzinnej knajpce, gdzie David zwykł zabierać Babe, bo mogła tu zamówić tradycyjne irlandzkie dania, jak *coddle* z bekonem i kapustą.

Babe zamówiła bekon, a Ingrid, która ostatnio w ogóle nie miała apetytu, rybę z grilla.

– A teraz – Babe usadowiła się wygodnie na środku krzesła – opowiadaj, co cię trapi.

Ingrid się zawahała, chciała poczekać, aż nikogo nie będzie w pobliżu, żeby nic nie usłyszeli. Ale rozejrzała się wokół i od razu stwierdziła, że nikt nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Teraz albo nigdy. Wzięła głęboki wdech i zaczęła od zamkniętych na klucz szuflad oraz kwiatów na grobie.

Babe nie wydawała się w najmniejszym stopniu zaskoczona, tylko smutna.

– Jesteś pewna, że to nie zwykły skok w bok? – zapytała na koniec. – Przepraszam, to straszne słowa, romans to romans, jakkolwiek byś go nazwała.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Ingrid. – Listy i inne papiery raczej na to nie wskazują. Wygląda na to, że trwało to od dłuższego czasu,

przynajmniej od roku. Chcę się dowiedzieć, kto to był. Moja przyjaciółka, Marcella, pomaga mi w tym.

– Nie – zaprotestowała Babe, bardzo gwałtownie. – Nie wolno ci tego robić.

– Dlaczego?

– To bardzo osobiste – tłumaczyła Babe. – Im więcej ludzi wie, tym większe zagrożenie, że trafi to do telewizji. A tego przecież nie chcesz.

– Ale ja muszę wiedzieć. Zaczynam się czuć tak, jakbym w ogóle Davida nie znała, i przez to nie potrafię przeżywać żałoby po nim. Nie wiem, kim jest ta kobieta, nic już nie wiem.

– Tak mi przykro – mówiła Babe. – To musi być dla ciebie naprawdę trudne, ale nie wierzę, żeby taka wiedza mogła ci w czymkolwiek pomóc. Ludzie to skomplikowane istoty. Nie jesteśmy w stanie tak naprawdę poznać drugiej osoby, nie w pełni. Zapewne i w tobie były obszary niedostępne dla Davida?

– Pewnie tak – odparła Ingrid, przypominając sobie, jak Ethan wyjechał w swoją podróż dookoła świata, a David nie potrafił zrozumieć jej bólu z powodu tęsknoty za nim, jej niepokoju, martwienia się tym, co się dzieje. Nie cierpiała go za to, uważając, że gdyby tylko trochę się postarał, na pewno by to pojął. A Babe mówiła teraz, że nie, nie umiałby tego zrozumieć, tak jak ona nie potrafiła zrozumieć, że David mógł być z nią i sypiać z inną kobietą.

– No tak, ale fakt, że David nie zawsze mnie rozumiał, nie znaczy, że mogłabym mieć romans z kimś innym – zauważyła.

– On był mężczyzną, ty jesteś kobietą. Różnimy się od siebie. – Babe wzruszyła ramionami. – Nam miłość wypełnia bardzo dużą część życia, dla nich to tylko segment. Mają wiele segmentów. Spójrz na to tak: czy w twoim życiu był kiedyś mężczyzna, który był lepszym kochankiem od Davida?

Ta rozmowa schodzi na szokująco dzikie ostępy, pomyślała zaniepokojona Ingrid.

– Eee, no... – zaczęła.

– Poczekaj jeszcze chwilę – mówiła Babe. – Wszystkie kogoś kochałyśmy i być może myślałyśmy, że nasz poprzedni mężczyzna był lepszym kochankiem. Beznadziejny w każdej innej sprawie, żaden z niego przyjaciel, okropny rozmówca, głupi, ale dobry w łóżku.

– I... – powiedziała Ingrid.

– I – powtórzyła Babe – siedzisz sobie i wyobrażasz, jak by to było, gdyby ten poprzedni był taki jak David, tylko lepszy w łóżku... – Babe przerwała, widząc przerażoną twarz Ingrid.

– Nie mówię o Davidzie, tylko ogólnie, chcę żebyś się nad tym zastanowiła. Kobieta po prostu radzi sobie z tym, co dostała w pakiecie. Mężczyzna chce natomiast to, co posiada, plus to małe co nieco, które miała poprzednia dziewczyna.

– Musi mieć wszystko – powiedziała beznamiętnie Ingrid. – A skoro nie może dostać wszystkiego od ciebie, bierze od kogoś innego, wtedy ma komplet.

– Otóż to.

– Rozmawiacie o tym Pod Opiekuńczymi Sosnami?

– Rozmawiamy o wszystkim – zapewniła ją Babe. – No, w każdym razie niektórzy z nas. Inni rozmawiają o tym, że młodzież zbyt szybko jeździ samochodami i że wnuki nie są już takie, jak dawniej, a pieniądze coraz szybciej się rozchodzą. Ale niektórzy rozmawiają o takich sprawach, a konsensus, do jakiego doszli ci, którzy mają jeszcze równo pod sufitem, brzmi, że miłość polega na radzeniu sobie z tym, co dostajesz w pakiecie.

– No tak.

Kelnerka przyniosła jedzenie, postawiła talerze na stole, a one patrzyły na nie w milczeniu.

– Więc David nie był zadowolony z seksu, jaki dostał w pakiecie? – zapytała Ingrid po odejściu kelnerki.

– Bardzo wątpię. To był tylko przykład. Może ta inna kobieta dała mu jakąś rzecz, której ty nie mogłaś mu dać. Jednak nie była tobą i dlatego z tobą został.

– Ale czy ty to w i e s z? – spytała Ingrid. – Czy rozmawiał o tym z tobą?

– Nie, nigdy nie poruszał ze mną takich kwestii. Wiedział aż nazbyt dobrze, jak bardzo cię kocham. Nakopałabym mu do tyłka, nie myśl sobie. Ingrid, kochanie, zadręczysz się na śmierć, jeśli będziesz się chciała dowiedzieć, dlaczego tak się stało, bo to po prostu niemożliwe. On odszedł, nie możesz go zapytać.

– Ale gdybym chociaż wiedziała, kto to jest...

– Gdybyś wiedziała, dręczyłabyś się jeszcze bardziej, myśląc o tym, że jest zabawniejsza, młodsza, piecze lepszą szarlotkę. Pamiętaj – powiedziała Babe, jakby nagle przyszła jej do głowy jakaś myśl – David miał romanse we krwi, no wiesz, geny to geny. Jego ojciec, Andrew, nie potrafił dochować wierności.

– Zawsze tak mi się wydawało – przyznała Ingrid – ale nikt nigdy tego nie potwierdził.

– Andrew był przyzwoitym człowiekiem, nie miał w sobie ani krzty zła, ale nie potrafił utrzymać rąk z dala od słoika z miodem. Bardzo mu się podobałaś – ciągnęła Babe z uśmiechem, a Ingrid widziała, że myślami cofnęła się w czasie. – Uważał, że jesteś wspaniała. David był bardzo mocno związany z jeszcze jedną kobietą. Cudowna dziewczyna, bardzo ją lubiłam, ale ona chyba nie była odpowiednia dla niego. Potrzebował kogoś takiego jak

ty.

– Kathryn? O niej mówisz? – zapytała Ingrid. Słyszała o Kathryn, którą David w młodości wiele razy zabierał na tańce. Mówił, że myślał o poślubieniu jej.

– Skąd, mój Boże! Nie, nie Kathryn, ta druga. Gwiazda Bluestone.

– Nigdy o niej nie mówił.

– Polubiłabyś ją – kontynuowała Babe. – Bardzo mądra, mimo młodego wieku.

– Myślisz, że to mogła być ona? – zapytała Ingrid, uderzona tą myślą. – Z nią miał romans?

– Nie – odparła stanowczo Babe. – Ale to interesująca kobieta. Matka Davida nazywała ją białą wiedźmą, bo potrafiła zobaczyć przyszłość i takie rzeczy. David bardzo się wtedy denerwował. Choć inkwizycja już dawno za nami, czary wciąż potrafią napędzić ludziom stracha.

– Była wiedźmą? – dopytywała się zafascynowana Ingrid. Nie potrafiła sobie wyobrazić Davida z kobietą tego typu. Pod tym względem był bardzo zasadniczy, nigdy nie czytał horoskopów, feng shui uważał za bzdury, a raz zmienił kanał, gdy w programie wystąpiła kobieta, która miała mówić o kontaktach z aniołami.

– Nie, ale miała długie, bardzo jasne blond włosy, no i znała się na ziołach i tym podobnych rzeczach. Większości ludzi to wystarczy.

– Jasne blond włosy? – powtórzyła Ingrid. – Taka kobieta była na pogrzebie. Zauważyłam ją, bo przyjaciółka Molly, Natalie, zemdląła, a ona jej pomogła, cała w bieli. Dziwaczny strój jak na pogrzeb.

– Często ubierała się na białe – powiedziała w zamyśleniu Babe, a potem podniosła wzrok na Ingrid, która spoglądała teraz ponuro.

– Ciągle dowiaduję się o Davidzie nowych rzeczy, o których nie miałam

pojęcia – mówiła Ingrid ze smutkiem. – Czego jeszcze się dowiem?

Babe pokręciła głową.

– Ingrid, znałaś prawdziwego Davida – powiedziała z przekonaniem. –

A ludzie mają tajemnice, to wszystko.

– Ja nie mam tajemnic – zaprotestowała Ingrid.

– Oczywiście, że masz! Wszyscy je mamy – wyjaśniła jej Babe. –

Pomyśl tylko, jacy bez nich bylibyśmy nudni.

TTLRR

**PRZESZŁOŚĆ****DAVID**

Gdy tylko David Kenny usłyszał jej imię — którego nie słyszał od bardzo wielu lat — poczuł ciarki na plecach.

– Kobieta, która je robi, nazywa się Gwiazda Bluestone – powiedziała Lena, wygładzając gobelin rozłożony na stole w jego gabinecie. – To fascynująca osoba, a gobeliny są przepiękne.

Lena opowiadała mu o swoim ostatnim odkryciu, artystce, która mieszka na obrzeżach Ardagh w drewnianym domku nad samym morzem i wyrabia wspaniałe gobeliny.

– Na początku sama produkowała barwniki – relacjonowała Lena, wdając się w szczegóły procesu produkcyjnego, jak zawsze gdy próbowała go przekonać do nowego towaru.

– Na przykład indygo. Wiedziałaś, że to nie jakaś mityczna farba, którą nakładali sobie na twarz poganie, ale normalny barwnik otrzymywany z tych kwiatów podobnych do kapusty? Uprawia je w swoim ogrodzie. Dużo wie o tych rzeczach, można jej słuchać godzinami. W miarę jak interes się rozrastał, nie była w stanie wytwarzać wszystkich barwników, bo to zbyt czasochłonne, dlatego teraz kupuje je za granicą. Ale są naturalne – ciągnęła Lena. – W gobelinach Bluestone nie ma żadnych syntetyków, więc to bardzo ekologiczny produkt. Jak widzisz, same gobeliny są piękne, nieco mistyczne, prawda? Jest niewiarygodnie twórcza. Jak sądzisz? Mam ich więcej, gdybyś chciał zobaczyć, co ty na to? – zapytała.

– Chętnie je zobaczę – odparł David. Udało mu się nie okazać poruszenia, jakie wywołało w nim imię Gwiazdy. Nie chciał, żeby



ktokolwiek się dowiedział, co ich łączyło w przeszłości. Jego prywatne sprawy nie powinny nikogo interesować, brzmiała zasada. Akurat tego nie nauczył go ojciec, gdzieś po drodze David sam do niej doszedł.

Gobelin, który Lena rozwinęła na stole, przedstawiał krajobraz morski, dwunastu apostołów, skały, które wystawały z morza w pobliżu domu Gwiazdy. David widział je wiele razy, a tutaj, dzięki wprawnej ręce Gwiazdy, wyglądały niemal jak morskie stwory wylaniające się spośród spienionych fal.

– Zrobiłam zdjęcie jej domu i jej samej – kontynuowała Lena. – Pomyślałam, że można by wydrukować broszurkę. No wiesz, zaprezentować je nieco inaczej niż w tym sklepiku, gdzie je sprzedają. Choć sklepik jest naprawdę przyjemny, spodobał mi się. Mają dużo ceramiki, kilka obrzydliwych obrazów i trochę ładnych akwareli, ale nic więcej, co mogłoby nas interesować, nic takiego jak to. To prawdziwe klejnoty.

David pokiwał głową i udawał, że przygląda się drugiemu gobelinowi z małym domkiem ukrytym wśród drzew, ale co chwilę jego oczy przyciągały zdjęcia, które Lena położyła na stole. Widok domu z bladoniebieskich desek, tak dobrze go pamiętał. I twarz Gwiazdy. Wstrząsnęły nim. Wyglądała, jakby się w ogóle nie postarzała. Wciąż miała w sobie coś egzotycznego, choć stała w wytartych džinsach i starym T- shircie – najwyraźniej to akurat miała na sobie, gdy odwiedziła ją Lena.

– Nie chciała się zgodzić na zdjęcie, mówię ci, ale jakoś ją ubłagałam. Powiedziałam, że u nas, w Kenny's, artysta jest tak samo ważny jak jego dzieła.

– Oczywiście – zgodził się David. – Podobają mi się jej prace, powinniśmy zacząć je sprzedawać. Omówisz z nią warunki?

– Nie chcesz sam się z nią spotkać? – spytała zaskoczona Lena.

– Nie ma takiej potrzeby. Jesteś teraz dyrektorem.

Lena dopiero co weszła do zarządu, więc się postarał, by zabrzmiało to tak, jakby obecnie należało to do jej obowiązków. W ten sposób się nie domyśli, że on chce po prostu uniknąć tego spotkania.

– Dobrze – powiedziała Lena bardzo zadowolona.

Kiedy już wyszła, David wciąż czuł się niespokojny.

Ostatni raz widział Gwiazdę dobrze ponad trzydzieści lat temu. Potem przejął sklep, ożenił się i miał dwoje cudownych dzieci. Teraz Molly zaczęła studiować, Ethan uprawiał w szkole dużo sportu, ale ponadto robił niewiele, a Ingrid – no cóż, Ingrid była jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób w kraju. Jednym słowem, udało mu się.

Ale gdzieś głęboko tkwiło poczucie wstydu dotyczące przeszłości, przeświadczenie, że w stosunku do Gwiazdy Bluestone nie zachował się właściwie.

Kochał ją, bez wątpienia. Uwielbiał ją. Pisał dla niej wiersze, zainspirowany jej urodą, mądrością i dziką energią seksualną.

Ale wiedział, że są zbyt młodzi i zbyt różni. Miłość, która ich połączyła, nie poradziłaby sobie z biedą i koniecznością spłacenia hipoteki, czy wstawaniem w nocy do dziecka z kolką. Nie potrafił sobie wyobrazić Gwiazdy wykonującej tak prozaiczne czynności, mimo że w sumie była osobą bardzo praktyczną, jeśli chodzi o zajmowanie się domem i ziemią, które należały do niej i jej matki. Tak właśnie ją zapamiętał – rozwiane włosy, gdy pomagała matce w ogrodzie. Kopały przy jakiejś roślinie, zawsze z odkrytymi głowami, niezależnie od pogody, śmiejąc się, pełne radości, nawet gdy padało.

Podczas gdy wszystkie inne znane Davidowi osoby chroniły się w domu, kiedy tylko zaczynały spadać pierwsze krople, Gwiazda i jej matka

lubiły deszcz i cieszyły się nim, tak samo jak cieszyły się słońcem – jakby to był dar, dar, nad którym nie panowały, ale ten fakt był bez znaczenia. Żywiołowe, to słowo dobrze je określało.

– To śliczna dziewczyna, synu, ale jest taka inna, prawda? – powiedział mu wtedy ojciec.

Andrew Kenny nigdy nie podnosił głosu ani nie okazywał złości, a jednak przesłanie jego wypowiedzi było tak jasne, jakby wykrzyczał je przez megafon.

Gwiazda była zbyt inna jak na ich świat. Z Gwiazdą David pozostałby poetą tworzącym wiersze przy świetle księżyca i nigdy nie mógłby przejąć sklepu ojca. Nie chodzi o to, że fizycznie nie byłby w stanie tego zrobić, ale Andrew Kenny zainwestował w tę firmę zbyt wiele swojego życia, by oddać ją w ręce kogoś, kto nie potrafi trzeźwo ocenić sytuacji.

David zrozumiał podtekst uwagi ojca.

*Wybieraj: Gwiazda albo Kenny's. Nie możesz mieć obydwu.*

Trzydzieści pięć lat temu wybrał Kenny's, ale co najmniej raz w tygodniu przez sześć miesięcy po zerwaniu z Gwiazdą jeździł drogą wzdłuż plaży wiodącą do jej domu z zamiarem powiedzenia jej, że się pomylił. Niech ojciec zatrzyma sklep.

I za każdym razem zawracał, jeszcze nim zobaczył bladoniebieski budynek.

Kilka lat po rozstaniu poznał Ingrid. Nikt mu nie powiedział: to kobieta dla ciebie, jest inteligentna, ambitna, z zasadami, silna i pełna pasji – co z pewnością było prawdą. Nie, po prostu zupełnie zwyczajnie sam się w niej zakochał. Pokochał jej pasję i energię, jej urodę. To był zupełnie inny rodzaj piękna niż żywiołowa egzotyka Gwiazdy. Ingrid była elegancka, i teraz, kiedy David zarządzał Kenny's, potrafił docenić jej szyk, styl i wdzięk.

Sarah, jego matka, delikatna i bardzo nerwowa, od razu pokochała Ingrid. Co do Gwiazdy, spotkała ją kilka razy i polubiła – każdy lubił Gwiazdę, jej wrodzona dobroć powodowała, że nie można jej było nie lubić – ale to w Ingrid matka Davida wdziała kobietę, jaką sama chciałaby być.

Ingrid nigdy jej nie pochlebiała ani się do niej nie przymilała, ale też jej nie lekceważyła, co innym zdarzało się dość często. Niektóre kobiety, wiedząc, że – jak to się w tamtych czasach mówiło – „miała kłopoty z nerwami”, potrafiły nawet flirtować z jej mężem w jej obecności. David wiele razy był świadkiem takiego zachowania.

Pamiętał wściekłość Ingrid, gdy po raz pierwszy to zobaczyła.

Było to podczas przyjęcia bożonarodzeniowego w domu rodzinnym Kennych na obrzeżach Ardagh. Kilka kobiet w lśniących koktajlowych sukniach otaczało charyzmatycznego Andrew, jakby Sarah, stojąca bezradnie w pobliżu z tacą kanapek, w ogóle nie istniała.

– Jak śmia ją tak ignorować! – powiedziała ze złością Ingrid. – A gdzie kobieca solidarność?

Davida zdumiała jej reakcja. Nigdy wcześniej tak naprawdę się nie zastanawiał, jak ludzie traktują jego matkę. Matka to matka i kochał ją, choć musiał przywyknąć, że czasami, gdy stres był zbyt silny, kładła się do łóżka i tam zostawała. A to zdarzało się bardzo często.

– To nic takiego, przecież to znajome i mamy, i taty, nie ma w tym nic złego – powiedział do Ingrid.

Teraz Ingrid zaatakowała jego.

– Wszystko jest w tym złe – oświadczyła. – To nic takiego flirtować z mężczyzną, gdy jego żona stoi obok? Przecież to potworne.

Nie po raz pierwszy David miał okazję zetknąć się z żarliwością Ingrid, ale po raz pierwszy skierowała ją przeciwko niemu.

– Jeśli nic z tym nie zrobisz – zapowiedziała – ja się tym zajmę.

Miała jedynie jakieś dwadzieścia pięć lat, ale była wiceprzewodniczącą związku studentów i pisała pracę na temat równouprawnienia kobiet. Nosiła wtedy dłuższe włosy, bardziej blond. Natychmiast podeszła do ojca Davida i dwóch towarzyszących mu kobiet. Obydwie chichotały jak uczennice, chłonąc każde jego słowo. Jedna z nich dotykała jego ramienia, a on najwyraźniej czerpał przyjemność z poświęcanej mu uwagi. David podszedł nieco bliżej, ale zachował bezpieczną odległość, zafascynowany i lekko przerażony tym, co miało nastąpić.

– Przepraszam pana – odezwała się Ingrid swoim niezwykle czarującym głosem – ale żona się zastanawia, czy mógłby jej pan poświęcić chwilę, chce porozmawiać o przyjęciu.

I spojrzała znacząco na dwie kobiety.

– Zorganizować taką imprezę i dopilnować, żeby wszystko poszło gładko, to naprawdę ciężka harówka.

– Oczywiście – odparł Andrew Kenny i zostawił je. Jeśli nawet zdziwiło go, że jego potulna żona postanowiła oderwać go od towarzystwa, nie dał nic po sobie poznać.

Ingrid natomiast zwróciła się do kobiet. Obydwie były od niej starsze, prawdziwe matrony połyskujące klejnotami.

– Chyba nie miałyśmy okazji się poznać – powiedziała chłodno. – Ingrid Fitzgerald. Ale mam wrażenie, że znam mężów pań. Czyżby się panie z nimi rozwiodły? Zakładam, że tak się musiało stać, kiedy patrzę, jak rozmawiają panie z panem Kennym.

Kobiety były zszokowane.

– O, muszę paniom o czymś opowiedzieć – kontynuowała tymczasem Ingrid. – Pracuję właśnie nad artykułem o feminizmie i bardzo bym chciała

porozmawiać z ludźmi, którzy są zainteresowani obaleniem archaicznych wartości monogamii. Na przykład czepianie się nowego mężczyzny, gdy wciąż pozostajemy w związku małżeńskim z innym — niesłychanie fascynująca koncepcja. Nie sądziłam, że przyjmie się w naszym irlandzkim społeczeństwie, ale widzę, że jednak tak.

Kobiety zbladły pod dość grubą warstwą nałożonego na twarz podkładu.

– Przepraszam, ale nie wiem, o czym pani mówi – burknęła w końcu jedna z nich.

Ingrid zlustrowała ją wzrokiem.

– A ja myślę, że wie pani doskonale – powiedziała. – I jeśli uważa pani, że w dobrym tonie jest przychodzić do domu kobiety i flirtować z jej mężem, to zapewniam panią, że się pani myli – dodała, po czym jeszcze raz zmierzyła je wzrokiem od stóp do głów i odeszła w stronę Davida, równie zaskoczonego jak obydwie kobiety.

– Myślisz, że przesadziłam? — szepnęła mu do ucha, gdy odchodzili dalej.

– Hm, czyja wiem. To znaczy obaj mężowie są naprawdę dobrymi znajomymi ojca i jeśli one coś im powiedzą...

– Naprawdę sądzisz, że wrócą do domu i opowiedzą swoim mężom o naszym spotkaniu? – zapytała Ingrid. – Boże, Davidzie, widzę, że dużo jeszcze musisz się nauczyć o ludziach! – Objęła go. – Nie mogłam pozwolić, żeby te harpie sprawiały przykrość twojej mamie.

Bardzo ją wtedy kochał za to, że była taka nieustraszona. Nic nie mogło powstrzymać Ingrid przed walką o coś, w co wierzyła. To było niezwykle podniecające uczucie. Ale robiło się trudniej, gdy ta waleczność obracała się przeciwko niemu.

– Żona na linii – powiedziała Stacey, przywracając go z powrotem do rzeczywistości.

Na stole wciąż leżał gobelin Gwiazdy. Piękna Gwiazda. Przez moment poczuł irytację na myśl o Ingrid. Z powodu tego wszystkiego, co reprezentowała – bezpieczeństwo, właściwa kobieta, z ambicjami. Kobieta, dzięki której ojciec był z niego dumny. Kochał ją bardzo, ale była całkowitym przeciwieństwem Gwiazdy.

Podniósł słuchawkę, a ona nie przywitała się nawet, tylko od razu przeszła do sedna.

– Przepraszam cię, Davidzie, ale już jestem spóźniona. To pilne. Ministerstwo Zdrowia organizuje konferencję prasową i muszę być w studio. Prawdopodobnie nie zdążę na to przyjęcie, naprawdę, przepraszam cię.

– W porządku – odparł. – Powodzenia, zobaczymy się później – dodał i odłożył słuchawkę. Zawsze była zbyt zajęta. Zajęta i nieustraszona. Czasami go to męczyło.

Kilka dni po tym, jak Gwiazda okreśną drogą wróciła do jego życia, Ingrid wybierała się na ceremonię wręczenia nagród. Irlandzki „Tatler” przyznał jej tytuł Najbardziej Inspirującej Kobiety Roku. W swojej karierze zdobyła już sporo nagród, ale tą była niezwykle podekscytowana.

– Nigdy cię takiej nie widziałem – zauważył David. Była sobota rano, leżał jeszcze w łóżku, a Ingrid przetrząsała szafę w poszukiwaniu odpowiedniej kreacji.

– O co ci chodzi? – zapytała ze złością.

Cholerna menopauza, pomyślał.

Nie zdecydowała się na terapię hormonalną, ryzykując ścieżkę alternatywną. Zażywała suplementy, takie jak pluskwica groniasta i Q10. Davidowi też kazała łykać codziennie suplementy, aż w końcu się postawił.

W zasadzie było mu wszystko jedno, ale lubił się z nią droczyć, gdy byli z Marcellą. – Chce ze mnie zrobić młodzieniaszka – skarżył się przyjaciółce żony, a Marcella wybuchwała śmiechem – Za późno na to – mawiała. – Już za daleko zaszedłeś.

– Zazwyczaj nie wpadasz w taką panikę z powodu wręczenia nagrody, tylko tyle – powiedział łagodnie.

– Czy ja wiem? – mruknęła Ingrid i wróciła do przetrząsania szafy. – To ważna nagroda – odezwała się po chwili.

– Przepraszam, nie wiem, co się ze mną dzieje. Przez ostatni tydzień nie czuję się sobą.

Nikt nie potrafił przeproszać tak jak Ingrid. Od razu przyznawała się do winy.

– Przymierzyłam tę czerwoną sukienkę z koralikami, którą tak lubię, i jest za ciasna, a przecież nie jem więcej niż zwykle, ćwiczę regularnie i mimo to wyglądam, jakbym zakładała w pasie wielki balon. To takie przygnębiające – dodała, bardziej do siebie niż do niego. – Mam dość tego uczucia, że cała się sypię. Ledwie poradzę sobie z jednym problemem, zaczyna szwankować coś innego.

Bolały ją stawy, wiedział o tym, podobnie jak szyja, z powodu przemieszczonego kręgu. Ostatnio było gorzej, a w takich razach zawsze stawała się marudna.

– Wszystko puchnie – mówiła markotnie. Zobaczył, że dotyka ręką szyi. – I dlaczego tak to jest, że praktycznie bez mojego udziału mięśnie szyjne są napięte jak struny, a brzuszne zwiotczałe? Na szyi mam kaloryfer, a wcale go nie chcę. Czemu człowiek sam nie może zdecydować, aby umieścić te napięte na brzuch, a na szyję dać te spokojne i luźne?

David się roześmiał.



– Ingrid, przestań. Jesteś piękna.

Spojrzała na niego wzrokiem tak pełnym żalu, jakiego nigdy u niej nie widział.

– Wiesz – mówiła – nigdy nie uważałam się za piękną. Uznałam, że jestem OK, normalna, ale kiedy oglądałam stare zdjęcia, to teraz myślę, że byłam całkiem ładna, ale wcale tego nie doceniałam. Nie miałam pojęcia o swojej urodzie i jaka jest ważna, a teraz, kiedy minęła, widzę nagle, że jednak byłam piękna, ale zbyt zajęta martwieniem się o swój wygląd, żeby go docenić.

– Taa – powiedział David z westchnieniem, wstając z łóżka. Nie było szans na to, żeby odpocząć.

Ubrał szlafrok, zszedł na dół i włączył kanał sportowy. Narzekanie na ból kręgosłupa to jedna rzecz, ale narzekanie na wiek – nie cierpiał tego. Bał się starości. Marcella żartowała czasami, że mężczyźni się nie starzeją, świetnie się trzymają, jak wino, ale nie miała racji. Mężczyźni też się starzeją i nienawidzą tego tak samo jak kobiety. Skoro Ingrid, solidna, rzetelna, lojalna, cudowna Ingrid, uważała, że się starzeje, to on również. Nie chciał być stary, tak wiele chciał jeszcze zrobić, tak wiele.

Tego wieczoru Ingrid nie założyła czerwonej sukienki, tylko srebrną, coś w rodzaju jedwabnej tafty z rybim ogonem, dzięki czemu miała figurę syreny. Włosy w postaci delikatnych loczków otulały jej głowę i szyję. Wygląda pięknie jak zawsze, pomyślał.

Ceremonia odbywała się w Mansion House, dokąd miał ich zawieźć przysłany samochód.

– Dobry wieczór, pani Fitzgerald – przywitał ją grzecznie kierowca. – I panie Fitzgerald.

David poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. Nie nazywał się Fitzgerald,

tylko Kenny. David Kenny. Nie był jakimś dodatkiem do Ingrid.

– Spokojnie.

Już w samochodzie poczuł w swojej dłoni delikatną dłoń Ingrid. Szepnęła do niego:

– Spokojnie, panie Fitzgerald.

Bawiło ją to? Markotnie odwrócił głowę do okna, żałował, że w ogóle się wybrał na tę uroczystość.

Na miejscu przywitała ich piękna dziewczyna, zapewne pracująca dla magazynu, i zaprowadziła do stolika. Miejsca były oznaczone – nie posadzono ich obok siebie.

Po swojej lewej miał żonę znanego aktora, równie słynnego ze swoich romansów co filmów. Ale żonie, o ślicznych choć nieco szklistych oczach, zdawało się to nie przeszkadzać. Patrzyła, jak jej oszalamiający mąż, który siedział obok Ingrid, flirtuje z innymi kobietami przy stole, a mimo to wyglądała na zadowoloną. Może nie miała nic przeciwko temu, żeby dzielić się swoim mężem, ani przeciwko temu, żeby zawsze być trzy kroki za nim. David w rzeczywistości nie chciałby takiej roli dla Ingrid, ale mimo wszystko w jakimś sensie ta koncepcja do niego przemawiała.

Kiedy usłyszała, że David jest właścicielem Kenny's, nieco się ożywiła.

– Och, uwielbiam ten sklep – powiedziała. – Krem na noc z Organic jest wprost niesamowity. Cudowny. Lubię naturalne produkty. Nawet myślałam, żeby stworzyć własną serię.

– O, tak? – powiedział David, zamyślony, obserwując Ingrid, która rozmawiała ze słynnym aktorem jak równy z równym, a to więcej niż mogła o sobie powiedzieć jego żona.

Rozmieszczenie gości przy stoliku było bardzo znaczące. Gwiazdy siedziały obok siebie, jako członkowie specjalnego klubu. Nawet jeśli się nie

znali, jako sławy mieli podobne doświadczenia, takie same problemy – ludzie zaczepiali ich jak swoich kolegów, fani uważali, że są ich własnością. Oczywiście słynny aktor miał z tym do czynienia na całym świecie, a Ingrid tylko w Irlandii, ale jednak podobieństwo było niezaprzeczone. David i żona aktora zostali natomiast zdegradowani do roli dodatków. Czuł się jak jakiś księżę małżonek. Nagle tak go to zabolalo, że chciał nawet wyjść, tak dla zasady. Był ważny jako on, a nie jako mąż Ingrid.

David wielokrotnie był z Ingrid na tego rodzaju imprezach i nigdy w ten sposób nie reagował. Czyżby to też wiązało się z wiekiem, ten brak zadowolenia ze wszystkiego, świadomość, że kiedy odejdzie, zostanie po nim tylko sklep? Gdy odejdzie Ingrid, jej nazwisko nadal będzie na tej nagrodzie, jej zdjęcia na ścianie w studio i we wszystkich innych miejscach, w których zostawiła po sobie ślad. Jej praca pozwala przekazać następnym pokoleniom zupełnie inny rodzaj spuścizny. Ale jego nazwisko o wiele szybciej pójdzie w zapomnienie.

Ingrid wiele razy uśmiechała się do niego przez stół, wzrokiem pytając: Wszystko w porządku, kochanie?, albo mówiąc: Przykro mi, że nie siedzimy razem. Ale był na nią zły. Zdawał sobie sprawę, że to nie jej wina, że to niepoważne, i mimo to był zły.

Kiedy poszła odebrać nagrodę, z przekonaniem mówiła o kobietach, które były dla niej inspiracją, i o tym, jak ważne jest, żeby kobiety nawzajem się wspierały i traktowały z szacunkiem.

– Mężczyźni robią to wspaniale, my też powinniśmy.

Wszyscy się uśmiechali i klaskali, a na koniec Ingrid podziękowała swojej rodzinie i Davidowi, bez którego to wszystko nie byłoby możliwe.

A David, który powinien być szczęśliwy i dumny, nadal czuł gorycz i złość. Wolałby, żeby przez pomyłkę zapomniała o nim wspomnieć. Chciał

mieć powód, by się na nią złościć. Nie wiedział dlaczego, ale wszystko było nie tak, i nie miał pojęcia, co mogłoby to naprawić.

W poniedziałek rano, kiedy przechodził przez stoisko z perfumami, dziewczyna zza lady uśmiechnęła się do niego zalotnie. Odpowiedział jej uśmiechem. To był odruch – uśmiechał się do wszystkich członków personelu. Ale coś z tą dziewczyną, Rosemary, było inaczej. Nie wyglądała na Rosemary, to imię było według niego delikatne i nieco staroświeckie. A o dziewczynie można by powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że była staroświecka. Gorący towar, tak zapewne określiliby ją jego ojciec.

Andrew Kenny lubił gorący towar, czy też towary, dziewczyny, które stanowiły zaprzeczenie jego żony. Była kiedyś taka Brazylijka, żona jednego z partnerów w interesach. Miała na imię Chiara. Zanim ją poznał, David nigdy nie myślał, że kobiety romansują za cichą zgodą mężów. Chiara to zmieniła. Była wolna i łatwa, jej mąż musiał o wszystkim wiedzieć.

David uznał, że to niewiarygodne. Nie miał jednak żadnego punktu odniesienia. Jego matka nigdy nie dała ojcu najmniejszego powodu do wątpliwości, po prostu nie robiła takich rzeczy. Kiedy o tym myślał, a nie zdarzało się to zbyt często, dziwił się niemal, że w ogóle przyszedł na świat. Nie potrafił sobie wyobrazić matki w szponach namiętności.

Ingrid też nie dała Davidowi najmniejszego powodu do podejrzeń, mimo tego jaka była piękna i podziwiana. Ale uroda Ingrid nie należała do tych ognistych, zalotnych typów, przez które mężczyzna może zejść na manowce. Poza tym Ingrid jest kobietą głęboko moralną i pod każdym względem lojalną. Raczej by umarła, niż była z innym mężczyzną, wolałaby śmierć niż zdradę rodziny.

Z kobietami jest inaczej, rozumował David, większością z nich powodowały proste zasady – chęć utrzymania partnera i ochrona rodziny.

Mężczyzn jednak pchają do działania bardziej skomplikowane potrzeby ewolucyjne i wcale nie muszą one przeszkadzać w życiu rodzinnym czy ochronie tych, których kochamy, prawda?

Zwolnił i jeszcze raz przez ramię posłał Rosemary uśmiech. Miała ciemne włosy i ładną opaleniznę. To przypomniało mu Chiare. Rosemary nawet w swoim czarnym stroju kosmetyczki wyglądała imponująco. Góra prostej tuniki przylegała we wszystkich właściwych miejscach. Tak, zdecydowanie spodobałaby się ojcu.

– Dzień dobry, panie prezesie – powiedziała bez tchu.

– Czy chciałby pan powąchać nasz nowy zapach?

David przystanął i pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Żona mogłaby się zastanawiać, czemu wracam do domu cały pachnący... – spojrzał na flakonik

– Honeyz.

Tym razem obdarzył ją bardziej ojcowskim uśmiechem. Widział, że się czerwieni, jakby przekroczyła jakąś niewidzialną granicę. Oczywiście nic takiego nie zrobiła, a David nie był głupi i nie miał zamiaru bałaganić pod własnym dachem.

– Lubi pani u nas pracować, Rosemary?

– Och, tak, panie prezesie.

– To dobrze. Cieszę się, kiedy pracownicy są zadowoleni

– powiedział i poszedł dalej.

Nie, ojciec dużo go nauczył o prowadzeniu interesów, a główna zasada mówiła, żeby nie romansować z nikim, kto pracuje w Kenny's. Nie romansować w ogóle z nikim byłoby o wiele sensowniejsze, ale to niestety okazało się niemożliwe.

Przestraszył się nie na żarty, kiedy rok wcześniej Ingrid, cały zespół

*Wieczoru z polityką*, a w sumie cały kraj zelektryzowała sprawa morderstwa, w której głównymi aktorami byli dyrektor szkoły i kilka nauczycielek. Dyrektor został oskarżony, ofiarą padła jedna z jego podwładnych kochanek, a alibi dostarczała mu druga z nich. Ingrid, którą nie tak łatwo zaszokować, była przerażona do głębi. Wstrząśnięta na myśl o zmarłej kobiecie i oniemiałej żonie dyrektora, która o niczym nie wiedziała, dopóki policja nie przyjechała aresztować jej męża.

Ingrid nie lubiła takich spraw, bo można o nich mówić tylko w sposób sensacyjny, a ona unikała sensacji.

– Jak mogła nie wiedzieć? – powiedziała do Davida pewnego wieczoru, kiedy siedzieli przy kolacji. – Coś musiała podejrzewać, zauważyć, może wyczuć. Przecież żeby je wszystkie obsłużyć, potrzebowałby motocykla z silnikiem odrzutowym.

Taka była nakręcona, że odłożyła sztuce i spojrzała na Davida ponad stołem.

– Musiała wiedzieć. J a bym wiedziała – dodała prawie ze złością, gromiąc go wzrokiem.

Przez kilka okropnych chwil David myślał, że na prawdę wie, i w od razu zapomniał wszystkie rzeczy, które powinien w tej sytuacji powiedzieć. W głowie zostały tylko wyświechtane frazesy.

To nic nie znaczy, naprawdę, Ingrid, kocham tylko ciebie.

Umiał myśleć tylko o tym, że gdyby mógł cofnąć czas, gdyby go nie wyrzuciła, nigdy już by tego nie zrobił.

Tak bardzo ją kochał, ją i dzieci – nie chciał niszczyć im życia. Nawet jeśli dyrektor nie zabił tej nauczycielki, wszyscy poznali jego życie, ujawniono jego zdrady. Na samą myśl, że coś takiego i jemu mogłoby się przytrafić, Davidowi robiło się niedobrze, nie że kogoś by zamordował, na

Boga, ale że wszystko to wyszłoby na jaw. A przecież zdarzały się i dziwniejsze rzeczy. A Ingrid była osobą publiczną, jej zdjęcia zamieszczano w gazetach, nawet kiedy szli na premierę filmu czy uroczystość wręczenia nagród.

– Przepraszam – wymamrotała Ingrid. – Ponosi mnie. Biedactwo, nie dość że późno wracam, to jeszcze denerwuję się niecnymi postępками obcych ludzi. Ale ta sprawa doprowadza mnie do szału. No nic, opowiedz mi, jak tobie minął dzień.

David wypuścił powietrze z płuc, ale powoli i ostrożnie, tak by Ingrid nie zauważyła, że dotąd wstrzymywał oddech.

– Niewiele jest do opowiadania – odparł. Dzięki, dzięki, dzięki, szepnął w głowie. To koniec, nigdy więcej, żadnych skoków w bok na zagranicznych delegacjach, nic, nigdy. Spójrz na to wszystko, co masz, co możesz stracić, nie rób tego.

– Kocham cię, wiesz – powiedział do Ingrid.

– Jesteś taki słodki – powiedziała ona. – Masz szaloną żonę dziennikarkę, a mimo to ją kochasz. Dziękuję.

Po tym dniu naprawdę chciał z tym skończyć, naprawdę. Sęk w tym, że okazji same się nadarzały. Daleka podróż, hotelowy pokój, kobieta, która uśmiecha się do niego z podziwem w oczach. Przypomniał sobie internetowy żart o różnicach między mężczyzną i kobietą.

Pod pytaniem: *Dlaczego kobiety zdradzają?* umieszczono długą listę zawile brzmiących odpowiedzi.

*Dlaczego mężczyźni zdradzają? Bo od czasu do czasu nadarza się okazja.*

A potem poznał Steffi. I wtedy wszystko się zmieniło.

Była akurat pora lunchu i David, który od czasu do czasu zjadał kanapkę

w Hat Box Cafe, jeszcze zanim zaczął się największy ruch, stał ze swoją tacą i gazetą, rozglądając się, gdzie by tu usiąść.

Przed sobą, przy małym stoliku pod oknem dostrzegł Claudię.

– Davidzie, to moja siostra, Steffi – przedstawiła mu swoją towarzyszkę Claudia, gdy stawiał właśnie swoją tacę na sąsiednim stoliku. Kiedy się wyprostował, dziewczyna siedząca obok Claudii wyciągała do niego rękę, by uścisnąć mu dłoń, a on zobaczył cudowną twarzyczkę z szeroko rozstawionymi niebieskimi oczami i uśmiechem tak promiennym jak u Claudii. Podczas gdy Claudia była ciemna – potem dowiedział się, że po ojcu – Steffi okazała się naturalną blondynką, jak ich matka, o przepięknych włosach, jedwabistych jak u modelki z reklamy szamponu Timotei i tak samo długich. Była starsza od Claudii, mogła mieć około dwudziestu pięciu lat, ale z jakiegoś powodu wyglądała na jej młodszą siostrę. Jak Dzwoneczek z *Piotrusia Pana* – mieli takie wróżki przy kasie na dziale dziecięcym – myślał z podziwem David.

– Miło mi pana poznać. Tak dużo o panu słyszałam. Claudia wciąż opowiada, jaki jest pan wspaniały – trajkotała beztrąsko, a David choć przyzwyczajony, że ludzie cieszą się na jego widok, bo chcą z nim załatwić jakiś interes, czuł, że cały topnieje.

– Ale ja nic jeszcze o pani nie słyszałem – powiedział, przenosząc tacę na ich stół. – Co jest wręcz karygodne – dodał. – Gdzie tak długo ją ukrywałaś, Claudio? Potrzebujemy w Kenny's takich zachwycających istot jak Steffi.

Steffi roześmiała się radośnie. Jej śmiech był lekki i melodyjny, niepodobny do żywiołowego chichotu Claudii. Dzwoneczek, zdecydowanie, stwierdził David.

– Steffi wpadła do mnie, żeby mi pokazać swój nowy samochód –



informowała Claudia. – Kupiła go wczoraj.

– Ma dziesięć lat i śliczny srebrno niebieski kolor – dodała podekscytowana Steffi. – Ale jak jadę pod górkę, wydaje dziwne dźwięki. Tak jakby brzęczy. Nie wiem dlaczego. Myśli pan, że tak ma być, czy powinnam raczej wrócić do tego człowieka, od którego go kupiłam? Nie znam się na samochodach.

– Mogę go później obejrzyć – oznajmił David.

Steffi położyła swoją małą dłoń na jego ramieniu, a on poczuł dreszcz podniecenia.

– To naprawdę miłe z pana strony.

I David, który cały ranek spędził z ponurym księgowym, rozmawiając o prognozach płynności finansowej, poczuł się wyższy o metr.

Wieczorem obejrzał samochód, a potem, ponieważ Ingrid miała wrócić później, wydało mu się całkiem naturalne, żeby zabrać Claudię i Steffi na kolację do włoskiej knajpki, gdzie gawędzili i śmiali się, i wszystko to było takie niewinne, wmawiał sobie David.

Wypił kilka kieliszków wina, więc Steffi uparła się, że odwiezie go do domu, bo przecież nie mógł prowadzić.

– Wsiądę po prostu na postoju – powiedział David.

– Nigdy w życiu, po tym co pan dla mnie zrobił, zawiozę pana pod sam dom. Może mi pan powiedzieć, jaki ze mnie kierowca. Prawo jazdy robiłam dawno i nie umiem ruszać pod górkę.

Gdyby tylko Claudia nie powiedziała, że musi jeszcze zrobić zakupy, więc sama wróci do ich wspólnego mieszkania, to nigdy by się nie zdarzyło.

A tak, siedząc w małym samochodzie przed swoim pustym domem, David pocałował delikatny policzek Steffi i zapytał ją, czy zje z nim znów kolację, tym razem sama.

– Bardzo chętnie – odparła Steffi, patrząc na niego wielkimi sarnimi oczami.

Steffi nie była typową seksbombą. Ze swoimi niewinnymi niebieskimi oczami i kaskadą blond włosów była raczej jak dziewczica czekająca na swego bohatera i David po prostu padł do jej stóp. Steffi nigdy niczego od niego nie żądała, nigdy.

Zwyczajnie chciała z nim być. To był absolutny zawrót głowy, szalenie ekscytujące i pobudzające seksualnie uczucie. Żeby kochać się z Ingrid, potrzebował ostatnio coraz więcej czasu, i choć nic jej nie powiedział, denerwowało go to. Ze Steffi był gotów w jednej chwili.

To nie jej młodość, mówił sobie, szczególnie kiedy miał koszmary o tym, że Ingrid się dowiedziała. To ta jej łagodna uległość. Była taka naiwna i czarująca, cudownie chętna, aby zadzwonić do kwiaciarni i powiedzieć, że nie może przyjść do pracy, ilekroć David musiał akurat wyjechać w interesach i poprosił ją, by mu towarzyszyła.

Kiedy był z nią, czuł w sobie siłę i energię młodego Davida Kenny'ego. Ale gdy tylko się z nią pożegnał, od razu pojawiały się wyrzuty sumienia.

Ingrid byłaby zdruzgotana, gdyby się dowiedziała o jego zdradzie. Inne jego amory trwały króciutko, ale nie tym razem. Pół roku przerodziło się w rok, potem dwa i ciągle trwało. Wiedział, że żadna żona nie chce, aby mąż miał romans. Wyobrażał sobie próbę wytłumaczenia tego Ingrid i był pewien, że jeśli istniała pewna nadzieja naprawienia ich małżeństwa po krótkiej seksualnej przygodzie, to związek ze Steffi oznaczałby rozwód i sąd. Dwa lata z bardzo młodą kobietą, która stanowiła całkowite przeciwieństwo Ingrid, to przegrana sprawa. Zniszczyłaby Ingrid i ich małżeństwo. Na zawsze.

*Rób to, co daje ci szczęście. Powiedz ludziom, których kochasz, że ich kochasz. Nie czekaj na lepszy moment. Zrób to teraz.*

Nowa fryzura Ingrid wywołała w prasie burzę.

Po pierwsze, znalazła się w nagłówkach: *Szokująco krótka twarzowa zmiana królowej polityki.*

Po drugie, posypały się artykuły ilustrowane zdjęciami, na których kobiety z długimi grzywami kręconych włosów wyszły źle, a kobiety z krótkimi fryzurami, takimi jak Ingrid, prezentowały się wyjątkowo korzystnie.

*Kobiety, z którymi nie ma żartów, głosił nagłówek, a dalej: Jak najbardziej wpływowe damy pozbywają się dziewczęcych loczków.*

– Coś zapoczątkowałaś tą nową fryzurą – powiedziała Gloria do Ingrid, gdy usiadły przy jej biurku pełnym rozłożonych gazet.

– Choć nie miałam takiego zamiaru – stwierdziła Ingrid, zakładając okulary, by przyjrzeć się dokładniej jednemu ze swoich zdjęć, zrobionemu w czasie wywiadu z którymś politykiem.

Włosy pozostały blond, ale zamiast opadać łagodnie na ramiona, zostały ścięte tuż przy głowie, tak że teraz ludzie zauważali przede wszystkim układ kostny jej twarzy i inteligentne oczy, a nie fryzurę. Bardzo jej to pasowało, musiała przyznać, choć częściowo dlatego, że straciła na wadze.

Decyzję podjęła po spotkaniu z Marcellą, Carlą i Nikki, kiedy zobaczyła tę starszą chudą kobietę po liftingu twarzy, z fryzurą Barbie na głowie. Przeszedł ją dreszcz na myśl, że mogłaby się zestarzeć w ten sposób.

Jej fryzjer na początku odmówił.

– Pozwie mnie pani za to do sądu – powiedział, przyciskając nożyczki do piersi.

– Nie pozwę – odparła Ingrid, pokazując zdjęcie Judi Dench, które wzięła jako inspirację. – Jeśli pan tego nie zrobi, wrócę do domu i sama je obetnę, a potem przyjdę, żeby dokończył pan robotę.

– Co pani przyszło do głowy – jęknął. – No dobra, niech będzie, ale niech pani potem nie mówi, że nie ostrzegałem. Mogłaby pani ścinać je stopniowo, a nie od razu machać wszystko.

– Podoba mi się ten pomysł, żeby machnąć od razu wszystko – stwierdziła Ingrid. – Zero tolerancji dla włosów.

– Jeśli zapoczątkuje pani nowy trend, to będziemy mieć kłopoty – ciągnął ponuro fryzjer. – To, że pani ma idealny owal i kości policzkowe, nie znaczy, że każdy je ma, a za chwilę najdzie tu pełno kobiet o księżycowych twarzach z żądaniem fryzury a la Ingrid Fitzgerald, z którą będą wyglądać jak teletubisie.

Ingrid mimowolnie się roześmiała.

– Nigdy w życiu nie zapoczątkowałam żadnego trendu. A pan jest okrutny dla tych kobiet. Kogo obchodzi, jak wyglądają z krótkimi włosami, skoro same się sobie podobają. Życie to nie wybieg, a prawdziwe kobiety to nie modelki.

– To pani zdanie – rzekł fryzjer.

I rzeczywiście, już po kilku dniach od nadania *Wieczoru z polityką*, w którym Ingrid wystąpiła w nowej fryzurze, gazety przewidywały, że w najbliższym sezonie będą królować zdecydowanie krótkie włosy.

– To mi daje niesamowite poczucie swobody – mówiła Ingrid do Glorii, przeczesując dłońmi lśniące nastroszone kosmyki. – Zero wysiłku – myję, suszę pięć minut, wcieram odrobinę żelu w same koniuszki i jestem gotowa.

Powinnam to zrobić już dawno temu.

Właśnie wróciły z zebrania przed jutrzejszym programem. Będzie ważny, bo minister zdrowia, uwikłany w aferę dotyczącą ułatwień dla chorych na raka, w końcu zgodził się wystąpić.

Nastroj na spotkaniu panował radosny, nie licząc miejsca, które zajmowała Joan, gdy producent zapowiedział, że to ona przygotuje materiał o kobietach z błędną diagnozą, a Ingrid przeprowadzi w studio wywiad z ministrem.

Jeri, asystentka producenta, wsunęła głowę do gabinetu Ingrid.

– Wolałabym tego nie mówić, ale Joan ziele ogniem, jest zła, że nie dostała tego wywiadu – ostrzegła Ingrid. – I właśnie wmaszerowała do pokoju Jacka.

Ingrid pierwszy raz tego dnia poczuła ten szczególny rodzaj zmęczenia. Odczucie skierowanej przeciwko niej furii Joan, zupełnie nietrafiona emocja, biorąc pod uwagę, że ona wcale z nią nie konkuruje. Gdyby tylko chciała zrozumieć, że ona pracuje na własne konto, a nie wyłącznie po to, żeby zrobić na złość Joan, wszystko byłoby łatwiejsze.

Ale Joan nie pojmowała chyba, że przecież ona i Ingrid mogłyby się nawzajem wspierać. Jako jedyne kobiety zajmowały wyższe stanowiska w zdominowanym przez mężczyzn świecie. Mężczyźni jako główni gracze napuszczali je na siebie. A Joan była zbyt zajęta walką o swój narożnik, by to w ogóle zauważyć.

Pół roku temu Ingrid zostawiłaby sprawy własnemu biegowi, ale dziś już nie.

Odczekała, aż Joan wyjdzie z biura szefa, i przydybała ją w toalecie.

– Sprytne posunięcie z obcięciem włosów – powiedziała ostro Joan, kiedy Ingrid weszła do środka.

– Myślisz, że chodziło mi o sprytne posunięcie? – zapytała Ingrid. – Zrobiłam to, żeby nie wyglądało, że próbuję się odmłodzić dziewczęcymi fryzurami.

Niebieskie oczy Joan, przepięknie podkreślone maskarą, otwały się szeroko, zdziwione taką szczerością.

– Dość jasno dałaś do zrozumienia, że nie ma szans na dobrą współpracę między nami – kontynuowała Ingrid.

– Musiałam chwilowo zwariować, żeby myśleć inaczej. Ale przecież nie trzeba urządzać od razu pyskówek. Bo oni na to właśnie liczą, wiesz, Jack i jego kumple.

Joan patrzyła nieufnie.

– Dlaczego kobiety nie potrafią ze sobą współpracować? Daj spokój, Joan, kończyłaś politologię, potrafisz to chyba zrozumieć? — pytała Ingrid. — No dobrze, wytłumaczę CI: dziel i rządź. Chcą, żebyśmy postrzegały siebie nawzajem jako zagrożenie. Zazwyczaj na szczycie drabiny nie ma tylu kobiet, żeby mogły wypracować dla nas jakąś pomocną strategię. Jesteśmy tak rzadkie, że uważamy się raczej za wrogów niż za towarzyski broni.

Ingrid wyjęła szminkę i nałożyła na usta. Przy tych krótkich włosach mogła sobie pozwolić na jasnoczerwony kolor. Ostro i sexy, bardzo jej się to podobało.

– Jak myślisz, ile jeszcze tutaj popracuję? – spytała spokojnie Ingrid. – Dziesięć lat? Próżna nadzieja, Joan. Najwyżej trzy i wylot. Przez te trzy lata możesz się ode mnie sporo nauczyć albo dalej traktować mnie jak wroga.

– Nie traktuję cię jak wroga – powiedziała nagle Joan.

– Nie? A tak mi się wydawało, kiedy wróciłam po śmierci męża.

Po raz pierwszy szorstka skorupa drugiej kobiety wydawała się powoli pękać.

– Myślałam, że odeszłaś na dobre i że mam szansę zostać głównym prowadzącym.

– Joan, praca tutaj to mój świat, to ja. Jestem tu od piętnastu lat – tłumaczyła Ingrid. – Teraz, kiedy nie mam już męża, to mój jedyny azyl. Może kiedyś będzie i twoim. Ta praca nie sprzyja małżeństwu i w ogóle związkom, pamiętaj o tym.

– Przykro mi z powodu Davida.

Ingrid uśmiechnęła się uprzejmie.

– Dziękuję.

– Nie chciałam cię traktować jak wroga, ale...

– Ale Jack mówi, że kiedy odejdę, ty zajmiesz moje miejsce? – dokończyła Ingrid. – To jedna z jego ulubionych zagrywek. Dziel i rządź świetnie się sprawdza w przypadku kobiet, bo są takie pełne kompleksów.

Joan zarumieniła się pod swoją dyskretną warstwą podkładu.

– Mógł też powiedzieć, żebyś poczekała, aż trafi mi się zły dzień, i wtedy uderzyła, pozbywając się mnie na zawsze. To drugi z jego ulubionych scenariuszy. Może przeczytał to w *Sztuce wojennej*, choć wątpię. Sun Tzu był chyba mądrzejszy. Ale jeśli będziesz spiskować, żeby pozbyć się każdego, kto może stanowić zagrożenie, pewnego dnia zostaniesz potraktowana dokładnie tak samo.

Ingrid zaczęła ogarniać złość. Złość na świat, złość na Davida i jego nieznaną kochankę, złość na wszystko, tak ogólnie.

– Co takiego właściwie zrobiłam, że uznałaś mnie za wroga? Kiedy zaczynałaś, pomagałam ci, bo tak robię w przypadku każdej kobiety, która tu pracuje, a teraz po prostu staram się dobrze wykonywać swoją robotę. Jest tu miejsce dla nas wszystkich. Kobiety nie muszą wydrapywać sobie nawzajem oczu.

– Przepraszam cię – powiedziała nagle Joan. – Byłaś naprawdę w porządku, kiedy tu przyszedłam, i teraz tak mi wstyd...

– Cieszę się, że to pamiętasz, ale powiedz mi, czy ty pomogłaś już komukolwiek?

Joan wyglądała na jeszcze bardziej zawstydzoną. Pokręciła głową.

– No właśnie. A tu masz pole do popisu, zwróć się do innych kobiet. To właśnie my, kobiety, nie powinnyśmy być w pracy swoimi największymi wrogami. Choć chyba ja niezbyt się popisałam, bo w przeciwnym wypadku nie próbowałabyś przecież wysadzić mnie z siodła. Najwyraźniej straciłam czujność. – Ingrid zamilkła. – W wielu sprawach zresztą – mruknęła po nosem.

– Przepraszam cię – Joan złapała Ingrid za rękę. – Zawsze jesteś taka opanowana, wszystko masz pod kontrolą, a przez to ja czuję się obok ciebie zupełnie nie na miejscu.

– To zwykła projekcja, to twoje uczucia, a nie moje, pamiętaj – powiedziała Ingrid. – I jeszcze jedna lekcja, której powinny się nauczyć kobiety. W większości przypadków sprawa wcale nie dotyczy ciebie, tak ci się tylko wydaje. Na przykład przez ostatnich kilka tygodni byłam skupiona na sobie i starałam się tylko jakoś pozbierać, a nie dokuczyć tobie.

Przeczesała dłonią włosy.

– Chciałabym skrócić włosy – westchnęła z żalem Joan – ale jak to zrobię, wszyscy powiedzą, że chcę wyglądać tak jak ty.

Ingrid się uśmiechnęła, naprawdę uśmiechnęła.

– Olej ich – powiedziała. – Kto by się przejmował tym, co wszyscy powiedzą? Masz tylko jedno życie, dlaczego nie przeżyć go po swojemu? Chcesz namiar na mojego fryzjera?

Marcella nie mogła się skupić. Instalacje w budynku gotowe, robotnicy



się wynieśli i zapanowała cisza. Czuła się w biurze jak w kostnicy. Nie mogła już liczyć na to, że Lorcan wpadnie, żeby coś sprawdzić, albo przybiegnie tylnymi schodami, żeby wsunąć głowę przez drzwi i uśmiechnąć się wesoło.

Czuła się już źle po zakończeniu innych związków, ale nigdy aż tak. To, że nikt nie wiedział, tylko pogarszało sprawę. Nie mogła się nawet wypłakać na ramieniu Ingrid, bo przecież nic jej o nim nie powiedziała.

Wszystko jej go przypominało.

Czerwona sukienka na wystawie kojarzyła się jej z czerwoną sukienką, którą ubrała na pierwszą randkę.

Widząc pickupa, od razu myślała o samochodzie Lorcana, z jego gigantycznymi oponami i dudniącą w środku muzyką.

Kiedy wieczorem wchodziła do sypialni, łóżko wydawało się ogromne i puste, to było łóżko osoby, która już nigdy nie będzie go dzielić z kochankiem.

Nigdy nie poczuje wokół siebie jego ramion, jego ust powoli ślizgających się po jej ciele. Powiedziała mu, że nic z tego nie będzie, że jego matka miała rację, jest dla niej za młody. Mimo jego protestów stwierdziła, że muszą zakończyć ten związek. Pewnego dnia, kontynuowała, będzie jej za to wdzięczny.

– Wdzięczny? – warknął na nią. Był taki wściekły, że aż ją to zaskoczyło. — Nie podejmuj decyzji za mnie, argumentując, że kiedyś będę za to wdzięczny!

Spotkali się na porannej kawie w kafejce pod jej domem. Kiedy Marcella zdecydowała, że trzeba to zakończyć, chciała to zrobić od razu. Spotkanie się w pobliżu biura byłoby ryzykowne, bo ktoś mógłby ich zobaczyć. Wiedziała, że nie przyjmie tego dobrze, ale nie spodziewała się takiej furii. Faceci tacy jak on z milion razy musieli się już rozstawać z ko-

bietami, nieprawdaż?

– Nigdy nie znałem kobiety z taką obsesją na punkcie wieku. Mój wiek, twój wiek, nasz wiek, ich wiek. Jakie to ma znaczenie? – dopytywał się tak głośno, że ludzie z obsługi, którzy robili kawę, odwrócili się z niepokojem.

– Ma znaczenie – odparła Marcella, sama też wpadając w złość. – Twoja matka przywołała mnie do porządku, wytykając mi mój wiek.

– Moja matka przywołuje do porządku każdego – powiedział Lorcan. – Robi to już tak długo, że zapomina, iż zdążyliśmy dorosnąć i sami potrafimy podejmować decyzje.

– Ale ona mnie nienawidzi – przekonywała Marcella. Złość znikła, zastąpiona przez coś bardzo bliskiego łez. Nie cierpiała takiego braku akceptacji. A najgorsze było to, że jego matka trafiła w samo sedno: Marcella nie da Lorcanowi ślicznych bobasków podobnych do niego. Jej biologiczny zegar już się zatrzymał. Nawet gdyby chciała dziesięciorga małych Lorcaniątek, nie byłoby to możliwe bez pomocy nauki.

– I ma rację. Nie mogę dać ci dzieci. – Starsza pani przy sąsiednim stoliku nadstawiła ucha, ale Marcelli było wszystko jedno. – Chciałabym, ale nie mogę. Więc dajmy sobie spokój, Lorcan. Chciałabym urodzić twoje dzieci, ale to się nie zdarzy, a ja, jeśli z tobą zostanę, całą resztę życia będę o tym myśleć. A potem ty również. I to nas zniszczy. Żegnaj, było wspaniale, ale to koniec.

Zanim zdążył otworzyć usta, wstała i wyszła, a on jej nie zatrzymał. Tak bardzo chciała, żeby za nią pobiegł, ale kiedy tego nie zrobił, wiedziała, że zrozumiał. Człowiek z tak liczną rodziną chciałby mieć dzieci. W jednym się z nim zgadzała – różnica wieku zazwyczaj nie ma znaczenia, ale gdy chodzi o płodność kobiety – owszem.

To było tydzień temu, a ona wciąż go opłakiwała. Nalała sobie kawy,

ale nie wzięła ciasteczek – niewiarygodne, odrzucało ją od jedzenia, co bardzo służyło jej żołądkowi, za to twarz wyglądała mizernie – i poszła do gabinetu, zabierając po drodze gazetę. Zamknęła drzwi – jej znak „nie wchodzić” – i bez entuzjazmu zaczęła przerzucać strony.

W końcu przeczytała swój horoskop, co oznaczało zupełną utratę zmysłów, bo nigdy tego nie robiła.

*Panna. Podzielenie się problemem zmniejsza go o połowę. Martwisz się czymś i utrzymujesz to w tajemnicy nawet przed najbliższymi ci osobami.*

*Skończ z tym natychmiast. Porozmawiaj z kimś i zobacz, co się stanie.*

Marcella podniosła słuchawkę. Do diabła z tym. Jak komuś nie powie, to zwariuje.

W głosie Ingrid usłyszała prawdziwy optymizm.

– Nie uwierzysz – właśnie miałam szczerą rozmowę z Joan i chyba się dogadałyśmy – mówiła półgłosem. – Poczekaj, tylko zamknę drzwi. Byłyśmy w kłopotach i ja zaczęłam...

Marcella słuchała. Przyjaźń polega między innymi na tym, że potrafisz wysłuchać drugiej osoby. Wreszcie Ingrid skończyła.

– Ingrid, muszę ci coś powiedzieć – dorwała się do głosu. – Poznałam kogoś.

– O, a więc w końcu się dowiaduję – odparła wesoło przyjaciółka, a w jej głosie Marcella rozpoznała dawną Ingrid.

– Wiedziałaś?

– Domyśliłam się wtedy na kolacji z Carlą i Nikki. Byłaś cała rozmarzona i zakochana, kiedy podszedł ten przystojny finansista.

– Ale nie pisnęłaś słówkiem.

– Wiedziałam, że mi powiesz, jak będziesz gotowa. Poza tym czułam się winna – przyznała Ingrid. – Patrząc na to, przez co przechodziłam, musiałaś

uznać, że lepiej mi nie mówić.

– Kto chce słuchać o czyimś życiu seksualnym? – westchnęła Marcella.

– Seksualnym? Opowiadaj – rozkazała Ingrid.

I Marcella opowiedziała.

– Brzmi cudownie – powiedziała na końcu Ingrid. – Ale czemu z nim zerwałaś?

– Przecież ci tłumaczyłam – odparła znużonym głosem Marcella. – Jego wiek... mój wiek... no wiesz.

– Nie, nie wiem – stwierdziła Ingrid. – Marcello, ty nic nie rozumiesz. To wszystko nie ma znaczenia. David i ja wyglądaliśmy, jakbyśmy mieli wszystko, a tak nie było, to tylko pozory. Więc przestań się martwić pozorami, bo one mogą być mylące. Jeśli zależy ci na tym Lorcanie, bierz go. To ty z nim sypiasz, a nie wszyscy uprzejmi doradcy.

– No wiesz, nigdy bym nie pomyślała, że powiesz coś takiego.

– Zmieniłam się – przyznała Ingrid. – Kochałam Davida bardziej niż kogokolwiek i wiesz co...? – Przerwała. – Nie mogę przestać myśleć, że gdybym wtedy o niej wiedziała, wybaczyłabym mu i moglibyśmy żyć dalej.

Marcella mimowolnie otworzyła usta, wciągając głęboko powietrze.

– Tak – potwierdziła Ingrid. – Życie jest krótkie. Śmierć Davida uzmysłowiła mi, że wcale nie mamy tu na ziemi tak wiele czasu, więc powinniśmy spędzać go z osobami, które kochamy. Bierz Lorcanę. A ludzie niech myślą, co chcą.

– Zapominasz o jednej ważnej rzeczy, Ingrid – o dzieciach. Potomstwo. Lorcan jest bardzo macho i świetnie radzi sobie z dziećmi. Nie będzie chciał kobiety, która jest za stara, by je urodzić.

– Pytałaś go? – zapytała rzeczowo Ingrid, jakby rozmawiała z nią przed kamerą.

– No, nie...

Powiedziała mu, co miała do powiedzenia, w ogóle go nie słuchając, przypomniała sobie pełna wyrzutów sumienia.

– Więc może najpierw go zapytaj, a potem podejmij decyzję. Bo w przeciwnym wypadku zawsze już będziesz się zastanawiać. A mogę cię zapewnić, że to niezbyt przyjemny stan. No dobrze, ja też mam nowinę – dodała – chcesz ją usłyszeć? Nie jest tak ekscytująca, jak wieść o przystojnym młodym mężczyźnie, który za tobą szaleje, ale to naprawdę dobra nowina.

Marcella uśmiechnęła się przy swoim telefonie. Ingrid nie wróciła jeszcze w pełni do siebie, ale była już blisko.

– Mów.

– Chyba znalazłam świetnego inwestora dla Kenny's. Tak się złożyło, że to również jest efekt tego samego spotkania – Eric Johanssen.

– Przystojny Eric?

– Marcello – upomniała ją Ingrid – minie jeszcze długi czas. O ile w ogóle wrócę na ten rynek.

– Ale jest rzeczywiście interesujący – powiedziała łagodnie Marcella.

– I rzeczywiście inteligentny. Rozumiem teraz, skąd jego sukcesy. Wiedział, kim jestem, wiedział wszystko o Kenny's i najwyraźniej słyszał o naszych kłopotach. Zadzwoił do mnie dwa dni później.

– Super – stwierdziła Marcella. – Jak mawia się w mojej branży: „Nigdy nie spotkałam miliardera, którego bym nie polubiła. ”

Miał wyłączoną komórkę, więc Marcella zadzwoniła do jego firmy, żeby się dowiedzieć, gdzie jest.

Josie, która odbiera zawsze telefony i zdążyła już poznać Marcellę, z zadowoleniem usłyszała jej głos.

– Myślałam, że zniknąłeś ze sceny – powiedziała z właściwą sobie

szczerością.

– Zniknęłam na chwilę, ale już wracam – odparła Marcella.

– Tak trzymać, dziewczyno, bo przez ten ostatni tydzień Lorcan zachowuje się jak niedźwiedź z bólem zęba. W czym mogę ci pomóc?

– Ma wyłączony telefon. Gdzie go znajdzie?

– W pobliżu doków, w tym nowym budynku mieszkalnym – informowała Josie. – Nie wiem, po co on się w ogóle fatyguje. W obecnej sytuacji ekonomicznej nikt i tak nie kupi tych mieszkań, ale znasz Lorcana – jak powiedział, że skończy robotę, to ją kończy.

Josie miała chyba rację. Nie tylko nikt nie oglądał nowych, pięknych mieszkań, ale również nikt przy nich nie pracował. Na parkingu stał jedynie wóz Lorcana. Drzwi wejściowe były zamknięte. Marcella rozważyła swoje możliwości, a potem podeszła do jego samochodu i mocno w niego kopnęła. Natychmiast włączył się alarm.

Zdażyła doliczyć do trzydziestu, zanim z budynku wybiegł Lorcan. Kiedy ją zobaczył, stanął i wyłączył alarm, po czym otworzył szeroko drzwi, zapraszając ją do środka.

– Zakładam, że nie przyszedłeś tu oglądać mieszkań?

– Przyszedłam cię przeprosić i zaproponować wspólną kolację – powiedziała Marcella.

Jego twarz zastygła na całe dwie sekundy.

– Myślałem, że jestem dla ciebie za młody, a ty dla mnie za stara, a główną przeszkodę stanowa moja matka?

– Owszem, jedno, drugie i trzecie – odparła szczerze Marcella. – Dlatego musimy porozmawiać, ale nie mogę pozwolić ci odejść, zanim nie omówimy tych problemów.

– Moja mama nie będzie problemem. Jest twarda, ale nie decyduje za

mnie.

– Nie o to się najbardziej martwię.

Rozejrzała się. Nie dojrzała niczego, na czym można by usiąść, więc podeszła do niskiego zakurzonego parapetu i usiadła na nim. Lorcan zrobił to samo. Był blisko, ale jej nie dotykał.

Marcella zebrała się w sobie. Brutalna szczerość w pracy to bułka z masłem, ale brutalna szczerość w związku – to przerażające.

– Chciałabym mieć twoje dzieci, mówiłam ci, ale nie mogę. Na to już jestem za stara. W wieku czterdziestu dziewięciu lat można powiedzieć, że czas minął.

Subtelny żarcik to jej sposób na złagodzenie szorstkich słów.

Lorcan wziął ją za rękę.

– Przykro mi – powiedział. – Ja też chciałbym mieć swoje dzieci, ale sam już wykalkulowałem, że nie ma ich w karcie. Nie jestem głupi.

Uśmiechnęła się słabiutko.

– Wszystko to wiem i wciąż chcę, żebyśmy byli razem.

– Myślałeś już o tym?

– Tak, zresztą jak mogłem nie myśleć, skoro mama mnie o to zahaczyła. Ale tak jak jej powiedziałem, chcę być z tobą i mogę żyć bez dzieci, jeśli tylko ty możesz.

– A jeśli to nie wystarczy? – zapytała nerwowo Marcella.

– Jeśli za pięć lat zmienisz zdanie i znienawidzisz mnie za to, że jestem stara i nie mogę dać ci potomstwa?

– Marcello... – Lorcan ukląkł przed nią na marmurowej podłodze. – Uważasz, że w życiu można dostać na coś gwarancję? Nie można. Teraz się kochamy i to musi wystarczyć. Ty też możesz chcieć za pięć lat wymienić mnie na młodszy model.

– Bezcelność! – powiedziała, ale z uśmiechem, choć jednocześnie zaczynała płakać. – Więc naprawdę chcesz spróbować?

Odpowiedzią był pocałunek. Marcella czuła, że topnieje.

Jak mogła go odrzucić?

Oparła się o jego twarde ciało i zamknęła oczy. Kiedy trzymał ją tak blisko siebie, czuła się jak w domu, nawet w tym nieukończonym budynku.

– Okropnie mi ciebie brakowało, szalona kobieto – szeptał prosto w jej włosy.

– Ja też za tobą tęskniłam – powiedziała Marcella.

Większość pracowników stacji telewizyjnej jadła zwykle lunch w pubie „U Marynarza”. Tanie kanapki, duże porcje deseru i wystarczająco głośna muzyka w tle, by zagłuszyć wszelkie plotki i knowania – tego właśnie szukali.

Był na tyle duży, że można się czuć anonimowo, i lepszy niż telewizyjny bufet, bo nigdy nie zaglądały do niego najgrubsze ryby. Ostatnią osobą, którą Ingrid spodziewałaby się tu spotkać, był Jim Fitzgibbon, stary przyjaciel Davida, ten, którego ledwie znosiła.

– Ingrid, nareszcie! – powiedział, kiedy stanęła przy kasie, płacąc za zupę i kanapkę. – Szukałem cię w bufecie w telewizji – wyjaśnił – i powiedzieli mi tam, że sporo osób z zespołu *Wieczoru z polityką* poszło tutaj.

I to by było na tyle w kwestii prywatności, pomyślała Ingrid. Każdy szaleniec może ją znaleźć w pięć minut.

*Pizza z bombą dla pani Fitzgerald? Nie ma problemu, jest kilka przecznic dalej.*

– Cześć, Jim – powiedziała, korzystając z bogatego doświadczenia w zakresie wywoływania wrażenia umiarkowanie zadowolonej z widoku osoby, której nie znosiła.



Nie miała serca, by zapytać, jak radzi sobie biedna Fiona. Ostatnio widziała ją na pogrzebie Davida, przyszła jej złożyć kondolencje. Sama. Separacja najwidoczniej była ostateczna, następny przystanek – rozwód. Jim błąkał się w drugiej części kościoła, z potworną Carmel odzianą w norki do samej podłogi. Pograżona w swoim smutku Ingrid ledwie mogła znieść jej widok, przypominając sobie ich ostatnie spotkanie, kiedy David wciąż był u jej boku, kiedy jeszcze czuła, że żyje.

– Ingrid, muszę z tobą porozmawiać – oznajmił Jim.

Zawsze mówił takim tonem, jakby chciał się pozbyć ciężarówki podrabianych torebek. Ingrid nie potrafiła pojąć, co David w nim widział, może chodziło mu po prostu o kontakt z kolegami ze szkoły. Ale Jim na pewno nie mógłby zostać jej dobrym znajomym.

– O co chodzi? – zapytała.

– Jest tu jakieś spokojne miejsce, gdzie można pogadać?

W pubie powoli się rozluźniało, bo minęła już pora największego ruchu, i właśnie zwolnił się stolik w małej wnęce.

– Bierz tamten – powiedziała Jimowi.

Usiadł i czekał, a Ingrid sprzątnęła tymczasem puste kubki i talerze oraz wytarła stół papierową serwetką. Jest beznadziejny, myślała ze złością, patrzy, jak ona sprząta.

Ostatecznie mogła usiąść i zacząć jeść. Kupiła grzybową, swoją ulubioną. Gdyby tak Jim poprosił ją szybko o to, czego chciał, i sobie poszedł, mogłaby jeszcze w spokoju zjeść i przeczytać gazetę. Nie była ostatnio zbyt towarzyska, nie chciało się jej udawać uprzejmości.

– Jak się miewasz?

– Dobrze – odparła Ingrid. – Radzę sobie.

– Uwierzytelnili już testament?

Spojrzała na niego podejrzliwie. Uwierzytelnienie to przedłużający się do granic możliwości prawniczy koszmar.

– O co chodzi, Jim?

– O nic – powiedział. Najwyraźniej czuł się nieswojo.

Poprawił węzeł krawata.

– Wiem, co gryzło Davida – wyrzucił z siebie nagle. – Nie miałem odwagi powiedzieć ci tego wcześniej.

Ingrid – instynktownie się rozejrzała, czy ktoś może podsłuchiwać.

– Interesy – z premedytacją odpowiedziała bardzo spokojnie. – Wiem, Jim. Jako osoba z pakietem kontrolnym, zostałam do razu powiadomiona przez audytorów. Wiem, że sklep ma kłopoty. Robimy wszystko, żeby go uratować. To chciałeś mi powiedzieć? Że powinniśmy sprzedać Kenny's, jeśli mamy choć odrobinę rozumu?

– Nie. – Jim wydawał się bardzo urażony. – Oczywiście, że nie. Nigdy bym wam tego nie życzył, Ingrid. Przecież wiem, ile sklep znaczył dla Davida, dla całej rodziny.

– Jego zaczerwieniona twarz była bardzo poważna i Ingrid zrozumiała, że go obraziła. – To coś gorszego. On bardzo się przejmował.

Jim spuścił wzrok i wbił go w jej talerz z zupą.

– Nie będę kłamał. David był przerażony, co się stanie, jeśli się dowiesz. O niej.

Dłoń Ingrid zaczęła drżeć i musiała odłożyć łyżkę. Trzymała się jakoś na zebraniach programowych i podczas konfrontacji z Joan, ale teraz, kiedy najstarszy przyjaciel jej męża mówił jej, że zna najskrytszy sekret Davida, poczuła, jak siły ją opuszczają.

– Bóg mi świadkiem, Ingrid, mówię ci, że David cię ko– chał. Kochał cię najbardziej na świecie. Chciał to zakończyć, poważnie, nie żartuję.

Jim zaryzykował spojrzenie jej w twarz.

– Pomyślałem, że jak będą sprawdzać papiery, mogą znaleźć wyciągi bankowe i tym podobne...

– Ja je znalazłam – powiedziała cicho Ingrid.

– Wyobrażam sobie, że to nic przyjemnego. Ale powtarzam, to była przeszłość. Kończył z tym, Ingrid, tylko że takie rzeczy trochę trwają. Nie obrażaj się.

– Nie obrażam się – szepnęła Ingrid.

Poklepał ją pulchną dłonią po ręce, chcąc jakoś pocieszyć. Jest dobry, zobaczyła to w nim po raz pierwszy w życiu. Za całą tą fanfaronadą okazuje się przyzwoitym człowiekiem i obojętne jak trudno było mu tu dzisiaj przyjść, zrobił to, bo chciałby tego jego przyjaciela. Wiedział, że ona się dowie, i chciał ją uspokoić.

– Skąd wiesz, że chciał to zakończyć? – błagała, zapominając o godności.

– Próbował załatwić jej pracę w Londynie, z dala od Dublinu.

– Może miał zamiar z nią wyjechać? – sugerowała Ingrid z głową pełną możliwych scenariuszy. Tak bardzo chciała wierzyć w wersję Jima. Kiedy mówiła Marcelli, że wybaczyłaby Davidowi, rzeczywiście tak myślała.

– Ależ nie, skąd! Chciał, żeby wyjechała, uwierz mi. Chciał, żeby wyjechała. Prosił, żebym mu pomógł znaleźć jej jakieś mieszkanie.

– To o tym rozmawialiście wtedy przy kolacji?

– Tylko przez chwilę. Pomylił się, Ingrid, i wiedział to. David nie był taki jak ja. Potrafił cię docenić, mówił, że idiota ze mnie, bo pozwoliłem Fionie odejść. Był przerażony możliwością, że możesz się dowiedzieć i go zostawić. To chyba nie wygląda na faceta, który wije w Londynie gniazdko z inną kobietą?

Ingrid pokręciła głową.

– I pamiętaj o rocznicowej wycieczce – dodał zadowolony, że o tym pomyślał. – Rozmawialiście o jakimś krótkim rejsie, ale David chciał cię zabrać dookoła świata, na trzy tygodnie. I cieszył się tym jak dziecko. Chyba nie byłby taki podekscytowany, gdyby się wybierał z młodą laską do Londynu, prawda?

Jim uśmiechnął się do niej szeroko, a Ingrid pomyślała o swoim Davidzie i młodej lasce, jak to ujął. Jak młodej? I kim była? Owszem, Babe powiedziała, że to bez znaczenia, liczy się jedynie fakt, że Ingrid jej nie zna. Ale mimo to chciała wiedzieć, bardzo. Kim jest, ile ma lat, czy jest piękna i młoda, bez jednej zmarszczki, z ciałem, które nie przeżyło jeszcze pięćdziesięciu siedmiu lat?

– Kto to był? – zapytała.

– Nikt, kogo znałaś, po prostu dziewczyna.

– Dziewczyna? – Znienawidzone słowo.

– Nie znasz jej, zwykła dziewczyna, z którą miał przygodę

– Jim zaczynał mówić głośnie. – Popęłnił błąd, Ingrid. I tylko to musisz wiedzieć. A tamto się skończyło, już wcześniej było skończone, naprawdę. Powiedział jej i chciał się zachować przyzwoicie, więc pomagał jej znaleźć pracę.

– Dlaczego potrzebowała pomocy w znalezieniu pracy?

Jim znów sięgnął do krawata.

– Nie była podobna do ciebie, Ingrid. Nie była inteligentna ani nic. Mówiąc szczerze, myślę, że to go doprowadzało do szału. Ileż można znosić tej głupoty? No wiesz, dziewczuszka z rodzaju tych, co to nie umieją zmienić opony. Fiona umiała zmienić oponę – dodał z żalem. – Ale nie udało się jej zmienić mnie.

– I Davidowi nie podobało się to jej dziewczęce zachowanie?

– Oj, Ingrid, przecież wiesz, to męczące. Ale rzecz w tym, że nie była tobą. I jemu to wystarczyło. Bo kochał cię. Mężczyźni robią głupie rzeczy.

Mężczyźni robią głupie rzeczy, powtórzyła Ingrid w głowie. Tak, robią, a potem ich żałują. David żałował. Czowała to.

Nie wiedziała, dlaczego, ale ta rozmowa z Jimem uspokoiła ją tak, jak nic dotąd. Jim nie potrafił kłamać, w każdym razie z nią by mu się nie udało. Mówił absolutną prawdę. Cokolwiek ta dziewczyna lub kobieta znaczyła dla Davida, zakończył to. I Ingrid musi w to wierzyć. To da jej nadzieję i siłę.

– Dziękuję ci, Jim – powiedziała, uśmiechając się do niego ciepło. – Powiedz mi, co u ciebie i Fiony?

– Spaliłem za sobą mosty – odparł i wzruszył ramionami.

Ingrid pokręciła głową.

– Gdyby David do mnie przyszedł i wyznał prawdę, dałabym mu drugą szansę – powiedziała, odpłacając szczerością za szczerść. – Przez głupotę i niewłaściwe wzorce zaszczerpione w dzieciństwie nie można rezygnować z dobrego małżeństwa. Porozmawiaj z Fioną. Być może ułożyła sobie życie od nowa, ale nie wiesz tego. Przekonaj się.

– Myślisz?

Kiedyś rysy twarzy Jima przywodziły jej na myśl świnie. Dziś wydał się jej uroczy z tymi ciepłymi, małymi oczkami pełnymi nadziei.

– Myślę.

Ingrid wstała. Miała coś do załatwienia, musiała odwiedzić pewną osobę.

– Nie dokończyłaś lunchu...

– Nie jestem głodna. – Uściskała go. – Dziękuję ci, Jim. Przyniosłeś mi prawdziwy spokój ducha.

Ingrid niemal wybiegła z pubu i od razu wsiadła do auta. Znów miała w sercu nadzieję. Musiała się z kimś zobaczyć – z Gwiazdą Bluestone.

Nie była pewna, dlaczego, ale kiedy Babe o niej wspomniała, Ingrid od razu wiedziała, że Gwiazda zna jakieś brakujące kawałki układanki. Może David zwierzył się tej kobiecie, którą znał wiele lat temu. Może się spotykali i często rozmawiali. Skoro ukrywał przed Ingrid jej istnienie, obojętne jak niewinne, to może wiedziała o nim coś, o czym Ingrid nie miała pojęcia. Już sama ta myśl ją denerwowała, ale odsunęła ją od siebie – spotka się z Gwiazdą i zapyta ją.

Ingrid uzmysłowiła sobie, że zbieleły jej kostki dłoni. Prowadzenie samochodu w stanie silnego zdenerwowania – czy to wykroczenie? Rozluźniła uchwyt na kierownicy i spróbowała się skupić na tym, co powie Gwieździe, kiedy się u niej zjawi.

Gwiazda. Cóż za dziwne imię. Imię, pomyślała Ingrid, które pasuje do starzejącej się hipiski z tatuażami z henny, i kogoś takiego się spodziewała – były rockowy kociak w długich spódnicach, z włosami jak siano od ciągłego farbowania i makijażem z dziecięcego zestawu do przebieranek. Makieryczna rozmazana kredka do oczu i unoszący się wokół zapach paczuli.

W ten sposób łatwiej było o niej myśleć. Łatwiej również dlatego, że w holu Ingrid co najmniej od trzech lat wisiał gobelin Gwiazdy, a David nigdy nie powiedział: Robi je kobieta, którą kiedyś kochałem.

Ta część wybrzeża była odległa i dzika.

Ingrid nie lubiła odległych miejsc. Nawet na wakacjach. Nie, zawsze wolała eleganckie hotele w mieście z przyległymi instytucjami kulturalnymi. Muzea, galerie – cały komplet.

David myślał podobnie. A może nie. Może w tym przypadku też kłamał. Oczywiście spędzali wakacje w odległych miejscach, ale w pobliżu

zawsze był kawałek cywilizacji. Piramidy, Wielki Kanion, Mur Chiński, biblioteka w Efezie.

I wszystko to się Ingrid podobało, ale w tych miejscach, tak ogromnych i tak starych, ogarniał ją jakiś lęk. Czuła wówczas, że zupełnie traci znaczenie. Żadna ludzka istota nie mogła konkurować z taką skalą wielkości. Więc zawsze się cieszyła, gdy wracali już do hotelu, gdzie mogła wygodnie usiąść i sączyć herbatę z porcelanowej filiżanki, oglądać wiadomości, a dzikość starożytnego świata wygnać gdzieś w najdalszy zakątek mózgu.

Dom Gwiazdy otaczał krajobraz uwielbiany przez turystów – dziki, smagany wichrami, wdzierający się w morze kawałek lądu, który wręcz wisiał ponad nim. Ingrid wiedziała, że nie mogłaby tu mieszkać, obok tej wąskiej dróżki, bez widocznych z okna sąsiadów, za towarzystwo mając jedynie szum fal i odgłos wiatru buszującego wśród drzew.

Pięknie, owszem, musiała jej to przyznać. Ale można tu zwariować.

Kierując się wskazówkami Leny – Ingrid musiała jej powiedzieć, że chce zamówić specjalny gobelin – po ośmiu kilometrach skręciła w prawo i jechała jeszcze gorszą drogą, ścieżką prawie, która zdawała się prowadzić do morza. Po prawej stronie zobaczyła zawieszoną na słupku drewnianą tabliczkę z napisem *Bluestone*.

Minęła słupek i telepała się po drodze wysypanej wyłącznie otoczkami. Kiedy dojechała do zakrętu, jej oczom ukazał się dom. Nie był to pseudotradycyjny irlandzki koszmarek, jakiego się spodziewała, ale elegancki i zgrabny drewniany domek. Wyobraziła sobie, że w siedemnastym wieku wybudował go kapitan żaglowca, wypełniając sobie w ten sposób czas, kiedy akurat nie ścigał piratów. Uroczy – oto właściwe słowo, zdecydowała Ingrid, i nieznana jej Gwiazda skoczyła w jej ocenie o kilka oczek.

Zaparkowała i zachowując czujność, wysiadła z samochodu.

Mogła się spodziewać wszystkiego, od gorącego powitania do próby wystraszenia jej. Te zwariowane hipisowskie typy trzymały dziwaczne zwierzęta, na przykład strusie, jaki, a może nawet ukochaną kozę w obroży wysadzanej klejnotami. Ale nie przybiegł do niej żaden przedstawiciel menażerii. Pojawiła się natomiast wysoka kobieta – wyszła z za domu z koszem pełnym warzyw i szpadlem. Oprócz kaloszy – zwykłych zielonych, bez żadnych błazeńskich kwiecistych wzorów – była ubrana najzupełniej normalnie, czyli w dżinsy i zielony polar.

Długie włosy związała w kok, a skóra jej twarzy była tak gładka i odżywiona jak u modelki z reklamy kremu nawilżającego.

Gdyby nie wiedziała, kim jest, Ingrid dałaby jej maksymalnie pięćdziesiąt lat, ale miała świadomość, że to Gwiazda, więc musiała być od niej starsza.

– Bardzo mi miło, że w końcu mogę panią poznać – powiedziała tak swobodnie, jakby Ingrid zapowiedziała się telefonicznie, a nie przyjechała z nienacka i bez zaproszenia.

– Proszę dalej.

Ingrid bez słowa weszła za nią do domu.

Jego wnętrze było piękne i Ingrid poczuła pewien rodzaj zazdrości. Sama nigdy nie mogłaby mieszkać w takim eleganckim nieładzie. Znajdowały się tam książki, obrazy, bibeloty, pielęgnowane w chorobie storczyki, pojedyncze główki kwiatów w filiżankach, lekkie muślinowe firanki, które na pewno strasznie się kurzą, i choć wszystko było nieskazitelnie czyste i nigdzie nie zauważyła najmniejszego pyłku, to jednak z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak na tym wszystkim osiada.

Mogła sobie też wyobrazić Davida leżącego na większej z kanap, tej z oliwkowym obiciem z aksamitu, jak opierając głowę o poduszkę w kształcie



wałka, podziwia trzymany w dłoni model statku, a Gwiazda opowiada mu jego historię.

To przekraczało jej możliwości, taki cudownie osobisty dom z tymi wspaniałymi eksponatami, jak żywe muzeum. Ingrid nigdy nie miała talentu do urządzania wnętrz. Płaciła ludziom, żeby robili to za nią. Wystrój jej domu to efekt pracy dwóch projektantek, które zresztą pokłóciły się o podłogę („Dąb amerykański to przeżytek. Tylko i wyłącznie orzech, szerokie deski”.), o szafki w kuchni i jakie konkretnie krany zamontować w toalecie na dole („Jeśli zgodzi się pani na cokolwiek innego niż Starck, ja po prostu umrę!”).

Ten dom ewidentnie został urządzony w całości przez Gwiazdę.

A obok kominka – prawdziwego, nie gazowej imitacji – stały dwie kamienne rzeźby, dokładne repliki posągów, jakie znajdowały się przy schodach w Kenny's.

Ingrid otworzyła ze zdziwienia usta.

– Ale to przecież są...

– Morrigan i Brighid – dokończyła Gwiazda, podążając za jej wzrokiem.

– Chciałam powiedzieć, że takie same David zamówił do sklepu. Zdziwiłam się, kiedy je zobaczyłam – kontynuowała Ingrid. Poczula nagle gorycz na myśl, że jeszcze dziś tę kobietę łączy z Davidem jakaś więź, o której Ingrid nigdy nie miała pojęcia. Było coraz gorzej. Kogo jeszcze znał, z kim rozmawiał, ukrywając to przed żoną? – To pani mu je zasugerowała?

– Och, skądże – odparła Gwiazda. – Nie rozmawiałam z Davidem od trzydziestu pięciu lat.

Ingrid była zaskoczona.

– Ale przecież w sklepie są pani gobeliny.

– W ramach swego rodzaju porozumienia że nie muszę się z nim spotykać.

Ingrid uznała w końcu, że może usiąść. A kiedy to zrobiła, cała złość z niej uleciała.

– Ale dlaczego?

– Rozstaliśmy się zbyt dawno. Nie wyznaję popularnego dziś poglądu, że można się przyjaźnić z kimś, z kim łączyła nas miłość. Seks, owszem. Nie powiem, mam wielu takich znajomych. Ale nie miłość. To po prostu nie wychodzi. Nie chciałam tego w moim życiu.

– Dziękuję – wymamrotała z ulgą Ingrid. Wiedziała, choć trudno powiedzieć skąd, że Gwiazda mówi prawdę. W ogóle nie sposób sobie wyobrazić, żeby Gwiazda mogła kłamać. Uczciwość aż biła z jej twarzy. Promieniowała prawdziwą dobrocią i wielkodusznością.

– Ciocia Babe mówiła mi o pani, a ja przyjechałam, bo myślałam, że miała pani romans z Davidem – powiedziała cicho.

– Och, skarbie – westchnęła Gwiazda z nieskończoną dobrocią.

– Chcę się dowiedzieć, kim ona jest, choć jego przyjaciel zapewnił mnie, że wszystko już skończone, że rozstał się z nią i był przerażony, że mogę się dowiedzieć. Pewnie to właśnie go zabiło, a nie zmartwienia związane ze sklepem, choć sytuacja w firmie jest trudna...

Miała świadomość, że bełkocze bez ładu i składu, ale Gwiazda nie wydawała się zaskoczona. I chyba w pełni zrozumiała jej osobliwą wypowiedź.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie, kim ona była? – zapytała.

Ingrid zdawała sobie sprawę, że jej gniew już się wypalił, ale i tak chciała wiedzieć.

– Tak, myślę, że tak.

– Hm, w takim razie musi pani to zrobić.

Niezwykłe, pomyślała Ingrid. Inni ludzie, no, w każdym *razie* tacy jak Marcella, staraliby się ją przekonać, że to nie jest dobry pomysł, zadając między innymi pytania w stylu: Ale co ci z tego przyjdzie? Gwiazda za to pozwoliła jej samej decydować.

– Jeszcze jedna rzecz, zanim zaparzę nam herbatę, czy ciocia Babe powiedziała też o moim darze?

Ingrid pokręciła głową.

– Moje ręce są dość niezwykłe, mogę je na pani wypróbować?

I Gwiazda usiadła obok Ingrid, biorąc w swoje ręce jej zimne, napięte dłonie.

Zamknęła oczy, łącząc się z sercem i duszą Ingrid. Pod zamkniętymi powiekami pojawiły się obrazy, przesuwał się szybko jeden po drugim, ale Gwiazda, dzięki długim latom praktyki, potrafiła je spowolnić, tak by móc się skupić na każdym po kolei. Młodsza Ingrid tuli w ramionach dziecko i patrzy na tę małą istotkę z taką żarliwą miłością, że we dwójkę stanowią osobny kosmos. Pełnia. Jest i drugie dziecko, a kosmos tworzą teraz trzy serca: Ingrid i jej dwójki dzieci.

Na razie ani śladu Davida. Gwiazda nie była zaskoczona. Wiele razy widziała to w przeszłości różnych kobiet, jedne czuły się spełnione dzięki dzieciom, a inne nie, te, których serca zespolone były z sercem mężczyzny.

Pojawili się Ingrid i David wśród splątanej pościeli, a Gwiazda była dumna, że nie czuje zazdrości. Pogodziła się z tym już dawno temu.

Czasami widziała dziwne przedmioty, tak jak teraz – księżyc w nowiu, druidyczny symbol siły żeńskiej. Ingrid była silna, wystarczająco silna, by stanąć nad grobem męża ze świadomością, że trzeba żyć dalej, i na tyle silna, żeby żyć dalej niezależnie od tego, czego się dowiedziała. W potoku obrazów

zobaczyła mężczyznę – krótkie siwe włosy, ogromny, rzucający się w oczy zegarek, którym wciąż wymachiwał, żywo gestykulując, i krzykliwy granatowy garnitur w prążki. Był dla Ingrid ważny, choć Gwiazda nie wiedziała dlaczego.

Ale pomógł jej. Trzymał ją za rękę, a ona płakała, z uczuciem ulgi, jednak nie byli kochankami – jakaś dziwna wątła więź, niemniej ważna.

– Zna pani człowieka z dużym złotym zegarkiem, który lubi granatowe garnitury w prążki? Raczej niski, łysiejący – zapytała Gwiazda, nie puszczając jej dłoni.

Błysk w oczach Ingrid mówił jej, że go rozpoznała.

– To może być przyjaciel Davida, jeszcze ze szkoły, Jim Fitzgibbon. On właśnie mi powiedział, że David zakończył ten romans.

I wtedy zobaczyła kobietę, młodą, o długich jasnych włosach. Miała w sobie jakąś niewinność z zupełnie innej epoki. Kochanka. Była przez chwilę, a potem pomknęła gdzieś daleko. Dziwne, ale pojawiła się obok tej kobiety, którą przywiozła tu Lena, Claudii... Gwiazda w jednej chwili dopasowała elementy układanki. To właśnie wtedy poczuła, gdy się witała z Claudią. Że kogoś jej bliskiego, może siostrę, łączyło coś z Davidem. Ale więź była słaba, jak delikatna jedwabna nić, i szybko się zerwała.

W końcu pojawił się sam David, a Gwiazda niemal poczuła, jak wzdycha z wielką ulgą.

David. Tak bardzo go kochała, ale odkąd umarł, jego duch nie zaznał spokoju. Dopiero teraz. Czowała, że nareszcie go odnalazł. Patrzył jej w oczy, a ich dusze się połączyły. W tej wizji wyciągał ręce do Ingrid. To z nią był szczęśliwy. Ją kochał. Dziewczyna o jasnych włosach była jak błędny ognik, który pojawia się nagle i równie szybko znika.

Gwiazda próbowała przekazać tę wiedzę z powrotem Ingrid.

*Przepraszam, kochanie.*

Ingrid poczuła nagle coś niesamowicie dziwnego, jakby rozpływający się w jej ciele spokój akceptacji.

Gwiazda puściła jej rękę.

– Jak pani to zrobiła? – pytała wyczerpana Ingrid, opierając się o poduszki.

– Umożliwiłam pani tylko wgląd w to, co ma pani w sobie – odparła Gwiazda. – To nie żadne hokus– pokus, kiedyś wszyscy mieli do tego dostęp. Ludzie byli połączeni z duchową energią ziemi, obojętnie jak ją ktoś interpretuje. Myślę, że dziś jest to we mnie bardzo silne ze względu na moją więź z Davidem, tę dawną więź.

– Przepraszam za moje oskarżenia, że wciąż się pani z nim spotykała.

– Nic się nie stało, kochałam go. Zawsze będę go kochać.

Ingrid zapało dech w piersiach.

– Nie mówię tego, żeby pani zrobić przykrość, ale tak po prostu czuję, od lat.

– Ale – Ingrid nie mogła tego pojąć – dlaczego pani czegoś nie zrobiła?

– David mnie zostawił. Kochał mnie, a jednak odszedł. Nie możemy wybierać, kogo pokochamy, inaczej wszystkie szalałybyśmy za Nelsonem Mandelą.

Obydwie się roześmiały.

– To dziwne, ale poczułam, że mnie przeprasza – przyznała Ingrid.

Gwiazda zastanawiała się, jak jej to wyjaśnić.

Mamo, co ty byś powiedziała? zapytała w milczeniu Elizę.

To inna magiczna moc jej rodzinnego domu: magia miejsca. Zarówno druidzi, jak i białe wiedźmy rozumieli, że miejsca, czy nawet ruiny, w których żyła ogromna wiedza, mają szczególną moc. W tym domu, gdzie przez trzysta

lat kobiety z rodziny Bluestone w sposób mądry i subtelny używały swoich niezwykłych darów, by pomagać innym, drzemała wielka dobroczynna siła.

*Nie wszystko, odpowiedział Gwieździe duch Elizy Bluestone. Tylko tyle, żeby jej pomóc, bo powinna stąd odejść wzmocniona.*

– Widziałam też kogoś innego – powiedziała powoli Gwiazda. – Kobietę, młodą kobietę, ale w tej wizji była raczej daleko. David natomiast stał przy pani, trzymał panią i mówił, że jest pani jedyna, że tylko panią kocha.

Ingrid czuła, że ma oczy pełne łez, jednak żadna z nich nie spłynęła. Otarła je rękawem.

– Przepraszam mnie?

Gwiazda kiwnęła głową.

– Pani przecież też to czuła. Kocha panią i chciał panią przeprosić.

– Ta inna kobieta... – zaczęła Ingrid. – Moja przyjaciółka ma się dowiedzieć, kim jest, bo ciągle mnie to męczy.

– Zobaczenie tej kobiety bardziej pani nie uspokoi – powiedziała Gwiazda. – Ja to wiem. Tylko panią zrani. Pani ciekawość tylko bardziej panią zrani. Niech pani to zostawi, David osiągnął już spokój duszy i pani też może.

Ingrid spojrzała uważnie na swoje ręce.

– Wiem, że ma pani rację. Czułam to wszystko, co pani opisała. Jak pani to robi?

– Nie chciałabym tu wpadać w górnolotne tony, ale nowoczesne religie zabierają człowiekowi władzę nad samym sobą. Jesteśmy boskimi stworzeniami i mamy własną moc. Ja potrafię nad nią panować, to wszystko.

Ingrid chciała jeszcze o coś zapytać, ale czuła – co było dziwne dla kobiety, której całe życie zawodowe skupiało się wokół pytania „dlaczego” –

że nie powinna tego robić. Tu chodziło o wiarę, a teraz, po tym co się stało, Ingrid wierzyła.

Jakimś przedziwnym cudem poczuła, że David ją przeprosza. Nie mogła nikomu o tym powiedzieć, bo nikt by nie uwierzył, że Ingrid Fitzgerald, ze swoim logicznym, precyzyjnym umysłem, mogłaby pozwolić, by inna kobieta wzięła ją za rękę i pomogła jej p o c z u ć, w sposób, którego nie da się opisać, co naprawdę działo się z Davidem w przeszłości. A jednak tak właśnie się stało.

Rok temu Ingrid wzruszyłaby ramionami i nie uwierzyła. Dziś czuła wdzięczność za to, że Gwiazda podzieliła się z nią swoim darem.

– To może teraz zaparzę herbatę?

– Bardzo chętnie – odparła Ingrid, wstając. Zaczęła chodzić po pokoju i dotykać niektórych z tych wszystkich pięknych przedmiotów. – Musi mi pani opowiedzieć o sobie i o tym domu. Człowiek tak wspaniale się tutaj czuje, jakby w powietrzu unosiły się jakiś niezwykle fluidy.

Gwiazda się uśmiechnęła.

– Ten dom od trzystu lat wypełnia bicie kobiecych serc – powiedziała. – I w tym kryje się cała magia.

## *Epilog*

Idąc przez sklep, Ingrid czuła zapachy i rejestrowała obrazy, które składały się na jego niepowtarzalny nastrój. Był ostatni dzień października, Halloween, więc uczczono go pomarańczowo– czarnymi dekoracjami. Pod sufitami kłębiły się wiedźmy i nietoperze, a na ladach pyszniły dorodne dynie. Ingrid wiedziała, że ten widok wzbudziłby śmiech Gwiazdy.

Haloween to w rzeczywistości Oiche Samhain, twierdziła Gwiazda, przedchrześcijańskie dożynki, kiedy to podnosiła się kurtyna dzieląca światy i duchy mogły szaleć do woli. Gwiazda często opowiadała Ingrid o takich dawnych zwyczajach, a Ingrid była nimi zafascynowana. Powiedziała Gwieździe, że powinna przelać swoją wiedzę na papier i wydać książkę.

– Moją wiedzę należy przekazywać ustnie – odparła Gwiazda, a Ingrid zamilkła.

Poczuła smutek na myśl, że Gwiazda nie ma ukochanej córki, która zostałaby jej następczynią, choć Natalie Flynn często ją odwiedzała i chyba była dla niej jak córka. Ale może magiczne moce są przekazywane tylko w genach.

Gwiazda знаła matkę Natalie i miała mnóstwo jej rzeczy – książki, ubrania, biżuterię. Natalie uwielbiała do niej chodzić i słuchać opowieści o swojej mamie, a razem z Natalie czasem odwiedzała ją też Molly.

– Nie powiesz jej, prawda? – powiedziała do Gwiazdy przez telefon, gdy Molly wspomniała, że wybiera się do niej z przyjaciółką.

– Oczywiście, że nie – zapewniła Gwiazda. – Tylko ty możesz jej o tym powiedzieć, jeśli zechcesz.

Ingrid nie czuła takiej potrzeby. To ostatnia kwestia, jaką przemyśliwała – czy powiedzieć Molly i Ethanowi, który zakończył już wojażę, co naprawdę



działo się w życiu ich ojca przez ostatnie kilka miesięcy przed śmiercią. Doszła ostatecznie do wniosku, że taka wiedza w niczym by im nie pomogła. Po co niszczyć wizerunek ojca? Im może trudniej byłoby wybaczyć niż jej. A ona wybaczyła.

Ten cudowny spokój, który poczuła w domu Gwiazdy, ciągle w niej był. Nie nosiła już w sobie gniewu ani złości, tylko smutek, że David umarł i nigdy jej nie powiedział. To nieprawda, że w miłości nie trzeba przepraszać – miłość polega na kompromisie, który pozwala iść dalej. Teraz to rozumiała.

Aż trudno uwierzyć, że David zmarł pół roku temu. Z jednej strony wydawało się, że minęło już więcej czasu. Z drugiej miała wrażenie, że jeszcze przed chwilą tu był.

Tego ranka w rozmowie telefonicznej powiedziała o tym Marcelli.

– David byłby z ciebie bardzo dumny – stwierdziła Marcella.

– Mam nadzieję. A co u was, jak Włochy?

Marcella i Lorcan, po skromnej uroczystości w urzędzie stanu cywilnego, wyjechali w podróż poślubną. Tempo, w jakim przeszli od pogodzenia się do ślubu, wszystkich wprawiało w zdumienie, ale Lorcan stanowczo twierdził, że chce się ożenić.

Ingrid uznała, że jest fantastyczny i ma dokładnie tak silną osobowość, jakiej potrzebowała kobieta taka jak Marcella.

– Wspaniale. Chcę się tu przeprowadzić, ale Lorcan mówi, że mają całkiem inne systemy wodno– kanalizacyjne, więc nie możemy.

– Jesteś gotowca? – Ingrid usłyszała za sobą czyjś głos.

To Gwiazda, miała ze sobą zwinięty gobelin.

– Jestem – powiedziała, obejmując ją na powitanie.

– Czy to to?

– Tak.

Razem pojechały windą do restauracji, gdzie Ingrid postanowiła porozmawiać z pracownikami Kenny's. Zwołała spotkanie na dziesięć po szóstej, kiedy sklep był już zamknięty. Była szósta – wystarczy, żeby obejrzeć gobelin.

Molly, Ethan i Natalie siedzieli już w bufecie przy kawie. Gwiazda rozłożyła gobelin na sąsiednim stoliku.

Ingrid go zamówiła, przedstawiał widok na front sklepu Kenny's z sylwetką Davida, który wygląda z okna swojego gabinetu. Wykonany w ciepłych kolorach złota i brązów, jakie dominowały w elewacji, gobelin był pięknym dziełem sztuki.

– Fantastyczny – podziwiała pracę Molly.

– Piękny – powiedziała do Gwiazdy Ingrid. – Jesteś genialna.

Charlie, przechodząca wraz z Shotsy, która niosła ich tacę z kawą dla siebie i herbatą dla Charlie, przystanęła zachwycona.

– Cudowny – zawołała. – Bardzo mi się podoba. Gwiazda uśmiechnęła się do niej.

– Ja panią chyba znam. Jest pani córką Kitty Nelson

– Charlotte, prawda?

Gwiazda nigdy nie widziała Charlotte z bliska, ale rozpoznała ją na pogrzebie z Kitty.

Charlie wiedziała, że znów zrobiła tę lekko nieufną minę, jak zawsze, gdy ktoś wspominał w jej obecności Kitty. Ale otrząsnęła się z tego. Teraz było inaczej. Nie była już córką numer dwa – nie w głowie Kitty i co ważniejsze, również nie w swojej głowie.

– Tak – odparła z uśmiechem. – Jestem Charlie Fallon.

– Gwiazda Bluestone – przedstawiła się i ujęła wyciągniętą dłoń Charlie.

Przed oczami przemknęły jej szybko obrazy pełne smutku, natychmiast jednak zastąpione ogromną miłością, miłością do wysokiego mężczyzny i chudego nastolatka. A w tle, w ramionach Charlie, Gwiazda zobaczyła małą córeczkę z obłokiem jasnokasztanowych włosów.

Wzrok Gwiazdy mimowolnie powędrował do płaskiego brzucha Charlie. Charlie to zauważyła i cała zbladła, kręcąc głową, by ją ostrzec, że nikt jeszcze nie wie. Nikt oprócz Brendana, Mickeya i lekarza.

Gwiazda pochyliła się do niej.

– Gratulacje, droga Charlie. Prawdziwe macierzyństwo to wielki dar. Jeden z najlepszych. Ty go masz aż w nadmiarze, szczęściara z ciebie. Bo nie każdy – przerwała znacząco – go ma. Bardzo dawno nie widziałam już twojej mamy – dodała. – Pozdrów ją ode mnie.

Idąc za Shotsy do stolika, Charlie czuła się otumaniona. Ta kobieta zobaczyła wszystko w jednej chwili. A potem pojawił się na jej ustach promyczek uśmiechu. Powiedziała, że Charlie ma prawdziwy dar macierzyństwa. Zgadza się. Wiedziała, że tak jest. I ceniła go nad wszystkie inne.

– Chyba nie zamierzasz mi prawić kazań o zdrowiu, co?

– zapytała Shotsy, stawiając przed Charlie jej herbatę. – Herbata zamiast kawy?

– Jak coś ci powiem, nie rozgadasz?

Restauracja powoli się zapelniała. Gwiazda podeszła do Natalie.

– Masz dziś ochotę na kolację u mnie? – zaproponowała.

– Nie, dzięki, spotykam się z Rorym, przyjedzie po mnie – odparła Natalie, cała jaśniejąc. – Umówiliśmy się z Anną i Denitem tu niedaleko, w tej włoskiej knajpce.

– A co u Lizzie? – zapytała Gwiazda, pamiętając opowieść o

przyjaciółce z dzieciństwa.

Lizzie ma ewidentnie problem z alkoholem i Gwiazda wiedziała, jak Natalie się tym przejmuje, widziała jej przygnębienie – Des miał obawy, że kiedy się dowie o alkoholizmie matki, będzie zdruzgotana. Ale Natalie dzielnie to zniosła. Mama wyzdrowiała – skomentowała wtedy. – To wymagało odwagi.

– Tydzień temu byliśmy z Rorym na imprezie z nią i całą paczką – mówiła Natalie.

Lizzie jak zwykle okropnie się upiła, a nazajutrz Natalie poszła do niej i Steve'a. Lizzie, z ciężkim kacem, leżała na kanapie i jęczała. Natalie usiadła w fotelu i powiedziała jej, co miała do powiedzenia: – Lizzie, jesteś moją ukochaną przyjaciółką i po prostu pęka mi serce, kiedy widzę cię w takim stanie. Musisz przechodzić przez piekło, myśląc że nikt nie wie o twoim picciu i o tym, jak bardzo się nienawidzisz.

Lizzie zbladła, a Steve, pochylony, schował głowę w dłoniach.

– Mnie nie chce słuchać – powiedział.

Lizzie się nie odezwała, szlochała tylko.

– Nie chcę ci mówić, jak masz żyć, Lizzie, ale uważam, że potrzebujesz pomocy. – Wstała i położyła na stoliku przed Lizzie wszystkie materiały, jakie zebrała na temat alkoholizmu.

– Pójdę teraz, ale gdybyś chciała o tym pogadać, znam historię pewnej osoby, bardzo mi drogiej, która była taka jak ty i wyzdrowiała. To moja mama. Jestem dumna z niej i z tego, co zrobiła: pokazała, że można się odbić od dna i znaleźć szczęście. – Po czym pochyliła się, pocałowała Lizzie i wyszła.

Gwiazda cała promieniała, kiedy Natalie opowiedziała jej tę historię.

– Mówisz dokładnie jak twoja mama, brawo – powiedziała z dumą. – A

właśnie, mam coś dla ciebie, znalazłam to na strychu. Nie otwierałam.

To coś było zakurzonym, pożółkłym notatnikiem, na który nałożono gumkę, żeby się nie otwierał. Gwiazda podała go Natalie, a ta odebrała go od niej z nabożnym szacunkiem.

*Natalie: rady!* – zostało napisane na okładce.

Natalie pogłaskała notes, jakby to był kamień z Rosetty.

– Muszę do niego zajrzeć – powiedziała wszystkim i wybiegła z restauracji, żeby znaleźć jakieś spokojne miejsce. Ingrid właśnie rozpoczynała spotkanie, ale Natalie chciała wiedzieć, co miała jej do powiedzenia mama.

– Ostatnie sześć miesięcy wszystkim nam się dało we znaki – zaczęła Ingrid, spoglądając na morze wpatrzonych w nią twarzy. – I wszystkim nam tak bardzo brakuje Davida.

Stojący obok niej Ethan pociągnął nosem, a wtedy Molly objęła go dyskretnie ramieniem. Był taki podobny do ojca, myślała z czułością Ingrid, nie znosił, gdy inni widzieli, że cierpi.

– I zapewne brakowałyby nam Kenny's, gdyby coś mu się miało przytrafić.

Nastrój wśród zebranych nieco się zmienił, Ingrid wyczuła napięcie.

– Ale nie sprzedajemy. Zaprosiłam was tutaj dziś, żeby wam powiedzieć, że Kenny's jest bezpieczny. Mamy nowego inwestora.

W tym momencie obok Ingrid pojawił się Eric Johannsen – w każdym calu rasowy finansista.

– Pozwólcie, że przedstawię wam pana Erica Johannsena, nowego udziałowca, który obiecuje, że Kenny's nie tylko nie zostanie sprzedany, ale to on będzie wykupywał inne sklepy!

W tłumie zawrzało. Ingrid widziała już takie masowe reakcje. To było

jak fala, fala dobrego nastroju, która w szybkim tempie ogarnia po kolei zebranych, aż osiąga punkt kulminacyjny, kiedy wszyscy wykrzykują swoje zadowolenie.

– Wasz sklep i miejsca pracy są bezpieczne – dodała Ingrid, gdy radość już przycichła. – A teraz oddam głos panu Johannsenowi.

Odsunęła się na bok, a kiedy Eric krótko przedstawiał swoje wielkie plany, podeszła do Molly i Ethana i pocałowała ich w czoło.

– David byłby dumny – szepnęła Gwiazda.

– Chyba tak – odparła cicho Ingrid, uśmiechając się. Spojrzała na sklep, jej sklep, i poczuła wielką dumę.

Dzięki niej to miejsce wciąż żyje i pozostanie swego rodzaju oazą zarówno dla klientów, jak i pracowników. David stworzył wielką rodzinę, zadaniem Ingrid jest teraz o nią dbać, a to akurat potrafiła.

W jednym z pomieszczeń biurowych na piątym piętrze Natalie znalazła potrzebny jej spokój. Zamknęła za sobą drzwi, usiadła na krześle i ostrożnie otworzyła notatnik.

*Kochana Natalie!*

*Nie ma mnie z Tobą i to jest najgorsze, co mogło się wydarzyć. Oddałabym lata życia, żeby móc z Tobą być, ale nie mam ich już. To przerażające, że nie mamy wpływu na tak ważne sprawy. Mogę wybrać kolor włosów albo gdzie chcę mieszkać i inne rzeczy bez znaczenia, które nie wiadomo czemu wydają się takie ważne, ale nie mogę zdecydować, jak długo będę żyła ze swoim ukochanym dzieckiem i mężem.*

*Nie zawsze postępowałam właściwie. Oględnie mówiąc! Gwiazda Ci opowie, jeśli będzie tu jeszcze ze swoją magią dla potrzebujących, kiedy dorośniesz na tyle, żeby przyjść mnie szukać. Spieprzyłam mnóstwo rzeczy. Więc nie rób tego co ja, dobrze? Ona ci opowie. Twój tata tak naprawdę*

*niewiele wie, bo załamałoby go to jeszcze bardziej niż to, co dzieje się teraz.*

*OK, płaczę. Jest mi źle, ale jakoś się trzymam. Właściwie mówię to bardziej do Ciebie niż do siebie. Gwiazda bardzo mi pomogła. Trzymała mnie za rękę, a ja poczułam nagle spokój. Wiem, że umieram, ale czułam ten niesamowity, błogi spokój. Jakby przepływała przeze mnie miłość, i uwierzyłam, że jest gdzieś miłość, która na mnie czeka. Nie boję się śmierci. Naprawdę, nie boję się. A wiedz, Natalie, że były takie momenty w moim życiu, kiedy rzeczywiście się bałam, i to jak! Ale wszystko będzie dobrze. Przeraża mnie jedynie to, że muszę Cię zostawić. Nie wiem, jak to zrobię. Będą musieli wyrwać Cię z moich ramion, kiedy już odejdę. Dla Ciebie chciałabym zostać na zawsze. Dla Ciebie, kochanie, dla Ciebie.*

*Ale nie będę odchodzić w samotności, będzie ze mną moja mama.*

*No i znów płaczę. Sama dorastałam bez mamy i to jest ostatnia rzecz, jakiej chciałabym dla Ciebie. Różnica polega na tym, że Ty masz wspaniałego tatę. Tyle tylko powiem.*

*Gdybym była tam z Tobą, uczyłabym Cię rzeczy, których mnie nauczyło życie. Niestety, nie byłam pojętną uczennicą, o nie! Nikt chyba nie uczył się tak powoli jak ja. Nawet kapusta jest szybsza ode mnie. Ale kiedy już się nauczyłam, zostało to we mnie na zawsze. I dobrze, bo gdybym musiała przez to wszystko przechodzić drugi raz, na pewno bym umarła... hm, w sumie i tak umieram.*

*Chciałabym umieć napisać to wszystko tak pięknie, ale muszę to zrobić po swojemu, żebym była w tym ja – Dara. A więc moje rady dla Ciebie, w skrócie:*

- \* Bądź wierna sobie. Brzmi to jak szaleństwo, prawda? No bo co znaczy: wierna? Ale zaufaj mi, kiedy to poczujesz, od razu zrozumiesz.*
- \* Ufaj swojej intuicji. Ja w ogóle sobie nie ufałam, więc*

*lekceważyłam też intuicję. Ale jak się nad tym zastanowić, to dziewięć razy na dziesięć intuicja dobrze mi podpowiadała. Tylko że ja nie zwracałam na nią uwagi.*

*\* Bądź dla siebie dobra. Pokochaj siebie. Nikt inny nie będzie w stanie tego zrobić, jeśli Ty nie zrobisz tego pierwsza. To trudna lekcja, bardzo, ale ważna. Jeśli będziesz siebie kochać, nie pozwolisz się nikomu skrzywdzić. Brzmi tak, jakby to było oczywiste, ale zdziwiłabyś się, ile czasu zajęło mi zrozumienie tego.*

*Najprawdopodobniej wszystko jest z Tobą OK. Naprawdę. Mimo że masz te okropne brwi/ za krótkie nogi/lub... (wstaw tutaj, co uznasz za stosowne). Bo na pewno znajdzie się coś takiego, co będzie Cię strasznie męczyć i przez co będziesz uważać, że jesteś do niczego, a od czasu do czasu Twoje kompleksy i lęki złapią się tego kurczowo, przekonując Cię, że gdyby nie Twoje okropne brwi/za krótkie nogi/czy cokolwiek innego, wszystko byłoby dobrze. Pamiętaj, one nie mają z tym nic wspólnego. Ludzie po prostu muszą się o coś martwić, tak jak w latach pięćdziesiątych martwili się komunizmem, a potem z kolei społeczeństwem zbyt liberalnym. Aż pewnego dnia spojrzysz na swoje stare zdjęcie, zastanawiając się, czemu właściwie się przejmowałaś tymi brwiami, skoro miałaś przed sobą całe życie... Sęk w tym, że na to stare zdjęcie patrzysz zazwyczaj wtedy, kiedy już umierasz, a wielka życiowa prawda wali Cię w łeb jak obuchem, uświadamiając Ci, że młodzi i żywi nie potrafią jej docenić. Rozumieją ją tylko starzy i umierający. Próbuję Cię przed tym ochronić.*

*\* Życie to coś, co nam się przytrafia, gdy mamy zupełnie inne plany.*

*\* Tylko jedna osoba może zmienić Twoje życie. Tą osobą jesteś Ty. Nie czekaj, aż ktoś to zrobi za Ciebie, księżę na białym koniu czy ktokolwiek inny. Bądź swoim własnym księciem.*



\* *Walcz o siebie. Dużo czasu może Ci zabrać odkrycie, kim jesteś naprawdę, ale kiedy już to zrobisz, dbaj o tę osobę. Jest jedną z najcenniejszych przyjaciółek, jakie kiedykolwiek będziesz miała.*

\* *Naucz się mówić mężczyznom, że ich lubisz, ale nie interesuje Cię seks. To takie ważne.*

\* *Bądź dobra dla innych kobiet. To naprawdę działa – przeważnie. A nawet w te dni, gdy nie działa, sprawi, że sama ze sobą poczujesz się lepiej. W środku. I na zewnątrz też! Bo złośliwość zostawia ślady w naszej duszy, ale rzeźbi też ślady na naszej twarzy, te bruzdy, które jak twierdzą dermatolodzy, są spowodowane przez papierosy albo opalanie – naprawdę żłobi je złośliwość.*

\* *Kiedy jesteś zdenerwowana, nie wyciągaj wszystkich dawnych uraz, które chowasz na dnie serca. To tylko pogorszy sprawę.*

\* *Naucz się mówić: nie. Dużo ćwicz. Powtarzaj to przynajmniej raz dziennie. I wiesz co? Będziesz coraz lepsza.*

\* *Czasami nie da się nic zrobić. Na przykład z innymi ludźmi – nie da się ich zmienić. Musisz po prostu zdecydować, czy warto z nimi zostać do czasu, aż sami się zmienią, albo czy warto z nimi zostać, nawet jeśli nigdy nie zdecydują się czegoś ze sobą zrobić. Ty wybierasz tylko, czy zostać, co do zmieniania ich – nie masz na to wpływu. Czasami po prostu trzeba odpuścić. Szczerze mówiąc, odpuszczanie dość często się w życiu przydaje.*

\* *Co Cię nie zniszczy, to Cię wzmocni. Mam tylko nadzieję, że w ogóle nie będziesz musiała się o tym przekonywać. Ale jeśli zdarzy się inaczej, wierz mi – to prawda.*

\* *Życie wydaje się takie długie, kiedy jesteśmy w środku drogi, ale gdy wiesz, że wkrótce się skończy, zdajesz sobie sprawę, jak mało czasu mamy na ziemi. Nie zmarnuj go.*

*\*Żyj chwilą obecną. Nie przyszłością ani przeszłością. Liczy się teraz. Nie wiesz, co się wydarzy jutro, a wczoraj już przeminęło, więc jedyne co masz, to dziś, ta chwila. Ciesz się nią.*

*\* Spraw, żeby Twoje wybory miały znaczenie. Rób to, co daje Ci szczęście. Powiedz ludziom, których kochasz, że ich kochasz. Nie czekaj na lepszy moment. Zrób to teraz.*

*\* Codziennie uklęknij i podziękuj. Nawet jeśli nie czujesz wdzięczności przez cały czas, ćwicz, a któregoś dnia będziesz w stanie docenić wszystkie te dobre rzeczy. To jeden z największych darów.*

*\* Nigdy nie jest za późno, żeby się zatrzymać i zmienić kierunek. Nigdy. Ja tak zrobiłam i spójrz, co dostałam – Ciebie i Twojego tatę.*

*A skoro o nim mowa, kiedy znajdziesz taką miłość – taką, która zdarza się tylko raz w życiu – mocno ją trzymaj.*

*Płaczę, Natalie. Lepiej już skończę. Gwiazda chce, żebym zeszła do Ciebie. Mówiłam Ci? Jesteś na dole z Gwiazdą, a ja na górze, usiłuję nie płakać przy tym pisaniu. Nie mogę tego pisać, gdy jestem z Twoim tatą, boby się załamał. Jest wspaniałym ojcem, ale myślę, że o tym sama zdążyłaś się już przekonać. Mam nadzieję, że dokończę to jeszcze później, ale gdyby nie – Kocham Cię, Natalie. Zawsze Cię kochałam i zawsze będę kochać.*

*Mama*

Natalie przeszukała notatnik, ale nic więcej nie znalazła. Nie szkodzi, wystarczy. Lekcje na całe życie. Przycisnęła notes do serca. Płakała, czytając go, ale teraz nie czuła już napływających łez. Łzy przydają się na smutne rzeczy, a to było takie pełne życia.

Podniosła wzrok i popatrzyła w sufit.

– Nie wiem, gdzie jesteś, mamo, ale posłucham twoich rad, co do jednej – obiecała. – Będziesz ze mnie dumna, zobaczysz.

Z zewnątrz doszedł ją śmiech i chyba odgłosy otwieranych szampanów.

Ostrożnie włożyła notatnik do torebki i poszła za głosami. Niedługo przyjedzie Rory, a nie chciała stracić ani jednej chwili z nim.

TTLR